

GRAHAM BROWN

# CZARNY DESZCZ

Pożądany skarb. Niebezpieczna misja.  
I mroczny sekret, który zabija.

„Czarny deszcz skrzy się od napięcia i zwrotów akcji, które stanowią doskonałą rozrywkę, intrygują. Akcja wciąga czytelnika do przemyślnie skonstruowanego świata, pełnego dziwnych i zdumiewających zjawisk.

Graham Brown to nowy ekscytujący talent, autor, o którym jeszcze nieraz usłyszymy w nadchodzących latach. Ja już nie mogę się doczekać“.

Steve Berry

„Czarny deszcz" to przygodówka, którą nie tylko świetnie się czyta, ale która jest przy okazji sprytna, niegłupia i zdolna wstrząsnąć całym światkiem zapatrzonym w thrillery. Każdy egzemplarz powinien być sprzedawany z wiadrem popcornu i płytką Johna Williama. Mnie podobała się ogromnie“.

Linwood Barclay, autor Bez śladu

## PODZIĘKOWANIA

Tylko autor wie, ile osób ma wpływ na ostateczny kształt utworu jemu przypisywanego. W moim wypadku te nieliczne interwencje były z pewnością o wiele ważniejsze niż całe miesiące tłuczenia w klawiaturę.

Przede wszystkim muszę podziękować mojej żonie Tracey - po pierwsze za to, że zmusiłaś mnie do tej roboty, a po drugie za wszystko, czego mnie potem nauczyłaś. Gdyby nie ty, *Czarny deszcz* nadal byłby marnie napisanym konspektem powieści zalegającym na dnie czyjejs szuflady. Podziękowania należą się także reszcie rodziny i przyjaciołom, którzy czytali wstępne wersje książki, szczególnie Larryemu i Shelly Foxom (*Gracias, los Zorros*), Christopherowi Gangiemu, który jest mi jak brat, oraz prawdziwym braciom i rodzicom, którzy nigdy nie próbowali mnie od niczego odwieść, nawet jeśli moje pomysły wydawały się niebezpieczne, a nawet lekko szalone.

Pisarz nie czuje się prawdziwym literatem, dopóki jego książki nie zostaną wydane. Jeśli chodzi o mnie, nie byłoby to możliwe, gdyby nie moja agentka, fantastyczna i niesamowita Barbara Poelle - ja sam chyba do końca nie rozumiem, jak wielkie szczęście mnie spotkało, gdy zasiadłem przed twoim biurkiem. To samo dotyczy Irene Goodman, Danny ego Barora i reszty ekipy z Bantam Dell, począwszy od mojej redaktorki, Danielle Perez, której sugestie i przemyślenia były tak celne, że czasami zastanawiałem się, kto lepiej zna bohaterów tej książki. Dziękuję również Marisie Vigilante za okazaną mi pomoc, Carlosowi Beltranowi za fan tascyczną okładkę oraz wszystkim ludziom, którzy przyczynili się do powstania *Czarnego deszczu*.

*I nadszedł ten zwany Niszczycielem, który wylupił im oczy, oraz ten zwany Jaguarem, który pożarł ich ciała. Próbowali uciekać na drzewa i kryć się po jaskiniach, lecz gałęzie nie były w stanie ich utrzymać, a wejścia do grot zostały zamknięte. Wtedy też rozpoczęła się ulewa, z nieba lunęły strumienie czarnego deszczu. Padało cały dzień i całą noc, aż ziemia całkiem poczerniała.*

Opis zagłady drewnianych ludzi zaczerpnięty z *Popol Vuh*, świętej księgi Majów

## PROLOG:

### LAS DESZCZOWY

Pod kopułą lasu równikowego panowały głębokie ciemności. Kolejne warstwy wiecznie zielonych liści pięły się ku górze, przypominając nakładające się na siebie sklepienia cyrkowych namiotów wsparte na masywnych pniach gigantycznych drzew. Spijające deszcz rośliny tworzyły nieprzebyty gąszcz, dom tysięcy gatunków zwierząt, z których większość nigdy nie opuszczała granic wyznaczonych wyniosłymi koronami. Życie rozwijało się tutaj, na szczytach drzew, w dole panował wieczny cień i panoszyło się robactwo pożerające każdą martwą istotę, która tutaj spadała.

Jack Dixon opuścił wzrok z bujnej roślinności wysoko nad jego głową i spojrzął na ziemię pod stopami. Przyklęknął, aby przypatrzeć się uważniej tropom. Odciski ciężkich butów były łatwe do wyśledzenia, niemniej różniły się nieco od tych, które odkrył wcześniej. Zagłębiały się mocniej w błocie na czubkach i dzieliła je większa odległość.

*Zatem nasze cele poruszają się teraz biegiem. Ciekawe dlaczego ?*

Zlustrował otoczenie zaniepokojony, czy aby się nie pospieszył i przez to nie ujawnił. Nie wydało mu się to zbyt prawdopodobne. Splątana roślinność blokowała pole widzenia we wszystkich kierunkach, a tam, gdzie można było spojrzeć na większą odległość, wszystko szarzało, znikając w ścianie rzadkiej mgły. Zdawać się mogło, że prócz tego miejsca nie ma już nic, żadnego świata poza ciągnącymi się w nieskończoność drzewami, wilgotnymi mchami i lianami kołyszającymi się leniwie niczym sznury na pustych szubienicach.

*Tak na marginesie, gdyby mnie zauważyli, już bym nie żył.*

Dixon skinął ręką na idącego za nim człowieka.

- Musieli się czegoś wystraszyć - powiedział, wskazując na tropy.

Jego towarzysz, mężczyzna noszący nazwisko McCrea, spojrzął przelotnie na odciski butów.

- Ale nie nas.

Dixon pokręcił głową.

- Nie. Na pewno nie nas.

Gdy w oddali rozbrzmiało brzęczenie cykad, po twarzy drugiego z mężczyzn przemknął nerwowy tik. McCrea nie odezwał się jednak i obaj ruszyli dalej, idąc znacznie ostrożniej niż jeszcze przed chwilą i trzymając przygotowane do strzału karabiny automatyczne.

Kilka minut później dotarli do miejsca, w którym doszło - zgodnie z przewidywaniami Dixona - do kolejnego zabójstwa. Ofiara była świeża, jeszcze nie cuchnęła, niemniej ptaki zdążyły ją już znaleźć. Gdy dwaj mężczyźni minęli kolejną kępę zarośli, stadko zaniepokojonych padlinożerców wzbilo się w kierunku bezpiecznego baldachimu konarów.

Ich paniczna ucieczka ujawniła obecność zmasakrowanego ciała odzianego w strój identyczny z ubiorem Dixona i McCrei. Trup leżał twarzą do ziemi w kałuży szkarłatnego błota z wystającą spomiędzy łopatek indiańską włócznią. Na obu nogach i prawej ręce widać było ślady ugryzień. Jednego ramienia całkiem brakowało, ale nie zostało ono odcięte, tylko rozszarpane. Pasemka skóry i włókna mięśni wciąż zwisały z krawędzi głębokiej rany, wewnątrz której widać było sterczące, zakrwawione kości.

- Co, u licha? - mruknął McCrea, rozglądając się wokół.

Dixon przyglądał się zwłokom poruszony, ale i zaniepokojony.

- Tak kończą ci, którzy próbują mnie zostawić na pastwę losu - rzucił w stronę martwego człowieka.

Stojący obok McCrea starał się wziąć w garść.

- Sukinsyny dopadły go całą bandą.

W tym wypadku „sukinsynami” byli tubylcy zwani Chollockwanami

- członkowie tego plemienia niepokoił wyprawę od momentu wkroczenia na zachodni brzeg rzeki. Kilka tygodni temu Dixon i jego ludzie zastrzelili sporo atakujących ich dzikusów, ale, jak widać, jedna lekcja im nie wystarczyła.

- Oszczędzili nam kłopotów - mruknął. - Przeszukaj go.

McCrea przyklęknął obok zwłok i obmacał wszystkie kieszenie. Niczego nie znalazł, wyjął więc niewielkie urządzenie i włączył je. Wydawało ciche kliknięcia przechodzące w szybki terkot, gdy skierował je odpowiednio.

- Mówiłem ci, że je ma - mruknął Dixon.

McCrea odłożył licznik Geigera i zaczął przeszukiwać chlebak zabitego. Zamarł w pół ruchu, gdy pod baldachimem lasu rozległ się przenikliwy skrzek:

Po nim zapanowała kompletna cisza.

- To tylko ptaki - szepnął Dixon.

- Zabrzmiało jak... - McCrea umilkł, widząc gniewne spojrzenie towarzysza.

- Dobiegało z daleka - warknął tamten. - Znajdź te cholerne kamienie i spieszajmy stąd.

Ponaglony wściekłym wzrokiem McCrea wrócił do pracy i wkrótce wydobył z błota brudną szmatę. Rozwinął ją, odsłaniając garść małych kamieni, nie większych od kostek cukru, tyle że dwunastościennych i połyskujących metalicznie. Obok leżał porysowany, bezbarwny kryształ.

Dixon obrzucił spojrzeniem odkryte przedmioty, a potem przeniósł wzrok na twarz byłego podwładnego.

- Złodziej - burknął w końcu, wypowiadając epitafium dla zdrajcy, który nigdy nie spocznie w porządnym grobie.

McCrea starannie zawinął znalezisko i podał je swojemu partnerowi.

- Weź też jego dokumenty - polecił mu Dixon.

I to polecenie zostało wykonane, aczkolwiek z wielką niechęcią. Gdy McCrea podawał portfel z paszportem Dixonowi, w oddali znów rozległ się okropny skrzek. Tym razem nadeszła odpowiedź, głośniejsza od wezwania, ze znacznie mniejszej odległości. Tak jękliwa, że zdawała się wwiercać bezpośrednio w mózg.

- To nie jest żaden pieprzony ptak - stwierdził McCrea.

Dixon nie odpowiedział, przytaknął jednak skinieniem głowy. Słyszeli to zawołanie już przedtem, w ruinach świątyni tuż przed tym, gdy rozpętało się piekło. Ani trochę go nie cieszyło, że słyszą ten dźwięk ponownie.

Wsunął do kieszeni zawiniątko z kamieniami, po czym zacisnął dłonie na broni z taką siłą, że na jego masywnych przedramionach zapulsowały żyły. Lustrował otoczenie, usiłując przebić wzrokiem zasłonę mgły i gęste zarośla, w których jeszcze przed momentem sam się krył.

Wrócił myślami do zabitego członka wyprawy. To miejsce nadawało się idealnie na pułapkę...

Stojący obok niego McCrea wymruczał coś pod nosem, a potem dodał nieco głośniej:

- Za długo tu sterczymy.

Dixon zignorował go. Wyjął maczetę z pochwy umocowanej do uda i ruszył przed siebie z karabinem w jednej ręce i długim stalowym ostrzem w drugiej. Odsunął lufą liść paproci i przystanął.

Na ziemi, obok plam krzepnącej krwi dostrzegł nowe tropy. Dwa długie wgłębienia, jakby

ktoś wbił w ziemię kamerton, a potem popchnął go mocno do przodu. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mogłoby pozostawić takie ślady.

Gdy przyklęknął, by je zbadać, poczuł znajomy zapach. Ostry, amoniakalny. Moment później przez las przetoczył się kolejny zew, skrzeczenie przemknęło nad jego głową i zniknęło w oddali.

- Musimy stąd spieprzać - syknął McCrea.
- Cicho - zgasił go Dixon, nadal przyglądając się śladom.
- Człowieku, czy ty rozumiesz? Zaraz wszystko zacznie się od nowa.
- Zamknij pysk! - rozkazał Dixon.

Starał się skoncentrować. Ucieczka na pewno zakończy się ich śmiercią, a pozostanie na miejscu... Z tym miejscem było coś nie tak, ale niestety pojął to, gdy było już za późno. Pomyślał, że tutaj ludzie nie są łowcami, tylko ofiarami.

Gdzieś w oddali rozległ się cichy odgłos przypominający nieco trzepot skrzydeł sowy. Przyłożył kolbę broni do ramienia.

- Proszę cię... - wyszeptał McCrea. Dźwięk zbliżał się do nich, jakby coś pędziło przez zarośla niezwykle lekkim krokiem. - Błagam!

Dixon wstał, przygotowując się do oddania strzału, ale tętent zboczył w lewo, minął go. Obrócił się więc, naciskając spust w tej samej chwili, gdy spomiędzy liści wystrzelił zamazany, czarny kształt.

McCrea wrzasnął. Echa serii wystrzałów zabrzmiały pod kopułą liści, a zieleń wokół została zroszona czerwonawą mgiełką. Niestety nie było w co mierzyć. Dixon nie widział żadnego celu, żadnego wroga, nawet swojego kompana, tylko rozkołtysane liście krzewów pokryte kroplami ludzkiej krwi.

- McCrea! - wrzasnął, spoglądając na te perliste, szkarłatne ślady.

Nasłuchiwał dźwięków szamotaniny, ale wokół panowała kompletna cisza. McCrea zniknął, został zabity jak wszyscy pozostali członkowie wyprawy. Tyle że tym razem wydarzyło się to tutaj, na jego oczach.

Dixon zaczął się cofać. Nie był człowiekiem, który łatwo ulega panice, lecz poczuł, że serce zaczyna mu coraz mocniej walić w piersiach. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą. Szedł z początku wolno, niemniej z każdą chwilą przyspieszał. Serce łomotało jak oszalone, myśli kłębiły się w głowie. Gdy nad deszczowym lasem rozległo się znów skrzeczenie, pomknął przed siebie ile sił w nogach.

Spanikowany gnał na oślep, tratując zarośla niczym rozjuszony byk i potykając się co rusz o sięgające ziemi liany. Skręcił, gdy tylko usłyszał za plecami jakiś odgłos, uskakiwał to na prawo, to na lewo, wrzeszcząc gniewnie i ostrzeliwując zarośla.

- Zostaw mnie w spokoju! - krzyczał.

Towarzyszył mu tupot, prześladowało trzaskanie gałązek i pokrzykiwanie tubylców. Ścigali go, byli coraz bliżej.

Potknął się, padł na czworaki, ale poderwał się natychmiast, oddając kilka kolejnych strzałów. Mimo to czarna błyskawica trafiła go w bok i posłała w powietrze. Lecąc, zdołał uchwycić kątem oka swojego prześladowcę, nim ten zniknął ponownie w gąszczu. Ośmiu ludzi straciło życie, a on po raz pierwszy miał okazję zobaczyć, co ich zabiło. Skóra tego stwora przypominała czarną, wypolerowaną kość.

Uderzył w ziemię z głośnym chrzęstem, na tyle przytomny, by natychmiast podnieść broń, mimo że nogi paraliżował mu niesamowity ból.

Przewrócił się na plecy, dysząc ciężko, i zmusił do zlustrowania obrażeń. Jedną nogę miał złamaną, piszczel przebiła mu skórę. Ucieczka w tym stanie była wykluczona, wąpił nawet, czy zdoła zrobić kilka kroków.

Cierpiąc nieludzkie katusze, podniósł się jednak. Skakał na zdrowej nodze, dopóki nie dotarł do szerokiego, szarego pnia. Drżącymi rękoma sprawdził broń, potem oparł kolbę w zagięciu łokcia i przygotował się na nadejście nieuniknionego i bolesnego końca.

Nie minęło parę chwil, gdy poczuł dreszcze i zrobiło mu się słabo. Głowa chwiała mu się coraz mocniej, aż opadła do tyłu i oparła się o korę zwalonego drzewa. Wysoko nad nim pajęczyny gałęzi poruszały się w takt podmuchów wiatru, który nigdy nie docierał do poziomu ziemi. W otwory pomiędzy listowiem wdzierały się promienie słońca. Czuł klucie w przyzwyczajonych do półmroku oczach, gdy na nie spoglądał. Jednakże blask szybko blaknął, aczkolwiek to akurat było wytworem gasnącej wyobraźni.

Minęła minuta, potem następna. Otaczała go kompletna cisza, przerywana jedynie chrapliwym oddechem. Z każdą upływającą sekundą Jack Dixon modlił się coraz żarliwiej, aby dane mu było umrzeć w spokoju, zapadając w nieprzerwany sen. Po paru kolejnych minutach ciszy poczuł nadzieję, że tak się stanie.

Ale wtedy właśnie rozległ się kolejny skrzek, mroząc mu krew w żyłach, przewiercając czaszkę na wskroś i odbijając się echem w głębi amazońskiej puszczy.

## ROZDZIAŁ 1

### MANAUS, BRAZYLIA

Danielle Laidlaw siedziała samotnie na tarasie restauracyjki, skąd miała piękny widok na gigantyczną rzekę. W sennym upale gorącego popołudnia przyglądała się złotawym refleksom rzucanym przez chylące się do horyzontu słońce. Był to urzekający, niemal hipnotyczny widok, nie odrywała więc od niego oczu przez bardzo długą chwilę.

Gdy odwróciła głowę w kierunku tarasu, dostrzegła za stolikami osłoniętymi jaskrawożółtymi parasolami niewielką część wnętrza kawiarni.

O tej porze lokal świecił pustkami. A już na pewno nie było w nim człowieka, na którego czekała, mimo że nie zwykł się spóźniać.

Sięgnęła szybkim ruchem po swojego BlackBerry, sprawdziła, czy nie przyszły jakieś wiadomości tekstowe, a potem wklepała krótki, ale niezbyt grzeczny tekst: „Gdzie się u licha podziewasz?”.

Zanim zdążyła go wysłać, dostrzegła kątem oka mężczyznę rozmawiającego z kelnerem w kawiarni.

Najpierw zauważyła jego przyprószone siwizną włosy, a następnie zrytą bruzdami twarz, gdy obrócił głowę i spojrzał w jej stronę. Ruszył od razu na taras, ubrany jak zawsze nienagannie. Tego dnia założył ciemne spodnie, rozpiętą pod szyją koszulę i granatową marynarkę. Zastanawiała się, jakim cudem może wytrzymać w tak grubych rzeczach w gorącym klimacie środkowej Brazylii, ale niemal od razu dotarło do niej, że Arnold Moore nie jest skłonny do kompromisów nawet w obliczu kaprysów natury.

- Spóźniłeś się - napomniała go. - Miałeś problemy ze znalezieniem tego miejsca?

Wydał usta, jakby już sama sugestia wydawała mu się śmiechu warta.

- Ależ skąd - odparł. - Wystarczyło popytać, gdzie mogę znaleźć ponurą, ciemnowłosą kobietę sprawdzającą sto razy na minutę swoją komórkę. Zdziwiający, tylko siedem osób skierowało mnie pod właściwy adres.

Danielle, śmiejąc się z rzuconego dowcipu, zauważyła przyglądających się im kelnerów. Często się to zdarzało. Była trzydziestojednoletnią, wysoką, szczupłą i doskonale zbudowaną kobietą o wysokich kościach policzkowych i wspaniałych kasztanowych włosach, on natomiast wyglądał na dwa razy starszego od niej, miał siwe włosy, nosił się wytwornie, po europejsku. Gdy spotykali się gdziekolwiek, ludzie spoglądali na nich dyskretnie, zapewne sądząc, że jest jego kochanką albo polującą na spadki młodą żonką, jedynie ci mniej cyniczni mogli ją uważać za kuzynkę albo córkę Arnolda. Tymczasem prawda zaskoczyłaby wszystkich. Danielle była bowiem jego partnerką, protegowaną i jedną z niewielu osób na tym padole, którym bezgranicznie ufał.

Podróżowali często do najodleglejszych zakątków świata jako doświadczeni agenci połowy amerykańskiej organizacji zwanej Narodowym Instytutem Badawczym. W minionym roku odwiedzili służbowo aż jedenaście krajów, zajmując się wszystkim, poczynając od rekultywacji terenów roponośnych w państwach basenu Morza Bałtyckiego, a kończąc na nanorurkach produkowanych w Tokio. Trafili nawet dę Wenecji, jako że NIB współpracował z rządem włoskim przy projekcie stworzenia szeregu zapór chroniących wyspy i znajdujące się na nich zabytkowe miasto.



Ich zadaniem było zapoznawanie się z najnowocześniejszymi projektami i ocena, czy któreś ze stosowanych w nich technologii, o ile jakieś się nadawały, mogą interesować instytucje ze Stanów Zjednoczonych. Jeśli trafiali na coś ciekawego, musieli zdobyć wszelkie potrzebne dane i materiały bez względu na to, czy trzeba było uruchamiać liczne znajomości, płacić łapówki bądź posuwać się do najzwyczajszej kradzieży.

Najwięcej czasu spędzali więc w ultranowoczesnych laboratoriach i na specjalistycznych seminariach. Ich noce nie różniły się niczym od tych, które były udziałem śmietanki towarzyskiej: albo uczestniczyli w oficjalnych uroczystościach państwowych, albo chadzali na przyjęcia wydane przez korporacje i bogatych przemysłowców. Wiedli życie tyleż wygodne, co wymagające. Niestety, misja w Brazylii jak dotąd nie pasowała do tego schematu.

Zainteresowanie NIB-u nie wiązało się z niczym, co zostało zaprojektowane, wdrożone bądź wyprodukowane w tym kraju. Szczerze mówiąc, zajmowali się w równym stopniu przeszłością, jak przyszłością, a zaczęli od kilku artefaktów przywiezionych z Amazonii przez amerykańskiego poszukiwacza przygód znanego jako Blackjack Martin.

Człowiek ten wyruszył w głąb dżungli w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym, gnany chęcią znalezienia czegoś, co przyniosłoby mu dożgonną sławę. Powrócił rok później, aczkolwiek nie w aureoli chwały. Większość jego opowieści wysmiano, uznając za wymysły, a nawet kłamstwa. Kilka artefaktów, które zdołał przywieźć ze sobą, cieszyło się krótkotrwałym zainteresowaniem i wkrótce spoczęło na zapleczach mało znanych muzeów. Zapomniano o nich, a część nawet zgubiono. Sytuacja uległa całkowitej zmianie, gdy jeden trafił w ręce naukowców pracujących dla NIB-u i został zbadany przy użyciu najnowocześniejszych technologii i narzędzi, budząc spore zainteresowanie zarządu.

Od tamtego momentu Danielle i Arnold przebywali w Brazylii, starając się - jak na razie bez skutku - trafić na ślad Blackjacksa Martina. Po kilku miesiącach bezowocnych poszukiwań Danielle trafiła jednak na coś, co mogło im pomóc w wykonaniu zadania.

- Mam dobrą wiadomość - oznajmiła. - I chcę ci coś pokazać.

Moore ujął w palce róg lnianej serwetki i rozłożył ją jednym strzepnięciem.

- A ja mam złą wiadomość - odparł - pochodzącą prosto z ust naszego dyrektora.

Wypowiedział te słowa tonem, który rezerwował na najbardziej brzydzące go okazje.

Danielle wyczuła w Arnoldzie pewną nutę rezygnacji, jakby czuł się zgorzkniały po przegranym starciu na słowa albo jakby wydano mu nowe, jeszcze dziwniejsze rozkazy mimo uzasadnionych obiekcji. Coś takiego miało już miejsce podczas tej misji.

- Co znowu? - zapytała.

Moore pokręcił głową.

- Ty pierwsza - zaproponował. - Może coś pozytywnego osłodzi choć trochę tę łyżkę dziegciu, którą muszę ci zaaplikować.

- Dobrze - zgodziła się, sięgając do małej skórzanej torebki stojącej przy nodze stołu. Wyjęła z niej niewielki, płaski kamień i położyła go przed Arnoldem. - Przyjrzyj mu się.

Dwucalowy, z grubsza prostokątny, miał ostre krawędzie z trzech stron i powierzchnię nie większą od przeciętnej kartki pocztowej. Zwęzał się lekko przy jednym z końców i był pokryty zatartymi symbolami, wśród których dało się zauważyć czaszkę i kilka innych, przypominających zwierzęta.

Moore podniósł tabliczkę i spojrzał na nią z odległości wyciągniętej ręki. Skrzywił się mocno, zanim uległ i sięgnął do kieszeni po futerał z dwuogniskowymi okularami. Z wielkim pietyzmem nałożył je na właściwe miejsce na koniuszku nosa.

- Hieroglificzne - zauważył.

- I bez wątpienia stworzone przez Majów - dodała.

Skinął głową i przechylił tabliczkę, by lepiej widzieć jej powierzchnię. Gdy to uczynił, promienie słońca rozświetliły niektóre hieroglify.

- A niech mnie - mruknął. - To dopiero widok.

- Zwróć uwagę na prawy górny róg - poprosiła. - Rozpoznajesz ten symbol?

Moore przyjrzał się baczniej wskazanej części tabliczki i na jego usta wpełzł powoli uśmiech.

- To ten sam symbol, który widzieliśmy na kołysce Blackjacksa Martina - stwierdził. - Xibalba, czyli zaświaty.

Uniosła tryumfalnie obie brwi. Jeśli miała rację, właśnie udało im się znaleźć dowód na to, że Martin opisał w swoich zwariowanych dziennikach czystą prawdę.

- Aż trudno w to uwierzyć.

- Tak - przyznał. - Bardzo trudno. - Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Skąd masz tę tabliczkę?

- Kupiłam od drwala, który wyprawia się w górę rzeki po przemycane drewno. Głównie mahoni.

Wpływy ze sprzedaży tego szlachetnego drewna stanowiły sporą część dochodu osiąganego z Amazonii, niestety drzewa te rosły niezwykle wolno, a większość tych, które znajdowały się na łatwo dostępnych terenach, została wycięta już przed wielu laty. Te, które się ostały, objęto ochroną. W rezultacie rozwinął się czarny rynek handlu tym towarem, sprowadzanym aż z górnego biegu Amazonki, z nietkniętych lasów, gdzie drwale zapuszczali się w poszukiwaniu dorodnych i wiele wartych okazów. Z czasem musieli wędrować coraz dalej od koryta rzeki, docierając do miejsc, gdzie od setek lat nie stanęła stopa człowieka.

- Jak daleko dotarł? - zapytał Moore, okazując znów entuzjazm.

- Osiem dni rejsu, nam nie zabierze to więcej niż cztery, góra pięć.

Gdy Moore przyglądał się kamiennej tabliczce, Danielle także poczuła przypływ energii.

Dalekie echo podniecenia, które ją ogarnęło, gdy zobaczyła ten kamień po raz pierwszy.

- Czy on wiedział, co ci sprzedaje? - zapytał Arnold, odwracając tabliczkę.

- Niezupełnie - odparła - niemniej pamięta miejsce, skąd ją przywiózł, i twierdzi, że w pobliżu leżał o wiele większy kamień pokryty podobnymi symbolami. Tamten był jednak zbyt ciężki, by go zabrać, więc przywiózł ze sobą tylko tę drobinę.

Przyglądała się, jak Moore wodzi palcami po ostrych krawędziach tylnej strony tabliczki. Reszta jej powierzchni była dość gładka, jakby wystawiono ją na długotrwałe działanie warunków pogodowych.

- To świeże pęknięcie - powiedział. - Zastanawiam się, czy nie odłupał jej od tego większego kamienia.

- Też się nad tym zastanawiałam - przyznała.

Moore oderwał oczy od artefaktu.

- Co jeszcze ci powiedział?

- Twierdził, że miał za przewodników kilku Indian z plemienia Nuree. To właśnie jeden z nich pokazał mu ten wielki kamień, gdy szli brzegiem któregoś z pomniejszych dopływów. Tubylcy traktowali go jako punkt orientacyjny, ponoć stał na granicy ziem uważanych za przeklęte. Dalej czaiło się niewyobrażalne zło, cienie mroczniejsze od bezksiężycowej nocy. Plemiona rozmawiające z duchami i mające kontrolę nad dzikimi bestiami... No i mur wzniesiony z ludzkich kości.

Tak przynajmniej głosiły miejscowe podania - w większości wymysły, z kilkoma zaledwie ziarnami prawdy - tym razem jednak byli skłonni w nie wierzyć, w każdym razie na tyle, by podtrzymać tłącą się nadzieję. Jednym z punktów orientacyjnych opisanych w dziennikach

Blackjacka Martina było miejsce zwane Murem z Czaszek. Gdyby trafili na jego ślad, mogliby odtworzyć resztę trasy i odszukać źródło przedmiotów zdobytych podczas tamtej wyprawy. A to oznaczałoby...

- Mur wzniesiony z ludzkich kości - powtórzył Moore.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Znajdując go, poczyniłabyś ogromny krok do przodu - rzekł, odkładając tabliczkę na stół. - Nie, moja droga, nie przejeździłem się - dodał zaraz. - Miałem na myśli ciebie. Tylko ciebie.

Danielle zmierzyła go wzrokiem, nie mając pewności, czy się nie przesłyszała.

- O czym ty mówisz, u licha?

- Czekają nas zmiany - wyjaśnił. - Gibbs wezwał mnie do Waszyngtonu. Mimo wielu usilnych prób nie zdołałem go odwieść od tego pomysłu.

Gibbs był szefem pionu operacyjnego NIB-u. Człowiekiem, który powierzył im obojgu tę misję. Wydawał się bardzo zainteresowany brazylijskim projektem, jak go nazywał, aczkolwiek jego osobista niechęć do Arnolda była jeszcze większa. Starł się z nim już podczas pierwszego briefingu.

- Powiedz, że to żart - poprosiła.

Moore pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie mogę. Ja wracam, ty zostajesz. Od tej pory to twój cyrk i twoje małpy. Ty będziesz dowodzić, gdy wszyscy gracze dotrą na miejsce.

Gapiła się na niego, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Moore był jej mentorem od momentu wstąpienia w szeregi NIB-u. I jednym z niewielu zaufanych ludzi w okrutnym świecie, w którym przyszło jej działać z ramienia tej organizacji. Myśl o tym, że zostanie pozbawiona jego rady i pomocy w samym środku tak znaczącej operacji, doprowadzała ją do pasji.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego właśnie teraz, kiedy w końcu zaczęliśmy robić postępy?

Moore zacerpnął głęboko tchu, zdejmując jednocześnie okulary z nosa.

- Mam już sześćdziesiąt trzy lata - przypomniał jej. - Jestem za stary na wędrowki po dżungli w poszukiwaniu zaginionych miast. To robota dla kogoś młodszego i bardziej szalonego ode mnie, skoro już o tym mowa, a ty spełniasz co najmniej jeden z powyższych warunków - stwierdził. - Możesz wybrać, który ci bardziej pasuje. Poza tym Gibbs doskonale wie, jak wielką awersję czuję do węży, moskitów i jadowitych zab. Myślę, że próbuje mnie uchronić od kontaktu z nimi.

- Pieprzenie w bambus - burknęła. - Błagałeś go o wysłanie nas między te węże i żaby od pierwszego dnia pobytu tutaj. - Zmrużyła oczy, skupiając na nim wzrok, jakby starała się go powstrzymać od wypowiedzenia kolejnych kłamstw. - Mów, o co naprawdę chodzi.

Moore udał, że się uśmiecha.

- Są dwa powody - odparł. - Po pierwsze, Gibbs uważa, że jesteś gotowa, i z tego, co wiem, ma rację. Już od jakiegoś czasu mogłaś działać sama. Trzymałem się ciebie, chociaż już mnie nie potrzebowałaś. Po drugie, jest zaniepokojony. Wie, że jesteśmy blisko celu, ale obawia się, iż ktoś inny mógł dotrzeć jeszcze bliżej. Podejrzewa, że nasi rywale też mają ludzi na miejscu.

Mdliło ją od słuchania o Gibbsie i jego paranoi. Przeprowadzali tę operację w takiej tajemnicy, że nie przydzielono im żadnej ekipy ani nawet odpowiedniego budżetu, nie mówiąc już o niestandardowych metodach łączności.

- To niemożliwe - zaprzeczyła. - Jedynymi ludźmi, którzy znają wszystkie fakty, jesteśmy my dwoje i on.

- Tak - przyznał. - Tylko nasza trójka.

Wyraz twarzy zdradził ją, gdy zaczęła się zastanawiać nad tym, co Moore sugeruje - co Gibbs zasugerował między wierszami.

- Nie zamierzam tego dalej słuchać. Jeśli on uważa...

- Nie powiedział niczego takiego, co to, to nie - przerwał jej Moore

- ale musiał o tym pomyśleć. Już mi nie ufa. Zbyt często się sprzeczałyśmy. Poza tym uważa, że teraz ty jesteś lepsza z naszej pary. Twoimi atutami są młodość i przebojowość.

Wykombinował, że zrobisz prawie wszystko, aby wykonać to zadanie. Podczas gdy ja nie jestem już młody i nie ryzykowałbym własnej głowy ani innych ważnych członków ciała w pogoni za czymś, co może się okazać zwykłą ułudą. Pewnie też Gibbs zaczął się obawiać, że może mi przyjść do głowy pomysł, by rozpocząć emeryturę z czymś więcej niż tylko zwyczajową odprawą. A na to nie może przecież pozwolić.

- To niedorzeczne! - prychnęła.

- Nie do końca - upierał się Moore. - Nasz szef ma jedną, ale za to wielką marchewkę, którą może wabić ciebie, nie mnie. Jest nią awans. Jeśli wykonasz to zadanie, zaoferuje ci dyrektorski stołek i przydzieli zespół lokalnych agentów, którymi będziesz mogła kierować... - Gdy zamilkł na moment, uciekła oczyma, by uniknąć odpowiedzi. - Wiem, że nie chciałaś awansować w taki właśnie sposób, ale spójrz na tę sprawę z innej perspektywy, czyż to nie znakomita szansa, aby się sprawdzić?

- Jeśli naprawdę chcesz znać moje zdanie - odparła - jest to raczej zwykłe pieprzenie. Nikt inny nie zrobiłby czegoś takiego dla awansu.

Moore spojrział na nią poważnym wzrokiem.

- Jesteś o wiele młodsza od reszty agentów polowych i na dodatek jedyna na tym poziomie, która nie przeszła do nas bezpośrednio z Agencji. To twoje dwie najpoważniejsze wady. Fakt, że zbliżyłaś się do mnie, można uznać za trzecią. Z takim bagażem zawsze będziesz musiała się bardziej starać. I wygrywać z pozostałymi, aby traktowano cię na równi z nimi.

Nie chciała tego słuchać. Mimo szybkiej kariery w strukturach NIB-u wciąż czuła się jak ktoś z zewnątrz. Całkiem słusznie zresztą, Gibbs kierował tą organizacją, jakby była prywatnym klubem, miał swoich „chłopców”, którzy nigdy się nie mylili, i innych, czyli ludzi stanowiących źródło potencjalnych problemów, ekipę wierną organizacji, a nie jej szefowi. Za ich nieformalnego przywódcę uznawano Moore'a, a co za tym idzie

- Danielle. To czyniło ich wyrzutkami w oczach Gibbsa.

- Masz możliwość wyboru - dodał Arnold, nie dając jej czasu na uzalenie się nad sobą. - Możesz podjąć się tego zadania albo zrezygnować i wrócić pierwszym lotem do Stanów, potwierdzając tym samym zdanie Gibbsa na twój temat, że nadajesz się na drugie miejsce, nie pierwsze.

Zacisnęła zęby. Ta sugestia wnerwiła ją do reszty. Projekt nie należał do najkrótszych i mógł zakończyć się niepowodzeniem. Nie mieli pieniędzy, wsparcia ani dobrej pozycji przetargowej. Albo znajdą artefakty, po które ich tu wysłano, albo wrócą z niczym. A dla drugiej opcji nie będzie żadnego usprawiedliwienia ani wytłumaczenia.

Westchnęła głośno, nie kryjąc frustracji. Mimo wściekłości, którą poczuła z powodu planowanych zmian, nie potrafiła zaprzeczyć, że ekscytuje ją możliwość awansowania na stanowisko dowodzenia. Od wielu lat pracowała z Arnoldem jak równy z równym, ale to właśnie jemu przypadała lwia część zaszczytów, jako że większość przełożonych postrzegala ją wciąż jako adeptkę korzystającą z doświadczeń mistrza. Proponowane rozwiązania - o ile zdoła sobie poradzić - pozwolą jej dowieść, jak bardzo mylne były te opinie, i uświadomią Gibbsowi oraz reszcie szefów, iż jest kimś więcej niż tylko pilnym uczniem. Pokaże im, że jest kimś, z kim powinni się liczyć.

- Wiesz dobrze, że nie odpuszczę - powiedziała. - Mogę ci jednak obiecać, że gdy wrócę do Waszyngtonu z tymi relikami w dłoni, udam się od razu do gabinetu Gibbsa i wpakuję mu je

prosto do pieprzonego gardła.

- Załatw mi tylko bilet w pierwszym rzędzie - poprosił z uśmiechem na ustach.

Choć Moore robił dobrą minę do złej gry, Danielle wyczuwała bijącą od niego wściekłość i frustrację. Nie cierpiał, gdy odsuwano go na boczny tor, a tym razem w dodatku widział na horyzoncie kolejny, znacznie poważniejszy ruch kadrowy - wymuszone odejście na emeryturę. Ona natomiast miała być jego dziedzictwem pozostawionym Instytutowi. Dlatego w żadnym razie nie mogła go zawieść.

Podczas gdy przygotowywała się duchowo do czekającej ją pracy, Moore spoważniał.

- Musisz wiedzieć - rzucił - że robi się coraz niebezpieczniej. I bynajmniej nie chodzi mi o to, że zaczynasz działać na własną rękę. W grę wchodzi ktoś trzeci. Ktoś z zewnątrz. - Słuchała go z uwagą. - Straciliśmy dzisiaj nasz środek transportu - wyjaśnił. - Pilot przyjął inne zlecenie. Oferowałem mu dwa razy więcej, niż daje konkurencja, ale kategorycznie odmówił współpracy z nami. A to oznacza, że w ciągu jednego tygodnia straciliśmy tragarzy i samolot.

Danielle pomyślała o ludziach, których stracili. Co najmniej jeden z wcześniej opłaconych tragarzy został dotkliwie pobity, a reszta po prostu zniknęła.

- To nie przypadek - mruknęła.

- Na pewno nie - przyznał Arnold, chowając okulary do kieszeni marynarki. - Ale to nie ma znaczenia. Gibbs załatwi ci coś w zamian. Osobiście zajął się wyborem ludzi do grupy wsparcia i raczej nie będą to miejscowi.

- Zatem kto? - zapytała.

- Ludzie z prywatnej agencji ochrony pod dowództwem niejakiego Verhovena, najemnika z RPA. Tak przynajmniej słyszałem. Przybędzie tutaj pojutrze, razem z resztą ekipy. Gibbs chce także, byś spotkała się z pewnym pilotem, znanym w okolicy jako Hawker. To słynna postać w Manaus, mimo że większość czasu spędza na opryskach plantacji kawy znajdujących się kilka godzin jazdy stąd.

- Co on robi w takim miejscu?

- To były agent CIA - wyjaśnił. - Z tego, co wiem, wydalony z wilczym biletem.

- Skoro tak, dlaczego mamy korzystać z jego usług? - Arnold uśmiechnął się złowieszczo, ale nie odpowiedział. Tego akurat nie musiał jej wyjaśniać. - Naprawdę musimy posuwać się aż do czegoś takiego?

- Gibbs nikomu już nie ufa. Jest przekonany, że mamy w swoich szeregach kreta, dlatego woli zatrudniać ludzi spoza Instytutu. Według niego tylko oni są czyści, co może nie jest wcale takim głupim założeniem, przynajmniej teoretycznie. Ktoś ich przecież może przekupić już po wynajęciu.

Gdy Moore zamilkł na moment, by napić się wody, Danielle zrozumiała, że wrócił do dawnej roli mentora. Prawdopodobnie właśnie od niego usłyszała ostatnie wskazówki przed wymuszonym rozstaniem.

- Pod jaką przykrywką będą działać?

- Pod żadną - odparł. - Hawker już tu jest, a Verhoven i jego ludzie przybędą całkiem otwarcie.

- Jaki mają poziom dostępu?

Moore pokręcił głową.

- Żaden nie powinien wiedzieć tego, co ty - stwierdził. - Podobnie jak wynajęci cywile. Możesz im powiedzieć o kamieniach, ruinach i mieście, którego szukasz, czyli o rzeczach oczywistych. Reszta jednak musi pozostać tajemnicą.

Na tym polegał problem z dowodzeniem tą ekspedycją. Oficjalnie mieli podążać przez lasy deszczowe tropem Blackjacksa Martina, aby znaleźć dowody na jego niesamowite odkrycie -

ślady plemion Majów żyjących w dorzeczu Amazonki, tysiące mil od terenów, na których rozwinęła się ich cywilizacja - lecz istniał także drugi powód ich wyprawy, którego nie mogła wyjawiać żadnemu z podwładnych.

- A jeśli wpadnę w tarapaty? - zapytała.

- W żadnym razie nie wolno ci powiadamiać władz Brazylii - oświadczył stanowczo. -

Gdyby doszło do porwania, wymuszenia czy czegoś podobnego, pamiętaj o jednym: szefostwo woli stracić tych ludzi, niż ujawnić operację. - Tak brzmiały rozkazy. Moore dodał jednak tonem wyjaśnienia: - Działaj bez wahania, a gdy zobaczysz, że nie masz innego wyjścia, po prostu zabieraj dupę w troki i zmiataj stamtąd, zostawiając ich wszystkich na pastwę losu.

Wysłuchiwała polecenia, którego spodziewała się już od jakiegoś czasu

- odkąd Gibbs zaczął wciskać im do zespołu zwykłych cywilów. Podejrzewała, że Arnold podziela jej odrazę do takich metod działania, niemniej zdawała sobie sprawę, że mają robotę do wykonania.

- Nie muszę ci chyba przypominać, jak ważne jest to zadanie - dodał, jakby wyczuł jej niepewność.

- Jak ważne jest zdaniem Gibbsa - poprawiła go. - O ile ma rację, rzecz jasna.

- Ma - oświadczył Moore. - Bez względu na to, co myślisz, on wie, co robi. Do tej pory byłaś zmuszona brać wszystko na wiarę, ale skoro masz teraz dowodzić... Badanie kryształów znalezionych przez Martina przyniosło niejednoznaczne wyniki. Potwierdziło jednak obecność trytu.

- Tryt to radioaktywny produkt uboczny, powstający wyłącznie podczas reakcji jądrowej. Jego obecność w kryształach mogła oznaczać tylko jedno. - Na którymś etapie istnienia te kryształy znajdowały się w miejscu, gdzie doszło do rozszczepienia atomów.

Najprawdopodobniej do zimnej fuzji - uściślił Arnold.

- Jakie było źródło tej reakcji? - zapytała. - Czy ktoś się nad tym zastanawiał?

Moore spojrział gdzieś w przestrzeń, jego błękitne oczy załśniły w świetle zachodzącego słońca.

- Zaczynam wierzyć, że to, czego szukamy, wciąż gdzieś tam jest - odparł w końcu. - Nie potrafię ci powiedzieć dlaczego, ale jestem o tym głęboko przekonany. Jeśli uda nam się... Jeśli tobie uda się to znaleźć, zmienisz oblicze świata.

## ROZDZIAŁ 2

Pordzewiały hangar stał na samym końcu rzadko używanego lądowiska na obrzeżach niewielkiego górskiego miasteczka zwanego Marejo. Wokół rosły wysokie chwasty, a na dachu roilo się od gołębich gniazd, co nadawało temu miejscu wygląd opuszczonych ruin, niemniej z leżącego opodal betonowego pasa startowego wciąż korzystało kilku okolicznych lotników.

Jednym z nich był ciemnowłosy, czterdziestoletni Amerykanin, właściciel i pilot podniszczonego, oliwkowoszarego helikoptera o symbolu Bell UH-1, zwanego potocznie hueyem, maszyny budzącej tyleż jego zachwyty co pogardy.

Trzy godziny pracy w dusznym hangarze, a on nadal nie był pewien, jak jego ptaszek zachowa się w powietrzu. Szczerze mówiąc, dziwił się niepomiernie, że ten złom w ogóle jeszcze działa. Strzelając oczami na wszystkie strony, zastanawiał się, ile podobnych napraw znieśie ta konstrukcja, zanim odmówi latania. Uznał, że wkrótce sam się o tym przekona, co wbrew tragizmowi tego spostrzeżenia wydało mu się całkiem zabawne.

Gdy obracał się, by odsunąć skrzynkę z narzędziami, zza otwartych wrót hangaru dobiegł warkot zbliżającego się pojazdu - basowy pomruk drogiego samochodowego silnika, nie pasującego zupełnie do takiego miejsca jak Marejo.

Ruszył w tamtą stronę, wycierając pobrudzone smarem dłonie w postrzępioną szmatę, zadowolony ze znalezienia znakomitej wymówki, aby wyjść na świeże powietrze. Pasem startowym jechał wolno pokryty kurzem land-rover. Hawker domyślił się, że jego obecność jest konsekwencją rozmowy telefonicznej, którą odbył minionego wieczora, i oferty, którą odrzucił bez chwili wahania.

*Pojawili się na tym zadupiu, aby porozmawiać osobiście. To może oznaczać, że bardzo im na czymś zależy.*

Czarny SUV podjechał bliżej i zatrzymał się na skraju betonowej nawierzchni. Ku zdumieniu Hawkera z wnętrza wozu wysiadła kobieta. Atrakcyjna i modnie ubrana, zatrzasnęła za sobą drzwi odrobinę mocniej, niż powinna, i ruszyła szybkim krokiem w kierunku hangaru, kryjąc rysy za wielkimi, muchowatymi okularami przeciwsłonecznymi. W jej ruchach było coś wyzywającego, przypominała mu szykującego się do walki tygrysa.

Gdy podeszła bliżej, Hawker poczuł się niezręcznie z powodu smaru pokrywającego mu skórę i trzydniowego zarostu.

- A niech to - mruknął pod nosem i cofnął się, by obmyć chociaż twarz.

Stojąc nad zlewozmywakiem, słyszał za plecami stukot jej obcasów o goły beton.

- *Com licença* - odezwała się po portugalsku. - Wybacz pan, szukam pilota nazwiskiem Hawker. Powiedziano mi, że go tutaj znajdę.

Zakręcił wodę, wytarł twarz ręcznikiem i spojrzał w brudne lustro

- próżny trud, ocenił.

- Mówi pani po portugalsku - zagaił, odwracając się do niej.

- A pan po angielsku - odparła. - Z amerykańskim akcentem. Zatem to pan. - Wyciągnęła do niego rękę. - Nazywam się Danielle Laidlaw, jestem pracownicą NIB z siedzibą w Stanach.

- NIB? - powtórzył, ostrożnie ściskając jej dłoń.

- To finansowana przez państwo instytucja badawcza - wyjaśniła. - Wykonujemy masę zadań z dziedziny zaawansowanych technologii wspólnie z uczelniami i korporacjami. Ale to nie ma wiele wspólnego z powodem mojej wizyty u pana.

Słyszał w przeszłości różne pogłoski o Narodowym Instytucie Badawczym. I bez względu na wiarygodność źródeł, z których czerpał informacje, wiedział, że za tą nazwą kryje się znacznie więcej, niż mu powiedziała.

- Muszę przyznać, że strasznie namolni z was ludzie.

- Powinno to panu schlebiać - odparła z uśmiechem na ustach.

- „Schlebiać” nie jest najtrafniejszym słowem - stwierdził, aczkolwiek nie zdołał się powstrzymać przed wyszczerzeniem zębów. - Odmówiłem pani przyjacielowi przez telefon, o czym, zdaje się, zapomniał panią poinformować.

Zdjęła okulary.

- Wręcz przeciwnie. Z tego, co wiem, nawet nie zdążył panu przedstawić naszej oferty.

Rzucił ręcznik na zlewozmywak.

- Widocznie był po temu dobry powód.

- Proszę mnie posłuchać - powiedziała. - Wyprawa w takie miejsca jak to nie jest dla mnie ekscytującą przygodą. Znam o wiele przyjemniejsze sposoby spędzania upalnego popołudnia niż czterogodzinna jazda po bezdrożach. A jednak zdecydowałam się przebyć tę trasę, by z panem porozmawiać. Mógłby mnie pan przynajmniej wysłuchać do końca. To chyba nie będzie zbyt bolesne?

Przyjrzał się jej uważnie. Była przebojową, atrakcyjną kobietą pracującą dla podejrzanej amerykańskiej agencji rządowej i zamierzała mu zaproponować kontrakt na wykonanie tajnej, być może nielegalnej, a na pewno związanej ze sporym ryzykiem akcji. I jeszcze miała czelność zapytać, czy to nie będzie zbyt bolesne?

- Spragniona? - rzucił. - Bo ja bardzo.

Nie miał zamiaru odsyłać jej z kwitkiem.

Skinęła głową, więc zaprowadził ją pod ścianę hangaru, gdzie obok stolika z ekspresem stała maleńka lodówka. Wygarnął szklankę z zamrażalnika kilka kostek lodu i zalał je kawą.

- Podać coś takiego czy samą wodę?

Spojrzała podejrzliwie na porysowane naczynie i wypełniający je ciemny płyn.

- Poproszę kawę.

- Ma pani odwagę - rzucił, stawiając szklankę przed nią, a sobie nalewając czystej wody. - I przebyła pani szmat drogi - dodał, siadając po drugiej stronie stolika. - Jak sądzę, z samego Manaus, bo tam chciał mnie ściągnąć pani przyjaciel. Ma też pani do zaoferowania kupę szmalu. Zatem słucham, co to za robota?

Upiła łyk, ale nawet się nie skrzywiła. Zaimponowała mu tym, tutejsza kawa była absurdalnie gorzka.

- NIB finansuje ekspedycję naukową na tereny zachodniej Amazonii

- powiedziała. - Ostateczny cel podróży nie jest jeszcze znany, niemniej jesteśmy pewni, że dostać się tam można wyłącznie drogą wodną bądź powietrzną. Chcemy wynająć pilota i helikopter na okres do dwudziestu tygodni, z opcją współpracy także w przyszłym sezonie. Będzie pan otrzymywał wynagrodzenie za odbyte loty, dzielenie się wiedzą o tamtych okolicach oraz inne zadania, jeśli dojdziemy do obustronnego porozumienia.

- Obustronne porozumienie? - zapytał, unosząc brwi. - To mi się podoba.

- Nie wątpię.

- Co mam przewozić?

- Zwykle zapasy - wyliczyła - personel naukowy, pion badawczy oraz ekspertów szczebla uniwersyteckiego.

Z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Brzmi nieźle. Co pani pominęła?

- Nic.

- Zatem co pani tutaj robi?

Milczała przez moment, widać było, że ma wprawę w rozgrywaniu takich sytuacji.

- Nie rozumiem.

Wiedział, że kobieta kłamie.

- Po co jechała pani taki kawał drogi, skoro mogła pani wynająć kogoś w Manaus? Po co pani bezimienny przyjaciel wydzwaniał do mnie w środku nocy?

Odpowiedź, którą usłyszał, była zawczasu przemyślana, zaś w jej tonie rozpoznał znaną mu z przeszłości powagę.

- Pragniemy uniknąć rozgłosu, a wynajmowanie miejscowych raczej temu nie sprzyja.

Chcemy wynająć kogoś, kto nie będzie zadawał zbyt wielu pytań i nie odpowie na żadne, jeśli ktoś mu je zada. - Wzruszyła ramionami. - A co do telefonu, cóż, musieliśmy się upewnić, czy mamy do czynienia z panem we własnej osobie.

Podczas nocnej rozmowy zadano mu wiele pytań, na które z rozmysłem nie odpowiadał. To im jednak wystarczyło.

W ciągu minionych lat odebrał wiele takich połączeń i odbył cały szereg podobnych rozmów, zwłaszcza podczas pobytu w Afryce zaraz po zerwaniu z CIA. Dzwonili do niego rozmaici



buntownicy, przedstawiciele innych państw i korporacji żywo zainteresowanych strefami wpływów, od których go odseparowano. Wszystkim wydawało się, że człowiek uznany za zagrożenie we własnym kraju z największą ochotą przyjmie każdą propozycję.

Zadawane pytania miały jednak różny charakter zależnie od tego, kto pytał. Wszelkiej maści dyktatorzy, generałowie i watażkowie byli rozczulająco, by nie powiedzieć, niepokojąco bezpośredni. Agenci zachodnich mocarstw wyrażali się znacznie oględniej, woleli poruszać się w sferze przypuszczeń. Jeśli ta osoba zniknie, walki w regionie powinny ustać... Jeśli ten człowiek wpadnie w nasze ręce... Jeśli ta frakcja otrzyma dostawy broni... wtedy wymieniona wcześniej suma trafi na wskazane konto". Przez lata wysłuchiwał podobnych propozycji, mogąc przebieierać w nich podczas wędrówek po wybrzeżach Afryki Zachodniej oraz pewnym wycinku Azji.

Wmawiał sobie, że odrzuci wszystkie propozycje, które wydadzą mu się z gruntu złe, niestety w miejscach ogarniętych szaleństwem, a w takich najczęściej bywał, trudno było określić, co tak naprawdę jest dobre, a co złe. Przemoc rodzi przemoc. Jednego zgłodzonego watażkę zastępowało zaraz dwóch innych, skłóconych ze sobą, co powodowało jeszcze większy rozlew krwi. Terminal naftowy przynoszący krocie szalonemu dyktatorowi zapewniał także byt ludziom, którzy pracowali na nim i wokół niego

- zatem czy wysadzenie go było moralne, czy wręcz przeciwnie? Doszło do tego, że nie potrafił sobie odpowiedzieć na żadne z podobnych pytań. Opuścił Afrykę i udał się do Brazylii, gotów zniknąć na zawsze. Przez moment wydawało się, że zdołał tego dokonać, ale potem telefon znów zaczął dzwonić. Niektórzy ludzie nie mogą zniknąć ot tak sobie.

Hawker przyglądał się kobiecie siedzącej po drugiej stronie stołu, kiedy dotarło do niego, że nie używała trybu przypuszczającego.

- Macie problemy z bezpieczeństwem.

- Anonimowe groźby i włamania do hoteli. Ukradziono nam trochę sprzętu, resztę zniszczono. Może nie były to cenne rzeczy, ale przekaz wydał nam się jasny: komuś zależy, abyśmy nie dotarli do celu.

- Ma pani jakichś podejrzanych?

- Nawet wielu - przyznała. - Od radykalnych ekologów sądzących, że przybyliśmy do Brazylii, aby zniszczyć lasy deszczowe, po koncerny wydobywcze i tartaki, dla których jesteśmy ludźmi mogącymi je powstrzymać od wycinki tychże samych terenów zielonych... - Przerwała na moment.

- Uważamy jednak, że to może być coś poważniejszego.

Rozumiał, co miała na myśli: stawką było coś, o czym nie mogła albo nie chciała mu powiedzieć. Niemniej dawała mu do zrozumienia, jak rzeczy się mają. Sprawiała, że zaczął się zastanawiać, ile ona naprawdę wie. Wydawała się zbyt młoda jak na osobę, która ma wystarczającą władzę, by dogadywać warunki takich umów. Nie, poprawił się zaraz, „zbyt młoda” nie było najtrafniejszym określeniem. Tutaj pasowałoby „zbyt gorliwa” albo nawet „oddana sprawie”. Może tak właśnie wyglądają ludzie, którym bardzo zależy na tym, co robią? Niestety, tego już nie pamiętał.

- I żadnych pytań? - zagadnął.

- Mogę odpowiedzieć zaledwie na kilka.

Spróbował innego podejścia, dzięki któremu mógł przynajmniej częściowo określić poziom jej zaangażowania.

- A co o mnie wiecie?

- Wystarczająco wiele - zapewniła go.

- Wystarczająco?

- Wystarczająco wiele, by zastanawiać się, co człowiek o pańskiej reputacji robi na takim

zadupiu.

- Ludzie, którzy mi ufali, zostali zabici - rzucił, zdając sobie sprawę, że jeśli Danielle nie zrozumie, o czym mówi, jej niedawne zapewnienia okażą się gołosłowne. - Nadal chce mnie pani wynająć?

Nawet nie mrugnęła okiem.

- Ludzie, dla których pracuję, chcą. Był pan jedyny na ich krótkiej liście. Zdaje się, że ktoś pana wybrał do tej roboty.

- Kto taki?

Pociągnęła kolejny łyk kawy, obracając szklankę powoli i przyglądając się uważnie kolejnym odpryskom na krawędzi, zanim ponownie ją odstawiła. Przez chwilę myślał, że nie zamierza odpowiedzieć, ale wtedy oczy zaśniły jej po raz kolejny. Chciała po prostu, by czekał na te słowa.

- Stuart Gibbs - powiedziała. - Dyrektor naszego pionu operacyjnego.

Nazwisko to kołatało mu się po głowie. Nie znał osobiście tego mężczyzny, ale słyszał o nim. Gibbs znajdował się wysoko w hierarchii Agencji, gdy Hawker odchodził. Był wschodzącą gwiazdą Firmy, znaną z arogancji i bezwzględności. A teraz zarządzał NIB-em, a w każdym razie jednym z jego pionów. To musiała być naprawdę ciekawa organizacja.

Gdy zaczął ponownie rozważać ofertę przedstawioną przez Danielle, wszystkie instynkty podpowiadały mu, by przekazać tej gorliwej panience, że dyrektor Gibbs powinien spieprzać do piekła, i to najlepiej ze swoją ofertą w garści. Jedynym przywilejem wygnanych agentów była możliwość odmowy pracy dla Firmy. Zaraz jednak w jego głowie zaczęła kiełkować inna myśl: może właśnie uchylają się drzwi, które uważał za zatrzaśnięte na dobre? A wszystko to dzięki dyrektorowi Gibbsowi i jego osobistemu zainteresowaniu tą operacją.

- Od jak dawna pani dla nich pracuje? - zapytał.

- Od siedmiu lat.

- Czyli od początku - mruknął, pokazując, że i on wie co nieco o organizacji. - A Gibbs?

- Od pierwszego dnia - odparła poirytowana tymi podchodami. - Jak się pan zapewne domyśla.

Domyślał się i już zabierał się do udzielenia odpowiedzi odmownej, ale Danielle nie dała mu na to szansy.

Nagle tygrysicy znużyły się gierki.

- Proszę posłuchać - rzuciła - takie gadki prowadzą donikąd. Nie przyjechałam tutaj, by marnować pański czas. Potrzebujemy amerykańskiego pilota do przewiezienia amerykańskiej ekspedycji. Pan jednak woli pozostać tutaj... - Rozejrzała się po hangarze. - Rozumiem to doskonale, nie znam człowieka, który chciałby porzucić tak przytulne miejsce. - Podała mu wizytówkę. - Moim największym problemem jest czas, nie mam go zbyt wiele. Oto mój numer. Proszę zadzwonić jutro przed północą, jeśli zmieni pan zdanie. Po tym czasie zacznę szukać innego kandydata do tej roboty.

Hawker przyglądał się ze skrywanym rozbawieniem, jak Danielle wstaje od stołu i odchodzi. Rzucił też ukradkowe spojrzenie na starego hueya. Pomimo wszystko ta robota oznaczała pokaźny zastrzyk gotówki. Więcej, niż zdołałby zarobić w rok, a nawet w dwa lata na takim zadupiu jak Marejo. Nie wspominając już o półtuzinie mocno uszkodzonych części, które będzie mógł wymienić na koszt NIB-u. Szybka decyzja, prosty kompromis - od tego zawsze się zaczyna.

- Spokojnie - rzucił za nią. - Jestem zainteresowany, ale jedno musi pani zrozumieć: nie przyjmuję czeków.

Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tego akurat się spodziewaliśmy.

Następne pół godziny zajęły im negocjacje dotyczące zgrania w czasie, opłat czarterowych i kosztów operacyjnych. To były czyste formalności, więc załatwili je stosunkowo szybko. Gdy doszli do ostatecznego porozumienia, Hawker odprowadził Danielle do czekającego na zewnątrz land-rovera.

- Pojawię się w Manaus do jutrzejszego wieczora - zapewnił ją, przytrzymując drzwi, gdy wsiadała.

- To mi pasuje - odparła, układając wargi w idealny uśmiech. - Zatem do zobaczenia.

Hawker zatrzasnął drzwi i w tym samym momencie silnik obudził się do życia. Gdy odjeżdżała, on powtórzył sobie w pamięci zakończoną rozmowę i zaczął się raz jeszcze zastanawiać nad podjętą właśnie decyzją. W tej wyprawie chodziło o coś więcej niż tylko archeologia, tyle że nie potrafiłby jeszcze powiedzieć, co to może być. Obecność cywilnego personelu sugerowała, że nie jest to nic wielkiego, aczkolwiek osobiste zainteresowanie dyrektora Gibbsa zdawało się przeczyć tej tezie. Ta niezgodność wydała mu się niepokojąca; musiał zgadywać, z jakiego kierunku nadejdzie zagrożenie. A to było cholernie znajome uczucie.

Gdy land-rover skręcał na główną drogę, dotarło do niego coś jeszcze, klasyczny przeblysk, jaki przydarza się czasem większości ludzi. Myśl pojawia się i natychmiast umyka, kryjąc się w najmroczniejszym zakątku umysłu, skąd sączy się do świadomości.

Był w stanie zrozumieć, dlaczego NIB nie chce zatrudnić brazylijskiego pilota. Dołączenie do zespołu kogoś takiego jak on zwiększało poziom bezpieczeństwa bez względu na charakter ekspedycji. Niemniej NIB był potężną organizacją, dysponującą personelem w wielu krajach. W jego szeregach musieli znajdować się także piloci, właściwie powinno ich być na tony, a przecież zachowanie największej dyskrecji gwarantował człowiek pracujący dla organizacji. Dlaczego więc trudzili się i wypłacali spore dodatkowe pieniądze, by zatrudnić kogoś takiego jak on, skoro o wiele prościej i bezpieczniej było wziąć do tej roboty swojego pilota? Ta myśl nurtowała go dotąd, aż land-rover zniknął w blasku zachodzącego słońca. W końcu uznał, że na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ 3

Mężczyzna w czarnej kurtce spoglądał w dół alejki. Nawierzchnię stanowiły kocie łby pokryte warstewką wyschniętego mułu, pyłu i piasku, który zdawał się robić tutaj za spoiwo. Większa część Manaus wyglądała nowocześnie, miasto rozkwitało, podobnie jak ostatnio w czasach bumu kauczukowego początku lat dwudziestych minionego stulecia, niemniej jak każda miejscowość w tej okolicy miało także swoje slumsy, tutaj zwane *barrios*. Ta bezimienna, brudna uliczka leżała na terenie jednego z nich. Gdy odziany w czerń mężczyzna ruszył przed siebie, poczuł na plecach wzrok mieszkańców.

Nazywał się Vogel i przybył na spotkanie biznesowe do tej wspaniałej dzielnicy. Szedł alejką, mijając kolejne szare, nadgryzione zębem czasu domy. W połowie drogi, w miejscu, gdzie ulica skręcała lekko w lewo, dwa kurczaki dziobały zawzięcie ziemię, a obok leżał w cieniu ciężko dyszący pies. Nieco dalej na odwróconym pięciogalonowym wiaderku przysiadł mężczyzna w fedorze z wąskim rondem, paląc papierosa w gorących promieniach popołudniowego słońca. Zauważył zbliżającego się gościa, ale zaszczycił go jedynie przelotnym spojrzeniem.

- Ty jesteś Remo? - zapytał Vogel z wyraźnym niemieckim akcentem, którego nie potrafił ukryć mimo sporego wysiłku.

Mężczyzna podniósł głowę, odsłaniając szczelinę pomiędzy przednimi zębami.

- Zależy, kto pyta - rzucił.

Vogel rozpoznał jego głos. Do tej pory rozmawiali wyłącznie przez telefon.

- Wiesz, kim jestem - odparł. - Powiedz mi, co się działo.

Remo wstał, rzucił niedopałek na bruk i odsunął kapelusz na tył głowy.

- Zrobiłem, co chciałeś - powiedział. - Ten kapitan nie przyjmie od nich zleceń jeszcze przez jakiś czas. Bez względu na to, ile będą chcieli zapłacić.

- Dobrze. Coś jeszcze?

Remo wzruszył ramionami.

- Niewiele. Spotkali się z innym handlarzem. Kupili od niego trochę śmiecia. Ta para zachowuje się zupełnie jak turyści poszukujący pamiątek. A wczoraj dziewczyna pojechała w góry... sama.

To akurat Vogel wiedział. Szczerze mówiąc, wiedział zawczasu o większości działań podejmowanych przez agentów NIB-u.

- Moore ma wrócić do Ameryki - stwierdził. - A to nam nie pasuje. Zlikwidujesz dziewczynę, żeby musiał tu zostać.

Remo spojrzał na Vogla, jakby ten powiedział coś głupiego.

- Mogliśmy to załatwić wczoraj. Dlaczego nam nie powiedziałaś? Byłoby o wiele łatwiej.

Niemiec zgodził się z nim w duchu. Mieli idealną okazję do zdjęcia dziewczyny, ale ludzie, dla których pracował, wciąż się wahali, woleli obserwować poczynania NIB-u, niż stanąć do otwartej konfrontacji. Nie wiedział dlaczego.

- Wczoraj tego jeszcze nie chcieliśmy - wyjaśnił. - A dzisiaj zmieniliśmy zdanie. Podejmiesz się? - kończąc pytanie, Vogel sięgnął do kieszeni, wyjął kopertę wypełnioną banknotami i rzucił w kierunku Rema, który chwycił ją w locie.

Wydawał się zawiedziony, gdy przeliczył wzrokiem jej zawartość.

- Za porwanie albo zabicie? To stanowczo za mało.

- Zamierza wynająć innego pilota - rzucił Niemiec, ignorując jego narzekania. - Wiemy już kogo. Przeprowadzi inspekcję łodzi, jak poprzednim razem. Wtedy możesz ją dopaść. Prosta robota. To powinno pokryć wydatki.

Remo oparł się o ścianę.

- Nie - warknął. - Nie pokryje.

Zastukał palcem w szybę i w drzwiach chałupy pojawiło się dwóch mężczyzn, o wiele masywniejszych od niego i Vogla. Jeden opierał o ramię śrutówkę, drugi trzymał w dłoniach maczetę, za jego paskiem widać było kolbę pistoletu.

Niemiec przeniósł wzrok na Rema. Jego rozmówca także wyjął broń, lśniący czernią pistolet kalibru dziewięć milimetrów, i odciągnął kurek. Trzymał go lufą do ziemi, ale intencje były jasne. Uśmiechając się szyderczo, oparł stopę o przewrócone wiadro i pochylił się do przodu.

- Wydaje mi się, że nadszedł czas na renegezację naszej umowy.

Vogel zmierzył wzrokiem obu mężczyzn, potem znów spojrzał na Rema. Sam też się uśmiechnął, ale wyglądało to tak, jakby w drewnianej masce jego twarzy pojawiła się szczelina.

- Nie.

W tym samym momencie pocisk wystrzelony z karabinu wybił wiadro spod nogi Brazylijczyka. Remo poleciał do przodu, ale zaraz odzyskał równowagę i spojrzał z przerażeniem na siebie. Wokół krążyło kilka czerwonych kropek, po chwili skupiły się na piersiach stojących w drzwiach pomocników i na nim samym. Oprych ze śrutówką czmychnął do wnętrza chaty, a jego towarzysz zastygł w bezruchu. Remo także się nie ruszał, lypał jedynie okiem za plecy Vogla, starając się zlokalizować źródło promieni lasera. Był wystraszony jak wszyscy diabli.

- *Isso bom* - powiedział, podnosząc obie ręce. - Wszystko gra. Wszystko gra.

Miejscowi, pomyślał Vogel. Czasami trzeba im przypomnieć, gdzie ich miejsce.  
- Dobrze - rzucił w końcu. - Dobrze wiedzieć, że nasza umowa nadal obowiązuje.

## ROZDZIAŁ 4

Dla profesora Michaela McCartera dzień ten rozpoczął się piętnaście godzin wcześniej ciemnym, zimowym nowojorskim porankiem. Od tamtej pory naukowiec przemierzył dwa kontynenty i jeden ocean, zaczynając podróż od jazdy pozbawionym ogrzewania niebieskim furgonem firmy Super-Shuttle, by prosto z niego trafić na miękki fotel pierwszej klasy w lśniącym nowością boeingu. Przesiadał się trzykrotnie, aby pokonać w sumie dziewięć tysięcy mil, konsumując w tym czasie kilka pozbawionych smaku ciaplet, które linie lotnicze zwykły określać szaszczytnym mianem posiłków. Teraz, gdy znajdował się zaledwie kilka minut od miejsca przeznaczenia, zaczęły go nachodzić wątpliwości, czy całe to zamieszanie nie jest przypadkiem efektem straszliwej pomyłki.

McCarter siedział w tylnej części kabiny helikoptera pilotowanego przez Hawkera na wąskim pasie rozpiętego pomiędzy wspornikami grubego płótna. Tuż nad jego głową był silnik napędzający główny rotor maszyny. Łopaty wirnika młóciły wściekle powietrze, wydając tak przenikliwe dźwięki, że profesorowi wydawało się, że siedzi na koncercie, i to tuż pod wielkim subwooferem. Tropikalny żar wlewał się przez otwarte drzwi luku towarowego, a za otworem w burcie maszyny migają ciemnozielone kształty, zapewne korony drzew. Nie był jednak całkowicie pewien tego, co widzi, lecieli zbyt nisko i zbyt szybko, tak że wszystko migало mu przed oczami. Każda rzecz umieszczona wewnątrz kabiny terkotała głośno, podskakiwała albo wibrowała z własną częstotliwością, czego efektem były liczne, choć cienkie jak włos pęknięcia w strukturze metalu, które zauważał na każdym spawie i wokół nitów.

- Co ja tu robię, u licha?! - zapytał, wrzeszcząc sam do siebie.

Od piętnastu lat był dziekanem wydziału archeologii na prestiżowej nowojorskiej uczelni. Mimo szóstego krzyżyka na karku wysoki, ciemnoskóry profesor nadal wyglądał dystyngowanie, głównie dzięki siwiźnie przyprószającej mu skronie i słabym okularom w drucianej oprawie. Na początkowym etapie kariery Michael McCarter opublikował sporo prac, ostatnio zaś stał się faworytem mediów; wystąpił nawet kilkakrotnie w audycjach stacji PBS, udało mu się także zostać gwiazdą licznych konferencji i sympozjów, w czym niewątpliwie pomagał mu basowy, rezonujący głos.

NIB próbował się z nim dogadać od prawie pół roku. Michael grzecznie odmówił, i to dwukrotnie, a potem zaczął ignorować wszelką korespondencję zarówno tradycyjną, jak i elektroniczną, jaka napływała z tej instytucji. Niedawno jednak, w chwili słabości - tak to sobie w każdym razie tłumaczył - odebrał telefon od niejakiej Danielle Laidlaw i dał się przekonać po długiej dyskusji - mimo wielu obaw i zastrzeżeń - że oferta Instytutu to okazja, której nie może i nie powinien przegapić.

Teraz, wyglądając przez otwarte drzwi luku towarowego na znajdujące się jego zdaniem zbyt blisko i poruszające się stanowczo za szybko obiekty, zaczynał mieć pewność, że popełnił kardynalny błąd.

Odwrócił się w stronę kabiny pilota i nacisnął guzik interkomu.

- Nie powinniśmy lecieć nieco wyżej? - zapytał.

Pilot obrócił głowę i spojrzał na niego zza wielkich okularów przeciwsłonecznych. Jego odpowiedź wydała się Michaelowi wysoce niepokojąca.

- Wybacz, doktorku. Te maszyny spadają jak kamienie, jeśli zawiedzie silnik. Wolę być jak najbliżej ziemi na wszelki wypadek. Panu też radzę przyjąć ten punkt widzenia.

Kłamał, rzecz jasna. Helikoptery opadały w bardzo charakterystyczny sposób, zwany autorotacją, więc im wyżej się znajdowały w momencie awarii, tym lepiej, niemniej okłamywanie osób, które nie miały pojęcia o lataniu, było ulubionym zajęciem pilotów, plasowało się na drugim miejscu w tej kategorii, zaraz po przechwałkach w swoim gronie.

- A jeśli nie skorzystam z tej rady? - zapytał McCarter, rozglądając się wokół.

Tym razem Hawker tylko się zaśmiał. Helikopter leciał nadal tuż nad koronami drzew.

Profesor oparł się plecami o gródź i zaczął lustrować kabinę śmigłowca. Obejrzał sobie dokładnie wyposażenie, nawiązał kontakt wzrokowy z pozostałymi pasażerami, kierował wzrok wszędzie, byle tylko nie patrzeć w kierunku otwartych drzwi. Towarzyszyło mu w tym locie troje ludzi: dwóch pracowników NIB-u, spec od łączności Mark Polaski i William Devers, językoznawca specjalizujący się w dialektach dorzecza Amazonii. Trzecią osobą była studentka nazwiskiem Susan Briggs, którą McCarter zgodził się zabrać ze sobą po usilnych naleganiach rektora.

Dziewczyna miała dwadzieścia jeden lat i dopiero rozpoczynała studia magisterskie na wydziale archeologii. McCarter uczył ją przez dwa lata i musiał przyznać, że była niezłym, choć może nieco zbyt introwertycznym materiałem na naukowca. Widział w niej też klasyczną chłopczycę: albo nie nosiła w ogóle makijażu, albo malowała się naprawdę delikatnie, wołała dzinsy i T-shirty od stylowych ciuchów. Za każdym razem, gdy coś mówiła, w jej głosie dało się wyczuć nerwowość. Mimo wielkiej inteligencji często wyrażała się w samych superlatywach, używając słów, które najwyraźniej znaczyły co innego dla niej, jak i pozostałych uczniów, niż dla niego.

McCarter niewiele wiedział o jej życiu pozauczelnianym z wyjątkiem tego, że była dzieckiem wiecznie zapracowanych, bogatych rodziców, którzy przyjaźnili się z rektorem, co oznaczało, że jeśli wróci z tej wyprawy w gorszej kondycji niż w dniu wylotu, na głowę Michaela posypią się gromy. W czasie pierwszego lotu powiedziała mu, że rodzice chcieli, aby spędziła wiosnę w Europie, zaczynając od wizyty w Paryżu. Nie rozumieli zupełnie, dlaczego wołała tego rodzaju przygodę. Zgoda została w końcu wyrażona, jak zwykle przez matkę, w charakterystycznym dla niej, pasywno-agresywnym stylu: rezerwacji lotu do Paryża nie odwołano na wypadek, gdyby Susan poczuła, że pobyt w dżungli nie jest tym, czego naprawdę pragnie. Innymi słowy, matka z ojcem przypuszczali, że nie wytrzyma w spartańskich warunkach nawet tygodnia.

Niemniej w tej właśnie chwili twarz dziewczyny promieniała z radości. Susan siedziała najbliżej otwartych drzwi i spoglądała prosto na umykającą spod niej ziemię.

McCarter poklepał ją po ramieniu.

- Sądząc po minie, dobrze się bawisz.

- A pan nie? - zapytała, robiąc wielkie oczy niewiniątka. Pokręcił głową. - Może powinien pan się mocniej wychylić - dodała, zapraszając go gestem.

Gdy to mówiła, siedzący na prawo od niej Mark Polaski, mężczyzna około pięćdziesiątki, z jednodniowym zarostem na twarzy i całkiem pokaźną łysiną, spojrzał w ich kierunku. Rzucił okiem na zewnątrz, potem utkwiał spojrzenie w twarzy McCartera.

- Ja bym tego nie robił na pana miejscu - rzucił.

- Widzisz? - stwierdził profesor tryumfującym tonem. - Nie ja jeden mam z tym problem. - Odwrócił się do Polaskiego. - Nie sądzi pan, że powinniśmy lecieć nieco wyżej?

Technik skinął głową.

- Albo jechać autobusem po ziemi, jak normalni ludzie.

McCarter i Susan wybuchnęli śmiechem. Siedzący naprzeciw nich William Devers poszedł w ich ślady. Mimo niespełna trzydziestu pięciu lat był już spełnionym człowiekiem, dumnym, pewnym siebie kawałem sukcesu syna, jak zwykł mawiać ojciec Michaela. Twierdził, że jest ekspertem w dziedzinie narzeczy plemion Ameryki Środkowej i Południowej. Poinformował też wszystkich, że zna rosyjski, francuski, niemiecki, hiszpański oraz łacinę i jest autorem kilku książek na temat, jak to określił, mutacji języka. McCarter pominął to milczeniem, nie zależało mu aż tak bardzo na poznaniu tej dziedziny.

Devers pochylał się w jego kierunku.

- Witamy w NIB! - wrzasnął, aby przekrzyczeć hałas silnika. - My nie robimy niczego w normalny sposób. Musimy być widowiskowi, zwłaszcza za granicą. - Rozejrzył się po kabinie. - Szczerze mówiąc, ta maszyna to kupa złomu w porównaniu ze śmigłowcem, którym wożono mnie ostatnim razem. Zdaje się, że był to nowusieńki sikorski czy coś podobnego. Miał skórzane siedzenia, klimatyzację i w pełni wyposażony barek. - Dla podkreślenia swoich słów uniósł wysoko brwi i spojrzał McCarterowi prosto w oczy. - NIB oznacza tak naprawdę Niebiańskie Interkontynentalne Bezeczeństwa. - Obrócił się do Polaskiego. - Powinieneś o tym wiedzieć.

Technik pokręcił głową.

- To moja pierwsza misja połowa.

- Wydawało mi się, że pracujesz u nas już z pięć lat - zdziwił się Devers.

- To prawda - przyznał Polaski. - Ale w TSI. A tam rzadko wychodzi się na zewnątrz.

Widząc coraz wyraźniejsze zaniepokojenie na twarzy Deversa, McCarter wymienił znaczące spojrzenia z Susan, a potem zapytał:

- Co to takiego: TSI?

- Testy Systemów i Implementacja - wyjaśnił William, uprzedzając technika. - Co ty tu robisz, do cholery?

- Mam przeprowadzić testy nowego protokołu łączności satelitarnej.

- Wiedziałem! - burknął William. - Jesteś z pieprzonej sekcji piątej!

McCarter spojrzał na Susan, ale ona wzruszyła tylko ramionami.

- Czym jest sekcja piąta? - zapytał.

- Ostatnią stroną listu przewozowego - odparł Devers. - I miejscem, gdzie upychamy nieprzetestowane prototypy, jeśli chcemy włączyć je do nowych projektów. W zamierzeniu miało to obniżyć koszty badań, ale zazwyczaj kończyło się schrzaniem głównej operacji.

- Nie było aż tak źle - zaprotestował Polaski.

- Mnie tego nie mów - poprosił William. - Spędziłem ostatnie lato na Syberii przy projekcie rurociągu. Zamiast starych dobrych wozów z napędem na cztery koła dostaliśmy coś o nazwie Pojazdy Wielopowierzchniowe. - Zwrócił się do McCartera. - To było coś w rodzaju poduszkowców, które miały zastąpić tradycyjne samochody w trudnym terenie i na bezdrożach. Jak na przykład w Syberii w środku lata, gdy wieczna zmarzlina zaczyna topnieć.

- Tamtejsza zmarzlina nigdy nie topnieje - sprostował Polaski - i właśnie dlatego określa się ją mianem wiecznej.

- Niech ci będzie, w każdym razie coś tam nieźle się roztopiało - zgasił go William. - Cokolwiek to było, mieliśmy poruszać się nad powierzchnią. Tyle że te cholerstwa co rusz hamowały same z siebie i ryły dziobami w muł. Dziewięć razy w ciągu trzech miesięcy kończyliśmy podróże, siedząc na dachu, modląc się o to, by nasz PW nie utonął do reszty i czekając na przyjazd ciężarówki z czasów Chruszczowa. Nie muszę dodawać, że te pojazdy robiły furorę wśród Rusków. Nazywali je Noto, a wiesz dlaczego? Bo myśleli sobie: no to jedź, a my cię potem wyciągniemy.

Polaski podrapał się po łysym ciemieniu.

- Tak, słyszałem o tych maszynach. Nie działały tak, jak powinny.

- To mało powiedziane. Zapewnij mnie więc, że prócz twojego protokołu mamy także awaryjny system łączności.

- Owszem, tradycyjny, krótkofalowy - poinformował go Polaski.

Devers uspokoił się nieco.

- Ulżyło mi. Nawet ja potrafię obsługiwać staromodne radiostacje.

- Spojrzał na Susan i McCartera. - A wy?

Profesor skinął głową.

- Zbudowałam pierwszą krótkofalówkę, gdy miałam czternaście lat

- oświadczyła z dumą jego studentka.

- Idę o zakład, że chłopcy byli tobą zachwyceni - skrzywił się lekko.

Zamilkła speszona, ale po chwili odparła:

- Owszem. Australijscy chłopcy.

Wszyscy się roześmiali. Devers znów zwrócił się do Polaskiego.

- Nie zrozum mnie źle, ale chciałbym wiedzieć, kogo wkurzyłeś do tego stopnia, że wpakował cię w tak wielkie gówno? Wiesz, o co mi chodzi... beta testy w samym środku dżungli.

- Zgłosiłem się na ochotnika - oświadczył z dumą technik. - Wydawało mi się, że to będzie prawdziwa przygoda. Moja najmłodsza córka zaczęła jesienią studia, wyjeżdżając, poradziła mi, bym zaczął rozkoszować się życiem.

- Rozkoszować się? - zapytał William. - Ty to nazywasz rozkoszowaniem się? - Wskazał palcem na McCartera. - A pan, profesorze, dobrze się bawi?

Naukowiec miał ponurą minę. Maszyna wchodziła właśnie w ciasny skręt w prawo i przechył kabiny pchał go w kierunku otwartych drzwi. Chwytał poręcz obiema dłońmi, obawiając się, że pas bezpieczeństwa puści lada moment, posyłając go prosto w szeroki otwór.

- Ten lot jest na szczęście dość krótki - zdołał wymamrotać. - Mam więc nadzieję na znacznie lepszą zabawę po wylądowaniu.

- Akurat - burknął William. - Sto procent wilgotności powietrza i sto stopni Fahrenheita w cieniu, pot ciekący strumieniami po jajach; to dopiero dobra zabawa... - odchylił się na siedzeniu, komentując głośnym śmiechem własne słowa.

- Nie słuchajcie go - powiedział McCarter. - Nie będzie więcej niż dziewięćdziesiąt pięć stopni, w porywach do dziewięćdziesięciu sześciu, może siedmiu.

Gdy kolejna fala radosnego śmiechu przetoczyła się przez kabinę śmigłowca, profesor pomyślał o osobistych powodach, dla których zgodził się wziąć udział w tej ekspedycji. Przez moment czuł ukłucie żalu, ale w tej właśnie chwili helikopter zaczął zwalniać, a niekończące się drzewa pod jego płozami ustąpiły miejsca przystrzyżonej trawie i doskonale utrzymanym ogrodom botanicznym. Lekki przechył na lewo odsłonił widok na hotel San Cristo tuż przed tym, zanim maszyna dotknęła wyznaczonego lądowiska.

McCarter wygramolił się z kabiny, dziękując w myślach za możliwość rozprostowania nóg. Ujrzał nadchodzącą od strony zabudowań młodą kobietę w czarnych spodniach i bezrękawniku w kolorze khaki.

- Witam w Brazylii - powiedziała. - Jestem Danielle Laidlaw.



## ROZDZIAŁ 5

Tego wieczora Danielle zebrała cały zespół na kolacji w jednej z prywatnych jadalni hotelu. Atmosfera spotkania była przyjemna, jedzenie znakomite, a towarzystwo doborowe. Z tego, co zauważyła, wszyscy wydawali się zadowoleni... może z wyjątkiem profesora McCartera.

Obserwowała, jak z upływem czasu staje się coraz bardziej zamyślony, a gdy wstał od stołu jeszcze przed deserem, twierdząc, że chce się wcześniej położyć, przeprosiła wszystkich i udała się za nim do głównego baru.

Drink przed pójściem do łóżka to całkiem dobry pomysł, pomyślała.

Podeszła do profesora od tyłu. Wokół rozbrzmiewała relaksująca muzyka, barman właśnie oddalał się po nową butelkę zamówionego alkoholu.

- Pozwoli pan, że ja zapłacę? - zapytała. - Ceny tutaj mają przeraźliwie wysokie i nie akceptują naszych dolarów.

Obrócił się, opierając łokieć na polerowanej ladzie z mahoniu, i spojrzał na nią z błyskiem w oku.

- Przepraszam, że pytam - odparł z uśmiechem - ale co tak miła dziewczyna jak pani robi w tym miejscu?

Rozbawił ją tym wytartym frazesem. Takie zdanie mógł wypowiedzieć Bogart, a jej ojciec uznałby je zapewne za tekst z klasą. W każdym razie stanowiło dobry początek rozmowy.

- Kto powiedział, że jestem miłą dziewczyną? - zapytała.

- Takie krążą podłe plotki.

- Ach, tak - bąknęła. *Gdybyś tylko znał całą prawdę o mnie...* - Zatem muszę wyjaśnić sprawę. Wpadłam tutaj na coś mocniejszego przed snem. Czasami tylko to pozwala mi zmrużyć oczy. Coś mi się widzi, że z panem jest podobnie.

McCarter westchnął.

- Ja po prostu przywykłem do samotności - przyznał.

Skinęła głową. Rutynowe sprawdzenie profesora McCartera przyniosło ciekawe rezultaty, a jedną z najciekawszych wiadomości był kryzys, który naukowiec przechodził w ciągu ostatnich pięciu lat. Jego żona krążyła nieustannie pomiędzy szpitalami a domem, walcząc z rakiem, lecz w końcu przegrała. Danielle wyczuwała w nim pustkę, jaka powstaje po rozstaniu z najbliższą osobą.

Po uzyskaniu tej informacji Moore zaproponował, by poszukali kogoś innego, ale Danielle rozumiała, przez co przechodzi McCarter. Wierzyła też, że gdy ujrzy przed sobą nowy cel, weźmie się do roboty ze zdwojoną energią. Uznała, że odbędzie się to z obopólnym pożytkiem. Mimo że profesor początkowo im odmówił, i to dwa razy, przekonała Arnolda, by spróbowali raz jeszcze. I tak w końcu go zwerbowała.

- Słyszałam o pana żonie - rzekła teraz. - Doskonale wiem, co pan czuje.

- Naprawdę? - zapytał, spoglądając na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że słyszał te słowa od wielu osób, z których niemal żadna nie miała bladego pojęcia, o czym mówi.

- Mój ojciec zmarł, gdy miałam dwadzieścia lat - wyjaśniła. - Rak płuc, wypalał dwie paczki papierosów dziennie. Chorował przez półtora roku, zanim w końcu odszedł, co odbiło się bardzo niekorzystnie na mojej mamie. Musiałam rzucić szkołę i wrócić do domu, by jej pomagać.

Twarz profesora złagodniała.

- Przykro mi. Nie zamierzałem... Byliście sobie bliscy?

Oto jest pytanie, pomyślała. Zadawała je sobie tysiące razy

- I tak, i nie. Kiedy byłam młodsza, darzył mnie wielkim uczuciem. Chyba chciał mieć

synów, a dostał tylko mnie. Mając dziesięć lat, wiedziałam, jak rzucić podkreśloną i naprawdę szybką piłkę. Na dwunaste urodziny pozwolił mi wymienić olej w naszym samochodzie. Ale po piętnastych nie mogliśmy już dalej udawać. Malowałam się, farbowałam włosy... i umawiałam się z chłopakami. Nie mieliśmy już ze sobą dobrego kontaktu. Aż do chwili, gdy wróciłam, by się nim zająć.

Profesor skinął głową.

- Jestem pewien, że to docenił.

- Szczerze mówiąc, uznał, że jestem nie dość wytrwała, skoro rzucam wszystko z powodu jego choroby. Denerwowało go zwłaszcza przerwanie nauki. Wściekał się, ale był już zbyt słaby, by mnie zmusić do powrotu.

Mówiąc to, poczuła znowu tamtą atmosferę. Dla jej ojca brak wytrwałości był największą przywarą z możliwych i najgorszą z obelg. Przegrana to jedno, ale rezygnacja była równa hańbie. Nie znajdował dla niej usprawiedliwienia.

- Zapewne chciał...

Położyła dłoń na jego ręce, by zamilkł.

- Było w nim wiele źle ukierunkowanej złości - wyjaśniła. - Niemniej miał powody, by się wściekać, nawet jeśli kierował swój gniew nie tam gdzie trzeba. Tak samo jak my, pan i ja, mamy prawo do smutku... i do dalszego życia.

McCarter upił łyk drinka.

- Wie pani, jeden z moich zaufanych przyjaciół powiedział, że powinienem się z tym pogodzić. Ze starzeniem, umieraniem, powiedział nawet, że mam im wychodzić naprzeciw. Dla mnie było to tylko ciche, defetystyczne pieprzenie. Odparłem więc, że chrzanię to wszystko, ale nadal tkwi we mnie poczucie ogromnej bezradności. Pani jest młoda, ma pani inne cele i pragnienia. Ale kiedy osiągnie pani mój wiek, stanie się jasne, że poświęciła pani wszystko dla osób, które pani kochała. Dla małżonka i dla pociech. Dzieci w tym czasie dorosną i już nie będą pani potrzebowały. Będą się pukały w głowy, kiedy zaproponuje pani dobrą radę albo pomoc. A gdy życiowy partner odejdzie, pani... - spojrzał jej w oczy - będzie mogła zrobić, co zechce. Cokolwiek. Tylko że nie będzie pani widziała w tym najmniejszego sensu. Nagle poczuje pani strach przed śmiercią, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak kruchy jest ludzki żywot. Zamiast ochoty do życia, ta nagła wolność zacznie wysysać z pani całą radość i zamiast korzystać ze swobody, zacznie pani powoli usychać.

Danielle skinęła głową. Przypomniała sobie czasy szkolne, gdy ukończyła w dwa i pół roku dwa fakultety tylko po to, by udowodnić, że nie brakuje jej wytrwałości. Gnała przed siebie na autopilocie, rzucając się w wir zajęć, byle tylko nie myśleć o poniesionej stracie, a po ukończeniu studiów zrobiła nagły zwrot, podejmując pracę w zawodzie zupełnie nie związanym z wykształceniem.

- Nie może pan przestawać szukać - poradziła mu. - Na pewno coś pan znajdzie. A zanim to nastąpi, pomoże pan mnie.

McCarter roześmiał się, po czym spojrzał na nią z podziwem i zapytał:

- Ile pani ma lat?

- Jestem starsza, niż wyglądam na to wskazuje - odparła - ale i młodsza, niż się czuję.

- Wiem, jak to jest - odrzekł szczerze rozbawiony.

Gdy barman przyniósł jej drinka, profesor uniósł własną szklankę.

- Za ekspedycję - wznosił toast. - Obyśmy dotarli do celu i odkryli prawdę.

Nigdy nie odkryjesz prawdy, ale może znajdziesz to, czego szukamy, pomyślała Danielle, gdy rozległo się ciche brzęknięcie szkła.

- Oraz wszystko inne, co tam się znajduje - dodała.

McCarter odstawił szklanę na kontuar.

- A skoro już o tym mowa, czego my właściwie będziemy szukać?

Nie poinformowała ich jeszcze o szczegółach misji. Nie chciała, aby doszło do przecieków.

- Nie ma pan zamiaru czekać na oficjalną odprawę?

- Niespecjalnie.

Wydeła wargi, jakby poczuła się urażona, ale ustąpiła po krótkiej chwili.

- Przypuszczam, że mały przeciek nikomu nie zaszkodzi. - Pociągnęła łyk koktajlu. - Jak już wcześniej wspominałam, trafiliśmy na ślad sugerujący istnienie w dorzeczu Amazonki wysoce zaawansowanej kultury. Sądzymy, że rozwinęła się około dwóch tysięcy lat temu. W odróżnieniu od dzisiejszych mieszkańców tych terenów jej przedstawiciele potrafili obrabiać kamień, a także niektóre metale miękkie, jak na przykład złoto. Znalezione pozostałości sugerują, że możemy mieć do czynienia z jakimś odłamem Majów.

- Majowie w Amazonii? - pokręcił głową. - Nie sądzę.

- Zdaję sobie sprawę, że nasze odkrycia przeczą wszystkiemu, w co wierzy większość naukowców zajmujących się tą tematyką. Jeden z nich nazwał je nawet teorią głupców. Mamy jednak bardzo mocne dowody, nie mówiąc już o zachowanych zwyczajach, z którymi, jak sądzę, zapozna się pan z największą przyjemnością.

Zmarszczył brwi.

- O czym pani mówi?

- O pewnym bardzo starym miejscu, które można uznać za starożytne nawet w porównaniu z najbardziej znanymi stanowiskami wykopaliskowymi dotyczącymi Majów. Słyszał pan o miejscu zwanym Cytadelą albo Tulan Zuyua?

McCarter zrobił wielkie oczy. Tulan Zuyua to nazwa z mitologii Majów. Miejsce, z którego mieli się wywodzić. Ich wersja Rajskiego Ogrodu. Legendarne miasto zamieszkałe przez wszystkie plemiona Majów, zanim rozeszły się po świecie.

- Nie powiem, mierzycie całkiem wysoko - stwierdził z podziwem w głosie.

- Jak zawsze - odparła. I nie skłamała, sięgali po coś naprawdę ogromnego. A ona zdradziła mu dopiero część tajemnicy.

- Jakie macie dowody na istnienie rzekomego Tulan Zuyua w tych okolicach?

- Wskazuje na to cały szereg artefaktów. Wprawdzie na żadnym nie ma przesądających wzmianek, ale znaleźliśmy wystarczająco wiele sugestii. Uważamy, że to pierwotna wersja starożytnego pisma Majów, znacznie wcześniejsza niż próbki znajdowane na klasycznych stanowiskach archeologicznych w Ameryce Środkowej. Starsza kultura pochodząca z jednego miejsca, i to właśnie ją zamierzamy znaleźć. - Zauważyła, że McCarter pochylił się mocniej w jej kierunku, kiedy zaczęła mówić. Jego zainteresowanie wyraźnie wzrosło. - Zdradziłabym panu więcej szczegółów - dodała - ale nie chcę psuć niespodzianki.

Nachmurzył się i natychmiast wyprostował na stołku.

- Zatem nie będę nalegał - oświadczył, jakby musiał podjąć naprawdę trudną decyzję - aczkolwiek nie powiem, żeby mi się to podobało.

- Jest pan dżentelmenem - stwierdziła. - Zgodnie z tym, co mi o panu mówiono.

- Przyznaję, że pani opowieść brzmi interesująco - powiedział.

- W każdym razie dla kogoś takiego jak ja. Nie rozumiem tylko, skąd wasze zainteresowanie tą sprawą... Wydawało mi się, że NIB jest czymś w rodzaju gigantycznego systemu laboratoriów, instytucją badawczą współpracującą z firmami produkującymi nowoczesne technologie.

- To prawda - skinęła głową twierdząco. - Zajmujemy się głównie projektami przemysłowymi i nowymi technologiami. Łożymy jednak fundusze także na inne dziedziny nauki. Staramy się o dobry PR, wspomagając cele, pod którymi każdy pracownik naszego

Instytutu mógłby się podpisać obiema rękami. - Kolejne słowa wyślizgiwały się z jej ust bez najmniejszego problemu, dzięki czemu brzmiały prawdziwie i przekonująco. Wypowiadała je już w tak wielu miejscach i tak wielu formach. Z tym że McCarter i pozostali nigdy się nie dowiedzą, skąd pochodzą pieniądze na tę wyprawę i jakie są jej rzeczywiste cele.

- Zatem to jedno z działań wizerunkowych waszego Instytutu? - zapytał. - Jak rozumiem, skończymy z logo Nike'a na piersi i bannerem Budweisera rozwieszonym nad obozowiskiem.

- Nie będzie aż tak źle - zapewniła go. - Aczkolwiek nie wykluczam, że do serii wywiadów dla BBC każemy się panu przebrać za wielkiego cheeseburgera. - Roześmiał się. - W tym kontrakcie naprawdę nie ma żadnego haczyka. Żądamy tylko jednego: by zrobił pan wszystko, co w pana mocy. I dlatego poinformuję pana o wszystkim, co wiem, na jutrzejszej odprawie. Od tego momentu dalsze postępy ekspedycji będą zależeć wyłącznie od pana.

**McCarter** obiecał, że się nie spóźni, a Danielle pożegnała się z nim i ruszyła w kierunku wind.

Obserwując jej odejście, profesor musiał przyznać, że rozmowa rozbudziła w nim optymizm, którego zupełnie się po sobie nie spodziewał. Obrócił się do kontuaru, chwycił swoją szklankę i zakręcił nią tak szybko, że lód zawirował na dnie. Miał niemal stuprocentową pewność, że szalone teorie wysuwane przez ludzi z NIB-u okażą się gigantycznym niewypałem, ale co tam, nawet udowadnianie ich niedorzeczności może być niezłą zabawą.

Po ROZSTANIU Z PROFESOREM DANIELLE WRÓCIŁA DO SWOJEGO pokoju. W ciemności dostrzegła migające światełko oznaczające zostawioną na sekretarce wiadomość. Dzwonił niejaki Medina; kolejny z niewyczerpanej listy kontaktów Arnolda. Człowiek ten był kapitanem niewielkiej łodzi. Ostatnim zadaniem Moore a przed powrotem do Waszyngtonu miało być spotkanie z nim i zapewnienie wynajmu. Niestety, Brazylijczyk nie pojawił się na czas i Arnold musiał wyjechać bez dogrania tej sprawy.

Danielle wybrała numer i już po pierwszym sygnale usłyszała męski głos.

- Słucham, Medina.

- Señor Medina, tutaj Danielle Laidlaw, współpracownica pana Moore'a.

- Tak, witam - odparł po angielsku, choć z wyraźnym akcentem.

- Kazano mi skontaktować się z panią. Czy to oznacza, że señor Moore wrócił już do Stanów?

- Tak. Teraz będzie się pan kontaktował ze mną.

- Okay, nie ma problemu - zapewnił ją Medina. - Señor Moore chciał dokonać inspekcji łodzi przed wypłynięciem. Może go pani zastąpić?

- Tak, oczywiście. Kiedy możemy to zrobić?

- Choćby zaraz - zaproponował.

Rozbawił ją tym do łez. Zbliżała się już północ.

- To nie najlepszy moment - rzuciła. - Może jutro, powiedzmy około południa?

- Nie da rady - jęknął Medina. - Wypływam zaraz po świcie. Najlepiej byłoby załatwić to teraz.

Danielle nie miała ochoty na nocne spacery po nabrzeżach, zwłaszcza po tak długim i wyczerpującym dniu. Zanim zdążyła odpowiedzieć, jej rozmówca rzucił następną propozycję.

- Możemy się też spotkać za trzy dni, po moim powrocie.

To też nie było dobre rozwiązanie. Jeśli łódź okaże się nieodpowiednia, straci dodatkowe kilka dni na poszukiwanie innej.

- Dobrze, niech będzie, spotkamy się dzisiaj.

- Świetnie - ucieszył się Brazylijczyk. - Doskonale. Przycumowaliśmy w zachodniej części portu, w starym sektorze za Puerta Flutante. Tam nie ma numerów, ale nasze stanowisko jest tuż

przy *dezenove*, przy pirsie dziewiętnastym. Tam się spotkamy i zaprowadzę panią na łódź.

- Będę na miejscu za czterdzieści pięć minut - obiecała. - Czy to wystarczy?
- Oczywiście - odparł. - Prowadzimy rozładunek, więc mogę spokojnie na panią poczekać.
- Zatem widzimy się za trzy kwadranse.
- *Buena* - potwierdził. - *Ciao*.

Usłyszała buczenie.

- *Ciao* - mruknęła niezbyt zadowolona z czekającej ją przeprawy.

Wyszła na balkon i spojrzała na panoramę miasta. Nocą, gdy zapalały się wszystkie światła, Manaus wyglądało cudownie. Niestety pozostawało tak samo niebezpieczne jak za dnia, tyle że zagrożenia kryły się teraz w mroku. Wyprawiając się na nabrzeże, kuśiła los. Pomyślała nawet o kolejnym telefonie do Medyny i odwołaniu spotkania, ale zrezygnowała z tego pomysłu, wiedząc, że wiadomość szybko dotrze do Gibbsa i dostarczy amunicji jej przeciwnikom.

Do diabła z tymi przesadami, musi tam iść. Z tym że sprawdzenie siebie i głupota to dwie różne rzeczy; powinna więc mieć wsparcie. Mogłaby wezwać Verhovena albo któregoś z jego ludzi, gdyby najemnicy wciąż nie tkwili na północy miasta, przy lotnisku, na którym wylądowali. Byli zbyt daleko i z pewnością nie zdążyliby dotrzeć na czas. Poza tym dopiero co ich poznała, więc nie była pewna, na ile może im zaufać. Na szczęście przypomniała sobie o kimś jeszcze.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer. Usłyszała amerykański akcent.

- Hawker, tu Danielle. Jak szybko może pan dotrzeć do mojego hotelu?
- W dziesięć minut - odparł. - Dlaczego pani pyta? Czy coś się stało?
- Jeszcze nie - zapewniła go, mając nadzieję, że ten stan nie ulegnie zmianie. - Mam się z kimś spotkać, ale nie chciałabym iść tam sama.
- Rozumiem. Będę czekał w holu.

Danielle rozłączyła się, po raz ostatni rzuciła okiem na panoramę rozświetlonego miasta i wróciła do pokoju. Przebrała się w ciemne spodnie i czarny sweter, potem otworzyła sejf w szafie. Spod papierów wyciągnęła rewolwer Smith & Wesson. Niewprawnie otworzyła bębenek, aby sprawdzić, czy broń jest naładowana, a potem wsunęła ją do niewielkiej kabury przypiętej nad prawą kostką. Jeśli zaczną się problemy, ich sprawca szybko dojdzie do wniosku, że Danielle jednak nie jest miłym dziewczęciem.

## ROZDZIAŁ 6

Hawker czekał w holu ubrany podobnie jak ona tylko w czerni.

- Uznałem, że to raczej formalna okazja - zażartował.

Mierzyła go przez chwilę wzrokiem, potem skinęła na parkingowego, starając się nie okazać podziwu dla przemiany, jakiej uległ po kąpieli. Teraz prezentował się o wiele lepiej niż w dusznym hangarze pod Marejo.

Gdy odjeżdżali spod hotelu, Danielle wróciła myślami do czekającego ją spotkania.

„Przyjaciół przyjaciele kogoś, kto jest mi winien przysługę”

- tymi słowami Moore opisał jej Medinę. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Nie było miejsca podczas ich licznych wspólnych podróży, gdzie Arnold nie miałby przyjaciół albo przynajmniej kogoś, kto był mu coś winien.

- Jak dobrze zna pan tutejsze nabrzeża? - zapytała, obracając się do Hawkera.
- Tam właśnie jedziemy?
- Musimy spotkać się z właścicielem łodzi. Chcemy ją wynająć.

- I spodziewa się pani problemów? - zapytał.

- Raczej staram się im zapobiec. Facet powiedział mi, że przycumowali do jednej z mniejszych przystani gdzieś w starej części portu, ale mam się z nim spotkać przy pirsie dziewiętnastym, stamtąd zaprowadzi mnie na miejsce.

Hawker nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

- Dziewiętnastka to jeden z największych pirsów handlowych w zachodniej części portu. Jest szeroki i odsłonięty, ale tereny za nim wyglądają znacznie gorzej. Same wąskie alejki i ślepe zaułki. Mnóstwo małych budynków. Kręcą się tam wyłącznie tubylcy, głównie rybacy i część przewoźników. Jeśli ten pani człowiek jest miejscowy, na pewno go tam znajdziemy.

Danielle spodziewała się czegoś takiego.

Przejazd spod hotelu do portu zajął im około dwudziestu minut. Kolejne pięć stracili, szukając drogi na pirs numer dziewiętnaście. Mimo to udało im się dotrzeć na miejsce spotkania dziesięć minut przed umówionym czasem. Danielle zaparkowała pod ścianą wielkiego magazynu ciągnącego się wzdłuż nabrzeża.

O tej porze nocy niewiele się działo. Kilka jednostek stało przy pirsie, przepompowywano ropę z tankowca pływającego pod liberyjską banderą, na kanale widzieli także wielki kontenerowiec o pomalowanym na niebiesko kadłubie. Jego załoga czekała cierpliwie na pilota, aby ruszyć w górę rzeki.

Hawker zlustrował wzrokiem puste nabrzeża.

- Proszę nie brać tego do siebie, ale czy nie byłoby rozsądniej spotkać się z tym człowiekiem w biały dzień?

- Mówiłam panu, że musimy zachować daleko idącą dyskrecję.

Minęło kilka minut, ale nadal nie widzieli śladu Mediny. Hawker poprawił lusterko, by mieć lepszy widok do tyłu, potem obniżył nieco oparcie siedzenia.

Wyglądał na rozluźnionego do tego stopnia, że mógłby uciąć sobie drzemkę. Ona natomiast bawiła się długopisem, klikając nim bez przerwy. Coś jej tu nie pasowało.

- Jest pan uzbrojony? - zapytała.

- Nie - odparł. - Ale pani ma rewolwer.

- Jest pan cholernie spostrzegawczy.

Zaśmiał się pod nosem.

- Powinna pani albo zabierać ze sobą mniejsze pistolety, albo nosić dzwony.

Uśmiechnęła się w ciemnościach po części rozbawiona jego uwagą, po części rozeźlona.

- Ten człowiek nie jest moim kontaktem. Zwerbował go mój dawny partner. Na razie nie wiem nawet, czy to ktoś pewny.

Hawker skinął głową i we wnętrzu land-rovera znów zapanowała cisza. Oboje lustrowali w milczeniu otoczenie, szukając śladów Mediny albo problemów. Kilka minut później w oddali pojawiły się światła samochodu jadącego wzdłuż pirsu w ich kierunku.

Hawker wyprostował się błyskawicznie.

Sedan zwolnił, gdy dotarł do dziewiętnastego pirsu, i zatrzymał się nie dalej jak trzydzieści jardów od nich. Jakiś mężczyzna wysiadł z auta, spojrzał w ich stronę i pomachał ręką. Nie odpowiedzieli od razu, więc pochylił się do wnętrza wozu, zapalił długie światła i nacisnął kilkakrotnie na klakson.

- Tyle na temat dyskrecji - mruknął Hawker.

Danielle uśmiechnęła się i również zapaliła światła. Gdy mężczyzna ruszył ku nim, opuściła szybę.

- Señora Laidlaw? - zapytał przybyły. - Jestem Medina, do usług.

Danielle także się przedstawiła, a potem wskazała na Hawkera.

- Ten pan jest naszym specjalistą od spraw transportu. On dokona inspekcji łodzi.

Medina przyjął to obojętnie.

- *Isso bom* - powiedział. - Nie ma sprawy. - Wskazał ręką na swojego sedana. - Jedźcie ze mną, odstawię was też z powrotem.

- Proszę wskazać nam drogę - odparła Laidlaw. - Pojedziemy za panem.

- Okay - zgodził się. - Nie ma sprawy. Tylko trzymajcie się blisko mnie. Tutaj jest wiele uliczek, ale prawie żadnych drogowskazów. Łatwo się zgubić.

Danielle zapewniła go, że będą jechali tuż za nim, więc Medina ruszył do swojego wozu.

- Ciekawe, kiedy zostałem mianowany specjalistą do spraw transportu - zainteresował się Hawker.

- Przed chwilą - odparła. - Dostał pan właśnie awans. Mam nadzieję, że zna się pan na łodziach.

- Chodzi pani o to coś, co pływa po wodzie?

Uśmiechnęła się, przekręcając kluczyk w stacyjce. Hawker w tym czasie obserwował Medinę.

- On nie jest sam - rzucił, gdy przewoźnik wsiadł do samochodu.

Danielle przyglądała się sedanowi wcześniej, ale nie mogła nic wypatrzeć przez przyciemnione szyby.

- Jest pan pewien?

- Otwierając drzwi, spojrzał na tylne siedzenie. Tylko na moment, jakby porozumiewał się z kimś wzrokiem.

Snopy światła rzucane przez reflektory wozu Mediny prześlizgnęły się po nich i zaczęły oddalać w kierunku, z którego Brazylijczyk przed chwilą przybył.

- Sądzi pan, że to może oznaczać problemy? - zapytała.

- Na pewno nie jest to dobry znak. Ale w końcu pani też nie przyjechała na to spotkanie w pojedynkę. Może i on się obawia.

- Nie byłby pierwszy - mruknęła, zdejmując stopę z pedału hamulca.

- Ani nie ostatni - dodał, obrzucając ją wzrokiem.

Danielle jechała za Mediną labiryntem wąskich uliczek. W kilka minut pokonali tereny Puerto Flutante, pływający port zbudowany przez Brytyjczyków w tysiąc dziewięćset drugim roku, z niesamowitym systemem doków i pomostów, które unosiły się i opadały wraz z poziomem wody w rzece. Z miejsca, gdzie się znajdowali, zauważyła, że tej nocy przystań zdaje się bardzo niska, docierała niemal do podstaw wsporników. Było to z pewnością efektem niemal miesięcznego opóźnienia pory deszczowej.

Jakiś czas później wjechali do najstarszej dzielnicy portowej. Tutejsze przystanie były rachityczne i mocno podniszczone. Wyglądem przypominały powykręcane drewniane paluchy sterczące z wody. Wokół roilo się od niewielkich łodzi, które otaczały pomosty ze wszystkich stron - widok ten nasunął Danielle obraz pszczół robotnic stłoczonych przy królowej. Stały w dwóch, trzech, czasem nawet czterech rzędach w takim ścisku, że wiele z nich nie mogło przycumować do pomostów, więc wiązano je do innych jednostek. Laidlaw widziała oczami wyobraźni zamieszanie, jakie musiało wybuchać tutaj każdego ranka w porze, na którą zaplanowała wyruszenie ekspedycji.

Medina skręcił w prawo na nierówną szutrową drogę, oddalając się od zatłoczonego wybrzeża. Pół mili dalej zatrzymał się przy pomalowanej na czarno stalowej bramie i tam poczekał na jej otwarcie. Masywna konstrukcja cofnęła się po dobrze nasmarowanej szynie. Gdy otwór zrobił się wystarczająco szeroki, sedan ruszył ponownie, wjeżdżając za ogrodzenie.

Danielle podążyła jego śladem.

Rozglądała się przez cały czas bacznie. Plac za bramą zawałony był pojazdami i sprzętem budowlanym. Stosy beczek po benzynie rywalizowały o każdy kawałek wolnej przestrzeni z kontenerami i innym złodem.

- Większy tutaj ruch, niż przypuszczałam - mruknęła.

Nieco dalej, na brzegu kanału kilku mężczyzn pracowało przy niewielkiej łodzi w strumieniach oślepiającego światła dwóch reflektorów.

- Zdaje się, że to wasz środek transportu - rzucił Hawker.

- Jeśli chcemy go wynająć, musimy wejść pod pokład - odparła, zdejmując nogę z hamulca. Dwa łagodne podskoki i już byli po drugiej stronie szyny. Stalowa brama zaczęła się zamykać, ledwie przejechali.

Medina już stał obok sedana. Machając rękoma, wskazywał im miejsce obok białego pikapa. Danielle zatrzymała się tam posłusznie. Obróciła się do Hawkera, by wydać mu ostatnie instrukcje, ale nie zdążyła tego zrobić.

Pilot pchnął ją lewą ręką tak mocno, że opadła z powrotem na własne siedzenie. W prawej trzymał już ciężki, czarny pistolet, jego lufa mierzyła prosto w jej twarz. Odwróciła głowę i zacisnęła powieki. Ledwie zapadła ciemność, ogłuszył ją huk wystrzału, a na policzku poczuła smagnięcie gorąca.

Gdy otworzyła oczy, dostrzegła mężczyznę trzymającego uzi. Właśnie padał na ziemię zaledwie kilka kroków od drzwi jej land-rovera. Obok niego w pyłe wylądowała czarna fedora. Ogłuszona i obezwładniona słyszała jak przez mgłę krzyki Hawkera. Gdy strzelił do drugiego celu, chwyciła drążek zmiany biegów i ustawiła automatyczną skrzynię na wsteczny bieg, niemal równocześnie naciskając pedał gazu. Koła zabuksowały, ale sekundę później samochód pomknął w tył.

- Jedź! - wrzeszczał Hawker, strzelając po raz trzeci.

Oglądając się przez ramię i cały czas dodając gazu, Danielle kierowała się w stronę bramy. Walnęła w sam jej środek, gdy silnik wył na najwyższych obrotach. Ciężka konstrukcja zadrzała i wygięła się na zewnątrz pod kątem co najmniej trzydziestu stopni. Z muru po obu stronach wytrysnęły spore kawałki betonu, kółka wypadły z prowadnic, niemniej stalowa rama zdołała wytrzymać uderzenie i nadal blokowała wyjazd.

Laidlaw zmieniła bieg, by ruszyć do przodu, lecz silnik zgasł. Ustawiła dźwignię w pozycji neutralnej i przekręciła kluczyk. W chwili, gdy potężny ośmiocylindrowy potwór zagrzmiął ponownie, przednia szyba rozprysnęła się na tysiące kawałków pod gradem ołowiu.

Danielle i Hawker natychmiast zanurkowali pod deskę rozdzielczą. Ona tylko leżała, on jednak wysunął rękę przez wybite okno i oddał na ślepo pięć strzałów. Huk w niewielkiej kabinie land-rovera był ogłuszający, ale kanonada z drugiej strony umilkła, dając Laidlaw czas na wrzucenie biegu i naciśnięcie pedału gazu.

Land-rover przejechał ponad trzydzieści stóp, zanim ponownie go zatrzymała i wrzuciła po raz drugi wsteczny. Hawker także zdążył wziąć się w garść, strzelał rzadziej, posyłając kolejne pociski prosto w mrok. Jeden z atakujących padł na ziemię, potem drugi. Reszta ukryła się za stertami złomu.

Land-rover ruszył w tył, uderzając znów w bramę. Tym razem mocowania nie wytrzymały i ciężka metalowa konstrukcja poleciała na drugą stronę ulicy, krzesząc przy okazji snopy iskier. Danielle zakręciła kierownicą w lewo i maska wozu ustawiła się w kierunku, z którego przyjechali.

Znów zmieniła bieg i wcisnęła gaz do dechy, aby uciec przed nasilającą się nawałą ognia. Kilka pocisków wbiło się w burtę wozu, robiąc spore dziury i tłukąc boczne i tylne szyby. Samochód Mediny, prowadzony teraz przez kogoś innego, ruszał właśnie ostro, aby odciąć im



drogę ucieczki.

Hawker wymierzył w szybę zbliżającego się pojazdu, tam gdzie powinien znajdować się kierowca. Gdy kula trafiła w cel, sedan skręcił gwałtownie i rozbił się o nadwątlony mur podtrzymujący bramę. Nie dowiedzieli się, czy kierowca został zabity czy ranny, czy tylko wykonał gwałtowny unik, by uniknąć trafienia, albowiem land-rover opuścił miejsce strzelaniny z maksymalną prędkością.

Ciężki samochód przy otwartej całkowicie przepustnicy nabierał przyspieszenia w zaskakującym tempie, pokonując w przeciwnym kierunku trasę, którą już raz przemierzył. Na pierwszym zakręcie Danielle szarpnęła ostro kierownicę, stawiając wielkiego SUV-a na dwóch kołach. Przez moment oboje myśleli, że będą dachowali, ale maszyna zdołała się wyprostować i pomknęła w głąb długiej i nie znanej im ulicy.

Gnali teraz mrocznym kanionem pomiędzy rzędami połączonych ze sobą budynków mieszkalnych po lewej i ścianą magazynów zajmujących całą prawą stronę. Nie było tu żadnych świateł prócz bladej poświaty w miejscach, gdzie aleja krzyżowała się z bardziej uczęszczanymi przecznicami. Danielle obserwowała je, jakby spodziewała się, że w każdej chwili zza węgła wynurzy się ciężarówka i zablokuje im dalszą drogę. To w niczym nie zmieniłoby jej planu, na pewno nie zdjęłaby nogi z gazu.

Daleko w tyle w alei pojawiły się reflektory dwóch samochodów.

- Nadchodzą! - wrzasnął Hawker, starając się przekrzyczeć szum wypełniający pozbawioną przedniej szyby kabinę.

Laidlaw usłyszała go, ale nie odpowiedziała. Ten sam wicher, który porywał słowa, uderzał prosto w jej oczy. Mrużyła powieki, zaciskała je momentami, by wycisnąć napływające łzy. W pewnym momencie zauważyła drogowskaz: Ave de Setembro - główna trasa prowadząca do portu. Znowu skręciła kierownicę, zmuszając wóz do wykonania ewolucji, podczas której opony zapiszczały, ślizgając się po nierównej, choć twardej nawierzchni. Sekundę później wypadli na szeroką, pustą ulicę.

Danielle znów wcisnęła gaz do dechy, ale tym razem land-rover przyspieszył tylko nieznacznie, jakby silnik zaczął tracić moc. Wskazówka prędkościomierza dotknęła kreski oznaczonej napisem sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, a potem zaczęła się powoli cofać.

- Paliwo albo powietrze! - wrzasnął Hawker.

- Raczej to drugie! - odpowiedziała, również krzyżąc. - Inaczej już byśmy płonęli!

- To nas jeszcze może czekać!

Silnik zaczął sapać jak stara lokomotywa parowa, przyspieszając przez kilka sekund, a potem już tylko zwalniając. Danielle zauważyła w lusterku wstecznym, że oba ścigające ich samochody wypadają na główną drogę. Znajdowały się w odległości niecałej mili. Próbowała wycisnąć dodatkowe kilka koni z silnika, naciskając rytmicznie pedał gazu, ale prześladowcy mimo to zbliżali się z każdą chwilą.

- Jakież pomysły? - zapytała.

- Jedź do miasta! - zaproponował Hawkes. - Musimy znaleźć zatłoczone miejsce!

Danielle skręciła w pierwszą przecznicę, która mogła zawieść ich do centrum, minęła trzy kolejne i skręciła ponownie. Manewry te przyniosły dwojaki skutek. Po pierwsze land-rover zwolnił nieco, dzięki czemu mogli jechać równiej, a po drugie zmniejszyło się tempo pościgu, jako że i ich prześladowcy musieli zwalniać na tych samych zakrętach.

Minutę później wjechali na trochę bardziej uczęszczane ulice wokół centrum miasta.

- Musimy ukryć gdzieś ten złom! - rzucił Hawker.

Danielle szukała wzrokiem miejsca, które nadawałoby się na kryjówkę. Minęła dwie przecznice, potem pusty parking i skręciła w wąską alejkę wypełnioną kubłami na śmieci i

stosami drewnianych palet. Dojechała do jej połowy, znów skręciła i nacisnęła hamulec, wprowadzając wóz w poślizg.

Hawker wyskoczył w biegu, wołając, aby poszła w jego ślady. Otworzyła drzwi i obiegła tył land-rovera, zanim ścigające ich samochody skręciły w aleję. Ryk ich silników wypełnił całą przestrzeń, a światła reflektorów wspinały się na ściany budynków niczym potężny duch. Moment później rozległ się pisk opon, gdy oba samochody zaczęły hamować ostro przed przeszkodą. Nie mogły wyminąć blokującego przejazd SUV-a.

Ścigający mogli zrobić tylko dwie rzeczy: albo usunąć wóz z drogi, albo kontynuować pościg pieszo. Kluczyki dźwięczące w kieszeni Danielle skutecznie uniemożliwiały im pierwsze z tych rozwiązań. Dlatego pognała za najbliższy róg, nie oglądając się za siebie ani razu.

- Tędy! - zawołał Hawker.

Wydostali się na główną ulicę i ruszyli chodnikiem, mieszając się z tłumem przechodniów. W piątkowy wieczór wszystkie bary i kafejki pękały w szwach od klientów. Ulicami przelewały się istne potoki ludzi. Niestety Laidlaw i Hawker wyróżniali się z tłumu kolorowo, choć skąpo odzianych bywalców dzielnicy rozrywki. W końcu był to środek brazylijskiego lata.

- Musimy zniknąć z ulicy - stwierdziła.

- Wiem - odparł Hawker, prac cały czas naprzód i szukając czegoś wzrokiem.- Nie przystawaj. Znam tu pewne miejsce...

Szedł jak taran przez gęsty tłum, ciągnąc Danielle za sobą prosto na klub nocny, przed którym stała długa kolejka ludzi oczekujących na wolne miejsca. W drzwiach stał potężnie zbudowany bramkarz, towarzyszyło mu dwóch równie masywnych wykidajłów. Olbrzym uśmiechnął się do Hawkera, gdy ten go mijał, a jeden z goryli uścisnął mu dłoń.

Chwilę później oboje znaleźli się na piętrze, gdzie usiedli w prywatnej loży na jednym z balkonów klubu, mogąc odpocząć od hałaśliwej muzyki i, co chyba ważniejsze, mając doskonały widok na główne wejście i zatłoczoną ulicę.

Danielle rozglądała się przez kilka chwil, w milczeniu oczekując przybycia samochodów wypełnionych uzbrojonymi mężczyznami, którzy mogliby przypuścić szturm na klub. Odruchowo pomacała się też po kostce,

sprawdzając, czy broń nadal jest na swoim miejscu, a potem wsunęła nogę pod stolik, aby jak najmniej ludzi mogło ją widzieć.

Hawker westchnął ciężko i spojrzał jej w oczy.

- Możesz mi raz jeszcze opowiedzieć o tej wyprawie archeologicznej?

## ROZDZIAŁ 7

Danielle zignorowała jego prośbę. Rozejrzała się wokół siebie. Klub nie był jeszcze tak zatłoczony, jak by chciała. Na pewno nie było tu takich tłumów jak na ulicy poniżej, niemniej panował wystarczający zamęt, by mieli nikłe szanse na dostrzeżenie nadchodzącego niebezpieczeństwa, zanim nie będzie zbyt późno na reakcję.

- Dlaczego przyprowadziłeś mnie właśnie tutaj?

- Ci bramkarze są moimi kumplami - wyjaśnił, ale ona czekała na lepsze wyjaśnienie.-

Wyświadczyłem właścicielowi tego miejsca przysługę - dodał niechętnie, jakby to miało wyjaśnić sprawę.

- Jakiego rodzaju przysługę?

- Uprawdzono mu córkę. Ja ją odnalazłem.

Danielle zamilkła, oczami wyobraźni ujrzała tamte wydarzenia. Uznała, że podobny wyczyn powinien kupić Hawkerowi lojalność ojca uprowadzonej.

- A co z ludźmi, którzy ją uprowadzili?

Pilot pokręcił wolno głową.

- Rozumiem.

- Zaufaj mi - poprosił. - Nikt nas tutaj nie podejdzie.

Wyjrzała raz jeszcze za balustradę balkonu. Domyśliła się już, że ich prześladowcy nie będą szturmowali zatłoczonego klubu, mimo iż musieli wiedzieć, że ona i Hawker schronili się w jego wnętrzu. Wybrała na komórce numer hotelu, aby zapewnić piętru wynajętemu przez NIB dodatkową ochronę, a potem zanotowała w pamięci, że rano musi tam przenieść także Verhovena i jego ludzi. W końcu spojrzała z wyrzutem na Hawkera. Dopiero teraz dotarło do niej, że skłamał.

- Twierdziłeś, że jesteś nieuzbrojony

- Zgadza się - przyznał.

- Co nie było do końca prawdą - rzuciła kąśliwie, sięgając po szklankę wody.

- Wyszłaś z tego cała? - zapytał z niewinnym uśmiechem.

- Nie słyszę na jedno ucho, ale jakoś to przeżyję.

Hawker momentalnie spowaźniał.

- Ktoś cię wystawił. Może były partner?

Arnold Moore za nic w świecie nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo. Byli sobie bliscy od zbyt dawna.

- Nie sądzę. Nie mam zamiaru twierdzić, że to był przypadek, ale jestem pewna, że tej pułapki nie zastawił nikt od nas.

- Co to było w takim razie?

- Próba wymuszenia pieniędzy albo porwania. Wielu bogatych Amerykanów znika i jest przetrzymywanych dla okupu. Twój przyjaciel też tego doświadczył. Tutaj takie rzeczy zdarzają się częściej, niż nam się wydaje.

- Wiem wszystko o tym, co się „tutaj” dzieje - zapewnił ją. - Masz rację, to mogłoby być cokolwiek. Niestety nie było. Ten napad miał ścisły związek z waszą ekspedycją.

Nie zamierzała drażnić tematu. Skoro jednak została do tego zmuszona, chciała mieć to za sobą jak najprędzej.

- Do czego zmierzasz? - zapytała.

Zawahał się, zaskoczyła go tak wielką bezpośredniością.

- Mam parę kontaktów - zaczął. - Sprawdziłem więc co nieco. Wiem, czym się zajmowałaś i jaką cieszyłaś się reputacją. Działałaś na całym świecie, ale teraz masz szansę na objęcie stanowiska dyrektora regionu.

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Obiecano jej wprawdzie awans, na razie jednak wciąż była podwładną Arnolda. Dostanie obiecane stanowisko, jeśli zdoła wykonać to zadanie.

- Masz rację, ale tylko częściowo - stwierdziła.

- To i tak lepszy wynik niż zwykle - odparł. - I wystarczająco dobry, żebym zaczął się zastanawiać, o co tu tak naprawdę chodzi. W Agencji grube ryby siedzą zazwyczaj za biurkami i to one decydują, kto dokąd pojedzie i co tam będzie robił. - Powiedziawszy te słowa, oparł się wygodnie, najwyraźniej wielce zadowolony z siebie. - Ale z tobą sprawa wygląda zupełnie inaczej - dodał. - Dopóki twój partner nie wyjechał, mieliśmy tutaj parę dyrektorów, pracujących w polu jak najzwyczajniejsi agenci, w dodatku ciągnących za sobą stado cywilów, którzy nie mają pojęcia, w co się pakują.

- Ja o tym nie decydowałam - mruknęła, obrzuciwszy go wzrokiem.

- Domyślam się, że poinformowanie ich o tym, że zostaliśmy ostrzelani, spowodowałoby masę problemów.

- Głównie dla ciebie - oświadczyła lodowatym tonem.

Przyglądał jej się. Sądząc po minie, był w stanie zgodzić się z tym stwierdzeniem.

- Ciekawa sprawa. Jakiś czas temu pojechałem z kimś na podobną misję. Dostaliśmy cynk, że dezerterski z Chin ma pojawić się w Hongkongu z listą czynnych agentów i częścią księgi szyfrów. Jedyną osobą, której ufał, była pewna piękna kasjerka z banku w Macao, więc uznaliśmy, że włączymy ją do operacji. Chroniliśmy ją na tyle sposobów, że głowa mała, modląc się, by nikt przy tym nie zginął. Dyrektor departamentu Azji spotkał się z tym facetem osobiście. Bez udziału wojska, bez agentów i bez śladu w kwitach. Tylko kilku nieistniejących facetów, dyrektor departamentu, który nigdy nie był w Hongkongu, i śliczna kobietka mająca wrócić do normalnego życia jako osoba nieco bogatsza, choć na pewno nie w wiedzę. - Słuchała, nie spuszczając oka z człowieka, który nie istniał, i mając nadzieję, że jej własnemu zespołowi powiedzie się lepiej. Agenci sprawdzający Hawkera nie znaleźli śladu po wspomnianej operacji. - Nie wiem, po co tutaj przylecieliście, i szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi. Niemniej zdaję sobie sprawę, że cokolwiek to jest, ma dla was ogromną wagę i musi być utrzymane w tajemnicy. Gdyby było inaczej, nie wysłano by tutaj kogoś takiego jak ty. Albo twój partner. Nie mówiąc już o tym, że nie potrzebowałabyś mnie ani nikogo znajdującego się w równie niekorzystnej sytuacji.

- Mówiąc „niekorzystna sytuacja”, miałeś na myśli to, że jesteś poszukiwany?

Wyglądał na urażonego.

- Nie jestem poszukiwany. Nie możesz mnie porównywać z pospolitymi przestępcami.

- Doprawdy? - zakpiła. - Departament Stanu wystawił za tobą list gończy. Podobnie Interpol. NSA, CIA i FBI z najwyższą przyjemnością zamieniłyby z tobą słowo, najchętniej w jakimś zamkniętym i mocno odizolowanym pomieszczeniu. Czy nie tak brzmi definicja słowa „poszuki-

»•s

wany ?

- Masz rację - przyznał. - Tylko gdzie są te wszystkie służby? Naprawdę myślisz, że nie odszukałyby mnie, gdyby im na tym zależało? Tobie udało się to bez trudu - przypomniał, kręcąc głową. - Oni wcale nie chcą mnie znaleźć. Bardziej zależy im na tym, by nie stracić mnie z oczu. - Tyle to sama wiedziała, aczkolwiek nie rozumiała, dlaczego tak jest. - Zresztą to kolejny dowód przemawiający na moją korzyść. Twierdzisz, że jestem poszukiwanym przestępcą, a mimo to wynajęłaś mnie. Zadałaś sobie trud i jechałaś cztery godziny na sam środek największego zadupia, mimo że wystarczyłby jeden telefon, by ściągnąć tutaj któregoś z waszych pilotów. A to może oznaczać tylko jedno: ta misja nie ma być cicha, ona wymaga niewidzialności nawet dla ludzi z Instytutu. Dlatego właśnie wynajęłaś faceta, który nie może o niej z kimkolwiek porozmawiać. Człowieka, którego nikt nie będzie słuchał, gdyby nawet zaczął mówić.

- Aha - mruknęła. - Wygląda na to, że jestem cwańsza, niż do tej pory przypuszczałam.

- Mam nadzieję, że to prawda, ponieważ znalazłaś się w niewesołej sytuacji. Wysłano cię na wojnę, nie dając nawet jednego naboju, z pouczeniem, że porażka nie wchodzi w grę. - Poprawił się na krześle. - Na tym właśnie polega twój problem. Nie obchodzi cię cel tej misji. Dbasz jedynie o zdobycie sprzętu, który umożliwi wykonanie zadania. Tyle że musisz wszystko załatwiać osobiście. - Zreflektował się, że chyba posunął się za daleko. - Okay, może wydarzenia dzisiejszej nocy były dla ciebie zaskoczeniem. Aczkolwiek skłonny jestem przypuszczać, że oczekiwałaś podobnego zwrotu akcji od momentu przybycia tutaj. Jakkolwiek było, teraz już masz pewność co do jednego: nie tylko wy próbujecie zdobyć to, po co tu przybyliście. Wasi rywale są zdeterminowani do tego stopnia, że mogą cię zabić.

Ten fakt nie umknął jej uwadze. Zaczynając tę misję, byli przekonani, że wyłącznie oni są w

posiadaniu wiedzy o artefaktach, niemniej gdzieś po drodze, mimo drastycznych środków ostrożności, ktoś musiał coś chlapnąć.

- Nie jestem twoim wrogiem - dodał Hawker - i rozumiem, w jakiej sytuacji się znalazłaś. Doskonale to rozumiem. Dlatego nie zamierzam naciskać na ciebie. Oferuję ci pomoc. Chcę, abyśmy doszli do zgody w kwestii pełnienia dodatkowych obowiązków. I mam na myśli obustronne porozumienie.

Być może sprawiła to zmiana tonu jego głosu, a może zdała sobie w końcu sprawę, że dalsze zaprzeczanie nie ma sensu, w każdym razie gdy użył jej własnych słów, wypowiedzianych podczas rozmowy w hangarze, postanowiła rozjaśnić nieco sytuację.

- O jakich dodatkowych obowiązkach mówimy?

- Mogę porozmawiać z ludźmi, do których nie masz dostępu. Mogę załatwić rzeczy, których oficjalnymi kanałami nie dostaniesz. A co najważniejsze, mogę ci zapewnić ochronę, której nikt się nie spodziewa, ponieważ wszyscy znają mnie tutaj jako zwykłego pilota helikoptera.

Danielle rozważyła propozycję Hawkera. Narastająca paranoja Gibbsa kazała mu odwołać Moore'a do Waszyngtonu. Ale dlaczego? Przecież to tylko komplikowało sprawę. Nieobecność Arnolda wystawiała ją na wiele niebezpieczeństw, przed którymi mógł ją ochronić Hawker. Spojrzała uważnie na drugi kraniec stołu. Może faktycznie miał rację i bardzo go potrzebowała.

- Chcesz mi pomóc?

Pilot skinął głową, pochylając się jednocześnie do przodu. Wyglądało to tak, jakby się jej ukłonił.

- Oferuję moje usługi. Skromne, ale to i tak więcej niż nic.

Kąciki jej ust powędrowały w górę, leciutko, niemal niezauważalnie.

- Twoje usługi - powtórzyła z zainteresowaniem. Także pochylili się nad stołem, mieszając słomką wodę w szklance. - A czego żądasz w zamian za te... usługi?

- Biletu do domu.

- Ułaskawienia... - domyśliła się od razu.

- Żeby być ułaskawionym, trzeba mieć najpierw postawione zarzuty, no i wyrok na koncie. W moim wypadku nie było niczego takiego.

- Zatem o czym mówimy?

- O całkowitym oczyszczeniu. - Wskazał ją gestem. - Macie wielu wysoko postawionych przyjaciół. W rządzie, w NSC i... chociaż do tego akurat wolicie się nie przyznawać... w Firmie. Czyli wśród ludzi, którzy na mnie dybią. Właściwe słowo rzucone w obecności odpowiedniej osoby, konkretne zapewnienie ze strony Instytutu i będzie po problemie. Pozwolą mi w końcu wrócić do domu. I rozpocząć normalne życie.

Nie potrafiła sobie wyobrazić tego mężczyzny jako normalnego obywatela. Nie wierzyła nawet, że mógł mieć w Stanach rodzinę albo przyjaciół. Jego akta zostały w wielu miejscach zaczerpnięte głównie po to, by chronić osoby postronne, ale cała reszta tworzyła obraz człowieka pozbawionego przeszłości, zupełnie jakby wyłonił się przed momentem z eteru, kompletnie uformowany w agenta, który przed nią siedział.

- Zatem chcesz mi pomóc w pokonaniu przeszkód - podsumowała

- w zamian za to, by zapomniano o twojej przeszłości. Chcesz wrócić do Kansas z Toto, Dorotką i cicią Emilią, jeśli dobrze zrozumiałam twoją prośbę?

Roześmiał się.

- Raczej gdzieś nad morze, a jeśli ma tam być jakaś Dorotka, lepiej, żeby miała na sobie niebiesko-białe bikini i częstowała zimnym piwem. Ale ogólnie biorąc, o to właśnie mi chodziło.

Złożenie obietnicy niewiele ją kosztowało, aczkolwiek nie była wcale taka pewna, czy będzie w stanie dotrzymać danego słowa. Nagle nie wiedzieć czemu dotarło do niej, że wołałaby nie

okłamywać tego człowieka.

- Dlaczego uważasz, że jestem w stanie załatwić ci wyczyszczenie kartoteki? Przecież nie wiem nawet, przez co wpackowałaś się w ten burdel.

- Jeśli ta misja jest tak ważna, jak myślę, dostaniesz carte blanche. Może nawet już ją masz, tylko jeszcze o tym nie wiesz. - Zastanowiła się nad tymi słowami. Obsesyjne zainteresowanie Gibbsa mogło wskazywać, że Hawker ma rację. - Gdzieś w Waszyngtonie - rozwinął temat

- znajduje się teczka z dokumentami, której nigdy nie zobaczysz, oznaczona skrótem BWNK w rogu. To oznaczenie priorytetu misji. Zależnie od tego, kogo o nią zapytasz, usłyszysz, że skrót ten oznacza Bez Względu Na Koszty albo Bez Względu Na Konsekwencje. Mówiąc prościej, ta misja jest pociągiem ekspresowym, któremu wszystkie inne mają zjeżdżać z drogi. Chcesz kogoś przekupić, nie ma sprawy. Chcesz kogoś usunąć, załatwione. Chcesz dobić targu z tragicznie niezrozumianym, ale cholernie przystojnym wyrzutkiem, proszę bardzo, obiecaj mu, co zechcesz, a my nie będziemy w to wsadzali nosa.

- Przystojnym?

Spojrzał na nią z udawanym zawodem.

- Mogłaś trafić na kogoś brzydszego.

- Mogłam - przyznała.

- Chodzi mi o to, że ludziom pracującym w terenie nie mówi się takich rzeczy, ale z biegiem czasu reguły stają się jasne dla każdego. Idę o zakład, że twój partner doskonale o tym wiedział.

Zgodziła się z nim, ale w duchu. Gibbs dawał im wszystko, o co tylko poprosili, i to bez mrugnięcia okiem, może z wyjątkiem zgody na pozostawienie Arnolda w Brazylii. Pewnie dlatego, że Moore wiedział zbyt dużo.

- Będziesz musiał działać po omacku - ostrzegła.

- W takiej robocie najlepiej się czuję - uspokoił ją. - Powiedz mi tylko tyle, ile powinienem wiedzieć. Zaczniij od udzielenia kilku informacji na temat człowieka, z którym mieliśmy się dzisiaj spotkać. Sprawdzę, z kim współpracuje. Może dzięki temu dowiemy się, kto go opłacał albo przez kogo przechodziły pieniądze za to zlecenie. Wyglądał na mocno zdenerwowanego, więc przypuszczam, że nie robił tego z własnej woli. Poza tym załatwię wam inną łódź, od kogoś znacznie bardziej godnego zaufania.

- A skąd mam wiedzieć, że tobie mogę zaufać? - zapytała.

- Tego nigdy nie możesz być pewna - stwierdził. - Na pewno nie w takim stopniu jak ja ich. - Wskazał głową przyjaciół zarządzających klubem, w którym znaleźli chwilowe schronienie. - Niemniej powinnaś zaufać ludziom, którzy działają we własnym dobrze pojętym interesie. A jak sama doskonale wiesz, możesz zaoferować mi coś, czego nikt inny nie przebiję.

- Zakładając, że to wszystko prawda, na jakiej podstawie uznałeś, że możesz zaufać komuś takiemu jak ja?

Hawker znów rozparł się na krześle i obdarzył ją szerokim uśmiechem. Wyglądał na bandziora i oszusta, który doskonale wie, jaka karta znajdzie się na stole następną, i tylko na nią czeka, a mimo to wydał się jej czarujący.

- Nie mam zbyt wielu opcji do wyboru - zauważył. - Albo odejdę teraz i dalej będę próbował powiązać koniec z końcem na tym zadupiu, albo spróbuję szczęścia z tobą. I tak doszliśmy do najważniejszego momentu

- dodał. - Czas rzucić kośćmi.

Danielle z trudem stłumiła uśmiech. Jego propozycja miała sens. I wydawała się całkiem uczciwym układem. Treść tej umowy doprowadzi Gibbsa do furii, to było pewne jak w banku, co tym bardziej zachęcało ją do podjęcia ryzyka.

- Dobrze - powiedziała. - Przyjmuję twoją ofertę. Nie mogę jednak obiecać niczego, dopóki

nie załatwię sprawy oczyszczenia twojej kartoteki, więc dzisiaj nie dam ci słowa. Możesz być jednak pewien, że porozmawiam z odpowiednimi ludźmi i jeśli sprawa jest do załatwienia, zostanie załatwiona. Czy to ci wystarczy?

- Owszem.

Ledwie Hawker to powiedział, do ich stolika zbliżył się mocno opalony, dobrze zbudowany mężczyzna z cienkim wąsikiem. Z żelowanymi włosami i w nieskazitelnie białej marynarce wyglądał jak gwiazdor filmowy minionej ery. Niósł dwa kieliszki w jednej dłoni i butelkę drogiego chilijskiego wina w drugiej. Przedstawił się im, wymieniając imię Eduardo, wyjaśnił, że jest właścicielem tego klubu i od czasu do czasu dobroczyńcą młodego pana Hawkera. Gdy dawni przyjaciele wymienili uścisk dłoni, nowo przybyły skupił uwagę na Danielle.

- Kim jest ta urocza dama? - zapytał. - I dlaczego, na Boga, spędza tę noc w tak marnym towarzystwie?

Hawker udał urazę po tym komentarzu Eduarda, a Laidlaw wyciągnęła dłoń do przystojnego Brazylijczyka.

- Miło mi pana poznać - odparła. - Jestem Danielle.

Mężczyzna uśmiechnął się czarująco, ucałował jej dłoń, a potem odwrócił się do pilota.

- Amerykanka - rzucił. - Jak ty.

- Amerykanka - potwierdził Hawker. - Ale nie taka jak ja.

Eduardo uniósł znacząco brew.

- To dobrze o niej świadczy, jak sądzę.

- Niewątpliwie - przyznał pilot.

- Macie problemy. - Właściciel klubu spoważniał w mgnieniu oka.

- Nie potrafię ich nawet opisać - stwierdził Hawker. - Ani powiedzieć, jak są ubrani.

Niemniej jestem pewien, że nadal nas szukają.

- Bez obaw. Odeślę was do domu moim samochodem. Na razie podwoiłem ochronę klubu, ściągnąłem kilku przyjaciół z *policia*. Uwielbiają czeka i nienawidzą rozrabiaków. Powiedziałem też Diegowi, że już nikt nie wchodzi za linę.

- Przecież dzisiaj masz największy ruch. - Hawker zrobił zbolalą minę. - To może cię sporo kosztować.

Eduardo zaśmiał się pod nosem i znów spojrzał na Danielle.

- Nasz przyjaciel Hawker jest dobrym człowiekiem, ale jeśli chodzi o interesy, to ostatnia ciamajda. Nie znam lepszego sposobu na przyciągnięcie tłumu klientów do lokalu niż zapowiedź, że nikt do niego nie wejdzie. To samo zrobię jutro, a nawet co dzień przez resztę tygodnia, aż do piątku. Choćbym podniósł ceny, i tak napcha mi się tutaj trzy razy tyle ludzi niż zazwyczaj. - Pokręcił lekko głową. - Sam nie wiem, czemu nie zacząłem tego robić już przed laty?

- Ale i tak będę twoim dłużnikiem - wtrącił Hawker.

- Nie - zaprzeczył Eduardo. - Nie ty. - Spojrzał na Danielle. - Obawiam się, że muszę zniknąć na chwilę. - Postawił butelkę wina na stole.

- Proszę zabawiać mojego przyjaciela, dopóki nie wrócę. On jest zbyt ponury jak na towarzystwo tak pięknej kobiety.

Danielle obdarzyła uśmiechem Hawkera, a potem Eduarda.

- Zrobię, co w mojej mocy. - Brazylijczyk uklonił się jej i zniknął w tłumie. Po jego odejściu powiedziała do Hawkera: - Twój przyjaciel to niezły czaruś.

- Owszem - mruknął pilot, przewracając oczami. - Jemu chyba odpowiada taki styl bycia. - Podniósł butelkę, przyjrzał się nalepce, potem wyjął korek i pozwolił winu odetchnąć. - Wygląda na to, że utknęliśmy tutaj na jakiś czas - stwierdził. - Nie sądzisz, że powinniśmy z tego skorzystać?

Zgodziła się bez wahania i podsunęła mu swój kieliszek.

## ROZDZIAŁ 8

Arnold Moore powrócił do Waszyngtonu, jego domu, tylko teoretycznie, jako że ostatnie trzy dekady spędził na nieustannych podróżach po świecie. W ciągu tego czasu przemieszczał w stolicy nie więcej niż tysiąc dni, nigdy też nie był w tym mieście dłużej niż dwa miesiące. Powrót po tak długim czasie nigdy nie wypadł najlepiej. Arnold czuł się jak obcy we własnym kraju, a raczej jak gość we własnym, pustym domu.

Wiedział jednak, że tym razem będzie inaczej. Wracał do szefa, któremu znudziły się wieczne awantury. Był przekonany, że utknie tu na dobre.

Stuart Gibbs, dyrektor pionu operacyjnego, był klasycznym paranoikiem, a właściwie niezwykle ambitnym paranoikiem i ta niezwykle kombinacja cech oznaczała metaforyczną dekapitację byłych kolegów z pracy, a także osób zaufanych. Sądząc z tonu, w jakim odbyli kilka ostatnich rozmów, Arnold nabrał przekonania, że to on jest następny w kolejce na firmowy szafot.

Po powrocie przeprowadził ze swoim przełożonym tylko jedną rozmowę, co zdawało się potwierdzać zapadnięcie ostatecznego wyroku. Nie usłyszał żadnych wyjaśnień, a wszystkie późniejsze próby ich uzyskania zostały zbyte wyniosłym milczeniem Gibbsa. Dzisiaj, po niemal tygodniu podobnego traktowania, wezwano go na dywanik po raz drugi. Skoro miał to być jego koniec, postanowił wyłączyć wszystkie dręczące go żale.

Aby spotkać się z Gibbssem, musiał się udać do głównej siedziby NIB-u, czyli rozległego kampusu zwanego powszechnie Wirginijskim Kompleksem Przemysłowym, czyli w skrócie WKP. Mieściła się ona w pięciu eleganckich budynkach ulokowanych wśród łagodnych wzgórz, krętych dróg i rustykalnych, kamiennych murków. Otoczone szkłem budowle wyglądały na tym tle wyjątkowo nowoczesnie i atrakcyjnie. Łączące je drogi i ścieżki były tak dobrze utrzymane, jakby znajdowały się na terenie najdroższych hoteli. Nawet teraz, gdy drzewa i równo przystrzyżone trawniki szykowały się do zimowania, kompleks przypominał raczej uniwersytecki kampus albo podmiejski park niż teren należący do organizacji rządowej. Jedynym wyjątkiem była obecność uzbrojonych strażników z nieodłącznymi psami i lustrami na długich żerdziach. Można ich było spotkać przy każdej bramie wjazdowej.

Moore, nie chcąc się spóźnić, przybył na parking Instytutu znacznie wcześniej i ruszył rażącym krokiem w stronę budynku, wdychając rześkie, ale i bardzo zimne styczniowe powietrze. Budynki składające się na kompleks stały w nierównej odległości od siebie, głównie z powodu trudnego ukształtowania terenu. Cztery z nich słoczono we wschodniej części terenu, piąty, mieszczący siedzibę pionu operacyjnego oraz gabinet jego dyrektora, znajdował się na uboczu, po zachodniej stronie, oddzielony od pozostałych zabudowań niskim wzgórzem i szpalerem siedemdziesięcio-stopowych dębów. W rezultacie budynek numer pięć nie był widoczny z ulicy, głównej bramy ani nawet innych gmachów Instytutu. Aby do niego dotrzeć, należało przebyć długą i niezwykle krętą ścieżkę. Podział taki ustanowiono zapewne przez czysty przypadek, aczkolwiek Moore miał na ten temat inne zdanie i za każdym razem, gdy pokonywał ten dystans, uderzała go ironia i symbolika miejsca, w którym się znajdował, doskonale oddająca niejednoznaczny charakter NIB-u.

Instytut został powołany do życia pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Był to prawdziwy organizacyjny frankenstein, stworzony i podzielony do prowadzenia zadań dwójakiego rodzaju.



Pion Badawczy, będący zarazem główną częścią projektu, współpracował z największymi korporacjami Ameryki, a także uczelniami i najwybitniejszymi przedsiębiorcami. Pod jego auspicjami zrzeszeni w Instytucie członkowie zyskiwali dostęp do najnowocześniejszych laboratoriów, wyspecjalizowanego personelu oraz masy odtajnionych danych gromadzonych przez NASA i armię. Jego zadaniem było przyspieszenie obrotów kół zamachowych amerykańskiego przemysłu w odpowiedzi na subsydia i rządowe wsparcie, jakimi cieszyły się koncerny europejskie i japońskie.

Jednakże pion badawczy był tylko częścią organizacji, często określaną jako jej cywilna strona. Po drugiej, znacznie ciemniejszej stronie NIB-u, ulokowano pion operacyjny.

Pół roku po utworzeniu NIB-u - i na długo przed tym, nim po raz pierwszy wbito łopatę w ziemię na budowie WKP - do projektu jego budżetu dołączono w ostatniej chwili specjalną klauzulę. Wynikało z niej, że NIB zostaje podzielony na dwie niezależne od siebie instytucje czy może raczej że tworzy się w istniejących już strukturach zupełnie nową jednostkę. Ten nowy byt otrzymał nazwę pionu operacyjnego, w skrócie POP.

POP zajmował się najbardziej złowieszczyimi zadaniami - aktywnym zdobywaniem pilnie strzeżonych informacji, głównie w strefach wpływu pozostałych mocarstw i koncernów. Innymi słowy szpiegostwem przemysłowym na szeroką skalę. Właśnie z tego powodu od samego początku na jego czele stali byli agenci CIA, tacy jak choćby dyrektor Stuart Gibbs.

Zmiany te były oczywiście niewidoczne dla reszty świata. POP wydawał się niewiele znaczącym dodatkiem, aparatem wsparcia dla pionu badawczego, służącym odnoszącej spore sukcesy, znacznie potężniejszej siostry. To pion badawczy brylował w mediach, senatorowie i prezesi spółek szczylicili się udziałem w jego przedsięwzięciach, „Time” i „Business-Week” poświęcały mu swoje pierwsze strony. W oczach opinii publicznej wydział badawczy był NIB-em. To jemu przypadało osiemdziesiąt procent budżetu, dziewięćdziesiąt procent pracowników i cztery z pięciu budynków w Wirginijskim Kompleksie Przemysłowym. Nieliczni, którzy znali prawdę, wiedzieli jednak, że to POP jest w tym układzie ważniejszy.

Moore nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu, gdy mijał pozostałe budynki Instytutu. Mimo tylu lat pracy w NIB-ie ani razu nie postawił stopy w żadnym z nich - i nawet dziś nie miało się to zmienić. Przyszłość, jakakolwiek by się okazała, będzie nierozłącznie związana ze stojącym za wzgórzem budynkiem numer pięć i Stuartem Gibbsem.

Po przejściu niemal pół mili Arnold Moore czuł się niezwykle rześko. Pokonał schody i wkroczył do przestronnego holu, gdzie okazał identyfikator i przyłożył kciuk do skanera. Minął potem drugi punkt kontrolny na czwartym piętrze i niespełna minutę później stanął w poczekalni gabinetu dyrektora.

Sekretarka Gibbsa nie zwróciła na niego większej uwagi.

- Może pan wejść - obwieściła.

Moore zacisnął zęby i przekroczył próg.

W gabinecie dyrektora nie było okien. Pomieszczenie to znajdowało się w głębi budynku. Było spore i doskonale oświetlone, ale też zaskakująco prosto urządzone, jak na człowieka mającego taką władzę. Stuart Gibbs wyszedł naprzeciw gościa, wyciągając do niego rękę.

- Miło cię znów widzieć, Arnoldzie - powiedział - jak zwykle przyszedłeś wcześniej.

Powitanie wypadło sztucznie i blado, uśmiech szefa był niepewny, przypominał raczej szczerzenie kłów przez rozwścieczonego drapieżnika. Moore wcale się nie poczuł mile widziany.

- Siadaj, proszę - kontynuował tymczasem Gibbs, prowadząc go w kierunku foteli dla gości, umieszczonych przed biurkiem. Jeden był już zajęty. - Poprosiłem Matta Blundina, by uczestniczył w naszym spotkaniu - wyjaśnił. - Ma kilka informacji, które mogą cię zainteresować.

Matt, szef ochrony NIB-u, był potężnie zbudowanym dryblasem, który z trudem mieścił się pomiędzy podłokietnikami skózanego fotela. Lubił urzędować do późnej nocy, palił jak smok i za kołnierz też nie wylewał, jeśli wierzyć plotkom. Mimo że była dopiero ósma rano, cuchnęła już nikotyną, a stan jego przetłuszczonych włosów i wymiętego garnituru świadczył dobitnie o tym, w jaki sposób spędził ostatnią noc.

Mimo tych przywar Blundin był jednym z najlepszych fachowców w branży, wynajmowanym od czasu do czasu przez FBI, SEC oraz Biuro Budżetowe Kongresu; gdyby kiedykolwiek opuścił gościnne progi NIB-u, czekała na niego długa lista propozycji pracy, które uczyniłyby zeń naprawdę bogatego człowieka.

Moore, siadając obok Matta, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien poprosić o sprowadzenie swojego adwokata.

- Ile czasu minęło od naszej ostatniej rozmowy twarzą w twarz? - zagaił tymczasem dyrektor.  
- Dziewięć miesięcy? A może już rok? - Wzruszył ramionami. - W każdym razie szmat czasu.

Gibbs, szczupły mężczyzna o kościstej twarzy, o osiem lat młodszy od Arnolda, stał nadal za biurkiem. Jego jasne jak piasek włosy z każdym rokiem przyprószała kolejna porcja siwizny, zaczesywał je teraz do tyłu, żelując z ogromną precyzją. Szyty na miarę garnitur leżał nienagannie, aczkolwiek Moore owi wydał się nieco luźniejszy niż kiedyś. Gibbs nigdy nie należał do ludzi otyłych, niemniej zrzucił co najmniej kilka funtów od ich ostatniego spotkania. W związku z czym nabrał jeszcze bardziej szczurzego wyglądu. Gryzoń Gibbs, pomyślał Arnold.

- Dajmy spokój podchodom, Stuart. - Moore przejął inicjatywę.

- Oświeć mnie z łaski swojej, po co to spotkanie. Jeśli oczywiście istnieje jakiś powód.

- Nie podoba mi się ton, jakim do mnie mówisz - odparł dyrektor.

- Nie musisz mi tego mówić - zapewnił go Arnold. - Nie oczekuj jednak niczego innego od człowieka, którego ściągnąłeś siłą do domu, a potem nie raczyłeś się odezwać przez tydzień. To potrafi wyprowadzić z równowagi.

Gibbs wbił w niego ostre spojrzenie.

- Spotkaliśmy się tutaj we trójkę, ponieważ mamy kilka ważnych spraw do omówienia. A zaczniemy od incydentu z udziałem Danielle Laidlaw i człowieka, do którego ją wczoraj wysłałeś, czyli pana Duartego Mediny.

- Jakiego znowu incydentu? - zapytał Moore, czerwieniejąc na twarzy.

- Została zaatakowana na miejscu spotkania - wyjaśnił dyrektor.

- Ostrzelano jej samochód, cudem przeżyła.

- A niech to wszyscy diabli... - mruknął Arnold. - Wiedziałem, że dojdzie do czegoś podobnego. Ostrzegałem, żebyś mnie nie wycofywał z Manaus. Tam przynajmniej mógłbym ją chronić.

Gibbs skinął głową ledwie dostrzegalnie.

- Mógłbyś - rzucił, odwracając się do Blundina - albo i nie mógłbyś. To interesujące, że nawiązałeś kontakt z Mediną dopiero po tym, jak kazałem cię odwołać.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Gdyby została zabita, nie miałbym wyboru i musiałbym odesłać cię z powrotem - oświadczył dyrektor, wzruszając ramionami, jakby była to najoczywistsza rzecz na świecie.

Moore zacisnął zęby.

- Sam chyba nie wierzysz w to, co mówisz.

- Medina był twoim kontaktem - przypomniał mu Gibbs. - Ponoć to pewny człowiek i godny zaufania. Mimo to spotkanie z nim okazało się pułapką. Jak twoim zdaniem powinniśmy na to patrzeć? Na moim miejscu nabrałbyś takich samych podejrzeń.

Moore spojrział na Blundina, potem znów obrócił się do szefa. Miał szczerą ochotę zadusić

tego drania.

- Jeśli myślisz...

- Wyklócałeś się ze mną - przerwał mu Gibbs - od kilku tygodni, nalegając, aby przekazać jej dowodzenie misją. Od chwili powrotu codziennie prosiłeś o bieżące informacje, mimo że nie jesteś już częścią tego projektu i kazano ci o nim zapomnieć. Moim zdaniem wygląda to tak, jakbyś oczekiwał jakiegoś wydarzenia.

- Posłuchaj mnie, skurwysynu - wysapał Arnold. - Danielle jest moją partnerką i przyjaciółką. Kiedyś wiedziałeś, co znaczą te słowa. Wiem, ponieważ znam ludzi, z którymi współpracowałeś. Za dużo czasu spędzasz ostatnio w tym cholernym gabinecie, zdążyłeś przez to zapomnieć o paru ważnych zasadach. - Moore pokręcił głową, w połowie tej tyrady zdał sobie bowiem sprawę, że połknął rzuconą przynętę. Gibbs chciał go wkurzyć. - Musisz wiedzieć, że nigdy nie zrobiłbym niczego, co naraziłoby jej życie i zdrowie, więc skończ z tymi pieprzonymi zagadkami i powiedz w końcu, po jaką cholere ściągnąłeś mnie tutaj.

Gibbs milczał przez dłuższą chwilę, jakby musiał przetrawić słowa wypowiedziane przez Arnolda. Usiadł w końcu i odchylił fotel do tyłu.

- Wymagało to sporo pracy - rzucił w końcu - ale chyba zdołaliśmy cię oczyścić. - Moore także usiadł. To zdanie było zbyt precyzyjne. Stanowiło wstęp do czegoś innego, o czym nie miał na razie pojęcia. - Pokaż mu zdjęcia - polecił dyrektor, spoglądając na Blundina.

Matt otworzył teczkę leżącą na blacie tuż przed nim. Wyjął z niej czarno-białe fotografie.

- Czy to ten twój Duarte?

Moore przyjrzał się zdjęciu, widniejący na nim człowiek przypominał Medinę.

- Tak sędzę.

- Cóż, powiem tylko, że nie żyje. Leżał w kostnicy już dzień przed atakiem.

Moore skrzywił się. Medina był kuzynem człowieka, który mu kiedyś pomagał. Człowieka, którego uważał za przyjaciela.

- Jesteś tego pewien?

Blundin potwierdził skinieniem głowy.

- Wiemy, kto zabił Medinę?

- Jeszcze nie. Lokalna policja nie znalazła zbyt wielu śladów.

- Niemniej mamy plan, dzięki któremu wywabimy sprawców z ukrycia. - Dyrektor znów przejął inicjatywę. - I właśnie dlatego będziesz nam znowu potrzebny.

- Wreszcie dochodzimy do sedna sprawy.

Gibbs uśmiechnął się krzywo, ale gdy przemówił ponownie, w jego głosie dało się wyczuć radość.

- Zamierzamy ustawić sprawę tak, by pomyśleli, iż popadłeś w niełaskę. To spotkanie jest pierwszym krokiem na tej drodze. Informacja o nim z pewnością poszła już w teren. Jutro albo pojutrze wszyscy w biurze będą wiedzieli. Następnie zostaniesz zawieszony na czas dochodzenia. Zasugerujemy ci przejście na wymuszoną wcześniejszą emeryturę. Ale bez obaw, nikt nie zarzuci ci niełojalności wobec Instytutu, to byłoby zbyt oczywiste. Oficjalnymi powodami będą: niekompetencja, sprzeniewierzenie funduszy i obustronny brak woli współpracy.

- Przynajmniej to ostatnie ma coś wspólnego z prawdą.

- Dzięki temu kłamstwa będą wyglądały wiarygodniej - przyznał Gibbs.

Matt Blundin nie odzywał się słowem. Moore zaczął się nawet zastanawiać, czy szef ochrony jest uczestnikiem tego spisku, czy tylko mimowolnym świadkiem wydarzeń. Jego nalana twarz nie zdradzała niczego. Blundin był równym gościem, ale należał do ludzi Gibbsa. Dyrektor chronił ich, a oni odwziewali mu się tym samym. Moore nie miał tego za złe Blundinowi; jego złość i gniew skupiały się wyłącznie na Stuarcie.

- Czemu mają służyć te wszystkie szykany i upokorzenia?

- Matt uważa, że nasi konkurenci mogą próbować cię podkupić albo przynajmniej wynająć. Zapomniałem dodać, że wyczyściliśmy ci także konto, w chwili obecnej wyglądasz na człowieka tonącego w długach. Masz wielkie problemy z hazardem. Nawrót nastąpił podczas ubiegłorocznej wizyty w Macao.

Moore aż się skrzywił z niedowierzania.

- To chyba jakiś żart. Osoba dowodząca misją zostaje odwołana w trybie pilnym z linii frontu i idzie w odstawkę? Nie ma chyba bardziej oczywistej ścierny.

- To prymitywne dranie - zagrzmiał Blundin. - Zwabili twoją partnerkę na spotkanie i próbowali ją zgładzić na oczach połowy miasta, nie kryjąc się nawet. To dość niezwykle - dodał.

- Powiedziałbym, że raczej mało profesjonalne. Dlatego uważam, że są to albo ludzie nie mający bezpośredniego kontaktu z centralą, albo banda nieopierzonych amatorów.

- Amatorów? Nieopierzonych i pozbawionych kontaktu z centralą?

- Arnold wodził oczyma od szefa ochrony do dyrektora i z powrotem.

- Mówisz o nich czy o nas? W planie, który mi przedstawiliście, widzę ślady wszystkich tych zarzutów.

- Planowaliśmy ten ruch już od jakiegoś czasu - wyjaśnił Gibbs. - Jeśli chcą informacji, a idę o zakład, że dadzą za nie wszystko, powinni podążyć za pierwszym nadarzającym się celem, czyli za tobą wyrzuconym z pracy, weteranem Instytutu, w którego mózgu tkwi niejedna tajemnica.

Moore raz jeszcze pokręcił głową. Wątpił, by ktokolwiek dał się nabrać na taki numer.

Gibbs nie wyglądał na poruszonego jego reakcją, niemniej gdy przemówił po raz kolejny, w jego głosie dało się wyczuć znacznie więcej szczerości, która jednak nie znalazła się tam zupełnie przypadkowo.

- Wiesz dobrze, Arnoldzie, że między nami się nie układa. Nigdy tak naprawdę się nie układało. Gdybyśmy zapytali naszego psychoanalityka, zapewne by powiedział, że masz do mnie żal o to, że zająłem stanowisko, które powinno przyspaść tobie, i dlatego nieustannie starasz się mnie obalić. W końcu nie jest tajemnicą, że mógłbyś pełnić moje obowiązki równie dobrze, a kto wie, czy nie lepiej niż ja dzisiaj. Jak myślisz, dlaczego wysyłałem cię do najodleglejszych miejsc na świecie? Starłem się trzymać cię jak najdalej od Waszyngtonu, ponieważ jesteś tu jedyną osobą mogącą zagrozić mojej pozycji. Przyznaję, że jeździłeś w teren również dlatego, że jesteś cholernie dobry, jeśli nie najlepszy. Ale sytuacja przedstawia się następująco: to ja rządę tym cyrkiem. To ja płacę ludziom za występy, nie ty. I dlatego zrobisz, co ci każę, dla dobra naszej organizacji.

Moore prychnął z odrazą. Zdecydowane, ale zarazem ostrożne posunięcie.

- Nie chciałbym pracować na twoim stanowisku - oświadczył w końcu. - W każdym razie nie takimi metodami jak ty. Nie wciskaj mi więc tego kitu. To, co wydawało ci się pragnieniem odebrania stanowiska, w rzeczywistości było tylko chęcią pozbawienia cię tytułu dyrektora. Nie masz rozeznania i jesteś lekkomyślny, zbyt lekkomyślny jak na mój gust. - Po raz kolejny pokręcił głową. - Twój plan jest idiotyczny. Niedorzeczny, jak każdy z twoich pomysłów. Rozdzielenie nas w ostatniej chwili, improwizowany naprędce plan i rzucenie mnie jako przynęty. Totalna amatorszczyzna, przez którą zginą ludzie... Przez którą omal nie zginęli ludzie

- poprawił się po namyśle.

- Za dużo kombinujesz, Arnoldzie. - W głosie Gibbsa pojawił się ostrzegawczy ton, zbliżali się zbyt do granicy, której nie powinni przekraczać.

- A ty za mało - odparował Moore. - Nadal zamierzasz posłać Danielle w sam środek dżungli z bandą cywili na karku i kilkoma pajacami z pionu badawczego?

- Dałem jej ochronę.

- Dixonowi też! - wrzasnął Arnold. - I gdzie go masz teraz? Czyżby jego ludzie odnaleźli się w cudowny sposób, opaleni i wypoczęci, z torbami pamiątek zakupionych w turystycznym raj? Nie, zniknęli na dobre i najprawdopodobniej już nie żyją. Zostali pocięci na plasterki przez tubylców, których tak bardzo się obawiałeś, albo zastrzeleni w pułapce zastawionej przez tych samych skurwieli, którzy strzelali do Danielle. Ale to dla ciebie nic nie znaczy, nadal chcesz ją wysłać w to samo miejsce. Kazałeś jej podjąć wyprawę, z której nikt jeszcze nie wrócił. To ty najbardziej narażasz jej życie. - Moore wskazał na Gibbsa oskarżycielskim gestem.

- Istnieją lepsze sposoby załatwienia tej sprawy. Sprytniejsze. Im szybciej się z tym pogodzisz...

- Dość tego! - Dyrektor walnął pięścią w blat. Twarz posiniała mu z wściekłości. - Nie ma innego sposobu. Musimy to zrobić. Ojczyzna wymaga tego od ciebie. - W gabinecie zapanowała cisza. Arnold obserwował Stuarta, który nerwowo splatał palce, próbując opanować złość. - Wiesz, czym się tu zajmujemy? - zapytał w końcu. - Jesteśmy najpotężniejszym krajem na świecie. Pożyczamy pieniądze od Chin, żeby płacić nimi Arabom za ropę. Tym właśnie się zajmuje my. Tyle że któregoś dnia Chińczycy odmówią nam kolejnej transzy kredytu albo Arabowie przestaną wymieniać nasze papiery na swoje surowce. - Odsunął na bok teczkę z dokumentami i pochylił się w kierunku Moore'a. - Jeśli to, czego szukamy, znajduje się w Brazylii, zyskamy klucz do zupełnie nowego świata, począwszy od uniezależnienia się od dostawców energii, a skończywszy na zapewnieniu Stanom przewodniej roli w świecie na następne sto lat. Zimna fuzja oznacza nieograniczone źródło czystej energii. Dzięki niej w całym kraju powstaną bezpieczne, nie powodujące zanieczyszczeń elektrownie dostarczające elektryczności napędzającej samochody, pociągi, a nawet oświetlającej domy, i to bez zanieczyszczania środowiska dwutlenkiem węgla, co grozi globalnym ociepleniem, nie mówiąc już o braku konieczności składowania niebezpiecznych odpadów nuklearnych. Ta technologia będzie nasza i tylko nasza, co oznacza też, że przestaniemy być wiecznym dłużnikiem potencjalnego wroga i żebrakiem w oczach reszty świata. Pozwoliłbyś, aby takie bogactwo wpadło w ręce kogoś innego?

Moore słyszał już tę przemowę. I chociaż zgadzał się z oceną zmian, jakie mogą nastąpić na świecie dzięki opanowaniu technologii zimnej fuzji, miał zupełnie inną wizję metod, jakimi należało do nich doprowadzić.

Gibbs zareagował na przedłużające się milczenie kolejnym wybuchem.

- Za to ci płacimy! Za trzymanie ręki na pulsie, za starania, by nasza ojczyzna ponownie wysunęła się na pozycję lidera. Z tym że tym razem trzeba odnaleźć jakąś zapyziałą norę, zamiast infiltrować nowoczesne laboratoria albo przeglądać bazy danych. Wygląda na to, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju współczesnego projektu Manhattan. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba nie możemy posłać tam całej armii, aby zabezpieczyć teren.

- Nie możecie - przyznał Moore. - Ale możecie odesłać mnie z powrotem, zanim sprawy przybiorą gorszy obrót.

Gibbs nie należał do ludzi, którzy zmieniają zdanie, słysząc celny argument albo perswazję. Ataki utwierdzały go tylko w przekonaniu, że ma rację. Moore wiedział o tym, lecz nie potrafił się powstrzymać. Obserwował więc, jak dyrektor sięga po teczkę leżącą przed Blundinem i zamyka ją zdecydowanym ruchem. Rozmowa dobiegła końca.

- Nie chcesz zrobić tego dla mnie - rzucił dyrektor. - Nie ma sprawy.

- Pochylił się nad biurkiem, a jego osadzone głęboko oczy i zapadnięte policzki nagle zaczęły emanować czystym złem. Stał się Gryzoniem! - Nie pozwolę ci tam wrócić, twoja partnerka będzie musiała dokończyć zadanie.

I będzie zagrożona, dopóki nie dowiemy się, kto nam bruździ.

Moore nie spuścił wzroku, ale nie potrafił też wydusić z siebie słowa. W grobowej ciszy spoglądał prosto w oczy swojego przełożonego, obserwując, jak na jego usta wpełza ponownie okrutny uśmieszek - umowa została przypieczętowana.

## ROZDZIAŁ 9

Profesor McCarter wyszedł z windy towarowej w towarzystwie Susan Briggs i Williama Deversa. Wspólnie udali się wąskim, krętym korytarzem w kierunku hotelowej sali konferencyjnej. Nad ich głowami biegły ciągi połączonych ze sobą rur i przymocowane do ścian grube kable energetyczne, pod stopami mieli posadzkę z czystego betonu. Surowość tego otoczenia mocno zaskoczyła McCartera. Jego zdziwienie ustąpiło miejsca niepokojowi, gdy minęli przysadzistego mężczyznę ze słuchawką w uchu i charakterystycznym wybrzuszeniem ciemnej kurtki w miejscu, gdzie zazwyczaj znajduje się kabura z pistoletem.

Strażnik wskazał im właściwą odnogę korytarza, prowadzącą prosto na miejsce spotkania.

- Ochrona - mruknął Devers. - Zawsze ją mamy, gdy wyjeżdżamy za granicę. Pamiętacie to zadanie w Rosji, o którym wam wspominałem? Krok w krok łąziła za nami banda byłych spadochroniarzy. Dziwni ludzie, większość z nich nie miała zębów.

- Fuj! - Susan zareagowała na ten opis śmiechem.

- Ale poza tym fajni z nich byli chłopcy - dodał Devers. - Zawsze chętnie dzielili się z nami wódką. Po prostu brakowało im opieki dentystrycznej. - Obrócił się i obrzucił spojrzeniem stojącego w oddali ochroniarza. - Ciekaw jestem, jacy są ci tutaj.

McCarter spojrzał przez ramię.

- Ten przynajmniej miał wszystkie zęby.

Korytarz doprowadził ich do salonu oznaczonego literą A. W nim spotkali Danielle i Marka Polaskiego.

McCarter zajął miejsce pośrodku pierwszego rzędu, czyli tam, gdzie zwykli siadać najlepsi studenci. Ta niezwykła zamiana ról mocno go rozbawiła. Gdy wszyscy usiedli, Laidlaw podeszła do wyjścia, machnęła ręką ochroniarzowi stojącemu przy załomie korytarza i zamknęła drzwi.

- Wybaczcie, że spotykamy się w takim miejscu - powiedziała, odwracając się twarzą do obecnych. - Nie chciałam urządzać tego spotkania w głównej sali, a wszystkie pozostałe na piętrach były już zajęte. Teraz rozumiem dlaczego.

Przygasła światło i kliknęła pilotem. Na ścianie pomieszczenia pojawił się slajd przedstawiający świątynię Majów.

- Czekaj nas wielka przygoda - zagaiła. - Jak niektórzy z was już wiedzą, wyruszamy na poszukiwanie należących do cywilizacji Majów nieznanymi plemion, które zdaniem kilku naukowców żyły kiedyś w dorzeczu Amazonki. Mówiąc w wielkim skrócie, rzecz jasna. Nasz cel jest o wiele ambitniejszy. Będziemy poszukiwali miejsca, które Majowie uważali za swoją kolebkę czy Rajski Ogród, miasta zwanego Tulan Zuyua.

Susan Briggs spojrzała z niedowierzaniem na swojego nauczyciela, gdy dotarło do niej znaczenie słów Danielle.

- Ona mówi poważnie? - zapytała.

- Tak sądzę - odparł McCarter, kiwając głową.

Laidlaw kliknęła pilotem po raz drugi, wyświetlając na ścianie kolorowy fresk. Malowidło przedstawiało cztery postacie w indiańskich strojach, wędrujące pokornie pod rozgwieżdżonym

niebem.

Danielle spojrzała na profesora.

- Proszę mnie poprawić, jeśli podam błędną informację.

Skinął głową, przygotowując się na liczne wtrącenia.

- Legendy Majów głoszą, że przed pierwszym wschodem słońca istniała cała epoka, podczas której Ziemia kryła się w wiecznym mroku. Jedynym źródłem światła w tych czasach był pas nieba szarzejący tuż nad horyzontem. Zgodnie z mitologią Majów w tamtych mrocznych czasach bogowie stworzyli pierwszych ludzi i umieścili ich w mieście zwanym Tulan Zuyua, gdzie przedstawili im bóstwa, które mieli czcić. Plemię Kiczów, dzięki któremu znamy tę opowieść, otrzymało za patrona boga Tohila, twórcę ognia. Dar ten oddzielił ich od reszty żyjących w mroku społeczeństw, jako że tylko oni posiadli umiejętność tworzenia światła i ciepła. Aby zapewnić bezpieczeństwo darowi bogów, Kicze opuścili Tulan Zuyua w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby się osiedlić. Jeśli wierzyć przekazom, lud ten wyszedł z miasta, zabierając ze sobą świętego patrona, a właściwie jego duszę ukrytą w specjalnym kamieniu. Po długiej podróży zarówno lądem, jak i morzem Kicze osiedlili się w końcu w Ameryce Środkowej na terenach dzisiejszej Gwatemali, Belize i Meksyku. Nigdy też nie wrócili do Tulan Zuyua.

Zmieniła slajd po raz kolejny, przywołując następne zdjęcie, tym razem jakichś ruin z Ameryki Środkowej.

- Spora część świata naukowego sądzi, że Tulan Zuyua jest tylko mitem - wyjaśniła - i dlatego poszukiwania tego miasta są traktowane na równi z badaniami Atlantydy czy samego Raju. Gdyby jednak istniało, zdaniem naukowców byłoby pogrzebane pod ruinami innych budowli Majów, tak jak dawne San Francisco leży pod fundamentami współczesnych wieżowców. My jednak mamy nadzieję na znalezienie tego wspaniałego miasta tutaj, w Amazonii, tysiące mil od miejsc, w których dotychczas prowadzono poszukiwania.

Na ścianie pojawił się nowy slajd. Widać na nim było podniszczony, ale pokryty wyraźnymi znakami kamień. Obok umieszczono linijkę, aby dać oglądającym pojęcie o jego prawdziwych rozmiarach.

- Ten artefakt trafił do NIB-u kilka miesięcy temu, ale wiemy, że został znaleziony w Amazonii wiele lat wcześniej. - Kolejne kliknięcie i kolejny obraz. Ta sama kamienna tabliczka pod innym kątem. McCarter zmrużył oczy, starając się odszyfrować pokrywające ją napisy. - Jak widzicie, powierzchnia tego kamienia jest mocno zwietrzała, więc większość hieroglifów ledwie widać. Na szczęście znamy metodę analizy komputerowej, zwaną przeliczaniem mikrogestości obrazu, która pozwala na rekonstrukcję ubytków, i właśnie dzięki niej uzyskaliśmy zadziwiające rezultaty. - Następne zdjęcie przedstawiało tę samą kamienną tabliczkę z nałożoną na nią komputerowo warstwą napisów.

- Znaki, które tutaj widzicie, przypominają tylko jeden alfabet, pismo obrazkowe Majów. A te dwa hieroglify są nam znane. Pierwszy oznacza imię Jaguara-Quitze, jednego z pierwotnych Majów. Drugi, odtworzony tylko częściowo, naszym zdaniem pasuje do wizerunku imienia gwiazdy zarannej, czyli Wenus.

McCarter przyglądał się wzorcowi stworzonemu przez komputer. Te znaki bez wątpienia przypominały pismo Majów, ale kamień pod nimi był tak zniszczony, że ich rekonstrukcja wydawała się niemal niemożliwa. Zatem opierali się nie na dowodach, tylko czyichś przypuszczeniach. Gdy profesor zastanawiał się nad tą kwestią, Danielle kontynuowała wykład.

- Osiem miesięcy pracy w terenie pozwoliło nam na zdobycie jeszcze paru artefaktów, które potwierdziły istnienie w dorzeczu Amazonki ludów posługujących się pismem Majów. Żaden jednak nie nosił tak szokujących dowodów jak kamień, którego niestety nie posiadamy.

Następny slajd różnił się od poprzednich. Był to skan starego zdjęcia w kolorze sepia. Widać

było nawet ślad po zagięciu w jednym z górnych rogów i brązowe odbarwienia na krawędziach.

Zdjęcie przedstawiało dwóch mężczyzn stojących przy prostokątnej tablicy. Jeden miał ręce złożone na piersi i trzymał stopę na powierzchni kamiennego bloku. Drugi klęczał obok, wskazując palcem miejsce na jego powierzchni. Układ przypominał nieco fotografie robione przez wędkarzy pozujących ze złowionymi rekordowymi okazami.

- To zdjęcie zrobiono w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym podczas pierwszej ekspedycji amazońskiej Henry ego Blackjacksa Martina. Wyruszyła ona w kwietniu tegoż roku z Manaus i nie powróciła aż do marca następnego roku, kiedy to wyгнаły ją z dżungli nie wrogie plemiona, dzikie zwierzęta czy roje dokuczliwych owadów, ale dwa miesiące nieprzerwanych sezonowych ulew. Jak zapewne pamiętacie, Martin był podówczas kimś w rodzaju celebryty. Bogaty podróżnik i samozwańczy łowca skarbów przemierzał glob w poszukiwaniu rzadkich i cennych przedmiotów, zwłaszcza takich, jakie były godne umieszczenia w ówczesnych kronikach filmowych. Mimo że nie miał specjalistycznego wykształcenia, jego dzienniki prowadzone były w bardzo profesjonalny sposób. Przed opuszczeniem tego stanowiska zapisano wymiary znalezionej kamienia i sfotografowano go dokładnie. - Pokazała im kolejny slajd. - Używając innej metody komputerowego modelingu, bazującego na kątach załamania światła i gęstości cienia, byliśmy w stanie uzyskać powiększenie obrazu, a zwłaszcza tej jego części. - Użyła laserowego wskaźnika, by pokazać wymieniony obszar, i płynnie przeszła do kolejnego slajdu, przedstawiającego wycinek i zarazem powiększenie płyty ze znacznie wyraźniejszym hieroglifem.

Przyglądając mu się, McCarter doznał nagle olśnienia. Widział ten piktogram tak wiele razy. Podczas dwuletniej praktyki na Jukatanie miał okazję widzieć go, dotykać i bez końca wodzić palcem po jego obrzeżach.

- Siedem Jaskiń - wyszeptał. - Siedem Kanionów.

Danielle uśmiechnęła się. Przez moment nie kryła podziwu dla jego spostrzegawczości.

Potem spojrzała na pozostałych.

- Siedem Jaskiń i Siedem Kanionów to inne nazwy, jakimi Majowie określali Tulan Zuyua.

Susan Briggs otworzyła notes i zaczęła coś zapisywać.

- Nie musisz niczego notować - zapewnił ją profesor.

- Wiem - odparła. - Ale lubię to robić.

McCarter skwitował to stwierdzenie przyjaznym uśmiechem.

- Jeśli wierzyć Martinowi, odkrył tę płytę siedemnastego listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku na zboczu wysokiego wzgórza jakąś milę od drugorzędnej dopływu, którą badała jego ekspedycja. Dokładna lokalizacja tego miejsca nie jest nam znana, jedyną wskazówką, jaką Martin zapisał, była odległość od poprzedniego punktu orientacyjnego, którym było miejsce nazwane przez niego Murem z Czaszek.

Nazwa ta zawisła w grobowej ciszy, jaka zapadła w sali konferencyjnej. McCarter spojrzął na Susan. Ona także miała szeroko otwarte oczy, jej twarz płonęła z ciekawości. To całkiem dobra oznaka, uznał.

- W notatkach Martina mamy zapis jego pierwszego wrażenia po ujrzaniu wspomnianego muru - kontynuowała tymczasem Danielle, sięgając po mocno zużyty egzemplarz autobiografii dawnego podróżnika.

- „Oto zwiastun porządku po wielu dniach wędrówki przez ziemie pogrążone w chaosie, uczynionym przez naturę i jej wiecznie splątana gęstwina. Mur wygląda przerażająco i jest taki wielki. Na jego budowę trzeba było minimum tysiąca czaszek. Czy należały do przyjaciół, czy wrogów, tego nie dowiemy się nigdy, jako że wojownicy z Chollokwanów nie pozwolili nam na ich zbadanie. Czterech stało wokół kamienia, gdy przybyliśmy na to miejsce. Z uniesionymi do



rzutu włócznie, nastroszonymi czuprykami i dziwacznymi ozdobami wyglądali na niezwykle dumnych ludzi. Zachowywali się przy tym jak rasowi rzymscy legionisi” - oderwała wzrok od fragmentu tekstu. - Jeśli wierzyć Martinowi, utrzymywali, że zostali uprzedzeni o jego przybyciu. Zabrali go do swojej wioski, oddalonej o kilka dni marszu od koryta rzeki. - Zaczęła zbliżać się do koń-

■-'WBSasshi ca opowieści. - Mając te informacje i korzystając z pomocy miejscowych handlarzy, którzy również twierdzą, że opowiadano im o słynnym murze, a nawet zabierano ich w jego pobliże, nie powinniśmy mieć wielkich problemów z jego szybkim odnalezieniem. Zlokalizujemy go w ciągu tygodnia, najdalej dwóch.

Tydzień albo dwa. McCarter omal nie roześmiał się w głos, słysząc te słowa. Zastanawiał się, czy ta kobieta w ogóle wie, jak cholernie trudno jest znaleźć cokolwiek w dżungli. No ale tym akurat powinni martwić się najmniej.

- Zainteresowała mnie pani - przyznał mimo wszystko. - Zwłaszcza znaleźskami Martina. Z tym że pokazała nam pani jedynie niewyraźne zdjęcia, osobiste zapiski i komputerowo stworzone projekcje, które bardzo przypominają mi testy Rorschacha. Innymi słowy, każdy może się w nich dopatrzeć tego, czego zechce. Obawiam się, że muszę zobaczyć nieco więcej, by przekonać się do waszego pomysłu.

- Tego się właśnie spodziewałam - oświadczyła Danielle zwięźle, choć bardzo grzecznym tonem. - Proszę o odrobinę cierpliwości, to jeszcze nie koniec. - Pokazała kolejne zdjęcie przedstawiające cztery czyste, heksagonalne kryształy.

- Oto tak zwane kwarcowe kryształy Martina. Nasz nieustraszony podróżnik twierdził, że widział je u Chollokwanów podczas ceremonii przywoływania deszczu. Same w sobie nie są niczym szczególnym, ot, to tylko odłamki kwarcu z różnymi inkluzjami. Znacznie bardziej interesujący wydał nam się artefakt powiązany z nimi, nazywany przez Martina kołyską. - Danielle przywołała następny slajd: złotą tacę z czterema wgłębieniami wielkości pojedynczego kryształu i piątym niewiadomego przeznaczenia. - Oto i ona. Wykonano ją ze złota i mosiądzu, jej skład przypomina w pewnym stopniu stosowany obecnie osiemnastokaratowy stop. Kryształy z poprzedniego zdjęcia były przechowywane w niej, stąd wzięła się nazwa. To połączenie zaintrygowało Martina, ale my skupimy się na poszukiwaniu czegoś, o czym on nie miał bladego pojęcia. - Nacisnęła klawisz na pilocie, pokazując wzór wyryty na złotej powierzchni. Przypominał alfabet Braille'a. - Oto powiększenie spodniej części kołyski

- wyjaśniła. - W rzeczywistości to niezwykle dokładna mapa nieba widzianego z południowej półkuli. Podobna do tego, co Majowie uwieczniali w innych miejscach kultu.

McCarter przyjrzał się uważniej zdjęciu. Rozmieszczenie kropek faktycznie przypominało rozgwieżdżone niebo. Rozpoznał linię horyzontu, wydawało mu się też, że znalazł Krzyż Południa. W pewnym momencie zdał sobie jednak sprawę, że zdjęcie zostało zrobione z tak bliska, iż uwieczniło tylko część spodniej strony kołyski.

Zanim zdołał zapytać, dlaczego skadrowano ten obraz, Danielle znów zmieniła slajdy. McCarter zamilkł natychmiast i zapomniał o pytaniu. Symbole, które widział teraz - wyryte na powierzchni lśniącego metalu

- zachowały się niemal idealnie. Nie trzeba było domysłów ani skomplikowanej obróbki komputerowej. Nawet na nieretuszowanym zdjęciu mógł bez trudu odszyfrować wszystkie znane mu już hieroglify.

- Symbole te oznaczają miejsce zwane przez Majów Xibalba - objaśniła Danielle pozostałych członków grupy - czyli odpowiednik Hadesu, opisywane czasem jako miejsce, w którym pełzają potępione dusze, a innym razem przedstawiane jako dom Władców Ciemności. Podobnie jak piekło Dantego miało się ono znajdować pod powierzchnią ziemi. Istnieje nawet słynna

plaskorzeźba przedstawiająca Xibalbę jako lustrzane odbicie Ziemi, po którym Xibalbanie i Władcy Ciemności wędrują do góry nogami po sklepieniu swojego świata, a ich stopy stykają się z nogami ludzi idących po powierzchni ziemi nad nimi.

McCarter, nie mogąc oderwać wzroku od niewytłumaczalnego dla niego dowodu, którego nie mógł jednak w żaden sposób zanegować, zorientował się nagle, że Danielle spogląda na niego wyczekująco.

- Niesamowite - wyszeptał z podziwem.

- Też tak uważamy - przyznała, uśmiechając się szeroko.

- Jest pani pewna, że Martin znalazł tę kołyskę w Amazonii?

- Na to wygląda - zapewniła go Danielle, schodząc z podium. - Cholokwanie pokazali mu ją przed rozpoczęciem rytuałów mających spowodować nadejście pory deszczowej. Nie mówimy tu o klasycznym tańcu deszczu, niemniej był to ceremoniał oparty na podobnej zasadzie.

- I oni mu ją dali? Tak po prostu? - pytał dalej.

Danielle przewróciła oczami.

- To akurat jest nieco problematyczne, podobnie zresztą jak większość tez głoszonych przez Martina po powrocie. Jeśli wierzyć jego zapiskom, Indianie prehandlowali kołyskę i kryształy za teleskop, lampę naftową i kompas.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć - mruknął McCarter, siadając wygodniej i zakładając nogę na nogę.

- To jest nas już dwóch - rzucił Devers. - Mogę tylko dodać od siebie, że Cholokwanie są niezwykle wojowniczym ludem. Gdy przebywałem w tej okolicy jakieś dziesięć lat temu, byli oskarżani o atak na pracowników firmy wydobywczej BrazCo. Pięciu robotników zostało wówczas zabitych, a masa innych odniosła rany. I nie był to pierwszy taki przypadek w historii.

McCarter przytaknął jego słowom.

- To czyni relację Martina jeszcze mniej wiarygodną. Moim zdaniem negocjacje były prowadzone z bronią w ręku.

- Z tym akurat mogłabym się zgodzić. - Danielle ponownie zabrała głos. - Wielu ludzi uważa, że nieprzypadkowo nadano mu przydomek Blackjack. Tyle że nie zebraliśmy się tutaj, by oceniać charakter tego człowieka. Naszym zadaniem jest analiza jego amazońskich znalezisk. Uważamy, że kołyska i kryształy zostały zabrane podczas plądrowania ruin miasta Majów, na które natknęli się Cholokwanie w trakcie swoich wędrówek. Natomiast wspomniany Mur z Czaszek może być znakiem, który pozostawili po sobie Xibalbanie.

- Gdzie jest ta kołyska? - zapytał podnieconym głosem McCarter.

- Możemy ją obejrzeć?

- Niestety nie - odparła Danielle. - Kryształy Martina oraz złota taca znajdowały się do niedawna w magazynach Muzeum Historii Naturalnej w pana rodzinnym mieście, czyli Nowym Jorku.

- Do niedawna - powtórzył profesor. Te słowa brzmiały niepokojąco.

- Zostały skradzione mniej więcej rok temu - wyjaśniła Laidlaw - razem z czterema czy nawet pięcioma skrzyniami innych artefaktów pochodzących z Ameryki Południowej i Środkowej. Trąbiły o tym wszystkie media.

McCarter przypominał sobie wzmianki na ten temat, aczkolwiek nie pamiętał żadnych szczegółów podawanych w wiadomościach.

- Zdaje się, że było to włamanie do magazynów muzeum - zaczął ostrożnie.

Danielle przytaknęła.

- Nikt nie został oskarżony. Dwie ze skradzionych skrzyń odzyskano na lotnisku w Miami tuż przed wysłaniem za granicę, ale nie było w nich ani kryształów, ani kołyski. Obawiamy się,

że taca mogła zostać przetopiona, ponieważ nie miała wiele większej wartości niż złoto, z którego ją wykonano, a kryształy złodzieje sprzedali gdzieś za bezcen albo po prostu wyrzucili.

McCarter westchnął. Ileż to razy spotykał się z podobnymi przypadkami. Odkrywano coś, a potem gubiono. Wydobywano liczące tysiące lat artefakty, by zawieruszyć je zaraz albo zniszczyć przez nieuwagę.

- Czasami wydaje mi się, że takie tajemnicze przedmioty pragną pozostać w ukryciu - stwierdził.

Danielle uśmiechnęła się do niego i odłożyła pilota.

- Sama lepiej bym tego nie ujęła.

- Nie chce mi się wierzyć, że nikt nie dostrzegł tego wcześniej - powiedziała Susan, zamykając notatnik. - To tak oczywiste, że aż szalone.

Profesor podrapał się po brodzie. Ciekawiło go, w jakim znaczeniu użyła słowa „szalone”: pozytywnym czy raczej negatywnym? Myśląc o tym, poczuł nagle rosnącą ekscytację, a nawet oszołomienie, gdy zrozumiał, że teoria Danielle może być prawdziwa. Kamienie z wyrytymi na nich imionami pierwszych ludzi z mitologii Majów, i inne, na których widział opisową nazwę Tulan Zuyua, czyli Siedem Jaskiń. Oba te znaleziska wskazywały z pewnością na prapoczątki kultury Majów. A jeśli nawet zapisy były wynikiem nadinterpretacji wskutek analiz komputerowych w NIB-ie, nietknięta przez nikogo złota taca stanowiła niezbity dowód na to, że w dorzeczu Amazonki posługiwano się pismem Majów. Danielle miała rację minionej nocy: coś było na rzeczy.

Spojrzał raz jeszcze na ekran. Wyryte w złocie, jaskrawe symbole zdawały się wypełzać z ekranu. Patrząc na nie, nie potrafił się oprzeć myśli o kontraście, jaki stanowiły Tulan Zuyua i Xibalba. Raj i wrota do piekieł. Ciekawe, na które z nich natkną się w tutejszej dżungli...

## ROZDZIAŁ 10

Blady blask księżyca przebijał się przez otwory pomiędzy listowiem, oświetlając nierówny grunt. Wciąż było ciemno, ale nawet tak nikła poświata wystarczała samotnemu wojownikowi z plemienia Nuree do wytropienia ofiary.

Poruszał się w zaroślach w idealnej ciszy, wypatrując kolejnych śladów zwierzęcia, na które polował - ważącego co najmniej dwieście pięćdziesiąt funtów brązowego tapira. Kroczył z najwyższą ostrożnością, nie chcąc stracić rysującej się przed nim szansy. Polowanie przeciągało się ponad miarę, a ten tapir był pierwszą poważną zdobyczą, na jaką trafił od tygodni. Jeśli zwierzę usłyszy łowcę, gotowe pognać na oślep w kierunku koryta rzeki, gdzie jego pobratymcy kryją się w gęstwinie całymi dniami, czekając na zapadnięcie nocy, bo tylko pod osłoną całkowitych ciemności odważają się wyruszyć na żer.

Wojownik zamarł, gdy poczuł zupełnie nowy zapach: dym. Nie był to łagodny aromat drewna płonącego w ognisku, tylko kwaśny odór palonych zwłok.

Chwilę później natknął się na źródło tego smrodu. Na niewielkiej polance pomiędzy masywnymi pniami zauważył coś, co przypominało na pierwszy rzut oka kupkę mocno rozłożonego kompostu. Stos chrustu i gałązek, nakryty zeschniętymi liśćmi paproci, które wciąż płonęły, czerniejąc i zwijając się na brzegach. Nad tym wszystkim wisiał szary, gęsty dym, otulając niewielki kopczyk niczym potępiona dusza.

Wojownik podszedł bliżej. Ogień zrobił już swoje, jedna strona usypanego stosu zapadła się, odsłaniając wnętrze, w którym spoczywały spalone na węgiel ludzkie szczątki. Spoglądał prosto na poczerńiałe kości.

- *Chokawa* - wymamrotał z odrazą słowo, którego lud Nuree używał na określenie mieszkającego opodal dziwnego plemienia Chollockwanów. Atakowali każdego, kto wkraczał na ich terytorium. Jego wuj bał się ich jak ognia. Ludzie Cienia, tak o nich mówił. Twierdził, że Chollockwanie robią złe rzeczy, i błagał go, by nigdy nie polował w tych okolicach.

Młodzieniec nie czuł aż tak wielkich obaw, lecz zatrzymał się w tym niesamowitym miejscu. Przez chwilę rozważał nawet myśl o powrocie, ale gdy jego wzrok spoczął na śladach tapira, natychmiast ją porzucił.

Kilka minut później usłyszał buszujące w zaroślach zwierzę. Przystanął, gdy ujrzał je po raz pierwszy, ryjące wśród poszycia w poszukiwaniu ulubionych gatunków roślin. Napiął mięśnie, uniósł powoli włócznię, a potem cisnął ją z całych sił.

Poleciała prosto do celu, trafiając zwierzę w bok. Tapir zaskowyczał z bólu i pognał między drzewa. Myśliwy pobiegł za nim, nie bacząc na smagające go z obu stron liście i gałązki. Namierzał uciekającą ofiarę po dźwiękach, które wydawała. Tapir ciężko dyszał, chrupkał i tratował uschnięte gałęzie.

Gdzieś w oddali rozległ się nagły, przenikliwy skrzek. Uznał, że zwierzę w końcu skonało, ale po dotarciu na miejsce znalazł jedynie swoją dzidę. Jej ostrze wciąż umazane było we krwi, a wokół leżały kępki brązowego futra. Zdobyczy nie było jednak widać.

Wojownik zastanawiał się przez moment, czy nie zdołała mimo wszystko uciec, uwolniwszy się od tkwiącej w ranie broni, ale zauważył, że trop tapira urywa się w tym miejscu.

Podniósł dzidę i obejrzał jej czubek, sprawdzając, czy nie uległa uszkodzeniu. Gdy to robił, do jego uszu doszedł cichy szelest dobiegający z zarośli naprzeciw. Zamarł, nasłuchując jeszcze uważniej. W kompletnej ciszy zdołał wychwycić delikatne dyszenie. Podkraść się do zarośli, uniósł włócznię i dźgnął nią z całych sił.

Zaostrzony czubek trafił w coś twardego i natychmiast się odbił. Wibrujące drzewce złamało

się w tym samym momencie, gdy spomiędzy liści wystrzelił czarny kształt. Wojownik ujrzał błysk ostrych jak noże kłów i poczuł smród gnijącego mięsa.

Uderzony poleciał w tył, z dwiema ukośnymi ranami na piersi. Upadł na ziemię, błyskawicznie przetoczył się na brzuch i spróbował umknąć na czworakach. Nagle poczuł, że coś wbija mu się w łydki, i zawył głośno z bólu.

Bestia ciągnęła go po ziemi w kierunku zarośli. Wciąż wrzeszcząc, zdołał pochwycić gruby, wystający korzeń. Oplótł go rękami, powstrzymując na chwilę ruch. Wił się w katuszach, gdy potwór szarpnął mocniej, wyrzucając go wysoko w górę.

Upadł twarzą do ziemi i zdał sobie sprawę, że został puszczonego. Poczłogał się przed siebie. Chwila ulgi była jednak bardzo krótka, parę sekund później ponownie zawył z bólu i wygiął plecy w łuk, gdy bestia znów ukąsiła go w nogę, tym razem nieco wyżej, w mięsień tuż pod kolanem.

Następnie poczuł jeszcze silniejsze szarpnięcie, jego ręce oderwały się od podłoża. Poleciał do tyłu, objając się o grunt, i zniknął w zaroślach, wrzeszcząc przeraźliwie.

## ROZDZIAŁ 11

W LABORATORIUM PANOWAŁY NIEPRZENIKNIONE CIEMNOŚCI, rozjaśniane tu i ówdzie kolorowymi punkcikami diod i jarzącymi się w kilku szeregach monitorami komputerów. Precyzyjne, symetryczne rozmieszczenie stanowisk przywodziło na myśl najlepsze rządowe ośrodki, takie jak choćby należące do Centrum Kosmicznego NASA imienia Johnsona na przylądku Canaveral, albo pogrążone w wiecznym półmroku pomieszczenia wież kontrolnych na lotniskach. Ta placówka nie należała jednak do rządu, a dwaj pracujący w niej mężczyźni nie mieli nic wspólnego z federalną biurokracją. Co więcej, analizowali w tej chwili informacje wykradzione z bazy danych Narodowego Instytutu Badawczego.

W miarę napływu kolejnych plików, gdy widoczne na ekranach ciągi liczb ulegały powolnym zmianom, na twarzach obecnych w pomieszczeniu ludzi pojawiały się zgoła przeciwstawne reakcje. Pierwszy z nich - wysoki, czarnowłosy, ponadpięćdziesięcioletni mężczyzna - uśmiechał się z satysfakcją. Ubrany w nienagannie skrojony garnitur, rozparty wygodnie w fotelu i zrelaksowany, wyglądał na zadowolonego z siebie.

Nazywał się Richard Alexander Kaufman. Laboratorium należało do niego, podobnie jak dwudziestopiętrowy budynek o pokrytej szafirowobłę-kitnym szkłem, śmiałej bryle architektonicznej, w którym się mieściło.

Kaufman był prezesem i zarazem właścicielem Futurex Systems Inc., jednej z największych prywatnych firm zbrojeniowych świata. Jego zakłady otrzymywały spory procent rocznego budżetu obronnego Stanów Zjednoczonych, mimo że nie produkowały rakiet ani bomb. Futurex zajmował się tworzeniem potęg w wirtualnym wymiarze zero-jedynkowym. Projektowano w nim systemy komputerowe, sieci przesyłu danych i superszybkie oprogramowanie oparte na procesach zwanych przetwarzaniem równoległym na wielką skalę.

Programy Futureksu wykorzystywano przy projektowaniu i testowaniu nowych rodzajów uzbrojenia; łączyły w gigantyczną sieć AWACS-y, satelity, okręty wojenne, czołgi oraz żołnierzy piechoty. Powiada się, że dzisiejsze bitwy można wygrać bądź przegrać nie dzięki broni, ale właśnie informacji. A systemy Futureksu pozwalały żołnierzom biorącym udział w akcji na dostęp do informacji będących w posiadaniu pilotów i sztabowców. Armia uważała je za tak istotny element systemu obrony narodowej, że płaciła ogromne sumy tylko za to, by Futurex nie

opracowywał innych wersji swego oprogramowania. Z tego właśnie powodu firma Kaufmana nie była znana na cywilnych rynkach. Aby zagwarantować jej jednoosobowe kierownictwo i własność, nie została też wprowadzona na giełdę. Zaowocowało to niezwykłym zjawiskiem w nowoczesnym świecie. Pojawiła się warta dwadzieścia miliardów korporacja, o której nikt nigdy nie słyszał.

Dwie dekady nieustających sukcesów wystarczyłyby do usatysfakcjonowania większości ludzi, ale na pewno nie Richarda Kaufmana. On chciał więcej. Pragnął kolejnej fali niekwestionowanych sukcesów, szansy zmiany świata i, co może najważniejsze, powiedzenia ludziom, że to wyłącznie jego zasługa.

Przywykł do tego, że spełniały się wszystkie jego zachcianki. Miał przyjaciół na wysokich i niższych stanowiskach, miał pieniądze, władzę i doświadczenie pozwalające mu na robienie praktycznie wszystkiego. Potrzebował jedynie środka, który by mu umożliwił osiągnięcie celu, i właśnie na jego poszukiwanie poświęcił sporą część ostatnich dziesięciu lat.

- Co o tym myślisz? - zapytał, spoglądając w lewo.

Siedzący obok mężczyzna wyglądał na poirytowanego. Norman Lang dobiegał czterdziestki, ale wciąż ubierał się niechlujnie jak za czasów studenckich. Nosił sztruksy i wypuszczoną ze spodni flanelową koszulę, teraz ukrytą pod białym fartuchem laboratoryjnym. Rzedniejące włosy na głowie miał w wiecznym nieładzie, ale za to niezwykle starannie przycinał krótką bródkę.

Był głównym specjalistą Kaufmana, zajmował się jednak wyłącznie nietypowymi polami zainteresowań szefa. Można by rzec, że był naczelną kanałą firmy. Niegdyś znakomity naukowiec, popadł w niełaskę, gdy przyłapano go na fałszowaniu wyników przeprowadzanych eksperymentów i utknął w akademickiej wersji czyścica, skąd wyciągnął go dopiero Kaufman.

Można było odnieść wrażenie, że właściciel Futureksu do pewnego stopnia podziwiał tego niezbyt uczciwego człowieka, a że on sam, otoczony niesławą, nie miał przed sobą perspektyw, czyniło to zeń materiał na niezwykle lojalnego pracownika. Kaufman przyjął więc Langa, dając mu niemal nieograniczony budżet i wyznaczając cele wykraczające daleko poza legalną działalność korporacji. Rozkazy były proste: Lang miał odkryć nową falę, a potem sprawić, by teoria stała się praktyką. Jak na razie nie odniósł na tym polu wielkich sukcesów.

Naukowiec podrapał się po głowie, a potem zdjął okulary w plastikowej oprawie i rozmasował palcami miejsce u nasady nosa, na którym się opierały. Odpowiedział pytaniem na pytanie, jak miał w zwyczaju.

- Dlaczego przy żadnym z tych plików nie ma streszczeń ani objaśnień? Dlaczego mamy wyłącznie gołe dane?

Kaufman sam się nad tym zastanawiał, ale prawdę powiedziawszy, podobał mu się taki sposób przechowywania danych - zmuszał bowiem Langa do wyciągania własnych wniosków.

- Nie wiem - przyznał. - Czy to jakiś problem?

Naukowiec założył ponownie okulary.

- Mogę je odczytać. Kłopot polega na tym, że one wydają się...

- Sfabrykowane? - zapytał Kaufman.

- Raczej wykraczające poza obowiązujące teorie - poprawił go Lang.

Richard westchnął. Uważał się od dawna za znawcę ludzkich charakterów, wierzył też, że zawsze znajdzie sposób na dotarcie do tych nawet najtrudniejszych. Jednych kupował uprzejmością, drugich zmuszał do współpracy siłą. Z Langiem radził sobie, przypominając mu nieustannie o poniesionych porażkach - udawało mu się nakłonić naukowca do podejmowania działań, których unikałby w innym razie jak ognia.

- Jesteś całkiem niezły jak na badacza - rzucił teraz - ale brakuje ci głębi przemyśleń. NIB zlecił kradzież z Muzeum Historii Naturalnej, tworząc wiarygodną przykrywkę dla tej akcji.

Wydał miliony dolarów na testy i zaszyfrował wyniki za pomocą najlepszych kodów, do jakich miał dostęp.

Następnie wysłał do Amazonii dwie oddzielne ekspedycje, aby odnaleźć miejsce pochodzenia kryształów. Co ty, posiadacz ścisłego umysłu, możesz powiedzieć na to wszystko? - Lang wolał trzymać język za zębami, więc Kaufman dodał natychmiast: - Odpowiem za ciebie. NIB sądzi, że odkrył źródło nowej energii. Czystą i dającą nielimitowane ilości energii reakcję jądrową, która nie wymaga kłopotliwej utylizacji tak zwanych odpadów promieniotwórczych.

- Czyli fuzję - sprecyzował Lang.

- Zgadza się - potwierdził Kaufman.

Zimna fuzja była postrzegana przez wielu naukowców jako źródło energii dwudziestego pierwszego wieku - i zarazem idealne rozwiązanie dla zadymionego świata, zatrwożonego skutkami globalnego ocieplenia i groźbą wyczerpania źródeł paliw kopalnych. Było nie było, podobny rodzaj fuzji dał już ludzkości bombę wodorową, symulującą reakcje zachodzące we wnętrzu Słońca. Teoria głosiła, że można ją okiełznać, nie niszcząc przy okazji całych miast, i dać światu nowy rodzaj energii. Dlatego naukowcy z wielu ośrodków na świecie pracowali zawzięcie, skupiając się wyłącznie na jednym z tych źródeł, czyli gorącej fuzji.

Aby być jednym z graczy na arenie gorącej fuzji, trzeba było posiadać ogromne pieniądze na opłatę wejściową. Doprowadzenie do niej wymagało miliardowych nakładów i dziesiątek lat wytężonej pracy. Wszelkie dotychczasowe działania doprowadziły tylko do stworzenia gigantycznych konstrukcji, które pochłaniały więcej energii, niż produkowały. To jakby spalić zawartość dwóch baryłek ropy, by wydobyć objętość jednej na powierzchnię ziemi.

Mimo takiego stanu rzeczy pompowano kolejne dziesiątki miliardów w następny etap badań, czyli wielki projekt na południu Francji, noszący nazwę ITER, co jest nie tylko skrótem, ale także zaczerpniętym z łaciny słowem, które można przetłumaczyć jako „przejście” albo „droga”. Czy owo przedsięwzięcie okaże się zgodne z nazwą, tego nikt dzisiaj nie wiedział, a poznanie prawdy miało zająć z pewnością jeszcze wiele lat. Według ostatnich szacunków ukończenie projektu było przewidywane dopiero na rok dwa tysiące osiemnasty. I nawet jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, jedynym skutkiem będzie stworzenie kolejnych, tym razem o wiele potężniejszych i droższych prototypów, a od nich do budowy prawdziwych reaktorów jeszcze daleka droga.

Przewidywania mówiły, że od faktycznego wdrożenia tej technologii dzieli nas jeszcze pięćdziesiąt do nawet stu lat, co oznaczało, że tak zwana energia dwudziestego pierwszego wieku będzie dostępna dopiero w kolejnym stuleciu. A to były zbyt odległe czasy jak dla Richarda Kaufmana.

Dlatego postanowił zmierzać ku innemu celowi, nieco mniejszemu, choć bardziej kontrowersyjnemu i, co tu ukrywać, skażonemu na wieczność od momentu narodzin: czyli zimnej fuzji.

- Zakładając, że nie mamy do czynienia z typowymi wioskowymi przygłupami - kontynuował Kaufman - powiedziałbyś, że te zachowania świadczą o odkryciu czegoś czy wręcz przeciwnie?

- Jeśli ich pomiary są dokładne, to tak, mogli wpaść na coś nowego.

- Lang wykonał klasyczny unik.

- Mógłbyś to wyjaśnić?

- Jeśli wierzyć opisowi, badali cztery kryształy, z których dwa zawierały inkluzje, w tym wypadku włókna palladu. A w niemal wszystkich eksperymentach z zimną fuzją, jakie udało się pomyślnie przeprowadzić, wykorzystywano właśnie ten pierwiastek. Nawet Fleishman i Pons korzystali z palladu, zanim zostali spaleni na stosie jako heretycy.

Fleishman i Pons byli naukowcami, którzy odkryli zimną fuzję. Cieszyli się przez moment zasłużoną sławą, zanim lobby badaczy gorącej fuzji, w obawie przed utratą grantów i dotacji, nie przypuściło frontalnego ataku na nich i ich eksperymenty. W ekspresowym tempie zniszczono reputację obu badaczy, a ich pracę skreślono i potraktowano jak inne fałszerstwa. Czasopisma naukowe odmawiały potem publikacji artykułów dotyczących zagadnień związanych z zimną fuzją, a znane uniwersytety zabraniały swoim pracownikom prac na tym polu. Zwykle zainteresowanie pomysłem mogło oznaczać faktyczny koniec kariery naukowej.

- Pallad - mruknął Kaufman. - To ciekawe. Mów dalej.

Lang podniósł jedną z leżących przed nimi zadrukowanych kartek i podał szefowi.

- Jeśli NIB się nie myli, kryształy mają następujące cechy: emitują promieniowanie tła charakterystyczne dla reakcji niskoenergetycznej, zawierają śladowe ilości metali, głównie naloży srebra i miedzi na końcach, oraz mają silną koncentrację siarki w kwarcu. Co najważniejsze, stwierdzono w nich także obecność znaczących ilości uwięzionego trytu w postaci gazowej.

Kaufman przyglądał się uważnie wydrukowi, poruszony podniosłością tej chwili. Trypt był pierwiastkiem, którego szukali. Ubocznym produktem powstającym wyłącznie podczas reakcji jądrowych. Pozostałe właściwości inkluzji były tyleż rzadkie, co dziwne, niemniej w jakiś sposób wytłumaczalne, czego nie można było powiedzieć o obecności trytu. Gaz ten dowodził, że kryształów używano podczas reakcji, która uwalniała energię atomu. A fakt, że przetrwały ten proces, sugerował jednoznacznie, że musiała to być zimna fuzja.

- O ile te dane są poprawne - zastrzegł ponownie Lang.

Kaufman nie miał jednak wątpliwości co do precyzji prac przeprowadzonych w NIB-ie.

- Co jeszcze mówią te dane?

- Kryształy składają się głównie z kwarcu. Oprócz tego wykryto w nich również mikroskopijne linie układające się w geometryczne wzory, mówimy tutaj o rzędach wielkości na poziomie molekularnym, czyli liczonych w angstromach. Nie wiem, jak powstały ani do czego mogą służyć, niemniej działają jak światłowody optyczne, które przepuszczają przez kryształ fale świetlne określonej długości, zatrzymując wszystkie pozostałe. Efekty widać tylko pod polaryzatorami.

- O jakiej długości fal mówimy?

- O spektrum wysokoenergetycznym: fiolet, ultrafiolet i wyżej. Zgodnie z raportem we wszystkich czterech badanych kryształach znaleziono bardzo podobne kanaliki, z tym że wzorce w dwóch parach różnią się znacznie. Te z inkluzją mają o wiele bardziej skomplikowaną sieć falowodów. ... - Lang zamilkł na moment. - NIB uznał je w raporcie za półprodukty, coś jak kawałki nie do końca obrobionego metalu, z którego mają zostać wykonane elementy jakiegoś urządzenia.

- A co sądzisz o ostatnim transferze danych? - zapytał Kaufman.

- Widzisz w nich jakiś sens?

Lang pochylił się i otworzył kolejny program komputerowy.

- Proszę bardzo - stwierdził z zadowoloną miną.

Richard spojrział na ekran i zobaczył rój przypadkowo rozrzuconych punktów rozmaitej wielkości. Na czarnym tle widać było także kilka łuków i linii prostych. Dwie dzieliły ekran na cztery części, przecinając się na samym środku. Nic mu to nie mówiło.

- Na co patrzę? - zapytał.

- Na dane przedstawione w formie graficznej - wyjaśnił Lang.

- Czy to jakiś rodzaj wykresu?

- Nie. Z tego, co mi się wydaje, mamy do czynienia z mapami nieba. Dokładniej rzecz ujmując, z czterema osobnymi mapami.



- To są mapy nieba?

- Takie, jakich starożytni żeglarze używali do astronawigacji - wyjaśnił Lang. -

Popracowałem troszkę nad pierwszą. To układ gwiazd widocznych z półkuli południowej.

Zaciekawienie Kaufmana wyraźnie wzrosło. NIB wysłał ludzi do Brazylii, aby szukali źródeł pochodzenia kryształów.

- Czy można wyliczyć szerokość i długość geograficzną miejsca, z którego widać taki układ gwiazd, zakładając oczywiście, że ta mapa jest dokładna?

- Jeszcze tego nie wiem - przyznał naukowiec. - Na razie mogę tylko powiedzieć, że chodzi o miejsce na półkuli zachodniej, na południe od równika.

Zanim Kaufman zdążył odpowiedzieć, zadzwoniła jego komórka.

- O co chodzi? - zapytał przemysłowiec, oddalając się od Langa.

- Sprawdziliśmy wszystkie szpitale, jak pan nam kazał - w słuchawce odezwał się mężczyzna mówiący z niemieckim akcentem - i znaleźliśmy człowieka, który mógłby pana zainteresować. Nikt nie zna jego nazwiska, leży teraz w niewielkim szpitaliku na obrzeżach Manaus. Trafił tam dziesięć dni temu po dłuższym pobycie w klinice gdzieś w górnym biegu rzeki. Ponoć był w bardzo złym stanie, gdy go przywieziono. Bredził, miał poparzenia słoneczne, był odwodniony i wykazywał objawy poważnego niedożywienia. Do tego dochodzi otwarte złamanie prawej nogi. Przeżył jednak i wciąż znajduje się na miejscu. Wydaje mi się, że powinien pan z nim porozmawiać.

- Dlaczego?

- Choćby dlatego, że potwierdził, iż pracował dla Heliosa. - Richard Kaufman rzadko nie znajdował słów, ale w tym właśnie momencie mógł tylko milczeć. Zyskał dwie wtyczki w NIB-ie. Dwóch sfrustrowanych pracowników, którzy byli gotowi sprzedać Instytut za uczciwą cenę. Jednym z nich był uczestnik pierwszej wyprawy do dżungli, tej samej, która zniknęła potem w niejasnych okolicznościach. Podał temu człowiekowi hasło, które miał nadać drogą radiową, gdyby potrzebował ewakuacji po tym, jak już ukradnie to, co zostanie odkryte przez wysłanników NIB-u. Tym hasłem było słowo: Helios. Imię greckiego boga słońca. Wydawało się bardzo właściwe do tej operacji.

- Pracował dla Heliosa? - powtórzył Kaufman. Słowo się zgadzało, ale nie zdanie. - Jesteś pewien, że właśnie to powiedział?

- Tak. Dopytywał się, dla kogo pracujemy, a gdy nie uzyskał odpowiedzi, stwierdził, że powinniśmy wiedzieć, iż wykonywał zlecenie Heliosa. Dodał też, że ma coś, co zainteresuje Heliosa. Coś, co przekaże wyłącznie osobiście.

- Próbowaliście przekonać go do zmiany zdania?

- Staraliśmy się, ale proszę pamiętać, że ten człowiek leży w szpitalu.

Kaufman doceniał ich ostrożność.

- Dobrze. Miejcie na niego oko, ale sprawdźcie dyskretnie, czy to nie kret przysłany przez NIB, żeby sprowadzić nas na manowce. Gdy będziecie mieli pewność, przylecę do was i spotkam się z nim. Na razie nie ma prawa ruszyć się stamtąd bez naszej zgody, rozumiano?

Richard rozłączył się i spojrzał na pozieleniałego lekko Langa.

- Co to miało znaczyć, u licha? - zapytał podenerwowany naukowiec.

Kaufman uśmiechnął się.

- Nasz kolejny przystanek znajduje się na półkuli zachodniej, na południe od równika.

Lang nie wyglądał na zadowolonego, ale przemysłowiec znał go doskonale, więc wiedział, że wrodzona chciwość każe mu podążać do końca za rzuconą marchewką i wykonywać rozkazy. Nie można mu było jedynie wyjawiać zbyt wiele prawdy naraz.

## ROZDZIAŁ 12

Siedemdziesiąt dwie godziny po odprawie w hotelu Danielle i nowa ekipa NIB-u znajdowali się pięćset mil w górze rzeki, płynąc napędzaną silnikiem Diesla łodzią o dźwięcznej nazwie Ocana, której kapitanem był jeden z przyjaciół Hawkera. Tubylcy nazywali ją mleczną łodzią, jako że dowoziła zaopatrzenie do położonych w górze rzeki wiosek. Miała szeroki pokład, ostry dziób i ogromny zbiornik paliwa, pozwalający na pokonanie drogi tam i z powrotem. Nie było na niej niestety kajut ani innych wygod, dlatego członkowie wyprawy zatrzymywali się na noc i rozbijali obozowisko na brzegu, głównie dlatego, by uciec choć na chwilę z klaustrofobicznego pokładu.

Całymi dniami płynęli, układając się jak najwygodniej na twardych deskach. Zespół Danielle liczył czternastu ludzi, wliczając w to Pika Verhovena, jego czterech południowoafrykańskich najemników i trzech miejscowych tragarzy, którzy zajmowali się zapasami żywności i sprzętem.

Białowłose szef ochrony o rumianej, mocno opalonej twarzy, po której wiła się długa blizna przypominająca odcisk fragmentu drutu kolczastego, wyglądał upiornie. Miał sześć stóp i cal wzrostu i ważył nie mniej niż dwieście czterdzieści funtów. Poruszał się ociężale, jakby chciał dać ludziom czas na zejście mu z drogi. Tych, którzy znaleźli się zbyt blisko, miażdżył okrutnym spojrzeniem, potrącał w bezceremonialny sposób albo spluwał im prosto na buty przeżuwany nieustannie tytoniem.

Nikt prócz DanieUe nie przejawiał ochoty na kontaktowanie się z Verhovemem i jego ludźmi. Nawet Hawker, który znał go jeszcze z RPA, starał się omijać go wzrokiem.

Laidlaw wiedziała, że jej szef ochrony i pilot współpracowali, zanim ten drugi został usunięty z CIA. Słyszała też, że nadal jest między nimi sporo złej krwi. Gdy zapytała o to wprost, Verhoven zareagował gniewnym warknięciem, które miało wszystkiemu zaprzeczać, a potem oświadczył, że NIB musi być naprawdę zdesperowany, skoro szuka wsparcia ze strony kogoś takiego jak Hawker.

Pilot był wylewniejszy, choć równie wrogi.

- Ten facet to urodzony sukinsyn - wyjaśnił - i na pewno nie nazwałbym go przyjacielem. Domyślałem się jednak, że właśnie dlatego go wynajęliście.

Zrozumiała z jego wypowiedzi tyle, że każdy, kto okazałby się na tyle szalony, by stanąć na drodze Verhovena - w tym nawet sam Hawker - szybko by tego pożałował, a dotyczyło to zwłaszcza ludzi mogących zaatakować jej zespół. Dlatego mimo widocznych tarć pomiędzy oboma mężczyznami poczuła się pewniej i spokojniej.

Nieświadoma tych podziałów Ocana płynęła na północny zachód, pozostawiając za sobą nurt Amazonki i zagłębiając się śladami Blackjacksa Martina w skażone czernią taniny wody rzeki Negro. Im głębiej wplywali w dziewicze lasy deszczowe, tym bardziej skupiała się Danielle. Odzywała się coraz rzadziej i reagowała z rosnącą podejrzliwością na wszystko, co działo się wokół niej: wystarczyło dziwne spojrzenie jednego z ludzi Verhovena albo zbyt długo wiszący nad ich głowami samolot.

W końcu zrozumiała, że powinna wziąć się w garść. Jeśli nie zdoła utrzymać nerwów na wodzy, jej nastrój udzieli się pozostałym członkom wyprawy. Zdołała ukoić nerwy na całe przedpołudnie, ale gdy w oddali przed nimi pojawił się jakiś pływający obiekt, obawy powróciły ze zdwojoną siłą.

Widok nie sugerował wprawdzie wielkiego zagrożenia, niemniej sposób, w jaki liście i ułamane gałęzie skupiały się wokół czegoś ukrytego w wodzie, budził jej niepokój. Mimo że

starala się z całych sił, nie zdołała zwalczyć myśli o tym, iż jest to zły omen.

- Zmniejszyć obroty silnika - zakomenderowała. - Widzę przeszkodę w wodzie przed nami!

Okrzyk zwrócił uwagę reszty załogi. Verhoven zauważył jej spojrzenie i od razu ruszył na dziób.

- Widzisz to?

Skinął głową.

- Tak.

- Spróbuj to przyciągnąć, zanim nas minie.

Gdy najemnik schylał się po wiosło, za jego plecami zgromadził się niewielki tłum. Sterujący łodzią kapitan zmniejszył obroty śruby i obrócił Ocanę bokiem do nadpływającego przedmiotu.

Ledwie łódź się zatrzymała, pokryta listowiem przeszkoda uderzyła lekko w burtę. Verhoven przytrzymał ją wiosłem.

Wszyscy wytrzeszczyli oczy.

- Och, to obrzydliwe - jęknęła Susan.

- Zwłoki. - Danielle poinformowała tych, którzy nie mogli ich zobaczyć.

Mieli przed sobą oplątane pnączami i innymi roślinami ciało tubylca. Dolna część tułowia i nogi znajdowały się pod wodą, widziała więc jedynie jego barki i tył głowy.

- Możesz go oczyścić? - zapytała spokojnym, ale też zatroskanym tonem.

Verhoven wykonał jej polecenie, zrywając pnącza końcem wiosła. Odepchnął płataninę gałęzi, które przylgnęły do ciała, a potem skupił uwagę na liczącej niemal trzy stopy długości kłodzie unoszącej się niedaleko głowy topielca. Popchnął ją mocno i ciało natychmiast podążyło za nią. Na powierzchni pojawiły się zaraz obie ręce. Były przywiązane cienkimi linkami do konaru.

Najemnik splunął tytoniem za burtę.

- Ktoś go przywiązał do tego cholerstwa.

Danielle widziała prymitywne więzy, którymi spętano tego człowieka. To nie był dobry znak i szczerze mówiąc, wolałaby, by jej ludzie nie patrzyli na podobne widoki.

Niestety dostrzegli już ten szczegół i wyciągali teraz szyje jak rasowe sępy na widok wypadku samochodowego, starając się zobaczyć jak najwięcej. Obserwowali poczynania Verhovena, który tym samym wiosłem próbował teraz zawrócić kłodę. W trakcie tych zabiegów zwłoki obróciły się na tyle, by mogli dostrzec twarz zabitego. Gapie przyglądali się w milczeniu. Brązowa skóra okolona mokrymi czarnymi włosami w porównaniu z resztą ciała wydawała się nietknięta. Za to korpus Indianina nosił ślady kilku rodzajów obrażeń. Widać było dwa spore otwory w klatce piersiowej oraz parę długich rozcięć biegnących od ramienia aż na brzuch. Na ciele znajdowały się także wielkie, nabrzmiące czernią pęcherze, każdy wielkości połówki dorodnego grejpfruta.

- Co mu się przytrafiło? - jęknął w końcu Polaski, wyrażając na głos pytanie, które musiało dręczyć wszystkich.

Danielle przyjrzała się dziurom w klatce piersiowej. Były spore i okrągłe.

- Czy to ślady po kulach?

Verhoven pokręcił głową.

- Za duże. Przy ranach wlotowych tej wielkości miałyby w plecach otwory rozmiarów tunelu kolejowego. Moim zdaniem został na coś nadziany

- zasugerował najemnik. - Może wbito mu zaostrzone kołki...

Danielle potrzebowała konkretów. Przyklękła przy burcie Ocany i osobiście przyjrzała się otworom. Charakterystyczne uszkodzenia skóry świadczyły, że oprawcy wyszarpnęli narzędzie, którym się posługiwali przy zadawaniu tych ran.

- Cokolwiek to było, zostało potem wyciągnięte - oświadczyła. - Nie zostawiono tego w ciele.

Pozostali członkowie ekipy tłoczyli się wokół niej, chcąc mieć lepszy widok.

- A co powiesz o tym? - zapytał Devers, wskazując na czarne pęcherze.

- Tylko proszę nie mówić, że to Ebola albo inne cholerstwo tego typu.

Skóra na niektórych bąblach była popękana, jakby coś je rozsadziło od środka. Inne wyglądały, jakby je ktoś porozcinał. Może tym sposobem starano się zapobiec samoistnym rozerwaniom. W tym momencie przydałby się w składzie ekspedycji prawdziwy lekarz, choć oznaczałoby to obecność jednego cywila za dużo. Musiał jej wystarczyć fakultet z biologii i podstawowe szkolenie medyczne, jakie przeszła w NIB-ie.

- Nie ma wybroczyn - powiedziała, wężąc za burtą - nie czuję też smrodu infekcji. -

Właściwie niewiele dało się wyczuć, co sugerowało, że człowiek został zabity niedawno, na pewno w ciągu ostatniej doby. - To mi wygląda raczej na reakcję organizmu - skomentowała - na coś takiego jak oparzenia środkami chemicznymi albo opuchlizny po uderzeniach.

- Zastanawiała się, czy to nie skutek przebywania ciała w wodzie. Spojrzała na Deversa. - Poza tym Ebola stanowi zagrożenie wyłącznie w Afryce.

- Dobrze wiedzieć - odparł, przysuwając się bliżej. - Ebola, wieczna zmarzlina, czego to ja się nie nauczę podczas tej wyprawy.

Danielle wstała i odepchnęła go od siebie. Wkurzała ją jego gadatliwość i tak mała odległość.

- Zostań tam, gdzie jesteś - poleciła, a potem odwróciła się do Verhovena. - Czy możesz mi pokazać jego nogi?

Łatwiej było odpowiedzieć twierdząco, niż spełnić prośbę. Najemnik przytrzymał ciało wiosłem, a za każdym razem, gdy tylko zmniejszył nacisk, prąd wody opływającej łódź pociągał zwłoki w stronę dziobu lub rufy.

- Daj mi tu drugie wiosło! - zawołał w kierunku jednego ze swoich ludzi.

Zastępca Verhovena chwycił kolejne drzewce i używając go jak dźwigni wy dobył nogi zabitego na powierzchnię. Nie było to jednak łatwe - dopiero po dłuższej chwili zrozumieli dlaczego. Do kostek ofiary przywiązano sieć pełną płaskich kamieni.

- Ostro się z nim obeszli - uznał najemnik, spluwając dla podkreślenia wagi wypowiedzanych słów. - Ręce przywiązali do gałęzi, żeby nie poszedł na dno, a nogi obciążyli kamieniami, uniemożliwiając wypłynięcie. Chłopak musiał naszczać wodzowi do ulubionej tykwy.

Zastępca Verhovena wyglądał na zdegustowanego.

- Cholerni tubylcy - mruknął.

McCarter podszedł do Danielle, starając się jednak nie naruszyć jej strefy prywatności.

- To prawda. Cywilizowany człowiek nie zrobiłby czegoś podobnego - Najemnik otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamilkł, widząc groźne spojrzenie szefa. Profesor uklęknął obok Laidlaw, aby pomóc jej w badaniu zwłok. Obejrzeliby razem linki w miejscu, gdzie oplatały nadgarstki. Na skórze były lekkie przebarwienia, lecz nie zauważyli śladów otarć.

- Wydaje mi się, że przywiązano go już po śmierci - powiedział. - Nie ma śladów walki ani szarpaniny z więzami.

- Najpierw zabijają, potem wiążą - prychnął Verhoven. - To raczej dziwny sposób postępowania.

- Ma na ciele także ślady po pazurach - wtrącił Polaski, wskazując długie, równoległe rozdarcia. - Może został zabity, a potem przywiązany do gałęzi jako ofiara dla dzikich zwierząt.

McCarter pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem o podobnych rytuałach wśród plemion zamieszkujących dorzecze Amazonki. Poza tym gdyby dopadło go zwierzę, byłby przynajmniej nadjedzony.

Danielle nie wdawała się w tę dyskusję. Starła się przemyśleć sprawę. Handlarze, z którymi rozmawiała, zanim Arnold wyjechał, opowiadali dziwne historie o okolicznych plemionach. Niektóre wydawały się tak niesamowite, że aż niewiarygodne. Może były to bujdy, na jakie naciąga się turystów, ale jedno wydawało się pewne. Wszyscy oni lękali się Chollokwanów. W każdej opowieści dotyczącej tego plemienia pojawiał się motyw dziwnych okaleczeń przypominających to, co teraz widziała. Ciała ofiar przypalano, nadziewano na pal i rozrywano. To plemię polowało na ludzi równie często jak na zwierzyne. Dlatego nazywano ich tu Ludem Cienia Zarazy.

Spoglądając na okrągłą twarz zabitego, wróciła myślami do Dixona i zaginionej wyprawy. Wszyscy byli doskonale wyszkoleni i dobrze uzbrojeni, a mimo to ślad po nich zagaął. Zastanawiała się, czy nie natrafią na ich zwłoki gdzieś w górze tej rzeki. Miała szczerą nadzieję, że tak się nie stanie.

Podczas gdy się zastanawiała, pozostali pasażerowie łodzi powoli otrząsali się z szoku i dawali upust niezdrowej fascynacji. Snuli także rozmaite teorie. Kilka minut później nawet Hawker podszedł do burty. Jemu jednak wystarczył tylko rzut oka na zwłoki.

- Cudnie - mruknął, nie kryjąc sarkazmu. - Potrafisz określić, z jakiego plemienia pochodził ten człowiek? - zapytał, zwracając się do Deversa.

Zabity był nagi, nie miał też na sobie żadnych ozdób ani znaków.

- Nie - odparł językoznawca. - Dlaczego pytasz?

Hawker wskazał głową górny odcinek rzeki.

- Choćby dlatego, że oni są nim zainteresowani jeszcze bardziej niż my.

Danielle uniosła głowę i dostrzegła trzy pirogi zmierzające szybkim tempem prosto na nich. W każdej siedziało po dwóch Indian, wiosłujących przy wtórze okrzyków. Zachowywali się bardzo nerwowo, a w ich głosach pobrzmiwał wielki gniew skupiający się na Ocanie i jej oniemiałych pasażerach.

## ROZDZIAŁ 13

Danielle obserwowała zbliżające się pirogi. Sześciu mężczyzn z wiosłami nie mogło stanowić zagrożenia, Indianie byli jednak rozdrażnieni, więc instynkt podpowiadał jej, że lepiej być przygotowanym na konfrontację.

- Zwiększyć obroty - rozkazała.

- Mam oddalić się od tych łodzi? - zapytał kapitan.

- Nie. Chcę z nimi porozmawiać, ale lepiej być gotowym na każdą ewentualność. - Spojrzała na Verhovena, który wciąż trzymał ciało zabitego przy burcie Ocany. - Zostaw go.

Najemnik odepchnął zwłoki od burty, a te zniesione leniwym prądem minęły rufę i popłynęły z biegiem rzeki. Pirogi zbliżały się nadal. Wojownicy nie zwolnili tempa wiosłowania ani częstotliwości okrzyków.

- Trzymajcie broń pod ręką - powiedziała Laidlaw.

- Zawsze mamy ją pod ręką - odparł Verhoven z uśmiechem.

- Czy to Chollokwanie? - zapytała Deversa.

Lingwista wahał się tylko przez moment.

- Nie sądzę - stwierdził. - Używają od czasu do czasu portugalskich słów, a lud Chollokwanów mówi wyłącznie dialektem Chokawa. Poza tym znajdujemy się teraz na

terytorium Nuree.

Danielle odprężyla się nieco. Nuree byli o wiele mniej niebezpieczni niż Chollokwanie. Ich plemię żyło w rozkroku pomiędzy dawnymi tradycjami a nowoczesnością. Nadal polowali za pomocą dmuchawek i dzid, ale też udawali się w dół rzeki, by sprzedawać zdobyte skóry i kupować zwykle ubrania, haczyki do wędek i papierosy. Nie byli znani z wielkiej porywczosci. A przy odrobinie perswazji mogli się nawet okazać pomocni.

Pirogi zwolniły, wojownicze wrzaski także umilkły, być może Indianie zareagowali w ten sposób na pozostawienie w spokoju ciała ich pobratymca, aczkolwiek bardziej prawdopodobne było, że dostrzegli w końcu Verhovena i jego uzbrojonych w karabiny ludzi.

- Dowiedz się, czego chcą - poleciła Danielle.

Devers stanął na dziobie łodzi i odezwał się do nadpływających w narzeczu Nuree.

Odpowiedziała mu kolejna kakofonia wrzasków.

- Pytaj, dlaczego dotykaliśmy zabitego - przetłumaczył lingwista. - Twierdzą, że to przeklęty człowiek, którego należy pozostawić w spokoju.

- Zapytaj ich, kim był - poprosiła Laidlaw. - I dlaczego został zabity.

Devers przetłumaczył oba pytania, a gdy jeden z Nuree odpowiedział, natychmiast przełożył jego słowa na angielski.

- Twierdzą, że to nie oni go zabili.

- Jak w takim razie trafił do rzeki? I dlaczego został przywiązany w tak dziwny sposób?

Tym razem odpowiedział inny z wojowników.

- Zabity był krewnym tego człowieka - wyjaśnił lingwista - chyba jego bratankiem.

Wyruszyli wspólnie na polowanie jakieś dziesięć dni temu. Mówi, że nie trafili na żadną większą zwierzynę, więc szli dalej, dopóki nie dotarli do miejsca, w którym nie powinni się znaleźć. To zakazane miejsce. Tam wuj napomniął bratanka, ale chłopak nie chciał go słuchać i poszedł dalej, a jego krewniak zawrócił.

W tym momencie przemówił kolejny z wojowników.

- To opuszczone miejsce - przetłumaczył Devers. - Nie ma tam życia. Idąc tam, prosi się o śmierć. Większość z tych, którzy zlekceważyli zakaz, nigdy nie wróciła. Niektórych znaleziono, jak tego tam, spływających w dół rzeki z powyrywającymi duszami. - Tubylec wskazał palcami na miejsca, w których zwłoki miały wielkie dziury. - Ciągnęli za sobą kamienie, żeby nie mogli wyjść na brzeg. Trzymali się kłód, aby wszyscy ujrzeli ich karę. To duchy ich odesłały. Zostali przeklęci i porzuceni. Nawet ptaki i piranie nie ruszą takich zwłok.

Gdy padały ostatnie słowa, Danielle zdała sobie sprawę z tego, że zwłoki faktycznie nie zostały napoczęte przez leśnych i rzecznych padlinożerców. To było naprawdę dziwne, zważywszy, jak zażarta walka o pożywienie toczyła się w dżungli. Co więcej, jeśli wierzyć temu człowiekowi, ciało znajdowało się w wodzie od kilku dni, a nie - jak do tej pory przypuszczała - krócej niż dobę.

Stojący za nią Verhoven wybuchnął śmiechem.

- Jasne, dzisiaj nawet duchy używają linek do krępowania ofiar.

Danielle zignorowała jego uwagę.

- Co jeszcze powiedział?

- Stwierdził, że tylko Ludzie Cienia mają wstęp do tamtej krainy. Zdaje się, że tak nazywają tutaj Chollokwianów. Dodał też, że zabijają każdego, kto przekroczy jej granice, albo każą to zrobić zwierzętom. Tak to zabrzmiało w każdym razie. Dodał, iż od chwili rozstania wiedział, że już nigdy nie zobaczy swojego bratanka. Codziennie jednak wychodził do dżungli, by go wypatrywać. Dzisiaj rano chłopiec z jego wioski dostrzegł ciało płynące rzeką. Nikt nie odważył się go dotknąć.

Danielle rozważyła otrzymane informacje. Zbliżali się do celu. Postanowiła więc wykorzystać sytuację.

- Zapytaj go, czy zaprowadzi nas tam, gdzie rozstał się z bratankiem. Powiedz, że szukamy miejsca, w którym żyją te duchy.

Tubylcy nie pozwolili nawet dokończyć Deversowi.

- Tam czai się śmierć - wołał jeden z nich. - Z mroku wyłaniają się przekłete stwory. Nie wolno im przeszkadzać.

Drugi, starszy od niego, dodał:

- Jeśli tam pójdziecie, zostaniecie schwytani. I nie wróćcie, chyba że któreś zostanie wysłane jako ostrzeżenie, ukarane jak ten, którego znaleźliście. On pojawił się tutaj dzisiaj nieprzypadkowo - wskazał oskarżycielko palcem na łódź z ekipą NIB-u. - To ostrzeżenie. Dla was. Abyście obrali inną drogę.

Po tym wywodzie Indianie zaczęli rozmawiać ze sobą. Pomiędzy pirogami mknęły kolejne nacechowane emocjami zdania. Wypowiadano je z taką szybkością, że Devers nie potrafił ich zrozumieć, ale już po chwili widać było jak na dłoni, czym zakończyła się dyskusja. Nuree ruszyli. Napierali na wiosła z taką siłą, że na powierzchni wody tworzyły się spore wiry. Tubylcy ominęli Ocanę i skierowali się w dół rzeki, w ślad za odpływającym ciałem.

Danielle poprosiła o wyjaśnienie.

- Ich zdaniem my też jesteśmy przekłeci - stwierdził lingwista. - Albo zbyt szaleni, żeby tracili na nas cenny czas.

Jeden z tragarzy roześmiał się w głos. Nieraz słyszał podobne gadki.

- Zdaniem Nuree wszystko jest przekłete - rzucił wesolo. - Drzewa, piana na wodzie, pnie, które spływają nie tym końcem co trzeba, wszystko to śmiertelne zagrożenie i przekleństwo.

Danielle przeniosła spojrzenie z powrotem na tłumacza.

- Jak sądzisz, co tu się naprawdę wydarzyło?

Devers wzruszył ramionami.

- Miejsce, którego szukamy, znajduje się gdzieś w górze rzeki. To tam Blackjack Martin wpadł na Chollokwanów. Mówiłem ci, że oni są bardzo okrutni. Tym Indianom najprawdopodobniej chodziło o lęk przed wkraczaniem na ich terytorium. Szczerze mówiąc, sam bym uważał to miejsce za przekłete, gdyby każdy z moich ludzi, którzy trafią w tamte okolice, wracał w podobnym stanie jak ten truposz.

- Chollokwanie - powtórzyła Laidlaw, spoglądając w górę rzeki. Płynąc dalej, musieli przedzej czy później trafić na ich terytorium.

- To miało być ostrzeżenie, jeśli wierzyć słowom Nuree - dodał Devers. - I chociaż zabrzmiało to dziwnie, sądzę, że tak powinniśmy traktować znalezienie zwłok.

- Nie przebyłam tak długiej drogi, by przejmować się przesadami tubylców. Ruszaj - rozkazała kapitanowi.

Moment później, gdy pod pokładem rozległ się miarowy stukot pracującego silnika, McCarter stanął obok Danielle.

- Wygląda na to, że dzisiaj mamy dzień samych ostrzeżeń - powiedział.

- Czyli?

- Badałem z Susan kamień, który nam pani dała. Ten, który przywiózł stąd drwal. Chyba udało nam się rozszyfrować kolejny hieroglif. To jednonoga sowa, zdeformowany ptak, który siał trwogę w sercach wszystkich Majów.

- Dlaczego mieliby się bać sowy? - zapytała Laidlaw. - Czym ona dla nich była?

- Posłańcem z zaświatów - wyjaśnił McCarter. - Heroldem zagłady.

## ROZDZIAŁ 14

Dwie godziny później dotarli do zupełnie inaczej wyglądającej okolicy. Wielkie drzewa rosły tu w pewnym oddaleniu od koryta rzeki, a ich miejsce zajął kamienisty brzeg, z wody wyłaniały się masy olbrzymich otoczków, pierwszych, jakie mieli okazję zobaczyć na przestrzeni setek mil. Zdawać się mogło, że zostały tu przetransportowane i porzucone. Z geologicznego punktu widzenia ciężkie granitowe formacje skalne, jakie mieli przed oczami, były bardzo rzadkie w dorzeczu Amazonki, może z wyjątkiem regionów na północnych krańcach, w pobliżu tarczy gujańskiej, na którą składały się pozostałości dawnego łańcucha górskiego. Z oddali do uszu podróżników dobiegał dźwięk równie obcy, jak widok tak wielkich głazów; głośny ryk spienionej wody dochodzący z miejsca, gdzie koryto Negro łączyło się z jakimś strumieniem.

- Przełomy - mruknęła Danielle.

Blackjack Martin opisał je w swoich pamiętnikach. Wspominał o nich też drwał, który sprzedał jej kamienną tabliczkę. To był jeden z punktów orientacyjnych. Jeśli informacje były prawdziwe, po przepłynięciu kolejnej mili powinni trafić na niewielki dopływ. Tam skręca na północ, porzucając na dobre koryto głównej rzeki.

- Proszę skrócić w następny dopływ po sterburcie - poleciła kapitanowi łodzi.

Milę dalej, zgodnie z przypuszczeniami, ujrzeli ujście dopływu. Jego wody wlewały się do rzeki Negro szerokim strumieniem, przedzielone niewielką wysepką. Drwał opisał ją jako sporą łachę piasku.

- Woda jest tutaj płytka - stwierdziła, gdy Hawker stanął obok niej na dziobie. Rozejrzała się wokół, wspominając piaszczyste plaże, które mijali po drodze. - Jak wszędzie zresztą.

- Pora deszczowa się spóźnia - przypomniał jej pilot.

Laidlaw skwitowała to skinieniem głowy. Nawet tutaj, w zachodniej części dorzecza Amazonki, nie było w styczniu obfitszych opadów niż w porze suchej. Na całym odcinku, który pokonali, poziom wody opadł na tyle nisko, że odsłaniał łachy piasku zalegającego zazwyczaj na dnie.

- To wina El Niño - wtrącił kapitan łodzi. - Dlatego mamy tak mało chmur. W Matto Grosso w ogóle nie pada. El Niño.

W Ameryce Południowej El Niño oznaczało suche wiatry znad płaskowyżu Patagonii, rozgrzane pustynne powietrze, które wysysało całą wilgoć z Amazonii, zakłócając tym samym odwieczne cykle opadów. To przez nie ginęły ryby w jeziorach i marniały zbiory na równinach. Meteorolodzy już od miesiąca ostrzegali o możliwym nadejściu El Niño, aczkolwiek żaden nie ogłosił tego oficjalnie. Rozglądając się wokół, Danielle zdała sobie sprawę, że i bez tego zna prawdę.

- Zdołasz pokonać tę przeszkodę?

Kapitan skinął głową.

- Ale powoli.

„Powoli” oznaczało redukcję prędkości do trzech, czterech węzłów i Hawkera na dziobie, skąd miał wypatrywać potencjalnych zagrożeń. Na szczęście płaskodenna Ocana zanurzała się tylko na stopę, góra dwie, więc przeprawa nie była aż tak trudna. Od miejsca, gdzie drwał widział kamienie, dzieliło ich już tylko dwadzieścia mil. Powinni dotrzeć tam za mniej więcej pięć godzin. Przy odrobinie szczęścia wkrótce potem natkną się na mur.



Jak się dość szybko okazało, nie mogli liczyć na rzeczoną „odrobinę szczęścia”. Skończyło się na przeszukiwaniu brzegów rzeki przez kolejny tydzień.

McCarter trafnie zdiagnozował problem.

- Dżungla pochłania wszystko - wyjaśnił. - Jeszcze sto lat temu miasta takie jak Palenque, Copan czy Tical były pokryte roślinnością w takim stopniu, że ich największe budowle przypominały zielone wzgórza. Wiatry nawiewały ziemię, w której kiełkowały krzewy i drzewa. Po jakimś czasie pokrywały każdy wolny skrawek przestrzeni. Pozostawiona sama sobie dżungla zapanowałaby nad całym terenem. - Następnie wyjaśnił, jak powinni postępować. - Nie rozglądajmy się tutaj za czymś konkretnym i wielkim, jak monument czy świątynia. Takich obiektów z pewnością nie znajdziemy. To musi być coś mniejszego, jakiś nie pasujący do ukształtowania terenu pagórek albo głaz sterczący z miejsca, gdzie nie powinno go być.

Te instrukcje profesor wydał im pięć dni temu. Od tamtej pory podzieleni na małe grupki przeszukiwali kolejne sektory brzegu, przedzierając się przez gęstwinę bądź karczując splątane zarośla. Systematycznie posuwali się w górę rzeki, prowadząc bezowocne poszukiwania do chwili, gdy Polaski natknął się na prostokątny kamień tuż przy stromiźnie prowadzącej do wody. McCarter i Susan obejrżeli go z niekłamaną satysfakcją.

Profesor uśmiechał się, badając odkrycie technika, a potem spojrzał na Susan.

- My tu jesteśmy jedynymi ekspertami, ale to on znalazł pierwszą wskazówkę.

- Szczęście początkującego - podsumowała, także się uśmiechając.

- Dzięki Ci, Boże, i za to.

McCarter rozejrzał się wokół. „Szczęście” było najodpowiedniejszym określeniem. Jeszcze miesiąc temu kamień ten leżałby dziesięć stóp pod lustrem wody.

- Niezły jestem jak na kujona - oświadczył Polaski.

- Owszem - przyznał profesor. - Całkiem niezły. - Spojrzał w niebo. Zmierzch nadchodził szybkimi krokami. Zastanawiał się, czy nie zwołać pozostałych poszukiwaczy, ale uznał, że przy tak dużym rozśrodkowaniu zebranie ich w jednym miejscu zajmie co najmniej kwadrans, a wołać nie tracić tej resztki światła, jaką dawało zachodzące słońce.

Spojrzał w górę stromego brzegu. To było prawdziwe urwisko.

- Zapewne stoczył się tutaj, kiedy woda podmyła brzeg. - Popatrzył na Susan i Polaskiego. - Musimy tam wejść. Na samą górę.

Susan szła pierwsza. Była młodsza, lżejsza i znacznie bardziej wysportowana, dlatego wyprzedziła obu mężczyzn, którzy z trudem gramolili się po porośniętej krzewami stromiźnie. Gdy dotarła na niewielką półkę, zatrzymała się i wskazała na coś ręką.

McCarter stanął obok niej zdyszany, ale wciąż rozpromieniony. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy Susan pokazała mu kolejne rumowisko. Kilka stóp dalej znaleźli następny stos kamieni. Mimo że leżały teraz rozrzucone na sporej przestrzeni, od razu dało się zauważyć, że kiedyś tworzyły schody. Profesor zrobił kilka głębokich wdechów, opierając dłonie na biodrach, a potem ruszył dalej.

- Włazimy jeszcze wyżej - zakomenderował.

Tym razem to on prowadził, prąc przed siebie po stromiźnie i resztkach stopni i omal nie wywołując sporej lawiny za którymś stąpieniem. Tuż przed szczytem trafił na kłębowisko lian, które wylewały się znad krawędzi urwiska niczym wodospad. McCarter zamachnął się maczetą i grube pnącza poleciały w dół, niknąc w szarówce. Z miejsca, gdzie przed momentem kłębiły się rośliny, spoglądały na niego dwa puste oczodoły zagrzebanej w ziemi starożytnej czaszki. Cofnął się o krok.

- To dopiero coś - mruknął Polaski z nieskrywanym podziwem.

- Fakt - dodała Susan. - Dasz wiarę, że to myje znaleźliśmy?

McCarter spojrział na nią. A już zaczynał się zastanawiać, czy nie marnują czasu.

- Pomyśl tylko, że mogłabyś być teraz w Paryżu.

- I słuchać głośnienia mojej mamy na temat mody? - zapytała. - Nie, dziękuję. Wolę być tutaj.

Profesor odwrócił się do pnączy i ponownie ciał je maczetą. Obok pierwszej czaszki zobaczyli następną, ta miała złamaną kość policzkową i brakowało jej żuchwy. Obie umieszczono w kamiennym murze, w specjalnie do tego celu stworzonych niszach. Jak je tam przymocowano, nie wiedział.

Susan i Polaski cofnęli się, gdy zaczął rąbać maczetą pozostałe liany, odsłaniając każdym cięciem kolejne czaszki bądź pozostałości po nich. Przestał dopiero, gdy poczuł ból w ramieniu, i ze smutkiem się zastanowił, kiedy stracił kondycję.

- Teraz, kiedy oznaczyliśmy nasze znalezisko - powiedział, ciężko dysząc - ktoś powinien zwołać resztę ekipy.

## ROZDZIAŁ 15

Tej nocy, po kilku toastach i obowiązkowej butelce szampana, nad obozowiskiem zapanowała kompletna cisza. Pik Verhoven stanął na warcie, zajmując pozycję na północ od rozbitych namiotów, a jeden z jego ludzi ustawił się siedemdziesiąt jardów w dół strumienia, gdzie pilnował południowego podejścia.

Danielle obiecała najemnikom, że gdy znajdą odpowiednie miejsce i zdecydują się na rozbicie stałego obozowiska, wesprze ich najlepszym sprzętem: w tym czujnikami ruchu i podczerwieni oraz masą elektronicznych urządzeń, które w miejscu tak wilgotnym jak lasy deszczowe z pewnością zawiodą w najmniej odpowiednim momencie. Verhoven nalegał, by zainwestowała też w kilka szkolonych psów, na co Laidlaw przystała bez większych oporów, jednakże do momentu ustalenia obozowiska najemnicy musieli trzymać warty w starym, sprawdzonym stylu, obserwując skraj dżungli nocą i dniem, co wszakże nie wydawało się zbyt trudnym zadaniem dla zaprawionych w boju twardzieli.

Verhoven i jego ludzie byli najemnikami w pełnym tego słowa znaczeniu. Cała piątka służyła wcześniej w oddziałach specjalnych RPA. Po upadku apartheidu musieli opuścić swój kraj. Pod dowództwem Verhovena stali się oddziałem niezwykle cenionych i poszukiwanych fachowców. W ich dossier można było znaleźć miejsca takie jak Somalia, Angola czy Kongo. W połowie lat dziewięćdziesiątych udali się w sam środek rwandyjskiego piekła, aby ocalić pracowników korporacji górniczej TransAfrican. Dekadę później walczyli w Liberii, gdzie ich zadaniem było odszukanie Charlesa Taylora, upadającego podówczas despoty. Najpierw zlecono im wywiezienie go z kraju, ale gdy zostali oszukani przy wypłacie, zaczęli na niego polować, by zdobyć milion dolarów oferowanych za jego głowę.

Verhoven uśmiechnął się pod nosem, gdy wspominał tamtą pamiętną awanturę. Byli tak blisko, wielka szkoda, że nie zdołali ukończyć zadania. Ale co tam, z pewnością zyskają jeszcze jedną okazję i któregoś dnia ten drań odejdzie w zaświaty, tyle że za darmo.

Do tego czasu musiał podążać wraz ze swoim zespołem wszędzie tam, gdzie były pieniądze. Jeśli oznaczało to walkę, trudno, zresztą im krwawsza zabawa, tym lepsza. Za odpowiednim wynagrodzeniem mogliby uderzyć nawet na wrota piekieł.

Na razie jednak Pik nie widział w otaczającej go dżungli niczego, co mogłoby być przyczyną rozlewu krwi. Od znalezienia zwłok w wodzie nie dostrzegł nawet najmniejszego śladu

zagrożenia, żadnych tubylców na wojennej ścieżce ani konkurencji, przed którą tak często ostrzegała go Danielle. Nie widział też żadnych dzikich zwierząt, skoro już o tym mowa.

To ostatnie wydało mu się trochę dziwne.

Przy takiej suszy zwierzęta powinny się gromadzić wzdłuż koryt płynących wciąż strumieni i rzek. Wprawdzie to nie Afryka, gdzie stada kłębią się wokół wodopojów, zanim nie nadejdzie pora monsunów, niemniej zasada powinna być taka sama: im mniej opadów, tym więcej zwierząt w pobliżu źródeł wody, czyli w takich właśnie miejscach jak to. Na każdym kroku winni dostrzegać tropy i odchody, a nawet słyszeć charakterystyczny tupot przy brzegu i szelest w otaczających ich zaroślach. Niestety dżungla wydawała się dziwnie pusta i cicha. Widzieli masę ptaków, ryby w strumieniach i wygrzewające się na słońcu gady, ale cała reszta fauny po prostu zniknęła. Zwłaszcza ssaki. Verhoven nie widział w okolicy niczego większego od szczura. *Może te przykuwające się do drzew dupki mimo wszystko mają rację i lasy deszczowe naprawdę obumierają. Szkoda by było, chociaż właściwie to nie mój problem.*

Verhoven przyłożył lornetkę termowizyjną do oka i zbadał leżącą przed nim połąć zarośli. Tu i ówdzie zauważył maleńkie czerwone plamki poruszające się w gąszczu, ale nie było tam nic groźniejszego od pospolitych gryzoni i innych małych ssaków. Zrobił drugi, jeszcze szerszy łuk, ale i tym razem nie dostrzegł niczego niepokojącego. Gdy odkładał lunetę, coś zaszeleściło w drzewach naprzeciw.

Natychmiast przyłożył ją do oka po raz drugi. W głębi zarośli, na wysokości własnych oczu, dostrzegł ciąg rozchwianych w pionie gałęzi. Tak zachowują się konary, gdy odbije się od nich małpa. Sprawdził uważnie otoczenie, tym razem skanując najpierw korony drzew, potem ziemię. Nic. Nie znalazł nawet śladu istoty, która mogłaby narobić tyle zamieszania.

Z prawej dobiegł kolejny szelest, zmuszając go do błyskawicznego zwrotu w tym kierunku i podniesienia broni.

Stojący tam człowiek uniósł dłoń w ostrzegawczym geście. Hawker.

Verhoven obniżył lekko lufę karabinu, spoglądając na dawnego znajomego. Splunął zabarwioną tytoniem śliną na ziemię, mijając but pilota nie więcej niż o cal.

- Powinieneś być martwy.

Hawker przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- I byłem. Przez jakiś czas.

Najemnik opuścił broń całkowicie.

- Zakradnij się do mnie jeszcze raz, a usztywnię cię na dobre.

Pilot zatrzymał się kilka stóp od niego i omiół ścianę dżungli gołym wzrokiem.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego jesteś taki nerwowy?

Verhovenowi nie spodobało się to pytanie, podobnie jak fakt, że Hawker jest uzbrojony: miał przy sobie PA-45, wielki, czternastostrzałowy pistolet kalibru czterdzieści pięć milimetrów.

- A ty co się tak kręcisz po nocy?

- Coś tu jest nie tak - odparł pilot, wskazując głową zarośla.

Najemnik obrócił się ponownie twarzą w stronę dżungli. Hawker zawsze wydawał mu się lekkim paranoikiem, ale jego przysłowiowy szósty zmysł nieraz uratował mu skórę. Verhoven pamiętał wciąż moment, gdy wystrzelony w ich kierunku pocisk mózdzierzowy trafił w miejsce, które zajmowali niespełna minutę wcześniej. Musieli się przenieść przez paranoiczne narzekania Hawkera.

- Znowu masz przywidzenia, kolego. Tutaj niczego nie ma.

- Jesteś tego pewien?

Szczerze mówiąc, Verhoven nie miał pewności, niemniej nie spodobało mu się ani to pytanie, ani myśl, że ktoś taki jak Hawker będzie mu się kręcił pod nogami. Wyciągnął w kierunku pilota

lunetę.

- Zmień mnie, jeśli tak bardzo chcesz. Ja w tym czasie trochę odpocznę. - Hawker nie przyjął oferty, zmuszając najemnika do ponownego zastanowienia się nad powodem jego obecności tutaj. W dosłownym i ogólnym tego słowa rozumieniu. - Jak widzę, pracujesz teraz dla NIB-u.

Hawker zaprzeczył, kręcąc głową.

- Zostałem wynajęty, tak samo jak ty.

- Ciekawy zbieg okoliczności.

- Bardzo ciekawy - przyznał pilot. - Można by rzec, że zrządzenie losu.

Verhoven wierzył w przeznaczenie, wiedział też, że Hawker ma je gdzieś. „Rób zawsze, co trzeba, a będziesz żył wiecznie” - tak mu kiedyś powiedział. Pik nie zgodził się z nim wtedy. „Co ma być, to będzie” - odparł. Może w tej właśnie chwili mieli wyrównać rachunki? Może to Hawker polecił ich do tej misji, aby zwabić go do siebie i ostatecznie się z nim policzyć? Roześmiał się na tę myśl. *I kto tu jest paranoikiem?*

Przeczesał wzrokiem ścianę zarośli, potem spojrzął raz jeszcze na pilota.

- Dlaczego przystałeś na tę propozycję? Czyżby skończyły ci się oszczędności na czarną godzinę?

- Coś w ten deseń - przyznał Hawker.

Verhoven obrócił w ustach przeżuwaną grudkę tytoniu, umieścił ją na swoim miejscu i splunął obficie, wracając wzrokiem do byłego agenta. Nie rozmawiali ze sobą na pokładzie łodzi ani podczas tygodniowego przeszukiwania dżungli. Skupiali się na swojej robocie, ignorując się wzajemnie, dlatego rozmowa z tym człowiekiem tutaj i teraz miała w sobie coś surrealistycznego. Dawni przyjaciele, a potem wrogowie, którzy jakiś czas temu współpracowali ze sobą przez prawie dwa lata spędzone w Angoli. Wtedy Hawker był jeszcze agentem CIA, a Pik żołnierzem SASF.

Współpraca układała się nieźle do momentu, gdy centrala przysłała Hawkerowi rozkazy, których nie chciał wykonać. Ta decyzja podzieliła ich, stawiając Hawkera na kursie kolizyjnym z każdym, kogo wtedy znał, i robiąc wrogów z dawnych przyjaciół. Verhoven miał nawet skromny udział w pojmaniu zbuntowanego agenta, później jednak sprawy wymknęły się spod kontroli, skazując wszystkich na nieludzkie katusze, a samego Hawkera, jak się wtedy wydawało, na pewną śmierć.

Wkrótce potem przekonał się, że zbuntowany agent CIA nadal żyje i szuka zemsty na tych, którzy go zdradzili. Był pewien, że i jego nazwisko znajduje się na czarnej liście, dlatego widok Hawkera tak go zaskoczył. Czuł, że to spotkanie zakończy się śmiercią kogoś z nich. A mimo to stali teraz sam na sam, w sercu Amazonii, pół świata od miejsca, gdzie kiedyś razem walczyli, i rozmawiali ze sobą, zamiast do siebie strzelać.

- Nie mogłeś ukrywać się bez końca - rzucił w końcu Pik. - A już na pewno nie przed swoimi lękami.

Pilot spojrzął na niego dziwnie.

- A cóż to za lęki twoim zdaniem?

- Obawiasz się sam siebie, Hawk. Chcesz porozmawiać o przeznaczeniu, ponieważ wiesz, co cię czeka. Nie zdołasz tego przed sobą ukryć, żebyś nie wiem co robił. Nie znasz chyba innego powodu, dla którego obaj się tu znaleźliśmy.

Pilot stał tak blisko, że Verhoven bez trudu dostrzegł błysk nienawiści w jego oczach, którego nie spodziewał się już nigdy ujrzeć. To właśnie prawda czyniła z ludźmi.

- Nasz czas dobiegnie końca - odparł Hawker. - Ale nie tutaj i nie teraz.

Zatem o to ci chodzi, pomyślał Verhoven. Hawker przyszedł do niego, by ustalić zasady. Niech mu będzie. Spojrzął mu prosto w oczy.

- Nic się nie dzieje. Wracaj do swojego namiotu, Hawk.

Pilot nie spuścił wzroku, skinął za to głową w kierunku zarośli.

- Radzę ci, miej oczy otwarte - rzucił. - Uwierz mi, nie jesteśmy tu sami.

Odwrocił się po tych słowach i ruszył w kierunku obozowiska, ale zatrzymał się po drodze, słysząc skrzeczenie pary nocnych ptaków. Skulił się, gdy przelatowały nad jego głową. Ich wrzaski zagłuszyły inny dźwięk, dobiegający od strony zarośli, lecz obaj - były agent i najemnik - wyczuli go innym zmysłem.

Hawker przyklęknął.

Verhoven zlustrował skraj dżungli lunetą termowizyjną. Nie wykrył śladów żadnej istoty, tylko kołyszące się gałęzie.

- Coś skoczyło w koronę drzewa - wyszeptał, starając się wytropić intruza.

Sekundę później nocną ciszę przerwała seria wystrzałów. Dobiegały z południa.

- Kto stoi na tamtym posterunku? - zapytał Hawker.

- Bosch - odparł Verhoven, wymieniając nazwisko jednego ze swoich ludzi.

Coś pędziło z południa, tratując zarośla. Gnało prosto na nich. Najemnik uniósł broń.

Spomiędzy liści wypadli dwaj Indianie. Stanęli jak wryci na widok Pika i Hawkera.

Najemnik otworzył ogień, ale zanim zdążył pierwszy raz wystrzelić, pilot walnął ręką w lufę karabinu i oba pociski wbiły się w ziemię, nikomu nie robiąc krzywdy.

Indianie zniknęli w zaroślach.

- Niech cię szlag! - warknął Verhoven. Hawker nie usłyszał tych słów. Pędził już za uciekającymi. - A ty dokąd się wybierasz?

- Musimy z nimi porozmawiać! - odkrzyknął były agent.

Wymijając drzewo, najemnik stracił go na moment z oczu.

- A po kiego? - zapytał.

Hawker odpowiedział, nie zwalniając, więc Pik nic nie zrozumiał. Słyszał za to hałas robiony przez uciekających Indian. W gąszczu mignęły mu plecy ścigającego ich pilota, który naraz zniknął bezpowrotnie w ścianie zieleni.

Zanim Verhoven zdążył się zatrzymać, spotkał go ten sam los. Ziemia nagle obsunęła mu się spod stóp i spadł prosto w ciemność. Walnął o pryzmę zatęchłej ziemi, po której zsunął się do głębokiego na trzy stopy, zalanego mulistą wodą wgłębienia.

Rozejrzał się wokół, ale nie zobaczył niczego. Na dole panowały egipskie ciemności. Jedynym źródłem światła był nieco jaśniejszy kwadrat szarości znajdujący się trzydzieści stóp nad jego głową.

Wpadł do jakiejś pułapki. Stanął niezdarnie, próbując znaleźć oparcie w śliskim mule. Cały lepił się od cuchnącej mazi. Woda także cuchnęła, ale tylko dzięki niej przeżył ten upadek.

- Hawk! - wrzasnął. - Jesteś tutaj?

- Niestety - odparł zboliałym tonem pilot.

Verhoven obrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos byłego agenta. Sięgająca mu kolan woda zabulgotała.

- Módl się o to, bym nie znalazł źródła światła, kolego. Zginiesz, jak tylko cię zobaczę.

- Za co?

- Za wciągnięcie mnie w tę pułapkę.

Najemnik usłyszał szmer wody, w której poruszał się Hawker.

- Gdybyś nie strzelał do tych biednych sukinsynów, moglibyśmy z nimi pogadać.

- Jak ktoś szarżuje prosto na ciebie, najpierw strzelasz, potem pytasz.

- Przecież nie szarżowali na ciebie - poprawił go pilot. - Gapili się w górę, jakby polowali na coś, co biega po drzewach. Natknęli się na nas przypadkiem.

W tym momencie Verhoven uświadomił sobie, że Hawker ma rację. Przesunął się w prawo, wpadając na coś. Pomacał dłonią i stwierdził z obrzydzeniem, że dotyka truchła martwego zwierzęcia. Cofnął się.

- Wygląda na to, że nie tylko my wpadliśmy w tę... - Z każdym kolejnym słowem przyciszał głos, aż zamilkł, stojąc nieruchomo. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś ruch, ale nie od strony, z której dobiegał przed momentem głos Hawkera. Obrócił się wolno, mącąc wodę. - Nie ruszaj się - wyszeptał. - Coś tu jest.

Przykucnął, niemal dotykając nosem powierzchni cuchnącej brei, i wyteżył wzrok. Ta dziura była pułapką, a każde zwierzę, które w nią wpadło tak jak oni, mogło być źródłem potencjalnego zagrożenia. Ruszył wolno w bok, starając się wymacać ścianę, i rąbnął w nią łokciem.

Z mroku do jego uszu dobiegło ledwie słyszalne warknięcie, a raczej gulgotanie podobne do tego, jakie wydobywa się z paszczy krokodyla. Dźwięk wydawał się wymuszony, było to ostrzeżenie wymruczane na samej krawędzi ludzkiego słuchu.

Co wydawało te odgłosy? Kajman? Albo wielki wąż? Ponoć pytony potrafią dobywać z trzewi coś w rodzaju burknięcia. A może to jaguar? Nawet ranny i osłabiony tkwieniem na dnie pułapki mógł rozszarpać człowieka na strzępy.

Verhoven oddalił się od źródła dźwięku, sunąc wzdłuż ściany.

- Mam flarę - oznajmił syczącym szeptem Hawker.

Najemnik zatrzymał się, wysuwając przed siebie obie ręce.

- Odpal ją.

Usłyszał za plecami charakterystyczny trzask i syk wydawany przez zapalany fosfor. Oślepl całkowicie, ale tylko na moment. Gdy odzyskał wzrok, ujrzał przed sobą spienioną wodę i pokrytą mułem przeciwległą ścianę kwadratowej studni. Coś poruszyło się na ścianie po lewej. Sięgnęło ku jego twarzy, sycząc i otwierając szeroko szczęki.

Verhoven odskoczył, strzelając. Wpadł na Hawkera i wytrącił mu flarę z rąk. Światło zgasło, gdy mulista woda zalała kartonową rurkę. Usłyszeli odgłosy przybliżających się kroków. Najemnik wypalił na ślepo w kierunku, z którego dochodziły.

Coś wbiło w niego pazury, a potem odepchnęło się, używając jego ciała jako drabiny, by wdrapać się na ścianę. Flara wypłynęła na powierzchnię i w jej przygasającym blasku Verhoven dostrzegł niewyraźny kształt wspinający się ku wyjściu ze studni. Strzelił w momencie, gdy zwierzę było już przy krawędzi. Impet trafienia wyrzucił je poza ocembrowanie i pole widzenia. Bestia zaryczała w agonii.

Hawker wydobył flarę z wody, znów zrobiło się jaśniej. Najemnik opuścił wzrok i sprawdził każdy zakątek studni.

Byli sami.

Hawker pokładał się ze śmiechu.

- Co cię tak rozbawiło?

- Jesteś jak gliniarz z komedii slapstickowych - odparł pilot, z trudem wypowiadając słowa.

- A ty jak komendant policji.

- Ale to na ciebie leciała małpa - wyrzycał Hawker.

Verhoven nie miał czasu przyjrzeć się zwierzęciu, ale sądząc po rozmiarze i wadze, na oko trzydziestu, czterdziestu funtach, oraz po wielkiej gibkości, mogła to być tylko małpa. Przez moment czuł się mocno zawstydzony. Właśnie rozwalił małpkę z kałacha. Ale zaraz dotarło do niego, że taka wygłodniała bestia mogła zrobić człowiekowi krzywdę, nawet jeśli nie zagrażała życiu.

- Wolę już to, niż dać się pokąsać - burknął.

Hawker nie przestawał się śmiać, więc Verhoven sięgnął po krótkofalówkę. Na szczęście

była wodoodporna, jak niemal każdy sprzęt, który zabrali ze sobą w górę rzeki. Włączył ją, wyjaśnił jednemu ze swoich ludzi, co się stało, i kazał zorganizować pomoc, koniecznie z linami.

Gdy skończył mówić, Hawker klepnął go w ramię i wskazał na jedną ze ścian, unosząc flarę w górę, by dawała więcej światła.

Środkowa część powierzchni była zrobiona z kamienia. Oblepiały ją kawałki mułu, ale nawet przy tak migotliwym oświetleniu przebijał spod niego wizerunek wielkiej ludzkiej twarzy. Oblicze wykute w kamieniu. Wokół roilo się od hieroglifów bardzo podobnych do tych, które Danielle pokazywała im na odprawie.

Gdy oglądali znalezisko, ekipa ratunkowa odnalazła wylot studni i zrzuciła im linę. Hawker i najemnik wspięli się po niej ku grupce ludzi świecących latarkami w mroczną czeluść. Laidlaw kiwała z zadowoleniem głową.

- Rano pokażemy ją profesorowi McCarterowi - zdecydowała.

Verhoven ruszył w stronę obozu przemoczony i wypapraný cuchnącym mułem. Nie odpowiadał na żadne pytania, ciesząc się, że wyszedł cało z tej kompromitującej sytuacji.

Zanim zrobił dziesięć kroków, osadził go w miejscu głos Hawkera.

- Gdzie ona jest?

- Jaka znowu ona? - zdziwiła się Danielle.

- Małpa Verhovena. - W głosie pilota dało się wyczuć niedowierzanie.

Ludzie, którzy przybyli im na pomoc, wyglądali na zmieszanych, ale najemnik błyskawicznie pojął, w czym rzecz. Rozejrzał się wokół. Nie było truchła, śladów krwi ani tropów wskazujących na to, że zwierzę uciekło w gąszcz. Żadnych śladów bestii, którą zastrzelił.

- W studni była małpa - wyjaśnił zebranym. - Strzeliłem do niej, gdy wdrapywała się na powierzchnię, ale najwidoczniej chybiłem.

Członkowie ekipy przyjęli te wyjaśnienia ze stoickim spokojem, niemniej Hawker wciąż rozglądał się niepewnie. Jego podejrzliwa natura nie pozwalała zlekceważyć najmniejszej nawet nieścisłości. Verhoven spojrział mu w oczy i natychmiast przeczesał wzrokiem las wokół.

Obaj doskonale wiedzieli, że nie chybił.

## ROZDZIAŁ 16

Richard Kaufman rozejrzał się po niewielkiej szpitalnej izolatce. Ściany pokryto farbą o barwie stonowanej zieleni. Oba antyczne łóżka miały pokryte rdzą, stalowe ramy. Ustawiono je, podobnie jak stojaki do kroplówek, równoległe obok siebie, natomiast w rogu pomieszczenia pod oknem usychała jakaś rachityczna, zapomniana przez wszystkich roślina.

Czekał, aż pielęgniarka przyprowadzi jedyne go pacjenta ze wspólnej łazienki. Człowiek ten wkroczył moment później na salę, wspierając się na dwóch kulach.

Mimo mocnego przygarbienia nadal wyglądał na mierzącego ponad sześć stóp draęala. Był barczysty, ale bardzo wymizerowany, można nawet powiedzieć, że wycieńczony. Przerzedzone włosy tworzyły splecione gniazdko na szczycie jego głowy, wory pod oczami wciąż pozostawały sine, ale były tylko nieco ciemniejsze od reszty niezdrowo wyglądającej cery. Kojarzył się Kaufmanowi z domem, który spłonął, ale wciąż stał: opróżniony, poczerniały i kompletnie martwy.

Na twarzy wchodzącego pojawiło się zaskoczenie, gdy dostrzegł gościa.

- Pan nie jest lekarzem - zauważył.

- Domyślam się, że ma pan już dość ich widoku - odparł Kaufman.

Mężczyzna skinął głową bardzo wolno, potem na jego wymizerowanej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- To prawda - przyznał. - Zatem mam przyjemność rozmawiać z Heliosem.

- Zgadł pan - oświadczył z sarkazmem miliarder. - Jestem greckim bogiem słońca, który spędza czas na odwiedzaniu pacjentów w podrzędnych szpitalikach. - Wstał. - Problem w tym, że nie wiemy, kim pan jest i skąd wie o Heliosie, skoro nie pamięta pan nawet swojego nazwiska.

Mężczyzna próbował się uśmiechnąć, ale nawet tak niewinny z pozoru wysiłek musiał sprawić mu ból, albowiem poddał się niemal w tej samej chwili.

- Proszę dać mi chwilę. Wyjaśnię to panu.

Przeszedł na drugi kraniec pomieszczenia, lawirując na wąskiej przestrzeni. Stanął przy jednym z łóżek i oparł kule o ścianę. Gdy zaczęły się zsuwać, chwycił je i poprawił ze złością. Gniew i zgorzknienie, pomyślał Kaufman. Ten człowiek nienawidził swojego obecnego stanu. Ale komu podobałoby się takie kalectwo?

Pacjent przeniósł wzrok na Kaufmana. Spod przykrótkich nogawek szpitalnej pidżamy wystawały jego łydki. Jedna biała, druga ciemnobrązowa. Zauważywszy spojrzenie gościa, rzekł szybko:

- Amputowali mi ją. Nawet nie pytali o zgodę. Po prostu obcięli i dali mi to w zastępstwie. - Spojrzał w dół na brązową protezę. - Domyślam się, że nie mają tu wielu białych pacjentów o tak jasnym odcieniu skóry, więc wszystkie protezy wyglądają podobnie. Dali mi po prostu tę, która ich zdaniem najbardziej pasowała.

- Miał mi pan wyjaśnić kilka rzeczy... - Kaufman wrócił do tematu.

- Zacznijmy od Heliosa.

- Oczywiście - odparł pacjent. - Najpierw jednak pokażę panu coś, co powinno pana zainteresować. - Z widocznym wysiłkiem sięgnął po niewielki plecak leżący za łóżkiem, pogrzebał w nim i rzucił jakiś przedmiot w stronę gościa.

Kaufman przyjrzał się heksagonalnemu kryształowi przypominającemu z wyglądu te zdobycie przez Martina, nad którymi pracował NIB. Jego zainteresowanie gwałtownie wzrosło.

- Chce pan dalej rozmawiać? - zapytał mężczyzna z amputowaną nogą.

Kaufman zamknął drzwi.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Jack Dixon - odparł pacjent.

Miliarder widział zdjęcia ekipy NIB-u, w tym wspomnianego Dixona, rozpoznał więc cień dawnego najemnika w stojącym teraz przed nim mężczyźnie, mimo że ten stracił co najmniej pięćdziesiąt funtów wagi, nie licząc oczywiście obciętej nogi.

- NIB szuka pana - zauważył Kaufman. - Nie powinien pan przypadkiem skontaktować się z nimi?

- Nie wydaje mi się - odparł Dixon. - Zwłaszcza że mam lepszą alternatywę.

- Skąd przekonanie, że panu pomogę? - zapytał miliarder.

- Stąd, że pewien dwulicowy sukinsyn ukradł coś, co należało do mnie

- wyjaśnił pacjent. - Zwinął rzecz, za którą daliśmy się tam powyrzynać jak barany! - Ten nagły wybuch wściekłości był naprawdę niespodziewany. - A jeśli się nie mylę, zrobił to na pana polecenie.

Gdy Dixon zamilkł, starając się uspokoić, Kaufman rozważył w myślach jego słowa. Futorex miał dwie wtyczki wewnątrz NIB-u. Z czystej ostrożności jego agenci nie wiedzieli o sobie, a szczęśliwy traf sprawił, że jeden z nich trafił do zespołu Dixona, drugi zaś został przydzielony do nowej wyprawy.



Gdy Instytut stracił łączność z ekspedycją Dixona, Kaufman wziął to za dobry znak, sądząc, że jego człowiek wszystkim się zajął. Ze słów tego człowieka wywnioskował, że tak rzeczywiście się stało, ale coś poszło nie tak. Agent nie nadał sygnału wzywającego helikopter ewakuacyjny ani nie skontaktował się z Futureksem w żaden inny sposób. Od wielu tygodni nikt nie widział ani jego, ani reszty oddziału wysłanego przez NIB.

- Dopadł go pan - domyślił się Kaufman.

- Nie - zaprzeczył Dixon. - Ktoś inny go załatwił. Tubylcy usmażyli skurwysyna na rożnie i rzucili zwierzętom na pożarcie. Gdy go znalazłem, brakowało połowy ciała, ale wciąż miał przy sobie plecak, a w nim ten kryształ i parę innych przedmiotów. W tym kartkę papieru wetkniętą w dokumenty, a na niej kilka częstotliwości i zakreślone wyraźnie słowo Helios... - Dixon zamilkł, aby potrząść jedną z ran na twarzy. - Problem w tym, że tylko ja miałem prawo używania radiostacji, a wśród znanych mi kodów nie było żadnego Heliosa. Wyraz ten kojarzył mi się z jakimś klientem albo korporacją. Z grubą rybą czekającą na dostawę, ale na pewno nie greckim bogiem słońca. - Skinął głową w kierunku Kaufmana. - I jak, panie gruba ryba? Nadal jest pan zainteresowany zakupem towaru?

Miliarder wsłuchiwał się w każde słowo wypowiedziane przez tego człowieka. Szorstki ton był fałszywy, wysilony, na co wskazywało lekkie łamanie się głosu. *Ciekawe, co on ukrywa...*

- Może - odparł Kaufman. - Ale najpierw musi mi pan opowiedzieć o kilku sprawach. Na przykład o tym, co się tam wydarzyło.

Dixon milczał przez dłuższą chwilę. Siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Zabrałem do dżungli ośmiu ludzi - odezwał się w końcu, spoglądając na miliardera. - I cała ósemka zginęła. Większość skończyła rozdarta na strzępy przez zwierzę, którego nawet nie widzieliśmy.

- O czym pan mówi?

- To była misja rozpoznawcza. Naszym zadaniem było sprawdzenie ogromnego terenu, rozmowy z tubylcami i dokumentowanie wszystkiego, co znaleźliśmy. Każdej dziury i jaskini, wszystkiego, co kiedyś mogło być kamienną budowlą. Przez pierwsze trzy miesiące natykaliśmy się wyłącznie na same gówna. Potem wynajęliśmy dwóch miejscowych jako przewodników. Po tygodniu bezcelowego szwendania się po okolicy upiliśmy ich i wtedy opowiedzieli nam o miejscu, które należy omijać szerokim łukiem. Wizyta w nim groziła śmiercią, przekonywali, ale gdyśmy im dali więcej whisky i obiecali kilka karabinów, pokazali nam drogę. Udaliśmy się tam. Do wielkiej świątyni zbudowanej w samym środku największego zadupia. Włamaliśmy się do środka i znaleźliśmy te kryształy oraz metalicznie wyglądające kamienie. Napromieniowane, sądząc po reakcji liczników Geigera. A potem rozpętało się piekło.

- Czyli? - ponaglił go Kaufman.

- Pierwszej nocy usłyszeliśmy jakieś hałasy w zaroślach. Dziwaczne prychanie i wrzaski ptactwa. Następnego dnia natknęliśmy się na zwłoki jakiegoś dupka, pokryte wyschniętym mułem i straszliwie pocięte. Wyglądało na to, że ktoś chciał go upiec, ale ogień strawił tylko jedną rękę, kark i głowę ofiary. Szkoda, że nie widział pan jego zastygłej w agonii gęby. Chyba żył, kiedy go podpalali.

- Jak to: jakiegoś dupka? - zapytał z niepokojem w głosie miliarder.

- Nie był to nikt z naszych - wyjaśnił Dixon. - Nie wiem, skąd się tam wziął. Następnego nocy usłyszeliśmy skrzeczenie, jakby sępów albo kondorów, tyle że sto razy głośniejsze. Chwilę później zniknął jeden z moich ludzi. Poszedł się odlać i już nie wrócił. Szukaliśmy go, ale nie znaleźliśmy. - Dixon pokręcił głową, jakby nadal był poruszony tym zniknięciem. - Nie było śladów walki ani żadnych tropów. Potem usłyszeliśmy głosy Indian, ale z innego plemienia niż nasi przewodnicy. Zdaje się, że nazywano ich Chollokwanami czy jakoś tak. Całą noc hałasowali.

Zamierzaliśmy się starmtąd wyrwać nazajutrz, ale gdy wzeszło słońce, okazało się, że brakuje dwóch kolejnych chłopaków. Tym razem znalazłem ślady. Ja i facet nazwiskiem McCrea ruszyliśmy ich tropem, reszta miała za zadanie bronić obozowiska. - Spojrzał w oczy Kaufmana. - Nie chce pan wiedzieć, co znaleźliśmy.

- Byli martwi?

- Rozszarpani na strzępy - rzekł beznamiętnym tonem. - I przybici do drzew.

Miliarder słuchał, koncentrując się na stanie umysłu Dixona. Głos rozmówcy zaczynał drżeć.

- Miałem dosyć - kontynuował okaleczony najemnik. - Postanowiłem wracać, ale pański człowiek podjął tę decyzję pierwszy i zanim zdołaliśmy wrócić do obozu, zniknął, zabierając z sobą resztę mojego oddziału. Ruszyliśmy jego tropem i w końcu go dogoniliśmy. Wyglądało na to, że przeszkodził mi czemuś w konsumpcji jego ciała, a potem... to coś zabrało się do nas.

Lekarze uprzedzali Kaufmana, że stan pacjenta jest wciąż niestabilny. Ostrzegali, by nie zadawał zbyt wielu pytań, lecz on potrzebował więcej informacji.

- O czym pan mówi, u licha? Co zabrało się do was?

Dixon zapatrzył się w widok za oknem. Blask słońca prześwitującego przez listowie zdawał się go uspokajać. To był naprawdę dziwny widok. Człowiek o jego reputacji nerwowo przeżykający ślinę, jakby starał się bronić przed kolejnymi falami strachu.

- Nie wiem, co to mogło być - przyznał w końcu, obracając głowę, by spojrzeć na gościa. - Usłyszeliśmy nawoływania we mgle, więc ruszyłem w ich kierunku. Coś poruszało się w zaroślach. Nie widziałem co, ale słyszałem, jak dyszy i porusza się za ścianą liści. Wyczuwałem jego obecność. Podeszedłem bliżej, by strzelić, ale to coś uciekło i dopadło McCrea. Poruszało się z niewiarygodną szybkością. Jak barakuda w wodzie albo pająk, który wyskakuje z kryjówki, by dopaść ofiarę. Bum! - Walnął pięścią w ścianę. - I jesteś martwy. Zacząłem uciekać, ale mnie dopadł. Strzeliłem draniowi w sam środek łba, lecz zamiast paść, tylko zmienił nieco kierunek, ugryzł mnie w nogę i zostawił tubylcom.

- Mimo to nadal pan żyje.

- Nie wiem, jakim cudem - szepnęła Dixon. - Chwilę później rozpętała się burza.

Odczołgałem się z miejsca kaźni w strugach deszczu. Może zgubili mój ślad. A może po prostu uznali, że z takich ran nie mogę się wylizać, więc pozwolili mi się zamęczyć na śmierć.

- Ciekawa opowieść - stwierdził miliarder, siadając wygodniej. - Przyzna pan jednak, że nieco nieprawdopodobna.

- Nie obiecywałem, że będzie sensowna.

Kaufman pokręcił głową. Postanowił mówić wprost, bez ogródek. Albo pacjent się załamie, albo wróci do rzeczywistości.

- Co tam się wydarzyło, panie Dixon? Tym razem oczekuję prawdy.

- Już powiedziałem.

- Wciskał mi pan bajeczki. Ośmiu uzbrojonych ludzi zginęło z rąk tubylców albo zostało zagryzionych przez zwierzęta. A mówimy tutaj o byłych żołnierzach jednostek specjalnych, niewiele ustępujących panu.

- Tak wygląda prawda - zapewnił go Dixon.

- Jest pan pewien? - zapytał miliarder. - Pańscy lekarze są innego zdania. Uważają, że sam pan sobie pociął nogę. Rany były tak czyste, jakby zrobiono je stalowym ostrzem.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy. Wbijając wzrok w ziemię, wymamrotał:

- To był jeden z nich.

- Jakich znowu ich?

- Pojęcia nie mam! - wrzasnęła Dixon. - Nie wiem, czym są te stworzenia. Jakie to ma, u licha, znaczenie? Dlaczego pan tak o nie wypytuje?

Okaleczony najemnik bliski był załamania nerwowego. Gdyby przekroczył tę granicę, mógłby już nigdy zza niej nie wrócić.

- Nie wie pan jednej rzeczy - stwierdził Kaufman. - Zapoznałem się z raportem toksykologicznym sporządzonym po pana przyjęciu. Miał pan w sobie tyle świństw, że nie można było z panem rozmawiać. Gorączka skoczyła panu powyżej czterdziestu stopni. Była na tyle wysoka, że mogła doprowadzić do uszkodzenia mózgu. W ranę na nodze wdało się zakażenie, no i stracił pan sporo krwi. - Dixon odwrócił głowę.

- Darł się pan na lekarzy - kontynuował miliarder. - Pamięta pan? Wyzywał pan pielęgniarki od demonów i groził, że je pozabija, jeśli odważą się zbliżyć.

- Nie chciałem... - Najemnik skulił się w sobie. - Nie mogłem pozwolić, aby mnie uspiły.

- Koszmary? - zgadywał Kaufman.

Dixon spojrział na niego. Gdy przemówił bezbarwnym, wypranym z uczuć głosem, jego oczy znieruchomiały, nie mrugnął nawet powieką.

- Gdy zasypiam, widzę moich ludzi. Ich twarze i ciała.

Jego rozmówca w końcu odpuścił. Cokolwiek tam się stało, ten człowiek wierzył w podawaną przez siebie wersję zdarzeń. Pewne było też to, że NIB musiał przygotować swoich ludzi na wypadek ataku ze strony tubylców. Może uda się jakoś wykorzystać łęki okaleczonego najemnika?

- Nie pragnie pan zemsty?

Dixon spojrział, na miliardera.

- Słucham?

- Proszę mnie tam zaprowadzić - ciągnął Kaufman. - Zabierzemy ze sobą małą armię i zmieciemy tych dzikusów z powierzchni ziemi.

Najemnik zamrugnął nerwowo oczami, ale nie odpowiedział.

- Ja tam nie wrócę - burknął w końcu.

- Wróci pan, jeśli chce pan zadośćuczynienia - zapewnił go miliarder.

- Nie. Nie mam zamiaru tam wracać - powtórzył Dixon, a zabrzmiało to raczej jak wyznanie człowieka, który oswaja się z nową rzeczywistością, niż definitywne zaprzeczenie.

- Tym razem będzie pan bezpieczny. Daję słowo. Wszyscy będziemy bezpieczni.

Najemnik zaczął się śmiać, był to jednak gorzki śmiech, ironiczny. Spojrział na siedzącego naprzeciw mężczyznę i pokręcił głową: rozbiitek nie ma chęci wracać na spienione fale.

- Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan odrzuca

- powiedział Kaufman.

Emocje znów zniknęły z twarzy okaleczonego najemnika, zanim odezwał się przyciszonym głosem.

- Większość ludzi zna uczucie strachu od urodzenia, niektórzy jednak uczą się go w miarę upływu lat. Spędziłem połowę życia, pogardzając tymi pierwszymi, słabymi i pozbawionymi jaj. Dzisiaj jednak... czuję się znacznie gorzej od nich, ponieważ wciąż pamiętam, jak to było, zanim nauczyłem się bać. - Przełknął głośno ślinę. - Jem niewiele i staram się nie spać. Mimo to słyszę czasami nawoływania polujących na nas stworzeń.

- Pokręcił stanowczo głową. - Sprzedam panu to, co mam, kryształy i całą resztę artefaktów. Nie obchodzi mnie, jaki pan jest bogaty, i tak nie ma pan wystarczającej ilości pieniędzy, by skłonić mnie do powrotu.

Kaufman obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- W takim razie proszę podać mi lokalizację tego miejsca - powiedział. - Wskazać punkt na mapie. To wystarczy do otrzymania częściowej zapłaty. - Dixon zawahał się, a potem spuścił głowę, ponownie wbijając wzrok w podłogę. W tym momencie miliarder zdał sobie sprawę, jak

wygląda prawda. - Nie wie pan nawet tego.

- Trudno mi określić koordynaty - przyznał najemnik. - Zaprowadzili nas tam miejscowi, a GPS już wtedy nie działał.

Mówiący te słowa człowiek wyglądał zupełnie inaczej niż przed chwilą, gdy witał Kaufmana, stając w progu sali. Biła od niego aura zawodu. Miał do siebie żal o to, czym się stał: a był teraz wystraszonym, słabym kaleką.

- Mogę panu podać przybliżoną lokalizację - zaproponował.

- O jakiej skali przybliżenia mówimy?

Dixon nie odpowiedział od razu, co pozwoliło Kaufmanowi zrozumieć, że jego wskazówki okażą się nieprzydatne. Może była to wina gorączki, utraty sporej ilości krwi i traumy, a może nadmiaru bólu, który w połączeniu ze złym stanem umysłu po prostu wykasował mu z pamięci wspomnienia dotyczące tej wyprawy.

Żał mu było tego człowieka, ale miał własne, o wiele poważniejsze problemy i na nich musiał się koncentrować. Poczuł, że okazja przegonienia konkurencji znów wyslizguje mu się z rąk. Mimo ogromu wysiłków, mimo umieszczenia dwóch wtyczek w NIB-ie, mimo włamania do baz danych Instytutu, a nawet odnalezienia jedyne go człowieka, który był tam osobiście, lokalizacja świątyni pozostawała dla niego zagadką.

A czas uciekał. Jeśli nowa ekipa NIB-u znajdowała się na właściwym tropie, wkrótce powinna dotrzeć do zapomnianego kompleksu i zdobyć ukrytą tam nagrodę, o ile ta naprawdę istniała. W takim przypadku wszystkie wysiłki Kaufmana poszłyby na marne.

Spojrzał raz jeszcze na Dixona i zrozumiał, że pozostało mu tylko jedno rozwiązanie. Najniebezpieczniejsze ze wszystkich, jakie znał.

## ROZDZIAŁ 17

Odkrycie przez zespół NIB-u Muru z Czaszek było możliwe dzięki dokładnym informacjom i Syzyfowej pracy. Studnię znaleziono przypadkiem, w rezultacie wypadku, jakiemu ulegli Hawker i Verhoven podczas nocnej pogoni za Indianami. Oba zdarzenia okazały się niezwykle owocne.

Mur okazał się konstrukcją z kamienia, w której pozostawiono specjalne wnęki, aby umieszczać tam czaszki i inne kości. Całą resztę powierzchni pokrywały hieroglify i rozmaite zdobienia.

Mimo że mur pasował wizualnie do opisu podanego przez Blackjacka Martina, to już jego rozmiary różniły się, i to bardzo, od szacunków. Mierząca dziewięćdziesiąt stóp długości i wysoka na siedem stóp ściana była pięciokrotnie mniejsza od opisywanej w pamiętnikach podróżnika. Rozbawiło to McCartera. W latach dwudziestych minionego stulecia takie przeszacowania traktowano jako coś zwykłego.

Stojąc w uprząży na samym skraju mrocznej studni, profesor zastanawiał się, co człowiek pokroju Martina napisałby o takim miejscu. Studnia miała trzydzieści stóp głębokości, licząc od cembrowiny po muł zalegający na jej dnie, niemniej ambitny podróżnik, przynajmniej zdaniem McCartera, mógłby równie dobrze uznać, że jest to pięćdziesiąt albo i sto stóp. Profesor nie zdziwiłby się, gdyby w opisie tej czeluści pojawiło się słowo „bezdenna”.

Skręcając linę, by spojrzeć w dół, stwierdził, że jak dla niego trzydzieści stóp w zupełności wystarczy.

- Opuśćcie mnie tam - poprosił - zanim do reszty zmienię zdanie.

Tragarze popuścili nieco liny i profesor zaczął się osuwać w ciemność.

To była już piąta podróż na dno. Prawdę powiedziawszy, spędził w tej studni więcej czasu niż ktokolwiek inny z ekipy, ale nadal nie przywykł do sposobu, w jaki opuszczano go i wyciągano.

Gdy koło wyciągarki zaskrzypiało, a on sam znalazł się poniżej gruntu, skupił całą uwagę na kamiennej płycie, która stanowiła sporą część wschodniej ściany studni. Dominowała na niej ogromna twarz, licząca ponad pięć stóp średnicy. Oblicze to miało smutne, niemal okrągłe oczy, z których płynęły kamienne łzy, lśniące od wszechobecnej wilgoci. Cienkie wargi były mocno zaciśnięte, a ostre kolce przebijały uszy, wywołując fontanny krwi. Po obu stronach twarzy płonęły stylizowane pochodnie, a pod nią wykuto krokodyla, w którego otwartej paszczy leżały krwawe ochłapy.

Danielle i Susan czekały już pod płaskorzeźbą. Wyglądały raczej głupio w przydużych rybackich waderach.

McCarter wylądował na kupce obrzydliwie cuchnącego mułu, wyciągając nogi, by sięgnąć stałego dna. Nie będąc wędkarzem z zamiłowania, czuł się dziwnie, gdy zimna woda naciskała od zewnątrz na gumowany materiał jego spodni.

Uwolnił się z uprząży, po czym brodząc ciężko w wodzie, ruszył w stronę obu kobiet. Wyjął z kieszeni na piersi dwie odbitki tego samego zdjęcia i dał każdej z nich po jednej.

- Pasuje idealnie - zapewnił Susan.

Na zdjęciu wydrukowanym z bazy danych o piśmie Majów znajdował się identyczny piktogram. Był to znak, jakim zapisywano pewną nazwę.

Danielle i Susan przyjrzały się uważnie zdjęciom, porównując je z płaskorzeźbą widoczną przed nimi na ścianie studni.

- Ma pan rację - przyznała studentka.

- Ja za to nawet nie wiem, na co patrzeć - powiedziała Laidlaw. - Czy ktoś może mi to wytłumaczyć?

McCarter wskazał jej pasujące miejsce.

- To Siedem Ar - wyjaśnił. - Imię istoty wielbionej w początkach istnienia Majów. W czasach, gdy jeszcze nie istniało Tulan Zuyua.

- Tak dawno? - zdziwiła się Danielle. - Wydawało mi się, że Tulan Zuyua jest odpowiednikiem Rajskiego Ogrodu tej cywilizacji.

- To prawda - uspokoił ją McCarter. - Aczkolwiek nie do końca. Ich wersja Księgi Rodzaju ma nieco inną treść niż nasza. - Spojrzała na niego w taki sposób, że zrozumiał, iż nie obejdzie się bez dokładniejszych wyjaśnień. - Ujmę to w następujący sposób - zaczął. - W judeochrześcijańskiej Księdze Rodzaju napisano, że Bóg stworzył najpierw niebo i ziemię. W drugim i trzecim wersie dowiadujemy się, że ziemia pogrążona była w mroku, więc Bóg stworzył światłość. Dopiero w wersie dwudziestym szóstym trafiamy na informację o powstaniu człowieka, co miało miejsce szóstego dnia. O tym, co działo się wcześniej, nie ma nawet słowa. Tymczasem w wersji Majów historia zaczynająca się stworzeniem człowieka biegnie dwutorowo, w przyszłość i przeszłość. Sięga wstecz, do czasów sprzed Tulan Zuyua, kiedy ludzkość jeszcze nie istniała, do rasy, która nas poprzedzała. Majowie zwali ją drewnianym ludem.

- Już gdzieś słyszałam tę nazwę. - Danielle zmrużyła oczy. - Co drewniany lud ma z tym wspólnego?

- Według wierzeń Majów bogowie potrzebowali czterech podejść, by stworzyć rodzaj ludzki. Za pierwszym razem efektem ich wysiłków były istoty skrzeczące i jękające się, ale nie umiejące mówić. Widząc w nich jakiś potencjał, bogowie zachowali je i tak powstały zwierzęta

zamieszkujące lasy. Po ich wypuszczeniu wszechmocni ponownie zasiedli przy stołach kreślarskich. Tym razem użyli błota jako budulca, co doprowadziło do dość widowiskowej katastrofy. Ich twory rozplywały się na deszczu. Pozwolili im więc umrzeć i zajęli się kolejnym projektem. Trzeci lud powstał na bazie drewna i stał się prototypem prawdziwej ludzkości. - McCarter przerwał, aby się upewnić, czy Danielle nadała za nim. - Drewniany lud przypominał z wyglądu nas - wyjaśnił. - Istoty te były inteligentne, ambitne, umiały liczyć, mówić i rozumować, niestety różniły się też od nas na wiele sposobów. Popol Vuh, święta księga Majów, mówi, że nie mieli mięśni na rękach i nogach ani tłuszczu na brzuchach. Chociaż potrafili mówić, ich twarze były nieruchome jak maski. Byli też strasznie nieforemni, wyglądali jak... kukielki.

- Zeby dojść do formy, musieli spędzać masę czasu na siłowniach i dać sobie wstrzyknąć z dziesięć tysięcy porcji kolagenu.

- Otóż to - przyznał McCarter z uśmiechem na twarzy. - Niemniej nawet w tak zniedołężniałym stanie radzili sobie całkiem nieźle. Jeśli wierzyć legendom, stworzyli nawet potężną i doskonale prosperującą cywilizację.

- A ten Siedem Ar? - zapytała Danielle, wskazując na hieroglif. - Czy on był jednym z nich?

- Tak - potwierdził profesor. - Był ich przywódcą, przynajmniej w pewnym sensie. Z opisów wynika, że miał oczy i zęby tak lśniące, że wyglądały jak klejnoty. Zasiadał na tronie czy też gnieździe z metalu i dysponował mocą rozświetlania ciemności. Chętnie się tym, że gdyby tylko zechciał, mógłby dać światło całej ziemi. Święta księga nazywa go jednak oszustem, a chociaż faktycznie potrafił stworzyć oślepiająco jasne światło, sfera jego oddziaływania była lokalna i na pewno nie mogła objąć całego świata. Mimo to Siedem Ar był bardzo wyniosły, nakazał nawet, aby traktowano go jak jednego z bogów. Zmuszał pozostałych do wielbienia siebie, jakby był ucieleśnieniem słońca i księżyca zarazem.

- A to niespecjalnie podobało się bogom. - Danielle zaczynała się domyślać ciągu dalszego.

- Rzucanie wyzwania bogom nigdy nie było dobrym pomysłem - zapewnił ją McCarter. - W żadnej kulturze. Nietrudno zgadnąć, czym to się skończyło.

- Drewniany lud został unicestwiony - podsumowała.

McCarter przytaknął.

- Bogowie wypuścili na nich potworne bestie. Sprawili, że nawet ich własne zwierzęta zwróciły się przeciw nim. A jakby tego było mało, bóg niebios, Huragan, zesłał gigantyczny deszcz, który potopił niewiernych, zupełnie jak potop z czasów Noego. „Wtedy też rozpoczęła się ulewa, z nieba lunęły strumienie czarnego deszczu... - recytował profesor, przywołując starożytne wersety - padało cały dzień i całą noc, aż ziemia całkiem poczerniała”.

- Płonący deszcz? - zdziwiła się Danielle.

- Słyszałem, że określano te ulewy mianem ognistego deszczu - przyznał McCarter. - Kojarzono je z kroplami rozgrzanego oleju, popiołem, a nawet napalmem. Niektórzy uważają, że poczernienie ziemi musiało mieć coś wspólnego z wybuchem wulkanu, po którym z nieba posypał się deszcz ognia i popiołu, lecz w Popol Vuh zjawisko to zostało nazwane po prostu deszczem.

- Siedem Ar został zabity przez ten czarny deszcz?

- Prawdę powiedziawszy, został usunięty, zanim opady się rozpoczęły

- sprecyzował profesor. - Mit wyraźnie sugeruje, że początek ulewy nie byłby możliwy, gdyby Siedem Ar pozostał na tronie, jakby jego moc była równa boskiej i mogła zapobiec kataklizmowi.

- Rozumiem. Czy wiadomo, co się z nim stało?

- Wysłano po niego dwóch półbogów. Strzelili do niego z dmuchawki, kiedy wspinał się na

drzewo, a gdy spadł, wylupili mu oczy i zęby z kamieni szlachetnych, a potem ograbili z reszty biżuterii, w tym z przedmiotów, których używał do rozjaśniania nocy. Bez nich nie mógł już przywoływać światłości nawet w bezpośrednim otoczeniu. Po tym zamachu ukrył się gdzieś i nikt go już nigdy nie widział. Gdy Siedem Ar zniknął ze sceny, bogowie zesłali deszcz.

- Zatem bohaterowie zlikwidowali króla, a później deszcz unicestwił cały jego lud.

Najpierw zabija się dowódcę, potem zajmuje się zwykłymi żołnierzami.

- Można to ująć i w taki sposób.

- Świetna wiadomość. - Danielle wyglądała na zadowoloną. - Ta tablica jest ostatecznym dowodem na obecność Majów. I to bez uciekania się do obróbki komputerowej.

McCarter uśmiechnął się pod nosem.

- Jest czymś więcej - poprawił ją. - Mamy przed sobą dowód, że tutejsi Indianie znali ten konkretny mit o stworzeniu świata, co nie tylko łączy ich z pozostałymi plemionami, ale również sugeruje, że to oni byli przodkami znanych nam Majów. Chyba miała pani rację - dodał. - Tulań Zuyua może się znajdować w tych okolicach.

Laidlaw uśmiechnęła się z wyższością i obróciła w stronę płaskorzeźby zdobiącej wschodnią ścianę studni. Przyjrzała się pozostałym symbolom: gigantycznej smutnej twarzy, ciągom i wirom otaczających je hieroglifów i rozdziawionej krokodylej paszczy, w której spoczywały krwawe ochłapy.

- Co oznacza ten symbol? - zapytała.

McCarter uśmiechnął się tak szeroko, że aż zmrużył oczy. To także było niezwykle ważne odkrycie.

- Oto Zipacna - odparł. - Niszczyciel.

Nieco później tego wieczora, gdy zasiedli w towarzystwie Hawkera przy migodiwej latarni obozowej, Danielle zaczęła wyciągać od profesora i jego samozwańczej asystentki kolejne szczegóły tej opowieści.

McCarter zaczął od opisu przeszkód.

- Nasz główny problem to stan znaleziska - powiedział. - Hieroglify na murze są niemal całkowicie zatarte, w większości praktycznie nieczytelne. Te na kamiennej tablicy w studni zachowały się znacznie lepiej dzięki temu, że nie były wystawione na działanie wiatru i zmiennych warunków pogodowych. Odsłonięte korzenie drzew i strome ściany sugerują, że została odkopana całkiem niedawno.

Ta informacja zaniepokoiła Danielle. Cały czas zastanawiała się, czy konkurenci nie zdołali dotrzeć w to miejsce pierwsi. McCarter nieświadomie spotęgował jej obawy.

- Dzisiaj tubylcy używają jej jako pułapki.

- Sądząc po liczbie szkieletów, jakie znaleźliśmy na dnie, nie liczyłbym na to, że wrócą tutaj, by sprawdzić, kogo tym razem schwytali - wtrącił Hawker.

- Jak widać, nie tylko my zostaliśmy spisani przez nich na straty - dodał profesor. -

Obejrzałem tę studnię i mogę powiedzieć jedno, została wykopana za pomocą bardzo prymitywnych narzędzi. Nikogo też nie zainteresował znaleziony przy tej okazji relikw. Zauważyłem w wielu miejscach płyty odpryski i rysy pozostawione przez kopaczy. Moim zdaniem wiedzieli o jej istnieniu i postanowili wykorzystać fakt, że stoi niemal pionowo. Dzięki niej mieli solidną, niemal pionową ścianę.

Hawker pomasaował obolały bark.

- Pionowe ściany sprawiają, że otwór wlotowy może być mniejszy

- stwierdził z ponurą miną. - I mniej widoczny z oddali.

- A co z tymi hieroglifami? - Danielle sprowadziła rozmowę na właściwe tory. - Słyszałam, że macie dla mnie jakieś dobre wieści.

McCarter otworzył wiekową skórzaną teczkę wypełnioną rysunkami i notatkami. Pokazał jej kilka szkiców.

- Pamięta pani, co mówiłem o drewnianym ludzie i jego przywódcy? Że byli dla Majów mitologiczną rasą zamieszkującą ziemię przed ludźmi?
- A bogowie zniszczyli ich, zsyłając płonący deszcz - uzupełniła.
- Tak, pamiętam wszystko.
- Zatem nie muszę przypominać piktogramu, który pani wskazała na samym końcu?
- Niszczyciela? - zapytała. - Tego, który zwał się Zipacna?
- Inskrypcje na tej tablicy dotyczą obu postaci. Siedem Ar jest na niej przedstawiany jako ojciec, a Zipacna jako syn.

Danielle nie kryła zaskoczenia.

- Moim zdaniem Zipacna wygląda jak rasowy gad.
- To prawda - przyznał McCarter - ma wiele gadzich cech. Proszę jednak pamiętać, że mamy do czynienia z mitem. W mitologiach wiele opisów jest niezgodnych ze sobą i niewytłumaczalnych. Weźmy na przykład pochodzenie Minotaura albo krakena. Tutaj mamy Siedem Ar, którego możemy uznać za protoplastę człowieka, i jego syna, niszczyciela, opisywanego zazwyczaj jako podstępny i okrutny krokodyl, mimo że był stworzeniem chodzącym na dwóch nogach po lądzie. - Laidlaw słuchała go, nie mając pewności, do jakiej konkluzji zmierza. McCarter spojrzął na Susan.— Może ty przybliżysz treść napisów. W końcu rozszyfrowałaś je pierwsza.

- Piktogramy na tej tablicy opisują Zipacnę jako tego, który terroryzował ludzi na polecenie ojca i zabijał każdego, kto mógł stanowić zagrożenie dla Siedmiu Ar.

- Każdy władca potrzebuje od czasu do czasu kata - wtrącił Hawker.

Susan się roześmiała.

- Zipacna był właśnie kimś takim. Tablica upamiętnia grupę ludzi, którzy postanowili obalić dyktatora i zdecydowali, że najpierw należy pozbyć się Niszczyciela. Kazali mu wykopać głęboką studnię, a gdy znajdował się na jej dnie, mieli zrzucić na niego ogromny pień.

- Studnię? - zapytał Hawker. - Taką jak ta?

- Niewykluczone - przyznał McCarter. - Moim zdaniem ta tablica stała kiedyś na ziemi, ale z czasem została przysypana, tak jak ściany domów w okolicach pustynnych nikną pod warstwą nawiewanego piasku. Nawet teraz jej szczyt wystaje nieco nad powierzchnię gruntu. A w tej historii jest mowa o wąskiej studni.

- Co się stało ze spiskowcami? - zapytała Danielle, wracając do tematu.

Susan dokończyła opowieść.

- Gdy uznali, że zmiażdżyli Zipacnę, zaczęli świętować zwycięstwo, ogłaszając wielki festyn. Gdy upili się z radości, Niszczyciel wypełził ze studni i zabił ich wszystkich, zwalając im na głowy ich własny dom.

- Wielu badaczy uważa, że to starożytne podanie dotyczące moralności - uzupełnił McCarter. - Ostrzeżenie przed zagrożeniami, jakie niesie ze sobą alkoholizm.

- To rozumiem - mruknął Hawker. - Kilka domów zawaliło się na mnie, zapewne z powodu upojenia.

Gdy umilkł gromki śmiech, Danielle zadała kolejne pytanie.

- Jeśli nasza studnia jest wyobrażeniem dołu wykopanego, by zgładzić Zipacnę, to czy mur nad rzeką może być miejscem spoczynku tych, których zabił?

- Niewykluczone, że to jakiś pomnik ku ich czci - przyznał McCarter. - W każdym razie nie zbudowano go bez powodu. To miejsce wydaje się obiektem kultu, ale na pewno nie było miastem.



Laidlaw rozważyła jego słowa. Profesor potwierdził właśnie jej najgorsze obawy. Odkryli monument, ale nie znaleźli dowodów na to, by ktokolwiek zamieszkiwał tę okolicę. Co gorsza w pobliżu nie było nawet śladu innych domów czy konstrukcji.

- Ktoś go jednak musiał wznieść - stwierdziła. - Zechce pan określić, kim byli ci ludzie i skąd się tu wzięli? Czy raczej mamy opracować nową definicję „dobrych wieści”?

- Proszę nie rozpaczać - uspokajał ją profesor z uśmiechem na twarzy. - Jeszcze nie wszystko stracone. Zrobimy z Blackjacka Martina bohatera. Na dole tablicy znaleźliśmy inskrypcje odnoszące się do innego miejsca, być może miasta. Ponoć były tam kamienne budowle i wielkie ognie. - Spojrzała na niego uważniej, na co zareagował ostrzegawczym uniesieniem dłoni.

- Proszę nie robić sobie wielkich nadziei. Znaleźliśmy tylko opis.

- Gdzie ono leży? W pobliżu?

- Jeśli dobrze odczytaliśmy piktogramy, jakieś dwa dni drogi stąd.

- W którym kierunku?

- Strony świata są zdefiniowane w odniesieniu do położenia słońca w dniu zwanym przez Majów ósmym Imix czternastego Mak, za panowania Dziewiątego Władcy Ciemności.

- Zdaje się, że miałem wtedy wizytę u dentysty - wtrącił Hawker.

Danielle dała mu kuksańca w bok, aczkolwiek nawet ona nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu. Spojrzała też od razu na McCartera.

- Proszę mi powiedzieć, że potrafi pan ustalić, jaki to dzień według naszego kalendarza.

- Cóż... nie do końca - odparł.

Westchnęła głośno z frustracji.

- Znęca się pan nade mną, profesorze. Proszę odpowiedzieć wprost: potrafi pan czy nie?

Susan wybuchnęła śmiechem.

- Cały profesor - powiedziała. - Nazywamy to syndromem McCartera. To coś w rodzaju metody Sokratesa, tylko znacznie gorsze. On potrzebuje trzech wykładów, by odpowiedzieć na proste pytanie, a gdy już skończy mówić, człowiek nie pamięta nawet, o co mu chodziło.

Naukowiec zbył tę uwagę uśmiechem.

- Wybacz - przeprosił. - To taka szkolna tradycja. Rzecz w tym, że szukaliśmy na ścianie dat, które mogłyby powiązać to miejsce z innymi stanowiskami archeologicznymi Majów. Co byłoby możliwe tylko wtedy, gdybyśmy znaleźli zapisy w Długiej Rachubie.

Długa Rachuba była czymś w rodzaju superkalendarza Majów. Składała się z uszeregowanych nazw cykli i liczb, które pozwalały ułożyć niepowtarzające się nigdy układy na przestrzeni ponad pięciu tysięcy lat. Data podana w takiej formie mogła być porównana z zapisami kalendarza gregoriańskiego z dokładnością do dnia, miesiąca i roku. Dzięki niej mogliby ustalić datę pochodzenia tych ruin, co udowodniłoby ich pierwszeństwo wobec pozostałych budowli Majów.

- Na razie jednak nie odkryliśmy żadnej daty - dokończył McCarter. - Wytropiliśmy za to inny hieroglif powiązany z datą, wskazujący, że w tym dniu doszło do jakiegoś niezwykle ważnego wydarzenia. Jeśli dobrze rozumiem, był to dzień Żółtego Słońca. Z tym że Majowie nie używali tego słowa w odniesieniu do koloru, tylko do kierunku. W ich rozumieniu każdy główny kierunek miał inny kolor. Wschód był czerwony, zachód czarny, północ biała, a południe żółte. Zatem dzień Żółtego Słońca powinien oznaczać przesilenie. Czyli najdłuższy dzień roku na tej szerokości geograficznej. Tak więc, bez względu na to, z jakim rokiem mieliśmy do czynienia, ósmy Imix czternastego Mak wypada dwudziestego pierwszego albo dwudziestego drugiego grudnia.

Danielle promieniała; w końcu miała jakiś punkt zaczepienia.

- Zatem potrzebujemy teraz kilku astronomicznych wyliczeń, żeby ustalić, w którym miejscu słońce zniknęło tego dnia za horyzontem.

- Byłyby potrzebne do dokładnego określenia kierunku - zgodził się z nią McCarter. - Ale teraz mamy styczeń, jest tuż po przesileniu, więc mogę wskazać ten kierunek z grubsza bez żadnych wyliczeń. - Wyciągnął rękę w stronę zachodzącego słońca. Rozprostowana, trzymana w pionie dłoń wyglądała jak grot grubej włóczni. Kciuk posłużył za wskazówkę. - Tam - powiedział. - Nieco na południe od znikającej właśnie tarczy słonecznej.

Serce zabiło żywiej w piersi Danielle, gdy spojrzała za jego ręką. Miała nadzieję, że znajdą to, po co tutaj przybyli. Wszystko na to wskazywało. Wielkie miasto było o wiele ważniejszym miejscem niż jakiś stojący na odludziu relikw. Tam trzymano wszystkie wartościowe przedmioty: złoto, srebro, klejnoty, a nawet kryształy znalezione przez Blackjacka Martina. Jesteśmy o krok od zwycięstwa, pomyślała.

- Ruszamy o pierwszym brzasku.

- Powinniśmy najpierw oczyścić to stanowisko i zabezpieczyć je przed wpływem warunków atmosferycznych - zaprotestował McCarter.

- Musimy to zrobić.

- Dobrze - zgodziła się po chwili. - Daję wam dwadzieścia cztery godziny i ani sekundy więcej. - Skinęła głową i spojrzała na Hawkera. Nie wyglądał na rozentuzjzmowanego. Szczerze mówiąc, miał mocno zawiedzioną minę. - O co ci chodzi? - zapytała. - Nie cieszysz się z sukcesu?

- Owszem - odparł. - To niesamowite osiągnięcie. Ale... wolałbym najpierw usłyszeć resztę opowieści. Co się stało z Zipacną? To przecież nie był prawdziwy koniec tej historii. Ktoś musiał odplacić temu draniowi za wszystko, co uczynił.

- Mówisz o zemście? - zapytała Laidlaw, wybuchając śmiechem.

- Raczej o sprawiedliwości - poprawił ją, także szczerząc zęby.

- Rzeczywiście, ktoś zajął się Zipacną - poinformowała go Susan.

- Ci sami półbogowie, którzy załatwili Siedem Ar.

- W jaki sposób? - zainteresował się Hawker.

Tym razem odpowiedział mu McCarter.

- Wykorzystali wielkiego kraba, by zwać go do jaskini. Gdy wszedł do niej, zamknęli za nim wejście, więząc go po kres czasów pod morzem głazów.

## ROZDZIAŁ 18

W CZASIE, GDY RESZTA ZESPOŁU PAKOWAŁA SIĘ I PRZYGOTOWYWAŁA do podróży lądem, Danielle przysiadła na pokładzie Ocany i zameldowała centrali o postępach, korzystając z łączy satelitarnych.

Ku jej niepomiernej radości Gibbsa nie było akurat w biurze, więc połączono ją z jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać, czyli z Arnoldem Mooreem.

Opisała mu wszystkie znaleziska i poprosiła:

- Chciałabym odesłać resztę zespołu do Stanów. Dalej mogę iść z ludźmi Verhovena.

Wolałabym pozbyć się tej cywilbandy.

- Profesora McCartera i panny Briggs?

- Tak. A także tragarzy oraz Polaskiego i Deversa - dodała, przypominając mu, że są to

ludzie należący do pionu badawczego, nie operacyjnego, co było dla niej równoznaczne z tym, że nie powinni brać udziału w operacjach polowych tak wielkiej wagi.

- Dlaczego? - zapytał Moore. - Czy coś się stało?

- Wydaje mi się, że już ich nie potrzebujemy - wyjaśniła. - Poza tym mieliśmy zeszłej nocy incydent z udziałem dwóch Indian. - Opisała pokrótce wydarzenia, które zaowocowały uwięzieniem Hawkera i Verhovea w studni.

- Czy ktoś odniósł rany?

- Nie, ale mam nieodparte wrażenie, że zobaczymy jeszcze tych tubylców. . . Tak czy inaczej trafiliśmy już na właściwy ślad. Możemy skorzystać z pomocy zdalnie, jeśli będzie trzeba coś przetłumaczyć albo odczytać.

- Gibbs nigdy nie pójdzie na coś takiego - powiedział jej to, co sama doskonale wiedziała. - Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jaka histeria tu panuje. On chce, abyś przestała składać raporty. Dozwolone będą wyłącznie rozmowy z nim albo ze mną. Żadnych nagrań.

Przez cały ostatni miesiąc wysyłała zmyłkowe raporty, ale szef właśnie uznał, że pora i z tym skończyć. Zaczynał powoli tracić opanowanie.

- Dlaczego? - zapytała.

- Jest przekonany, że ktoś z zewnątrz przeniknął do zespołu Dixona, i rozpoczął polowanie na potencjalnego kreta, aby dowiedzieć się, jakim sposobem wyciekają od nas informacje.

Obawia się, że ujawnienie twojej misji może być zagrożeniem dla waszego życia.

- Tym bardziej powinien się zgodzić na wycofanie wszystkich cywilów - rzuciła z irytacją w głosie.

Arnold milczał przez dłuższą chwilę.

- Wiesz, uważam, że masz rację - oświadczył w końcu. - Niestety on na to nie pozwoli, więc dalsza rozmowa na ten temat nie ma sensu.

Danielle wsłuchiwała się w ukryte znaczenie tych słów. Nawet przekaz satelitarny nie był w stanie wypaczyć sensu wypowiedzi Moore'a. A powiedział jej wyraźnie: martw się tym, co możesz kontrolować, a nie całą resztą.

- Wiem, że to nie będzie łatwe - dodał jeszcze - ale teraz możesz tylko utrzymać tempo operacji na najwyższych obrotach. Im prędzej dotrzecie do wskazanej lokacji, tym szybciej Gibbs zgodzi się na wycofanie cywilów.

Wiedziała o tym w głębi serca. Miała nadzieję, że sam fakt namierzenia miasta wystarczy, ale wszystko wskazywało na to, że umysł Gibbsa działa na opak. Im bliżej byli sukcesu, tym bardziej przykręcał im śrubę i godził się na dalsze zwiększenie ryzyka, byle tylko dopiąć swego. Zresztą wkrótce albo dokonają tak poważnego odkrycia, że Gibbs sam odwoła cywilnych członków zespołu, albo rozpocznie się mocno spóźniona pora deszczowa i wszyscy będą musieli zawrócić, wygnani z dżungli przez potoki lejącej się z nieba wody.

- Dobrze - uległa w końcu. - Przekaż mu zatem, że wyruszamy. Skontaktuję się z tobą za dwadzieścia cztery godziny.

- Przyjąłem - odparł, a potem zaraz dodał: - Uważaj na siebie, Danielle. Miej oczy dokoła głowy. Gibbs jest paranoikiem, ale tym razem może mieć rację. Bądź ostrożna. Nie chciałbym, abyś mi gdzieś przepadła.

Uśmiechnęła się, słysząc troskę w jego głosie. W tym samym momencie zauważyła kątem oka nadchodzącego Hawkera.

- Nie martw się - powiedziała. - Nic mi nie będzie.

Zakończyła połączenie i czekając na przybycie byłego agenta, zaczęła pakować telefon satelitarny.

- Wszyscy gotowi - zameldował.

Tutaj mieli się chwilowo rozdzielić. Hawker zostawał na łodzi, by wrócić do Manaus, podczas gdy reszta zespołu wyruszyła łodem na zachód, w kierunku wskazanym przez inskrypcję z kamiennej tablicy. Gdy odnajdą wspomniane w niej miasto, zawiadomią go drogą radiową i wykarczą miejsce na lądowisko dla helikoptera, aby mógł im dostarczyć sprzęt i tę część zapasów, która była zbyt ciężka, by ją dźwigać na plecach przez dżunglę.

- Dobrze.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Wyglądasz na podenerwowaną - zauważył. - Będzie ci mnie brakowało?

Roześmiała się.

- Z tym stwierdzeniem mogłabym się spierać - zbyła go. - Bardziej martwi mnie fakt, że znajdziemy się tak daleko od siebie. Jesteś naszym jedynym kontaktem ze światem, dlatego mam prośbę, nie wpadaj do żadnej studni. - Rozbawiła go i sama też wyszczerzyła zęby. Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni żartowała z taką lekkością. - Skontaktuję się z tobą, jak tylko znajdziemy miasto. Przygotuj się na szybki przerzut sprzętu z mojej listy.

- Mówisz o tym systemie obronnym? - zapytał.

- I o psach, o które prosił Verhoven - przypomniała mu, zakładając plecak.

- Racja. Już mi się marzy helikopter pełen warczących bestii.

Silnik Ocany zaterkotał za ich plecami. Kapitan przywołał Hawkera głośnym gwizdnięciem, ten skinął mu głową, a potem znów spojrzął na Danielle. Wyciągnął rękę, by poprawić jej paski uprząży jak ojciec, który wysyła dziecko do szkoły. Odepchnęła jego dłoń i zeszła na trap, za którym czekała na nią reszta zespołu.

Dziesięć minut później Ocana zniknęła z pola widzenia, a Laidlaw i jej ludzie zanurzyli się w amazońskiej puszczy. Gdy tylko oddalili się od koryta rzeki, skończyły się porywy chłodnego wiatru i poczuli się jak w saunie - oblepiało ich wilgotne, nieruchome powietrze, z każdą godziną robiło się też goręcej.

Na szczęście nic nie zapowiadało opadów, zadbał o to formujący się dopiero El Nino. Z początku bardzo im to odpowiadało, ale po dwóch tygodniach bez jednej chmurki na niebie powitaliby z wielką ulgą najkrótszy nawet orzeźwiający deszczyk.

Mimo trudnych warunków radzili sobie znakomicie, wędrując w półmroku pod baldachimem listowia, w otoczeniu majestatycznych pni niebosiężnych drzew. Zwłaszcza McCarter nabrał w tych warunkach ochoty do życia. Danielle obserwowала z boku, jak wskazuje pozostałym napotkane po drodze rośliny, głównie kwiaty, jaskrawe orchidee, ale też drzewa usychające w objęciach duszących je lian.

Starła się go ignorować. Skupiała się na celu misji, gnana nadzieją, chęcią udowodnienia Gibbsowi swojej wyższości i pragnieniem doprowadzenia do końca tego, co zaczęła. Ale nie tylko o to jej chodziło. Jeśli miała rację, ekspedycja zbliżała się do źródła tajemniczych kryształów, które przywiózł ze sobą przed laty Martin. Tych samych, które mogły brać udział w tworzeniu energii podczas procesu zimnej fuzji.

To było ważniejsze od jej osobistych motywów, miała tego pełną świadomość. Waga odkrycia przewyższała pragnienia ich wszystkich razem wziętych. Niemniej tylko ona zdawała sobie sprawę z tego, jak wygląda cała prawda, przez co czuła się strasznie wyalienowana, jakby trafiła na wyspę, którą tak sugestywnie opisywał Hawker. Mimo że on również tkwił w kompletnej niewiedzy, przynajmniej rozumiał, przez co musiała przechodzić, i w pewien sposób dzielił z nią to niesamowite brzemię. Czuła więc z tym człowiekiem, nie mogła także zaprzeczyć temu, że zaczynała mu ufać.

Za nic nie przyznałaby się do tego na głos, ale brakowało jej obecności Hawkera, nawet jego marnych żarcików. Nie spodziewała się, że tak bardzo będzie pragnęła jego powrotu.

W tym jednak momencie musiała po raz kolejny skupić się na marszu i kolejnym opóźnieniu względem planu. McCarter znów zatrzymał wszystkich, by zaprezentować im kolejny odcinek z cyklu Discovery Channel, pokazując drzewo kauczukowe o gładkim, warstwowym drewnie i rozszczepionym pniu, wyglądającym jak pęk wetkniętych w ziemię ostrzy. Mrówki wędrowały po jego korze długą, czarną linią. Były ich tam setki, każda dźwigała w żuwaczkach kawałek pociętego liścia.

Mrówki! Zatrzymał ekipę, aby podziwiać mrówki!

- Spójrzcie na nie - mówił. - Czy nie przypominają nas samych? My też idziemy gęsiego, dźwigając plecaki.

Danielle pokręciła głową.

- Nie przypominają. Chyba że znajdziesz wśród nich taką, co zatrzymuje pozostałe, aby im coś pokazać.

Skrzywił się. Od momentu odkrycia muru ekscytował się wszystkim jak uczeń na wycieczce szkolnej. Musiała go jakoś utemperować.

- Takiej nie znajdę - przyznał - ale jak przyjrzyj się tej tutaj, zauważysz, że to ona rządzi całą resztą. Co przypomina mi...

Popatrzyła na niego w taki sposób, że zamilkł w pół zdania. Odwrócił się od pnia z uśmiechem na ustach i podjął przerwana wędrowkę, dołączając do chóru gwizdzącego melodię „High Hopes”. Tym razem nawet ona nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

Piątego dnia trafili na pozostałości jakiejś niewielkiej budowli. Była to tylko sterta kamieni porośniętych gęstymi pnączami i mchem, ale i to wystarczyło, by zrozumieli, że trafili we właściwe miejsce. Parę godzin później Danielle ujrzała coś, czego nie była w stanie zrozumieć.

Z gęstych zarośli wydostali się na kolistą polanę porośniętą wyłącznie rzadką, pożółkłą trawą. Półmrok, w którym spędzili ostatnie pięć dni, pozostał z tyłu. Promienie odsłoniętego słońca oślepiły ich na chwilę. Rozciągająca się wokół puszcza nie potrafiła zdominować tego miejsca. To była jednak najmniejsza z czekających tu niespodzianek.

Danielle zmrużyła powieki, ale nie na wiele się to zdało. Musiała osłonić oczy, przykładając dłoń do czoła. Na samym środku polany dostrzegła górującą nad trawiastą równiną piramidę z szarego kamienia. Budowla miała wysokość co najmniej piętnastu pięter i gładkie, strome ściany z trzech stron. Na ostatniej biegły wąskie schody prowadzące na zakryty kwadratowym dachem szczyt.

Piramida była dziełem Majów, to nie ulegało wątpliwości. Przypominała budowle z Ameryki Środkowej, ale z powodów, których ani Laidlaw, ani McCarter nie potrafiliby wyjaśnić, zupełnie nie pasowała do tego miejsca. Po pierwsze, w ogóle nie powinno jej tu być, jeśli dotychczasowa wiedza o zaginionej prekolumbijskiej cywilizacji nie mijają się z prawdą. Po drugie, wszystkich zadziwił stan budowli. Zgodnie z tym, co mówił im od pierwszego dnia profesor, powinna być pogrzebana pod kłębowiskiem roślin i zwałami ziemi. Powinna zawalić się pod własnym ciężarem. Rozpaść się, rozsypać i porosnąć lasem deszczowym jak inne budowle pochłonięte przez dżunglę.

Tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Stała przed nimi, czysta i posepna, nigdy nie poskromiona. Powodowała lęk, którego Danielle nie potrafiła wytłumaczyć.

Na widok piramidy członkowie ekspedycji zaczęli wznosić okrzyki radości, świętując sukces i ściskając się wzajemnie. Niektórzy rzucili się w kierunku budowli, jakby ten, kto jej pierwszy dotknie, mógł zdobyć cenną nagrodę.

Mijali Danielle, zatrzymując się tylko na moment, by jej pogratulować, a potem otoczyli McCartera i tryumfującego pociągnęli za sobą.

Danielle pozwoliła im odejść, aby nacieszyć się tą chwilą w spokoju. Gdy ruszyła w głąb

skąpanej w słońcu polany, poczuła się spełniona. Po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu trafiła na coś, czym mogła się pochwalić. Ta świątynia nie zniknie bez śladu jak wszystkie poprzednie tropy. Nie okaże się fałszerstwem ani błędem w tłumaczeniu. Była konkretnym i niezaprzeczalnym dowodem rzeczowym. Danielle uwierzyła, że znajdzie to, po co ją tu wysłano, i wróci do Waszyngtonu jako bohaterka.

## ROZDZIAŁ 19

Matt Blundin zasiadł w gabinecie Stuarta Gibbsa. Był wycieńczony siedemnastogodzinnym dniem pracy. Dyrektor zajmował miejsce naprzeciw niego, rozparty wygodnie w fotelu, z głową zadartą do góry i tęym wzrokiem wlepionym w sufit.

Zanim Blundin zdołał nakreślić aktualną sytuację, wybiła druga w nocy. Chodziło o niedawno odkryte włamanie do systemu i kradzież poufnych danych.

Gibbs wyprostował się w końcu i westchnął głośno.

- Co jeszcze masz na ten temat?

- Tylko tyle - odparł szef ochrony. - Na razie wiemy jedynie, co się stało.

- Gównu mnie obchodzi, co się stało - warknął dyrektor. - Chcę wiedzieć, jak do tego doszło, do kurwy nędzy, i kto jest za to odpowiedzialny.

- Kończąc ostatnie zdanie, Gibbs pchnął raport na drugą stronę biurka. Papiery zsunęły się z blatu i wylądowały na otyłym podbrzuszu Blundina.

Szef ochrony przetarł dłonią kark. Po tak długim dniu lepił się od potu i brudu, przez co gotów był rzucić się do gardła pierwszej napotkanej ofierze. Wszystko jednak wskazywało, że ma przed sobą jeszcze dłuższą i bardziej wyczerpującą noc. Zebrał papiery z kolan i ponownie ułożył je na blacie, poza zasięgiem rąk Gibbsa. Na koniec wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę marlboro.

Wyjął z niej papierosa i wsunął go między wargi. Dwa trzaśnięcia kamienia w zapalnicze i końcówka rozjarzyła się czerwienią. Zaczął mówić dopiero po mocnym zaciągnięciu się dymem.

- Posłuchaj - powiedział, wydychając smużki dymu. - Mogę się domyślić, co najprawdopodobniej zrobiono. Mogę nawet ustalić, kiedy się to stało, z dość wąskim marginesem błędu, ale na pewno nie dowiesz się, kto to zrobił, ponieważ mógł to być każdy użytkownik sieci, zarówno ktoś z tego budynku, jak i z końca świata.

Gibbs odchylił się po raz kolejny. Po raz pierwszy tego wieczora wy-, glądał na usatysfakcjonowanego.

- Zacznijmy od ustalenia, jak tego dokonano.

- Dobrze - zgodził się Blundin. - Możemy zacząć od tego, ale i tak nie zajdziemy dalej, niż teraz jesteśmy. - Wydmuchnął kolejną chmurę substancji rakotwórczej i sięgnął po popielniczkę, aby odłożyć na nią niedopałek. - Zacznijmy od kodowania. Nasz system wykorzystuje matrycę kodów wygenerowaną na bazie liczb pierwszych, które są następnie przekształcane przez bardzo skomplikowany algorytm.

Gibbs zgubił się już po kilku słowach, co specjalnie nie dziwiło jego szefa ochrony. Rozumiał tak mało głównie dlatego, że nie słuchał, co do niego mówiono.

Blundin pochylił się, obrazując ten proces gestami.

- Powiedzmy, że to jest zamek szyfrowy. Jeśli nie znasz właściwej kombinacji, możesz do niej dojść, ustawiając kolejne liczby, czyli jeden, jeden, jeden, a potem jeden, jeden, dwa, jeden,

jeden, trzy i tak dalej, dopóki nie dojdiesz do właściwego ustawienia. Tyle że w naszym przypadku nie mamy do czynienia z setkami kombinacji czy ile ich tam trzeba do otwarcia trzycyfrowego zamka, ale z gigantyczną masą możliwości.

- Jak wielką?

- Szyfr składa się z osiemnastu cyfr. To tak ogromna liczba, że gdybyś dodawał co sekundę tysiąc, dopiero po stu latach liczenia doszedłbyś do tego rzędu wielkości. - Szef ochrony poprawił się w fotelu. - A mówimy tylko o zwykłym dodawaniu. Do złamania takiego kodu trzeba by sprawdzać każdą liczbę po drodze, nie mówiąc o testowaniu wyniku.

Sądząc po wyrazie twarzy, to obrazowe porównanie pozwoliło Gibbsowi ogarnąć problem.

- A co ze sprzedawcą? Z firmą, która dostarczyła nam kody?

- Dostawca oprogramowania nie był źródłem przecieku - zaprzeczył szef ochrony. -

Włamanie dokonano, wykorzystując nieaktywny kod uniwersalny, który każdy komputer przechowuje na wypadek awaryjnego zamknięcia.

- W takim razie co sądzisz o byłych pracownikach dostawcy? - zapytał Gibbs. - Ci, których wywalono albo którzy sami odeszli, mogli znać system.

- Już ich sprawdziłem. Od czasu instalacji z Atlantic Safecom nie odszedł nikt ze stanowisk powyżej sekretarki.

- A od nas?

- Za każdym razem, gdy odchodzi ktoś z naszych, wymazujemy z baz danych wszystkie jego kody i profile. Ale jak już wspominałem, w tym wypadku nie chodziło o kod osobisty, tylko uniwersalny.

Gibbs wałnął pięścią w biurko.

- Może powiesz mi, z łaski swojej, jak oni zdobyli ten kod? O to właśnie pytam. Przecież nie zagrali na ślepo, do kurwy nędzy.

- Szczerze mówiąc, chyba tak właśnie było. - Dyrektor zmrużył oczy, co Blundin potraktował jako zawołaną groźbę. Jeśli nie będzie wyrażał myśli z większą precyzją, narazi się na represje. - Musieli zgadywać - rzucił.

- Mieli do sprawdzenia trzysta pięćdziesiąt kwadrylionów kombinacji.

Twarz Gibbsa pobladała.

- To nawet nie przypomina nazwy faktycznie istniejącej liczby!

- A jednak ona istnieje - zapewnił go szef ochrony. - Tyle kombinacji trzeba, by złamać nasze kody. Już od roku ostrzegałem cię, że coś takiego może nam się przytrafić.

Gibbs milczał. Na pewno przypominał sobie liczne prośby o zamknięcie łącz z pionem badawczym i uwagi, że stosowane obecnie kody mogą być nieodporne na niektóre techniki sondowania komputerowego.

- Zatem to haker - oświadczył w końcu dyrektor. - Ktoś, kto ma dostęp do superkomputera. Czy mówimy o tego rodzaju włamaniu?

Blundin wyprostował się na fotelu.

- W normalnych warunkach powiedziałbym, że nie. Nawet najlepszy superkomputer musiałby przeliczać te kody sekwencjami, porównując każdy wynik, a potem przepuszczając go przez pojedyncze algorytmy. Nawet w przypadku maszyn porównywalnych z Crayem czy Big Blue zajęłoby to zbyt wiele czasu... - przerwał wywód, by dokonać kilku obliczeń w pamięci. - Dałyby sobie radę pod warunkiem, że pracowałyby bez przerwy przez rok albo dwa.

Gibbs postukał oprawką pióra o blat.

- Powiedziałeś „w normalnych warunkach”. Czy mam przez to rozumieć, że ta sytuacja jest nienormalna?

Szef ochrony otarł czoło.

- Mamy do czynienia z zupełnie innym rodzajem oprogramowania

- wyjaśnił. - W niektórych przypadkach zahaczającym o trzecią, a nawet czwartą generację.

Nazywamy to przetwarzaniem równoległym na wielką skalę. Wykorzystuje się w nim ogromną liczbę zsieciovanych komputerów, od zwykłych pecetów po najpotężniejsze serwery. Dzięki temu można osiągnąć wyniki dziesięciu superkomputerów. Oprócz NASA i Departamentu Obrony mało kto wykorzystuje podobną technologię, ponieważ nikomu nie jest potrzebna aż tak wielka moc obliczeniowa. Niemniej taki system istnieje i jest szybszy od wszystkiego, co można sobie wyobrazić.

- O ile szybszy?

- Wykładniczo szybszy. Innymi słowy, cztery zsieciovane komputery nie dadzą czterokrotnego przyrostu prędkości liczenia, tylko szesnastokrotny. Sto pracujących równolegle procesorów pozwoli przyspieszyć proces dziesięć tysięcy razy. Zamiast jednopasmowej drogi, jaką porusza się informacja, zyskujesz pięćdziesięciopasmową, tysiącasmową albo i milionpasmową autostradę. Numery są sprawdzane równocześnie, nie kolejno. Skomplikowane programy potrafią przeliczać setki teraoperacji na sekundę, co daje sto trylionów kombinacji sprawdzanych w ciągu zaledwie jednej sekundy. A to stanowi zagrożenie nawet dla takich systemów jak nasze, czego mimo moich wysiłków nie chciałeś przyjąć do wiadomości.

Dyrektor wyglądał na przerażonego.

- Mamy te same systemy zabezpieczeń, z jakich korzysta FBI, a nawet CIA. Chcesz mi powiedzieć, że nawet ich banki danych nie są dzisiaj bezpieczne?

Blundin zaprzeczył ruchem głowy.

- Poza paroma kryminalistami nikt nie dałby złamanego centa za złamanie zabezpieczeń FBI. Na zawartości ich banków danych nie da się zarobić. A Firma ma zamknięty system. Aby się do niego dostać, musiałbyś wywiercić dziurę w ścianie i podłączyć się do komputera. One nie mają połączenia z siecią. Ale my jesteśmy zlinkowani z serwerami pionu badawczego, a on z kolei ma łącza z każdym pieprzonym uniwerkiem, korporacją i filią, z jaką współpracujemy. To pierdolony dworzec centralny dla danych.

Każdy, kto zdoła wykraść jeden z ich projektów albo naszych, zaoszczędzi lata prac badawczych i setki milionów na testach. Nie domyślasz się, o co tu chodzi? Zrobili nam to samo, co my robimy innym.

Gibbs wyglądał, jakby nagle dostał niestrawności. Jeśli ta część doprowadziła go do takiego stanu, porzyga się, kiedy pozna całą prawdę, pomyślał Blundin.

- To nie wszystko - dodał.

Na twarzy dyrektora pojawił się wyraz niedowierzania.

- Naprawdę? - zapytał. - Gadaj, i to zaraz.

Szef ochrony zawahał się. Gdy przemówił, wypowiadał kolejne słowa z widoczną niechęcią. Tej części rozmów najbardziej nie lubił, kojarzyły mu się z walnięciem kogoś na odlew w twarz.

- Jak już ci wspomniałem, moim zdaniem nie mogli dokonać tego od zewnątrz. A to oznacza tylko jedno. Całą brudną robotę wykonano we wnętrzu tego kompleksu.

- Na naszych własnych komputerach?

- Tylko w tym budynku mamy serwer główny, całą masę bloków obliczeniowych i dwieście siedemdziesiąt jeden pecetów spiętych w sieć. Do tego dochodzą maszyny pracujące w pionie badawczym. Ich sieć jest co najmniej pięciokrotnie większa niż nasza, nie mówiąc już o kilku najnowszych modelach Craya stojących w klimatyzowanym pomieszczeniu gdzieś w podziemiach budynku numer trzy. Gdyby ktoś połączył je wszystkie, zyskałby niewyobrażalną moc obliczeniową.

- A mógłby to osiągnąć za pomocą czegoś w rodzaju wirusa - zgadywał Gibbs.



Blundin przytaknął.

- Nie mam na to jeszcze dowodu, ale jestem pewien, że gdy skończymy dochodzenie, okaże się, iż któryś z naszych pracowników wgrał do systemu Instytutu program pozwalający na wykorzystanie całej sieci do złamania stosowanych przez nas kodów.

Wydawać się mogło, że przekrwione gałki oczne dyrektora wypadną zaraz z jego głowy.

- To nedorzecznosc! - warknął. - Powiedz, proszę, że jaja sobie ze mnie robisz.

Blundin sięgnął do kołnierzyka koszuli. Guzik był już odpięty, ale szef ochrony nadal czuł ucisk na gardle.

- Ja nie żartuję.

Gibbs opadł na oparcie fotela, złorzeczając pod nosem z taką zawziętością, jakby tylko siarczyste przekleństwa mogły odgonić przepelniające go w tej chwili uczucia. W końcu spojrzął raz jeszcze w kierunku Blundina.

- Niech ci będzie - powiedział. - Wprawdzie wciąż nie potrafię uwierzyć w te gówna, które mi tu wciskasz, ale chyba nie mam zbyt wielkiego wyboru. Powiedz mi zatem, co trzeba zrobić, aby przyskrzynić tych drani?

Szef ochrony Instytutu przeszedł już do kontrataku.

- Moim zdaniem program został wprowadzony gdzieś w pionie badawczym, więc od tamtej strony powinniśmy zacząć. Musimy znaleźć furtkę, która pozwoli nam dostać się do ich systemu. Rozpoczęliśmy już poszukiwanie programów, które mogły być w tym wypadku trojanami. Gdy ustalimy pełną listę, zaczniemy sprawdzać firmy, które je wyprodukowały.

Dyrektor skinął głową z aprobatą.

- Dobrze, ale masz się tym zająć osobiście. Mam być na bieżąco o wszystkim informowany. Wyłącznie ja - uściślił.

- A co z chłopakami z Biura?

Gibbs pozostał nieugięty.

- Nikt z zewnątrz nie może o niczym wiedzieć. Nawet ludzie z twojego departamentu. Poinformujesz ich o sprawie dopiero, gdy na to pozwolę.

To akurat pasowało Blundinowi. Lepiej rozwiązać sprawę, zanim zacznie się o niej rozpowiadać na prawo i lewo.

- Co jeszcze nam wiadomo na ten temat?

- Niewiele - przyznał Blundin. - Najpierw przeglądali informacje w różnych miejscach, jakby sami nie wiedzieli, czego szukają. Ściągnęli w tym czasie dane co najmniej tuzina projektów. Nadal to badam. Ostatni raz weszli nam do baz danych jakieś trzy tygodnie temu, a dokładniej mówiąc... - Przeglądał raport, dopóki nie znalazł właściwej strony. - Czwartego stycznia. Od tamtej pory nie wykonali żadnego ruchu.

- Czy w minionym tygodniu zmieniono kody?

- Nie, jeszcze tego nie zrobiliśmy.

Twarz dyrektora znów poczerwieniała.

- Mógłbyś się do tego w końcu wziąć.

- Wolałbym nie - oświadczył Blundin. - Możemy ich namierzyć, jeśli okażą się na tyle głupi, że włamią się po raz kolejny. Umieściliśmy w systemie program namierzający, którego na pewno nie zauważą. Jeśli otworzą kolejne połączenie, prześledzimy drogę danych aż do samego końca.

Gibbs uniósł dłoń, ustępując.

- Dobrze. To twoja działka, ty najlepiej wiesz, jak prowadzić dochodzenie. Rób, co uznasz za stosowne, ale zachowaj to dla siebie. Nie chcę, by ktokolwiek dowiedział się o problemie, zanim zdołamy go rozwiązać. Zrozumiano?

- Przyjąłem to do wiadomości - odparł szef ochrony. - I to już za pierwszym razem. -  
Sięgnął ręką po papierosa, ale zatrzymał się w pół ruchu, widząc, że na popielniczce został już tylko filtr. Przyjrzał mu się ze smutkiem, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie zdoła zrobić choć jednego sztachnięcia, a potem zgasił niedopałek jednym zdecydowanym ruchem. Sięgnął do kieszeni po następnego papierosa, ale paczka była niestety pusta. Kolejny powód do zmartwienia, pomyślał. - Padam na nos

- oświadczył, wstając i podnosząc marynarkę z oparcia fotela. - Spotkamy się ponownie rano, jeśli chcesz, ale teraz wracam do domu.

Gibbs spojrział na zegarek i skinął przyzwalająco głową.

Blundin ruszył w stronę drzwi, przystanął w progu i spojrział w stronę szefa. Właśnie przypomniał sobie o innej niezgodności.

- Jest jeszcze coś - stwierdził.

- Co takiego? - zapytał dyrektor, nie odrywając oczu od raportu.

- Nie byliśmy tego całkowicie pewni - zaczął Blundin - ale podejrzewaliśmy, że ta sprawa może mieć coś wspólnego z projektem w Brazylii, więc pozwoliłem sobie sprawdzić akta dotyczące tego przedsięwzięcia. I okazało się, że do wszystkich można dotrzeć przez naszą wewnętrzną sieć. Dosłownie do każdego folderu. - Gibbs w końcu spojrział na niego. Szef ochrony dokończył, zakładając marynarkę. - Problem w tym, że przeglądając je, zauważyłem, iż nie mają żadnych oznaczeń kodowych przypisujących je do konkretnego projektu. A finansowe odnośniki należą do zupełnie innych badań.

Dyrektor wyglądał na zaskoczonego.

- Kto wprowadzał te kody?

- Twoja młoda agentka. Laidlaw. Ta sama, która znajduje się teraz w Brazylii.

Gibbs czekał na rozwinięcie tematu.

-I...

- Czy ona aby wie, co robi?

Dyrektor odprężył się nieco.

- Tym się nie przejmuj - powiedział. - To musi być jakiś błąd systemu. Wcześniej też mieliśmy z tym problemy, dlatego że działa poza swoim sektorem. Niech zgadnę, kody finansowe prowadziły do jej poprzednich projektów.

- Tak.

- Sam widzisz - dodał dyrektor. - Księgowość. Jutro osobiście przetrzępię im tyłki. Ty zajmij się znalezieniem sukinsyna, który zhakował nam system.

- Jasne - odparł Blundin. - Domyślałem się, że może chodzić o coś takiego. Rano dam ci numery tych akt.

Gibbs skinął głową, na co szef ochrony zareagował zdawkowym machnięciem ręki, zanim zniknął za drzwiami.

Dyrektor został sam, mógł teraz na spokojnie rozważyć sytuację. Siedział w bezruchu przez kilka minut, ciesząc się w myślach z ograniczeń, jakie narzucił Arnoldowi i jego protegowanej. Ograniczeń, dzięki którym nie musiał wprowadzać do systemu Instytutu najważniejszych danych, takich jak choćby lokalizacja niedawno odkrytej świątyni. To była dobra wiadomość, dzięki niej nie musiał się martwić, chociaż pozostałe informacje były o wiele mniej przyjemne. Wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknął Blundin. Oczy płonęły mu z niewyspania i wściekłości. Sytuacja pogarszała się z każdym dniem.



## ROZDZIAŁ 20

Danielle stanęła na szczycie nowo odkrytej świątyni Majów, aby przyjrzeć się polanie z tej perspektywy. Dostrzegła pozostałości budowli, między którymi biegła grobla prowadząca od schodów po skraj dżungli na zachodzie. Wyraźnie widziała zarysy fundamentów i zapadliska w miejscach, gdzie stały kiedyś domy. Polana miała co najmniej dziesięć akrów, a świątynia znajdowała się w samym jej środku. Laidlaw była przekonana, że odkryła miejsce pochodzenia kryształów. Wiedziała też, że musi się spieszyć.

Miała kilka powodów do niepokoju. Najbardziej oczywistym zagrożeniem wydawała się nadchodząca pora deszczowa. Wprawdzie opady spóźniły się w tym roku, i to bardzo, ale gdy już się rozpoczną, uniemożliwią jej ekipie pracę na kilka miesięcy. Jednakże największym zagrożeniem byli nie znani jej jeszcze rywale.

Gibbs poinformował ją o niedawnym włamaniu do komputerowych baz danych Instytutu. Mimo jego zapewnień, że lokalizacja świątyni pozostała tajemnicą, Danielle nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, iż wróg zbliża się do niej nieustannie.

Spojrzała na profesora McCartera, który pracował opodal razem z Susan i tragarzami. Ich życie było zagrożone, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. Widzieli wprawdzie, że Verhoven i jego ludzie patrolują nieustannie teren, wiedzieli też, że Hawker dostarczył masę sprzętu obronnego, w tym sensory ruchu, komputerowe systemy namierzania, reflektory, flary i skrzynie pełne amunicji - nie mówiąc już o wyszkolonych psach, o które poprosił szef ochrony obozu — niemniej w ich odczuciu było to dmuchaniem na zimne. Czy może raczej dowodem na przesadną nadopiekuńczość organizacji rządowej.

Danielle знаła jednak prawdę. Gdzieś tam czaił się wróg i mimo przewagi, jaką nad nim uzyskali, wyruszając w górę rzeki, prędzej czy później znów ich dopadnie. Chciała pozbyć się cywilnej części zespołu, zanim dojdzie do konfrontacji. Ale to będzie możliwe tylko wtedy, gdy wyciśnie z nich siódme poty.

Zerknęła na naukowca klęczącego na kamiennym dachu i wodzącego palcami wzdłuż szczelin pomiędzy kamiennymi płytami. W tym samym czasie wyjaśniał otaczającym go ludziom, co odkrył.

- Czy mógłby pan powtórzyć ostatnie zdanie? - poprosiła Laidlaw.

- Widzicie, jak idealnie zostały spasowane? - zapytał, wskazując palcem. Przywołał pomocników skinieniem dłoni, a potem zeszkrobał mech czubkiem noża. Kamienie ułożono tak blisko siebie, że rośliny nie mogły zapuścić korzeni. - Nie wcisnęłoby się bibułka papierosowej między te dwa bloki. Wszystkie wielkie budowle starożytności, które zdołały przetrwać próbę czasu, zostały wykonane z taką precyzją. Te z Jukatenu, Egiptu, Mongolii. Ta świątynia musi być niewiarygodnie stabilna, skoro zdołała przetrwać w praktycznie nienaruszonym stanie.

Najprawdopodobniej powstała na skalistym podłożu, jak wieżowce w centrum Manhattanu.

Widziałem pęknięcia na północnej ścianie - przyznał - ale fundamenty nie osiadły jeszcze na tyle, by doprowadzić do poważniejszych uszkodzeń strukturalnych. Ekscytująca sprawa.

- Wspominał pan, że potrafi znaleźć drogę do wnętrza - przypomniała mu. - Możemy pominąć inne kwestie i zająć się szukaniem drzwi? Mnie najbardziej ekscytuje otwarcie świątyni.

- Nie w smak pani gotowanie na wolnym ogniu - stwierdził McCarter tylko nieznacznie poruszony jej uwagą.

- Jestem zwolenniczką kuchenek mikrofalowych - burknęła.

Uśmiechnął się i przeszedł do kolejnej części zadania.

- Ten kamień opowiada nam zupełnie inną historię. Łączenia są mniej precyzyjne, obróbka

też jakby mniej dokładna. - Wygrzebał ze szczeliny mech o znacznie dłuższych korzonkach. Oczyszczył w podobny sposób całą spoinę, aż po róg. Odsłonięty kamień miał nierówną powierzchnię, dziesiątki mikropęknięć przy jego krawędziach zwiastowały jego rychły marny koniec. Profesor podniósł wzrok. - Ze wszystkich płyt tylko tę zdołał nadgryźć żąb czasu. A to znaczy, że... była poruszana, i to wielokrotnie.

Wreszcie!

- Sądzi pan, że pod nią znajduje się wejście? - zapytała Danielle.

- O ile w ogóle jest jakieś - odparł. - Większość świątyń Majów nie miała w swoim wnętrzu nic prócz wcześniejszych budowli, na których ruinach zostały wzniesione.

Członkowie zespołu spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Królowie i aha Majów pragnęli utrwalenia dla potomności w monumentach, jak wszyscy pozostali władcy starożytności. Tutaj jednak woleli tworzyć swoje pomniki, obudowując już istniejące, aby pozostawić po sobie większą świątynię niż ich poprzednicy. W rezultacie powstawały budowle przypominające rosyjskie matryoski, w których większa lalka kryje w swoim wnętrzu mniejszą. Niektóre z budowli na Jukatanie składają się z sześciu kolejnych nadbudów. - W tym momencie skończył dygresję. - Niemniej są też świątynie, które stanowią jedność. W nich można znaleźć wewnętrzne komory, miejsca, gdzie królowie i kapłani mogli się komunikować z dawno zmarłymi przodkami. W procesie tym zazwyczaj upuszczali sobie krwi, przebijając kolcami płaszczyk albo innymi wymyślnymi narzędziami wargi, małżowiny uszne i... hmm, powiedzmy, inne czułe członki.

- Tyle na temat klawości bycia królem - mruknął Hawker.

Danielle roześmiała się, ale zaraz wróciła do tematu.

- Zatem pańskim zdaniem ta świątynia należy do drugiego rodzaju?

- Na to wygląda - przyznał. - Dzięki temu będziemy mogli zyskać pewność, że mamy do czynienia z ruinami Tulan Zuyua.

- W jaki sposób?

- Jak mówiłem, Tulan Zuyua nosiło też inne nazwy. Na kamieniu znalezionym przez Blackjacka Martina znajdowała się jedna z nich. Siedem Jaskiń. Inne teksty Majów określały je jako Źródło Kwaśnej Wody.

- Siedem Jaskiń - powtórzyła, zastanawiając się nad implikacjami takiej, a nie innej nazwy.

- Czyli znajdziemy pod spodem jedną albo nawet kilka jaskiń?

- Możliwe - rzucił McCarter. - Aczkolwiek miałem na myśli nieco mniej dramatyczny rozwój sytuacji. Inne budowle Majów, w których nazwie używano słowa „jaskinia”, zawierały komory. To dość proste skojarzenie. Czym bowiem jest jaskinia, jak nie pomieszczeniem otoczonym ze wszystkich stron skałą? Różnica między komnatą z kamiennymi ścianami a prawdziwą jaskinią jest niewielka, rzekłbym nawet semantyczna. Grotołazi nazywają wielkie pieczary komnatami. Majowie zapewne rozumowali w podobny sposób. Jeśli więc znajdziemy w tej świątyni siedem komnat, zyskamy dowód na poparcie naszej teorii o Tulan Zuyua.

- Naszej teorii? - zdziwiła się Danielle.

- W pełni się pod nią podpisuję - odparł McCarter, uśmiechając się szeroko. - Poza tym mam jeszcze jeden powód, aby tam wejść, kto wie, czy nawet nie ważniejszy. Wszystko, co się tam znajduje, było chronione od setek lat przed wpływem deszczu i słońca. Ściany zewnętrzne świątyni zostały w tym czasie wygładzone, lecz tam, w nietkniętym wnętrzu, możemy natrafić na oryginalne inskrypcje, malowidła ścienna i ceramikę. Każdy z obiektów rytualnych może dostarczyć nam wielu informacji. A najlepszym sposobem na ich zdobycie jest wejście do środka, co znaczy, że powinniśmy brać się do roboty.

Podniesienie kamiennej płyty kosztowało ich niemal cztery godziny wytężonej pracy i jeden

uszkodzony wyciąg, ale w końcu udało się ją poruszyć, a potem unieść za pomocą kilku łomów. Następnie przeciągnięto pod nią linę i podczepiono do skleconego naprędcy kozła. Tym sposobem tablica powoli powędrowała w górę. Przesunięto ją o niemal dwie stopy, zanim prowizoryczna konstrukcja poddała się i ciężki kamień utknął na dobre.

McCarter natychmiast położył się na brzuchu i zajrzał w odsłoniętą szczelinę. Ostry napad kaszlu zmusił go jednak do szybkiego cofnięcia głowy. Danielle także poczuła kwaśny odór wydobywający się z trzewi świątyni. Paskudny siarkowy smród.

Profesor spojrział na nią zażawionymi oczyma.

- Prawdziwe sole trzeźwiące - mruknął.

Gdy ruszył ponownie w kierunku wejścia, Laidlaw zaczerpnęła tchu i poszła za nim, oświetlając latarką ciąg schodów biegnących stromo w dół, prosto w ciemność.

- Wejźmy tam - zaproponowała.

McCarter zmierzył ją wzrokiem, ale chyba zrozumiał już, że sprzeciw nie ma sensu. Wyjął jej z dłoni fluorescencyjną latarnię.

- Ktoś jeszcze ma ochotę? - zapytał.

Pozostali członkowie ekspedycji cofnęli się, aby nie było wątpliwości co do ich decyzji. Tylko Hawker wystąpił o krok.

- A co mi tam, to tylko kolejna jama do zbadania. Ta przynajmniej ma schody.

McCarter skinął głową, a potem poszukał wzrokiem swojej studentki.

Susan także cofnęła się od wejścia, kaszląc głośno.

- Nie mogę - wysapała. - Udusiłabym się w tym smrodzie.

- Opowiem ci o wszystkim - obiecał jej profesor. - Dobrze, szefie

- dodał, odwracając się do Laidlaw - możemy schodzić.

Po tych słowach przecisnął się przez otwór i zniknął pozostałym z oczu. Danielle poszła druga, Hawker zamykał stawkę.

Po opuszczeniu się pod kamienną tablicę i zejściu z kilku stopni mogli w końcu wyprostować plecy. Stali w mroku, otoczeni oparami siarki, od których piekły ich oczy i paliły krtanie. Grube, kamienne ściany dławily wszelkie dźwięki dochodzące z zewnątrz, zmieniały także brzmienie ich własnych głosów, którym towarzyszyło teraz dziwne, wielokrotne echo. Gdy któryś z towarzyszących jej mężczyzn odezwał się zbyt głośno albo powiedział coś za szybko, Danielle nie rozumiała ani słowa.

Stała obok McCartera u podstawy schodów, obracając latarkę na wszystkie strony. Mimo jej mocy niewiele zobaczyła. Unoszące się w powietrzu opary siarki tworzyły żółtawą zawiesinę, która pochłaniała niemal całe światło.

- Dwadzieścia stopni - powiedział Hawker. - Czy to ci coś mówi, doktorku?

- Niespecjalnie - odparł McCarter. - Wprawdzie w Krótkiej Rachubie Majów mamy dwadzieścia dni noszących odmienne nazwy, ale liczba stopni może oznaczać również to, że tyłu ich trzeba do wyjścia na szczyt piramidy.

Danielle skierowała snop światła na podłogę. Wykonano ją z takiego samego szarego kamienia jak ściany zewnętrzne. Tutaj także ułożono precyzyjnie pasujące do siebie bloki.

- Niesamowite - mruknęła.

Gdy ruszyła przed siebie, mijając McCartera, zawadziła o coś stopą. Potracony przedmiot potoczył się po podłodze. Grzechot umilkł pod jedną ze ścian, a gdy skierowali tam światło laterek, dostrzegli ludzką czaszkę. Wypukły czerep poszarzał i wyblakł, wyglądał identycznie jak te rzucone na stos tuż obok miejsca, gdzie właśnie wylądował. Leżało ich tam z pięćdziesiąt, jeśli nie więcej, niektóre nietknięte, inne całkowicie zmiażdżone.

McCarter podszedł do nich, poświecił sobie latarką i wybrał jedną. Przyjrzał się

uszkodzeniom, potem odłożył czaszkę na miejsce i sięgnął po następną.

- Co pan o tym sądzi? - zapytała.

- Wszystkie mają urazy - powiedział. - Uszkodzenia zadane zarówno tępymi, jak i ostrymi narzędziami. - Podniósł kolejną czaszkę i oświetlił ją dobrze. - Mogę się mylić, ale te rysy wyglądają mi na ślady kłów. Ciekawe, jakie rytuały odprawiano w tym miejscu.

- Lepiej się w to nie wgłębiajmy - poradziła mu.

McCarter wstał i przeszli razem przez szeroki portal do sąsiedniej

- wyglądającej na pustą - sali. To pomieszczenie nie tonęło w całkowitym mroku. Cienki strumień światła sączył się z wysoka. Danielle próbowała dostrzec jego źródło, ale było to niemożliwe. Przy tak wielkiej ilości kurzu słoneczny blask przypominał nieprzejrzystą kurtynę.

- To pęknięcie ściany - uznał profesor.

- Zatem stoimy w północnej części budowli - zauważył Hawker.

Przeszli przez zasłonę światła i zanurzyli się ponownie w mroku.

Kolejny portal w ścianie po lewej zaprowadził ich do niewielkiego przedsionka, za którym znajdowała się spora prostokątna sala. Promienie latarek przebiły ciemność i wyłuskały z niej platformę znajdującą się pod przeciwległą ścianą. Jej powierzchnię zdobiły jakieś znaki.

Danielle podeszła do niej i pochyliła się, aby obejrzeć znalezisko. Na całej powierzchni widać było ślady uderzeń ciężkim narzędziem. Metodyczne działanie zniszczyło bezpowrotnie bądź uszkodziło niemal wszystkie płaskorzeźby, jakimi przyozdobiono kiedyś boki kamienia. U podstawy platformy wciąż było widać stosiki gruzu i pyłu, który z nich pozostał.

- Czysty wandalizm - mruknął profesor. - Ciekawe, czy to dzieło rabusiów.

Laidlaw podniosła garść odłamków i pyłu, pozwalając im ześlizgnąć się z dłoni na podłogę.

W czasie gdy McCarter zajął się oglądaniem zniszczeń, ona pochyliła się nad górną powierzchnią platformy. Płyta miała niemal dziesięć stóp długości i płytkie wgłębienie. Wyglądała na coś w rodzaju ołtarza. Front i boki były proste, jedynie tylna część zbiegała się, tworząc okrąg wokół głębokiego otworu.

Postawiła latarnię na platformie, wspięła się na nią i zajrzała do studni.

- Popatrzcie tylko - powiedziała.

Profesor dołączył do niej. Skierowali obie latarki do wnętrza otworu i ujrzeli wyraźne odbicia światła.

- Woda.

Hawker wyrzwał za cembrowinę.

- Po cholere im tutaj studnia?

- Do składania ofiar - wyznał niechętnie McCarter. - Majowie mieli przykry zwyczaj topienia ludzi.

- Może to, co powiem, nie będzie uprzejme - stwierdził pilot - ale czasami cieszę się, że już ich nie ma.

W ciemnościach trudno było ustalić, jaką głębokość ma studnia. Danielle przypuszczała, że cembrowinę od lustra wody dzieli około stu stóp. Podniosła niewielki ułomek kamienia i wrzuciła go w otwór.

- Tysiąc jeden, tysiąc dwa, tysiąc...

Przerwał jej głośny plusk, ale to nie on zaskoczył ich najbardziej. Moment po uderzeniu kamienia w wodę na jej powierzchni pojawiła się jasna fosforyzująca piana, a do ich nozdrzy doleciał intensywniejszy smród siarki.

- To chyba... - zaczęła Danielle.

- ...kwas - dokończył za nią McCarter.

- Kwas? - zdziwił się Hawker.

- Ta siarka w powietrzu musi się skądś brać - stwierdził profesor, odwracając się do niego. - A to chyba jest jej źródło. Gazy wydostają się z tej cieczy, jak dwutlenek węgla z wody mineralnej. To kwas siarkowy.

Pilot skrzywił się mocno.

- Nie chcę nawet myśleć, po co im był taki zajzajer.

- Zapewne do pozbywania się kości - zgadywał McCarter.

Gdy Hawker rzucił kolejne spojrzenie w głąb mrocznej studni, Danielle odwróciła się do profesora.

- Kwaśna woda - powiedziała znacząco. - Zaiste kwaśna woda...

## ROZDZIAŁ 21

Tej nocy nad polaną rozległo się przenikliwe zawodzenie. Ludzki głos śpiewał dziwną, nawiedzoną pieśń. Właśnie czegoś takiego oczekiwał Pik Verhoven.

Danielle spojrzała w lewo, na szefa najemników, który zamarł z kubkiem kawy uniesionym do ust. Uprzedził ją, że coś się wydarzy, i to jeszcze tej nocy. Domyślił się tego, widząc ruch w gęstwinie. - *Voorloopers* - powiedział. Zwiadowcy.

Przed zmierzchem zrobił obchód, na czele swoich ludzi zapuszczając się w dżunglę. Miał nadzieję, że to odstraszy tubylców. Znalazł jedynie ślady bosych stóp, dziwaczne nacięcia na pniach drzew, jakby ktoś oznaczył terytorium, i tropy czegoś, co miało tylko dwa pazury. Nieco dalej patrol natrafił na straszliwie zmasakrowane szczątki dwojga zwierząt. Były pokryte wyschniętym mułem i podobnymi pęcherzami jak zwłoki Indianina, które znaleźli jakiś czas temu w rzece.

- Kolejne ostrzeżenie - oznajmił Danielle.

Po tych słowach uznała, że tej nocy nie powinna spać. Przeprowadziła długą serię testów systemu obronnego, sprawdzając poprawność działania sensorów ruchu rozmieszczonych wokół polany, i upewniła się, że laptop, na którym mogła obserwować odczyty, znajduje się cały czas pod ręką.

Verhoven rozmieścił swoich ludzi w kilku strategicznych punktach. Sam zasiadł przy stole w towarzystwie jednego ze sprowadzonych owczarków niemieckich. Gdy rozległo się pierwsze zawodzenie, pies natychmiast się zjeżył i stanął pomiędzy najemnikiem a źródłem hałasu.

Danielle zauważyła, jak Verhoven klepie pupila czule, nie kryjąc dumy, i popatruje w jej stronę. Sprawdziła laptop. Czujniki na razie nie zarejestrowały żadnego ruchu.

Gdy odległa pieśń zabrzmiała znowu, Pik odstawił kubek i sięgnął po krótkofalówkę.

- Co widzicie?

- Ja nic nie widzę - odparł pierwszy z jego ludzi.

- Po tej stronie czysto - zameldował drugi.

- Lepiej miejcie oczy szeroko otwarte - poradził im Verhoven - bo coś wam umyka.

Danielle usłyszała wystarczająco dużo.

- Obudzę wszystkich - powiedziała.

Nie musieli tego robić. Wyrwani ze snu nieludzkim skowytom członkowie ekipy byli już na nogach, wyglądali z namiotów albo kierowali się ku ognisku, w pobliżu jej i Verhovena.

Polaski znalazł się przy niej pierwszy.

- Co to było? - zapytał.



- Darło się jak kotka w rui - rzucił Devers.

Tragarze zbili się w gromadkę. Po nich koło ogniska pojawili się McCarter i Susan. Ostatni przyszedł Hawker.

Danielle stanęła obok Deversa.

- Czy on śpiewa w języku Chollokwanów?

Lingwista nie odpowiedział od razu, wyglądał na zaskoczonego brzmieniem odległego zawodzenia.

- To chyba oczywiste - wtrącił najemnik.
- Gadaj, tak czy nie? - nalegała, chcąc pewnego potwierdzenia.
- Tak mi się wydaje - stwierdził Devers. - Brzmi jak ich narzecze, ale...

Gdy znów zasłuchał się w pieśń, Hawker przysiadł opodal na drewnianej skrzyni.

- Zaraz się okaże, czy twój plan zadziała.

Wymyśliła prosty sposób. W razie ataku środek obozu miał stanowić strefę bezpieczeństwa. Kazała rozmieścić wokół świece dymne i trójnogi z halogenowymi reflektorami podobnymi do tych, jakich używa się do oświetlania stadionów.

Gdyby musieli stawić czoło atakowi w środku dnia, świece dymne zapewniłyby im osłonę, kryjąc członków zespołu przed wzrokiem napastników. Dym nie stanowił jednak przeszkody dla termowizyjnych celowników zamontowanych na karabinach najemników Verhovena, którzy otrzymali rozkaz strzelania do każdego obcego w polu widzenia.

Na wypadek nocnego ataku, a na taki właśnie się zanosilo, reflektory miały pełnić podobną rolę, oślepiając wszystkich i wszystko, co pojawiłoby się na przedpolu. Ludzie z ekipy NIB-u kryliby się tymczasem w ciemnościach, strzelając do napastników, gdyby zaszła taka konieczność.

Danielle przeczesła wzrokiem polanę. Na razie byli tu sami.

- Masz coś na ekranie? - zapytał Verhoven.

Rzuciła okiem na laptop.

- Na razie nie - odparła. - Muszą być jeszcze daleko.
- Widzę ich - zameldował jeden z najemników. - Kilku siedzi na drzewach na południowym obrzeżu polany.

Gdy meldował, przenośny komputer zaczął emitować ciche piknięcia. Na ekranie pojawiły się cele: niewielkie czerwone punkciki ozdobiły szare pole. Kilka na południu, reszta na zachodzie.

Verhoven uniósł krótkofalówkę do ust.

- Wycofajcie się. Nie ma sensu narażać się na otwartej przestrzeni, skoro możemy walczyć zza osłony. - Po wypowiedzeniu tych słów spokojnie zdjął broń z ramienia. - Zapowiada się interesująca noc - rzucił. Sądząc po głosie, wydawał się bardziej podniecony perspektywą walki niż zaniepokojony nią. Jakby zbyt długo kazano mu się powstrzymać przed tym, co lubi robić, i teraz miał szanse nadrobić zaległości.

- Lepiej będzie, jeśli rozdamy ludziom broń - zaproponowała Danielle, zerkając w jego kierunku.

Verhoven rzucił klucz jednemu z tragarzy.

- Tylko szybko.

Karabiny znajdowały się w długiej skrzyni stojącej tuż obok namiotu Pika. Na wszelki wypadek zamknął ją na kłódkę. Dobięgnięcie na miejsce, otwarcie jej i powrót musiały trwać najmniej minutę.

Gdy tragarz odbiegł od ogniska, głosy Indian rozbrzmiały ponownie. Dobiały teraz z kilku stron, łącząc się w jedną pieśń.

- To zły znak - jęknął Polaski. - To się nie skończy niczym dobrym.
- O czym oni śpiewają? - zapytała Danielle.

- Trudno powiedzieć - odparł Devers. Zawodzenie nasilało się, potem cichło, aby znowu wybuchnąć z całą siłą. - To raczej jakieś zawodzenie, nie konkretna pieśń ze słowa... - urwał nagle, gdy przez chórek śpiewających przebił się dochodzący od zachodu głośniejszy krzyk. Odpowiedziało mu podobne zawołanie ze wschodu, potem z północy i na końcu z południa.

Danielle rozglądała się na wszystkie strony, wypatrując źródeł hałasu nawet wtedy, gdy ich echa ucichły w oddali, ustępując ponownie rytmicznej pieśni.

Polaski skomentował ostatnie wydarzenia niezrozumiałym bełkotem, a McCarter położył dłoń na ramieniu Susan, wodząc wokół zaniepokojonym wzrokiem.

- Czego oni chcą? - zapytała Laidlaw.
- Nie mam pojęcia - odparł.

Cywilie znaleźli się w niebezpieczeństwie, miała do czynienia z sytuacją, której najbardziej się obawiała. Spojrzała ponownie na Deversa.

- Gadaj, do cholery, o czym oni śpiewają.
- Trudno zrozumieć.
- Postaraj się - zachęcała. - Zanim uznam, że jesteś bezużyteczny.
- To nie takie proste - upierał się lingwista. - Ich język w niczym nie przypomina naszego.

Nie jest liniowy. - Znowu wyteżył słuch. - Przywołują duchy - wyszeptał. - Błagają je o oczyszczenie lasu z zarazy, jaką tu przywlekliśmy. Chociaż równie dobrze to my możemy być tą plagą. Tak czy owak, to my jesteśmy problemem.

- To chyba rozumiałe. - Verhoven zaśmiał się głośno. Przeładował broń i ruszył przed siebie. - Powinni sprowadzić coś więcej niż duchy, jeśli chcą się nas pozbyć.

Gdy śpiewy znów się nasiliły, Danielle poczuła, że sprawy zaczynają się wymykać spod kontroli. Z jednej strony obawiała się frontalnego ataku Chollokwanów, a z drugiej reakcji Verhovena, który modlił się o to, by wreszcie coś zrobili, bo tylko tak mógł dowieść swojej skuteczności.

Spojrzała na Hawkera. On z kolei nie wyglądał na przestraszonego, zdawać się mogło, że całe to zamieszanie go bawi. Kręcił wolno głową, a jego oczy zdawały się sugerować, że do niczego nie dojdzie, że to tylko bufonada, a Verhoven i tubylcy puszą się przed sobą, zarządzając coś na kształt zawodów, kto dalej splunie.

Odwróciła się w stronę drzew, mając nadzieję, że pilot się nie myli. W tym właśnie momencie pieśń umilkła.

Gdy cisza zaczęła im dzwonić w uszach, zwróciła się do Deversa.

- I co teraz?

Lingwista pokręcił głową. Nie gnębiła go, gdyż w tej samej chwili w obozie pojawili się najemnicy i musiała ich rozstawić na pozycjach wokół zgromadzonych członków zespołu. Obawiała się jednak, że czterech byłych komandosów to zbyt mało. Wypatrywała w ciemnościach przysadzistego tragarza, którego posłali po dodatkową broń. Nie dostrzegła go jednak i zaczęła się zastanawiać, co mogło go zatrzymać.

- Włączmy reflektory - zaproponowała.
- Jeszcze nie - zgasił ją Pik.

W koronach drzew rozległy się nowe wrzaski, a na ekranie laptopa pojawiło się kilka nowych kropek. Sygnał alarmowy stał się szybszy i głośniejszy.

- Uwaga! - wrzasnął Polaski.

Wszyscy przypadli do ziemi, gdy w ich kierunku poleciał płonący obiekt. Spadł przed obozem, odbijając się dziwnie od ziemi. Wyglądał jak wielkie bolo podpalone na obu

końcach. Wyschnięta trawa zajęła się od niego i wkrótce ku niebu wystrzeliły kolejne języki płomieni.

- Padnij! - rozkazał cywilom Verhoven.

Następne płonące obiekty mknęły już po niebie, zostawiając za sobą ognisty ślad. Dwie kule ognia wirowały wokół siebie połączone grubą lianą. Gdy spadały na ziemię, buchały snopami iskier. Dziesiąta, dwudziesta, nie było im końca, nadlatywały pojedynczo i gromadami. Ze wszystkich stron.

Susan zaczęła zasypywać piaskiem płomienie, które podpełzły zbyt blisko. McCarter pomagał jej, ale wyschnięta na wiór trawa zajmowała się w mgnieniu oka i popielala, nie stwarzając wielkiego zagrożenia.

Moment później pojawił się tragarz uginający się pod ciężarem czterech dodatkowych karabinów i skrzynką zapasowej amunicji.

Verhoven wyrwał mu ją z ręki.

- Rozdzielić broń - zakomenderowała Laidlaw. Otaczający ich chór zaczął nową pieśń, znacznie mroczniejszą i bardziej złowieszczą, powtarzając w kółko jedno i to samo słowo.

Sądząc po wyrazie twarzy, Devers zdołał je rozpoznać, ale nie ośmielił się go przetłumaczyć. A to oznaczało prawdziwe kłopoty.

Danielle sprawdziła odczyty na ekranie laptopa, cele znajdowały się wszędzie, w całym obrębie polany, trudno je było zliczyć. Przeniosła wzrok na lingwistę.

- Biała Twarz - wymamrotał, widząc jej spojrzenie.

- Co to znaczy?

- Biała Twarz to duch. Zjawa. Siewca śmierci.

Wkrótce nawoływania zaczęły przypominać apel wojskowy. Kolejni Chollokwanie wykrzykiwali swoje imiona. Darli się ile sił w płucach, wpadając w trans. Danielle podejrzewała początkowo, że musi ich być co najmniej pięćdziesięciu, ale potem doszła do wniosku, że ma do czynienia z siedemdziesięcioma wojownikami, a nawet większą liczbą.

Siedzący obok niej Hawker poderwał się na równe nogi. Ruszył w stronę Verhovena, który właśnie miał przekazać ostatni karabin.

- Lepiej daj go mnie - rzucił.

Pik zawahał się, ale kilka minut później broń wylądowała w wyciągniętych dłoniach byłego agenta CIA.

Danielle obrzuciła go raz jeszcze wzrokiem, ale tym razem nie dostrzegła spokoju w jego oczach. Spojrzenie miał ponure i zimne. Już go to nie bawiło.

- Cholernie dużo ich w tych zaroślach - powiedział jeden z ludzi Verhovena. - Ze stu, jeśli nie więcej.

Pik nie zgodził się z tą opinią. Sam spojrzał na masę czerwonych kropek.

- Raczej mniej. - Przeniósł wzrok na podwładnego. - Jest ich niewielu i dlatego chcą nas przekonać o swojej wielkiej liczebności.

- Możliwe - przyznał Devers. - Ale to są ludzie gotowi zginąć. Uważają się za wcielenia ducha śmierci. Malują ciała białą farbą i wyruszają na łowy. Wierzą, że ten kolor uczyni ich niezwycięzonymi jak Biała Twarz, którego nie da się zabić, ponieważ już nie żyje. Sądzą, że tym sposobem sami unikną śmierci.

Jakby w odpowiedzi na te słowa głosy umilkły. Danielle rozejrzała się szybko. Na razie nikt nie ruszył do ataku. Bolo nadal płonęły tam, gdzie upadły, zasnuwając obozowisko cieniutkimi smużkami dymu wiszącego w nieruchomym powietrzu.

Danielle zauważyła poruszenie na ekranie i szybko przeniosła wzrok na ścianę zarośli. Dostrzegła między listowiem maleńkie płomienie. Po chwili było ich już mnóstwo, płonęły całe

drzewa. A nowe źródła ognia pojawiały się nieustannie. Wyglądało to tak, jakby ktoś podpalił lont biegnący wokół polany. Ogień poruszał się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, najpierw na południe, a potem dalej, na wschód.

Zarośla zapłonęły jak pochodnie, zanim czoło pożaru dotarło na wschodni kraniec obozowiska. Gołym okiem widziała już wojowników biegnących z pochodniami w dłoniach. Łańcuch ognia ciągnął się tuż za nimi. Nie minęło wiele czasu, a dżungla wokół polany stanęła w ogniu.

- Mój Boże - jęknął Polaski. - Oni chcą nas spalić żywcem.
- Tu ogień nie sięgnie - uspokoił go Hawker.

Danielle odetchnęła. Pilot miał rację. Na polanie nie było niczego, co podtrzymałoby ogień, jednakże dym mógł im sprawić sporo kłopotu. Rośliny, które podpalił Indianie, zawierały wiele olejków i nawet tylko się tłąc, wydzielały gęsty dym. Już miała problemy z oddychaniem. Otworzyła apteczkę pierwszej pomocy, nie spuszczać oka ze ściany ognia, i wyciągnęła pół tuzina cieniutkich masek. Rozdała je McCarterowi, Susan, Polaskiemu i tragarzom.

Jeden z najemników zdjął z głowy gogle termowizyjne.

- Jesteśmy ślepi. Unieszkodliwili nasze celowniki.
- Przecież oni nawet nie wiedzą o ich istnieniu - zachnął się Hawker.

Wszyscy prócz Verhovena i pilota zrobili się nerwowi. Danielle także poczuła się nieswojo. Potrzebowała informacji, a jedynym jej źródłem był teraz Devers.

- Gadaj. Czego oni, do cholery, chcą?
- Wątpię, aby czegokolwiek chcieli - odparł lingwista.
- Nie rozumiem.
- W kółko powtarzają te same słowa. Ogień na ogień, ogień na plagę. - Musiał podnieść

głos, aby słyszała go przez trzask płomieni. - Albo chcą coś przekazać nam, albo sobie. Nakręcają się tym wzajemnie.

W kilku miejscach pożar wybuchł już z całą mocą, sięgając szczytów drzew. Płomienie wiły się, tworząc malownicze kolumny ognia. Wyglądały jak dżinny wypuszczone z butelek.

- Dość tego - mruknęła Danielle, spoglądając na Verhovena. - Każ zapalić te cholerne reflektory i wystrzel w ich kierunku kilka rac. Dalsze czekanie nie ma sensu.

Najemnik uśmiechnął się i nacisnął guzik. Reflektory zapłonęły w tym samym momencie, gdy ożył generator. Oślepiający blask odbił się od kłębow szarobiałego dymu wiszącego nad polaną, podświetlając go jak ekto-plazmę. Niestety widoczność tylko się pogorszyła.

Verhoven nacisnął kolejny guzik i odpalił flary ze zbiorników umieszczonych za liniami Indian. Dwie poszybowały w niebo na północy, dwie kolejne na zachodzie, a potem jeszcze na południu i wschodzie, wszystkie za plecami hałasujących Chollokwanów.

Danielle miała nadzieję, że świst startujących flar przestraszy tubylców. Gdy przeniosła wzrok na ekran laptopa, zauważyła wyłomy w liniach wojowników, tam gdzie część z nich cofnęła się, ale nie był to na pewno masowy odwrót. Na jej oczach Indianie znów zaczęli zwierać szyki.

- I co teraz? - zapytała, spoglądając w gorejące oczy Verhovena.

Najemnik w milczeniu obrzucił spojrzeniem jednego ze swoich ludzi, po czym wbił wzrok w Hawkera.

- A co ty o tym myślisz? Ruszą na nas?

Pilot pokręcił głową. Wskazał lufą karabinu szalejący ogień.

- Jeśli zaatakują, będą widoczni na tle płomieni. To znakomity sposób na zakończenie życia nawet w przypadku, gdy jesteś Białą Twarzą.

Verhoven popatrzył na Danielle.

- Sama słyszałaś. Oni wiedzą, co robią. Pokazali się nam, ale nie zaatakują. Nie tej nocy.
- Laidlaw westchnęła, zgodnie z opinią Hawkera i Verhovena przekonały ją.
- Zatem to tylko ostrzeżenie, pierwsze i ostatnie, jeśli dobrze rozumiem.
- Oni są znani z tego, że nie dają żadnych ostrzeżeń - wtrącił Devers i zaraz się rozkaszał.

Aż do białego rana obserwowali płomienie trawiące dżunglę wokół obozu. Od czasu do czasu wysłuchiwali kolejnej pieśni, jednakże nie musieli odpierać Chollockwanów, którzy nie podjęli próby wtargnięcia na polanę. Gdy nadszedł świt, Indianie wycofali się w głąb puszczy i zniknęli.

Zarośla płonęły nadal. Mimo że drzewa ucierpiały od suszy, tutejsza roślinność miała w sobie tyle wody, że nie płonęła jak lasy w Europie czy Stanach. Płomienie nie mogły osiągnąć wystarczającej temperatury, by pożar rozprzestrzenił się samoistnie, zwłaszcza gdy dotarł do rejonów oddalonych od skraju polany.

Gdy pojawiły się typowe dla tych okolic poranne mgły, ogień zaczął wygasać. Kłęby dymu i popiołu rzedniały momentalnie. Do popołudnia jedynymi śladami po pożarze był pas zwęglonej, poczerniałej roślinności otaczający polanę i niepokój w sercach ludzi oczekujących następnego spotkania z tubylcami.

## ROZDZIAŁ 22

Mroźny ranek zawitał do Waszyngtonu w towarzystwie bezchmurnego, błękitnego nieba i pióropuszy pary na horyzoncie. Oślepiąco jasna tarcza słońca wisiała nisko, lecz pomimo intensywnego blasku nie potrafiła przegnać wszechobecnego chłodu. Była niczym więcej jak odległym płomyczkiem, tkwiącym w samym środku bezbrzeżnej pustki.

Tego dnia nie dało się wyczuć ciepła ani od słońca, ani w powietrzu. Stuart Gibbs uznał, że takie warunki są wprost wymarzone na pożegnanie człowieka, który służył NIB-owi.

Stał na siarczystym mrozie, wygłaszając mowę pochwalną, dość krótką przez wzgląd na tych, którzy się tutaj zebrali. Złożył też kondolencje i usunął się z szacunkiem w cień, skąd obserwował, jak kolejni przyjaciele podchodzą do wdowy po Matthew Blundinie.

Widział, jak z nią rozmawiają, przytulają ją i ściskają jej rękę. Zgadywał, że przemawiali do niej czule - dobierając słowa wyrażające bez wątpienia żal i smutek z powodu straty, jaką była dla niej śmierć męża, oraz pochwałę dla jego osiągnięć za życia. Nikt z pewnością nie wspominał o tym, że jego zwłoki znaleziono po drugiej stronie miasta, na ulicy znanej z narkotykowych melin i burdeli. Blundin został tam zastrzelony i obrabowany. Nikt nie pytał, czyjego słabość do alkoholu była przyczyną separacji, w której żyli już od jakiegoś czasu, i nieuchronnego rozwodu, ku któremu zmierzali. Wszyscy również powstrzymywali się od uwag, że jego rozwiązłość mogła być bezpośrednią przyczyną zgonu. Na pewno myśleli o tych sprawach, ale wiedzieli, że nie należy o nich mówić na głos. Śmierć niosła ze sobą nie tylko wiekuisty spokój, ale wymazywała też większość złych uczynków. Dlatego sporo błędów Blundina i jego nawyków pójdzie w niepamięć, ustąpią one miejsca opowieściom o legendarnej mądrości i rozwadze.

Gibbs przyglądał się tej procesji z mieszanymi uczuciami. Zrolowana gazeta, którą trzymał w dłoni, zaszeleściła, gdy zacisnął na niej palce. Problemy dopadały go ze wszystkich stron. Ekipa wysłana do dżungli została zaatakowana przez tubylców. Zhakowano sieć komputerową Instytutu i użyto jej do złamania własnych zabezpieczeń. A teraz na domiar złego brał udział w pogrzebie jedyne go człowieka, który był w stanie wykryć sprawców.

Poczuł ukłucie żalu. Ten człowiek zasługiwał na lepszy koniec.

Dla większości obecnych na tej ceremonii śmierć szefa ochrony oznaczała niewielkie albo wręcz żadne zmiany. Nawet wdowa po Blundinie bez większego trudu rozpocznie nowe życie. Niestety, dla Gibbsa i NIB-u to wydarzenie było gigantyczną katastrofą, tak więc dyrektor pionu operacyjnego miał o wiele większy problem z odrzuceniem myśli o konsekwencjach tego zabójstwa niż z ignorowaniem kłusującego mrozu.

Wkrótce tłum zebranych zaczął rzednąć. Chwilę później wdowa w otoczeniu krewnych także ruszyła wolnym krokiem w kierunku parkingu.

Gibbs pozostał nad grobem jeszcze przez dwadzieścia minut, rozmyślając o Blundinie, projekcie dotyczącym lasu deszczowego i dziesiątkach scenariuszy rozwoju sytuacji, które przychodziły mu do głowy. Dopiero gdy zimno zaczęło przenikać pod grubą płaszcz, uznał, że najwyższa pora wracać.

Na parkingu zastał już tylko swój samochód, lecz gdy sięgał do kieszeni po kluczyki, zauważył, że aleją nadjeżdża srebrny mercedes z przyciemnionymi szybami. Mierzył go wzrokiem, czekając, aż przejedzie, ale stało się inaczej. Wóz zatrzymał się naprzeciw niego, a szyba w tylnych drzwiach zjechała w dół.

- Pan Stuart Gibbs?

Zawahał się. Choć nie potrafił dostrzec wnętrza kabiny, nie widział powodu, by zaprzeczać.

- Czym mogę służyć?

Mężczyzna o gęstych siwiejących włosach i w czarnym garniturze przysunął się do otwartego okna.

- Zauważyłem, że złapał pan gumę - powiedział - i pomyślałem, że może pan potrzebować pomocy.

Gibbs rzucił okiem na tylne prawe koło. Faktycznie, z nowiutkiej opony marki Michelin zeszło całe powietrze. Było to tym bardziej zastanawiające, że jadąc na cmentarz, nie zauważył problemów z ciśnieniem.

- Nie ma potrzeby - odparł. - Ktoś po mnie przyjedzie.

- Musimy porozmawiać - nalegał człowiek z mercedesa. - Byłem na pogrzebie z senatorem Metzgerem, tym od Komisji Nadzoru. Otrzymałem kilka ciekawych informacji dotyczących śmierci pana Blundina, o których powinien pan wiedzieć.

- Jakiego rodzaju informacji?

- Takich, jakich policja nie otrzyma bez uprzedniego zbadania i przefiltrowania. - Gibbs spojrział na niego z zainteresowaniem. - Czas gra wielką rolę. Jeśli nie zechce mnie pan wysłuchać, nie pozostanie mi nic innego, jak przekazać te dane senatorowi.

Gibbs nie spuszczał wzroku z mężczyzny w samochodzie. Wyglądał znajomo, ale dyrektor pionu operacyjnego nie był pewien, czy zapamiętał go z ceremonii pogrzebowej, czy też mieli przyjemność spotkać się wcześniej.

- Kim pan jest?

Drzwi otworzyły się i mężczyzna w czarnym garniturze przesunął się w głąb mercedesa.

- Nazywam się Richard Kaufman - powiedział. - Moja firma należy do grona waszych udziałowców.

*Oczywiście. Kaufman jest właścicielem Futureksu, firmy współpracującej z NIB-em. Firmy, którą sprawdzał Blundin.*

Nie mówiąc słowa, Gibbs usiadł obok niego. Gdy drzwi zamknęły się za nim, wóz momentalnie ruszył, a zaciemniona szyba wróciła bezgłośnie na swoje miejsce.

Stuart omiótł wzrokiem wnętrze samochodu. Prócz Kaufmana znajdował się w nim tylko kierowca.

- Szkoda takiego człowieka - zagaił Richard.
- Blundin był jednym z moich najlepszych ludzi - przyznał Gibbs
- oraz bliskim przyjacielem. Ale miał swoje przywary i zapłacił za nie najwyższą cenę. Kaufman skinął z powagą głową.
- Bywa i tak.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, zaniepokoił Stuarta: przebijały z niego próżność i protekcjonalność.

- Sprawiliby mi ogromną satysfakcję, gdyby udało się znaleźć sprawcę tego czynu. Nawet w wypadku, gdyby okazał się nim zwykły śmieć z ulicy.

- Tej zbrodni nie popełnił zwykły przybłęda - zapewnił go Kaufman.
- Blundin został zabity z powodu waszego brazylijskiego projektu.

Gibbs zamarł. Nawet senator Metzger nie miał pojęcia o wyprawie do Brazylii.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Macie zespół agentów pracujących aktualnie w Amazonii. Znaleźli się tam...

gdziekolwiek teraz są... bez wiedzy naszych służb konsularnych, a nawet brazylijskiego rządu. Może mi pan powiedzieć dlaczego?

- Nasi ludzie przebywają w pięćdziesięciu krajach - odparł Stuart, z trudem zachowując spokój. - Nie śledzę każdego projektu z osobna. A co do naszego konsulatu i władz Brazylii, na pewno jest pan w błędzie. To jednak drugorzędna kwestia, ważniejsze jest pytanie: co tamta sprawa może mieć wspólnego ze śmiercią Matta?

- To proste - odparł szef Futureksu. - Został zabity, ponieważ za dużo wiedział. Badał sprawę wykradzionych danych, co przyprawiało parę osób o palpitacje serca. Ale o tym z pewnością pan wie.

Gibbs wybałuszył na niego oczy, zupełnie nie dbając o pozory. A to nikczemnik!

- Gadaj w końcu, o co ci naprawdę chodzi, człowieku.

Kaufman westchnął.

- Zaczniemy od tego projektu - zasugerował. - Szukacie w Brazylii pozostałości po starożytnym mieście Majów. Ruin, w których można znaleźć bardzo cenne artefakty. Przedmioty stanowiące niewyczerpane źródło energii. - Spojrzał Gibbsowi prosto w oczy, a potem dodał jeszcze:

- Osiem tygodni temu straciliście kontakt z innym zespołem, który miał wykonać to samo zadanie. Szczerze mówiąc, do dzisiaj nie macie pewności, co się z nim stało. O tym także mogę panu opowiedzieć, jeśli poświęci mi pan wystarczającą ilość czasu.

- To ty jesteś tym skurwysynem, który włamał się do naszej sieci!
- warknął Gibbs.

- Uruchomiliśmy ten program za wiedzą waszego pionu badawczego - oświadczył z dumą Kaufman. - Zdaje się, że uznano go za symulator pogodowy. I rzeczywiście, wywołał sporą burzę po waszej stronie.

Stuart nie spuszczał go z oczu. Blundin miał rację, wszystko to stało się przez rysę w pancerzu pionu badawczego.

- Ach tak. Znana firma produkująca zaawansowane oprogramowanie musi mieć doświadczenie w podobnych sprawach. Pytanie tylko, dlaczego to zrobiliście? Człowieku, masz w ogóle pojęcie, jakie piekło sobie zgotowałeś?

Kaufman oparł się wygodniej, nie okazując zainteresowania wybuchem Gibbsa.

- W innych okolicznościach przyznałbym panu rację - oświadczył.

- Ale nie dzisiaj. Chcę zaproponować dobre rozwiązanie. Ostatnią i najlepszą szansę na wybrnięcie z tego galimatiasu.

- NIB nie potrzebuje waszej pomocy
- Nie mówię o Instytucie, przyjacielu, tylko o panu. Chcę panu pomóc jako człowiekowi.
- W czym chcecie mi pomóc?
- Na pewno w przetrwaniu - zapewnił go szef Futureksu. - Trochę czasu mi to zajęło, ale w

końcu domyśliłem się, że to pańskie prywatne przedsięwzięcie. Użył pan ludzi i zasobów Instytutu, ale to wyłącznie pańska operacja.

W tej właśnie chwili Gibbs poczuł prawdziwy ciężar czynu, który popełnił. A wszystko poszło tak szybko: podjął decyzję, zrobił, co mógł, by zatrzeć ślady, i przekroczył linię, zza której nie było już powrotu.

- Muszę przyznać, że odwalił pan kawał dobrej roboty. - Kaufman nie krył uznania. - Ale teraz, kiedy wpadł pan w tarapaty, postawi to pana w bardzo niekorzystnym świetle. Prosta operacja przedłużyła się i skomplikowała do maksimum. A fundusze już się panu skończyły albo niewiele do tego brakuje. Kończy się też panu czas, ponieważ ludzie zaczynają zadawać pytania, i to takie, na jakie nie zdoła pan odpowiedzieć. - Gibbs zacisnął szczęki. Starał się opanować wzburzenie. - Może dopisze panu szczęście - dodał Kaufman. - Może znajdzie pan to, czego pan poszukuje, i zniknie z tym, zanim pułapka się zatrześnie. Ale co potem? Nie zwróci pan zdobyczy NIB-owi ani żadnej innej organizacji rządowej. One nie tylko będą się zastanawiały, skąd ta technologia, ale przede wszystkim zaczną się interesować, jak pan wszedł w jej posiadanie. Wymyślił ją pan osobiście? Jakim cudem? Nie ma pan zaplecza finansowego, żeby zrealizować ten projekt w pojedynkę. Gdyby je pan miał, nie musiałby pan angażować środków Instytutu. Będzie pan więc musiał odsprzedać całość. Pytanie tylko: komu? - Gibbs nic nie mówił, wykorzystując swoje prawo do milczenia. - Rządy innych krajów wydają się najlepszymi klientami. Ale który wybrać? Sam pan nie może produkować energii, to już ustaliliśmy, do kogo zatem się pan uda? Do Japończyków? Jasne, czemu nie? Oni importują niemal całą energię, są zaawansowani technologicznie i co roku wydają miliony na poszukiwania nowych źródeł energii. Niestety, w pańskim świecie są waszymi głównymi rywalami, ekonomicznym odpowiednikiem Związku Radzieckiego z okresu zimnej wojny, a z tego, co wiem, jest pan złodziejem, ale na pewno nie zdrajcą. Tak więc odpadnie także Unia Europejska, Rosja i Chiny, przynajmniej do czasu. Co pozostawia na polu walki wyłącznie niszczycieli.

- Niszczycieli?

- Tych, którzy zarobią najwięcej, jeśli ta rewolucja nigdy nie będzie miała miejsca - wyjaśnił szef Futureksu. - Przemysł nuklearny, nafcjarze, kraje OPEC. Na pana miejscu zacząłbym od tego pierwszego, aczkolwiek nie jest to żaden monolit. Być może nawet sięgnęliby po zimną fuzję, gdyby ich inwestycje, warte około trylionu dolarów, zakończyły żywot. Bardziej jednak prawdopodobne, że do końca będą inwestowali w wielkie, trujące środowisko molochy, zamiast budować maleńkie, czyste elektrownie. Giganty dają więcej prestiżu, odpowiedzialności, no i rzecz jasna zysku. Na pewno dobrze panu zapłacą za ten projekt. Tak samo nafcjarze, OPEC i Siedem Sióstr czy też to, co z nich zostało. Zasypią pana petrodolarami, aby tylko plany reaktora zimnej fuzji nie ujrzały światła dziennego. Albo zasypią pana ziemią, dla pewności. W takiej niepewności będzie pan musiał żyć po kres swoich dni, ponieważ będzie pan stanowił poważne zagrożenie dla ich interesów... - Kaufman przerwał, by spojrzeć Gibbsowi w oczy. - Życie w ciągłym stresie musi być potworne.

Stuart słuchał tej przemowy, mając coś w rodzaju déjà vu. Przechodził przez to już setki razy, w myślach. Ułożył plan zakładający jego zniknięcie, możliwe dzięki przeszłości spędzonej w szeregach CIA, ale zdawał sobie sprawę, że zawsze istnieje ryzyko wpadki. Liczył na to, że uda mu się zapanować nad sytuacją.

- Dlaczego pan mi to mówi? - zapytał gorzko. - Innymi słowy: o co panu, u licha, chodzi?



- Chodzi o to - Kaufman w końcu przeszedł do rzeczy - że to, co pan ma nadzieję znaleźć, to znaczy, co obaj mamy nadzieję znaleźć, będzie początkiem rewolucji, przy której industrializacja i komputeryzacja wydadzą się mało istotnym szczegółem. Rewolucja przemysłowa poprawiła warunki życiowe dwudziestu procent populacji świata, głównie w Europie i Ameryce Północnej. Na pozostałych kontynentach wpędziła w skrajną nędzę tych, którzy do tej pory żyli w miarę szczęśliwie i beztrudnie. Ci ludzie stali się niewolnikami wydobywającymi surowce naturalne i mieszkającymi na zatrutej ziemi. Rewolucja informatyczna dokonała podobnej zmiany, tyle że na znacznie mniejszą skalę. Kolejne dwadzieścia procent populacji polepszyło sobie warunki życia, mimo że wielu innych ludzi nadal boryka się z bezrobociem i nędzą i musi utrzymywać się z zasiłków. Kraje Trzeciego Świata oddaliły się jeszcze bardziej od uprzemysłowionych, a ich obywatele z trudem wiążą koniec z końcem, wydając wszystkie zarobione pieniądze nie na zbytki, tylko na przetrwanie.

- Ja nie robię tego dla biedoty - zachnął się Gibbs.

- W takim razie proszę odsprzedać plany niszczycielom - wypalił w odpowiedzi Kaufman. - Świat pozostanie taki, jaki był do tej pory; będziemy pompowali ropę, wydobywali węgiel i składowali kolejne tony odpadów nuklearnych. Wojny nadal będą wybuchały. Poniesiemy kolejne fiaska, jak w Iraku. Iran będzie następny, a po nim sięgniemy po cały Półwysep Arabski, kiedy upadną Saudowie. Ameryka zbankrutuje, prowadząc działania wojenne na pustyniach, podczas gdy Europa i Azja będą się temu tylko przyglądały i zgarniały nagrody. Dziedzictwo epoki ropy naftowej, czyli bieda i zatrucie środowiska będą się pogłębiały, a pan spędzi resztę życia, zastanawiając się, skąd nadleci kula, która pana w końcu dosięgnie.

Gibbs odwrócił głowę i spoglądał na krajobraz przemijający za oknem. Zbyt szybko, podobnie jak zbyt szybko toczyła się rozmowa, w którą niepotrzebnie dał się wciągnąć. Stracił przez nią pewność siebie, a to było straszne uczucie w przypadku człowieka, który zawsze miał wszystko pod kontrolą.

- Wróży mi pan świetlaną przyszłość - wycedził.

- To tylko jeden z wielu możliwych scenariuszy - wyjaśnił Kaufman.

- Proszę potraktować nasze spotkanie jako szansę wyrwania się z błędnego koła. Może mi pan oddać swoje znalezisko i spokojnie obserwować, jak wykorzystuję cały jego potencjał. Zgromadziłem miliardy dolarów na rozwój tej technologii, mam dostęp do kolejnych miliardów, gdyby zaszła taka konieczność. Dysponuję armią inżynierów i potężnych przyjaciół na Kapitolu i w armii. No i czasem, którego, jak się zdaje, panu zaczyna brakować. - Pochylił się w stronę Stuarta. - To, co znajduje się w Brazylii, jest kluczem do odbudowania równowagi na ziemi. Do ustabilizowania rozchwianego do granic możliwości świata.

- Boże - jęknął Gibbs. - Człowieku, masz się za jakiegoś krzyżowca? Chcesz rozdawać energię za darmo?

- Skądże - zaprzeczył szef Futureksu. - Zamierzam zbić na niej fortunę, i to taką, że Gates i Buffett będą przy mnie wyglądali jak petenci opieki społecznej. Kiedy się dogadamy, wybuduję na całym świecie potężne elektrownie. Będę dostarczał energię tańszą, niż ktokolwiek mógłby pomyśleć. Tańszą od tej uzyskiwanej z węgla i ropy, a nawet słonecznej, wiatrowej czy geotermalnej, i to bez zanieczyszczenia środowiska. Za dwadzieścia lat uzyskam kontrolę nad całą siecią na zachodniej półkuli, ale nadal będę dostarczał energię za psie pieniądze, bo produkcja będzie bajecznie tania. Dzięki zyskom i wpływom zniweluję światową biedę. Kiedy cały świat zyska równy dostęp do energii pozyskiwanej z zimnej fuzji, stworzymy tak doskonałą harmonię i równowagę, jaka jeszcze nigdy nie istniała na ziemi. Już nigdy więcej na jednego posiadacza nie będzie przypadało trzech takich, co nic nie mają.

Słuchając tej przemowy, Gibbs zastanawiał się, gdzie przebiega granica pomiędzy

chciwością a szlachetnością tego człowieka. Ciekawiło go, czy Kaufman kłamie, czy po prostu jest szalony. Uznał w końcu, że ma do czynienia ze wszystkim po trosze.

- To, o czym pan mówi, to czyste szaleństwo, chyba zdaje pan sobie z tego sprawę?

Brwi przemysłowca powędrowały w górę.

- Szaleństwem było sprzeniewierzenie funduszy pańskiej instytucji. Tak samo jak wysłanie grupy najemników, by przeszukali brzegi rzeki w Amazonii, a gdy zaginęli, zorganizowanie drugiej wyprawy ich śladami, i to z udziałem cywilów, których wkrótce spotka ten sam los. To pańskie zachowania są szalone, przyjacielu, nie moje.

Gibbs skrzywił się. Kaufman trafił w samo sedno. Wyłuszczył mu każdy błąd i powód do lęku, jaki sam mógł wymyślić. Tak, jestem pazerny, pomyślał, ale na pewno nie można mnie uważać za zdrajcę. Nie uważał się również za handlowca ani polityka. Nie przejmował się zbytnio przyszłością, hołdując zasadzie, że co ma być, to będzie, bez względu na jego poczynania, niemniej nie zamierzał układać się z niszczycielami, jak ich celnie określał miliarder. Może sam zaoferuje lepszą cenę... Postanowił przynajmniej spróbować dobić targu.

- Jak przedstawiałaby się pańska oferta, jeśli wolno spytać?

- Po pierwsze, otrzymałby pan natychmiastowy zwrot wszystkich kosztów poniesionych przez pana i pańskich podwładnych. Dzięki temu pozbyłby się pan dotychczasowych inwestorów i zwróciłby pan NIB-owi sprzeniewierzone fundusze. Po drugie, otrzymałby pan milion dolarów za znalezienie i potwierdzenie autentyczności wszystkich artefaktów. Po trzecie, zaoferowałbym panu stanowisko w Futureksie, sześciocyfrową roczną pensję i skromny procent od przyszłych zysków. - Wzruszył ramionami.

- Pańska działka będzie promilem wszystkich dochodów, ale i tak w kilka lat otrzyma pan większą sumę, niż byłby pan w stanie zarobić, pracując przez całe życie w NIB-ie. Im więcej na tym zarobimy, tym więcej trafi na pańskie konto. Dzięki temu zapewnię sobie pańską współpracę.

Stuart Gibbs wysłuchał oferty w milczeniu, przemyślał ją dokładnie, a potem zapytał:

- A co będzie, jeśli odmówię?

- Jedno z dwojga. Albo pański zespół zostanie zlikwidowany w dżungli, zanim zdoła dostarczyć to, po co został tam wysłany, albo ktoś poinformuje czynniki rządowe o pańskich poczynaniach.

Gibbs roześmiał się. Kaufman na pewno nie wplącze w tę sprawę polityków, jakkolwiek obrót przybiorą wydarzenia.

- Moi ludzie mają doskonałą ochronę.

- Tak - przyznał Kaufman. - Wiem, kto ich chroni i jak. I daję panu słowo, że mam tam wystarczającą siłę ognia, by zlikwidować wszystkich najemników. Na razie nie wiem, gdzie się obecnie znajdują, ale znajdę ich prędzej czy później. A kiedy ta informacja trafi na moje biurko, przedstawiona panu propozycja straci ważność.

Gibbs przemyślał sprawę raz jeszcze. Dziesięć milionów, tyle mu do tej pory oferowano. Klienci, z którymi się kontaktował, mieli głębokie kieszenie, ale byli nastawieni sceptycznie. Gdyby zdołał przedstawić im dowody, zapłaciliby dziesięć razy więcej niż Kaufman. Z góry i gotówką, bez rozkładania płatności na całe dekady. To i tak było nic w porównaniu z potencjalnymi przychodami. Wartość samej technologii była większa niż całej ropy Alaski albo złota RPA, a ten tutaj proponował mu jakieś żałosne grosze.

Spojrzał na Kaufmana, nie mogąc uwierzyć w jego arogancję. Nadal był wściekły, lecz grobowy nastrój zaczął mu już mijać. Zrozumiał w końcu, czym naprawdę była ta oferta: zwykłym rabunkiem, nawet jeśli złodziej oferował ofierze udział w łupach.

Tak to już jest, pomyślał. Bogaty łupi biedaka. Płaci centa, a sprzedaje za dolara, ale ktoś, kto

klepie biedę, i tak jest wdzięczny.

Zdecydował się przedstawić kontroferę.

- Może pozwolimy moim ludziom na dokończenie pracy? Cokolwiek znajdą, pan dowie się o tym pierwszy.

- Rozumiem - mruknął Kaufman. - Chce pan wytargować więcej.

Gibbs spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie przeszkodziło mu to wbić zębów głębiej.

- A co z moimi ludźmi?

Szef Futureksu wydał wargi.

- Oni nie muszą wrócić do domu, jeśli o to panu chodzi. - Stuart powstrzymał się od komentarza. - Widziałem listę płac - dodał Kaufman.

- Z początku nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego wybrał pan właśnie tych ludzi. Potem jednak dotarło do mnie, że po nich nikt nie będzie płakał.

Gibbs wysłuchał ostatniej uwagi, czerwieniejąc na twarzy z gniewu, ale w duchu posmutniał. To prawda, nie zamierzał sprowadzać ekipy do Stanów, gdzieś po drodze spotkałby każdego członka wypadek, awaria samolotu albo eksplozja baku w samochodzie. Niemniej, przez Kaufmana właśnie, jedna z tych osób pojawiła się już w Waszyngtonie. Musiał sprowadzić do Instytutu Arnolda Moore'a.

- Kolejne ofiary - mruknął.

- Tak - odparł z szacunkiem szef Futureksu. - Ale nie tak spektakularne, jak w wypadku Matta Blundina. Domyślałem się, że on także postawił pana pod ścianą.

Gibbs pobladł w jednym momencie. Jego twarz stała się białą maską. Nie chciał śmierci Matta, ale jego odkrycia faktycznie nie pozostawiły mu wyboru. Chcąc dopaść włamywaczy, zaczął grzebać w materiałach, których zakazano mu dotykać. I znalazł ślady przeoczone przez Gibbsa.

Co więcej, mimo że nie były związane z prowadzonym dochodzeniem, zaczął je sprawdzać.

Raczej prędzej niż później domyśliliby się, że kody dotyczące finansowania projektu pozmiął Gibbs, a nie Danielle czy któryś z księgowych lub pracowników Instytutu. To naprowadziłoby go na ślad brakujących pieniędzy, preliminarzy projektów, które pozostały na papierze, oraz dotyczących ich raportów i faktur. Człowiek taki jak Matt Blundin szybko by wywnioskował resztę. Może nawet już to zrobił, tylko dał Gibbsowi czas na naprawienie szkód. W końcu byli dobrymi przyjaciółmi.

Kaufman przerwał ciszę.

- Daję panu dwadzieścia cztery godziny. Potem chcę usłyszeć odpowiedź.

Gibbs skoncentrował się na widoku za oknem. Wjechali już do centrum, między biurowce. Tutaj mógł złapać taksówkę. Przeniósł spojrzenie na kierowcę.

- Proszę się zatrzymać.

Kaufman skinął głową i mercedes posłusznie zjechał do krawężnika.

- Niech pan nie struga wariata. - Szef Futureksu pożegnał Stuarta ostrzeżeniem. - Nie ma pan innego wyboru.

Gibbs wysiadł z samochodu, zatrzasnął za sobą drzwi i odprowadził odjeżdżającego mercedesa wzrokiem. Znał już nazwisko swojego wroga i wiedział, co z nim zrobić. Musiał tylko uważać, by nie pobrudzić sobie przy tym rąk.

## ROZDZIAŁ 23

Tylne siedzenie żółtej taksówki niejedno już przeżyło. Z rozcięć w winylowym obiciu sterczały włókna, obok widać było bazgroły, graffiti i wszelakiej maści plamy, które były najlepszym dowodem, jak burzliwe życie toczyło się w kabinie samochodu. Z tego królewskiego tronu Arnold Moore spoglądał na pokryte śniegiem chodniki Waszyngtonu, które w niezwykle wolnym tempie przesuwały się za szybami.

Ten rok przyniósł anomalie pogodowe. Kolejna burza - czwarta w ciągu ostatnich sześciu tygodni - nadciągała właśnie nad stolicę. Z prognoz wynikało, że będzie najśłabsza z dotychczasowych, niemniej miała trwać od piątku do niedzielnej nocy.

W sobotni poranek śnieg wciąż sypał obficie, pokrywając nieskazitelną warstwą bieli wszystkie trawniki i drzewa. Płatki, które trafiały na asfalt, natychmiast zmieniały się pod kołami samochodów w szarą breję. Załamanie pogody sprawiło, że większość mieszkańców wolała pozostać w domach. Moore nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział aż tak wyludnione ulice w centrum.

Taksówka wiozła go z Wirginii wzdłuż Jefferson Davis Parkway, a potem w kierunku Arlington Memorial Bridge na drugą stronę Potomacu. W oddali majaczył pomnik Lincolna, jego wielką kolumnadę przesłaniała śnieżna kurzawa.

Miasto zmieniało się podczas takiej pogody. Jego pomniki wydawały się o wiele większe, ale i bardziej samotne, gdy zabrakło wokół nich ludzi. Błyszczące baseny nabierały majestatu dzięki otaczającej je ciszy i pustce, skwery zaś godności, gdy znikali z nich turyści, przekupnie i włóczędzy.

Moore wolał oglądać stolicę w takim właśnie sztafażu. Jechał na spotkanie. W końcu odezwał się do niego ktoś zainteresowany brazylijskim projektem. Dzięki małemu ruchowi na ulicach łatwiej będzie porozmawiać na otwartej przestrzeni. Prędzej też da się zauważyć ewentualne zagrożenie.

Moore wysiadł z taksówki przed pomnikiem i ruszył po chodniku, deptając chrzęszczący mu pod butami śnieg.

Czując przenikliwie zimno, opatulił się szczelniej klapami grubego wełnianego płaszcza i wcisnął dłonie w głębokie, ciepłe kieszenie - te same, w których dwa dni temu znalazł wiadomość. Stał wtedy przed drzwiami swojego mieszkania, sięgając po klucze, gdy nagle wymacał opuszkami palców złożoną kartkę papieru, na której, jak się okazało, widniał tekst skreślony obcym charakterem pisma. Było tam słowo: „zadzwoń” i numer telefonu. Pod nim zaś dopisek: „możemy ci pomóc”. Nic więcej, żadnej uwagi dotyczącej Brazylii czy NIB-u, Moore jednak nie miał żadnych wątpliwości, czego tak naprawdę dotyczy ta wiadomość.

Wpatrywał się w kartkę papieru przez dłuższą chwilę, jakby był w transie. Niepokoił go fakt, że nie wyczuł momentu, gdy mu ją podrzucono. Zapewne doszło do tego, kiedy stał w kolejce po kawę albo na zatłoczonym peronie metra. Nie pamiętał jednak, by ktoś wpadł na niego, przeciskał się obok albo zatrzymał zbyt blisko. Nikt też nie próbował odwrócić jego uwagi, jak to mają w zwyczaju kieszonkowcy. Po wejściu do wagonu żaden nieznajomy nie dosiadł się do niego przez całą podróż, aż do momentu, gdy dotarł do swojej stacji i wysiadł z kilkoma innymi osobami. Mimo to ktoś zdołał mu podrzucić tę niewielką karteczkę. Przez to poczuł się stary i zniedołężniały. Zrozumiał, że wiek zrobił swoje z jego czujnością i zmysłami. Być może

naprawdę powinien pomyśleć o emeryturze.

Wracając do rzeczywistości, dostrzegł zbliżający się samochód i natychmiast skupił całą uwagę na nim. Ciemna limuzyna zwolniła nieco, ale minęła go, nie zatrzymując się, i odjechała po łagodnym łuku ulicy, wyrzucając spod kół strugi roztopionego śniegu.

Moore przeniósł wzrok z oddalającej się sylwetki wozu na zasnuty białą horyzont. Gdzieś tam, nasłuchując, siedział Gibbs. Oprócz niego w okolicy kręciło się kilku obserwatorów. Miał do dyspozycji co najmniej trzy grupy wsparcia. Dwie w samochodach i jedną spieszoną, niestety nie powiedziano mu, kim są ci ludzie i jak zostali rozmieszczeni. Niewykluczone, że w odjeżdżającym właśnie samochodzie siedzieli agenci NIB-u.

Starał się o nich nie myśleć, rozpraszało go to bowiem, a do tego zadania potrzebował pełnego skupienia. Miał się lada moment spotkać z jednym z wrogów Instytutu. Z kimś, kto nie tak dawno nastawał na życie Danielle. Polecono mu odkryć tożsamość tych ludzi. Aby to osiągnąć, musiał ich przekonać, że jest w stanie zdradzić NIB, co nie było takie proste, zważywszy na jego reputację. Pułapkę zastawiono na kogoś, kto doskonale wiedział, w co się pakuje. Takie rzeczy nawet w powieściach rzadko się udawały. Niestety, po przedwczesnym odejściu Matta Blundina był to jedyny trop, jaki im pozostał.

Kolejny samochód pojawił się na ulicy: biały lexus z zapalonymi reflektorami przeciwmgielnymi. Zjechał na pobocze tuż przed nim i zatrzymał się. Za opuszczoną szybą ujrzał twarz niespełna trzydziestoletniego mężczyzny o gładko przystrzyżonej bródce.

- Arnold Moore?

Potaknął.

- Proszę wsiadać - zaproponował mężczyzna. - Porozmawiamy podczas jazdy.

Moore pokręcił głową.

- Nie sądzę - odparł, wskazując ręką pobliski parking. - Proszę tam zjechać. Miejsca jest dość. Kiedy pan wróci, porozmawiamy w tej przepięknej zimowej scenerii.

Kierowca skwitował jego propozycję kwaśną miną, ale posłusznie wykonał polecenie. Chwilę później wrócił, idąc niespiesznym krokiem.

Moore przyglądał mu się uważnie. Mężczyzna był młody i całkiem przystojny, miał lekko wypłowiałe włosy i zadziwiająco mocną opalenizną jak na środek zimy. Nosił luźne spodnie i kaszmirowy golf.

- Dobry Boże - jęknął Arnold - wysłali na takie spotkanie zwykłego instruktora narciarskiego.

Mężczyzna podszedł do niego i zapytał:

- W którą stronę idziemy?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - burknął Moore. Rzucił szybkie spojrzenie w obie strony i zaczął oddalać się od pomnika, ruszając w kierunku mostu. Blondyn przewrócił oczyma, ale podążył za nim. Szli przez minutę, nie wypowiadając jednego słowa, ot, dwaj przygodni przechodnie zmierzający w dół niewielkiego nadrzecznego wzniesienia.

- Jak się nazywasz? - zapytał w końcu Moore. Blondyn roześmiał się.

- Dobrze, zatem nie poznam twojego imienia. Pozwól, że będę się do ciebie zwracał per Sven. Wyglądasz mi na Svena.

Mężczyzna nie zaprotestował, więc szli nadal obok siebie: Moore w ciężkich buciorach, z pomarańczowym szalikiem na szyi, okutany w grubą wełnę i Sven odziany w kaszmir i drogie, włoskie obuwie, które straszliwie ucierpi od kontaktu ze śniegiem.

- To ty odebrałeś telefon tamtego wieczora - rzucił Arnold po chwili.

- Strasznie pan spostrzegawczy - odparł blondyn.

- Pracujesz w pralni chemicznej?

- Słucham?
- Zastanawiałem się, jak ta kartka trafiła do mojej kieszeni - wyjaśnił Moore. - Nie czułem, by ktoś mi ją tam wkładał, więc pomyślałem, że mogła zostać podrzucona, kiedy oddałem płaszcz do czyszczenia.

- Sven milczał, ale Arnold wyczytał odpowiedź z jego twarzy. - To nie twoje dzieło.
- Ja tylko odbieram telefony.
- Nietrudno się domyślić - mruknął tonem zde gustowanego weterana.

Po tych słowach przyspieszył, kierując się na przyczółek mostu, nad rzekę, gdzie było o wiele zimniej i gdzie ciuchy Svena okazały się o wiele mniej odpowiednie na taką pogodę, niż mu się zdawało, kiedy wychodził z domu.

- Dokąd my, u licha, idziemy? - jęknął blondyn, któremu podobna myśl musiała też zaświtać w głowie.

- Donikąd - odparł Moore, spoglądając w dół na złowieszczo czarne wody Potomacu i kontrastujące z nimi śnieżnobiałe brzegi. - Tak sobie spacerujemy bez celu po otwartym terenie, gdzie nie muszę postrzegać cię jako zagrożenie, co zwiększa twoje szanse na przeżycie tego spotkania.

Sven roześmiał się.

- Myślisz, że ci uwierzę?
- Mnie tam wszystko jedno, co sobie myślisz - ofuknął go Moore, ruszając dalej - ale jednego możesz być pewny, nikt po tobie nie będzie płakał.

Sven zacisnął szczęki, dało się zauważyć, że ta uwaga go zabolala.

- Pan chyba nie do końca rozumie, o co tu chodzi - stwierdził. - To pan nas potrzebuje. Ja tu jestem tylko po to, by sprawdzić, czy nie marnujemy na pana czasu.

- Doprawdy? - spytał kpiąco Moore. - Strasznie ważne zadanie ci wyznaczyle. Musisz być bardzo dumny z siebie.

Mówiąc te słowa, obrócił się na pięcie, ale Sven zareagował natychmiast, chwytając go za ramię i odwracając twarzą do siebie.

- Posłuchaj mnie, staruszk...

Arnold stracił jego rękę i spojrzał mu w oczy z ogromną wściekłością.

- Nie, to ty mnie posłuchaj, bezwartościowy pojebańcu. Nie dobijam targów z chłopcami na posyłki. Przetrwalem w tym biznesie czterdzieści lat, jeśli więc twoi szefowie chcą ze mną rozmawiać, muszą udowodnić, że mają jaja, i pojawić się osobiście. Albo przynajmniej wysłać kogoś, z kim się liczą. - Sven zaczął coś mówić, ale Moore natychmiast wpadł mu w słowo. - Jesteś pierdolonym nikim i nic nie wiesz na temat tej operacji. Nie masz nawet pojęcia, jak wasi ludzie skontaktowali się ze mną. - Twarz blondyna pociemniała z gniewu. Moore spojrzał na niego wyzywająco. - No dalej. Gadaj. Powiedz, że się mylę. Daj mi dowód na to, że jesteś ważniakiem i wiesz o wszystkim.

- Wiem wystarczająco wiele - wydusił z siebie w końcu Sven. - Wiem, że odebrano panu niezwykle ważne zadanie, co bardzo się panu nie spodobało. Wiem, że pańska kariera jest skończona, co również nie jest powodem do zadowolenia. Czterdzieści lat pracy, powiada pan. Moim zdaniem wysługiwano się panem przez cały ten czas, a na koniec kopnięto pana w dupę, co musiało piekielnie zaboląć. Inaczej nie przyjąłby pan zaproszenia na to spotkanie.

Moore spoglądał na niego. Jego gniew, ten prawdziwy, jak i udawany, zaczynał znikać. Gdy przemówił po raz kolejny, w głosie pojawił się ton zakłopotania.

- Szczerze mówiąc, zabolalo - przyznał. - Ale przyjdzie na to spotkanie było mimo wszystko błędem. - Spojrzał na Svena z politowaniem.

- Wracaj do siebie - dodał. - Wracaj, zanim postradasz życie. Sądziłeś, że to ma szanse

powodzenia? Naprawdę tak uważałeś? Gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby agenci zmieniali strony za każdym razem, gdy szefostwo ich wkurzy? - Blondyn nie odpowiedział, na co Arnold zareagował, kręcąc głową z żalnością. - Wracaj do swoich i powiadom ich, że nie jestem zainteresowany współpracą. Powiedz im, że pieniądze to jeszcze nie wszystko. A jeśli uznają, że mają mi coś lepszego do zaproponowania, zasugeruj, żeby następnym razem nie przysyłali zasmarkańca, który bardziej się martwi, czy mu usta nie spierzchną na mrozie, niż wykonaniem zadania. - Po raz kolejny pokręcił głową, okazując jeszcze większe przygnębienie. - Mam dokumenty dotyczące moich misji, które są starsze od ciebie.

Powiedziawszy to, odwrócił się plecami do Svena i spojrzał na balustradę mostu. Usunął rękawiczką śnieg z powierzchni kamienia przed sobą, oparł na tym miejscu przedramiona i wbił wzrok w ciemną powierzchnię pokrytej wirami wody, płynącej spokojnie pod baldachimem szarego nieba.

- Czterdzieści lat - mruknął - i tak się to kończy. To jakiś żart. Pieprzony żart.

**Gibbs** wysłuchał każdego słowa tej rozmowy, siedząc wygodnie w zaciszu ciepłego pokoju, i powoli zaczynało do niego docierać, dlaczego Arnold cieszył się w Instytucie taką estymą. Rozegrał to w sposób mistrzowski. Sven wściekł się, mógł w każdej chwili wyśpiewać mu wiele więcej, niż powinien, byle dowieść swojej ważności, albo pobiec do przełożonych i zameldować, że rozmowy z Mooreem są daremne i trzeba mu będzie dać coś na zachętę. A to był czytelny dowód na to, że były pracownik Instytutu naprawdę się targuje, a nie jest przynętą.

Gibbs wiele by dał, żeby ta inscenizacja była prawdziwa i potrzebna. Niestety, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej, niż wyobrażał to sobie Arnold. Mimo niewątpliwego talentu Moore nie mógł wyjść z tej gry zwycięsko.

**Sven** uśmiechnął się po raz pierwszy od początku spotkania.

- Może pojedzie pan ze mną - zaproponował. - Sam pan im to powie.

Moore popatrzył na niego, opierając się plecami o balustradę. Kusila go ta propozycja. Rozwahał ją wcześniej z Gibbem. Dwa wozy wsparcia były w stanie wysledzić go bez względu na to, gdzie chciał go zawieźć Sven, niemniej uznał, że nie ma się co spieszyć. Odmówił.

- Nigdzie nie pojedę, dopóki nie będę wiedział, z kim mam do czynienia.

Blondyn pokręcił głową i spojrzał w głąb ulicy. Arnold zdał sobie w tym momencie sprawę, że nie ma tam nikogo prócz nich.

- Zła odpowiedź - stwierdził Sven, wyciągając zza paska niewielki pistolet.

Wystrzelił dwukrotnie w klatkę piersiową stojącego naprzeciw mężczyzny, zanim ten zdążył zareagować. Moore uderzył plecami w kamienny murek, odbił się od niego i poleciał na twarz. Blondyn podtrzymał go, uginając się pod ciężarem ciała, a potem z wysiłkiem wyprostował, przechylił do tyłu i przerzucił przez balustradę.

Arnold poszybował w dół, jego płaszcz furkotał podczas lotu jak peleryna, dopóki nie uderzył o powierzchnię czarnej wody i nie zniknął w lodowatych odmętach.

Sven obserwował rzekę jeszcze przez kilka sekund. Piana powstała podczas uderzenia roztapiała się powoli, znikając w oddali. Pomarańczowy szalik agenta pojawił się na moment w jednym z wirów na powierzchni, aby natychmiast zniknąć pod przęsłem mostu.

Zadowolony blondyn wrócił na ulicę. Lśniące czarne audi zatrzymało się przed nim, otworzyły się tylne drzwi. Gdy wskoczył do wnętrza, wóz natychmiast odjechał.

Oddalony o wiele mil Gibbs słyszał już tylko monotony szum. Obrócił się do panelu kontrolnego, odszukał wtyczkę Arnolda i wyszarpnął ją z gniazda.

Moore został zabity. Blondin już nie żył. A za dwadzieścia cztery godziny zginą pozostali członkowie zespołu wysłanego do dżungli. Ich zniknięcie usunie ostatni dowód na istnienie projektu brazylijskiego.

## ROZDZIAŁ 24

Twarz Marka Polaskiego poszarzała, gdy poznał treść wiadomości pochodzącej z centrali NIB-u, wprost od Stuarta Gibbsa. Jego córka została potrącona przez samochód podczas joggingu. Trafiała na ostry dyżur z poważnymi obrażeniami głowy i szyi. Lekarze wątpili, aby zdołała odzyskać świadomość. Firma zakupiła już bilet lotniczy na jego nazwisko na bezpośredni lot z Manaus do Miami, gdzie będzie na niego czekał prywatny odrzutowiec. Samolot odlatuje o dziewiętej czterdzieści trzy, więc powinien się spieszyć, jeśli chce na niego zdążyć.

- Zdołasz dolecieć na czas? - zapytał półgłosem, spoglądając na Hawkera.
- O ile wystartujemy natychmiast - zapewnił go pilot.

Polaski wspiął się do kabiny hueya żegnany przez resztę członków zespołu. Devers podał mu plecak z rzeczami, a McCarter, przypomniawszy sobie o własnej stracie, obiecał mu spotkanie zaraz po powrocie do Stanów.

Polaski nawet ich nie słuchał. Siedział w fotelu drugiego pilota, wpatrując się tępych spojrzeniem w błękitne niebo i grzebiąc na oślep w plecaku. Hawker w tym czasie dokonał szybkiej inspekcji, wcisnął guzik zapłonu i poczekał, aż śmigło zacznie się kręcić. Łopatkki wirnika zaczęły się powoli unosić, gdy silnik zwiększył obroty, pilot przyciągnął do siebie drążek i płozy lekko oderwały się od ziemi.

Natychmiast po starcie maszyna skierowała się na wschód i zaczęła się oddalać z opuszczonym dziobem, nabierając prędkości i wysokości. Po kilku minutach osiągnęła pułap przelotowy na pięciu tysiącach stóp i rozwinęła prędkość stu dwudziestu węzłów. Odległość, którą zespół Danielle pokonał w dziesięć dni, płynąc łodzią i idąc pieszo, helikopter powinien przebyć w zaledwie trzy i pół godziny.

W czasie lotu Polaski siedział osowiały i milczący. Hawker zostawił go w spokoju, uznając, że w takiej sytuacji trudno o słowa, które by miały jakieś znaczenie. Zajął się prowadzeniem maszyny, sprawdzaniem instrumentów i lustrowaniem okolicy. Skupiał wzrok na wybranym fragmencie nieba, upewniał się, że jest czyste, potem obracał lekko głowę i powtarzał te same czynności. Skanowanie przestrzeni wpajano pilotom od pierwszego dnia szkolenia i Hawker robił to z czystego przyzwyczajenia, mając stuprocentowe przekonanie, że tutaj nie ma szans na spotkanie innego statku powietrznego. Mimo to wkrótce dostrzegł coś znajomego.

Na drugiej godzinie pojawiła się niewielka czarna kropczka. Wyglądała jak plamka na szybie. Nie poruszała się, jakby zawisła w miejscu

- widomy znak, że cokolwiek to było, leciało zbieżnym kursem.

Hawker zmienił lekko kurs i rozpoczął wznoszenie.

Drugi helikopter leciał nadal swoim kursem. Po kilku minutach Hawker mógł już rozpoznać jego typ; był to Hughes 600, zwany powszechnie NOTAR-em, co stanowiło skrót angielskich słów No Tail Rotor, albowiem maszyna ta nie miała tylnego wirnika i dokonywała korekt kursu, wykorzystując szczeliny w ogonie i dysze strumieniowe. Ten konkretny NOTAR wydał mu się dziwny. Głównie dlatego, że był pozbawiony jakichkolwiek oznakowań, a pod czarnym jak smoła kadłubem widniały dwa spore zasobniki.

- Coś nie tak? - zapytał nagle wyrwany z transu Polaski.
- Nie ma oznaczeń - odparł Hawker.
- I co z tego?



- Nie wiem - odparł pilot - ale na pewno nie wróży to dobrze.

NOTAR przeleciał pod nimi pod pewnym kątem i zaczął się oddalać. Hawker jeszcze przez chwilę za nim patrzył, wykręcając szyję i kładąc hueya lekko na boku, by nie zgubić celu z oczu. Zanim czarna maszyna zupełnie zniknęła, dostrzegł, że ona także zaczyna wykonywać zwrot. Zawracała.

Danielle wróciła do telefonu satelitarnego, by poinformować Gibbsa o odlocie Polaskiego.

- Potwierdź start helikoptera - poprosił dyrektor.
- Potwierdzam - odparła. - Wystartował pięć minut temu.

Chwila ciszy przeciągnęła się nieco, a potem Danielle znów usłyszała głos dyrektora.

- Przyjąłem. O dziewiętnastej zero zero skontaktuję się ponownie i podam wam najświeższe wiadomości. Bez odbioru.

Danielle sięgnęła do wyłącznika, by się rozłączyć, ale nie nacisnęła klawisza, przypomniawszy sobie, że powinna porozmawiać z Gibbssem o błędzie znalezionym w systemie obrony. Ostatnim z długiej listy problemów, jakie sprawiała im elektronika. Chwyciła notatki i nacisnęła ponownie klawisz opatrzony napisem „nadawanie”.

Nie było odpowiedzi. Nacisnęła go raz jeszcze.

- Jesteś na linii, Stuart?

Sprawiła wyświetlacz. „Połączenie zakończone”. Najwidoczniej dyrektor już się rozłączył. Wpisała swój kod autoryzacji, nacisnęła klawisz „połącz” i czekała. Nikt się nie odezwał, za to po chwili na wyświetlaczu zobaczyła kolejną wiadomość: „Połączenie nieudane. Spróbuj ponownie”.

Spróbowała i otrzymała inny, znacznie groźniej wyglądający komunikat. „Błąd autoryzacji - odmowa dostępu”.

Poczuła ucisk na dnie żołądka. Aż sapnęła ze złości i rozejrzała się wokół, szukając pomocy. Niestety, jedyny człowiek, który znał się na obsłudze testowanego systemu, właśnie odleciał helikopterem Hawkera.

**HaWKER WYTEŻYŁ WZROK. NOTAR KONTYNUOWAŁ ZWROT** i wkrótce siądzie mu na ogonie. Aby tego uniknąć, musieli dodać gazu. Gdy ich maszyna nabrała prędkości, poszukał wzrokiem hughesa, ale nigdzie go nie dostrzegł.

- Mamy problem? - zapytał zaniepokojony Polaski.
- Możemy mieć.

Pociski smugowe, które przeszły powietrze obok kabiny, rozwiały wszelkie wątpliwości na ten temat.

Hawker natychmiast odepchnął od siebie drążek i huey zanurkował w kierunku znajdującej się pięć tysięcy stóp niżej dżungli. NOTAR ruszył jego śladem i mimo maksymalnej prędkości, jaką rozwijali, zbliżał się z każdą sekundą.

Czarna maszyna była o dwie generacje nowocześniejsza od wysłużonego hueya, a także mniejsza, lżejsza i szybsza. Hawker nie miał szans na ucieczkę czy choćby wymanewrowanie jej na dłuższym dystansie. Bez broni na pokładzie ich sytuacja wyglądała gorzej niż tragicznie. Czuł się jak człowiek zaskoczony w zaułku przez uzbrojonych napastników. Jeśli o coś poproszą, trzeba im to natychmiast dać, a jeśli nie odezwą się słowem, lepiej zwiewa gdzie pieprz rośnie, licząc na łut szczęścia. Gdy Hawker wykonywał ostry zwrot w lewo, schodząc jednocześnie w dół, ku smudze rzeki, miał nadzieję, że szczęście mu dopisze.

- Kto to? - zapytał Polaski.

Pilot nie odpowiedział. Huey gwałtownie przyspieszał. Wskazówka prędkościomierza przesunęła się na żółte pole, a potem minęła czerwoną linię, czyli miejsce zwane przez pilotów NPP - Nie Przekraczać Prędkości. Tę linię umieszczono tutaj nie bez powodu. Po przekroczeniu

granicznej prędkości struktura kadłuba mogła nie wytrzymać drgań. Jakby chcąc to udowodnić, huey zaczął się niemiłosiernie trząść, jakby naprawdę zamierzał rozpaść się na kawałki.

Wyszli z lotu koszącego tuż nad ziemią, słysząc straszliwe zawodzenie silnika i czując spazmatyczne drgania kadłuba. Mknęli nad koronami drzew, rozwijając wciąż sto pięćdziesiąt węzłów. Kolejna seria nadleciała z lewej, Hawker natychmiast skręcił w tamtą stronę, sprawiając, że NOTAR przestrzelił. Przed nosem hueya pojawił się czubek nieco wyższego drzewa. Musieli poderwać maszynę, aby nad nim przelecieć, ale i tak płozy zaryły w listowie. Tuż za drzewem Hawker znów odepchnął drążek i ponownie przyspieszył.

- Uważaj! - wrzasnął Polaski.

NOTAR przemknął nad nimi, strzelając, a potem odchodząc na prawo. Wzdłuż kadłuba rozległo się metaliczne bębnienie, zupełnie jakby ktoś próbował zatrzymać wentylator, wtykając metalowy pręt między rozpedzone łopatki wirnika.

Technik NIB-u rozejrzał się po kabinie, szukając śladów uszkodzeń. Pilot wbił wzrok w przyrządy w tym samym celu. Polaski dostrzegł dziesiątki dziur w poszyciu, przez które sączył się słoneczny blask. Hawker z radością skonstatował, że wskazówki pozostały na swoim miejscu. Wszystkie mechanizmy funkcjonowały jak trzeba. Choć dosięgło ich wiele pocisków, helikopter miał w swoim wnętrzu na tyle dużo pustych przestrzeni, że kule przeszły go na wylot, nie czyniąc spustoszeń.

Hawker przyglądał się, jak NOTAR robi szeroki nawrót, i równocześnie szykował się do wykonania kolejnego uniku. Zostało mu już tylko jedno miejsce, w które mógł uciec.

Po raz kolejny zanurkował ku rzece, wyciskając z silnika ostatnie poty i doprowadzając maszynę na skraj samounicestwienia. NOTAR ruszył za nim, zbliżając się szybko.

Gdy czarny helikopter otworzył ogień, korony drzew wciąż przemykały pod nimi, znikając pod kabiną. Hawker skierował hueya nad rzekę i skręcił, lecąc z prądem. NOTAR znowu przestrzelił i po wykonaniu kolejnego, tym razem ostrzejszego zwrotu, znów siadł im na ogonie. Zmniejszył dystans błyskawicznie.

Lecieli bardzo nisko. Oba śmigłowce pożerały przestrzeń, ocierając się o pofalowane lustro wody i skręcając gwałtownie - wyglądały przy tym jak para gigantycznych wałek walczących o prymat na tym terytorium.

Ostre uniki pozwoliły Hawkerowi wyjść cało, niemniej ściany zbitych zarośli pokrywających oba brzegi sprawiły, że trafił do wąskiego kanionu, gdzie nie miał już tak wielkiej swobody ruchu, i jego manewry stały się bardziej przewidywalne dla ścigającego ich pilota. Znów odbił w lewo, ale musiał przerwać manewr, kiedy na drodze stanęły mu wysokie drzewa. Odbił na prawo, przelatując prosto przez strumień pocisków wypluwanych z czarnej maszyny. Skrzywił się, gdy jeden świsnął mu przed nosem.

- Dlaczego oni to robią? - wrzasnął Polaski. - Dlaczego nas atakują?

- Nie mam pojęcia - odkrzyknął Hawker, odpowiadając na oba pytania jednocześnie. W tym samym momencie rozpoczął kolejny zwrot.

Koryto rzeki zrobiło się szersze, dając mu nieco więcej miejsca na manewry, ale w oddali widział już kolejne przewężenie. Dodał gazu i huey pomknął prosto na niewielką zadrzewioną wysepkę, która dzieliła nurt na dwie odnogi. W ostatniej chwili wykonał kolejny ostry zwrot, kierując śmigłowiec w lewo, aby uniknąć zderzenia z masywnymi pniami. NOTAR odbił moment później w prawo. Dwie sekundy później huey dotarł do krańca wyspy i skręcił w prawo, idąc kursem na zderzenie. Hawker starał się zepchnąć napastników na zarośla. NOTAR zwolnił jednak w ostatniej chwili, stawiając ofiarę przed trudnym wyborem - mogła wzbic się nad brzeg albo wlecieć po raz drugi prosto pod lufy karabinów maszynowych. Hawker wybrał to pierwsze rozwiązanie i o włos minął korony drzew, by zyskać dzięki temu tylko moment spokoju.

NOTAR ruszył za nim, otwierając ogień.

Pociski z działka rozpruły część ogonową, sunąc w kierunku obudowy silnika. Moment później przeraźliwy jęk rozdieranego metalu zagłuszył wszelkie inne hałasy, jakby turbina właśnie rozsypała się w drobny mak. Rozedrgany helikopter przyspieszył, aby moment później całkowicie wyrwać się spod kontroli.

Hawker próbował ustabilizować maszynę, ale bez wsparcia ze strony hydrauliki jego starania musiały spełznąć na niczym. Śmigłowiec zachowywał się teraz jak pocisk, reagował wyłącznie na prawa fizyki. Opadał wolno po krzywej balistycznej, skręcając cały czas w lewo i zostawiając za sobą pióropusz gęstego dymu.

Przestrzeń pomiędzy maszyną a dżunglą malała błyskawicznie. Huey wbił się w gęstwiny, łamiąc konary drzew, łopaty wirnika i rozbijając pleksiglasowe płyty osłaniające kabinę. Korony drzew zadrżały, przyjmując na siebie ten cios, a potem zamknęły się ponownie, połykając helikopter jak kamień rzucony w wodę.

## ROZDZIAŁ 25

Większość ekipy podjęła swoje obowiązki, aczkolwiek ludzie rozchodzili się po polanie z ogromną niechęcią. Danielle i Verhoven pozostali w centrum dowodzenia, dyskutując na osobności o nowym problemie, jakim była nagła utrata łączności.

- Ktoś nas zagłusza? - zapytał dowódca najemników.

Zdaniem Laidlaw nie było to możliwe. Otrzymywała przecież odpowiedzi z systemu. I chociaż za każdym razem ich treść była identyczna

- negocowały autentyczność jej kodu autoryzacyjnego - to sygnał musiał docierać do odbiornika, inaczej nie zostałby odrzucony. Bardziej prawdopodobny wydawał się błąd oprogramowania: albo tutaj, albo w Waszyngtonie. To jednak powinno być łatwe do naprawienia, istniały więc szanse na szybkie przywrócenie łączności. Nie widziała powodu do złamania ciszy radiowej.

- Zrobiłam wszystko, co mogłam po tej stronie - oznajmiła. - Kolejny kontakt został ustalony na godzinę dziewiętnastą. Wtedy zauważą, że coś jest nie tak, i dokonają naprawy. Jeśli usunięcie usterki okaże się niemożliwe, otrzymamy instrukcje drogą radiową na ustalonej częstotliwości i nie będziemy musieli zdradzać naszej lokalizacji.

- Co ci mówiłem na temat tej pieprzonej elektroniki? - burknął Verhoven. - Złamanego centa bym za nią nie... - zamilkł w pół słowa i skierował wzrok na wschód. Danielle zrobiła to samo. Chwilę później usłyszała warkot lecącego tuż nad drzewami helikoptera. Hawker wystartował godzinę temu. Ciekawe, dlaczego tak szybko wracał...

- Szlag! - warknął Verhoven, zrywając się na równe nogi.

Nad skrajem polany pojawił się NOTAR i przeciął ją, zmierając nad obozowiskiem ku zachodowi.

Wystarczyło jedno spojrzenie na uzbrojoną maszynę. Danielle dopadła syreny alarmowej. Głośne wycie rozległo się, zanim czarna jajowata maszyna doleciała ponownie do linii drzew, gdzie zaczęła się wznosić, by zawrócić.

- Wypuść dym! - wydarł się najemnik.

Danielle wykonała jego polecenie, otwierając kolejne zbiorniki, ale niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że nie zdoła wytworzyć wystarczająco gęstej zasłony, nim helikopter wróci.

Chwyciła karabin i zaczęła uciekać.

Verhoven złapał ją za rękę.

- Zaczekaj!
- Na co?
- Moment!

NOTAR zdążył już zawrócić, nabierał właśnie pędu, kierując się prosto na nich. Opuszczając nos, maszyna zniknęła za kłębamii gęstniejącego dymu.

- Teraz! - wydarł się Verhoven.

Rzucili się na prawo w tej samej chwili, gdy pilot helikoptera otworzył ogień, zasypując gradem pocisków z działka miejsce, które właśnie opuścili. Maszyna przemknęła nad ich głowami, rozpraszając chmurę dymu na swojej drodze.

Verhoven obrócił się błyskawicznie, przykłęknął i strzelił, ale helikopter zdążył już wykonać kolejny zwrot i otworzył ogień do znajdujących się na południu namiotów, niszcząc je za pierwszym przelotem. Danielle patrzyła z przerażeniem, jak z jednego z nich wyczołguje się ranny tragarz.

W tym momencie pozostali członkowie ekspedycji biegli już w kierunku serca obozu, jak ich tego uczono - tym razem jednak pakowali się w sam środek zagrożenia. Laidlaw była pewna, że przy następnym nalocie wszyscy zostaną zabici.

W przybliżeniu zaczęła strzelać do zbliżającej się maszyny, Verhoven wziął z niej przykład. Gdy w powietrzu zaczęły świstać pociski z AK-47, pilot poderwał helikopter i przemknął nad obozowiskiem, znikając nad dżunglą bez oddania jednego strzału.

Oddalał się przez kilka sekund, a potem skręcił i zaczął okrążyć polanę jak polujący rekin. Danielle zauważyła, że Verhoven obserwuje skraj dżungli.

- Nie damy rady dobiec do zarośli - powiedziała.

Przyznał jej rację.

- Zatem pozostaje świątynia - odparł. - To nasza jedyna szansa.

Rzucili się biegiem w kierunku wielkiej budowli Majów i jej grubych, kamiennych ścian, ku jednemu miejscu, które mogło im zapewnić schronienie przed zabójczymi pociskami wystrzeliwanymi z helikoptera.

Biegając w stronę schodów, Danielle zauważyła, że profesor, Susan i jeden z tragarzy uciekają w przeciwną stronę.

- Wracajcie! - zawołała za nimi. - Chodźcie z nami!

Usłyszeli jej krzyki, zatrzymali się, a potem zawrócili.

Helikopter nadlatywał po raz kolejny; schodząc niżej, pędził na pozostałą parę tragarzy, wzbijając za sobą tuman kurzu. Zbliżał się błyskawicznie niczym wielki drapieżnik ścigający ofiarę. Lufy jego działek plunęły ogniem, otaczając uciekających mężczyzn fontannami ziemi. Obaj padli bezwładnie, a maszyna wbiła się ponownie w niebo, uciekając nad drzewa.

W tym czasie Danielle i Verhoven byli już u stóp schodów.

- Na górę! - rozkazał pozostałym Verhoven. - Szybko!

Danielle wspinała się po stromych stopniach, słysząc warkot silnika NOTAR-a, ale nie widząc samej maszyny. Dotarła na szczyt budowli, stanęła na nim i dopiero wtedy ujrzała lecący wprost na nią helikopter. Zawróciła na schody w tym samym momencie, gdy pilot otworzył do niej ogień. Pociski rykoszetowały od kamiennego sklepienia świątyni, krzesząc snopy iskier. Śmigłowiec przemknął nad skuloną kobietą moment później, przelatując nie wyżej niż dziesięć stóp nad jej głową.

Teraz miała szansę. Brudna i poobijana przemknęła po kamiennych płytach i wcisnęła się w zięjący znajomą czernią otwór. Ludzie Verhovena poszli jej śladem, ale jego straciła z oczu. Za to

słyszała narastające brzęczenie wracającego helikoptera. Po kilku sekundach ścigany seriami pocisków Pik zanurkował na schody. Kule załomotały o kamień, kilka z nich trafiło w otwór wejściowy. Z szalonym wizgiem rykoszetowały teraz od ścian.

Danielle rozejrzała się wokół - z tego, co widziała, nikomu nie zrobiły krzywdy.

- Co tu się dzieje, u licha? - zapytał McCarter.

Danielle nie odpowiedziała. Wsłuchiwała się w dźwięki dochodzące z zewnątrz. NOTAR znów wracał.

- Nadlatuje - ostrzegła pozostałych.

Verhoven spojrzął na otwór wejściowy wieńczący wewnętrzne schody.

- Idę o zakład, że tym razem spróbuje ulokować jak najwięcej pocisków w tej dziurze - powiedział, odwracając się do Danielle. - Wycofajcie się do następnej komnaty. I nie wychylajcie z niej nosa.

McCarter poprowadził członków zespołu za kamienny portal. W tym samym czasie najemnicy rozlokowali się za dostępnymi osłonami, przywierając do ścian otaczających schody i przeładowując broń. Danielle została z nimi.

- Co zamierzacie zrobić? - zapytała.

- Jak tylko się pokaże - rzucił Verhoven, spoglądając na podwładnych.

Skinęli głowami na znak, że zrozumieli.

- Co wy, do cholery, kombinujecie? - naciskała Laidlaw.

- Mamy zamiar zestrzelić tego skurwiela - odparł Pik. - Nadleci wolno, jeśli chce trafić w tak niewielki otwór, ale nie zawisnie w miejscu, na wypadek, gdyby ktoś z nas był jeszcze na zewnątrz. Jak tylko minie szczyt świątyni, wydostaniemy się na zewnątrz. Ale wcześniej rozpełta się tu piekło, radzę więc, abyś dołączyła do pozostałych.

Hałas dobiegający z góry nasilał się. Danielle spojrziała na tonące w mroku wnętrze świątyni, w którym zniknęła reszta zespołu.

- Pieprzyć to - mruknęła. Miała zamiar sprawdzić, czy pół roku ćwiczeń na strzelnicy nie poszło na marne.

- W takim razie stań za mną - polecił jej Verhoven.

Laidlaw przykucnęła przy ścianie za jego plecami dosłownie w ostatniej chwili. Pociski wystrzelwane z działa popłynęły strumieniem, rykoszetując od stopni i od ścian w asyście snopów iskier i ostrych odłamków kamienia.

Jeden wbił się w ścianę tuż nad głową Pika, zasypując mu twarz pyłem i kurzem. Najemnik cofnął się odruchowo, wpadając na Danielle. Kolejny rykoszet wytrącił broń z rąk jego zastępcy. Po trwającej trzy sekundy nawale ogniowej NOTAR minął szczyt świątyni. W tym samym momencie Verhoven i dwaj jego podwładni, którzy wciąż dysponowali bronią, ruszyli w górę schodów.

Danielle podążyła za nimi. Wydostała się na zalaną słońcem platformę w momencie, gdy najemnicy otwierali ogień do oddalającej się maszyny. Zdziwiła się, widząc, jak daleko NOTAR zdążył odlecieć, i zrozumiała, że pilot dodał gazu, gdy tylko minął świątynię.

Uniosła broń do ramienia, ale naraz dostrzegła czerwoną kropkę na plecach stojącego obok niej najemnika.

- Padnij! - wrzasnęła.

Niestety było już za późno. Trafiony mężczyzna poleciał na twarz, otoczony krwistoczerwoną mgiełką.

- Snajper za nami! - krzyknęła do pozostałych, obracając się i padając na kamień. Od północy zbliżało się do nich biegiem sześciu mężczyzn w mundurach polowych. Strzeliła w ich stronę, zmuszając do rozdzielenia i trafiając co najmniej jednego. Wycofała się, gdy

odpowiedzieli ogniem.

- Jest ich tam pięciu albo sześciu - poinformowała Pika.
- Po tej stronie jest ich więcej! - odkrzyknął.

Odgłosy wystrzałów dochodziły z obu kierunków, kule świszczą im nad głowami. NOTAR wykonał już zwrot i wracał nad świątynię.

Danielle mogła liczyć tylko na siebie, Verhovena i dwóch jego ludzi, a przeciw sobie mieli nie mniej niż dwunastu napastników i uzbrojony helikopter. Nie wyglądało to zbyt różowo.

- Wracamy do środka! - zakomenderował Pik. - Szybko!

Laidlaw przeczołgała się po kamiennym zwieńczeniu świątyni i wślizgnęła w wąski otwór. Verhoven i pozostali najemnicy poszli jej śladem. Pik zabrał ze sobą zakrwawioną broń zastrzelonego podwładnego. Rzucił ją człowiekowi, który stracił swój karabin podczas niedawnego ostrzału.

Danielle przycupnęła w ciemnościach, wsłuchując się w narastający ryk nadlatującego śmigłowca.

- Jesteśmy w pułapce - stwierdziła.
- Wolałabyś być teraz na zewnątrz?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż kolejna lawina ognia zasypała otwór wejściowy.

Rozwścieczony takim obrotem sytuacji najemnik wypalił w niebo długą serię, choć nie było tam żadnego celu.

NOTAR minął świątynię, ale tym razem warkot silnika nie ucichł. Zmienił się tylko, przechodząc w bardziej jednostajny pomruk.

- Przyszpilili nas - wyjaśnił Verhoven. - A to znaczy, że przeciwnik wspina się właśnie na szczyt świątyni.

- Jesteśmy w pułapce! - powtórzyła Danielle.

- Ale nadal muszą nas w niej dopaść - odparł Pik. - Jeśli tu wejda, zapłacą wysoką cenę. Idź do tamtych - polecił jej. - W ten sposób będziemy mieli dwie linie obrony. - Przeniósł wzrok na jednego z ocalałych najemników. - Ty pójdziesz z nią.

Laidlaw wycofała się do drugiej komnaty, przyjmując pozycję strzelecką po jednej stronie portalu. Za jej plecami McCarter podtrzymywał kaszlącą przeraźliwie Susan Briggs. Obok nich stał Brazos, ostatni żywy tragarz. Cała trójka spoglądała na nią z wyrzutem.

- Na ziemię! - rozkazała, odwracając się w kierunku schodów.

Była gotowa do walki, a nawet na śmierć, jeśli zajdzie taka konieczność. Verhoven pomylił się jednak, napastnicy nie musieli wchodzić do świątyni. Ekipa NIB-u sama wlaźła w pułapkę jak przysłowiowe szczury, więc wróg nie musiał robić nic, wystarczyło tylko zatrzasnąć wejście do klatki. Zamiast wdawać się w ryzykowną wymianę ognia, mogli po prostu wsunąć kamienną płytę na miejsce i zapieczętować ponownie wnętrze świątyni. Znajdujący się w niej ludzie sami zginą z głodu i pragnienia, choć pewnie prędzej poduszą się w oparach kwasu siarkowego. Verhoven także o tym wiedział, ale jaką tak naprawdę mieli alternatywę? Wyjście na zewnątrz oznaczało samobójstwo. Pozostawała im tylko nadzieja, że wróg okaże się na tyle głupi, by zaatakować.

Przygnębiające brzęczenie silnika znów się nasilało, przypominając teraz odgłosy wydawane przez gigantyczny rój rozwścieczonych pszczoł. Wirnik maszyny właczał na schody masy powietrza, unosząc przy okazji tumany kurzu. Wtem z góry dobiegł łomot ciężkich butów.

- Przygotować się! - zawołał Verhoven. Za minutę rozpęta się tutaj gwałtowna, mordercza strzelanina. Danielle cofnęła się za załom ściany, ściskając mocniej karabin. Czekala z zaciśniętymi zębami. Na razie nic się nie działo.

Brzęczenie helikoptera przycichło, nie było już słychać tupotu. Cały oddział zebrał się wokół

wąskiego wejścia. Nadal jednak nie przypuszczał ataku.

Laidlaw zastanawiała się, czy przeciwnik dałby jej szansę na poddanie się albo dopuścił do jakichkolwiek negocjacji. Może ci ludzie okażą się rozsądni. Może da się ich wykołować lub przekupić. Nagle usłyszała stukot metalowego przedmiotu spadającego w dół schodów. Odwróciła głowę i zacisnęła powieki.

Mimo to poraziła ją fala oślepiającego światła. Towarzyszyła jej ogłuszająca eksplozja, która zatrzęsała ścianami, posyłając ją na kamienną posadzkę. Leżała tam oszołomiona, na krawędzi przytomności, słysząc w uszach głośnie dzwonienie. W ustach czuła smak krwi. Z trudem docierała do niej myśl, że pozostali członkowie zespołu znajdują się w podobnym stanie. Susan leżała plackiem tam, gdzie widziała ją wcześniej, McCarter odczołgiwał się chwiejnie pod ścianę. Nie dostrzegła za to nawet śladu po Verhovie i jego dwóch ludziach.

Rozejrzała się za karabinem. Leżał na podłodze około dziesięciu stóp od niej. W tej sytuacji odległość nie miała żadnego znaczenia, mógł znajdować się równie dobrze całą milę dalej. Wsparła się z trudem na dłoniach i ruszyła na czworakach w jego kierunku. W tym samym momencie usłyszała raz jeszcze znajomy, powtarzający się dźwięk. Kolejny granat spadał po schodach. Doleciał na sam dół i potoczył się po kamiennej podłodze.

Zacisnęła oczy najmocniej jak potrafiła i zakryła dłońmi uszy... Czekwała, czekała, czekała na kolejną eksplozję. Zamiast tego rozległo się ciche pyknięcie, a potem głośny syk, jakby ktoś przedziurawił oponę. Spojrzała w kierunku przedsionka i zobaczyła, że z długiego cylindra wydobywa się biała zawiesina. Poczowała smród chemikaliów. Moment później obraz rozmył się i pochłonęła ją ciemność.

## ROZDZIAŁ 26

Obudził ją spokojny głos.

- Widzisz mnie? - zapytał.

Zmrużyła oczy, oślepiona jasnym światłem, ale powoli zaczęła odzyskiwać wzrok.

Dostrzegła nad sobą okoloną szpakowatymi włosami twarz o piwnych oczach. Nie rozpoznała jej jednak.

- Widzisz mnie?

- Tak - wyszeptała.

Szczegóły twarzy wyostrzyły się nieco, gdy jej ciało przeszył ból. Mężczyzna odsunął się, cofając dłoń, w której trzymał zakrwawioną szmatkę.

- To z twojego ucha - wyjaśnił.

Czuła w głowie walenie, dźwięki docierały do niej, ale bardzo stłumione, za to pole widzenia wciąż się poszerzało. Dostrzegła błękitne niebo za plecami pochylającego się nad nią człowieka i zrozumiała, że ktoś wyniósł ją na zewnątrz. Zauważyła, że rozmawiający z nią mężczyzna ma na sobie strój myśliwego, a otaczający ich ludzie noszą długą broń i polowe mundury. W tym momencie wróciła jej pamięć... i wściekłość.

- To wy nas zaatakowaliście...

- Obawiam się, że ma pani rację - przyznał mężczyzna, wyciągając rękę w jej kierunku.

Zamarła. - Spokojnie - powiedział, przesuwał dłoń w dół, by odpiąć coś od jej pasa. - Nie będzie już pani potrzebny.

Zabrał jej transponder, urządzenie, które nosili wszyscy członkowie zespołu, aby system

obrony nie rejestrował ich ruchu. Gdy odwrócił się, by podać go swoim ludziom, Danielle sięgnęła szybko do bocznej kieszeni spodni. Ta była jednak pusta.

Kaufman zauważył jej reakcję.

- Tak, o nie także zadbałem - powiedział. - Miło, że przyniosła pani te przedmioty na miejsce zbrodni.

Laidlaw poczuła przyływ paniki, który wypełnił energią jej obolałe ciało. Spróbowała wstać, by go zaatakować, ale natychmiast poczuła zawroty głowy i padła na czworaki.

- To efekt zaaplikowanego środka - wyjaśnił jej. - Pani najgorzej na niego zareagowała. Ale za kilka minut wszystko powinno wrócić do normy. Bez obaw, zwiążemy panią, zanim do tego dojdzie.

Przyglądała mu się badawczo. Mimo wysiłków nie potrafiła go rozpoznać.

- Czego chcecie?

- Myślę, że zna pani odpowiedź na to pytanie. Chce pani o tym porozmawiać?

Trafiła na ludzi, którzy od dawna podążali śladem jej ekipy, na tego samego nieznanego przeciwnika, który kazał ją napaść w porcie.

- Nie wiem, kim pan jest, ale powiem panu jedno, zadarł pan z kimś, z kim nie może pan wygrać.

- Szczerze mówiąc - odparł ze stoickim spokojem, jakby prostował zwykłą urzędową pomyłkę - wiem doskonale, z kim zadarłem. Zaręczam także, iż nikt pani nie uratuje, chociaż ma pani na to nadzieję. To ja zablokowałem wasze łącza. Jestem też odpowiedzialny za strącenie helikoptera, którego wrak płonie teraz na brzegu rzeki jakieś trzydzieści mil od tego miejsca.

Przeniosła wzrok na czarną jednowirnikową maszynę, stojącą nie dalej niż sto jardów od niej. Widziała wyraźnie wielkie zasobniki z bronią.

Mężczyzna odgadł jej myśli.

- Po tym, co stało się w dokach, nie mogłem pozwolić, aby pani przyjaciel raz jeszcze pokrzyżował nam szyki. - Danielle milczała. Ta informacja ją zdruzgotała, ale to jeszcze nie był koniec złych wieści.

- Chciałbym, aby pani zrozumiała, że sytuacja jest naprawdę beznadziejna - dodał mężczyzna. - Nikt pani nie pomoże. Nawet ze Stanów.

- Spojrzała mu prosto w oczy, obawiając się kolejnych słów. - Arnold Moore również nie żyje.

Dopadła ją fala mdłości, a potem zalała krew. Zamachnęła się na niego, ale zdołał schwycić jej nadgarstek. Plunęła mu w twarz, starając się oswobodzić.

Kaufman wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią twarz, nie zwalniając nawet na moment chwytu. Potem wymierzył jej siarczasty policzek, którym posłał Danielle z powrotem na ziemię. Skóra zapiekła, jakby przypalono ją żelazem.

- Mogę się zachowywać rozsądnie, pod warunkiem że zaprzestanie pani tej walki - oświadczył, chowając chusteczkę. - Mogę też urządzić pani piekło na ziemi. Jeśli chce pani przeżyć i ocalić przyjaciół, proszę z nami współpracować. Chociaż jest pani pewnie tak uparta, jak mi mówiono, i wybierze pani śmierć.

Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Hawker został zestrzelony. Moore nie żyje. A co z Gibbsem? Dlaczego ten człowiek nie wspomniał słowem o Gibbsie? Może wciąż istniała nadzieja. Zagryzła wargę i nie odezwała się nawet słowem.

- Za jakiś czas zmieni pani zdanie - zapewnił ją, biorąc milczenie za odmowę. Machnął ręką na jednego z mundurowych.

Silnik NOTAR-a ożył. Najpierw zaterkotał generator, potem wirnik. Łopatki poruszyły się ociężale. Przyglądała się temu widowisku z wściekłością do chwili, aż dwaj napastnicy podnieśli



ją i zawlekli na skraj polany, gdzie skończyła przywiązana do drzewa. Na pniu widać było ślady osmaień po niedawnym pożarze. Wokół niego okręcono spięty kłódką gruby łańcuch. Pod nim siedzieli pozostali członkowie ekipy z rękami skutymi na plecach.

Gdy NOTAR wzniósł się w powietrze, by zniknąć za ścianą zarośli, ludzie Kaufmana zmusili Danielle do zajęcia miejsca obok swoich przyjaciół. Oparła się plecami o korę, a jeden z napastników przełożył kajdanki przez łańcuch, po czym zacisnął je na jej nadgarstkach. Gruby łańcuch okalający drzewo i znacznie cieńszy spinający jej ręce stanowiły teraz nierozłączną całość. Miała swobodę ruchu, mogła się nawet przesuwać w prawo i w lewo, ale nie była w stanie uwolnić się z więzów, chyba że potrafiłaby rozerwać któryś z łańcuchów. Prosty, ale jakże efektywny sposób na uwięzienie człowieka.

Policzyła głowy. Miała obok siebie McCartera i Susan, był także Verhoven, jeden z jego ludzi i główny tragarz Brazos. Wszyscy, którzy schronili się we wnętrzu świątyni. Razem z nią stanowili szczęśliwą szóstkę. Po pozostałych członkach ekipy ślad zaginął. Zastępca Verhovena, człowiek nazwiskiem Roemer, miał zakrwawiony opatrunek na ramieniu. Susan szlochała cicho, a profesor starał się ją uspokoić. Gdy tylko strażnicy oddalili się od pnia, przeniósł wzrok na Danielle. Wyglądał na człowieka, który zdał sobie właśnie sprawę, że go oszukano.

- Kim są ci ludzie? - zapytał. - I o co im chodzi?
- Nie mam pojęcia - odparła.
- To najemnicy - wyjaśnił Verhoven. - Sądząc po akcencie, z Europy Wschodniej.

Słyszałem kilka słów po chorwacku, niemniej posługują się głównie niemieckim. Ich szef to ten starszy facet, najprawdopodobniej były funkcjonariusz Stasi, który zdecydował się na ucieczkę, gdy obalono mur.

- Co to jest Stasi? - zapytał profesor.
- Dawna tajna policja z NRD. Coś jak KGB, tylko gorsze.
- I co oni robią w samym środku Amazonii? - pytał dalej McCarter, przenosząc wzrok na Danielle. - Czego chcą od nas?

Nie spuściła wzroku, odpowiedziała mu hardym spojrzeniem, chociaż jej najgorsze obawy stały się faktem. W myślach błagała go jednak, by nie drażył tego tematu. Takich rozmów najmniej im teraz było trzeba.

- Musimy zachować spokój - rzuciła. - Znajdziemy jakiś sposób, by się z tego wyplątać.

Nie wiedziała, czy profesor jej uwierzył czy może raczej zrozumiał, że to nie najlepszy moment na tego rodzaju rozmowy. W każdym razie nie odezwał się już słowem.

- Ktoś jeszcze ocalał? - zapytała, przyglądając się pozostałym.
- Tylko Devers - odparł Verhoven.
- Gdzie jest?
- Z nimi.

Danielle rozejrzała się po polanie. Nagle dotarło do niej, że nie widziała lingwisty podczas ataku.

- Co on tam robi?
- Moim zdaniem odbiera zapłatę - burknął Verhoven.

Zatem to Devers ich sprzedał. Dlaczego, tego mogła się domyślić, ale jak tego dokonał, pozostawało dla niej zagadką. Był pracownikiem niższego szczebla w pionie badawczym. Miał ograniczony dostęp do technicznej strony przedsięwzięcia i z pewnością nie wiedział, czego tak naprawdę tutaj szukali. To wszystko nie miało sensu, dopóki nie dotarło do niej, że Devers mógł być zaangażowany w tę sprawę od samego początku. Gibbs i Moore konsultowali się z nim w kwestiach dotyczących mowy Chollokwanów i innych okolicznych plemion, odkąd zdecydowali, że wyprawa do Brazylii będzie konieczna. Potem miał ścisłe kontakty z Dixonem i jego

zespołem. Wątpiła, by wiedział, czego tu poszukiwano, ale niewiele było trzeba, aby zdać sobie sprawę, że jest to coś naprawdę cennego. Jak słusznie zauważył Hawker, świadczył o tym fakt, że ktoś taki jak ona i Moore zostali zaangażowani do pracy w terenie.

- A to chciwy skurwiel - mruknęła.

Verhoven przytaknęła.

- Nie da się ukryć. Ale gdy wpadnie w moje łapy, zapłaci krwią za każdego zarobionego centa.

Danielle oparła się plecami o drzewo, rozmyślając o tym, jak może pomóc najemnikowi w urzeczywistnieniu tego pragnienia, i obserwując z oddali mężczyznę, który ją przed momentem spoliczkował. Szedł teraz w asyście dwóch pomagierów prosto na grupę więźniów.

- Nazywam się Kaufman - oznajmił. - Chciałbym przeprosić za to, co wydarzyło się tutaj dzisiaj rano. Nie tak miało być. Obiecuję, że odąd będziecie traktowani o wiele lepiej.

- Wypuszczenie nas byłoby najrozsądniejszym rozwiązaniem tej sytuacji - rzuciła mu w twarz Danielle, wciąż czując pieczenie na policzku.

- Najrozsądniejszym? - powtórzył. - Nie sądzę... Niemniej wypuszczenie was wchodzi nadal w rachubę. O ile, rzecz jasna, będziecie z nami współpracowali. Na razie jednak pozostaniecie tutaj, nie mogę pozwolić na to, byście nam pokrzyżowali szyki. A pani Briggs będzie miała okazję wesprzeć nas pomocą.

- Czego od niej chcecie? - zaniepokoił się McCarter, widząc, że dwaj żołnierze ruszają w kierunku jego studentki.

Mundurowi rozpięli kajdanki Susan i postawili ją na nogi.

- Czego ode mnie chcecie? - zapiszczała, powtarzając pytanie profesora.

- Nie masz powodów do obaw - zapewnił ją Kaufman. - Chcemy poznać twoje zdanie na pewien temat.

Jeden z towarzyszących mu najemników ujął ją za ramię i pociągnął za sobą. Zdesperowana dziewczyna oglądała się na McCartera, ale w tej sytuacji nie mógł jej pomóc.

Kaufman zaprowadził Susan do prowizorycznego stołu zrobionego z przewróconej do góry nogami skrzyni. Zaoferował jej jedzenie. Odmówiła. Potem zaproponował coś do picia. Zawahała się.

- Jest dobra - zachęcał ją, upijając łyk z kubka. - To wprawdzie nie pellegrino, ale też da się wypić.

Susan najpierw odsunęła kubek, ale po chwili namysłu sięgnęła po niego. Gardło paliło ją niemilosiernie.

- Nie zamierzam cię krzywdzić - kontynuował uspokajającym tonem. - Wydarzenia dzisiaj rano wynikały z błędu, były nieporozumieniem. - Wskazał ręką na żołnierzy. - Ci ludzie zareagowali nadpobudliwie, a mnie tu nie było, więc nie mogłem ich powstrzymać. Teraz jednak jestem i mogę ci obiecać, że to się już nie powtórzy.

Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

- Oni zabili kilkoro z nas.

- Wiem - przyznał Kaufman. - Taką mają pracę. Ale teraz, kiedy sytuacja została opanowana, na pewno nie posuną się do niczego podobnego.

- Dlaczego pan to robi? - zapytała.

- Chciałbym ci odpowiedzieć - odparł - ale to tylko pogorszyłoby twoją sytuację.

- Nie zamierzam wam pomagać - oświadczyła w przyływie szczerości.

- Rozumiem - stwierdził. - Aleja naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Jeśli będziesz ze mną współpracować, dam twoim przyjaciółom wodę, jedzenie oraz szansę na dożycie starości. Jeśli odmówisz współpracy, będę musiał cię nakłonić siłą. A oni będą cierpieć głód i pragnienie,

dopóki nie zmienisz zdania.

Opuściła wzrok na stół, wciąż nie mogąc dojść do siebie po tym wszystkim, co przeżyła tego ranka. O dziwo, uspokajający ton, jakim przemawiał do niej Kaufman, przyniósł ukojenie jej nerwom. Miała dość oleju w głowie, by rozumieć, że taki był właśnie cel tej przemowy, ale nawet to nie stłumiło pozytywnego wrażenia. Nie chciała go rozdrażnić, tak samo jak nie chciała słyszeć kolejnej strzelaniny i widzieć krwi.

- **Wysłuchasz mnie? - zapytał.**

Podniosła na niego spojrzenie i skinęła niechętnie głową.

- Świetnie - powiedział. - Gdzieś tutaj znajdują się niezwykle ważne artefakty, możliwe, że są we wnętrzu tej świątyni. Pomożesz nam je odnaleźć?

Kolejne potaknięcie.

- Byłaś już w świątyni?

- Nie.

- A twoi przyjaciele w niej byli?

- Tylko profesor McCarter i Danielle.

- Czy coś wynieśli? Może jakieś metalowe przedmioty?

- Metalowe? - zdziwiła się. - Nie, nie przynieśli niczego metalowego.

Milczał przez chwilę, jakby dawał jej czas na przemyślenie tej odpowiedzi.

- Chciałbym, abyś udała się tam z nami i oprowadziła nas po komnatach.

Teraz miała dobry powód, by się przeciwstawić.

- Nie mogę tam wchodzić. Te wyziewy mnie duszą.

- Tak, wiem - uspokoił ją. - Słyszałem już o tych wyziewach. Cuchną okropnie, ale chyba mamy na nie sposób. - Sięgnął do stojącej obok skrzyni i wyjął z niej wojskową maskę przeciwgazową. - To powinno załatwić sprawę, zgodzisz się ze mną?

Susan gapiła się na podsuwaną jej rzecz tępym wzrokiem. Cóż mogła odpowiedzieć - oczywiście, że się zgadzała.

Przypięty do drzewa McCarter próbował zlokalizować Susan, desperacko wyciągając szyję.

- Czego oni mogą od niej chcieć?

- Jej wiedzy - odparł Verhoven. - Ona wie tyle co pan. Ale jest mniejsza i słabsza. Dlatego ją wybrali. Widział pan, że przekopywali nasze bagaże. Szukają czegoś i chcą, by pomogła im to znaleźć.

- Wolałbym, żeby wzięli mnie - jęknął profesor.

- Jeśli ta mała potrafi zachowywać się jak przysłowiowa blondynka, niewykluczone, że przyjdą i po pana.

- A gdzie jest policja albo armia? - wtrącił się Brazos. - Oni nie mogą robić u nas takich rzeczy.

- Znajdujemy się tak daleko od cywilizacji - przypomniała mu Danielle - że nikt się o tym nigdy nie dowie.

- A co z Hawkerem i Polaskim? - zapytał McCarter. - Oni wiedzą, gdzie jesteśmy.

- Nie możemy liczyć na ich powrót. Sami musimy o siebie zadbać.

- Jeśli Hawker przyleci - nie odpuszczał profesor - i odpowiednio wcześniej zobaczy, że coś jest nie tak, może zdoła...

- Hawker nie żyje - oświadczyła ponurym tonem, bolejąc z powodu słów, których wolałaby nigdy nie wypowiedzieć. - Jeśli można wierzyć temu sukinsynowi, który zabrał Susan, jego huey został zestrzelony, zanim zdążył dolecieć do Manaus. Strącił go ten sam helikopter, który potem zaatakował nas.

Gdy to mówiła, zauważyła, że jej relacja zmroziła krew w żyłach pozostałych więźniów.

Nagle zdali sobie sprawę, że mogą liczyć wyłącznie na siebie. Widziała, jak Verhoven zaciska szczęki, poza tym jednak wydawał się niewzruszony. Domyśliła się, że zakładał taki scenariusz wydarzeń od samego początku.

Korzystając z chwili ciszy, próbowała pozbierać myśli. Trudno jej było odnaleźć się w nowej sytuacji, to wszystko stało się tak nagle. Dwadzieścia cztery godziny temu była u progu wielkiego sukcesu, a teraz...

Teraz siedziała związana pod drzewem po ataku jakiejś paramilitarnej jednostki. Pilnowali jej najemnicy, a ciała martwych członków zespołu leżały obok, przykryte brezentem. Gdzieś w dżungli spoczywał spalony wrak, a w nim Hawker i Polaski. No i Moore... jego uśmiechnięta twarz mignęła jej przed oczami. Był dobrym, szczerym człowiekiem, traktowała go jak drugiego ojca. To wszystko wydało jej się nagle sennym koszmarem, z którego nie potrafi się obudzić. Zaczęła kipieć ze złości, w jej sercu narastała furia. Przysięgła sobie, że znajdzie wyjście z tego szaleństwa, że ci ludzie zapłacą za wszystko, co jej zrobili, albo... zginie, próbując dopiąć swego.

Spojrzała na pozostałych jeńców.

- Verhoven ma rację - powiedziała. - Musimy wykorzystać każdą przewagę, nawet najmniejszą. - Nagle pomyślała, że jedną z nich może być wiedza McCartera. - Jeśli pana zabiorą, proszę się postarać zdobyć coś użytecznego. Może któreś z pańskich narzędzi poradziłoby sobie z tym łańcuchem. To mogłoby poprawić naszą sytuację.

- Poprawić? - zdziwił się profesor. - W jaki sposób?

- Jakakolwiek zmiana na pewno byłaby lepsza niż obecny stan.

McCarter oddychał ciężko.

- To jakieś szaleństwo - wysapał, kręcąc głową. Wyglądało na to, że sytuacja go przytłoczyła. Danielle zyskała kolejny dowód, że nie powinna była ściągać tutaj cywilów.

Spojrzała na Verhovena.

- Wiesz, który z najemników ma klucze?

Sama nie mogła tego sprawdzić. Gdy ją tu prowadzili, wciąż kręciło jej się w głowie. Teraz jednak, gdy zaczęła dochodzić do siebie, dotarło do niej, że ten właśnie człowiek powinien być ich głównym celem.

- O, tak - odparł Pik, szczerząc zęby. - Przyjrzałem mu się dokładnie, gdy odpinał dziewczynę. Ma bliznę nad lewym okiem, jakby dostał w łeb czymś ciężkim.

Danielle zwróciła się ponownie do McCartera.

- Jest pan jedynym z nas, który może im się do czegoś przydać. Jeśli dadzą panu choć odrobinę swobody, proszę go wypatrzeć i spróbować dobrać się do kluczy.

- A jeśli trafi pan na Susan - wtrącił Verhoven - proszę ją uprzedzić, aby była gotowa.

- Na co? - zapytał profesor.

- Na wszystko - odparł najemnik. - Jak pan będzie wracał, proszę patrzeć na mnie. Splunę, jeśli przyjdzie pora na działanie.

Danielle poparła go, kiwając szybko głową.

- Splunie - wyszeptał siedzący obok niej McCarter, nie wierząc własnym uszom. Wyglądał, jakby miał mdłości. - Proszę się postarać zdobyć... proszę spróbować dobrać się... To jakieś szaleństwo.

Dyszając, uniósł oczy ku niebu, a Danielle modliła się w duchu, by nie rozsypał się do reszty.

## ROZDZIAŁ 27

Trzeba było trzech prób, by Susan Briggs znalazła pasującą na jej twarz maskę. Kaufman przedstawił ją Normanowi Langowi, jego szefowi naukowemu, wyjaśniając, że od tej pory ma mu służyć pomocą we wszystkim, o co zostanie poproszona.

Lang wyglądał na zdenerwowanego. Niewiele wyższy od niej, wazący niespełna sto czterdzieści funtów zapocony mężczyzna na pewno nie był ulepiony z tej samej gliny, co otaczający go najemnicy, niemniej zachowywał się w taki sposób, że na sam jego widok czuła niepokój. Bez przerwy oblizywał wargi, a mięśnie na jego policzkach drgały, jakby nieustannie zaciskał zęby. W ciągu dziesięciu minut, jakie spędzili, czekając na Kaufmana, pięciokrotnie musiał przeczyścić szkła grubych okularów w czarnej plastikowej oprawie.

Wkroczyli do wnętrza świątyni w piątce: ich troje oraz dwóch najemników Kaufmana. Wszyscy oddychali ciężko przez maski z filtrami węglowymi.

Zeszli ostrożnie po schodach. Lang uwiecznił ich wyprawę kamerą cyfrową. W kilku miejscach na ścianach widać było przebarwienia, kiedyś musiały być czerwonawe, ale czas i opary odbarwiły większość powierzchni, dzisiaj królował więc na nich żółtawy nalot. Tam, gdzie kamień był wciąż czysty, w blasku reflektorów błyszcząły krople spływającej po ścianach wilgoci.

Lang zrobił zbliżenie na jedną z takich żółtawych struktur.

- To siarka - obwieścił. - Wzera się nawet w granit.

Weszli do pierwszej komory. Susan zagapiła się na stos czaszek. Relacja profesora McCartera nie oddawała grozy tego widoku.

Lang nakazał wyłączenie wszystkich reflektorów i od tego momentu przeszli na ultrafiolet. W jego blasku oczy, zęby oraz sznurówki tenisówek Normana emitowały fioletową poświatę, jakby same stanowiły źródło światła. Czaszki wyglądały teraz jeszcze upiorniej, promienie UV odsłoniły także setki niewidocznych wcześniej cętek, które znajdowały się wszędzie na podłodze i ścianach. Lang nie znalazł jednak tego, czego najwidoczniej szukał. Włączył z powrotem reflektor i cała grupa ruszyła dalej, minęła portal i stanęła w drugiej komorze.

Sprawdzili ją tak samo jak przedsionek, najpierw przy normalnym oświetleniu, potem w ultrafiolecie. Także tutaj nie znaleźli niczego interesującego.

- Co teraz? - zapytał Lang, kierując to pytanie do Susan.

Prowadziła ich, korzystając ze wskazówek profesora.

- Tam powinna być komora z ołtarzem - powiedziała.

Następne pomieszczenie faktycznie mieściło spory ołtarz. Aby do niego wejść, musieli przedostać się przez kurtynę światła.

Lang wsunął dłoń w lejącą się z góry poświatę. Była szeroka, ale miała niespełna centymetr grubości. Tworzyła ją długa szczelina w sklepieniu, przez którą do wnętrza wpadały promienie słońca. Wydała mu się podejrzana.

- Czy znaleźliście w tym pomieszczeniu jakieś pułapki? - zapytał.

- Pułapki?

- Tak. Na przykład dmuchawki uaktywniane wejściem w tę poświatę?

Zrobiła wielkie oczy pod maską.

- Jaja pan sobie ze mnie robi? - Norman nie wyglądał jednak na kogoś, kto stroi sobie żarty.

- Za dużo filmów się pan naoglądał - dodała.

Lang ruszył naprzód, zanurzając się w świetlnej kurtynie z nieszczęśliwą miną. Po drugiej stronie rozciągała się komora z ołtarzem.

Susan obserwowała, jak naukowiec porusza się po całym pomieszczeniu, sprawdzając je obiema metodami i nagrywając wszystko, co wydało mu się interesujące. Kilkakrotnie przełączał się przy tym na ultrafiolet, sprawdzając coś na nie znanych jej instrumentach, które przytaszczył ze sobą. Minę miał jednak taką, jakby to wszystko nie robiło na nim większego wrażenia. W końcu podszedł do kamiennej platformy, gdzie po raz kolejny zgasił reflektor.

Tym razem promienie ultrafioletowe pokazały coś, czego nie można było dostrzec gołym okiem. Na powierzchni ołtarza pojawił się geometryczny wzór.

Susan przyjrzała mu się uważnie.

- Rozpoznajesz je? - zapytał Kaufman, widząc jej minę.

Zaprzeczyła.

- Nie przypominają hieroglifów - przyznała.

Gdy Lang skierował kamerę na płaszczyznę ołtarza, pojawiły się na niej dwa nowe znaki: dwie proste linie wykute w kamieniu, biegnące od przedniej do tylnej krawędzi. Szeroko rozstawione na początku, zbiegały się w środkowej części platformy, by przez kilka cali biec równoległe i znów się rozdzielić. Przy tylnej krawędzi skręcały ostro, by pobiec w przeciwnych kierunkach, tworząc po drodze błyszczące wiry. W kilku miejscach, ale zawsze pomiędzy liniami, na kamiennej płaszczyźnie wyryto płytkie wgłębienia.

Susan stanęła na palcach, by lepiej je widzieć. Kaufman natychmiast przywołał ją do siebie.

- Czy te rysunki z czymś ci się kojarzą? - zapytał.

Przyjrzała się im naprawdę uważnie.

- Nie - odparła. - To także nie są hieroglify.

- Fakt - zgodził się z nią Kaufman.

- Ale bardzo przypominają... - zaczęła, przekrzywiając lekko głowę.

- Co takiego?

- Drzewo - stwierdziła, odwracając się doń.

Kaufman raz jeszcze spojrzął na linie. Nie potrafił jednak skojarzyć ich z drzewem.

- Tu ma pan korzenie - próbowała mu pomóc, wskazując palcem rozszerzenie po bliższej stronie ołtarza - tu dolną część pnia. - Mówiąc, przesuwiała palec w górę. - A te wiry przedstawiają gałęzie i liście. - Znów odwróciła się do Kaufmana. - To drzewo.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w rysunek. Linie były cieniutkie, miejscami ledwie je widzieli. Nadal nie potrafili ich skojarzyć z wizerunkiem drzewa. Susan rozumiała dlaczego.

- Chodziło mi o to - powiedziała - że nie przypominają innych znaków. Tamte były prostokątne, składały się z linii prostych, a tutaj ma pan niemal same krzywe.

- Dlaczego widzisz w tym wzorze drzewo, a my nie potrafimy go dostrzec? - zapytał Kaufman, obracając się do niej. - Spodziewałaś się ujrzeć tutaj podobny znak?

- Nie - zaprzeczyła. - Nie spodziewałam się niczego takiego, ale podobne motywy nie są rzadkością w sztuce Majów. Nazywano je Drzewem Świata. Łączyło w sobie trzy sfery życia: korzenie symbolizowały zaświaty, na pniu znajdował się nasz świat, a w koronie mieściła się domena bogów.

I to właśnie widzę tutaj. - Teraz była już całkowicie pewna. - To dzieło sztuki, nie napis.

Kaufman przyjrzał się raz jeszcze, a potem klepnął Langa w ramię, dając mu sygnał do włączenia reflektora. Trzeba było kilku sekund, by wzrok dostosował się do jasnego światła.

- Czy wiesz, na czym polega skanowanie elektrograficzne ziemi?

Skinęła głowę.

- Chodzi o pomiar oporu elektrycznego określającego skład mineralny głębszych warstw gleby. Czasami korzystamy z tej metody, zanim rozpoczniemy wykopaliska.

- To metoda podobna do ultradźwiękowej - dodał. - Dzisiaj rano przeprowadziliśmy kilka takich testów na przemian z sondowaniem ultrasonograficznym. Naszym zdaniem ta świątynia została zbudowana nad gigantyczną jaskinią. Czy to cię dziwi?

Domyślała się, podobnie jak profesor McCarter, że gdzieś tutaj muszą istnieć jakieś podziemne struktury.

- Niezupełnie. Te opary siarki muszą się skądś wydobywać. Albo mamy do czynienia z korytarzami wulkanicznymi, albo z jaskinią zawierającą pokłady tego minerału. Szukaliśmy jej, ale na razie bez rezultatu.

Kaufman uśmiechnął się.

- Może dlatego, że świątynia stoi dokładnie nad nią. Dowiodły tego testy z wodą. To jest wejście do jaskini. — Szef Futureksu wskazał na studnię. Cała trójka zajrzała w mroczną gardziel kolistej otchłani. - Poe byłby z niej dumny.

Susan spojrzała raz jeszcze w czeluść.

- Zabierz ją do pozostałych - rozkazał Kaufman, przywołując jednego ze swoich ludzi. - Zadbaj też o to, by dostali wodę i jedzenie. - Przeniósł wzrok na Susan. - Widzisz, ja dotrzymuję danego słowa.

- Domyślałam się, że będzie pan zły, jeśli opowiem im o tym, co tu widziałam?

- Ależ skąd - zapewnił ją szef Futureksu. - Wolno wam rozmawiać na ten temat. Może profesor McCarter doda coś do twojej hipotezy. Prawdę powiedziawszy, chętnie poznałbym jego zdanie.

Susan skinęła głową. Była skonfundowana, ale znacznie spokojniejsza niż jeszcze przed chwilą.

Gdy najemnik wyprowadzał ją z komnaty, obejrzała się przez ramię. Zauważyła, że Kaufman sięga po coś do kieszeni, ale zanim zdążył to wyjąć, idący obok niej mężczyzna popchnął ją i znalazła się za portalem.

Stojący przed ołtarzem Kaufman spojrział na Langa.

- To tutaj Dixon znalazł kamienie i piąty kryształ - powiedział.

Naukowiec miał niezbyt szczęśliwą minę.

- Ten facet jest pomyłony. Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Jeśli te kryształy są tym, za co je uważasz, muszą pochodzić z jakiejś maszyny, a nie z czegoś takiego - burknął, wskazując ręką na ołtarz.

- Tubylcy je znaleźli - oświadczył pewnym tonem Kaufman - i jako ludzie prymitywni uczynili z nich obiekt kultu. Wielbili moc, która w nich drzemie.

- To teoria NIB-u - zauważył Lang.

- Dzięki której wspólnie dotarliśmy aż tutaj - przypomniał mu szef Futureksu. - Nie sądzisz, że jest już za późno na jej podważanie?

Naukowiec podszedł do ołtarza i raz jeszcze włączył lampę ultrafioletową, oświetlając wyryty w kamieniu symbol, który Susan kojarzył się z drzewem. W dolnej części rysunku znajdowały się cztery niewielkie wgłębienia. Kolejne znalazł w połowie pnia, a po chwili dostrzegł jeszcze cztery w górnej części.

- Wolałbym zobaczyć twarde dowody.

Kaufman skinął głową i otworzył pudełeczko, które trzymał w dłoni. Przechowywał w nim metaliczne kamienie i kryształ znaleziony przez Dixona.

Umieścił je w zagłębieniach. Sześciennie bryłki na dole, a kryształ w jednym z górnych dołków. O ile te pierwsze pasowały idealnie, miał problem z tym ostatnim. Dopiero kiedy

przeniósł go na środek pnia, kryształ spoczął w otworze z cichym kliknięciem.

Kaufman wyjął z tej samej kieszeni kolejne pudełeczko - to, które odebrał Danielle po wzięciu jej do niewoli. Znajdowały się w nim równo ułożone kryształy Martina. Dopasowywał je po kolei, aż wszystkie trafiły na swoje miejsca. Nic to jednak nie dało.

- I nie ma cudu - mruknął najemnik.
- Nie czekamy na cud - ofuknął go przygnębiony Kaufman.
- Brakuje nam wciąż jednego kryształu - zauważył trzeźwo Lang.
- Owszem - odparł szef Futureksu, przypominając sobie, że NIB pociął jeden z kryształów.

Mieli pięć otworów, ale tylko cztery artefakty, które do nich pasowały. - Wątpię jednak, aby to miało jakiegokolwiek znaczenie

- dodał, spoglądając na naukowca. - To przecież tylko ołtarz.

Lang pokręcił głową.

- Nie widzę tutaj niczego, co mogłoby generować energię. Dziewczyna miała rację, to tylko dzieło sztuki. Starożytne i prymitywne.

Kaufman rozejrzał się po komorze.

- Owszem - przyznał - to tylko dzieło sztuki. I jak w każdej świątyni, mamy tutaj świecidełka wystawione na widok publiczny i prawdziwe skarby ukryte w jakiejś krypcie.

Naukowiec zgodził się z tą opinią.

- Może ściągniemy skaner ultrasonograficzny i zobaczymy, co pokażą odczyty?

Kaufman nie odpowiedział. Gapił się na ołtarz i pokrywający go wzór.

- Widzisz tu jakieś drzewo? - zapytał po chwili.

Lang ponownie przyjrzał się liniom wyciętym w kamieniu.

- Chyba tak. Jak powiedziała ta dziewczyna, łączy w sobie trzy sfery życia.

- A może to jakiś tunel? - myślał na głos szef Futurexu. - Kryształy umieszczono pomiędzy liniami. To moim zdaniem oznacza pustą przestrzeń. Wydrążony pień to coś w rodzaju tunelu. - Wychylił się, by zajrzeć w mroczną czeluść. - Albo studni.

Lang zerknął na niego, potem na rysunek i w końcu na studnię za ołtarzem.

- Rozumiem - oświadczył. - Tym bardziej proszę mi pozwolić przeskanować to miejsce.

Kilka minut później, gdy naukowiec przygotowywał ultrasonograf, Kaufman zebrał najemników i kazał im odsunąć kamienną płytę blokującą częściowo wejście. Potrzebował więcej miejsca, by znieść na dół sprzęt. Był też pewien, że to, co stamtąd zabiorą, nie będzie małe. Jego ludzie nie zachowali jednak ostrożności przy tej robocie i kamienny blok zaczął z trzaskiem pękać wzdłuż widocznej wcześniej rysy. Po szybkim oszacowaniu szkód podjęto pracę, ale ponowne ruszenie kamienia spowodowało jego rozpad. Spora część płyty poleciała w dół na schody,

o które roztrzaskała się na kawałki.

Kaufman przyjrzał się zniszczeniom.

- Posprzątać mi to - warknął zniesmaczony.

Najemnicy odłożyli broń i ruszyli w dół schodów, by wykonać jego polecenie.

- Dobra robota - zadrwił Lang, obserwując tę krzątanicę. - Dostaną wynagrodzenie za sprzątanie?

Szef Futureksu podszedł do problemu bardziej filozoficznie.

- Może nie najlepiej się stało, ale i tak musielibyśmy rozwalić tę płytę, gdyby nie dała się przesunąć.



## ROZDZIAŁ 28

Maszyna ucichła i znieruchomiała. Przebiła się przez zasłonę drzew niczym pocisk, by zniknąć w żywych trzewiach tropikalnej puszczy. Mimo wysiłków pilota NOTAR-a huey nie eksplodował jednak i nie spłonął. Mniej więcej godzinę po katastrofie ostatnie krople paliwa z jego baku wsączyły się w grunt.

Hawker stracił przytomność podczas kraksy. Odzyskał ją jakiś czas później i najpierw oswobodził siebie, a potem z wraku wyciągnął Polaskiego. Przeniósł bezwładne ciało technika pod znajdujące się kilkadziesiąt jardów dalej zwalone drzewo i tam ocucił go zimną wodą wykręconą z chustki.

Krzywiąc się z bólu, Polaski mamrotał coś pod nosem z na wpół zamkniętymi powiekami.

- Zimno - jęczał. - Jak mi zimno...

Hawker nakrył go swoją kurtką i dodał jeszcze płachtę folii poliestrowej z zestawu ratunkowego, ale jego wysiłki nie powstrzymały dreszczy.

Polaski był w paskudnym stanie. Z rany na głowie wciąż sączyła się krew. Miał też połamane żebra, a z jego ust przy każdym oddechu wydobywały się krwiste pęcherzyki. Znaczyło to, że doznał krwotoku wewnętrznego.

- Pomóż mi - prosił, spoglądając gdzieś za Hawkera. - Pomóż mi... moja córka...

Chirurg z dobrze wyposażonego szpitala potrafiłby zapewne uratować tego człowieka, ale Hawker był bezsilny, mógł co najwyżej przyglądać się, jak umiera.

- Nic ci nie będzie - skłamał. - I ty, i ona wylizecie się z tego. Tylko się nie denerwuj.

- Tak mi zimno.

Polaski znów spojrzał gdzieś w przestrzeń, a potem zamknął oczy. Jego klatka piersiowa przestała się poruszać, z ust zniknęły krwawe bąbelki.

- Wybacz - wyszeptał Hawker.

Przepraszanie w tym momencie nie miało najmniejszego sensu, ale i tak nie potrafił się powstrzymać przed wypowiedzeniem tego słowa.

Potań kark, czując, że ogarnia go senność. Zdał sobie nagle sprawę, że stracił na chwilę przytomność. Może był to objaw wstrząśnienia mózgu? Nie mógł sobie pozwolić na zaśnięcie, nie mając pewności, że zdoła się obudzić.

Zmusił się do wstania i zrobił kilka kółek chwiejnym krokiem. Nogi miał ciężkie, a przy tym miękkie, jakby ktoś wypchał mu nogawki spodni mokrym piaskiem. Potrząsał nimi, naciągał się, przeżył mięśnie. Robił, co mógł, by przywrócić prawidłowe krążenie.

Czuł ból w każdej części ciała. Zebra i kark piekły go niemiłosiernie. Szarpnięcie pasów bezpieczeństwa było bardzo mocne. Dłonie i przedramiona miał poranione od odłamków, które wypełniłyabinę tuż po zderzeniu. Z głębokiego rozcięcia pod prawym okiem wciąż sączyła mu się krew.

Ale przynajmniej przeżył.

Spojrzał na ciało Polaskiego. Były momenty, gdy podejrzewał tego człowieka o bycie wtyczką konkurencji. Pracownikiem działu łączności, który zgłosił się na ochotnika do tej misji. Zawsze uprzejmy i grzeczny, nie ściągał na siebie uwagi innych. Zachowywał się jak rasowy kret. Tymczasem ta ocena okazała się fałszywa. Technik był przeciętnym, spokojnym człowiekiem, który zaprzagnął wziąć udział w przygodzie. Zgłosił się do zespołu, ponieważ nie

miał bladego pojęcia o zagrożeniach, które Danielle, Moore i sam Hawker zatajali od samego początku. Zaslugał na coś więcej niż pozostawienie na żer dzikiej zwierzynie.

Hawker wyjął składaną saperkę z zestawu przetrwania i złożył ją szybko. Wbił szpic głowni w grunt, naciskając podeszwą buta. Odrzucił ziemię i zrobił kolejny zamach. W trakcie pracy czuł, jak przyspiesza mu puls. Odzyskiwał też powoli jasność umysłu. Skołowane myśli jedna po drugiej trafiały na swoje miejsca, jak w mentalnej układance.

Pamiętał już moment ataku i to, co wydarzyło się później. Zagadką pozostawało jednak, kto ich zaatakował i dlaczego.

Mogli to być ci sami ludzie, którzy napadli na Danielle w porcie. Żaden z jego kontaktów nie był w stanie zdobyć informacji na ten temat. A to mogło oznaczać tylko jedno. Ktoś naprawdę potężny robił wszystko, by nie można było dojść prawdy.

Skoro nie mógł wywnioskować, kim byli napastnicy, postanowił skupić się na pytaniu, dlaczego został zestrzelony.

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś pragnął tego samego, czego szukała Danielle i NIB. Nie miał pojęcia, o co dokładnie chodzi, nie licząc pewności, że jest to w jakiś sposób powiązane ze świątynią. Najprawdopodobniej chodziło o znalezione w niej artefakty.

McCarter wspominał przecież, że handel starożytnymi znaleziskami jest bardzo dochodowy, aczkolwiek traktowany przez władze na równi z ich kradzieżą, przemytem i wprowadzaniem na czarny rynek. Ile jednak mogły być warte te kamienie? Kilka, góra kilkadziesiąt tysięcy dolarów? Na pewno zbyt mało, żeby zrobić to, co właśnie miało miejsce. Ktoś mógłby wrazić mu nóż w plecy, w najgorszym razie skończyłoby się spotkaniem z paroma łamignatami w ciemnym zaułku, ale na pewno nie atakiem uzbrojonego w działka śmigłowca. Podczepione do niego zasobniki warte były z milion dolarów.

Zatem o co mogło chodzić? Diamenty? Złoto? Naprawdę o coś aż tak przyziemnego? Wbił łopatkę po raz kolejny. To nie miało najmniejszego sensu. NIB był organizacją o strategicznym znaczeniu. Mógł szukać na tym odludziu czegoś, co miało ogromne znaczenie dla polityki i świata. A jedynym surowcem zdolnym skłonić ludzi do takich zachowań była... ropa naftowa.

Teraz, gdy baryłka tego surowca znów osiągała niebotyczne ceny, wszyscy zdawali sobie sprawę, że wystarczy jeszcze kilka ataków bombowych, by cały Bliski Wschód pogrzyżł się w chaosie. Atak na przyjaźnie nastawione, demokratyczne państwo wydawał się w takiej sytuacji dopuszczalny. Obecność siarki mogła być geologicznym kluczem do złóż ropy. Chociaż wszystkie elementy tej układanki zdawały się idealnie pasować, wciąż miał uczucie, jakby zatykał okrągłym korkiem kwadratowy otwór.

Po pierwsze, Brazylijczycy nie potrzebowali NIB-u, by odkryć ropę na tych terenach, tak samo jak Instytut nie mógł liczyć na potajemną eksploatację złóż, nawet gdyby je odkrył na własną rękę. Jego tajemniczy przeciwnik nie miał lepszej pozycji przetargowej. O co więc ta cała szarpanina?

Nie, tutaj na pewno nie chodziło o wyścig, w którym zwycięzca zdobędzie surowce; operacja przypominała raczej włamanie, szybki, brutalny skok na kasę. Dwaj złodzieje walczyli o torbę klejnotów w cudzym domu. Czymkolwiek to było, nie mogło mieć wielkich rozmiarów, dawało się za to wywieźć i przedstawiało sobą ogromną wartość.

Hawker wyprostował się, ocierając pot z czoła, gdy zrozumiał, że nie pozna odpowiedzi. Nie był w stanie odgadnąć, kto i dlaczego to zrobił, ale kiedy jego wzrok spoczął na zwłokach człowieka, którego miał zaraz pochować, nagle dotarło do niego, jak to zrobił.

Ten lot był niezapowiedziany. Hawker, Polaski i pozostali członkowie zespołu nie mogli wiedzieć o nim wcześniej. Rozkaz przyszedł w ostatniej chwili, gdy dotarła do nich informacja o tragedii, która wydarzyła się w Waszyngtonie. A jednak ktoś wiedział, i to z dużym

wyprzedzeniem, że helikopter opuści obóz o określonej porze. Operacja została zaplanowana z ogromną precyzją i polegała na ściągnięciu ich obu w dobre miejsce o złym czasie.

Nie istniało żadne inne logiczne wytłumaczenie. Ten NOTAR musiał przylecieć z daleka. Aby dokonać przejęcia, jego pilot musiał znać dokładny czas wylotu i kurs hueya. Wystarczyło się pomylić o dziesięć minut i obie maszyny nigdy by się nie spotkały. Ale oczywiście nie było mowy o dziesięćminutowym spóźnieniu. Hawker musiał wystartować natychmiast, jeśli mieli zdążyć na lot do Waszyngtonu. Na tym właśnie zasadzała się pułapka. Wypadek córki Polaskiego był tylko czynnikiem, który ją uruchomił.

Idąc tym tropem rozumowania, Hawker zaczął podejrzewać, że wypadek córki technika mógł zostać upozorowany. Dzięki nagłej treści przekazu podjęto działania bezzwłocznie i nikt się nie zastanawiał nad szczegółami. Niemniej tego rodzaju podstęp niósł masę zagrożeń. Wystarczyło w jakiś sposób sprawdzić prawdziwość przekazanej informacji, by wszystko się wydało.

W czasie ostatnich dziesięciu lat ponieważ Hawker poznał metody działania złych ludzi. Byli nie tylko okrutni, ale i bezwzględni. Robili wszystko, by osiągnąć zakładane cele. Potrafili wyeliminować całą rodzinę, aby umożliwić kolejny ruch swojego pionka.

Hawker zacisnął zęby, odkładając saperkę. Bez względu na to, czy wypadek miał miejsce, czy też nie, Polaski zmarł w przekonaniu, że jego córka umiera. Wyeliminowano jego albo całą rodzinę. A Hawker przyczynił się do tego zarówno pośrednio, jak i bezpośrednio.

A teraz składał ciało Polaskiego w płytkim grobie. Z dręczącym poczuciem winy skrzyżował ręce technika na nieruchomej klatce piersiowej. Gdy zaczął zasypywać dół, poczuł ciężar śmierci tego człowieka. Przypomnił sobie swój zadufany układ z Danielle. Przecież to właśnie on zaproponował układ: milczenie i lojalność za jej pomoc, naiwnie wierząc, że jest w stanie ochronić członków ekipy przed groźącym im niebezpieczeństwem. To milczenie stało się jednym z ogniw łańcucha zdarzeń, przez które zginął Polaski, a być może także jego córka. Pomógł przecież przekonać resztę wyprawy, że nic im nie zagraża.

Resztę wyprawy...

Myśli Hawkera zaczęły błądzić wokół losu pozostałych członków zespołu. Skoro wróg znał trasę przelotu hueya, mogło to oznaczać, że i miejsce startu, czyli pilnie strzeżona lokalizacja świątyni, nie było dla niego tajemnicą. Atak na polanę zaczął się zapewne chwilę po starciu nad dżunglą. A może nawet oba akty przemocy były ściśle zsynchronizowane.

- Pomóż nam, Boże - wyszeptał, nakładając na ciało Polaskiego kolejną łopatę ciemnej amazońskiej ziemi. - Miej nas wszystkich w opiece.

Dokończył zasypywanie grobu w całkowitej ciszy. Popadł w coś w rodzaju stuporu, wykonując automatycznie te same ruchy. Po wszystkim udeptał starannie kopczyk i zmówił krótką modlitwę, kończąc ją wersem,

o którym tak często rozmyślał. Jego zdaniem pasował on idealnie do sytuacji Polaskiego i jego.

- I rzekł Pan: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię”. - Wygładził dłonią ciemną ziemię na grobie technika. - Spoczywaj w pokoju - dodał.

Wstając, postanowił podjąć się trudniejszego zadania. Musiał wrócić do obozu i pomóc reszcie swoich przyjaciół. Ale jak miał to zrobić?

Najrozsądniej byłoby dotrzeć do koryta rzeki i udać się wzdłuż niego na wschód. Prędzej czy później trafi na jakąś łódź, z której będzie mógł nawiązać kontakt radiowy. Może udałoby mu się porozmawiać z kimś w Instytucie. Z Mooreem, Gibbem albo kimś, kto wie o tej operacji i zorganizuje wystarczająco liczną i dobrze wyposażoną ekipę ratunkową, która bez problemu da sobie radę z napastnikami. Kimkolwiek by się okazali. Niestety musiał się liczyć z tym, że do znalezienia łodzi może minąć nawet tydzień, a organizacja odsieczy potrwa drugie tyle.

To za długo.

Do tego czasu przeciwnik zniknie, likwidując albo zabierając ze sobą resztę ekipy NIB-u. O ile jeszcze tego nie zrobił. Pomyślał o McCarterze, Susan i tragarzach najętych za sto dolarów dziennie. Pomyślał o Danielle i przymknął oczy.

Wściekły przez poczucie winy, jakie przepełniało jego serce, chwycił plecak z zestawem ratunkowym, sprawdził, czy nadal ma w nim broń, i przerzucił go przez ramię. Zaczerpnął głęboko tchu, zacisnął zęby i ruszył na zachód, kierując się w stronę polany.

Nie zamierzał pozostawić tych ludzi na łasce zabójców. Nie zrobi tego, skoro jego udział w mistyfikacji stał się przyczyną tylu nieszczęść i ciężących mu wyrzutów sumienia. Wróci na polanę pieszo, a to doprowadzi do wybuchu kolejnej wojny i rozlewu krwi, czego tak bardzo starał się unikać przez ostatnie dziesięć lat.

Wiedział jednak, że nie ma szans na pokojowe rozwiązania. Mrok zawładnął jego duszą po raz kolejny i to on teraz był motorem jego działań. Miał zamiar wrócić na polanę i ocalić swoich przyjaciół, a jeśli okaże się, że już na to za późno, pogrzebie ich zabójców jednego po drugim.

## ROZDZIAŁ 29

Podczas gdy ludzie Kaufmana zamieniali polanę w umocniony obóz, kopiąc wilcze doły, budując bunkry i rozładowując skrzynie amunicji z helikoptera, Norman Lang prowadził testy ultrasonograficzne, potwierdzając istnienie jaskini pod świątynią oraz łączącego je tunelu. Okazało się, że nie jest nim pionowa studnia za ołtarzem, tylko kręty korytarz biegnący w dół budowli zakosami niczym górską drogą. Zaczynał się tuż za cembrowiną.

Blizsze oględziny ujawniły istnienie cieniutkiej szczeliny pomiędzy dwiema płytami w podłodze. Najemnicy Kaufmana zaczęli podnosić jedną z nich za pomocą łomów, wysuwając o cal przy każdym ruchu, dopóki nie utknęła na dobre.

Lang zabezpieczył otwór grubą deską, a potem zajął się nadzorowaniem budowy prowizorycznego pomostu nad paszczą studni. Przeczłogał się po nim i zajrzał w głąb tunelu, przyświecając sobie latarką.

Korytarz był bardzo ciasny. Miał około pięciu stóp wysokości, ale pomiędzy jego ścianami z trudem zmieściłby się dorosły mężczyzna. Był też tak stromy, że przypominał raczej zjeżdżalnię niż przejście. Lang dostrzegł w oddali coś, co przypominało bloki i przeciwwagę, ale po linach, które je spinały, nie pozostał już nawet ślad.

Kilka minut później wrócił do tunelu, tym razem prowadząc ze sobą Susan Briggs i czterech najemników. Poruszali się ostrożnie, jako że każdy następny ciąg prowadzącego w dół przejścia wydawał się bardziej stromy od poprzedniego. Langa ogarnęło uczucie klaustrofobii.

Właściwie czuł się dziwnie od momentu, gdy Kaufman wplątał go w tę awanturę.

Od paru lat był człowiekiem na posyłki szefa Futureksu, zajmował się najryzykowniejszymi projektami. W tym czasie zdążył zrozumieć, że jego przełożony potrafi uciekać się do najbardziej wątpliwych metod, byle tylko zdobyć informacje, dotąd jednak nie przypuszczał, że jest zdolny do okrucieństw, takich jak zabijanie ludzi i branie zakładników. Miał świadomość, że w pewnym sensie jest to przypadek przyganiań przez kocioł garnkowi - głównie z powodu jego rozbudowanego ego, braku zasad etycznych i chorobliwej chciwości - ale nawet on czuł, że Kaufman tym razem posunął się za daleko.

Niestety, nie miał wyboru. Gdyby spróbował się teraz wycofać, zapewne marnie by skończył. Nie, pomyślał, wkurzanie Kaufmana to zły pomysł, zwłaszcza tutaj, w samym środku dżungli, gdzie wokół roi się od zbirów i zabójców. Lang uważał się za realistę, przynajmniej w kwestiach życia i śmierci, a to oznaczało, że miał zamiar wykonywać wydane mu rozkazy w nadziei, że przełożony będzie go potrzebował do rozwiązania problemu, z jakim się tutaj zetknęli. Postanowił, że gdy tylko wróci do Stanów, zmieni warunki współpracy, ale na razie musiał się godzić nawet na zabijanie ludzi, o ile oczywiście ktoś nie próbował pozbyć się jego.

- Daleko jeszcze? - wysapał, obracając się do Susan.

- Skąd mam wiedzieć? - Spojrzała na niego tępo przez wizjer maski przeciwgazowej.

Nie mogła wiedzieć, to rozumiała. Zadał naprawdę idiotyczne pytanie. Po jaką cholerę w ogóle się do niej odzywał? Ruszył dalej, zjeżdżając w półprzysiadzie, i mimo palących mięśni nie zatrzymał się do momentu, aż wydostał się na otwartą przestrzeń. Wysoko nad jego głową sklepienie jaskini niknęło w mroku, ścian także nie mógł dostrzec. Trafił do wielkiej pieczary, gdzie każdy dźwięk odbijał się wielokrotnym echem. Przypominała mu pogrążony w ciemnościach, pusty stadion. Pozostali uczestnicy tej eskapady pojawiali się za nim, komentując wygląd jaskini słowami, które wracały do nich, odbijając się od odległych ścian, nawet nie muśniętych przez snopy światła najsilniejszych latarek.

Znajdowali się poniżej fundamentów świątyni. Przed nimi rozciągała się idealnie spokojna powierzchnia krystalicznie czystej wody. Jezioro to miało co najmniej pięćset jardów średnicy. Po drugiej jego stronie widać było inny skrawek suchego łądu.

Lang odpiął od pasa nadajnik skrajnie niskich częstotliwości, który nieźle radził sobie z takimi przeszkodami jak grube warstwy skał. Marynarka wojenna używała podobnych urządzeń do komunikowania się z okrętami podwodnymi patrolującymi oceany na głębokości tysiąca stóp. Lang i Kaufman mieli nadzieję, że ten pomarańczowy nadajnik z długą anteną wystarczy do nawiązania kontaktu z powierzchnią.

- Jesteśmy w przedsionku właściwej jaskini - zameldował Norman, trzymając kciukiem przycisk nadawania. - Spora jej część znajduje się pod wodą.

Moment później usłyszał urywaną odpowiedź szefa.

- Zrozumiałem... wielka... wypełniona... - coś zaskrzeczało - ...  
dą.

- Potwierdzam.

Tym razem nie było odpowiedzi. Nie mógł być więc pewien, że Kaufman go usłyszał. To jednak nie miało żadnego znaczenia, ich zadanie polegało na przeprowadzeniu rekonesansu i powrocie na powierzchnię.

Na początek Lang sfilmował wszystko wokół, przełączając się na ultrafiolet, a potem testując cały szereg urządzeń, które zabrał ze sobą. Nie znalazłszy w pobliżu niczego interesującego, skupił uwagę na przeciwległym brzegu. Za wodą dostrzegł niewielkie wzniesienie. Promienie ich latarek z trudem docierały w tamto miejsce, ale z tego, co widzieli w ich rozproszonym świetle, teren wydawał się gładki i równy, zupełnie nie przypominając podłoża w innych częściach jaskini.

- Musimy znaleźć drogę wokół tej wody - oznajmił - albo ściągnąć tu ponton.

Po krótkich poszukiwaniach odkryli ścieżkę prowadzącą wzdłuż brzegu po prawej stronie od wejścia. Ruszyli nią, stąpając tuż przy skraju wody, potem skręcili pomiędzy las stalagmitów, mijając po drodze formację przypominającą skamieniałe grzyby. Dalej ścieżka zawracała w stronę podziemnego jeziora i zwężała się na długim odcinku, biegnąc pomiędzy ścianą jaskini a wodą. W końcu odbiła w lewo, kierując się na konstrukcję, która wyglądała jak tama wzniesiona przez człowieka. Na lewo od niej zauważyli kilka niewielkich zbiorników wody, wyglądem

przypominających strukturę plastra miodu. Nieco za nimi rozciągała się tafla jeziora.

Lang sfilmował wszystko kamerą.

- Jest ich siedem - powiedział.

Okrągłe zbiorniki miały około dziesięciu stóp średnicy. Dzieliły je ściany tej samej wysokości, co stojąca opodal tama. Poziom wody w każdym był identyczny, ale o kilka cali wyższy niż w jeziorze. Lang nie miał pojęcia, co to może oznaczać poza tym, że baseny mają połączenie ze sobą, ale nie z naturalnym zbiornikiem znajdującym się tuż obok.

Sfilmował i ten widok, choć w nieprzejrzystej wodzie niewiele można było zobaczyć.

- To jakiś rodzaj konstrukcji - komentował na potrzeby nagrania.

- Zrobiono je z tego samego kamienia co tamę. Z polerowanego kamienia. Wygląda na ceramikę albo skałę pochodzenia wulkanicznego. Nie wiem, do czego miałyby służyć.

Jeden z najemników wyszczerzył do niego zęby, a potem spojrzął na pozostałych.

- To jacuzzi - powiedział.

Gdy pozostali wybuchnęli śmiechem, Lang dostrzegł bardziej obiecujące miejsce. Było to spore wgłębienie o płaskim podłożu, nad którego wygładzeniem ktoś musiał się nieźle namęczyć.

- Musimy się tam dostać - oznajmił.

Przeszedł na drugą stronę tamy z Susan. Najemnicy zostali z tyłu. Jeden z nich zatrzymał się nagle i skierował latarkę w głąb najbliższego basenu.

- Zaczekajcie! - zawołał. - Tam coś jest.

- Co widzisz? - zapytał Lang, mając przeczucie, że to nic istotnego.

- Odbicie - odparł najemnik. - To coś błyszczącego.

Kolejny najemnik stanął obok niego.

- *Münzen* - wyszeptał po niemiecku. - Złote monety...

Lang spojrzął na Susan, jakby spodziewał się jakiegoś wyjaśnienia.

- Majowie często wrzucali różne przedmioty do studni - powiedziała. - Jako ofiary dla duchów. Znajdowaliśmy w nich całe masy artefaktów, kiedy prowadziliśmy wykopaliska w Meksyku. Ale tam mieliśmy do czynienia z naturalnymi, głębokimi otworami, nie takimi jeziorkami.

- Co oni tam wrzucali? - zainteresował się jeden z najemników.

Lang już otwierał usta, ale Susan zdążyła go uprzedzić.

- Głównie biżuterię i ceramikę, ale czasami również ludzi.

- A złoto?

- Majowie nie mieli wiele złota.

Najemnicy zarechotali, słysząc jej odpowiedź.

- To musi być złoto - powiedział pierwszy z nich. - Po co innego by tutaj przyjeżdżali?

Wszyscy zebrali się wokół zbiorników, jakby chcieli podzielić się łupem. Lang wzruszył ramionami. Jak mógłby winić tych ludzi za chęć wzbogacenia się, skoro on i Kaufman robili to, co robili, dla znacznie większych pieniędzy? Uznał, że rzut oka nie zaszkodzi, i podszedł do jednego z ostatnich zbiorników, znajdującego się najdalej od tamy.

Najemnicy rozmawiali podniesionymi, podekscytowanymi głosami. Ten, który zauważył refleksy pierwszy, nie marnował czasu. Zdażył już zdjąć buty i koszulę.

- Wskakuję - poinformował pozostałych.

Rozpiął pas, po czym ściągnął zdecydowanym ruchem spodnie i majtki, nie okazując żadnych oznak wstydu. Spłoniona Susan odwróciła wzrok, Lang tymczasem zastanawiał się, czy nie powinien tej sceny sfilmować.

- Ech, ci Europejczycy - skomentował ze śmiechem wyczyn najemnika.

Nagi Niemiec stanął na krawędzi zbiornika i uniósł ręce, jakby zamierzał zanurkować. W

ostatniej chwili rozmyślił się jednak, co jego koledzy skwitowali buczeniem.

- Wygląda na zimną - tłumaczył się.

Lang zajrzał do studni, przed którą stał. Poświecił sobie, ale niewiele zobaczył, a już na pewno nic metalicznego. Podniósł kamerę i oparł ją na ramieniu. Miała silniejszą lampę niż latarka.

Niemiec był już gotowy do skoku, ale tradycyjnie, na nogi.

Lang zignorował go, kierując obiektyw do wnętrza zbiornika i włączając oświetlenie. Przez moment promienie światła odbijały się od powierzchni, oślepiając go, ale zmniejszył zbliżenie, co poprawiło widoczność.

Stojący przy tamie najemnicy zachęcali okrzykami swojego towarzysza.

Norman ustawił ostrość, ale zobaczył jedynie miniaturowe bąbelki sączące się wolno jak w szklance ze stojącą zbyt długo gazowaną wodą. Gdy usłyszał plusk, odwrócił głowę.

Najemnik zdecydował się w końcu na skok. Zatykając nos, zrobił krok do przodu w asyście ryków wydawanych przez resztę grupy. Wynurzył się sekundę później, ale z jego ust zamiast wydechu wydobył się przeraźliwy krzyk.

Jego koledzy śmiali się jeszcze, pamiętając jego uwagi na temat temperatury wody, lecz zamilkli szybko, widząc, że szamocze się i nie przestaje wrzeszczeć, szukając rozpaczliwie, z zamkniętymi oczami, krawędzi studni. Zamarli na moment, zdziwieni jego zachowaniem. W końcu, gdy zdali sobie sprawę z tego, że nie żartuje, rzucili mu się na pomoc.

W tym czasie zdołał się już chwycić obramowania. Próbował się wydostać, ale wypolerowana na lustro ściana nie dawała punktu oparcia. Gdy pozostali chwycili go za ręce i pociągnęli do góry, wyszarpnął się im z wrzaskiem.

- Co mu jest? - spytała Susan.

Najemnicy zignorowali ją. Jeden z nich położył się na skraju studni, wyciągnął rękę i chwycił pływającego za włosy, aby przyciągnąć do krawędzi. Tym sposobem, z pomocą pozostałych, udało się go wydobyć na brzeg i złożyć obok tamy, gdzie leżał, rzucając się konwulsyjnie.

Jego przyjaciele cofnęli się z przerażeniem na twarzach. Skóra nagiego Niemca rozpuszczała się, spływając płatami z ciała. Na nogach, rękach i w pachwinach pojawiła się biała piana, a całe ciało zaczęły pokrywać błyskawicznie puchnące bąble.

Zaczęli się drzeć jeden przez drugiego, wycierając mokre dłonie o spodnie i bluzy. Chwyтали, co im w ręce wpadło, czując, jak pali ich skóra. Jeden chwycił manierkę i wylał jej zawartość na ręce.

- *Wasser!* - wrzasnął.

Pozostali poszli za jego radą, próbując zmyć żrący środek, którym zostali ochlapani.

Myjąc w panice ręce, najemnicy odsunęli się od swojego towarzysza. Susan mogła mu się po raz pierwszy przyjrzeć. Natychmiast padła na kolana, chwytając się za brzuch. Czuła, że zaraz zwymiotuje. Sięgnęła do maski, zdecydowana zedrzeć ją z twarzy, ale nagle przypomniała sobie słowa McCartera o zbiorniku z kwasem. Nie widziała go. Nie skojarzyła tych dwóch faktów.

Sześćdziesiąt stóp od niej stał Lang. Nie potrafił się ruszyć. Spoglądał szeroko otwartymi oczami na najemnika, który wił się z bólu na dnie jaskini, trzęsąc się od czasu do czasu, jakby go ktoś raził prądem. Dławił się własnym językiem, napęczniałym i poparzonym, jak całe usta, żrącym płynem.

Jego towarzysze bronili wrócili, aby natychmiast uciec po raz kolejny. Jeden chwycił karabin, mierząc w głowę konającego, aby skrócić jego męki, ale drugi powstrzymał go przed tym aktem łaski, kładąc mu dłoń na ramieniu. Konwulsje słabły.

Lang przyglądał się tej scenie niemal do końca, nim znalazł w sobie tyle sił, by zamknąć

oczy i odwrócić głowę. Zaczerpnął głęboko tchu i ponownie otworzył oczy, skupiając wzrok na spokojnej powierzchni mętnej cieczy w studni obok niego. Tym razem dostrzegł w niej nie tylko bąbelki. Coś tam było, ale na pewno nie ze złota. Widział jeden, nie, dwa niewielkie zielone kręgi. Oczy jakiejś istoty.



## ROZDZIAŁ 30

Ciemny kształt wyprysnął ze studni, przewracając Langa na plecy. Kamera wypadła z dłoni naukowca, lecąc w przeciwną stronę. Zanim roztrzaskała się o kamienie, jej reflektor zapłonął na moment, zalewając całą jaskinię niebieskawym blaskiem.

Najemnicy obrócili się w kierunku błysku i w świetle dogasającej lampy dostrzegli istotę masakrującą Normana. Stwór przyszpilił go do podłoża, wbijając szczęki w jego tors, i rozszarpywał systematycznie, kręcąc głową na wszystkie strony. Gdy Lang zdzielił go w łeb, cofnął się na moment, a potem zaatakował po raz drugi, rozrywając ciało wrzeszczącego wniebogłosy naukowca na dwie części. Górna jego połowa poszybowała w kierunku oniemiałych najemników.

Głuche uderzenie ciała o kamienie wyrwało ich z transu. Widząc szarżującą na nich czarną postać, sięgali w panice po broń, którą przed chwilą odłożyli.

Mimo nawaly ognia istota zdążyła dopaść jednego ze strzelających, pochwyciła go w locie szczękami i razem z nim zniknęła pod powierzchnią wody jeziora. Pozostali obserwowali w ciszy, jak światło latarki przypiętej do jego pasa znika powoli w głębinie, błędąc z każdą chwilą, a potem niknie zupełnie. Spadł kolejny deszcz pocisków, ale nie przyniosło to żadnych efektów. Człowiek i bestia zniknęli bezpowrotnie.

Najemnik, który strzelał, cofnął się od brzegu, obserwując krwistą pianę wydobywającą się z głębin.

- Zabiliśmy go?

Inny, stojący wciąż blisko jeziora, pokręcił głową. Stwór przeżył, ich towarzysz nie miał tego szczęścia. Najemnik spojrział na siedem zbiorników, potem na szczątki martwego Langa. Miał już dość przygód.

Ruszył biegiem ścieżką, aby jak najszybciej wydostać się z tego miejsca. Ślizgał się i chwiało co kilka kroków. Spoglądał to na wyjście widoczne po przeciwnej stronie jeziora, to na jego nieprzeniknioną toń.

Ostatni z najemników zaczął go wołać, ale nie reagował, nadal pędził w kierunku korytarza, przeskakując stojące na drodze przeszkody z gracją plotkarza. Kiedy już się wydawało, że da radę uciec, na powierzchni wody pojawiło się wybrzuszenie. Fala zbliżała się szybko do brzegu, a moment później wychynęła bestia. Zderzyła się z uciekinierem, posyłając go na ścianę jaskini, następnie zaś chwyciła szczękami za nogę, jak krokodyl polujący na bawołu. Przerażliwy wrzask odbił się wielokrotnym echem od sklepienia jaskini, po nim słyszeli już tylko warkot stworzenia ciągnącego ciało do wody, w której zniknęło z kolejną ofiarą.

Susan została sam na sam z ostatnim najemnikiem. Znajdowała się tam, gdzie zastał ją pierwszy atak, na wyrównanej części podłoża obok tamy. Wciąż klęczała, z trudem łapiąc powietrze. Gdy mężczyzna odpinał pomarańczowy nadajnik od paska zwisającego z nóg rozerwanego na pół Langa, poczuła, że za moment dopadnie ją kolejny atak astmy.

- Mamy tutaj sytuację alarmową! - wydarł się najemnik. Czekał chwilę na odpowiedź, a gdy nie nadeszła, spróbował ponownie, naciskając klawisz z całych sił, jakby to mogło wzmocnić sygnał. - Lang nie żyje, zostałem tylko ja i dziewczyna. Zaatakowano nas. Potrzebujemy pomocy.

Znowu cisza. To nie mogło się udać. Znajdowali się zbyt głęboko pod ziemią. Sygnał był za słaby, żeby się przebić.

Najemnik odłożył nadajnik i wyłączył latarkę. Cofnął się w głąb jaskini. Zaczął się powoli oddalać od tamy i brzegu jeziora, idąc w kierunku wygładzonego kawałka podłoża, na którym tkwiła skulona Susan.

Stamtąd ponownie zlustrował jaskinię, rozświetlaną makabrycznie przez nieruchome promienie latarek zabitych ludzi. Dostrzegł w ich blasku przysadzistą sylwetkę wynurzającą się z wody tuż przy brzegu jeziora.

Dziewczyna klęczała, wciąż kaszłąc głośno. Nie miała pojęcia o grożącym jej niebezpieczeństwie. *Stwór rzuci się na nią, wchodząc mi prosto pod łufę.* To pomyślawszy, najemnik odłożył nadajnik na kamień pod stopami i zacisnął obie dłonie na broni.

Kościsty, kanciasty stwór zmierzał w półmroku prosto na Susan. Szedł powoli, z brzuchem przyciśniętym do podłoża, stawiając niezdarnie długie łapy. Twarde pazury stuknęły cicho o skałę przy każdym kroku. Zdawać się mogło, że celowo porusza się z tak wielką ostrożnością. W jednym miejscu zatrzymał się na moment, podnosząc do góry łapę, jakby grunt był tam zbyt gorący, aby się na nim oprzeć. Opuścił łeb, obwąchał kamień, a potem ominął go z niewiadomego powodu.

Moment później bestia zatrzymała się po raz drugi. Dziewczyna zdołała w końcu powstrzymać dławiący kaszel. Nagła cisza zaskoczyła potwora. Uniósł głowę, kręcąc nią wokół, jakby była wieżyczką czołgu.

Najemnik zacisnął zęby, gdy bestia ponownie przywarła do skały. Susan klęczała plecami do niej, nie mogła widzieć zbliżającego się zagrożenia. Uniósł powoli broń. Z tak niewielkiego dystansu nie mógł chybić.

- ...ście ...tam? ...wtórz... co... stało.

Spojrzał pod stopy. Nadajnik wydawał z siebie elektroniczne trzaski i piski. Gdy podnosił wzrok, bestia właśnie rzucała się na niego.

Zobaczył rozmazane kontury obnażonych kłów i pazurów. Poczul, że gorąca krew tryska mu na twarz. Uderzenie popchnęło go w tył, zawadził stopą o nadajnik, posyłając go daleko po gładkim podłożu. Karabin wypadł mu z rąk, chwycił więc za rękojeść noża i dźgnął nim w górę, w kierunku łba bestii. Ostrze wyleciało mu jednak z dłoni, wibrując, jakby trafiło w litą skałę. Kopnął potwora, próbując się wyzwolić z jego chwytu, ale długie pazury tkwiły już zbyt głęboko w trzewiach. Jednym ruchem został przyciągnięty pod brzuch atakującego go stworzenia, które natychmiast wbiło mu kły w kark. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Susan patrzyła na to przerażające widowisko, usiłując oddalić się od stojącej nad zwłokami bestii. Co ciekawe, potwór nie znęcał się nad martwym człowiekiem. Po prostu stał nad nim, wpatrując się zielonymi ślepiami, otwierając i zamykając szczęki. Jego koścista sylwetka połyskiwała w przydymionym świetle odległych latarek. Bestia obwąchiwała ciało. Rząd krótkich włosów jeżył się i opadał na jej karku. Wyglądały jak kępa trzciny kołyszącej się na wietrze. Stwór wydał z siebie gulgoczący dźwięk, unosząc w górę segmentowy ogon przypominający nieco odwłok skorpiona. Moment później odrzucił łeb do tyłu, wydając z siebie przeraźliwy, nieludzki skowyt.

Pomoc przybyła dopiero po półgodzinie. Dowódca najemników zszedł na dół w asyście sześciu ludzi, czyli połowy oddziału, którym jeszcze dysponował. Byli gotowi do walki, ale nie natrafili na nic, co zmusiłoby ich do otwarcia ognia. Jedyny człowiek, jakiego znaleźli, nie potrzebował już niczyjej pomocy.

Najbliżej stojący najemnik pochylił się nad ciałem. Wyczuł intensywny smród siarki. Kwas wciąż przeżerał zwłoki. Ślady krwi prowadziły do pobliskiego zbiornika z wodą. Podniósł koszulę leżącą obok martwego kolegi i wrzucił ją do cieczy. Powierzchnia zbiornika zapieniła się wokół materiału, wyzerając w nim szybko spore dziury.

- To nie woda - mruknął. - To kwas.
- Może ta dziwka go tam wepchnęła - zasugerował inny.
- A co zrobiła w takim razie z pozostałymi? - zapytał ktoś z tyłu.

Dowódca rozejrzał się wokół, kierując światło latarki we wszystkie strony. Na kamiennym podłożu dostrzegł kamerę Langa i kolejne dwie kałuże krwi. Nie wyczuł przy nich charakterystycznego odoru siarki, znalazł za to dziwne tropy dwupalczastych stóp zaczynające się tuż przy kałużach.

Gdy najemnicy zaczęli je badać, z odległego krańca jaskini dobiegło przeszywające, wzmożone echem wycie. Wszyscy zamarli jak jeden mąż. W tym dźwięku było coś naprawdę przerażającego.

Unieśli broń, mierząc we wszystkich kierunkach. Ich dowódca podjął szybką decyzję.

- Wracamy.

- A co z resztą? - zapytał któryś z jego podwładnych, przypominając, że wciąż nie znaleźli dwóch kompanów. - I z dziewczyną?

Dowódca wskazał na plamy krwi.

- Nie znajdziemy ich - odparł. - Na twoim miejscu nie liczyłbym na to, że wciąż żyją. - Odwrócił się i ruszył w kierunku tunelu.

Kaufman czekał na szczycie świątyni na powrót ekipy ratunkowej. Widać było, że z każdą minutą robi się coraz bardziej nerwowy. Devers podszedł do niego po cichu.

- Musimy porozmawiać - zagaił.

- To nie najlepszy moment na pogaduszki - ostrzegł go szef Futureksu.

- A który będzie lepszy? - zapytał lingwista. - Obiecał pan, że odeślecie mnie stąd, jak tylko zdobędziecie obóz. Pierwszym lotem, tak pan powiedział. I co? Helikoptera już nie ma, aleja nadal tu tkwię.

- Musieliśmy zmienić nieco nasze plany - przyznał Kaufman. - Tubylcy mogą wrócić, dlatego będziesz mi jeszcze potrzebny.

- A może ja wcale nie chcę być tutaj, gdy oni wrócą - odgryzł się Devers odrobinę zbyt głośno, niż powinien. Przemysłowiec drgnął, ale nawet jego ostre spojrzenie nie wystarczyło do uciszenia narzekań. - To nie tak miało być. Obiecywaliście, że nikomu włos nie spadnie z głowy.

Kaufman zwalczył rodzącą się w nim pokusę, aby dać lekcję temu krzykaczowi pięściami któregoś z najemników. Uznał, że lepiej będzie, jeśli naprostuje go osobiście, zamiast dostarczać mu kolejnych powodów do narzekań.

- Żyje pan złudzeniami, panie Devers - powiedział, nie spuszczać z niego wzroku. - Nie ma pan tutaj żadnych praw. Jest pan moją własnością. I nie chodzi mi bynajmniej o to, że panu płacę. Znacznie ważniejsze jest to, że stał się pan współwinny wielokrotnego zabójstwa. Naprawdę pan sądził, że nie dojdzie do walki, kiedy spotkają się dwie grupy uzbrojonych po zęby ludzi dążących do osiągnięcia tego samego celu?

Devers zamilkł. Po raz pierwszy zabrakło mu języka w gębie, a znali się już długo, od momentu, gdy lingwista i drugi pracownik Instytutu

- ten, który zginął podczas pierwszej ekspedycji - zgłosili się do szefa Futureksu z propozycją przekazywania interesujących informacji o najtajniejszych projektach NIB-u, dzięki czemu naprowadzili Kaufmana na ślad poszukiwań w Brazylii. Jednakże aż do włamania do baz danych Instytutu nie wydawały się one dość znaczące, by miliarder zjawił się tutaj osobiście.

- Ja nie powinienem brać w tym udziału - zastrzegł się Devers. - Miałem jedynie przekazywać informacje.

Kaufman wiedział, do czego tamten zmierza. Oni wszyscy byli tacy sami. Mierni zdrajcy nigdy nie atakowali otwarcie.

- Jesteśmy ze sobą na dobre i na złe - odparł sentencjonalnie. Lingwista gapił się na niego z otwartymi ustami. - A teraz zejdź mi z oczu, człowieku, i nie pokazuj się, dopóki cię nie wezwę.

Devers odszedł ze zwieszoną głową tuż przed tym, jak z otworu w sklepieniu świątyni

zaczęli wychodzić wysłani na rekonesans najemnicy.

- Gdzie Lang? - zapytał Kaufman, jak tylko zbliżyli się do niego.
- Gdzie pozostali?

- Zostali zabici - oznajmił dowódca grupy. - Coś ich zaatakowało. Bestia, o której pan mówił, istnieje naprawdę. Jest w tej jaskini. Słyszałem jej wycie.

Kaufman poinformował swoich ludzi o opowieściach Dixona z czystej przezorności, ale szczerze mówiąc, bardziej przejmował się zagrożeniem ze strony tubylców niż mitycznymi potworami.

- To pewne?
- Widziałem tropy we krwi - rzekł lakonicznie najemnik. - Łapy miały tylko dwa pazury.

Tak opisał je Dixon.

- Dixon mówił, że natknął się na nią w dżungli - zauważył przemysłowiec. - Nie wewnątrz świątyni.

- Widocznie jest ich tu więcej - podsumował dowódca najemników, chwytając mocniej broń. - Powinniśmy się przygotować na spotkanie z nimi.

Kaufman wciąż nie potrafił w to uwierzyć. Nawet nie w to, że zabito Langa, ale w sam fakt, że zostali zaatakowani. I że stało się to we wnętrzu świątyni, w miejscu, które jego zdaniem było całkowicie bezpieczne. Dixonowi nic się tam nie stało ani nikomu z drugiej ekspedycji NIB-u.

- Musimy zamknąć ten tunel - zaproponował Vogel.

Kaufman nie słuchał go jednak, właśnie odkrył, gdzie tkwił błąd w jego rozumowaniu.

Atak nie nastąpił wewnątrz świątyni, tylko w jaskini znajdującej się pod jej fundamentami. A to przecież zupełnie inne miejsce.

Spojrzał na najemników i przemówił do ich szefa.

- Prawdziwe zagrożenie kryje się tam - mówiąc to, miał na myśli dżunglę. - Dixon twierdził, że było ich kilka. Słyszał, jak się nawoływały, kiedy ścigały ich razem z tubylcami. Przybywały zawsze po zmroku.

- Przesunął wzrokiem po ścianie drzew. - Zamknijcie wejście do tunelu. I przygotujcie się do walki.

## ROZDZIAŁ 31

Mrok powrócił nad dorzecze Amazonki. W wierzeniach Majów oznaczało to, że świat bogów odwrócił się. Jasne niebo dnia i jego potężni władcy zapadli się pod ziemię, a na ich miejscu pojawiły się duchy zaświatów. Xibalbanie i Dziewięciu Władców Nocy.

Członkom ekspedycji Instytutu zmierzch nie przyniósł większych zmian. Pozostawiono ich przykutych do pnia na skraju polany. Strażnicy od czasu do czasu obserwowali ich z dystansu, ale przez większość czasu nikt się nimi nie interesował.

Zdążyli już opracować i odrzucić sześć różnych, ale równie beznadziejnych planów ucieczki. Verhoven i Danielle próbowali uwolnić się z kajdanek do momentu, gdy otarte nadgarstki zaczęły im krwawić. Za każdym razem, gdy zbliżał się do nich któryś z najemników, odczuwali na przemian nadzieję i strach. Nadzieję na to, że zostaną uwolnieni, i strach przed zastrzeleniem. Nic się jednak nie wydarzyło, więc po nadejściu zmroku zapadali kolejno w płytki, niespokojny sen.

Profesor McCarter obudził się po godzinnej drzemce. Nie czuł zupełnie jednej nogi, tak mu

zdrętwiała w niewygodnej pozycji. Jęcząc z bólu, podciągnął się nieco wyżej, próbując rozprostować członki i spodziewając się charakterystycznego mrowienia, gdy krążenie zacznie wracać do normy.

Powietrze było chłodne i nieruchome, na polanie panowała kompletna cisza. Niebo nad ich głowami było rozgwieżdżone jak nigdy dotąd. Przedłużający się brak opadów oznaczał gorętsze dni i chłodniejsze wieczory.

Czyste niebo było najlepszym tego zwiastunem. Profesor rozejrzał się wokół, obóz tonął w ciemnościach, wszyscy więźniowie spali, poza Danielle i Verhovenem, którzy rozmawiali ze sobą szeptem.

Obserwując ich, poczuł kolejny przyływ złości. Ci ludzie sprowadzili tutaj jego i Susan, mając fałszywymi informacjami i nie bacząc na to, że narażają ich na śmierć.

Teraz wszystko wydawało się takie oczywiste: systemy bezpieczeństwa, szkolone psy, kodowane transmisje satelitarne. Znajdowali się w niebezpieczeństwie, i to od samego początku. Domyślał się tego, lecz w swojej naiwności przypisywał wszystkie te posunięcia lękowi przed Cholokwanami.

- Coś się dzieje? - zapytał, nie spuszczać wzroku z Danielle.

- Nie.

- Jak dotąd nie - poprawił ją Verhoven.

W słowach najemnika kryło się coś niedobrego, zanim jednak McCarter zdążył zareagować, od strony obozu dobiegły krzyki niewidocznych z tej odległości ludzi. W dali pojawił się snop światła z latarki, ale niemal natychmiast zniknął. Słyszeli odgłosy bieganiny, wydawane półgłosem rozkazy i metaliczne szczęknięcia, jakby przeładowywano broń. W panującej wokół martwej ciszy do ich uszu dobiegał każdy najlżejszy nawet dźwięk.

- Świetnie, że jest spokojnie - mruknął ironicznie.

- Nawet za spokojnie - odparł niezrażony Pik. - Zbyt długo panuje ta cisza.

McCarter spojrział na Afrykanera z zaciekawieniem.

- Cóż pan chciał przez to powiedzieć?

Na twarzy najemnika pojawił się szereg srebrzystych punktów, gdy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Będą problemy.

Profesor poczuł mrowienie w rękach. Nie podobała mu się ta odpowiedź.

- Jakiego rodzaju problemy?

- Goście - mruknął Verhoven. - Są tu już od pewnego czasu, ale te głąby dopiero teraz ich zauważyły.

McCarter wyciągnął szyję i spojrział uważniej w kierunku czarnej ściany zarośli. Wyczuł czyjąś obecność, ale zaraz pomyślał, że może to być rezultat sugestii najemnika.

- Cholokwanie?

- Pojawili się, jak tylko weszliśmy do świątyni - przypomniała mu Danielle. - Potem zostawili nas w spokoju. Ci faceci robili jednak, co mogli, żeby każdy w okolicy zauważył ich obecność. Obawiam się, że mogli wkurzyć tym Indian.

Pozostanie na zewnątrz świątyni nie było najrozsądniejszym pomysłem w takiej sytuacji, co nie umknęło ich uwadze. McCarter raz jeszcze przyjrzał się mrocznej puszczy. Myśl o tym, że będzie przykuty do tego drzewa, gdy rozpocznie się kolejny atak Indian, napawała go przerażeniem. Wciąż pamiętał te śpiewy i ognie.

- Co z nami będzie?

- Nie możemy niestety wstać od stołu - powiedział Verhoven

- a mamy naprawdę paskudne karty.

Profesor skrzywił się. Danielle spojrzała na niego, w jej oczach nie widział rezygnacji.

- Na razie żyjemy - przypomniała mu. - Proszę zachować czujność. Może uda nam się coś zrobić, kiedy wybuchnie zamieszanie.

McCarter wiedział, w jakim położeniu się znaleźli. Miał spore wątpliwości już wcześniej, ale dopiero teraz zrozumiał, co naprawdę oznacza powiedzenie, że tonący brzytwy się chwyta. Praktycznie nie mogli liczyć na ratunek. Szczerze mówiąc, nie mogli liczyć na nic. Nawet modlitwa wydawała się w tych warunkach bezcelowym marnowaniem czasu. Bo o co tu prosić? O najmniejszy nawet błąd oprawców? Przecież to i tak niewiele im da.

McCarter spróbował raz jeszcze rozciągnąć nogi, a potem podniósł głowę, by spojrzeć na niebo. Gwiazdy świeciły tak jasno, jakby się z nich naigrawały.

- Majowie wycinali spore połacie dżungli tylko po to, by móc spoglądać na gwiazdy - powiedział. - Ustawiali swoje świątynie tak, by wskazywały na punkt, w którym słońce pojawia się nad horyzontem podczas zrównania dnia z nocą i przesilenia, a nawet starali się je kierować na środek Galaktyki, aczkolwiek nikt nie wie, jak go wyliczali. Potrafili wykarczować puszcze, by obserwować domeny swoich bogów. - Przez chwilę przyglądał się gwiazdom nad polaną. - Z czasem dżungla wracała na swoje miejsce, ale tutaj ziemia jest wciąż goła, a gwiazdy widoczne. To taka ostatnia bezpieczna przystań dla dawnych bóstw, jak sądzę.

McCarter przeniósł wzrok na Danielle i Verhovena, czekając na cięty komentarz albo ripostę dotyczącą bezsensu filozofii. Zamiast tego dostrzegł na twarzy najemnika uśmiech.

- Miejmy nadzieję, że dawni bogowie będą nam sprzyjali - powiedział Pik.

Gorączkowa krzątanina w obozie ustała.

Profesor także pozwolił sobie na odrobinę odprężenia. Takie wyciszenie wpłynęło korzystnie na jego zmysły. Wkrótce dostrzegł w centrum obozu dziwny przydymiony blask oblewający zarys czyjejś twarzy. Po chwili zrozumiał, co to oznacza - tak świecił monitor systemu alarmowego. Coś go właśnie uaktywniło.

Verhoven także to zauważył.

- No i są nasi przyjaciele - oznajmił.

Wypowiedział te słowa zniżonym głosem, ale na tyle wyraźnie, że obudził nimi Roemera, ostatniego członka swojego zespołu. McCarter pomyślał, że warto byłoby obudzić też Susan, ale w tym momencie dotarło do niego, że jeszcze nie wróciła. Kolejna strata, z którą nie będzie umiał się pogodzić.

- Zaczyna się robić paskudnie - ostrzegł Verhoven. - Nie ruszajcie się, jak ich zobaczycie. Gdy się zorientują, że jesteśmy jeńcami, mogą się nad nami zlitować. Ale zaatakują i zabiją każdego, kto będzie próbował się bronić.

- A jeśli podpalą zarośla, jak poprzednio? - zapytał profesor, wyrażając dręczący go niepokój.

- Wtedy módlcie się, aby nas wcześniej zabili.

McCarter spojrział w kierunku centrum dowodzenia, starając się odrzucić od siebie tę niewesołą myśl. Dostrzegł sylwetkę Deversa, który właśnie na coś wskazywał.

Na zachodzie w niebo wystrzeliła flara. Poleciała wysoko, osiągając pułap pół mili, gdzie wypuściła niewielki spadochron, na którym szybowała teraz wolno nad obozem, kierując się na południe.

- Biała - odezwał się Verhoven. - Odpalana na miejscu, nie zdalnie. Coś wlało prosto na drut.

Płonący fosfor oświetlał teren obozowiska.

- Widzę ośmiu ludzi w mundurach - powiedział McCarter.

- Ja także doliczyłam się tylu - dodała zaraz po nim Danielle.

- Jest ich więcej - zgasił ich Verhoven. - Znam tę taktykę. Siedzą po prostu w ukryciu, czekając na dobry moment.

- Widać gdzieś Chollockwanów? - zapytała.

Najemnik przesunął się, by mieć lepszy widok na zarośla.

- Na razie nie.

McCarter wodził oczami na przemian po polanie i przylegającej do niej ścianie lasu, gdy kolejna flara wzbijała się w niebo. Tym razem była czerwona. Odpalono ją za pomocą sensorów albo bezpośrednio z konsoli komputera. Ciszę przerwało szczęknięcie karabinu. Po sekundzie dołączył do niego kolejny, rozpoczynając palbę.

Sytuacja wyglądała nie najlepiej, więc gdy niespełna minutę później w ich kierunku udał się jeden z najemników, McCarter zaczął się zastanawiać, czy aby nie nadeszło najgorsze.

Okazało się, że przysłała go Kaufman. Wyglądało na to, że zdał sobie właśnie sprawę, jak wielkim problemem mogą być dla niego jeńcy podczas ataku Indian albo bestii. Nie chciał ich zostawiać z dala od obozu, ale nie znalazł na razie lepszego miejsca odosobnienia niż to drzewo. Wolał nie ryzykować dodatkowych problemów, jakie mogli mu sprawić ludzie z NIB-u w samym środku tego zamieszania. Wybrał więc kompromis. Postanowił zostawić ich na dotychczasowym miejscu, ale pod strażą. Ten najemnik wylosował najkrótszą słomkę i to jemu przypadła ochrona więźniów bez względu na to, co się będzie działo.

Mężczyzna podszedł do pnia i kopnął McCartera w stopę.

- Przecież nie śpię - burknął profesor, podciągając nogi.

- I dobrze - mruknął strażnik. - A teraz morda w kubeł. - Machnął lufą w kierunku pozostałych. - To dotyczy wszystkich.

McCarter przyjrzał mu się uważnie. Dość już miał tej niewoli i lęku przed oprawcami. Verhoven wspominał wcześniej o obaleniu któregoś z nich na ziemię, gdzie jedno kopnięcie w potylicę albo skroń mogło zakończyć jego żywot. Może to najlepszy moment na taki ruch?

Pozostali ludzie Kaufmana zaczęli właśnie kolejną kanonadę. Staccato wystrzałów rozlegało się co chwilę, tu i ówdzie krótkie serie oddawane na próbę przesywały powietrze. Najemnik pilnujący więźniów spojrzał w pewnym momencie w kierunku źródła hałasu. McCarter wykorzystał jego nieuwagę i rzucił się na niego, mając nadzieję, że zaatakowany tak obcesowo strażnik przewróci się na ziemię.

To posunięcie zaskoczyło strażnika tak samo, jak Danielle i Verhovena, ale okazało się niestety niewystarczające. Łańcuch i przypięci do niego ludzie wyhamowali profesora, więc kopnięcie nie było zbyt mocne. Strażnik przewrócił się, ale tylko na moment. Zerwał się z trawy wściekły jak wszyscy diabli.

Obrócił się i klnąc na głos, wymierzył broń w McCartera. Profesor skulił się natychmiast. Padł strzał, ale to najemnik zwałił się na ziemię bezwładnie jak manekin.

Palba w oddali nie milkła. McCarter po kilku sekundach odważył się otworzyć oczy i spojrzeć na martwego mężczyznę. Danielle i Verhoven rozglądali się nerwowo wokół, oni też pierwsi dostrzegli postać wylaniającą się z zarośli.

- A niech mnie piekło pochłonie - jęknął Pik.

- Też bym tego chciał - odparł Hawker, chwytając martwego najemnika, by odciągnąć go za drzewo.

- Wróciłeś pomiędzy żywych, kolego.

- I dzięki Bogu - dodała uradowana Danielle. - Możesz nas uwolnić?

- Spróbuję - obiecał.

McCarter zachowywał się, jakby nie słyszał tej wymiany zdań. Siedział nieruchomo jak w transie. Spoglądał w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał martwy najemnik. Znowu ktoś

stracił życie, aby on mógł ocaleć.

Gdy kanonada dobiegająca od strony obozu w końcu umilkła, Hawker przyklęknął przy zabitym i zaczął przetrząsać jego kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

- Gdzie pozostali? - zapytał.
- Nie żyją - odparła Laidlaw. - Poza Deversem. On jest wtyczką.
- To by wyjaśniało kilka rzeczy - mruknął pilot, przewracając martwego na brzuch, by sprawdzić tylne kieszenie.

- A co z Polaskim? - zapytała Danielle.

Hawker przerwał poszukiwania, by posłać jej pełne smutku spojrzenie.

- Niestety, on też zginął.

Radiotelefon przy pasku zabitego zatrzeszczał.

- Musieli usłyszeć strzał - wtrącił Verhoven. - Zaraz się tu pojawiają. Uwolnij mnie.

Pilot zakończył poszukiwania z pustymi rękoma.

- Nie miał kluczy.

Najemnik spojrzał na zabitego strażnika.

- To faktycznie nie ten - mruknął. - Pieprzyć to. Uwolnij mnie. Hawker zastanawiał się, jak wykonać polecenie Verhovena, gdy radio ożyło po raz drugi.

- Rusz się, człowieku! - wrzasnął Afrykaner. - Uwolnij mnie od tego cholernego łańcucha!

Pozostali mogli jedynie zgadywać, o czym ci dwaj gadają, ale Hawker i Verhoven rozumieli się doskonale.

- Która ręka? - zapytał pilot, stając nad najemnikiem.

- Lewa - odparł Pik, przechylając się mocniej i opierając lewą rękę o podstawę pnia, kciukiem w górę, a małym palcem do ziemi. Drugą dłoń odsunął tak daleko, jak tylko pozwalał na to łańcuch kajdanek. Pozostali przyglądali się tej scenie z zainteresowaniem, ale odwrócili się jak jeden mąż, gdy były agent uniósł ciężki, podkuty but, by opuścić go z impetem na wyciągniętą dłoń Afrykanera, łamiąc mu kości i rozrywając ścięgna.

Verhoven nie pisnął mimo ogromnego bólu, jaki musiał poczuć. Zaciśnął zęby i przetoczył się na bok. Hawker przypadł do niego i zaczął przepychać jego dłoń przez kajdanki, gniotąc palce w taki sposób, jaki jeszcze przed momentem nie byłby możliwy. Szarpnął raz i drugi, uwalniając zmasakrowaną dłoń najemnika.

Verhoven związał się z bólu, sycząc głośno, ale uklęknął i wstał, trzymając przy piersi lewą rękę. Stracił chwilowo jedną dłoń, ale dzięki temu zyskał wolność. Warcząc przez zaciśnięte zęby, obrócił się w stronę Hawkera. Oczy lśniły mu jak u wściekłego psa.

- Przyda ci się - stwierdził pilot, podając mu czterdziestkę piątkę. Verhoven nie utrzymałby teraz karabinu, ale z operowaniem pistoletem nie powinien mieć większych problemów. Chwycił pewnie rękojeść i obserwował, jak Hawker podnosi karabin Niemca.

- Jest nas dwóch i mamy broń - powiedział. - O lepszych szansach nie mogłem nawet marzyć.

- Obserwowałem teren od pewnego czasu - stwierdził Hawker - ale przydałoby mi się wyjaśnienie sytuacji.

- Okopali się wokół obozu... - Verhoven zaczął odpowiadać, zacinając się co chwilę z bólu. - Mają sześć albo siedem stanowisk, po dwóch ludzi w każdym, co pięćdziesiąt metrów i jakieś sześćdziesiąt stopni po okręgu. Idę o zakład, że tego gnoja przysłali nam z najbliższego, a to znaczy, że został tam tylko jeden człowiek.

Radiotelefon zatrzeszczał po raz kolejny. Hawker chwycił go, ale dosłyszał tylko koniec przekazu. Sądząc z tonu, były to rozkazy, nie pytania. Nadający nie spodziewał się odpowiedzi.

Nad polaną znów pojawiła się czerwona flara, ale nisko, silniejszy wiatr związał ją daleko na



południe. Na pewno znajdowała się już poza linią drzew. Kąt, pod jakim padało światło, pozwalał jeńcom pozostać w cieniu, niestety trzydzieści jardów dalej ciemności się kończyły. Nad obozem było zbyt jasno, by próbować ataku z zaskoczenia, lecz im brakowało czasu, żeby czekać, aż poświata zniknie.

- Musi się udać za pierwszym podejściem - powiedział Hawker.

- Poczekaj tutaj.

Rozebrał trupa i założył jego kurtkę mundurową i dziwacznie wyglądającą legionową czapkę. Przerzucił karabin przez ramię i rozprostował materiał.

- Jesteś szalony - mruknął Verhoven.

Hawker nie odpowiedział. Szedł już przez polanę. Ledwie pojawił się w polu widzenia, radio ożyło po raz kolejny. Tym razem ktoś pytał, co on wyprawia i dlaczego wraca. Podniósł nadajnik do ust i odpowiedział najlepszym niemieckim, na jaki go było stać. Marny to był blef, ale lepszy niż nic.

Pytania od najemników natychmiast umilkły, a on spokojnie zmierzał ku najbliższemu stanowisku. Ktoś pomachał mu, aby się pospieszył, więc zaczął biec.

Teraz, gdy flara opadła poza linię drzew, Niemcy widzieli jedynie zarys jego sylwetki. Miał nadzieję, że rozpoznają w nim swojego towarzysza broni.

Trzydzieści stóp od bunkra zwolnił ponownie. W dziurze siedzieli dwaj ludzie, nie jeden, jak przypuszczał Verhoven. Obaj mieli karabiny w dłoniach.

## ROZDZIAŁ 32

Zaskoczony Hawker szedł dalej. Zawrócenie w tym momencie byłoby równoznaczne z samobójstwem. Wodził wzrokiem pomiędzy najemnikami, a potem spojrział na narzędzia, którymi wykopali ten dół.

Gdy znalazł się na krawędzi wykopu, podniósł radiotelefon i pomachał nim, chcąc podkreślić, że coś się zepsuło, ale przede wszystkim odciągnąć ich wzrok od swojej twarzy. Rzucił go potem stojącemu bliżej i zeskoczył do prowizorycznego bunkra, lądując tuż obok szerokiego szpadla. Chwycił jego trzonek oburącz i zamachnął się z całych sił, okręcając dokoła własnej osi. Ostrze wbiło się w nasadę nosa pierwszego z mężczyzn, zabijając go na miejscu.

Drugi najemnik zdążył odskoczyć, ale znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji, wyciągając nowy radiotelefon do przybysza, który najwyraźniej usiłował go zabić. Rzucił nadajnik i sięgnął po karabin, ale zanim zdążył oddać z niego strzał, Hawker zadał kolejny cios łopatą, powalając go na dno wykopu. Następne uderzenie w skroń odebrało mu życie.

Pilot usiadł obok zwłok, opierając się plecami o wilgotną wciąż ścianę. Kilka sekund później flara wisząca nad dżunglą wypaliła się i ponownie zapadły ciemności.

VERHOVEN WPATRYWAŁ SIĘ UWAŻNIE w PÓLMROK. WIDZIAŁ początek szamotaniny w świetle przygasającej flary, ale to wszystko. Nie padł żaden strzał, nikt nie dał znaku, nie widział też Hawkera.

Siedzący obok niego McCarter powoli wybudzał się z transu, w jaki zapadł po incydencie z wartownikiem. Danielle także gramoliła się, by lepiej widzieć.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Nie wiem - odparł Verhoven.

- Widzisz coś?

- Nic. Zniknął mi z pola widzenia.

Afrykaner nie spuszczał wzroku z wykopu, ale im dłużej wpatrywał się w ciemność, tym większej nabierał pewności, że były agent CIA albo zginął podczas walki, albo odniósł poważne rany. Jeśli tak się rzeczy miały, powinien po niego pójść i ściągnąć go na skraj polany, ale ta misja mogła okazać się samobójcza, gdyby którykolwiek z siepaczy Kaufmana dostrzegł kolejnego człowieka nadchodzącego od strony drzewa. Z drugiej strony Hawker wrócił, by ich ratować, więc i oni nie mogli go tam zostawić, aby konał w samotności.

W końcu dostrzegł krótki błysk światła. Ktoś włączał i wyłączał latarkę, kierując ją prosto w jego oczy. Nadawał alfabetem Morse'a. RUSZ DUPSKO! To musiał być Hawker.

Teraz, gdy ostatnia flara zgasła, nad polaną panowały egipskie ciemności. Niestety, wróg dysponował goglami noktowizyjnymi, więc nadal byłby łatwym celem, gdyby został zauważony na przedpolu.

Spojrzał na sam środek obozowiska. Widział migotanie ekranu konsoli systemu obrony, ale nic więcej. Domyślił się, że każdy bunkier miał kryć określony odcinek przedpola i znajdującego się za nim lasu. W takich warunkach żaden z najemników nie powinien się zbytnio rozglądać. Pobiegł, mając nadzieję, że tego terenu pilnują ludzie zdjęci w wykopie przez Hawkera.

Gdy wskoczył do bunkra, natychmiast zlustrował jego wyposażenie.

- Mieli klucze?
- Nie - odparł pilot. - Ale za to dysponowali masą naszego sprzętu.
- Wskazał znajomy kształt gogli noktowizyjnych NIB-u.
- Przekopali wszystko, gdy zajęli obóz - mruknął Verhoven.
- Szukali czegoś?
- Tak to wyglądało.

Hawker założył gogle i przyjrzał się obozowi. Bunkry zostały rozmieszczone na okręgu, tak jak opisał to Afrykaner. Widział większość ludzi kryjących się w wykopach. Wpatrywali się w przedpole, ściskając nerwowo broń. Każdy z nich obserwował inną strefę.

- Nie wiedzą, że tutaj jesteśmy - domyślił się.

Leżące na dnie radio znowu ożyło. W tym samym momencie rozległa się kanonada z kilku luf. Obaj natychmiast pochyłili głowy.

- Jesteś pewien? - zapytał Verhoven, spoglądając z dna bunkra.

Strzelanina nie ustawała, ale brzmiała dziwnie. Strzelali Niemcy znajdujący się po drugiej stronie obozu. Afrykaner wysunął ostrożnie głowę nad skraj dołu.

- Może chcą nas wykurzyć. Domyślam się, że to ty aktywowałeś te flary.
- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli skupią całą uwagę na innym odcinku frontu.
- A jak udało ci się minąć sensory? - zapytał Verhoven.
- Wciąż mam przy sobie transponder - wyjaśnił Hawker. - Kiedy się zorientowałem, że nadal używają naszego systemu, po prostu włączyłem go i przeszedłem.
- Sprytnie - pochwalił go Afrykaner. - Ale trzeba mieć szczęście, żeby się udało.

Pilot pokiwał głową.

- Teraz też będziemy potrzebowali po trosze jednego i drugiego.

Kolejny rozkaz z radia i strzelcy zaczęli prowadzić ostrzał północnego krańca polany. Hawker i jego towarzysz przypadli do ziemi, ale już bez takiej paniki jak za pierwszym razem.

- Do czego oni teraz strzelają? - zdziwił się Afrykaner.
- Nie mam pojęcia - przyznał Hawker - ale lepiej coś wymyślimy, zanim zastrzelą nas przypadkiem.

- Musimy iść dalej - powiedział Verhoven - i przejąć centrum dowodzenia. Stamtąd będziemy widzieli ich wszystkich, no i znajdziemy się za ich plecami.

- Cholernie daleko - ocenił pilot, przyglądając się środkowi obozu.

Afrykaner spojrział na zmiażdżoną dłoń, potem raz jeszcze ocenił dystans. Od centrum dowodzenia dzieliło ich siedemdziesiąt jardów otwartej przestrzeni. Zdawał sobie sprawę, że z takiej odległości nie zdoła oddać celnego strzału, zwłaszcza z pistoletu i przy tak marnym oświetleniu.

- Wygląda na to, że teraz moja kolej.

Hawker skinął głową.

- Ruszę, jak tylko zaczną znowu strzelać - zapowiedział Verhoven.

Pilot chwycił karabin.

- Trzymaj się na prawo od mojego przedpola.

Afrykaner przygotował się do biegu. Obaj zamarli w bunkrze, czekając w kompletnej ciszy na kolejną palbę. Minęła minuta, potem następna, ale radio i karabiny Niemców pozostały nieme.

- No, dalej - wyszeptał zniecierpliwiony Hawker.

- Może już skończyli - odparł Verhoven.

Tej możliwości były agent CIA nie chciał nawet rozważać. Zacisnął dłonie na karabinie i przysunął oko do lunety. Ludzie obserwujący ekran systemu obrony pochylali się mocno, analizowali sytuację z dużą ostrożnością. Mógł ich zdjąć bez problemu, ale w kompletnej ciszy od razu zdradziłby swoją pozycję.

Cisza przedłużała się i Verhoven, tracąc cierpliwość, pokręcił głową.

- Potrzebujemy nowego planu.

- Czyli jakiego?

- Nie wiem, ale to nie...

W radiu rozległ się pisk i Afrykaner ruszył w tym samym momencie, gdy strzelcy zaczęli szatkować kolejny sektor lasu deszczowego.

Hawker także ścisnął kolbę broni, zrobił wolny wydech i nacisnął spust.

Pierwszy pocisk trafił cel w sam środek klatki piersiowej, osiem cali pod jabłkiem Adama. Mężczyzna poleciał w tył, kiedy pilot oddał drugi strzał.

Pędzący przed siebie Verhoven usłyszał obok ucha świst drugiej kuli. Zobaczył, że drugi mężczyzna pada na ziemię. Chwilę później sam wpadł do namiotu. Rozpoznał w leżącym na ziemi rannym Deversa. Zdrajca trzymał się za zakrwawione ramię, a obok niego, nad ciałem zastrzelonego najemnika, klęczał człowiek przedstawiający się jako Kaufman. Biedaczek usiłował wyszarpnąć karabin spod ciała poległego.

Na widok Verhovena wpadł pod brezent, Kaufman obrócił się, ale natychmiast został zdzielony kolbą w skroń. Padł jak ścięty, ale nie stracił przytomności. Bełkotał coś niezrozumiale, gramoląc się z ziemi.

Devers wyglądał za to, jakby ktoś raził go prądem. Rozpoznał przeciwnika i mimo rany rzucił się do konsoli, na której wciąż leżała jego broń.

Verhoven zastąpił mu drogę i odepchnął mocno w tył. Wymierzył lufę czterdziestki piątki w głowę lingwisty.

- O tak, chłoptysiu - wycedził przez zęby. - To będzie dla ciebie koszmarna noc.

Strzelanina umilkła, być może ratując życie sprzedawczyka. Afrykaner usłyszał tupot stóp nadbiegającego Hawkera. Wskazał na Kaufmana.

- Raz chybiłeś.

- Czyli obaj musimy popracować nad liczeniem - odparł pilot.

Verhoven odwrócił się, by sprawdzić przedpole. Z miejsca, gdzie stał, można było w linii prostej dotrzeć do każdego bunkra. Centrum dowodzenia było piastą koła, na którego obręczy znajdowały się wszystkie stanowiska ogniowe. Oprócz bunkra, który właśnie

opuścili, widzieli jeszcze pięć podobnych umocnień. W czterech znajdowało się po dwóch najemników, w ostatnim siedział tylko jeden. Do końca bitwy była ciągle daleka droga, ale Verhoven i Hawker mieli wciąż przewagę zaskoczenia, dobrą pozycję i kontrolowali sytuację. Tylko liczebność była przeciw nim, ale i to miało się niedługo zmienić.

- Wciąż obserwują linię drzew - zauważył Afrykaner. - Czekają, aż wrzeszczący tubylcy wypadną z zarośli jak, nie przymierzając, pieprzeni Zulusi.

Zawiesił dłoń nad konsolą systemu obrony, czekając na sygnał Hawkera.

- No to się nie doczekają - mruknął pilot, przeładowując broń.

Verhoven trącił lufą czterdziestki piątki przełącznik i cały świat wokół niego załało oślepiające światło, zamieniając głęboką noc w jasny dzień. W tej samej chwili Hawker przyłożył karabin do ramienia i zaczął strzelać.

Najemnicy Kaufmana byli jak kaczki na strzelnicy. Stojąc plecami do centrum dowodzenia, oparci o ściany wykopów, wpatrywali się w odległą puszcę. Słyszeli strzały, ale nie otrzymali żadnego rozkazu, dodatkowo zostali zaskoczeni włączeniem reflektorów.

Zaczęli się rozglądać, niektórzy sięgali po nadajniki, inni rozpoczęli chaotyczny ostrzał przedpola, kierując lufy na zarośla otaczające polanę, ale żaden nie wpadł na to, by skierować ogień na centrum dowodzenia. Ci, którzy odwracali się w kierunku obozowiska, mogli zobaczyć jedynie oślepiającą lunę. Zdezorientowani i zaskoczeni padali kolejno jak muchy.

Hawker mierzył, oddawał strzał, przeładowywał broń i przesuwał lufę na kolejny bunkier. W niespełną dziesięć sekund wyeliminował obsady czterech z nich. Zanim jednak zdążył namierzyć kolejny cel, seria pocisków podziurawiła stojące za jego plecami szafki z wyposażeniem. Natychmiast przypadł do ziemi, podobnie jak Verhoven.

- Północny bunkier! - zawołał Afrykaner. - Tylko oni jeszcze zostali.

Hawker przyklęknął, obrócił się i odpowiedział ogniem. Najemnicy nie czekali bezczynnie, natychmiast zintensyfikowali ostrzał, kolejne pociski ryły ziemię i rozbijały ścianki drewnianych skrzyń. Jedna z drzazg wbiła się w kark Verhovena. Przesunął dłonią po ranie, sprawdzając, czy przypadkiem nie został trafiony rykoszetem, a potem zaczął strzelać, dając osłonę zmieniającemu pozycję pilotowi.

- Jest ich tylko dwóch! - zawołał.

Mimo szalejącego wokół piekła Kaufman zaczął się poruszać.

- Nie - jęknął wciąż oszołomiony, próbując wstać. - Nie wiecie, co robicie...

Verhoven posłał go silnym kopnięciem na ziemię, zanim kolejna seria przeszła powietrze i sięgnęła najbliższego reflektora, zasypując okolicę okruchami szkła. Hawker odpowiedział równie celnym strzałem i najemnik, który właśnie zmieniał magazynek, padł martwy. Drugi natychmiast zniknął w głębi bunkra.

- Posłuchajcie mnie - błagał Kaufman. - Musimy zakończyć to szaleństwo.

- Stul pysk! - wydarł się na niego Verhoven.

Było już za późno. Ostatni z najemników zaryzykował, choć nie miał najmniejszych szans, i wychylił się, by ostrzelać centrum dowodzenia.

Hawker pociągnął za spust. Najemnik wyprostował się, gdy pocisk przebił jego ciało, trzymany w ręce karabin powędrował w górę, a wystrzelona z niego seria pomknęła w niebo. Druga kula pchnęła go do tyłu. Padł, znikając z pola widzenia, i na tym zakończyła się masakra.

## ROZDZIAŁ 33

Nad polem bitwy, podobnie jak po wcześniejszym starciu z Chollokwanami, unosiły się kłęby gryzącego dymu. Tym razem dało się w nim wyczuć kwaśny odór spalonego prochu oraz wyziewy flar. Wokół zapalonych wciąż reflektorów zaroilo się od ciem i innych kręcących się w szalonym tańcu owadów.

W strefie ciemności pomiędzy wielkimi szperaczami Hawker i Verhoven obserwowali uważnie kolejne umocnienia, sprawdzając, czy któryś z przeciwników nie został przy życiu. Devers i Kaufman leżeli w tym czasie na ziemi, bojąc się ruszyć.

W końcu pilot odłożył broń. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Ocalił przyjaciół, ale za jak potworną cenę. Verhoven wyczuł, że jego partner boryka się z nielichem dylematem.

- Jesteś, kim jesteś - powiedział. - Nieważne, w co tam sobie wierzysz, takim cię stworzyła natura.

- Nie zdajecie sobie sprawy z tego, co zrobiliście - warknął Kaufman.
- Nie macie bladego pojęcia...

Hawker podszedł do niego, przyłożył mu wylot lufy pod brodę i tym sposobem zmusił przemysłowca do podniesienia głowy.

- Wiem za to, co ty zrobiłeś, skurwysynu. Ale mam zamiar pokrzyżować ci szyki. Idę uwolnić moich przyjaciół, a potem wrócę tu i zastrzelę cię jak psa.

- Idź zatem po swoich przyjaciół - odparł Kaufman ze spokojem, dziwnie pewny siebie jak na człowieka znajdującego się w tak niewesołej sytuacji. - Oni też nam się przydadzą. Nie trać jednak czasu na strzelanie do mnie. Beze mnie nikt z was nie ujdzie stąd z życiem.

- To się jeszcze okaże - burknął Hawker. - Gdzie są klucze?

Kaufman wskazał jednego z zabitych najemników.

- On je ma.

Pilot przeszukał zwłoki i wyjął pęk kluczy z kieszeni kamizelki, wybrał najmniejszy i otworzył nim kajdanki zwisające z prawej ręki Afrykanera, po czym rzucił je na ziemię.

- Zgaś te cholerne światła - polecił, zbierając się do odejścia.

Verhoven nacisnął klawisz i wielkie halogenowe żarówki pociemniały, jarząc się jeszcze przez moment pomarańczowo. Sztuczny dzień skończył się, a jego miejsce znów zajęła noc. Ciemności połknęły wszystko, co znajdowało się na polanie.

Hawker podbiegł do linii drzew, mając cały czas neodparte wrażenie, że jest obserwowany - to samo, które towarzyszyło mu podczas ostatnich godzin wędrówki. Podobnie czuł się przy Murze z Czaszek. Zaczął się nawet zastanawiać, czy Kaufman nie trzymał gdzieś kilku ludzi w rezerwie. To mogła być prawdziwa przyczyna jego niesłabnącej arogancji. Zatrzymał się, wskakując do pobliskiego wykopu, i zlustrował teren przez noktowizor. Nie dostrzegł niczego.

Pozostawiony w centrum dowodzenia Verhoven ustawił się w miejscu, skąd mógł lepiej widzieć obu schwytanych. Lufą pistoletu nakazał Deversowi zbliżyć się do Kaufmana.

Zdrajca wykonał to polecenie, nie zdejmując dłoni z wciąż krwawiącej rany w ramieniu. Kula przeszła przez nie na wylot, nie naruszając żadnej ważniejszej arterii ani kości.

- Mógłbyś mi dać coś, czym powstrzymałbym krwawienie - burknął.

Afrykaner spojrział na niego groźnie.

- Mógłbym - przyznał. - Masz rację.

- Twój przyjaciel nie chciał mnie słuchać, ale może ty masz więcej oleju w głowie - odezwał się Kaufman. - Mogę wam pomóc, ale jeśli pozwolisz mu mnie zastrzelić, nigdy się stąd...

Verhoven wbił w niego lodowate spojrzenie.

- Kazaleś zabić dobrych ludzi - odparł, wolno cedząc słowa. - Moich kolegów, z którymi służyłem od dwudziestu lat. Módl się o to, by chciał cię zastrzelić, bo jeśli tego nie zrobi, przywiążę cię do kołków wbitych w ziemię, obetnę dłonie i zostawię na żer dzikiej zwierzynie.

- Nic nie rozumiesz - odparł równie wolno przemysłowiec. - Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ty, twoi przyjaciele i ja też. Jeśli nie...

Przerwało mu pikanie elektronicznego systemu obrony. Coś uaktywniło jeden z sensorów.

Radio idącego przez polanę pilota wydało krótki pisk.

- Jesteś tam, Hawk? Na zachodzie pojawił się jakiś cel. Wycofał się, ale czujniki zdążyły go namierzyć. Podejdź do drzewa od wschodniej strony, to powinno zwiększyć dystans pomiędzy wami.

Były agent włączył ponownie gogle noktowizyjne, nadal zastanawiając się nad zachowaniem ludzi Kaufmana, którzy ostrzeliwali skraj zarośli jeszcze długo po tym, jak dostał się do jednego z bunkrów. Czyżby Chollokwanie naprawdę się zbliżali? Przełączył radiotelefon na nadawanie.

- Jaki rodzaj celu? Jak daleko się cofnął?

- Pojedynczy cel. Wyszedł poza pole działania sensora. Musiał cofnąć się co najmniej pięćdziesiąt jardów poza linię zarośli.

Hawker potwierdził przyjęcie informacji i rzuciwszy okiem na zachód, zastosował się do sugestii Verhoveana, odbijając w przeciwnym kierunku. Biegł szybko, ale stanął jak wryty, gdy usłyszał w oddali zduszony skowyt psa.

**KAUFMAN SKRZYWIŁ SIĘ MOCNO, ZEZUJĄC W STRONĘ KONSOLI.**

- Twój przyjaciel jest w niebezpieczeństwie - powiedział. - Powinieneś go tu przywołać.

- Na ekranie nic nie widać - uspokoił go Verhoven.

- To akurat nie ma najmniejszego znaczenia - rzucił szybko przemysłowiec. - Są tam pewne zwierzęta. Bestie, których tubylcy używają do zabijania intruzów takich jak my. Takie same jak ta, która zaatakowała moich ludzi w jaskini.

Verhoven spojrzał na niego uważniej. Nieco wcześniej Kaufman twierdził, że Susan zginęła, gdy zawałił się strop jaskini. Wtedy myślał wyłącznie o ucieczce, ucieszyła go więc informacja, że w tym samym incydencie przeciwnik stracił pięciu ludzi.

- Zatem to nie było zaważenie się stropu?

- Nie - zapewnił go przemysłowiec. - Skłamałem. Zostali rozszarpani.

Afrykaner przypomniał sobie widok twarzy jednego z najemników chwilę po powrocie ze świątyni. Malował się na niej strach, ale nie taki, jaki można dostrzec u kogoś, kto był świadkiem wypadku, tylko atawistyczny lęk przed nieznanym. W tego typu sytuacjach człowiek nie potrafi się kontrolować. Wtedy wydało mu się to dziwne, ale teraz, słysząc wyjaśnienia jeńca, zaczął dopuszczać do siebie taką możliwość. Nagle dotarło do niego, że być może właśnie o to chodzi Kaufmanowi.

- Zamknij pysk - warknął. - Zaczynasz mnie mierzyć.

Hawker odezwał się przez radiotelefon. Verhoven słyszał w tle zawodzenie psów. Były to przeraźliwe, żalosne dźwięki, nie takie jak wtedy, gdy warczały na podchodzących Chollokwanów.

- Potrzebuję światła - mówił pilot.

Verhoven spojrzał na zegarek.

- Nie da rady.

- Każ mu się wycofać - prosił Kaufman. - Naszą jedyną szansą jest okopanie się tutaj z każdą bronią, jaką zdołamy obsłużyć.

- Stul pysk!
- Zapal te cholerne reflektory.
- Za pięć minut - odparł Afrykaner, przypominając Hawkerowi, ile czasu potrzebują halogeny, by ostygnąć. Rozpalały się do tak wysokiej temperatury, że trzeba było paru minut, by dało się je zapalić po raz kolejny. Wcześniej mogły po prostu eksplodować z przegrzania.
- Zapomnijcie o tamtych - prosił przemysłowiec. - Oni i tak nie przeżyją.
- Zamknij tę pieprzoną gębę! - wydarł się na niego Verhoven.

Słyszał dobiegające z odległości siedemdziesięciu jardów wycie psów, niosące się wyraźnie przez zimne, nocne powietrze. Moment później nad polaną rozbrzmiał inny głos, podobny do okrzyków Chollokwanów, tyle że o wiele donośniejszy.

Nieludzki.

- Nadchodzą - mamrotał Kaufman. - Zabiją jego, a potem nas. Każ mu zawrócić!

Verhoven wymierzył w niego.

- Jeszcze jedno słowo, a odstrzelę ci ten cholerny łeb.

Przemysłowiec nadal mruczał pod nosem, spoglądając na wylot lufy, ale zagłuszyły go piknięcia dobiegające ze stanowiska kontroli. Tym razem reagowały czujniki znajdujące się w sektorze, przez który przechodził Hawker.

Pilot przeszedł przez tę część obozu, gdzie trzymano wcześniej psy. Najemnicy nazywali ją psią budą, ale tak naprawdę był to pał wbity w ziemię, do którego przywiązywali zwierzęta. Strzelanina pobudziła wielkie owczarki, warczały, ilekroć palba się nasilała, ale gdy zapanował spokój, szybko się uciszyły. Teraz zaniepokoiło je coś innego. Coś zupełnie im nieznanego, mimo że potrafiły to wyczuć, a nawet wywąchać.

Węszyły bez przerwy, strzelając wokół oczami. Wydawały się przestraszone i skołowane. Nadejście Hawkera zaskoczyło je, ale gdy tylko rozpoznały go po zapachu, natychmiast wróciły do obserwacji zarośli. Jeden z psów opuścił łeb, warcząc i szczerząc kły, a reszta stada zaczęła się cofać z podkulonymi ogonami, jakby chciała znaleźć się jak najdalej od drzew i tego, co w nich wyczuwała. Gdy skończył im się luz na smyczach, zaczęły się szarpać, próbując naciągać linki. Jeden spanikował. Skamlał głośno i rzucał łbem, usiłując wydostać się z obroży.

Co tam jest, u licha? zastanawiał się Hawker. Nigdy nie widział, by stado szkolonych psów zachowywało się w taki sposób. W tej samej chwili usłyszał głos Verhovena dobiegający z nadajnika.

- Cel znajduje się na wprost twojej pozycji. Chwila, teraz są już dwa cele.

Gdy z zarośli dobiegł przeciągły pisk, Hawker natychmiast założył gogle. Nie zobaczył jednak niczego. Któryś z psów zaczął wyc.

- Są tuż przed tobą - upierał się Afrykaner.

- Zastrzel je! - w tle pojawił się cichszy, jakby dobiegający z oddali głos Kaufmana. - Zastrzel te cholerne po...

Verhoven przerwał połączenie. Na prawo od Hawkera trzasnęła gałązka.

Psy rzuciły się do przodu, jakby miały zamiar zaatakować stworzenie kryjące się wciąż za ścianą listowia. Były agent wypalił długą serię na ślepo, prosto w puszcę. Cokolwiek się w niej kryło, uciekło na południe, oddalając się szybko od psów i strzelającego człowieka. Pędziło jednak prosto na przykutych do drzewa jeńców.

Hawker ruszył biegiem, klucząc między namiotami. Pędził przed siebie najszybciej, jak potrafił. Zdołał jednak przebiec zaledwie połowę dystansu, zanim cień z dżungli dopadł nadpalonego pnia.

Ludzie przypięci do łańcucha zaczęli przeraźliwie wrzeszczeć. Słysząc też było, jak się szarpia w panice. Za plecami pilota w niebo pomknęły dwie flary, odpalone przez Verhovena. Wypełnione fosforem tubki zapłonęły i Hawker ujrzał przed swoją twarzą sunący w jego stronę kształt, przypominający nieco szykującą się do ataku kobrę. Zrobił unik w bok i szczęki kłapnęły, chwytając tylko powietrze. Przetoczył się po trawie i zaczął strzelać, trafiając uciekające stworzenie, zanim zniknęło ponownie w zaroślach.

Ruszył dalej, w kierunku wrzeszczących towarzyszy, i dotarł na miejsce w momencie, gdy drugi cień zniknął między liśćmi. Stworzenie było czarne, przysadziste, wlokło coś w pysku. Hawker wymierzył i strzelił, posyłając krótką serię w zarośla, by zlokalizować bestię po hałasie, jaki robiła. Nie udało się - cokolwiek to było, zniknęło bez śladu w płątaniu lian i pni.

- Hawker! - zawołała Danielle.

Podbiegł do niej, przyklęknął i rozpiął jej kajdanki. Podał jej potem kluczyk, a sam stanął na straży z bronią gotową do strzału, podczas gdy ona uwalniała pozostałych. Zapalił też flarę i cisnął ją daleko w gęstwinę, mając nadzieję, że ostry blask odstraszy stworzenia próbujące podejść do nich z tej strony. Cienie liści poruszały się w szalonym tańcu, ale pomiędzy drzewami panowała kompletna cisza.

Spojrzał w kierunku jeńców. Danielle i McCarter wyglądali na całych i zdrowych. Brazos, ich ostatni tragarz, był ranny, z trudem trzymał się na nogach. Brakowało tylko Roemera, prawej ręki Verhovena. Jego kajdanki leżały na ziemi, na obręczach widział kawałki zakrwawionej skóry. Coś zdarło je z jego rąk.

W oddali rozległ się krzyk człowieka.

- To coś go porwało - wyjaśnił Brazos. - Rozwaliło mi też nogę w kolanie.

McCarter pomógł Brazylijczykowi wstać.

- Co to było, u licha? - zapytał Hawker. - Jaguar?

- To na pewno nie był kot - zaprzeczył tragarz. - Cuchnął zgnilizną jak szlag.

Danielle poparła go.

- Cokolwiek to było, lepiej wynośmy się stąd, zanim wróci - zaproponowała.

Brazos utykał, więc musiał wspierać się na profesorze. Noga krwawiła w miejscu, o które bestia rozszarpująca Roemera zapała się pazurami.

- Idziemy do centrum dowodzenia - rozkazał Hawker. - Tam jest Verhoven.

Ocaleni ruszyli bez słowa. McCarter prowadził tragarza, a Danielle i pilot ubezpieczali ich, idąc z tyłu. Zanim odeszli, Hawker przyjrzał się stratowanej ziemi. Ślady miały po dwa pazury, były identyczne jak te, które Afrykaner widział przy szczątkach zwierząt tuż przed atakiem Chollokwanów.

W głębi puszczy rozległ się kolejny wrzask człowieka. Hawker oddał kilka strzałów w tamtym kierunku, mając nadzieję, że trafi bestię albo dręczoną przez nią ofiarę, którą porwała w zarośla. Nie miał jednak zamiaru udawać się za nimi.

Chwilę później Richard Kaufman ujrzał wynurzającego się z ciemności pilota. Nie mógł nie dostrzec wściekłości i determinacji w jego ruchach. Wcisnął się pod jedną z podpór reflektora.

- Próbowałem cię ostrzec...

Hawker pchnął go na stojącą z tyłu przeszkodę, zanim zdążył dokończyć.

- Co to było, u licha?

Przemysłowiec otworzył usta, z kącika pociekła strużka krwi. Przygryzł sobie język.

- Nie mam pojęcia, czym one są... - odparł, przerywając na moment, by splunąć na ziemię - zaatakowały moich ludzi w jaskini...

- W jakiej znowu jaskini? - zdziwił się pilot.

- Pod świątynią - wyjaśnił Kaufman. - Zdaje się, że one strzegą tego miejsca.



Zamierzaliśmy je wystrzelać, ale po tym, jak się wmieszałeś, nie mamy wystarczającej siły ognia, żeby dokończyć tę robotę. Jak tylko zeżrą waszego przyjaciela, wrócą tutaj po pozostałych. A jeśli opowieści, które słyszałem, zawierają choć cień prawdy, tubylcy, którzy potraktowali was ogniem, pojawią się razem z nimi. Tyle że dzisiaj się nie wycofają.

- Kaufman obrócił głowę i posłał w trawę kolejną porcję śliny zmieszanej z krwią. Mając ręce związane, mógł jedynie otrzeć wargi o ramię. - Zdaje się, że nie powiedziałaś swoim ludziom, w co ich pakujesz - dodał, kierując te słowa do Danielle.

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparła.

- Naprawdę? - drażnił ją.

Hawker zmusił go do odwrócenia się od Danielle, przytykając mu lufę karabinu do policzka.

- Ze mną rozmawiasz - przypomniał mu.

Przemysłowiec zamierzał przygadać Laidlaw i sprawić, by musiała się martwić wczesniejszym brakiem szczerości wobec podwładnych, co mogło ich skłonić do wypowiedzenia posłuszeństwa. To był najodpowiedniejszy moment na takie zagranie, lecz gdy spojrział w płonące oczy pilota, zdał sobie sprawę, że nie będzie mógł ciągnąć tego przedstawienia zbyt długo. Postanowił więc zaryzykować, mając nadzieję, że Hawker nie zakończy tej rozmowy czymś, co będzie miało nieodwołalne skutki, przynajmniej dla niego.

- To tylko pionki w waszej grze, nieprawdaż, panno Laidlaw?

Zanim ostatnia sylaba wydostała się z ust Kaufmana, kolano Hawkera trafiło go w krocze. Przemysłowiec padł na ziemię. Zwijając się z bólu, wodził załzawionymi oczyma po twarzy Danielle.

Odwzajemniła jego spojrzenie, nie mrugnawszy nawet powieką, a potem przeniosła wzrok na ekran laptopa. Sensory meldowały o kolejnym naruszeniu przestrzeni wokół obozu.

## ROZDZIAŁ 34

Ocaleni członkowie ekspedycji NIB-u spędzili resztę nocy, tłocząc się wokół konsoli i obserwując wyświetlane na niej dane. Mieli do dyspozycji jedynie dwa karabiny i pistolet Hawkera, ale nikt się nie palił do wycieczki w mrok i odzyskania broni leżącej przy zabitych najemnikach.

W ciągu tych kilku godzin, jakie pozostały do świtu, alarm rozbrzmiewał kilkunastokrotnie. Za każdym razem psy zaczynały wyć, Verhoven włączał reflektory, a Hawker strzelał w kierunku zbliżających się celów. Czasami udawało się je odstraszyć od razu, czasami cofały się wolno, niechętnie, dopóki nie zniknęły w trzewiach puszczy, wychodząc poza zasięg czujników. Nikt z ocalonych nie potrafił określić, czy mają do czynienia ze zwierzętami, czy z ludźmi.

Nie byli w stanie zasnąć, nie rozmawiali też prawie wcale. W miarę upływu czasu w ich serca zakradł się nowy rodzaj lęku. Ale w końcu dostrzegli jaśniejący pas nieba na wschodzie. Powitali słońce uczuciem ulgi, jakby jego złota tarcza mogła odegnać zagrożenia niesione przez świat mroku Majów i Władców Nocy. W tym samym momencie profesor McCarter poczuł ogromną więź z tym starożytnym ludem, którego historię od tylu lat studiował. Zrozumiał ten pierwotny strach i powód, dla którego tak wielu z nich czciło słońce.

- Będę potrzebował pomocy - powiedział Hawker, wstając.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Danielle. - Dokąd idziesz?

Pilot wskazał na polanę.

- Musimy sprawdzić, czy ktoś nie przeżył.

Laidlaw zmrużyła oczy.

- Naprawdę wierzysz, że któryś z nich miał szansę?

- Potrzebujemy broni - wyjaśnił. - I musimy mieć pewność, że nie żyją. A jeśli któryś jest tylko ranny... spróbujemy mu pomóc... jeśli to będzie możliwe.

McCarter od razu wyczuł absurdalność sytuacji. Minionej nocy Hawker i Verhoven zrobili wszystko, by wyeliminować tych ludzi. Strzelali im w plecy z zaskoczenia, nie dając szans na poddanie się. A teraz chcieli szukać cudem ocalonych i pomóc im w miarę możliwości.

Profesor, mając w pamięci obrazy nieludzkiego okrucieństwa, jakiego był świadkiem tej nocy, zgłosił się na ochotnika. Razem z Hawkerem ruszył na polanę, by obejść wszystkie bunkry. Zebrali jedenaście niemieckich karabinów maszynowych Heckler & Koch, tuzin skrzynek z amunicją i skonfiskowane im wcześniej kałasznikowy.

McCarter obserwował uważnie, jak pilot sprawdza, czy leżący w wykopach ludzie zdradzają jakiegokolwiek oznaki życia, a potem zabiera ich dokumenty i zrywa w milczeniu nieśmiertelniki tym, którzy je nosili. Czynił to z takim smutkiem, jakby żegnał towarzyszy broni, a nie wrogów. Profesor zastanawiał się, co były agent CIA zamierza zrobić z zebranymi identyfikatorami. Może wyśle je do jakiejś organizacji rządowej kraju, którego nazwa widniała na papierach.

- Najemnicy też mają rodziny - wyszeptał.

Jeśli Hawker go usłyszał, nie dał tego po sobie poznać.

W ostatnim bunkrze znaleźli kogoś żywego. Blondyna o rudawej bródce, który mimo postrzału nie stracił jeszcze całkiem przytomności, aczkolwiek był mocno zdezorientowany. Na prawym policzku miał wielki strup. Sądząc po śladach, kula albo otarła się o jego głowę, albo trafiła go rykoszetem, nie mając wystarczającej prędkości, by przebić czaszkę i zabić. Mężczyzna uniósł niepewnie lewą rękę na znak, że chce się poddać.

- Mówisz po angielsku? - zapytał Hawker.

Najemnik pokręcił głową.

- *Deutsch.*

- *Wie heisst du?* - zapytał. - Jak się nazywasz?

- Erie - odpowiedział ranny.

Pilot obszukał go, sprawdzając, czy nie jest uzbrojony, a potem pomógł mu przejść do centrum dowodzenia, gdzie czekali na nich pozostali.

Gdy Danielle zajęła się opatrywaniem rany, Hawker i McCarter zaciągnęli zwłoki zastrzelonych do najdalszego bunkra na zawietrznej i przysypali je ziemią, z której najemnicy zrobili wał.

- Co teraz? - zapytał profesor, gdy wrócili ponownie do centrum dowodzenia, wyrażając na głos myśl, która dręczyła ich wszystkich.

- Spieprzamy stąd, jak szybko się da - odparł pilot. - Zanim coś jeszcze się wydarzy.

Poszukaj jakiejś krótkofalówki albo radiostacji, z której korzystali jego ludzie - wskazał na Kaufmana. - Zabierz drania ze sobą, on musi wiedzieć, gdzie schowali środki łączności. Jeśli zaczniesz sprawiać problemy, zastrzel go na miejscu.

- Ja się tym zajmę - zaofiarował się ochoczo Verhoven.

Kaufman wstał, milcząc i piniąc się z wściekłości. Nadal w więzach poprowadził McCartera i Verhovena do innego sektora obozu.

Gdy zniknęli mu z oczu, były agent CIA zaczął się kręcić, szukając miejsca, gdzie mógłby zastanowić się w spokoju. W trakcie tych poszukiwań trafił na stos pojemników, które najemnicy Kaufmana wykopali w pobliżu świątyni dzięki detektorom metalu. Urządzenia znajdujące się w środku wyglądały bardzo nowocześnie, rdza nie zdążyła ich jeszcze tknąć. W dodatku wydawały

się niepokojąco znajome.

Przykłęknął i przyjrzał się pierwszemu pojemnikowi z brzegu, zdrapując błoto z powierzchni, dopóki nie pojawił się napis. TSC: Texas Sounding Corp. Pokręcił głową z odrazą. TSC było głównym dostawcą sprzętu dla NIB-u. Część wyposażenia, które dostali Laidlaw i McCarter, miała identyczne oznaczenia.

- Oczywiście - mruknął.
- Chciałam ci podziękować - usłyszał za plecami głos Danielle.
- Za co?
- Za to, że wróciłeś i nas uwolniłeś. I za uciszenie Kaufmana minionej nocy.
- Nie dziękuj - odparł, odwracając się do niej. - I tak wiem, co zamierzał powiedzieć. Zauważył, że popatrzyła na urządzenie, które trzymał w dłoniach.
- Ile oni wiedzieli? - zapytał. - Tyle samo co my czy jeszcze mniej?
- Kto ile wiedział?
- Grupa, którą wysłaliście tutaj przed nami - wyjaśnił. - Ta, która zostawiła tu sprzęt. Nie odpowiedziała.

- To jest odbiornik ultradźwięków - dodał. - Jakiś czas temu miałem w ręku identyczny. Przywiozłem go McCarterowi. Nie działał prawidłowo, ale był identyczny, pochodził od tego samego dostawcy. Prosto z listy sprzętu dla NIB-u. - Podniósł urządzenie wyżej. - Z ich powodu wiedziałas, że potrzebujesz tutaj małej armii. Miałas wcześniej inną ekipę. I straciłaś ją. - Złożyła ręce na piersiach. Przynajmniej nie starała się zaprzeczać wszystkiemu. To był krok we właściwym kierunku. - Szkoda, że mi o tym nie powiedziałaś.

- Dlaczego?
- Straciłaś tutaj cały zespół, a to oznacza o wiele wyższy poziom zagrożenia.

Uniosła brew.

- Strzelano do nas w porcie, znaleźliśmy okaleczone ciało w rzece, mało ci jeszcze było zagrożeń?

Miała rację, to powinno wystarczyć. Nie podobało mu się to, co miało miejsce do tej pory, czuł złość na myśl o tym, jak wielu ludzi już stracili. Z całego serca chciałby wskazać winnego, ale zdawał sobie sprawę, że sam tkwił w tym po uszy.

- Co się z nimi stało?

- Nie wiem - odparła. - Jakies pięćdziesiąt mil stąd przestali składać raporty. Nie powinni iść w tym kierunku. - Spojrzała na wschód, skąd przybyli. - Nie mieli pojęcia o Murze z Czaszek ani informacji, które my zdobyliśmy, dlatego nie pojmuję, jakim cudem zdołali odnaleźć tę świątynię. Niemniej dokonali tego. A potem... - zamilkła na moment. - Tubylcy. ... te bestie... Trudno powiedzieć.

Hawker obejrzał pole niedawnej bitwy, myśląc o ludziach, których właśnie pochowali. Zdał sobie nagle sprawę, że nie wie, ilu ludzi z jego ekipy postradało tu życie.

- Kto z naszych zginął?

- Wszyscy tragarze oprócz Brazosa, wszyscy ludzie Verhovena - wyliczała - Polaski, Susan. - Pokręciła głową. - Ostrzelali nas. Najpierw z helikoptera, potem z ziemi. Bałam się, że i ciebie zabili.

- Kiedy ruszyłem w kierunku obozu, obawiałem się, że nie zastanę tutaj nikogo żywego - przyznał, patrząc jej w oczy, ale zaraz spuścił wzrok, wdzięczny losowi za to, że choć część zespołu przeżyła, choć także przygnębiony ogromem poniesionych strat. - Źle zrobiliśmy, sprowadzając tutaj tych ludzi. Oboje wiedzieliśmy, że może do czegoś takiego dojść.

- To prawda - przyznała. - Ale to tylko moja wina. Nie możemy stąd teraz odejść. Skoro odzyskaliśmy kontrolę nad sytuacją, musimy znaleźć to, po co tutaj przybyliśmy. Musimy

wykonać zadanie.

Zaskoczyła go tym oświadczeniem.

- Chyba oszłaś!

- Najgorsze już za nami, Hawker.

- Najgorsze dopiero przed nami - zaprzeczył. - Nie słuchałaś Kaufmana, nie było cię tutaj minionej nocy? Chcesz jeszcze raz stanąć twarzą w twarz z tymi stworzeniami? Chcesz być tutaj, gdy zaatakują Indianie, marzący wyłącznie o tym, by rozedrzeć nas na strzępy? Te zagrożenia są wciąż realne. Nie zapominajmy też o Kaufmanie. Nie dbam o to, co mówi, jestem pewien, że ten drań ma gdzieś w pobliżu więcej ludzi. Jeśli nie skontaktuje się z nimi przez określony czas, przybędą, by sprawdzić, co się dzieje. Na nich też chcesz poczekać?

- Niezupełnie, ale wciąż mam zadanie do wykonania.

- Świetnie - odparł. - Zabierzmy stąd tych ludzi i wróćmy z nową ekipą, choćby z batalionem marines, jeśli chcesz. Pod ich osłoną poszukasz tego, po co tu przybyłaś, i nikt więcej nie zginie.

- Na to jest już za późno - stwierdziła. - Straciliśmy naszą przykrywkę. A jeśli masz rację co do Kaufmana, jego współpracownicy pojawią się tutaj, zanim zdołamy dotrzeć do Manaus. Albo zrobimy to teraz, albo nigdy.

Chciał, żeby dostrzegła jego rację, żeby skupiła się na zagrożeniach zamiast na celu misji. Odezwał się po raz kolejny, ale już znacznie ciszej.

- Jedno musisz zrozumieć. Minionej nocy udało nam się wygrać tylko dlatego, że ludzie Kaufmana spodziewali się ataku z zupełnie innej strony. To uczyniło z nich łatwe cele. Następnym razem nie będziemy mieli tyle szczęścia.

Zawahała się, spoglądając na drugą stronę obozowiska, na Kaufmana idącego w towarzystwie McCartera i Verhovena.

- Jest mi przykro z powodu wszystkiego, co się tutaj wydarzyło. Bardziej, niż ci się wydaje. Pewnie mi nie uwierzysz, ale naprawdę nie chciałam mieć nic wspólnego z tą ekspedycją. Jednakże w mojej branży idziesz tam, gdzie ci każą, i robisz to, co powiedzą. A mnie kazano przywieźć to, po co tutaj przybyliśmy. BWNK. Pamiętasz taki skrót? Teraz cel naszej misji jest w zasięgu ręki. Musimy tam tylko wrócić i zabrać go.

- Co zabrać? - zapytał, nie spodziewając się odpowiedzi.

- Gdzieś tam, w tej jaskini - odpowiedziała ku jego zaskoczeniu - znajduje się źródło energii. Urządzenie, dzięki któremu możemy stworzyć działający reaktor zimnej fuzji. Nie mogę ci zdradzić, skąd mam te informacje, ale zaręczam, że to nie żart. Kryształy przywiezione przez Martina były radioaktywne, nasze badania dowiodły, że brały udział w procesie zimnej fuzji nuklearnej. Albo znajdowały się w pobliżu tego urządzenia, albo były jego częścią.

Cofnął się o krok, zaszokowany.

- Jak takie urządzenie mogło się znaleźć w środku dżungli?

- Ktoś je tutaj ukrył - wyjaśniła. - Tyle tylko mogę ci powiedzieć. Jeśli je znajdziemy, zmienimy oblicze świata. Globalne ocieplenie, wojny o ropę, zanieczyszczenie środowiska, wszystko to będzie należało do przeszłości. Pomyśl o tym jako o nowym projekcie Manhattan, tylko ukierunkowanym na pokojowe zastosowania. Staniemy się życiem, zbawcą światów - sparafrazowała słynne powiedzenie Oppenheimera.

Hawker słuchał jej z rosnącym niedowierzaniem. Musiał rozmasować sobie skroń.

- Wiem, że nie wierzysz w nasz system - kontynuowała. - Niby dlaczego miałbyś wierzyć? Przecież zostałeś zeń wykluczony. Nawet ja nie mam pojęcia, o co poszło. Dostałam twoje akta, ale dwie trzecie z pięćdziesięciu stron, jakie się w nich znajdowały, było zaczernione. Z tego, co pozostało, mogłam jednak wywnioskować, że zawsze robiłeś to, co uważałeś za słuszne, nawet

jeśli to miało cię drogo kosztować.

- Nie zawsze - poprawił ją.

- Chodziło mi o to, że staram się zrobić tutaj to samo - wyjaśniła.

- Daję ci słowo, że warto to zrobić, dlatego proszę, pomóż mi. To twoja szansa, Hawker. Być może ostatnia, na jaką możesz liczyć. Odmienisz swoje życie, a patrząc na tę sprawę z szerszej perspektywy, odmienisz też życie wielu ludzi.

Szersza perspektywa. Z nią zawsze miał problem, zwłaszcza gdy przed oczami przelatywały mu wciąż tak straszne obrazy.

- Wiem, że chcesz stąd odlecieć i zabrać wszystkich ze sobą, ale jeśli to zrobisz, misja zostanie uznana za porażkę i twoje położenie jeszcze się pogorszy. Nie przeze mnie. Bóg jeden wie, że zawdzięczam ci życie. Pamiętaj jednak, że u władzy wciąż znajdują się ludzie, którzy cię wygnali. Oni nadal są tobą zainteresowani. I będą chcieli znaleźć winnego. Tym razem nie skończy się na wygnaniu. Zaczną cię ścigać.

Odwrocił się, był wściekły i zdezorientowany. Każ im tu przyjść po mnie, chciał powiedzieć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

- Tutaj giną ludzie - rzucił po chwili. - Dobrzy ludzie, nasi ludzie. Ty ich okłamałaś, a ja ci pomogłem wprowadzić ich, zadowolonych, roześmianych, prosto w czeluść piekła. Jeśli uważasz, że za to nie zapłacimy, to grubo się mylisz.

- Myślisz, że tego nie wiem? - zapytała. - Zginęli ludzie, na których mi zależało.

Porzucenie misji nie przywróci ich jednak do życia, za to jej wykonanie może sprawić, że ich poświęcenie nie pójdzie na marne.

- Spojrzała mu prosto w oczy. - Muszę tam wrócić, Hawker. I zrobię to bez względu na to, co zdecydujesz. Jeśli trzeba, wyruszę w pojedynkę, ale na pewno nie odejdę stąd z pustymi rękoma.

- Zanim to się skończy - ostrzegł - będziesz żałowała, że tego nie zrobiłaś.

Spuściła wzrok, ale spojrzała na niego raz jeszcze, zanim się obróciła i ruszyła w kierunku centrum dowodzenia.

Hawker pokręcił głową z niedowierzaniem, a potem rzucił odbiornik na ziemię i kopnął go ze złością. Urządzenie potoczyło się, rozpadając na kilka części. Gapił się na szczątki przez dłuższą chwilę, jakby w jego mniemaniu nabrały ogromnego znaczenia. Oderwało go od nich dopiero czyjeś wołanie.

Profesor McCarter biegł przez obozowisko, niosąc coś w jednej ręce, a drugą machając. Najpierw dotarł do Danielle. Rozmawiali przez chwilę, a potem czarnoskóry naukowiec chwycił ją za dłoń i pociągnął za sobą w kierunku Hawkera. Zanim znaleźli się przy stosie pojemników, profesor ledwie dyszał.

- Musimy wracać do świątyni - wysapał. - I to natychmiast.

- Czyście się najedli szaleju?

McCarter nie tracił czasu na wyjaśnienia. Pokazał pomarańczowy przedmiot, który trzymał w dłoni. Radiotelefon Kaufmana. Podkreślił głośność.

- Czy ktoś mnie sły...? Pa... Kaufman .. szę odpowie... -To był głos Susan Briggs, próbującej porozumieć się z szefem Futureksu.

- Susan żyje - ekscytował się profesor. - Odbieramy jej transmisję, ale ona nie słyszy nas. Nie odpowiedziała na żaden komunikat.

- Gdzie? - pytał Hawker. - Jak?

- Jest w jaskini pod świątynią, razem z tymi bestiami, jeśli Kaufman nie kłamał. Nie wydostanie się stamtąd bez naszej pomocy. Musimy zejść po nią, i to już.

Pilot rzucił spojrzenie Danielle. Oboje wiedzieli, co to oznacza. Laidlaw zyskała okazję do

zbadania jaskini.

- Ty chyba jesteś kotem - mruknął. - Masz dziewięć żyć. Tylko nie zapomnij, ile z nich już straciłeś.

## ROZDZIAŁ 35

HAWKER ZATRZYMAŁ Się OPODAL BRZEGU JEZIORA W JASKINI i spojrzął na jego spokojne wody. Na dnie widać było połyskujące, białe kalcyty poznaczone w wielu miejscach kulkami wielkości ziarnka grochu, zwanymi perłami jaskiniowymi. Wszystko wokół lśniło w świetle latarki, jakby zostało pokryte warstwą lakieru bezbarwnego.

Skierował snop blasku w stronę znajdującego się czterdzieści stóp wyżej sklepienia. Tam także dostrzegł rozmaite formacje, wielkie stalaktyty zwisały gromadami, mierząc szpicami prosto w jego głowę. Niektóre miały po piętnaście stóp długości i trzy średnicy u podstawy. Wokół nich widać było masę znacznie mniejszych igieł, które kojarzyły mu się z niekończącymi się rzędami zębów rekina. Nazywano je potocznie lamówkami. Nieco dalej zauważył także „makarony”, ich cieniutkie końce błyszczały od wilgoci.

- Niezła jaskinia - mruknął, ale i tak jego słowa odbiły się wielokrotnym echem.

Danielle, McCarter i Verhoven doszli do tego samego wniosku.

- Siarkowa - sprecyzował profesor, świecąc wokół latarką. - Większość jaskiń tworzy się w piaskowcach, ale czasami kwas potrafi wydrążyć także inne, trwalsze skały. Tak było na przykład w Lechuguilla Cave w Nowym Meksyku. To by tłumaczyło obecność kwasu w studni powyżej tego jeziora.

Hawker przyjrzał się raz jeszcze wodzie. Obejrzał z Verhovenem nagrania robione przez Langa, i to kilkakrotnie. Słyszał było na nich głośnie pluski. Zdawał więc sobie sprawę, że zagrożenie przyjdzie z wody, ale na razie nie widział w toni niczego dziwnego.

- Którędy idziemy? - zapytała Danielle.

- Po prawej jest ścieżka prowadząca na drugi brzeg... - Hawker wskazał palcem.

Przymocował latarkę do lufy swojego karabinu. Pozostali poszli za jego przykładem, poza Verhovenem, który zaopatrzył się w broń innego rodzaju. W arsenale Kaufmana znalazł shotguna; wielkiego, powtarzalnego mossberga. Prawą rękę trzymał na spuście, lewą, połamaną, kazał sobie przykleić mocno do łoża, by mógł nią przeładowywać.

Ruszyli ścieżką gęsiego, wypatrując w wodzie nadciągającego niebezpieczeństwa. Hawker prowadził, tuż za nim szła Danielle. Dźwigała niewielki plecak wypełniony sprzętem. Licznik Geigera zawieszony na pasku jej spodni tykał cicho.

- Biorę go na wszelki wypadek - wyjaśniła. - Kryształy Martina zostały napromieniowane. Tak samo jak ziemia wokół świątyni.

- Dzięki, że nam o tym powiedziałaś.

- Nie masz się czego obawiać. To naprawdę śladowe ilości promieniowania. Musielibyśmy tkwić tu latami, żeby nam zaszkodziło.

Hawker nie miał zamiaru zostawać tu aż tak długo. Szedł dalej, kierując się w stronę tamy. Kiedy zobaczył siedem zbiorników i wygładzone podłoże, zatrzymał się.

- Widziałem to miejsce na ostatnich nagraniach - powiedział i popatrzył pytająco na Verhovena. - Gotowy?

Afrykaner skinął głową.

- Zdajesz sobie sprawę, że śrut nie sięgnie niczego, co znajduje się na głębokości większej niż pięć, sześć stóp.

- Owszem - przyznał pilot. - Ale z pewnością obudzisz wszystkie cholerstwa siedzące na dnie.

Verhoven wzruszył ramionami.

- Będę cię osłaniał.

Hawker wszedł na tamę, zlustrował powierzchnię jeziora, a potem odwrócił się do niego plecami. Afrykaner zajął pozycję na skraju kamiennej konstrukcji, gotowy na ostrzelanie wszystkiego, co mogłoby zaatakować pilota od tyłu.

Hawker pochylił się nad pierwszym zbiornikiem, posłał w jego głąb dwie krótkie serie i odskoczył, wypatrując reakcji.

Echa wystrzałów przetoczyły się pod sklepieniem jaskini i powróciły z mroku, wibrując w uszach. Powierzchnia wody pozostała spokojna. Jeden zbiornik sprawdzony, zostało jeszcze sześć.

Hawker podchodził do kolejnych studni i powtarzał tę samą procedurę, dopóki nie sprawdził całego plastra miodu. Wyglądało na to, że wszystkie zbiorniki są puste.

Zszedł z tamy i raz jeszcze zbadał wzrokiem okolicę, dając na koniec znak pozostałym, że teren jest czysty.

- Dziwna formacja - mruknął McCarter na widok studni. - Siedem zbiorników. Ciekawe, Siedem Jaskiń, Siedem Kanionów...

- I Źródło Kwaśnej Wody - przypomniała mu Danielle.

Hawker skierował broń z przyklejoną latarką na drugą stronę wyrównanego terenu, oświetlając wnętrze jaskini. Mieszczący się nad brzegiem jeziora plac miał około stu stóp szerokości i długości. Przeciwległy koniec przylegał do ściany jaskini. Na bliższym końcu znajdowała się tama i siedem zbiorników, po przeciwnej stronie widać było coś w rodzaju zrujnowanego szlaku prowadzącego do głębszej części podziemi. Tam powinni się teraz udać, zdaniem Hawkera.

Skierował raz jeszcze promień światła na ścieżkę, którą tutaj przybyli, i zamarł. Tam, gdzie jeszcze przed momentem powierzchnia wody była idealnie gładka, przy samym brzegu, rozchodziły się niewielkie fale. Wodził oczami tam i z powrotem, oświetlając toń od ściany jaskini po środek jeziora.

- Coś nie tak? - zapytała Danielle.

- Woda jest wzburzona - odparł. - Coś do niej wskoczyło albo z niej wyszło.

Zaschnięte ślady krwi świadczyły o tym, że obie ofiary zostały zabite tutaj, na otwartej przestrzeni. Nie było to najlepsze miejsce na postój.

- Idziemy - rozkazał Hawker. - Musimy znaleźć osłonę.

Zaprowadził ich na sam koniec placu, do miejsca, gdzie wygładzone podłoże łączyło się z pionową, ostrą, kamienną ścianą. Przywarli do niej, ustawiając się pomiędzy Verhovenem, który krył lewą flankę, i Hawkerem po prawej. Przed sobą mieli cały wygładzony plac. To było idealne miejsce do obrony, nikt nie mógł zająć ich od tyłu, a przed sobą i po bokach mieli rozległą, otwartą przestrzeń, na której potencjalny przeciwnik byłby widoczny z daleka i wystawiony na ich ogień.

- Zauważyłeś coś? - zapytał Verhoven.

- Tylko wodę.

Afrykaner otworzył usta, by dodać coś jeszcze, ale zamilkł, gdy do jego uszu dotarł stłumiony dźwięk. Szuranie, zgrzytliwe szuranie, jakby ktoś ciągnął kamień po kamieniu.

- Co to było? - wyszeptał McCarter.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Za to wszyscy wyteżali wzrok w poszukiwaniu źródła hałasu. Snopy światła z latarek krzyżowały się w mroku.

Odgłos powtórzył się. Usłyszeli dwa długie, wolne zgrzytnięcia zakończone przytłumionym kliknięciem. Natychmiast wstrzymali oddech, cichnąc jeszcze bardziej, przepatrując mrok.

- A jeśli to Susan? - zapytał w końcu profesor. Po zejściu do jaskini kilkakrotnie próbował wywołać ją przez radio, ale nie odpowiadała. - Może zaważyła się część stropu i przygniotła ją, dlatego teraz stuka kamieniem, by dać nam znak, gdzie jest. Ofiary lawin wzywają tak czasami pomocy.

Hawker wsłuchał się w dźwięki, gdy rozległy się po raz trzeci.

- To nie ona - ocenił.

- Jesteś pewien? - nie dawał za wygraną profesor. - To może...

- Te hałasy dochodzą z różnych stron - wyjaśnił pilot. - Z kilku źródeł.

Z ciemności popłynęły kolejne dźwięki, ciche, ale bardzo charakterystyczne: klik, klik, zgrzyt, zgrzyt.

- Skąd one dochodzą, u licha? - dopytywała Danielle, wodząc oczyma na wszystkie strony.

To było dobre pytanie. Przy takiej akustyce jaskini hałasy wydawały się dobiegać ze wszystkich stron naraz. Klik, klik... zgrzyt, zgrzyt, klik, klik.

Laidlaw i profesor z trudem powstrzymywali się od rozpoczęcia poszukiwań. Stojący po ich prawej Hawker nie zwracał na nich uwagi, skupiony na obserwowaniu swojej strony przedpola. Wiedział, że Verhoven postępuje podobnie. Czekali więc obaj z bronią gotową do strzału, stojąc plecami do ściany, na najdogodniejszej z możliwych pozycji. Cokolwiek tam na nich czyhało, zanim dotrze do tego miejsca, będzie musiało pokonać spory kawał otwartej przestrzeni.

- Zostańcie przy ścianie - szepnął. - Cokolwiek się wydarzy, nie odchodźcie od ściany i nie włączcie nam w drogę.

Klik, klik, zgrzyt, zgrzyt. Tym razem głośniejszy, bliżej.

Danielle i McCarter przywarli do skał.

Hawker omiół okolicę światłem latarki, analizując ukształtowanie terenu. Po swojej stronie miał około sześćdziesięciu stóp płaskiego podłoża, dopiero dalej zaczynał się gęszcz formacji skalnych i nacieków. Jaskinia za nimi przedzielona była wąskim pasem jeziora, które zdawało się ją przecinać na pół. Tylko tutaj mieli szansę na dostrzeżenie zagrożenia z odpowiednim wyprzedzeniem, niemniej dotychczasowa niemal nieustanna obserwacja nie dała żadnych efektów.

- Jest po twojej stronie, Pik.

- Nie sądzę - odparł Afrykaner, kręcąc głową.

Klik, klik.

- Musi być.

- A ja ci mówię, że tu nic nie ma - zachnął się Verhoven.

Skrobanie rozległo się ponownie, tym razem cichsze i jakby odleglejsze. Potem zapadła cisza, która okazała się o wiele straszniejsza od dziwnych hałasów.

Stali nadal nieruchomo, czekając na znak zwiastujący niebezpieczeństwo, wsłuchując się w najłżejsze nawet szmery. Nie zobaczyli jednak niczego i niczego nie usłyszeli. Nic się nie poruszyło w mroku, nic nie zachrobotало, w uszach tętniło im bicie własnych serc i odległe kapanie wody. Na koniec zaczęli odnosić wrażenie, że czas zamarł.

Kamienne podłoże błyszczało od wilgoci, w powietrzu unosiły się opary siarki, ale jaskinia wydawała się kompletnie martwa.

Hawker sprawdził lewą flankę, upewniając się, że Verhoven nie przeoczył niczego, a potem jeszcze raz swoją. *Co mi umyka, do jasnej... ?*



Zanim zdążył dokończyć tę myśl, dostrzegł coś kątem oka. Drobinka kurzu zawirowała w snopie światła rzucanego przez latarkę Danielle. Rozbłysła na moment niczym spadająca gwiazda, odpowiadając na niedawno postawione pytanie. Spojrzał w górę.

- W nogi!

Chwycił Laidlaw za ramię i odepchnął ją od ściany, zanim z mroku wyłonił się cień spadający z ukrytego w mroku sklepienia. Stworzenie pokonało pięćdziesiąt stóp i walnęło w kamienne podłoże, tam gdzie jeszcze przed chwilą stała. Udało mu się zahaczyć pazurem tylną stroną łydki Danielle, zanim Hawker zdążył ją odciągnąć. Reszta grupy rozpierzchła się na wszystkie strony. W mroku migały chwiejące się promienie latarek. Ich światło budziło refleksy na przecinających powietrze ostrych kłach, pazurach i kroplach śliny.

Zwierzę odwróciło się i skoczyło za McCarterem. Deszcz śrutu z broni Verhovena posłał je z powrotem pod ścianę.

- Uwaga! - wrzasnął profesor.

Druga bestia wylądowała za plecami Afrykanera. Zanim zdążył się obrócić, z lufy karabinu Hawkera wydobyła się struga ognia. Gazy wylotowe rozjaśniły ciemności, tworząc w jaskini efekt stroboskopowy. Pociski przeszły bestię skaczącą właśnie na Verhovena, nie powstrzymując jej jednak przed upadkiem na niego.

Pchnięty najemnik poleciał na twarz, w tym samym momencie pilot wystrzelił drugą serię. Stwór zaskowyczał i odskoczył. Gdy McCarter zaświecił mu latarką prosto w ślepią, zasyczał głośno i umknął w ciemność ścigany gradem pocisków.

Światła latarek wciąż krzyżowały się w mroku. Tupot łap uciekającej bestii mieszał się z łomotem podkutych butów, przenikliwy syk tonął we wrzaskach, ostrzeżeniach i huku wystrzałów rozbrzmiewających echem w całej jaskini.

Danielle wróciła na czworakach pod ścianę. Ciągnęła za sobą bezwładną, obolałą nogę. Gdy oparła się plecami o ścianę, wyszarpnęła z kieszeni flarę i rzuciła ją na środek placu. Błask palącego się fosforu oślepił ich na moment, ale po chwili zelżał i czerwona poświata zalała całą jaskinię, ukazując jedną bestię, która właśnie ześlizgiwała się do wody, drugą czołgającą się w kierunku jeziora i trzecią wiszącą wciąż pod sklepieniem i przyglądającą się z oddali toczonemu bitwie.

- Hawker! - zawołała Danielle, wskazując ręką w górę.

Pilot obrócił się i nacisnął spust w momencie, gdy dostrzegł wpitego pazurami w skałę potwora. Bestia zaskrzeczała z bólu, wydając dźwięki przypominające tysiącrotnie wzmocniony pisk tropikalnych ptaków. Jej tylne łapy straciły przyczepność, zadyndała na przednich, gdy Hawker posłał w jej kierunku drugą serię. Trafiony raz jeszcze zwierzę zawył i runął prosto w toń. Za nim posypał się deszcz odłamków, lądujących w wodzie z ogłuszającym łoskotem.

Hawker pojął w końcu, co tu się wydarzyło. Stworzenia wypełzły z wody i wspięły się po ścianie jaskini nad głowy czekających na nie ludzi.

Kliknięcia były odgłosem towarzyszącym chwytaniu przez nie kolejnych występów w skale. Szuranie słyszeli, gdy przesuwały się pomiędzy stalaktytami i innymi formacjami skalnymi.

Przyjrzał się raz jeszcze poszarpanej powierzchni sklepienia. Ogromna liczba nacieków nie pozwalała na dokładne sprawdzenie całej przestrzeni. Na pewno nie dało się tego zrobić, stojąc w jednym miejscu. Przesunął się wzdłuż ściany, wykręcając szyję, jak tylko się dało. Stojący dwadzieścia stóp dalej McCarter robił to samo. Danielle widząc, co zamierzają, rzuciła drugą flarę.

Gdy pozostali zajęli się obserwacją sklepienia, Verhoven wstał powoli z ziemi. Padając, wylądował na połamanej dłoni, co przysporzyło mu niewyobrażalnego bólu. Taśma, którą przykleił rękę do shotguna, podarła się w kilku miejscach, ale zdążył przeładować broń, zanim

uwolnił się mocnym szarpnięciem. Sprawdził najpierw placyk, potem rzucił krótkie spojrzenie w górę. Nie znajdując nigdzie kolejnych źródeł zagrożenia, skupił całą uwagę na bestii, która przyprawiła go o takie cierpienie. Ranny stwór, rzucając się spazmatycznie, usiłował dopełznąć do jeziora.

Verhoven ruszył za nim, klnąc na głos, gdy zrywał resztki taśmy z ręki. Gdy zrównał się z bestią, wymierzył i strzelił jej prosto w łeb. Stworzenie znieruchomiało.

Zadowolony z siebie Afrykaner opuścił broń. Reszta ekipy wciąż przeszukiwała sklepienie. Spojrzał znowu w górę i uśmiechnął się z wyższością.

- Nie ma ich! - zawołał, nie kryjąc tryumfalnego tonu. - Albo uciekły, albo je wybiliśmy.

Brał udział w tak wielu potyczkach, że nie był w stanie ich zliczyć. Każda z nich miała zupełnie inny przebieg, podobnie było i z tą. Teraz, gdy zabili jedną z bestii, raniąc dwie pozostałe i zmuszając je do ucieczki pod wodę, poczuł, jak opuszcza go napięcie. Znikło tak szybko jak płomień świecy zdmuchniętej na wietrze. Rozejrzał się po raz ostatni, lustrując sklepienie jaskini i jej podłoże, a potem podszedł do Danielle.

- Coś poważnego?

Laidlaw siedziała pod ścianą, polewając tydkę wodą utlenioną, obok leżała otwarta apteczka.

- Jakoś przeżyję - odparła, obserwując płyn pieniący się na ranie.

Verhoven spojrzał na Hawkera i McCartera, wciąż przeszukujących sklepienie.

- Dajcie już spokój! - zawołał. - Jeszcze sobie poskręcacie karki, wyciągając szyje jak te durne pelikany.

Profesor poszedł za jego radą; rzuciwszy jeszcze okiem na kilka zakamarków, opuścił broń i ruszył w stronę ściany. Hawker jednak pozostał na posterunku i systematycznie przyglądał się cieniom pomiędzy formacjami skalnymi na sklepieniu w nieco dalszej części jaskini.

Verhoven skwitował to śmiechem.

- Paranoik - burknął.

Spojrzał na Danielle, która wciąż opatrywała ranę.

- To się nazywa rana odniesiona w boju. Zostanie po niej piękna blizna.

Spojrzała na niego z wyrzutem, więc znów zaniósł się śmiechem. Nigdy wcześniej nie widzieli go tak pobudzonego.

Powracający do grupy profesor przystanął przy zabitej bestii. Leżała na boku martwa jak głaz, choć niektóre jej mięśnie wciąż drgały. Z ran wyciekała gęsta, ciemna ciecz, a od cielska bił ostry, dziwny odór. Zdaniem McCartera przypominał nieco smród gnijących warzyw. Z niedużej odległości cuchnął bardziej niż wyziewy siarki.

Leżący przed nim okaz był mniejszy od tego, który zaatakował ich minionej nocy przy drzewie. I to o niemal połowę. Miał też znacznie grubsze kończyny w stosunku do reszty ciała, jak szczenię. Na oko mógł ważyć ponad dwieście funtów, aczkolwiek kiedy atakował, wydawał się znacznie większy.

Profesor przyjrzał się mocno uszkodzonej głowie, którą roztrzaskał oddany z bliska strzał z shotguna. Gdyby to była czaszka człowieka, ślad by po niej nie został. Łeb także wydawał się nieproporcjonalnie duży. Był bardzo kanciasty, podłużny i spiczasty. Ocalałe oko nie miało powieki, połyskiwało pod warstewką gęstej, lepkiej cieczy, jak okazały klejnot. Zwierzę miało czarną skórę, ale nie jednolicie, w kilku miejscach widać było jaśniejsze pasma, z tym że chodziło tu raczej o fakturę niż kolor. Zwłoki błyszcząły mocno, pokrywała je ciemna wydzielina sącząca się z milionów mikroskopijnych porów.

Czymkolwiek było to stworzenie, różniło się znacznie od wszystkiego, z czym McCarter zetknął się w życiu albo o czym słyszał. Nawet jego budowa wydawała się całkowicie obca. Korpus składał się z kilku zachodzących na siebie części, łapy były grube, masywne, ale miały

proste i zupełnie odsłonięte stawy jak zawiasy przy drzwiach - górna połowa wchodziła w dolną. Na zgięciu dostrzegł włóknistą tkanę mięśniową, wyglądała jak zwoje drutu na transformatorze. Wąski kark skojarzył mu się za to z insektami, u jego nasady dostrzegł rzędy sztywnych włosków albo wypustek, układających się w literę V.

Prawdziwa paskuda, uznał McCarter, w dodatku mająca wszelkie cechy drapieży: stereoskopowy wzrok, wąski, potężnie umięśniony tułów, pazury przypominające ostrza zakrzywionych mieczy. W otwartym teraz pysku o masywnej szczęce widać było rzędy spiczastych zębisk.

Profesor uniósł głowę ku sklepieniu, po którym te stworzenia przed momentem chodziły. Oczyma wyobraźni ujrzał malowidła Majów, na których ludzie stoją na ziemi, nie mając pojęcia o Xibalbanach znajdujących się pod ich stopami, tyle że nogami do góry. *Gdybym wiedział, że takie stworzenia zamieszkują te jaskinie, zapewne także bym je uważał za zaświaty...*

Wzdrygnął się na tę myśl. Danielle i Verhoven podeszli do niego, by przyjrzeć się martwej bestii. Laidlaw interesowała się zwłaszcza ranami wlotowymi po pociskach wystrzelonych przez Afrykanera. Skóra w miejscach przestrzelin wyglądała jak szyba trafiona piłką baseballową. Wokół otworu widać było pajęczynę rozchodzących się pęknięć.

Danielle pchnęła korpus zwierzęcia lufą karabinu. Był sztywny. Postukała w niego. Wydał dźwięk, jakby był pusty.

- Egzoszkielec - mruknęła. - Pancierz z kości na wierzchu. Żadne duże zwierzę nie ma czegoś takiego. Tylko owady i skorupiaki.

- Zatem to tylko pieprzony *gogga* - wtrącił Verhoven, używając wyrazu oznaczającego w języku afrikaans robactwo.

McCarter poklepał najemnika po ramieniu i pokazał mu sporą purpurową plamę na kamizelce, w miejscu, gdzie uderzyła bestia. Włókna były porozdzierane i odbarwione, jakby zostały potraktowane czymś żrącym.

- To jakaś wydzielina - uznała Danielle. - Ciało tego zwierzęcia jest nią pokryte.

Gdy Verhoven zrywał z siebie uszkodzoną kamizelkę, Laidlaw przyklękła przed zastrzelonym potworem.

- Czujecie to?

McCarter skinął głową.

- Przypomina amoniak - powiedział. - Czulem ten zapach, kiedy zostaliśmy zaatakowani pod drzewem minionej nocy. Ale od tego stwora czuć go znacznie bardziej, mimo że jest o wiele mniejszy.

Danielle pokiwała głową i spojrzała w kierunku tamy i siedmiu zbiorników.

- Pomyślałam o tym samym - przyznała. - Wiem chyba, o co tu chodzi. Amoniak to zasada i naturalny neutralizator kwasu. Chyba dlatego ich skóra wydziela go tak wiele, chociaż sądząc po tym, jak mocno została uszkodzona kamizelka Pika, to musi być coś mocniejszego od czystego amoniaku.

- Po jaką cholere im coś takiego? - zdziwił się Verhoven.

Danielle wskazała głową zbiorniki.

- Dzięki tej wydzielinie mogą tam przetrwać. Neutralizują nią działanie kwasu.

McCarter przypomniał sobie, jak pomagał synowi odrabiać zadania domowe z chemii i musiał ciągle zaglądać na wydział nauk ścisłych, by uzyskać odpowiedzi na trudniejsze pytania. Zasady były równie niebezpieczne jak kwasy. Ale kiedy mieszano oba te związki chemiczne, neutralizowały się wzajemnie. Osobno jednak były żrące i mogły wyrządzić potworne szkody tkankom organicznym, a nawet materiałom o wiele odporniejszym od ludzkiej skóry. Profesor spojrzał na Danielle. Miała całkowicie odsłoniętą tydkę, odcięła bowiem nożem rozdartą część

nogawki. Skóra wokół rany była zaczerwieniona, ale nie dostrzegł na niej żadnych bąbli.

- Jak tam noga? - zapytał.

Danielle spojrzała w dół. Domyślała się, że wyrzucony kawałek spodni musiał wyglądać podobnie jak kamizelka Verhovena, aczkolwiek nie mogła tego sprawdzić po tym, jak cisnęła go gdzieś w mrok.

- Polałam ranę wodą utlenioną - odparła. - Bałam się infekcji, użyłam jej więc w charakterze środka dezynfekującego, ale to przecież też kwas, w pewnym stopniu rzecz jasna, i zdaje się, że udało się nim zneutralizować działanie zasady z wydzieliny, która dostała się na moją skórę. Ale muszę przyznać, że czuję się dziwnie, jakby mi w tej ranie płonął zimny ogień, wiecie, to takie uczucie jak po włożeniu do ust mocnego cukierka miętowego.

- Może powinnaś jeszcze raz przepłukać ranę wodą utlenioną - poradził jej profesor.

Gdy Danielle zaczęła szukać plastikowej buteleczki, Verhoven wyciągnął dłoń i zawiesił ją nad cielskiem martwej bestii.

- Zauważyłaś coś jeszcze? - zapytał, spoglądając na Danielle. Pokręciła głową. - Martwe zwierzęta emanują ciepłem - wyjaśnił. - Gdy je zabijesz, możesz wyczuć, jak wydostaje się z każdej rany. W tym wypadku jest zupełnie inaczej.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Może są zimnokrwiste, a raczej mają znacznie zimniejszą krew niż stworzenia, które znamy.

- To by po części tłumaczyło, dlaczego nasze sensory miały problemy z ich wykryciem - rzuciła Danielle.

Verhoven wskazał na koniec ogona ozdobiony parą przypominających żądła kolców.

- Widziałaś kiedyś coś podobnego?

Danielle pokiwała głową, a McCarter przypomniał sobie zwłoki znalezione w rzece i dwie okrągłe dziury w klatce piersiowej, rany, w które coś wbito, a potem wyrwano. Te stwory były potwornymi maszynami do zabijania, ale musiał przyznać, że budziły jego podziw.

- Czym są te bestie? - zapytał, wymieniając spojrzenia najpierw z Danielle, a potem z Verhovensem. Niestety żadne z nich nie znało odpowiedzi.

Moment później dołączył do nich Hawker i też zerknął na truchło zwierzęcia.

- Milutkie - mruknął. - Ta wycieczka dostarcza nam coraz większych atrakcji. Muszę pamiętać, aby następnym razem zabrać ze sobą całą rodzinę. - Spojrzał na McCartera. - Nie zapominaj, doktoru, po co tu przyszedliśmy.

Ruszyli dalej, pozostawiając bestię, którą skrycie wszyscy podziwiali, wzdłuż ścieżki odkrytej za wygładzonym placykiem. Dotarli nią do głębszej części jaskini. Wkrótce skalne ściany zbliżyły się do siebie, a następny ich odcinek także był wygładzony za pomocą narzędzi. Szli teraz wąskim kanionem, który wkrótce zamienił się w tunel, gdy sklepienie zniżyło się do poziomu ich głów. Po chwili dotarli do małego prostokątnego portalu, nie miał więcej niż cztery stopy wysokości i osiemnaście cali w najszerszym miejscu. Musieli kucać, by przepchnąć się na drugą stronę. Ledwie się tam znaleźli, z ciemności dobiegł cichy, chrapliwy głos.

- Pan Kaufman?

- To my, Susan - odparł McCarter. - Nie Kaufman.

Wyszła z cienia.

- To pan, profesorze?

- Nic ci się nie stało?

Podbiegła do niego. Rzuciła mu się prosto w ramiona, co przyjął z lekkim tylko zakłopotaniem. Słyszał świsty w każdym jej oddechu, więc natychmiast sięgnął po inhalator, który odszukał i przezornie zabrał ze sobą do jaskini.

Natychmiast z niego skorzystała.

- Słyszałam strzały - zaczęła mówić, do oczu napłynęły jej łzy. - Nie wiedziałam, czy... - przerwała w pół zdania i zaczęła się przyglądać uważniej ich twarzom. Kiedy dotarła do Hawkera, wyglądała na mocno zaskoczoną. - A co pan tutaj robi? Co się stało z ludźmi Kaufmana?

- Większość z nich zginęła - wyjaśnił McCarter. - Kaufman został na powierzchni. Brazos go pilnuje. Przyszliśmy, bo odebraliśmy twoje wezwanie przez radio - dodał. - Ty nas, zdaje się, nie mogłaś słyszeć.

- Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi - przyznała. - Nie wiem jednak, czy prawidłowo obsługiwałam ten nadajnik. W każdym razie udało mi się wyczerpać baterię.

Opowiedziała im o ataku i o tym, jak zdołała przetrwać.

- Gdy ta bestia zabiła ostatniego najemnika, jego radio poleciało w moją stronę i uderzyło mnie. Chwyciłam je i uciekłam. Dobiegłam aż tutaj i przecisnęłam się przez ten otwór. Okazało się, że to ślepy zaułek, ale gdy próbowałam stąd wyjść, pojawiały się bestie. Drapały pazurami po kamieniach całymi godzinami, lecz otwór był dla nich zbyt mały i nie potrafiły się przecisnąć. Dlatego tutaj zostałam.

- I bardzo dobrze - mruknął Hawker. - Teraz jednak będziemy musieli pokonać drogę powrotną. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej dla nas.

Susan chwyciła McCartera za rękę.

- To prawda - powiedziała - ale najpierw musicie coś zobaczyć.

Poprowadziła ich w głąb komory, potem wąskim korytarzem przez jedną salę i następne. Wszystkie te pomieszczenia wykuto w skale, miały pionowe ściany i niemal równe podłogi. Wymagało to o wiele większej precyzji niż pozbycie się stalagmitów przy tamie. W miejscach, gdzie stopy Susan usunęły warstwę kurzu, posadzka lśniła, jakby zrobiono ją z polerowanego marmuru. McCarter przystanął, by się jej przyjrzeć, ale Susan pociągnęła go za sobą.

Wskazała na ścianę pokrytą dziwnymi geometrycznymi symbolami i znajdujące się obok hieroglify Majów. Potem podeszła do stosu gruzu, jaki pozostał po zawaleniu się części sklepienia oraz ścian, i przykleknęła przy nim.

Zaskoczony profesor zastygł w pół kroku. Wśród odłamków zauważył postać, częściowo przysypaną ułomkami kamieni. W półmroku wziął ją za zwłoki dziecka, ale gdy przyjrzał się uważnie, zrozumiał, iż ma przed sobą coś zupełnie innego.

Istota ta miała mniej niż cztery stopy wzrostu. Nogi i miednica były oddzielone od reszty torsu, zaś mięśnie i wnętrzności już dawno uległy rozkładowi. Czaszka przypominała z grubsza ludzką, ale była mocno zdeformowana i okrągłej sz. W górnej części twarzy widać było dwa wielkie otwory, w których kiedyś musiały znajdować się oczy. Nad nimi profesor dostrzegł wąskie kostne wypustki i cofnięte czoło.

Zamiast żeber stworzenie to miało dwie zagięte płytki wyrastające z kręgosłupa. Otaczały one ciało, łącząc się z przodu i osłaniając tę część torsu, która u człowieka nazywa się klatką piersiową. W pewnym sensie istota ta była zbudowana podobnie jak bestie czatujące w jaskini. W jej kościach znajdowały się miriady niewielkich otworków.

McCarter dotknął czaszki, przesuwając palcami po gładkiej powierzchni kości. Przypominała mu skorupę skrzypłocza, którą znalazł na plaży, gdy był jeszcze dzieckiem.

- Szkielet był niemal całkowicie zasypany - wyjaśniła im Susan. - Na tyle zdołałam go oczyścić. Zabijałam w ten sposób czas.

- Co to jest? - zapytał profesor.

W odpowiedzi tylko pokręciła bezradnie głową.

Danielle stała z szeroko otwartymi ustami, nie zwracając zupełnie uwagi na ich rozmowę.

- Mój Boże - wyszeptala. - Nie spodziewalam się... Nie wierzę, po prostu nie wierzę...

## ROZDZIAŁ 36

Danielle Laidlaw nie spuszczała wzroku ze zdeformowanego szkieletu, leżącego przed nią pośród gruzu. Domyślała się, z czym ma do czynienia, aczkolwiek wciąż trudno jej było w to uwierzyć.

McCarter zauważył jej rozterkę.

- Ty coś wiesz o tym stworzeniu - stwierdził. - Wiesz o nim znacznie więcej niż my wszyscy.

W jej umyśle pojawiło się ostrzeżenie - kłam! Mogła im powiedzieć, że mają przed sobą to, o czym pomyśleli na początku, czyli szkielet zdeformowanego człowieka, który spoczywał w tej świątyni od tysiąca lat z okładem. Z mutantem, którego postanowiono się pozbyć. Przypuszczała jednak, że prawda jest znacznie bardziej skomplikowana. I rzygać jej się chciało na myśl o kolejnych kłamstwach.

Przyjrzała się raz jeszcze czaszce, podziwiając łagodne sklepienie czoła. Dostrzegła cieniutką linię wrosniętą w kość, złotą nić nie grubszą od pojedynczego włókna pajęczyny. Dwie takie linie wybiegały z oczodołów, trzecią znalazła tam, gdzie powinno znajdować się ucho. Kość obrosła ją w kilku miejscach jak pień drzewa, które narastając, pochłania drut, którym zostało oplątane.

Teraz była już całkowicie pewna, więc gdy McCarter dostrzegł te metaliczne linie i spojrzał na nią pytająco, uznała, iż przyszła pora na wyjawienie prawdy.

- Tak, wiem o tej istocie więcej niż wy - przyznała, odpowiadając na pytanie profesora.

McCarter spoglądał na nią, zaciskając mocno szczęki.

- Domyśliłem się, że tutaj musi chodzić o coś więcej niż tylko zabytki Majów, kiedy pojawił się Kaufman na czele bandy uzbrojonych zbirów. Może zatem poinformujesz nas, po co naprawdę przyjechaliśmy? I dlaczego wszyscy dokoła chcą nas zabić?

- Daj spokój, doktoru... - Hawker próbował załagodzić sytuację.

- Nie wtrącaj się - powiedziała Danielle, unosząc ostrzegawczo dłoń. Nie opuściła jej już, tylko przytknęła do czoła. Czowała się, jakby dopadło ją jakieś choróbsko. Stojący przed nią McCarter zaczerpnął tchu.

- Czekam na wyjaśnienia - warknął.

Skinęła głową i zaczęła mówić.

- Potrzebowałam waszej pomocy, by znaleźć to miejsce, ponieważ my, czyli NIB, uważaliśmy, że możemy znaleźć w tej świątyni źródło energii, jakieś urządzenie czy maszynę, w której wewnątrz zachodzi tak zwana zimna fuzja.

Twarz profesora złagodniała, ale jej zdaniem był to raczej efekt kompletnego zaskoczenia niż czegoś innego. Chwilę później zadał niemal identyczne pytanie, jak przedtem Hawker.

- Dlaczego spodziewaliście się znaleźć takie urządzenie w środku dżungli?

- Ponieważ on - tu wskazała na szkielet - kimkolwiek albo czymkolwiek był, ukrył je tutaj.

McCarter spojrzał na szczątki, kręcąc głową, jakby chciał wytrząsnąć z niej natrętną myśl.

- Nie chciałbym być nieuprzejmy - odezwał się po chwili. - Wszyscy jesteśmy skonani i nie potrafimy myśleć trzeźwo, aleja naprawdę nie mam pojęcia, co próbujesz nam powiedzieć.

Danielle nabrała powietrza do płuc.

- Mówię, że jeśli teoria wysnuta w Instytucie jest prawdziwa, mamy przed sobą szkielet

istoty, która spoczywa tutaj od paru tysięcy lat, ale urodziła się w odległej przyszłości.

Gapili się na nią, wypatrując miny albo tiku, dzięki któremu mogliby stwierdzić, że skłamała i wciska im kolejną żalosną historyjkę bądź zwyczajnie stroi sobie z nich żarty. Niestety nie dopatryli się niczego podobnego i McCarter ponownie przeniósł wzrok na martwą istotę. Danielle zauważyła, że przygląda się złotym niciom z równie wielką uwagą jak ona przed chwilą.

- Mówisz poważnie? - zapytała Susan.

Laidław potwierdziła skinieniem głowy.

- Możesz nam to jakoś wyjaśnić? - poprosił profesor już mniej natarczywym, niemniej wciąż zagniewanym tonem.

- Spróbuję - obiecała. - Łatwiej będzie to zrozumieć, jeśli zacznę od samego początku. Dwa lata temu pewien asystent w Muzeum Historii Naturalnej zwrócił uwagę na kryształy przywiezione przez Martina. Zauważył w ich wnętrzu coś, czego nie rozumiał. Gdy spoglądał na nie w spolaryzowanym świetle, w kryształach pojawiał się labirynt linii. Twierdził, że kryształy same w sobie nie przedstawiają żadnej wartości i spędziły kilkadziesiąt lat w skrzyni na zapleczu, ale zaciękały go do tego stopnia, iż opowiedział o nich swojemu przyjacielowi. Traf chciał, że był nim Arnold Moore, mój dawny partner. Kilku naszych ekspertów obejrzało je i odkryło coś, co nawet nam wydało się niesamowite. Kryształy były zbudowane z kwarcu, ale miały także domieszkę bardzo złożonej substancji, emitującej słabe promieniowanie. Analiza spektralna wykazała ponadto, że w ich wnętrzu są uwięzione śladowe ilości trytu. - Przyjrzała się twarzom słuchaczy. - Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z tego, czym jest tryt, dlatego wyjaśnię od razu, że to gaz, który powstaje wyłącznie podczas reakcji nuklearnej, co sugeruje, że kryształy były wystawione na działanie promieniowania podczas procesu znanego jako zimna fuzja.

- Dlaczego odrzuciliście możliwość naturalnego skażenia? - zapytał McCarter.

Danielle jeszcze niedawno zadawała sobie to samo pytanie.

- Po pierwsze, braliśmy taką ewentualność pod rozwagę - odparła

- chociaż musiałoby dojść do naprawdę niespotykanego zjawiska, żeby tryt powstał samoistnie. Im dokładniej badaliśmy te kryształy, tym bardziej byliśmy przekonani, że mamy do czynienia z fenomenem jeszcze trudniejszym do wyjaśnienia. Wyglądało na to, że są one dziełem rąk człowieka. Używając mikroskopów elektronowych i innej równie skomplikowanej aparatury, ustaliliśmy, że kryształy te zostały wyhodowane, obrobione i wyposażone w sieć geometrycznych mikrokanalików wydrążonych w kwarcu. Były to miniaturowe światłowody, produkowane jednak w skali molekularnej. Można je było stworzyć wyłącznie za pomocą nanotechnologii, jakiej jeszcze nie znamy. Dlatego nie bylibyśmy w stanie ich powielić. Krótko mówiąc, to zabiło nam klina - dodała. - A ponieważ miniaturowe wzory wyglądały na jakieś układy, a nie zbiór przypadkowych linii, uznaliśmy, że musiały być tworem ludzkich rąk. - Z miny McCartera wywnioskowała, że na razie za nią nadaża. - Rozważaliśmy też możliwość, że ktoś chce nas zrobić - dodała - ale nasze wewnętrzne dochodzenie wykluczyło taką ewentualność. Wszystko się zgadzało: zdjęcia, rozmiary, dokumenty. Wszystko pasowało jak ulał. Kryształy, które trafiły w nasze ręce, były tymi samymi, które Martin znalazł, sfotografował i przywiózł z wyprawy do Amazonii w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. To jednak rodziło pytanie: skąd prymitywni Indianie mogli mieć tego rodzaju artefakty, i to na dwadzieścia lat przed rozpoczęciem ery atomu i prawie pół wieku przed stworzeniem pierwszego światłowodu? - Profesor pokiwał głową. Co jak co, ale musiał rozumieć, czym jest ciekawość badacza. - Nie znając odpowiedzi, przyjrzelśmy się uważniej reszcie materiałów przywiezionych przez Martina. Przełom nadszedł, gdy zbadaliśmy jego złotą kołyskę. - Mówiąc te słowa, przypomniała sobie, z jaką uwagą McCarter patrzył podczas odprawy na archiwalne zdjęcia z tym artefaktem. Pomyślała wtedy, że jest łasy na wiedzę. - Pamiętasz fotografię, którą wam wtedy pokazałam? -

zapytała. Skinął głową. - Przedstawiała ćwiartkę spodniej części. Jeden z czterech znajdujących się tam paneli - wyjaśniła.

- Tutaj muszę nadmienić, że kiedy patrzyło się na te rysunki z normalnej odległości, wydawały się zwykłym wzorem dekoracyjnym. Kropki, kreski i zawijasy. Ale jak już mieliście okazję zauważyć, w rzeczywistości były to mapy nieba. Pozostałe trzy panele, których wam nie pokazałam, przedstawiały inne gwiazdozbiory. Porównując je z astronomicznymi bazami danych, zdołaliśmy ustalić, na jakie miejsca wskazują.

- Jak tego dokonaliście? - zapytała Susan.

- Tą samą metodą, jaką żeglarze obliczają w nocy kurs - odparła.

- Potrafią określić miejsce na powierzchni globu na podstawie pozycji gwiazd. Obliczają kąt dzielący je od horyzontu i wzajemne ich ułożenie. W tym przypadku dane dotyczyły planet i ich orbit. Stanowiły coś w rodzaju kodu czasowego... jako że każda planeta w Układzie Słonecznym porusza się własnym rytmem, ich wzajemne ustawienie pozwalało nam określić przybliżony przedział czasowy. Oczywiście metoda obliczeń jest o wiele bardziej skomplikowana - zastrzegła się od razu - ale na szczęście na pozostałych panelach znaleźliśmy szczegóły, które pozwoliły nam nie tylko na zawężenie obszaru poszukiwań, ale też na ustalenie w miarę konkretnych dat.

Przyglądali się jej z powątpiewaniem, a ona robiła wszystko, by zrozumieli. Nie tylko pojęli, o co jej chodzi, ale także uwierzyli. I znaleźli usprawiedliwienie dla wyborów, których musiała dokonywać.

- Najprościej rzecz ujmując, jest tak: zadzieracie głowę i widzicie nad sobą słońce. To może oznaczać, że jest właśnie południe. Jeśli zobaczycie słońce i księżyc i będziecie wiedzieli, jaki to dzień, zdołacie bez problemu obliczyć szerokość i długość geograficzną. To samo dotyczy gwiazd widzianych w nocy. Jeśli spojrzycie w niebo i dostrzeżecie na nim kometę Halleya, będziecie wiedzieli, że jest rok tysiąc dziewięćset dziesiąty, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty albo dwa tysiące sześćdziesiąty pierwszy czy któryś kolejny w cyklach po siedemdziesiąt sześć lat, bo co tyle kometa powraca. Dodając kolejne takie elementy do naszej mapy i porównując je z pozycjami planet na ich orbitach, możecie ustalić z dużą precyzją, gdzie i kiedy się znajdujecie. A takie właśnie informacje zdobyliśmy dzięki panelom na kołysce. Na pierwszym z nich, tym, który wam pokazałam, widniał fragment nieba oglądanego z południowej półkuli. Odpowiadał on mniej więcej przesileniu i szerokości geograficznej oddalonej o nie więcej niż dwa stopnie od równika.

- Czyli taką, na jakiej aktualnie się znajdujemy - zauważył McCarter.

- Właśnie - przyznała. - Niestety z posiadanych danych nie mogliśmy obliczyć długości geograficznej, musieliśmy więc jej poszukać innymi sposobami.

- A co z pozostałymi panelami?

- Na nich znajdowały się znacznie bardziej skomplikowane układy, niemniej po uwzględnieniu wszystkich gwiazd, planet i komet na nich przedstawionych ustaliliśmy, że na drugim i trzecim panelu są także widoki południowej hemisfery, ale z różnych okresów historycznych. Pierwszy był datowany na sierpień trzy tysiące sto czternastego roku przed naszą erą, a drugi na grudzień dwa tysiące dwunastego roku.

- Czyli na początek i koniec Długiej Rachuby Majów - zauważył McCarter. - To znaczy kalendarza Majów.

- Wiesz lepiej ode mnie, jaką obsesję mieli Majowie na punkcie czasu - dodała, kiwając głową.

- A zwłaszcza tych dwóch dat - zgodził się z nią profesor. Zauważyła, że wrócił już do mentorskiego, akademickiego tonu, skupiając myśli na naukowej stronie zagadnienia. - Wiele ich



inskrypcji dotyczy obserwacji astronomicznych, nieraz bardzo dokładnych. Nie dziwi mnie odkrycie takich danych na jednym z ich artefaktów. Ale to jeszcze nie znaczy, że przywędrowały do nas z przyszłości.

Rozumiała jego sceptyczne podejście. W samym pomysle było coś niepokojącego, co od razu budziło w słuchaczu uprzedzenia.

- Oczywiście - powiedziała. - Taca z wyrytymi na niej układami gwiazd niczego jeszcze nie dowodzi, tak samo jak posiadanie kalendarza na przyszły rok nie oznacza, że było się w przyszłości, niemniej znaleźliśmy na tych panelach obiekty, których nie da się dostrzec gołym okiem ani nawet przez potężny teleskop. Mówię tutaj o kometach krążących po tak odległych orbitach, że potrzebują tysięcy lat na wykonanie jednego obrotu, i gwiazdach neutronowych nie emitujących światła w paśmie widzialnym, a tylko promieniowanie i fale radiowe. Majowie nie mogli ich dostrzec, tak samo jak Galileusz. Niektóre mogą być badane wyłącznie za pomocą najpotężniejszych radioteleskopów, takich jak czasza w Arecibo. A tego rodzaju sprzętem tubylcy i Majowie na pewno nie dysponowali. Dowodem, który przekonał mnie ostatecznie, był szczegół umieszczony na trzecim panelu. Przedstawiał z wielką dokładnością pozostałości po potężnej supernowej, której światło dotarło do Ziemi dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Nie zapominajcie, że kołyskę znaleziono w latach dwudziestych, a można domniemywać, iż została stworzona o wiele dawniej. Gdyby to było zwykłe odwzorowanie, w którym miejscu jakiś starożytny astronom chciałby widzieć tę gwiazdę, wyryto by ją jak każdą inną, ale na panelu widać wyraźnie jej eksplozję. Innymi słowy, wzór został stworzony nie przez kogoś, kto próbował przewidywać przyszłość, tylko osobę, która ją znała.

- A co było na czwartym panelu? - zapytał Hawker.

- Widok północnej hemisfery. Rok trzy tysiące sto dziewięćdziesiąty siódmy. Nie znamy znaczenia tej daty, chociaż jedno skojarzenie nasuwa się samo przez się. To może być moment, z którego wyruszyła wyprawa w czasie.

W komnacie zapadła cisza, członkowie zespołu kontemplowali w milczeniu zasłyszane informacje. Jeśli się od niej nie różnili, walczyli teraz w myślach, szarpiąc się pomiędzy faktami, które im przedstawiła, i tym, co wydawało im się wiarygodne. Uwierzenie w to wszystko zabrało jej naprawdę sporo czasu. Otrzymując od Stuarta Gibbsa polecenie wyjazdu do Brazylii, byli przekonani, że wrócą z pustymi rękoma. Opracowano schemat oparty na podobnej zasadzie jak skala Richtera, gdzie każdy kolejny stopień wersji zdarzeń był o cały rząd mniej prawdopodobny niż poprzedni. Na pierwszym nie znajdowali niczego. Na drugim wracali z artefaktami nie związanymi z kryształami Martina. Poziom trzeci i czwarty odzwierciedlały możliwość odkrycia prawdziwych artefaktów pozostałych po Majach. Piąty zakładał zdobycie czegoś, co byłoby porównywalne z kryształami. Szóstka oznaczała, że przywiozą wystarczającą liczbę znalezisk, żeby móc rozpocząć proces inżynierii wstecznej pozwalający na stworzenie urządzeń potrzebnych do zimnej fuzji. Ostatni, siódmy poziom, czyli w ich skali jedna szansa na dziesięć milionów, zakładał znalezienie szczątków człowieka, który cofnął się w czasie.

- Wiem, że to brzmi głupio - przyznała - ale wielu znanych naukowców uważa, że pewne formy przenoszenia się w czasie są możliwe. Nie są natomiast zgodni co do tego, jak by taka podróż miała wyglądać i czy organizm ludzki byłby w stanie ją znieść... - Przyglądała się zniekształconym szczątkom, zastanawiając się, czy ten okropny wygląd jest efektem podróży w czasie, czy raczej mutacji, jakiej ludzie ulegli w odległej przyszłości. - Wierzyliśmy jednak, że ktoś kiedyś tego dokonał, co najmniej raz. Zakładaliśmy, że wysłano w przeszłość pojazd bezzałogowy, wyposażony w odpowiednio trwałe i potężne zasilanie, pozwalające na uruchomienie czegoś w rodzaju boi naprowadzającej, która mogła działać nieprzerwanie nawet przez tysiące lat, aby jej nadawca mógł ją zlokalizować, gdy nadejdzie jego czas. Sądziliśmy, że

kryształy są częścią tego mechanizmu, napędzanego energią uzyskiwaną z zimnej fuzji, czymś na kształt paliwa nuklearnego, w jakie wyposażamy nasze sondy kosmiczne, takie jak Pioneer czy Voyager, gdy wysyłamy je w głęboką przestrzeń. Coś jak panele na pustynnej elektrowni słonecznej albo boje sygnalizacyjne na morzu. - Mówiła to, patrząc im w oczy, ale szczególnie koncentrując się na McCarterze. - Uznaliśmy, że jednak warto sprawdzić naszą teorię o katastrofie tej maszyny lub zdobyciu jej przez prymitywnych mieszkańców Amazonii, którzy następnie rozebrali ją na części, by wykorzystywać je potem do celów rytualnych.

- A co z kołyską i panelami? - zapytał McCarter.

- Jestem świadoma, że antropomorfizuję, ale przecież w każdej sondzie kosmicznej umieszczaliśmy złote płyty z wizerunkami ludzi, masą wiadomości i mapą Układu Słonecznego. Możliwe, że tubylcy znaleźli podobne przesłanie wysłane w przeszłość bądź przedmiot, który nadawcy z przyszłości umieścili w maszynie, aby mieć pewność po jej odnalezieniu w ruinach, że ich eksperyment się powiódł, i pieczołowicie go skopiowali.

- Projekt Manhattan - mruknął Hawker.

Skinęła głową. Nie miała nic więcej do powiedzenia. Albo jej uwierzą, albo nie. Pozwoli im zastanowić się nad faktami, a sama w tym czasie zajmie się szukaniem dowodu.

Obróciła się, oświetlając najpierw rumowisko, a potem ścianę za nim. Gdy ruszyła w jej kierunku, licznik Geigera natychmiast ożył.

- Czy są tu jakieś zejścia na niższe poziomy?

- Ja żadnego nie znalazłam - poinformowała ją Susan.

Danielle rozejrzała się po komnacie. Nie zauważyła niczego niezwykłego. Zdjęła więc plecak i wyciągnęła z niego laptop, na którym miała zapisy ze skanów elektromagnetycznych i ultrasonograficznych przeprowadzonych przez ludzi Kaufmana. Wyświetliła trójwymiarowy obraz jaskini.

Rozdzielczość była dobra, ale na ekranie trudno było dostrzec głębię obrazu. Obracając wyświetlaną siatkę i odnosząc się do kształtu i położenia jeziora, zdołała po chwili znaleźć miejsce ich pobytu. Obróciła obraz raz jeszcze, by widzieć go pod innym kątem, i zrobiła powiększenie. Nie rzuciło jej się w oczy nic poza wodą, otwartymi przestrzeniami, takimi jak komora, w której stali, i skałami. Były inne pomieszczenia, ale ich nierówne podłoże i ściany wskazywały raczej, że są to twory naturalne, a nie wykute przez człowieka. Tam na pewno nie znajdą tego, po co tu przyszli.

Raz jeszcze przyjrzała się komnacie, do której dotarli. Pomieszczenie było spore mimo zawału, lecz nie było w nim nic prócz ciała, które już znaleźli. Odnosiło się wrażenie, że komnatę ktoś splądrował. Chociaż „splądrował” to chyba za mocne słowo, wyglądało raczej na to, że zaprowadzono tu porządek, co sama by zarządziła, gdyby miała szansę. Zaczęła się zastanawiać, czy ktoś ich przypadkiem nie uprzedził, ale niemal natychmiast odrzuciła tę możliwość. Nikt rozsądny nie zostawiłby szkieletu.

Sprawdziła raz jeszcze wszystkie kąty, badając je po kolei różnymi przyrządami. Wróciła nawet do wąskiego tunelu i powtórzyła testy w pierwszej komnacie. Nie znalazła niczego prócz pustej przestrzeni, może o połowę mniejszej niż ta ze szkieletem.

Zadarła głowę w nadziei, że dostrzeże znak, który pozwoli jej odnaleźć starożytny reaktor, ale nie zobaczyła na sklepieniu niczego takiego. Wokół miała wyłącznie wypolerowany, gładki kamień. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć palcami ściany. Nie było tu niczego, co mogłaby zabrać do domu, aby ogłosić sukces wyprawy.

Westchnąwszy głośno, zamknęła laptop. Obie połowy komputera zetknęły się z cichym kliknięciem. Danielle wstała powoli. Reszta grupy obserwowała jej poczynania w milczeniu.

- Musimy się zbierać - powiedziała, zniżając głos. - Im szybciej wyjdziemy na powierzchnię,

tym lepiej.

## ROZDZIAŁ 37

Wychodzili kolejno do długiego skalnego korytarza, którym tutaj przybyli.

McCarter pozostał z tyłu, nie mogąc oderwać się od szkieletu. Przez chwilę chciał zabrać go ze sobą, cały lub choćby cząstkę. Wykopywał kości i przedmioty na niemal każdym kontynencie, ale tutaj czuł się zupełnie inaczej, jakby ujrzał właśnie coś, czego nie powinien nigdy zobaczyć. I właśnie ta nienaukowa myśl sprawiła, że zarzucił pomysł. Wstał i powoli ruszył za pozostałymi.

Pół godziny później dotarli do szczytu zygzakowatego tunelu. Ledwie przeszli po prowizorycznym pomoście, Hawker kopnął podporę ustawioną pod kamienną płytą i pozwolił jej opaść z hukiem na deski, które błyskawicznie zamieniły się w chmurę drzazg, a ich resztki posypały się w głąb mrocznej studni.

Miał nadzieję, że tym sposobem zdoła powstrzymać stworzenia, które przeżyły starcie w jaskini, ale jedno spojrzenie na studnię powiedziało mu, że to jeszcze nie koniec. Wszystko wskazywało na to, że podziemne jezioro łączy się ze skalnym kominem, a mając w pamięci obraz wspinających się bestii, nie wątpił, że zdołają pokonać i tę drogę. Uznał, że najrozsądniej będzie ustawić u wylotu studni czujnik ruchu i zabezpieczyć to miejsce odpalonym zdalnie ładunkiem wybuchowym. Nie miał pojęcia, czy budowla nie ucierpi od eksplozji, ale nie mógł ryzykować, że cokolwiek tamtędy przemknie.

Moment później wyszli na lepkie, tropikalne powietrze, którym mogli odetchnąć z ulgą, mrużąc oczy przed blaskiem stojącego w zenicie słońca. Brazos czekał na nich, mierząc do jeńców z karabinu.

- Możemy już iść? - zapytał.

Danielle spojrzała na Hawkera i skinęła głową.

- Zabierajmy się stąd.

Devers i Erie wstali od razu, ale Kaufman nawet nie drgnął, jakby odejście nie wchodziło w grę.

- Nie będziemy cię nieśli - zapowiedział mu Hawker. - Jeśli więc nie chcesz zarobić kulki w łeb, podnoś dupsko i stawaj w szeregu.

Przemysłowiec nie zmienił pozycji.

- Jeśli wejdziecie do dżungli, nigdy z niej nie wyjdziecie. Szczerze mówiąc, wątpię, czy dożyjecie jutra. Te stwory, które zaatakowały wczoraj w nocy, zapolują na was ponownie. Już tam są. Wiecie o tym równie dobrze jak ja. Towarzyszą im tubylcy. W gąszczu zyskają nad wami ogromną przewagę.

- Znasz lepsze rozwiązanie? - zapytała Danielle.

- Moi ludzie mogą przyjąć mi z pomocą - oświadczył z dumą.

- Oczywiście - mruknęła Laidlaw. - Helikopter.

- Właśnie się zastanawiałem, kiedy znowu spotkamy tego drania, który go pilotuje - wtrącił Hawker.

- Raczej drania, który cię strącił - rzucił uradowanym tonem Kaufman.

Pilot roześmiał się, słysząc zawołaną obelgę.

- To nie była uczciwa walka, ale jeśli dzięki temu facetowi wydostaniemy się stąd drogą powietrzną, mogę nawet ucałować tę gnidę na powitanie.

- Sprowadzę go tutaj - oświadczył przemysłowiec - ale na pewno nie za darmo.
- Darujemy ci życie - odparła Danielle - to wystarczająco wysoka zapłata.
- Ona tu rządzi - dodał Hawker, uśmiechając się niewinnie.

Kaufman nadał się. Nie miał zbyt dobrej pozycji przetargowej. Pilot wskazał krótkofalówkę.

- Lepiej się wynieśmy, zanim zapadnie zmierzch.
- Dobrze by było - poparł go niespodziewanie szef Futureksu. - Szkoda tylko, że to

niemożliwe.

- Niby dlaczego?
- Włącz radiostację - poradził mu Kaufman. - Posłuchaj.

Hawker wcisnął klawisz i z głośników dobiegł ostry pisk, a potem jednostajny szum.

Przełączył na kilka innych częstotliwości, uzyskując podobny efekt, po czym wyłączył aparaturę.

- Dlaczego radiostacja nie działa?
- Niemal wszystkie urządzenia elektroniczne, które tutaj przywieźliśmy, zawiodły -

wyjaśnił Kaufman. - Albo lada moment przestaną działać. Dotyczy to obu radiostacji, mojej i waszej.

- Co powoduje awarie?

- Radiacja w tym miejscu ma dodatkowy składnik elektromagnetyczny - wyjaśnił szef Futureksu - który wpływa destrukcyjnie na tranzystory i obwody scalone. To coś w rodzaju stosowanego przez wojsko impulsu elektromagnetycznego. Im mniejsze urządzenie, tym bardziej jest narażone na jego działanie i tym szybciej wysiada. Dlatego krótkofalówki padły pierwsze.

Gdybyśmy dysponowali staromodnym radiem z lampami próżniowymi, zapewne nadal mielibyśmy łączność. Niestety wszystko, co opiera się na obwodach drukowanych, padnie tutaj prędzej czy później.

- Mówi prawdę - wtrąciła Danielle. - Sprzęt nam padał, zanim oni tutaj przybyli. Dotyczy to też telefonu satelitarnego.

- Ale wciąż dysponujemy sprzętem, który działa - przypomniał jej Hawker. - Na przykład systemem obronnym i tymi pomarańczowymi krótkofalówkami.

Kaufman przytaknął.

- Bo to sprzęt wojskowy. Został zabezpieczony na taką ewentualność, ponieważ każda eksplozja atomowa powoduje potężny impuls elektromagnetyczny, a wojsko nie chce, by cały sprzęt zdechł w pierwszej minucie po wybuchu wojny. Ale i one padną, to tylko kwestia czasu. Jeśli więc chcecie, abym wezwał helikopter, musicie znaleźć działającą radiostację, i to szybko.

- A nie moglibyśmy skorzystać z tej? - zapytał McCarter, pokazując nadajnik skrajnie niskich częstotliwości.

- Ależ proszę bardzo - odparł szef Futureksu, nie kryjąc ironii. - O ile chcecie być uratowani przez łodzie podwodne.

- Normalne radiostacje nie odbiorą jej sygnału - wyjaśnił Hawker profesorowi, a potem przeniósł wzrok na Kaufmana. - Zakładam, że masz jakiś plan awaryjny.

- Mam. Od lądowania w tym miejscu moi ludzie działają w pełnej tajemnicy, jak wy. Żadnej łączności, ani wychodzącej, ani przychodzącej. Jeśli nie wyślemy specjalnego wezwania, mój pilot wróci tutaj z kolejnymi zapasami we wcześniej ustalonym terminie, mniej więcej za siedemdziesiąt dwie godziny. Podleci na pewną odległość i będzie czekał na sygnał, czyli odpalone we właściwej kolejności flary. Dopiero gdy je zobaczy, rozpocznie podejście i wylądować. I będziemy mogli się z nim zabrać, unikając, że tak powiem, niezbyt przyjemnego marszu przez dżunglę.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Danielle, spoglądając na Hawkera.

- Pomieścimy się wszyscy na pokładzie?

- To powinno się udać - odparł pilot. - Obciążenie może stanowić pewien problem, ale da się go rozwiązać, zrzucając część paliwa. - Odwrócił się do Kaufmana. - Jak daleko masz bazę wypadową?

- Zakotwiczyliśmy naszą barkę jakieś sto mil stąd.

- To całkiem rozsądny pomysł - odezwał się Brazos.

- Zgadza się - poparł go McCarter. - Sądzę, że wydałem zbyt pochopną opinię o podróżach helikopterem. Z przyjemnością przelecę się jeszcze raz.

Hawker przyglądał się im, widząc, jak rozpaczliwie chwytają się myśli o ratunku, który przyniesie im helikopter. Podróż drogą powietrzną wydawała się bardzo racjonalnym rozwiązaniem, o wiele lepszym niż przedzieranie się przez gęstwinę i walka w lesie deszczowym, niemniej niosła kilka niebezpieczeństw, począwszy od tego, że komuś takiemu jak Kaufman nie można było ufać. Nadzieja była jednak potężnym motywatorem, Hawker nie widział więc sensu w jej gaszeniu. Spojrzał na Danielle. Odpowiedziała mu skinieniem głowy.

- Dobrze - powiedział. - Poczekamy na twoją maszynę. Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, na przykład twój ptaszek wróci i spróbuje nas wyeliminować albo z dżungli wypelzną inni twoi przyjaciele, masz moje słowo: będziesz pierwszym, który tego pożałuje. Innymi słowy, nie pogrywaj z nami. To może mieć fatalne skutki dla twojego zdrowia.

Kaufman był człowiekiem interesu, nie kierował się niemal nigdy sentymentami czy emocjami. Interesowało go jedynie osiągnięcie celu, rezultat końcowy. W tym wypadku było to przeżycie za wszelką cenę. Mając do wyboru: bolesną śmierć w dżungli albo powrót w kajdankach do Stanów, wybierał to drugie. Tam otoczy go armia prawników w garniturach od Armaniego, którzy nie zawahają się wyciągnąć na światło dzienne wszelkich grzeszków NIB-u. Zresztą wątpił, aby sprawy zaszły aż tak daleko. Wszystko zakończy się klasycznym układem między stronami.

- Wiem - odparł obojętnie, a potem przeniósł wzrok z Hawkera na Danielle. Trudno było nie zauważyć rozczarowania malującego się na jej twarzy. Wiedział, czego NIB szukał w tej świątyni. Głównie dlatego, że miał dostęp do ich danych wyjściowych, a jego ludzie - czyli głównie Lang

- doszli do identycznych wniosków. Podążali tropem reaktora zimnej fuzji, który ich zdaniem mógł się tutaj znajdować. Ta kobieta przeszła tak długą drogę i nie znalazła niczego... Na swój sposób współczuł jej.

- Nie znaleźliście niczego w tej jaskini? - zapytał.

- Nie ma tam nic - odparła. - Tylko pustka, skały i śmierć.

Kaufman poczuł wielki zawód i szczerzy żal.

- Szkoda - powiedział. - Zwłaszcza że dopuściliśmy się tak wielu niegodziwości.

## ROZDZIAŁ 38

Musieli czekać. Musieli siedzieć na polanie i czekać na pojawienie się helikoptera Kaufmana, nie mając pewności, czy naprawdę przyleci. Musieli zamienić obozowisko w prawdziwą twierdzę i zaszyć się w nim, unikając zapuszczania się w mroczne, wiecznie zamglone labirynty dżungli i jej niekończącą się zieleń. Musieli wykopać nowe umocnienia i wybudować dodatkowe przeszkody, za którymi czaili się obłożeni stosami broni przywiezionej przez obie wyprawy. Jeśli krwiożerczy prześladowcy wrócą, napotkają ścianę morderczego ognia.

Na tym zasadzał się od początku plan Kaufmana. To zamierzał uczynić od rozmowy z rannym Jackiem Dixonem. Od razu wiedział, że powrót do dżungli będzie straszliwym błędem. Nie musiał słuchać do końca przerażającej opowieści o jego przeprawie w kierunku rzeki. Najemnik NIB-u zrobił co mógł, by się stąd wydostać, ale szef Futureksu miał zupełnie inne plany. Chciał zostać, uporać się ze wszystkimi przeciwnościami i dopiero wtedy, po wyeliminowaniu bestii i Chollockwanów, ruszyć na poszukiwania tego, po co tu przybył. Po fiasku pierwotnego planu niedobitki obu wypraw musiały zrealizować jego drugą, poprawioną wersję, mając nadzieję, że tym razem pójdzie im lepiej.

Zadanie wybudowania nowej fortecy spadło na barki Verhovena. Afrykaner zaczął prace, odrzucając niemal wszystko, co było do tej pory zrobione. Zdawał sobie sprawę, że skoro on i Hawker zdołali pokonać linie obrony najemników Kaufmana, dzikie bestie - o tubylcach nie wspominając

- także nie będą miały z tym problemów. System bunkrów był zbyt rzadki i za bardzo rozrzucony. Pasował do wyobrażeń o polu bitwy, jakie mieli najemnicy szkoleni przed laty w Europie Wschodniej. W sytuacji, gdy wróg dysponuje najnowocześniejszym sprzętem i najpotężniejszymi ładunkami wybuchowymi, umocnienia należało rozmieszczać tak, by jedno trafienie bombą albo rakietą nie mogło zlikwidować ich wszystkich na raz.

Verhoven podchodził do tego tematu zupełnie inaczej. Całe życie spędził, tocząc małe potyczki, w których obie strony uganiające się po sawannach, dżunglach i terytoriach plemiennych dysponowały wyłącznie lekką bronią. Był przyzwyczajony do odpierania ataków liczniejszych, ale gorzej uzbrojonych przeciwników, czyli do takich sytuacji jak ta tutaj. A wymagały one zwarcia szeregów obrońców, ponieważ tylko siła ognia mogła zrównoważyć przewagę liczebną wroga.

Realizując swój plan, Verhoven nakazał wykopanie nowych bunkrów, płytszych - głównie z powodu pośpiechu, w jakim musieli je przygotować - i znacznie bliżej siebie położonych. System ten przypominał krąg wozów, jaki zazwyczaj tworzyli zaatakowani osadnicy na Dzikim Zachodzie. Obsada każdego bunkra mogła wspierać ogniem sąsiednie stanowiska, podwajając, a nawet potrajając siłę ognia bez względu na to, z jakiego kierunku atakował przeciwnik. Dzięki temu niewielka grupa obrońców mogła walczyć jak dobrze wyposażony pluton wojska.

Większość robót ziemnych wykonywali: ocalały najemnik Kaufmana, Erie, i zdrajca Devers. Sam Verhoven stał nad nimi cały czas i głównie krytykował. Obaj więźniowie mimo odniesionych ran dawali z siebie wszystko.

Nieco dalej Danielle uczyła Susan obsługi wszelkich rodzajów broni, jakie mieli w wyposażeniu. Młoda studentka w życiu nie strzelała z pistoletu i do niedawna miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała wziąć broni do ręki, niemniej plan Verhovena zakładał, że przy tak małej liczbie obrońców wszyscy muszą brać udział w walce, a co za tym idzie, umieć posługiwać się bronią palną. Po godzinie ćwiczeń Susan opanowała obsługę kałasznikowa. Przeładowywała, mierzyła, naciskała spust, trenowała wymianę opróżnionych i zaciętych magazynków. Mimo że zużyła dwa pełne magazynki amunicji, ani jeden z wystrzelonych przez nią pocisków nie trafił w cel, ale to akurat było bez znaczenia. Miała otworzyć ogień tylko w razie ataku Chollockwanów, a gdy to nastąpi, w okolicy będzie tyle celów, że chybiecie zacznie graniczyć z cudem.

W czasie gdy Susan ćwiczyła, Brazos i McCarter zajmowali się przeglądaniem sprzętu, który mógł posłużyć do poprawy ich sytuacji. Wzmacniali elektroniczne czujniki najprymitywniejszymi systemami obronnymi. Cięli na przykład metalowe płaskowniki na krótsze odcinki i wbijali je w ziemię ostrymi zakończeniami w górę. Budowali na przedpolu zapory z palików i stosów kamieni, aby atakujący musieli kluczyć pomiędzy nimi, co wydłużało czas potrzebny na dotarcie do bunkrów.

Gdy inni zajmowali się rozbudowywaniem linii obrony, Hawker, ciągnąc za sobą Kaufmana, przeglądał obozowisko w poszukiwaniu dodatkowej broni. Obaj przetrząsali skrzynie przywiezione z barki przemysłowca. Kaufman nie kłamał, przechwalając się Gibbsowi, faktycznie miał tutaj wystarczająco dużo uzbrojenia, by poradzić sobie z ekipą NIB-u, tymczasem obie bitwy stoczone o panowanie nad obozem rozegrały się w tak błyskawicznym tempie, że nie zdążono nawet rozpakować większości sprzętu.

Hawker inwentaryzował znaleźiska, rozdzielając je na użyteczne i całą resztę, potem zajął się przenoszeniem tego, co wybrał, bliżej środka obozu. Jakąś godzinę przed zmierzchem podniósł wieko kolejnej skrzyni i uśmiechnął się szeroko. Miał przed sobą wielkokalibrowy karabin ustawiony na trójnogu. Do jego lufy przytwierdzono lunetę z laserowym celownikiem. Barrett M107: potwór kalibru pięćdziesiąt. Gwarantujący celny ogień na dystansie tysiąca jardów. Strzelający wielkimi pociskami, które rozwijały prędkość dwóch tysięcy mil na godzinę i potrafiły przebić kilkucalową płytę z hartowanej stali. Przeciw takiej broni kostne pancerze czarnych bestii nie zdadzą się na nic.

- To nazywam rozwiązaniem problemu - oświadczył z zadowoleniem, odwracając się do Kaufmana. - Ile amunicji do niego macie?

- Nie znam się na broni - odparł przemysłowiec. - Po to właśnie wynająłem tych ludzi. Lepiej zapytaj Erica.

Hawker podniósł do ust krótkofalówkę, by przekazać przez nią pytanie, ale zanim zdążył otworzyć usta, usłyszał za plecami dziwny dźwięk, jakby ktoś darł kartkę papieru. W oddali w niebo wzbijała się właśnie flara.

Dźwięk zaskoczył go, ale że zdawał sobie sprawę, co oznacza, odwrócił się natychmiast, otwierając ogień, zanim zdążył porządnie wycelować. Karabin zaszczeakał szybko, posyłając pociski w kierunku zamazanej sylwetki mknącej w jego kierunku. Trafił, i to kilkakrotnie, ale bestia uderzyła w niego i razem potoczyli się między namioty.

Drugie zwierzę rzuciło się na Kaufmana, który pomylił się i zaczął uciekać w kierunku obrzeża obozu, zamiast wiać do umocnionego centrum dowodzenia. Przemysłowiec pojął swój błąd niemal od razu i próbował zawrócić na środek polany, ale bestia odcięła mu już drogę i rzuciła się na niego, rozczapierzając pazury. Kaufman przewrócił się, wznecając obłoki gęstego kurzu. Zanim zdążył się poderwać, poczuł silne ukłucie w barku, moment później coś ciągnęło go już po ziemi, szarpiąc przy okazji na wszystkie strony. Zaczął wrzeszczeć.

Pięćdziesiąt jardów dalej Hawker z trudem chwycił powietrze, sunąc na czworakach po ziemi. Kaszlał tak mocno, że wydawało się, iż lada chwila wymiotuje. Przyjął uderzenie na obolałe żebra i każdy oddech palił go teraz, jakby miał w płucach ogień. Wodził wokół nieprzytomnym spojrzeniem, zdziwiony nawet tym, że wciąż żyje. Zwierzę leżało opodal, dziwnie przekrzywione. Trafione kilkakrotnie w łeb zginęło na miejscu, ale niesione impetem uderzyło w Hawkera z siłą rozpedzonej lokomotywy. Gdy pilot dojrzał koniec paska broni, natychmiast sięgnął po niego i pociągnął. Karabin wynurzył się z kępki wyschniętej trawy. Chwycił go, przesunął zamkiem dwa razy, dla pewności, że nic się nie zablokowało, a potem wstał. Z oddali dobiegały wrzaski rozszarpywanego Kaufmana.

Twarz szefa Futureksu objiała się o korzenie i ziemię. Zwierzę ciągnęło go za sobą w gęstwinę. Bark bolał tak, jakby ktoś mu przed chwilą wyrwał rękę ze stawu, ale przestał się tym przejmować, gdyż nagle znieruchomiał pośrodku mrocznego lasu. Był wolny!

Wspomagany czystą adrenaliną zerwał się na równe nogi, ale zaraz znów został rzucony na ziemię, przeciągnięty jeszcze tuzin stóp, a potem odwrócony na plecy.

- Ratunku! - zawołał.

Odrażający stwór przyszpilił go, pozbawiając zupełnie tchu. Walcząc o oddech, Kaufman

chwycił potwora za gardło. Niestety, zwierzę nie miało kruchej krtani, którą można by zmiążdżyć. Całe jego ciało pokrywały płytki kostne, a stawy kryły się pod nachodzącymi na siebie pancerzami. Sięgnął zatem do wylupiastego oka, stwór jednak cofnął szybko łeb, zwiększając nacisk na klatkę piersiową ofiary.

Nie mogąc uciec spod niemal pięćsetfuntowego cielska, Kaufman zaczął się wić w panice, gdy zobaczył, że kolczasty ogon bestii wznosi się w powietrze. Nie potrafił oderwać wzroku od rozszerzających się ostrych wypustek, po których spływały krople jakiejś przezroczystej cieczy.

- Nie! - wrzasnął. - Nie!

Ogon znieruchomiał w górze, zachwiał się lekko, a następnie wystrzelił do przodu.

Hawker dobiegł na miejsce zdarzenia dosłownie kilka sekund później, ale nie dostrzegł ani Kaufmana, ani zwierzęcia. Stał pośrodku zdeptanej trawy, przyglądając się kałużom krwi i świeżym zadrapaniom na pniach drzew. Gałęzie nad jego głową chwiały się mimo bezwietrznej pogody, na części liści widział ślady po oleistej wydzielinie, która pokrywała skórę tajemniczych czarnych stworzeń. Bestia porwała Kaufmana w korony drzew jak lampart, który tam właśnie ukrywa upolowane ofiary.

*Wspinały się na ściany jaskini, dlaczego więc nie miałyby się wspinać po drzewach?*

Gdy przyglądał się koronom drzew, od strony obozowiska dobiegły odgłosy kolejnej strzelaniny. Czekał, licząc, że strzały szybko umilkną, ale nawała ognia trwała bez chwili przerwy. Niechętnie porzucił trop i ruszył biegiem w kierunku namiotów.

Zanim dotarł do centrum obozu, strzały zdążyły ucichnąć. Policzył obecnych, miał wszystkich w polu widzenia. Oni także spoglądali na niego z zaciekawieniem. Po policzku ściekała mu strużka świeżej, jasnej krwi. Rana pod okiem otworzyła się ponownie.

- Gdzie Kaufman? - zapytała Danielle.

- Odszedł - odparł Hawker.

- Uciekł?

- Tak bym tego nie nazwał.

Laidlaw skrzywiła się, gdy dotarło do niej, co stało się z przemysłowcem.

- Gdzie naboje? - zapytał Hawker, wyjmując magazynek.

Wskazała jedną ze skrzyń, które przyniósł wcześniej. Przysiadł przy niej i zaczął uzupełniać amunicję. Nie patrzył jednak na dłonie, tylko lustrował linię zarośli. Chciał wrócić po karabin snajperski, ale słońce niknęło już za koronami drzew, a broń znajdowała się zbyt blisko lasu, by ryzykować wyprawę po nią w zapadających ciemnościach. To musiało poczekać do świtu.

O ile dożyją wschodu słońca.

Tej nocy obóz znalazł się w oblężeniu. Czujniki ruchu i te na podczerwień wykrywały intruzów trzydzieści dziewięć razy. Przy pierwszej okazji niedobitki ekipy NIB-u strzelały z rzadka, dokładnie mierząc, w nadziei że uda im się ranić albo odstraszyć napastnika i oszczędzić amunicję. Z każdym kolejnym atakiem bestie stawały się jednak agresywniejsze, więc i obrońcy podejmowali coraz bardziej nerwowe działania. Po jakimś czasie strzelanina trwała już nieustannie. Flary rozświetlały niebo, a snopy światła z silnych latarek omiały przedpole.

- Dlaczego atakują nas teraz? - dziwiła się Susan. - Tkwiliśmy tutaj od tygodnia i nic.

Dlaczego właśnie dzisiaj tu przyszły?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Może bestie rozsierdziły się kolejnymi ekspedycjami do wnętrza jaskini, a może zwabiła je krew rozlana podczas bratobójczej walki i smród rozkładających się ciał. Cokolwiek było przyczyną ich aktywności, jedno wydawało się pewne: ta noc będzie o wiele gorsza niż poprzednia. Stworzenia, przywyknąwszy do blasku światła i hałasów, szarżowały na obóz pojedynczo albo parami, rozrywając namioty, niszcząc



zgrupowany w nich sprzęt, a potem przemykając obok kręgu bunkrów.

Jedno podbiegło tak blisko, że zdołało zranić McCartera w ramię. Odpędził je dopiero strzał ze śrutówki Verhovena. Inna bestia, zdezorientowana licznymi przeszkodami, zbłądziła i wypadła prosto na stanowisko obsadzone przez Brazosa. Tragarz strzelił do niej z bliska, ale odskoczyła i uszła z życiem.

Mniejsze zwierzęta poruszały się szybciej, jedno z nich skoczyło nagle w bieg i zdołało wylądować pomiędzy bunkrami, w samym środku kręgu. Nikt nie odważył się do niego strzelić w obawie przed trafieniem kogoś z pozostałych, ale psy nie miały takich oporów i zaatakowały, mimo że smycze, na których były uwiązane, ograniczały ich swobodę ruchów.

Verhoven widząc, że jego pupile są masakrowani przez potężną bestię, chwycił maczetę i odciął nylonowe sznury od palika. Niestety, pokryta pancerzem bestia nic sobie nie robiła z psich pazurów i kłów. Wiele owczarków przypląciło ten atak życiem.

- Padnij! - wrzasnął nagle Hawker.

Szybkiej serii z jego karabinu towarzyszył skowyt czarnego zwierzęcia. Utykając, pomknęło w kierunku zarośli i po chwili zniknęło. Na ziemi pomiędzy bunkrami leżały trzy martwe i dwa mocno poranione psy.

- Musimy oczyścić im rany, póki mamy jeszcze na to czas - powiedział Verhoven, patrząc na nie ze zboląłą miną.

Danielle chwyciła apteczkę, ale zanim zdążyła się wygramolić z bunkra, usłyszała brzęczyk alarmu zwiastujący kolejny atak.

Około drugiej w nocy zaczęło się najgorsze. Ataki następowały w przypadkowych miejscach, ale znajdujący się u kresu sił ludzie odbierali to zupełnie inaczej. W ciągu niespełna pięciu minut rozszalałe bestie przypuściły dwie kolejne szarże, rozbijając w drobny mak system oświetlenia, którym wspomagali się w walce.

Za pierwszym razem zwierzę wpadło na stelaż dźwigający dwa potężne reflektory. Konstrukcja zaważyła się, lampy eksplodowały, zasypując wszystkich snopami iskier. Kilka minut później znacznie większy okaz zaplątał się całkowicie w kable. Bestia wyla się i rzuciła, zupełnie jak rekin schwyty w sieć. W trakcie szamotaniny przewróciła kolejny reflektor, a potem wyrwała z leża generator, powodując spięcie i pogrążając całą okolicę w kompletnych ciemnościach.

Danielle natychmiast zapaliła flarę, ale bestia zdążyła się uwolnić i zniknęła już z pola widzenia.

Przez kolejne trzy godziny musieli polegać na flarach. Odpalali je bez przerwy, wykorzystując zdalne wyrzutnie, rakiety, a nawet siłę własnych mięśni. W pewnym momencie zabłąkana kula przebiła zbiornik z naftą. Paliwo eksplodowało w pomarańczowej kuli ognia, języki płomieni szybko sięgnęły innych zbiorników znajdujących się w pobliżu. Ogień trząskając głośno, strzelając wysoko w niebo, przesłonięte w sporej części pióropuszem oleistego, czarnego dymu.

Mniej więcej wtedy nadszedł punkt przełomowy. obrońcy byli już skrajnie wyczerpani obłączeniem przez istoty, których istnienia jeszcze kilka dni temu nawet nie podejrzewali. Dziwaczne zwierzęta, które nie obawiały się ludzi i strażaków z broni palnej, ponieważ ani jedno, ani drugie tak naprawdę nie stanowiło dla nich wielkiego zagrożenia.

Żadne nie zostało zabite podczas całonocnych ataków. Udało się je odpędzać, raniono też kilka, ale ani jedno czarne truchło nie leżało na terenie polany.

Ludzie snuli różne domysły na ten temat. Zakładali, że może to mieć coś wspólnego z rozmiarami bestii - te na zewnątrz były o wiele większe od napotkanych w jaskini. Danielle uważała, że okazy pozostające pod ziemią były szczeniętami, a te buszujące w dżungli - w pełni

rozwiniętymi dorosłymi osobnikami. Z tego też powodu ich pancerze kostne były o wiele grubsze i odporniejsze. Verhoven zwrócił uwagę na ich dziwaczne kształty: przy tak wąskich korpusach płytki kostne mogły działać jak pancerze aktywne czołgów, wszystkie pociski nadlatujące pod zbyt płaskim kątem odbijały się od nich po prostu jak kamień, którym puszcza się kaczki po wodzie. Była to jednak tylko teoria, której na razie nikt nie mógł potwierdzić.

W najgorszej sytuacji znajdowali się Devers i Erie, ostatni z wschodniemieckich najemników. Obaj siedzieli ze skrępowanymi rękami i nogami na dnie bunkra, świadomi, że ich los jest teraz w rękach ludzi, których sami niedawno więzili. Erie, będąc zawodowym żołnierzem, doskonale rozumiał swoje położenie. Gdy trzeba było, ostrzegał krzykiem pozostałych. Devers siedział za to cicho, a wszystkie przerwy pomiędzy alarmami wykorzystywał na głośne narzekanie albo zapewnienia o swojej niewinności. W każdym razie robił to aż do chwili, gdy podkuty but Verhovena zetknął się z jego żebrami. Ten jeden cios uciszył go na resztę nocy.

Pozostali obrońcy także poddawali się działaniu stresu. Wzrok ich zawodził, słyszeli odgłosy, których nie było. Zaczęła się huśtawka nastrojów. McCarter pogrążył się w rozpacz, nie widząc wyjścia z sytuacji i pragnąc, aby ta bitwa wreszcie się skończyła, jakkolwiek miałby być jej wynik, a kilka minut później wybuchnął śmiechem, kiedy zrozumiał absurdalność tej myśli. Wszyscy byli bliscy załamania.

Właśnie wtedy, na godzinę przed świtem, otrzymali ostatni cios.

W mroku spomiędzy zarośli zaczęła dobiegać monotonna, rytmiczna pieśń. Cholokwanie powrócili.

Nie trzeba było wiele czasu, by ludzie w bunkrach ujrzeni w gęstwinie drzew migoczące pochodnie i poczuli gryzący dym. Tym razem jednak Indianie nie rozpętali ognistego piekła jak ostatnim razem. Rozpalali ogniska tylko w wybranych punktach, by zbierać się wokół nich, śpiewać i zawodzić.

W ich chropawych głosach dało się wychwycić groźbę. Drwili z niedobitków, ponizali ich, a nade wszystko przypominali o czymś, o czym nikt już nie pamiętał: zostaliście ostrzeżeni!

## ROZDZIAŁ 39

Z NADEJŚCIEM ŚWITU GŁOSY CHOLLOKWANÓW UCICHŁY. INDIANIE wycofali się w głąb lasu deszczowego razem z poranną mgłą. Tym razem jednak wschodzące słońce nie przyniosło oblężonym poczucia bezpieczeństwa ani tym bardziej ulgi, wszyscy bowiem doskonale zdawali sobie sprawę, w jak kiepskiej znaleźli się sytuacji.

Wokół ich stanowisk leżały setki łusek zaścielających ziemię tak gęsto, jak pety po konwencie nałogowych palaczy. Zużyte flary tworzyły niewielkie kopczyki pośrodku kręgów wypalanej trawy, a stosy kamieni ułożonych pomiędzy naostrzonymi kawałkami stali przypominały raczej ruiny niż część systemu obrony. Namioty, w których ludzie mogli się do niedawna przespać, zostały zredukowane do płacht poszarpanego na strzępy nylonu, powiewającego smętnie z pokrzywionych stelaży. Nieco dalej widać było stos pojemników z naftą, porozrywanych, spęczniałych i wciąż płonących, zasnuwających niebo grubą powłoką gęstego, żrącego dymu.

W świetle poranka polana wyglądała na to, czym naprawdę była. Teraz i zawsze. Na pobojuwisko, cmentarz, martwy punkt pośrodku rajy, w którym nie może przeżyć żadna istota

ani wyrosnąć żadna roślina. Nuree mieli rację, to było miejsce odrzucone przez siły życia.

Chwila wytchnienia pozwoliła ocalałym na zebranie sił i sen. Drzemali na zmianę, tuląc do siebie odbezpieczoną broń, czekając na rozpoczęcie kolejnej fazy tej bitwy, z nadzieją, że mimo wszystko nie nastąpi. Z trudem przeżyli ostatnie dwanaście godzin. Nie wyobrażali sobie, jak przetrwają kolejne sześćdziesiąt.

W południe nastąpiła zmiana wart i Hawker przejął obowiązki od Verhovena.

- Prześpij się - powiedział pilot.
- Mhm - odmruknął najemnik, przesuwając bezpiecznik na mossber-  
gU,

Afrykaner nie był człowiekiem skłonny do głębszej refleksji. W jego świecie życie po prostu się toczyło. Niemniej Hawker wyczuł instynktownie, że tym razem coś go gryzie.

- O co chodzi? - zapytał.
- Przeliczyłem amunicję - odparł Verhoven. - Jeśli kolejna noc będzie równie wesoła, wyczerpiemy ją, zanim nadejdzie świt.

Hawker nie miał czasu na inwentaryzowanie zapasów, ale spodziewał się, że tak właśnie może się stać. Że jeśli te stworzenia będą kontynuowały ataki, dojdzie do wojny na wyczerpanie, której ludzie nie zdołają wygrać.

- Musimy oszczędniej nią gospodarować - zauważył.
- Ci ludzie poszaleli - odparł Afrykaner. - Nawet Danielle, która zwykle wie, co robi, tej nocy zużyła masę amunicji. Z innymi jest nie lepiej.
- Bali się - wyjaśnił Hawker.

Verhoven spuścił na moment wzrok, potem znów spojrzął na pilota.

- Jeśli się nie uspokoją, osobiście pozabieram im broń. Mam gdzieś, co powiedzą. Jeśli zajdzie taka potrzeba, ty i ja zajmiemy się strzelaniem. Lepiej, żeby byli wściekli, ale żywi, niż bezbronni i martwi.

Hawker zawahał się. Wątpił, aby Danielle zgodziła się na oddanie broni, pozostali jednak powinni ustąpić przed logiką przedstawionych im argumentów. Skinął w końcu głową, pozwalając Afrykanerowi zejść ze stanowiska.

Kilka minut później podeszła do niego Danielle, niosąc w ręku apteczkę.

- Czyżbyś chciała mnie zbadać? - zapytał.
- Nie bardziej niż ty mnie - odparła. - Człowieku, jesteś tak sfiksowany, że prawdziwy lekarz nie dałby sobie z tobą rady.

Roześmiał się.

- Mamy poważny problem - rzuciła.
- Naprawdę? - odparł, rozglądając się wokół. - Nie zauważyłem.
- Chodzi mi o Kaufmana - wyjaśniła.

Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. Zdawała się czytać mu w myślach.

- No tak, Kaufman.
- Jeśli ten sukinsyn nie wystrzeli flar w odpowiedniej kolejności - ciągnęła - helikopter może stąd odlecieć. A to oznacza brak transportu. Nie będzie darmowej przejażdżki do domu.
- Zastanawiałem się nad tym - przyznał - mimo że wciąż mam wątpliwości, czy powiedział nam prawdę. Używasz flar, kiedy chcesz zwrócić na siebie uwagę ludzi, którzy cię szukają. Korzystanie z nich dla ściągnięcia uwagi kogoś, kto wie, gdzie jesteś, wydaje mi się dziwnym pomysłem. Już prędzej użyłbym jakiegoś sygnału dymnego. Nie dość, że dzięki temu żaden postronny obserwator nie namierzy kryjówki, to jeszcze pilot otrzyma dokładne informacje o sile i kierunku wiatru.

Skinęła głową.

- Mnie też się to wydawało dziwne od samego początku - przyznała.

- Moim zdaniem Kaufman albo kłamał, albo nie miał nic do powiedzenia, więc zmyślił naprędce historyjkę, żeby poprawić swoją sytuację i nie dostać kulki w łeb o świcie. To gnida, ale na pewno nie głupiec.

- Tak - przyznał Hawker. - Ale co teraz? Jeśli dym będzie miał nie ten kolor co trzeba albo odpalimy złą sekwencję flar, pilot odleci. Chyba już lepiej nic nie robić i liczyć na to, że zwykła ciekawość zmusi go do pojawienia się nad polaną. Możemy wykopać ludzi Kaufmana i przebrać się w ich mundury. - Spojrzał w kierunku bunkra, w którym razem z McCarterem pochowali zabitych najemników. - Jeśli nas zauważy, może zdecyduje się na lądowanie... a może tylko przeleci nad nami.

- Nie mam zamiaru przechodzić przez to po raz kolejny - zapewniła go - ale jedyną alternatywą jest pięciodniowy marsz przez dżunglę. Oba sposoby są sobie równe.

Po nocy, którą z trudem przeżyli, Hawker również nie miał najmniejszej ochoty mierzyć się z czarnymi bestiami w mrocznym gąszczu. Wierzył, że helikopter wróci, ale wątpił, aby udało im się przeżyć do tego czasu. Osobną kwestią było też, co stanie się potem. Niemniej obrona dobrze umocnionej polany przez kolejne dwa dni i połowiczne szanse na zwabienie pilota i tak wydawały się o wiele rozsądniejszym pomysłem niż spędzenie czterech bądź nawet pięciu dni na przedzieraniu się przez dżunglę.

Danielle albo wyczuła jego nastawienie, albo doszła do podobnych wniosków.

- Zaczekajmy - zaproponowała - ale nie mówmy o naszych wątpliwościach pozostałym.

Hawker skinął głową, widząc, że w ich kierunku zmierza McCarter. Bandaż na jego ramieniu przesiąknął krwią.

- Zdaje się, że masz kolejnego pacjenta.

Danielle obróciła się.

- Siadaj - powiedziała, obrzucając wzrokiem profesora. - Zmienię ci opatrunek.

McCarter zrobił, co mu kazała, a potem starał się zachować spokój i nie skakać, gdy odrywała mu gazę od rany na ramieniu. Wydawał się mocno przybity, a nawet przygnębiony.

- Ciężka noc? - zagaił Hawker, starając się poprawić mu nastrój.

McCarter nie odpowiedział wprost.

- Gdy moja żona zachorowała, były takie noce podczas chemioterapii, że słyszałem, jak wymiotowała w łazience na parterze. Trwało to godzinami, a gdy opierała się w końcu o drzwi, żeby odpocząć, wstrząsały nią takie dreszcze, że wysłuchiwałem także grzechotania skrzydła. - Przymknął na moment oczy i przełknął głośno ślinę. - Nie chciała jednak, bym się nad nią użalał - dodał. - Pragnęła jedynie powrotu do normalności. To działało, oczywiście tylko w jej głowie, niemniej okłamywała się w myślach cały czas, wmawiając sobie, że czuje poprawę. Dlatego leżałem wtedy całymi godzinami, zwalczając chęć, by zbiec na dół, po to abyśmy oboje mogli udawać, że ona nie umiera. Tej nocy czułem się podobnie - wyjaśnił w końcu. - Jakby ktoś cały czas przekonywał nas, że nadchodzi śmierć, i jakbyśmy oszukiwali sami siebie, nie chcąc dopuścić tej myśli.

Gdy skończył mówić, Danielle i były agent CIA wymienili spojrzenia, czując, że połączyła ich jakaś więź. Hawker nie potrafił określić, czym była, ale napatrzył się już w życiu na śmierć, więc wiedział, że zazwyczaj koniec przychodzi szybko. Spojrzał McCarterowi w oczy. Nie mógł pozwolić, by profesor się załamał. Nie mógł pozwolić, by załamał się ktokolwiek z nich.

- Wciąż żyjemy - zauważył.

- Ale następnej nocy wszystko się powtórzy - odparł profesor.

- Może się powtórzy - przyznał pilot - a może nie. Podczas walki sytuacja wydaje się znacznie gorsza człowiekowi, który bierze w niej bezpośrednio udział. On widzi tylko straty

swojej strony, nie potrafi ocenić, jak bardzo ucierpiał przeciwnik. Umysł podpowiada mu, że wróg wciąż jest w pełni sił, chociaż i on może być już poważnie wykrwawiony. - Wskazał ręką na ścianę dżungli. - Całkiem niezłe poszło nam minionej nocy. Wszyscy przeżyliśmy. Bestie oberwały całkiem mocno. Kilka na pewno padło gdzieś w zaroślach, inne będą przez jakiś czas lizały rany i trzymały się z dala, a to oznacza, że kolejne ataki będą o wiele słabsze.

Ta myśl podniosła McCartera na duchu.

- To ma sens - ożywił się na okamgnienie. - Ale i tak wróć...

- Owszem - zgodził się Hawker. - Sądzę, że tak właśnie będzie. Dlatego musimy być gotowi na ich nadejście. Nawet bardziej niż wczoraj.

- To znaczy? - zapytał profesor.

- Przede wszystkim musimy zrobić dokładniejsze rozpoznanie. Twarz McCartera pojaśniała.

- Rozpoznanie - mruknął. - To mi się podoba. A konkretnie?

- Właśnie - wtrąciła z pewną dozą ostrożności Danielle, owijając ramię profesora czystym bandażem. - Masz jakieś konkrety?

- Musimy wejść w dżunglę i pomyszkować trochę - oświadczył były agent. - Przyjrzeć się kilku rzeczom.

Sądząc z miny, McCarterowi ta część planu nie przypadła do gustu.

- Czy ja już wspominałem, jak bardzo nie cierpię rozpoznania? Zupełnie się do tego nie nadaję. - Laidlaw wybuchnęła śmiechem, kończąc zakładać opatrunek. - Naprawdę - dodał zaraz naukowiec. - Zawsze zlecałem tę robotę moim asystantom.

- Niezły ruch, ale jego - brodą wskazała pilota - tym nie nabierzesz.

Minutę później Hawker i McCarter pobrali krótkofalówki. Jedna ledwie już działała. Pilot wymienił ją na następną i podmuchał w mikrofon. Ta wydawała się sprawna.

- Nada się - ocenił.

- Używajcie ich tylko w ostateczności - ostrzegła Danielle. - Ładowarka też już padła.

Hawker przypiął nadajnik do paska.

- Cudownie - mruknął. - Za chwilę będziemy tu żyli jak jacyś amisze. Danielle przyglądała się, jak wybiera karabin, a potem rusza przodem,

prowadząc w stronę zarośli wciąż nieufnego, ale już znacznie pewniejszego siebie naukowca. Mimo rzuconego żartu wyczuwała ciężar brzemienia, które spoczywało na barkach byłego agenta CIA, nie mówiąc już o wadze oczekiwania pozostałych członków grupy. Ci wpatrywali się w niego z nadzieją, ufając, że dzięki niemu zdołają wrócić do domu. Dopóki on wierzył w przetrwanie, oni także się nie poddawali, jeśli jednak jego pewność zostanie zachwiana, wyczuwają to i wszyscy podupadną na duchu.

Widząc, jak podchodzą ostrożnie do ściany zarośli, Danielle ze zdziwieniem zauważyła, że zaczyna coraz poważniej myśleć o Hawkerze, a nawet zagłębia się w rozważania na temat powodów jego przemiany i zostania wyrzutkiem. Zrozumiała też od razu, że siedzi obok osoby, która jako jedyna mogła jej udzielić odpowiedzi.

Spojrzała na Verhovena, który na skraju bunkra uzupełniał niezdarnie amunicję w magazynkach. Mając do dyspozycji jedną zdrową dłoń, nie mógł robić tego sprawniej.

- Opowiedz mi o Hawkerze - poprosiła.

Afrykaner spojrzał na nią przelotnie, po czym wrócił do przerwanej zajęcia. Nie wydawał się zainteresowany kontynuacją tej rozmowy.

Wyjęła z kieszeni puszkę tytoniu. Jedną z tych, które skonfiskowali mu ludzie Kaufmana.

- Nie za darmo, rzecz jasna - dodała.

Znowu zmierzył ją wzrokiem, ale chytry uśmieszek na jego ustach świadczył o tym, że

spodobał mu się sposób, w jaki dobijała targu.

- Co chcesz wiedzieć?
- Jak doszło do tego, że zostaliście wrogami?

Szorstka skóra na twarzy najemnika pokryła się zmarszczkami, gdy wsuwał do ust grudkę odzyskanego tytoniu.

- Próbowałem go zabić - oświadczył bolesnym tonem.

Danielle nie potrafiła ukryć szoku. Spodziewała się jakiegoś konfliktu, nieporozumienia, walki o pieniądze czy nawet kobietę.

- On w każdym razie tak to odbiera - rozwinął myśl.
- Dlaczego miałby to robić?

Verhoven westchnął ciężko, zanim podjął:

- Jakiś czas temu Hawker i ja byliśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi mimo wielu różnic. Działaliśmy w Angoli, on z ramienia CIA, ja w południowoafrykańskich siłach specjalnych. Naszym zadaniem było wzniesienie buntu przeciw reżimowi uciskającemu ten kraj od trzydziestu lat. Cholernie trudna robota, ale to akurat dla nas żadna nowość. Po jakimś czasie Hawker dokonał wyboru, który poróżnił go ze wszystkimi, których wtedy znał, nie wyłączając mnie.

- Coś o tym wiem - przyznała. - Odmówił wykonania rozkazu.

Verhoven splunął zabarwioną tytoniem śliną. Czyn ten wyraźnie go ucieszył.

- Są rozkazy i rozkazy. Czasami dowódcy wydają je, mimo że wiedzą, iż nie zostaną wykonane. Ale rozkaz to prawo.

- A Hawker je złamał.

Afrykaner wsunął puszkę z tytoniem do kieszonki na piersi i wrócił do napełniania magazynków.

- Zgadza się. Ale to nie takie proste, jak ci się zdaje. Żeby to naprawdę zrozumieć, trzeba najpierw zrozumieć Afrykę. - Kolejny nabój trafił na swoje miejsce. - Cały kontynent, może z wyjątkiem mojej ojczyzny, pogrąża się od czasu do czasu w brutalnej anarchii. Wymień nazwę kraju, ja podam ci daty wojen na jego terytorium. Wymień drugą, dowiesz się o kilku aktach ludobójstwa. Angola niczym się od nich nie różniła. CIA była tam obecna od kilku dekad, zajmując się głównie wspieraniem szaleńca nazwiskiem Jonas Savimbi. Tyle że za czasów rezydentury Hawkera Firma zdążyła już zrozumieć, że to nie żaden mesjasz, tylko kolejny szalony morderca. Zaczęła więc stawiać na innych. Hawker i ja szkoliliśmy niewielkie grupy bojowników niepowiązanych z Savimbim. W każdym innym regionie świata ludzie ci byłiby sojusznikami zjednoczonymi przeciw wspólnemu wrogowi, ale w Afryce to tak nie działa. Tam rozsądek zupełnie się nie liczy. Dlatego Savimbi uważał ich za zagrożenie. Dobił więc targu, w którego rezultacie część oddziałów znalazła się poza nawiasem.

- W tym wy - domyśliła się Danielle.

Verhoven skinął głową.

- Skończyły się pieniądze i dostawy broni. Plemiona, z którymi współpracowaliśmy, pozostawiono na pastwę całej dywizji angolskiej armii, która wyczuła krew i postanowiła dać przykład reszcie buntowników.

Zatem tego dotyczył rozkaz, którego Hawker nie posłuchał. Nie mogła go znaleźć w jego aktach choćby dlatego, że nikt nigdy nie odważyłby się go zapisać.

- A on nie przestał ich dozbrajać - wyszeptała.

- Robił, co mógł - przyznał Verhoven. - Zaprzyjaźnił się z wieloma z nich. Dał im słowo. I wyłamał się z szeregu, kupując dla nich broń na konto Firmy i kradnąc dostawy, kiedy Agencja odcięła go od cycka. - Afrykaner przerwał opowieść, by załadować kilka kolejnych naboń. -

Waszemu rządowi to się nie spodobało, dlatego poprosił nas, abyśmy ukrócili te praktyki i schwytali winnego. Po jakimś czasie nam się udało. W czasie, gdy Hawker siedział w jednym z moich obozów, wojska angolskie dokonały masakry tego plemienia. - Danielle odwróciła się, czując nagły przypływ mdłości. - Kiedy CIA kombinowało, co zrobić z buntownikiem -kontynuował Verhoven - do jego namiotu wszedł człowiek nazwiskiem Roche i strzelił mu prosto w klatkę piersiową. Hawker uważa, że uczynił to na mój rozkaz.

- Dlaczego? - zdziwiła się.

- Oficjalnie Roche był moim podwładnym - wyjaśnił Afrykaner - ale tak naprawdę wykonywał rozkazy kogoś z Pretorii. Zdaje się, że dowództwo nie ufało mi i moim ludziom, ponieważ zbyt długo współpracowaliśmy z Hawkerem. Obawiali się, że możemy mieć opory przed jego schwytaniem. Dlatego oddelegowali do mnie Roche'a i jego oddział. Nasz przyjaciel zwodził ich jednak koncertowo i robił w konia przez niemal cały rok. Nie dawał się nawet złapać w pułapki, które zastawiano na niego, oferując transporty broni albo pieniądze. Wyglądało już na to, że Roche zostanie zastąpiony przez kogoś bardziej kompetentnego, gdy nagle pojawił się przełom w sprawie... - Verhoven cmoknął głośno i powrócił do przerwanej wątku. - Gdy zobaczyłem Hawkera pierwszy raz po schwytaniu, z trudem go poznałem. Ludzie Roche'a stłukli go na krwawą miazgę.

- Nie mogłeś ich powstrzymać? - zapytała.

Posłał jej lodowate spojrzenie.

- Przecież ci powiedziałem, że Roche mi nie podlegał.

Danielle oparła się plecami o ściankę bunkra i zaczęła grzebać obcasem w ziemi na dnie wykopu. Verhoven umieścił w magazynku kolejny pocisk, potem splunął żółtą od tytoniu śliną.

- Jak go załatwili? - zapytała po chwili milczenia.

- Tego niestety nie wiem - odparł. - Usłyszałem odgłos wystrzału, a gdy przybiegłem, Hawker leżał już na ziemi, krwawiąc z rany na piersi. Roche stał obok z pistoletem w dłoni, bredząc coś o próbie ucieczki więźnia. Problem w tym, że Hawker wciąż był przykuty do tej cholernej poręczy. Omal nie zabiłem Roche'a gołymi rękami. Dostał niezły wpieprz swoim własnym pistoletem. Dokończyłbym dzieła, daję słowo, ale jeden z jego ludzi wszedł mi w drogę. Po czasie okazało się, że tego wieczora miał się pojawić ktoś z CIA i zabrać Hawkera. Roche nie mógł ścierpieć myśli, że Amerykanie go znowu wypuszczą, więc postanowił definitywnie załatwić sprawę. - Pokręcił głową, wspominając tamte wydarzenia. - Osobiście sprawdziłem stan Hawkera. Moim zdaniem już nie żył. Poważnie, zsiniał na twarzy, nie mogłem też wyczuć pulsu. Wiesz, o czym mówię. Nie mogliśmy go oddać Amerykanom w takim stanie, więc zapakowaliśmy do jego jeepa, wywieźliśmy kilka mil w busz i tam porzuciliśmy. A łącznikowi Firmy powiedzieliśmy, że nam uciekł. - Na ogorzałej twarzy najemnika pojawił się uśmiech. - Na ironię zakrawał fakt, że Roche nie mógł nikomu powiedzieć, iż go zastrzelił, bo za to groził mu stryzyk. Dlatego musiał utrzymywać, że więzień, zanim zbiegł, stłukł go na kwaśne jabłko. To go doprowadzało do szaleństwa.

- Jakim cudem Hawker zdołał przeżyć?

Verhoven wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Dowiedziałem się o tym dopiero po jakimś czasie. Po kilku miesiącach zaczęły docierać do nas pogłoski o Amerykaninie, który zajmuje się handlem bronią na wybrzeżu Afryki Zachodniej. Tam nie było zbyt wielu białych, a jeszcze mniej Amerykanów. Po kolejnych paru miesiącach otrzymałem zdjęcie do identyfikacji. Zrobiono je tydzień wcześniej w Liberii. To był Hawker.

- I co zrobiłeś? - zapytała rozbawiona Danielle.

- A co miałem zrobić? Wybuchnąłem śmiechem, a potem zwinąłem się stamtąd. I tak

byłem na wylocie. W mojej ojczyźnie już od kilku lat trwały przemiany. Wiele rzeczy wyglądało inaczej. Trafiłem przed komisję weryfikacyjną, mam nadzieję, że wiesz, o czym mówię?

Skinęła głową, pamiętała historię postapartheidowej Republiki Południowej Afryki.

- A co się stało z Roche'em?

- Kilka lat później zebrało mu się na skoki z dachu wieżowca w Johannesburgu. - Verhoven uniósł z uznaniem brwi. - Pocałował asfalt z wysokości dwudziestu pięter.

- Hawker?

Afrykaner wzruszył ramionami.

- Roche miał wielu wrogów. W tamtych czasach dorabiał na własną rękę, ale miał opinię gnidy. Jeśli tylko nadarzała się okazja, kilku z jego ludzi ginęło w niewyjaśnionych okolicznościach, tym sposobem zostawało więcej do podziału. Niejeden miał z nim na pieńku, ale nawet jeśli zabił go Hawker, należałoby mu podziękować, bo wszystkim wyświadczył wielką przysługę. - Najemnik rzucił okiem w stronę oddalającej się sylwetki pilota.

- Ci, którzy przyłożyli rękę do masakry, zginęli w niezwykle dramatycznych okolicznościach: zastrzeleni, zadźgani albo wysadzeni w powietrze. Wszyscy współpracownicy Roche'a wachają już kwiatki już kwiatki od spodu. - Verhoven przeniósł spojrzenie na Danielle. - Podsumowując: gdyby ktoś wiedział to, co Hawker, i dołożył do tego fakt, że kazałem go porzucić na pustyni, zarezerwowałby dla mnie kulkę w swoim pistolecie. - Wsunął do magazynka ostatni nabój. - A kto wie, może i ja mam coś dla niego w swoim.

Cisza zawisła w powietrzu. Danielle i Verhoven patrzyli sobie w oczy, dopóki leżąca pomiędzy nimi krótkofalówka nie zaskrzeczała głośno.

- Jest tam ktoś w miarę przytomny?

Laidlaw chwyciła nadajnik.

- Mów, Hawker. Co znaleźliście?

- Ciała zniknęły. Wygląda na to, że te bestie wygrzebały ludzi, których tu pochowaliśmy.

To by było na tyle w temacie założenia ich mundurów.

Danielle skrzywiła się mocno.

- I tak mi się to nie uśmiechało.

- Mnie też, szczerze powiedziawszy. Poza tym zabrały ze sobą tę bestię, którą zastrzeliłem.

- Zatem mamy do czynienia nie tylko z drapieżnikami, ale i padlinożercami.

- Na to wygląda. Słuchaj, dotarliśmy już prawie do linii drzew. Zanim między nie wejdziemy, chciałbym mieć pewność, że przedpole jest czyste.

Danielle rzuciła okiem na ekran laptopa. Nie dostrzegła na nim niczego niepokojącego.

- System nie pokazuje żadnych zagrożeń - poinformowała Hawkera.

- O ile można mu wierzyć.

Dwa kliknięcia były potwierdzeniem przyjęcia tej wiadomości. Mogła wrócić do rozmowy z Verhovenem. Rozumiała już powody rozczarowania Hawkera systemem, rozkazami i ludźmi, którzy je wydawali.

- Pozwól mi z nim porozmawiać, kiedy to się skończy - poprosiła.

- Spróbuję mu wszystko wytłumaczyć. Tyle wam obu jestem winna.



## ROZDZIAŁ 40

Po DRUGIEJ STRONIE POLANY HAWKER I McCARTER WKRACZALI właśnie do lasu deszczowego, mijając pas spalenizny pozostałej po pożarze wzniesionym przez Chollokwanów.

- Wy tłumacz mi raz jeszcze, po cholere my tu leżymy? - poprosił profesor, zastanawiając się, czemu przystał na tę szaloną propozycję.

- Stwory nadchodzą z tego kierunku - wyjaśnił pilot. - Tyle zauważyliśmy. A część z nich pozostała tutaj dłużej po opuszczeniu polany. Chcę wiedzieć dlaczego.

- Coś mi mówi, że już to rozgryzłeś.

- Do niczego jeszcze nie doszedłem - odparł Hawker, oglądając uważnie kilka pni, a potem ruszając głębiej w dżunglę - ale mam pewną teorię. Te stworzenia przypominają budową insekty. Mają bardzo proste stawy, egzoskielety i dysponują ogromną siłą. Zabrały zabitego przeze mnie wczoraj osobnika, zapewne by go pożreć. Większość znanych nam drapieżców nie zrobiłaby czegoś takiego. Lew na przykład zabija rywala, ale nigdy go nie pożera. To samo dotyczy hien i tygrysów. Może rekin byłby do tego zdolny... gdy wpadnie w szal, rozszarpuje wszystko, co się rusza, ale w normalnej sytuacji omija zdechłe osobniki swojego gatunku, jakby ich truchła były przekłete. Ponoć robi się środki odstrasżające, wykorzystując enzymy znalezione w narządach martwych rekinów, bo zmuszają one zdrowe osobniki do natychmiastowej ucieczki. - Hawker omiatał wzrokiem drzewa i szukał tropów na ziemi. - Za to mrówki nie mają oporów przed zjadaniem swoich pobratymców. Tak samo jest w przypadku karaluchów i całej reszty robactwa chodzącego po ziemi. Ściągają martwe osobniki do gniazd i rozrywają na strzępy, jak my robimy z rozbitymi samochodami, z których pozyskuje się części. Dlatego zacząłem podejrzewać, że te stworzenia są czymś w rodzaju insektów. Jeśli to prawda, być może podążają śladem jakichś feromonów. Istnieje prawdopodobieństwo, że wszystkie idą tym samym szlakiem, ponieważ przewodnik stada oznaczył go dla nich, by mogły dotrzeć do celu. Zmierzają w obu kierunkach tą samą drogą, jakby nie znały innej. Całkiem jak mrówki, które wędrują do cukiernicy.

- Trzeba sporej wyobraźni, żeby dojść do takich wniosków - przyznał McCarter, wysłuchawszy teorii Hawkera.

- No myślę. - Pilot podszedł do podstawy kolejnego wielkiego pnia. - Jeśli mam rację, możemy zastawić na nie pułapkę. Umieścimy ładunki wybuchowe przywieszane przez Kaufmana, na które się nadzieją, gdy znowu wyjdą na nocną przekąskę. Jeśli to zadziała, może zrezygnują z ataków na polanę i poszukają sobie łatwiejszej zdobyczy.

- W twojej teorii jest zbyt wiele „jeśli” i „może”.

- To też wiem - mruknął Hawker, oglądając kolejny pień pokryty szarą korą. - Jedyne problem w tym, że nasze czujniki podcierwieni rzadko je wychwytyją. One nie są niewidzialne, tylko cholernie zimnokrwiste...

- Zamarł, gdy znalazł to, czego szukał. - I łążą po drzewach.

McCarter przyjrzał się grubemu pniowi wyrastającemu z ziemi tuż przed Hawkerem. Okazała orzesznica wyniosła miała u podstawy obwód dziesięciu stóp. Jej korona wznosiła się na wysokość ponad dwustu stóp, a konary przenikały przez trzy warstwy zielonego sklepienia, oferując schronienie gniazdom wielu gatunków zwierząt, aczkolwiek panująca w tej chwili cisza sugerowała, że w pobliżu nie ma ani jednej żywej istoty. Gałęzie kołysały się leniwie, rzucając na ziemię ruchome cienie, od czarnych po różne odcienie chlorofilowej zieleni.

- Wspinają się - mruknął McCarter, zadzierając głowę.

Hawker przytaknął.

- W jaskini podeszły nas, wspinając się na sklepienie. A ten, który porwał Kaufmana,

skoczył potem na pień i zaciągnął go gdzieś w korony drzew. Stworzyliśmy system obrony przeciwko ludziom. Czujniki podczerwieni nie potrafią wychwycić ich ze względu na zimnokrwistość, a czujniki ruchu działają dopiero wtedy, gdy stworzenia te zejda na ziemię. To dlatego wydawało nam się, że one pojawiają się znikąd. Jeśli jednak przekalibrujemy sprzęt i ustawimy go pod odpowiednim kątem, będziemy mogli dostrzec zagrożenie z dostatecznym wyprzedzeniem. Ale najpierw musimy sprawdzić, jak wysoko potrafią się wspiąć.

Profesor badał znalezione w korze głębokie ślady, prowadzące w górę i w dół pnia. Charakterystyczne zagłębienia zaczynały się na wysokości pięciu stóp i biegły prostą linią ku zielonej koronie. Obnażony miąższ połyskiwał wciąż w wielu uszkodzonych miejscach.

- Wspinają się jak robotnicy po słupach telegraficznych - zauważył.

- Owszem - przyznał Hawker. - A my musimy wleźć za nimi, żeby sprawdzić, jak wysoko docierają te ślady. Podsadź mnie.

McCarter odstawił z wyraźną niechęcią broń i złożył dłonie, splatając mocno palce. Gdy Hawker postawił na nich nogę, wyprostował się, pomagając mu wybić się do pierwszych konarów. Pilot chwycił jeden z nich i podciągnął się na niego o ciężale.

Profesor złapał kurczowo broń, zanim jego partner znalazł stabilne oparcie dla stóp. Natychmiast też zlustrował najbliższe otoczenie.

- Jak wysoko zamierzasz wejść?

- Tak wysoko, jak one - odparł Hawker.

McCarter zadarł głowę, by odprowadzić wzrokiem wspinającego się po kolejnych gałęziach partnera.

- Ile to może potrwać?

- Sam nie wiem. Spieszysz się gdzieś?

- Nie, ja tylko... Nieważne - odparł profesor, ponownie wpatrując się w otaczające go zarośla. Nie podobała mu się konieczność sterczenia samotnie u stóp tego pnia, ale skoro mieli do czynienia ze zwierzętami nadrzewnymi, nie uśmiechała mu się też wspinaczka. - Wiedziałem, że to głupi pomysł - mamrotał pod nosem. - Po jaką cholere ja tutaj w ogóle lażem...

- Nic ci nie będzie - zapewnił go z góry Hawker. - Na moje oko to nocne stworzenia.

- I to mnie właśnie martwi - rzekł profesor. - Ale nie o to mi chodziło, kiedy mówiłem „tutaj”, nie miałem na myśli włączenia w zarośla teraz z tobą, tylko zabranie się z tą wyprawą. Powinniśmy byli wynieść się stąd zaraz po pierwszym ostrzeżeniu Chollokwanów. Jak tylko wygaś ogień.

- To by nam oszczędziło masy problemów - przyznał pilot.

- O, tak - poparł go McCarter. - Co nam strzeliło do łbów? Głupie pytanie, wiem przecież, co wtedy myśleliśmy: Jesteśmy dorośli, mamy pukawki, nikt nam nie będzie mówił, co mamy robić”. - Spomiędzy listowia dobiegł śmiech Hawkera. - Myślisz, że żartuję? - obruszył się profesor, zadzierając głowę. - Otóż nie. Jestem śmiertelnie poważny. - Poczul, że przepelnia go fala świeżej energii. Był mocno poruszony, nakręcony jak dzieciak po zjedzeniu pięciu czekoladowych batonów. - Mówię ci - kontynuował - powinniśmy byli się wynieść tamtego dnia. Powinniśmy byli wrócić do hotelu, zamówić po flasce szkockiej i zarezerwować sobie wizytę w spa.

- Nie wyglądasz mi na faceta, który robi sobie maseczki - odparł rozbawionym tonem Hawker.

- I słusznie - odparł McCarter, zauważając sprzeczność w logice swoich wywodów. - Pieprzyć spa, wystarczyłaby mi szkocka. Chodzi o to, że powinniśmy byli zostawić to miejsce Chollokwanom, skoro tak bardzo im zależało.

- Faktycznie, wyglądali na mocno wkurzonych naszą obecnością przy świątyni - zgodził się

Hawker, poważniejąc. - Ciekawe dlaczego?

- Nie rozumiem. - Profesor wyglądał na skonfundowanego.

Pilot zatrzymał się, spojrział w dół i wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste.

- Dlaczego? Cóż, nie powinno nas tu być, kalaliśmy święte ziemie samą swoją obecnością. Byliśmy jak plaga czy za co oni nas tam uważali. No i? Przecież to nawet nie ich terytorium, jeśli dobrze pamiętam. To świątynia Majów. I w dodatku opuszczona od tysięcy lat. Dlaczego więc tak bardzo im na niej zależy?

- Hm - bąknął McCarter. - Pewnie chodzi o to, że... - zamilkł na moment, drapiąc się po skroni, aby zebrać myśli. - Wydaje mi się, że oni...

Tym razem zaciął się na amen. To nie miało najmniejszego sensu. Cholokwanie nie powinni interesować się świątynią ani ekspedycjami NIB-u. Nie ulegało wątpliwości, że ta budowla została wzniesiona przez Majów. Nic nie wskazywało na to, by Cholokwanie zaadaptowali ją na swoje potrzeby. Na polanie nie znaleziono ani jednego śladu ich bytności. Co więcej, plemię to opuszczało okolice świątyni, wyruszając na doroczną wędrówkę wraz z nadejściem pory deszczowej, co również stało w sprzeczności z odczuwaną przez nie potrzebą walki o to miejsce do ostatniej kropli krwi.

Szczerze mówiąc, im bardziej McCarter wgłębiał się w ten temat, tym mniej sensu widział w ich zachowaniach. Oba plemiona, jeśli można je tak nazwać, były swoimi całkowitymi przeciwieństwami. Majowie tworzyli cywilizację o bardzo sztywnej strukturze nawet tutaj, w miejscu, z którego się wywodzili i o którym zapomnieli. Stawiali budowle i przekształcali środowisko. Wycinali dżunglę, tworząc podwaliny cywilizacji.

Jak wszyscy budowniczości, także oni ozdabiali malowidłami wszystko, co stworzyli: świątynie, miasta, nawet stele. A wszystko po to, by świat się dowiedział, kim byli i czego dokonali. Zdawali sobie sprawę z nieubłaganego upływu czasu i dlatego robili, co mogli, by utrwalić wiedzę o swoim istnieniu.

Cholokwanie natomiast wolą pozostawać w cieniu, wtapiając się w tutejsze łono natury. Są jak jaguary przyczajone w koronach drzew albo mrówki. Żyją dniem dzisiejszym, w kompletnej izolacji od reszty świata i w ten sam sposób jak przed wiekami. Mimo że muszą obcować z naturą, niemal nigdy w nią nie ingerują. Jak mówi mądre powiedzenie: pozostawiają po sobie wyłącznie odciski stóp.

McCarter zadarł głowę.

- Nie powinni się tym przejmować - skonstatował.

- Właśnie - odparł Hawker. - Ale się przejmują.

- To prawda - zgodził się profesor.

Zastanawiając się dalej nad tą kwestią, naukowiec obserwował, jak pilot wspina się jeszcze wyżej, by dotrzeć do punktu, gdzie tajemnicze czarne stworzenia zakończyły swoją wędrówkę ku górze. Kiedy osiągnął cel, znajdował się na wysokości około pięćdziesięciu stóp i ledwie go było widać przez listowie.

- Cudownie - mruknął Hawker, choć z tonu, jakim wypowiedział to słowo, można było wywnioskować coś zupełnie przeciwnego.

- Coś nie tak? - Profesor, nawet wyęzając wzrok, nie potrafił dostrzec tego, co zaniepokoiło pilota.

- Coś tu jest - odparł Hawker, nie kryjąc obrzydzenia.

- Co znaczy: coś? Jakieś zwierzę?

- Nie - odparł Hawker. - To coś w rodzaju gniazda. Głównie wysuszony muł i liście.

- To akurat nic dziwnego - zapewnił go McCarter. - Na takich drzewach zazwyczaj gnieździ się mnóstwo gatunków...

- Ale z tego gniazda wystaje ludzka dłoń.

Profesor skrzywił się.

- Faktycznie. To zły znak.

- Uważaj - ostrzegł go Hawker. - Sprawdzę, czy nie da się go strącić.

McCarter cofnął się o kilka kroków, by lepiej widzieć cały pień. Hawker znajdował się pięćdziesiąt stóp nad jego głową i kopał w owalny lej ulepiony z wyschniętego mułu. Gniazdo tkwiło w rozgałęzieniu jednego z konarów, tuż przy pniu. Profesor nie widział z tej odległości dłoni, ale konstrukcja była tak pojemna, że mogła spokojnie pomieścić całe ciało.

Suchy muł zaczął osypywać się pod wpływem kolejnych uderzeń. McCarter musiał cofnąć się jeszcze o kilka kroków, by wyjść poza zasięg deszczu szarych drobinek. Po szóstym kopnięciu gniazdo pękło wreszcie i runęło w dół, waląc o ziemię z głośnym chrzęstem.

Hawker dalej badał znalezione ślady, a naukowiec podszedł ostrożnie do leżącego opodal kokonu. Zaczął rozgarniać popękany muł końcem znalezionej kija i po chwili odsłonił twarz i korpus człowieka. Rozpoznał mundur noszony przez ludzi Kaufmana. Odgarnął kolejną grudę z klatki piersiowej i nagle zamarł. Wydawało mu się, że trup poruszył ręką.

Zmrużył oczy i obserwował ciało ze zdwojoną uwagą. Dłoń znów się poruszyła. Jakby ten człowiek chciał mu coś zasignalizować.

## ROZDZIAŁ 41

McCarter chwycił nadajnik i zaczął wzywać pomocy.

- Danielle - sapał do mikrofonu. - Mamy problem. Przynieś apteczkę. Tylko migiem!

Laidlaw zareagowała wybuchem paniki.

- Dlaczego? Co się stało? - dopytywała się.

- No... na razie nic się nie wydarzyło - bełkotał profesor, zdając sobie sprawę, jak makabrycznie musiał zabrzmieć ten zdawkowy komunikat. - W każdym razie nic strasznego. Ani poważnego... - zamilkł na moment, by zebrać myśli. - Hawkerowi i mnie nic się nie stało - wyjaśnił

- ale znaleźliśmy kogoś, kto może potrzebować pomocy.

Na moment w eterze zapadła cisza, a potem otrzymał potwierdzenie, że Danielle już do nich biegnie.

Zanim pilot zdążył zejść z drzewa, McCarter przyjrzał się uważniej człowiekowi z kokonu. Mimo że gapił się na niego całą minutę, nie dostrzegł żadnych oznak życia. Dotknął skóry leżącego. Była zimna. W tym momencie zrozumiał, że najemnik Kaufmana od dawna nie żyje.

Danielle pojawiła się na miejscu moment później i po szybkim badaniu doszła do identycznego wniosku.

- Temu człowiekowi nie da się już pomóc, profesorze.

- Wiem - odparł pokornie McCarter. - Byłem skołowany, a on poruszył dłonią. I to dwukrotnie. Dlatego uznałem, że jeszcze żyje.

Hawker zeskoczył na ziemię z najniższego konara.

- Jego szczęście, że już nie żył - wtrącił. - Upadek z tej wysokości musiałby zaboć jak jasna cholera.

Wspólnymi siłami oczyścili zwłoki z resztek mułu, odsłaniając dwa spore otwory w klatce piersiowej. Po rozcięciu koszuli zauważyli wokół nich kilka ciemnych wybrzuszeń. Podobne

obrażenia miał także utopiony Nuree, na którego natknęli się w korycie rzeki.

Tym razem jednak pod skórą coś się poruszało, przepływając tam i z powrotem.

- To bąbelki gazu - domyśliła się Danielle. - Mogły przemieścić się pod skórą i stworzyć iluzję ruchu całej dłoni.

McCarter poczuł nagłą ulgę.

- Przynajmniej wiem, że mi nie odbiło.

Laidlaw nałożyła na dłonie lateksowe rękawice i wyjęła z apteczki skalpel.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał zaniepokojonym głosem Hawker.

Spojrzała na niego.

- Przyszedłeś tutaj w poszukiwaniu informacji, jak mniemam?

- Masz za sobą szkolenie chirurgiczne?

- Nie, ale jednym z kierunków, które ukończyłam, była mikrobiologia. Robiliśmy sekcje różnych organów. - Nie czekając, rozcięła jedno z wybrzuszeń. Skóra puściła z cichym pyknięciem, a z wnętrza wylała się zgęstniała krew.

Hawker cofnął się na jej widok.

- Coś nie tak? - Danielle spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Po prostu robię ci więcej miejsca.

Laidlaw wróciła do oględzin zwłok. Ujęła nadgarstek i bez większego trudu przesunęła rękę.

- To dziwne - powiedziała. - Nadal nie ma stężenia pośmiertnego.

- Obejrzała dokładniej zwłoki. Podobnie jak w przypadku trupa wyłowionego z wody, nie dostrzegła żadnych śladów rozkładu.

Pobrała próbkę krwi i wstrzyknęła ją do probówki. Potem zbadała rany klute na piersiach. Kolce przebiły żebra i sięgnęły dużo głębiej, ale nie przeszły na wylot. Uderzenie było kontrolowane. Zupełnie jak w przypadku człowieka znalezionego w rzece. Zaczynała się zastanawiać, czy Verhoven nie miał przypadkiem racji, twierdząc, iż Nuree został spętany przez Chollokwanów i złożony w ofierze czarnym zwierzętom. Pytanie tylko, dlaczego nie próbował się uwolnić z więzów? I dlaczego przed wrzuceniem do rzeki obciążono mu stopy kamieniami, a do rąk przywiązano kłodę, która nie pozwalała opaść na dno? Czy naprawdę chodziło tylko o to, by jego zwłoki stanowiły ostrzeżenie dla pozostałych tubylców?

Pochyliła się, by pobrać kolejną próbkę, i dostrzegła, że w rozciętym wybrzuszeniu coś się porusza. Wyprostowała się, nie spuszczać wzroku z tego miejsca.

- Dziwne... - mruknęła.

- Tutaj trudno znaleźć coś, co nie wydawałoby się dziwne - zauważył Hawker. - Mogłabyś być nieco precyzyjniejsza?

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Zamiast tego włożyła do rany parę szczypiec i wydobyła z niej coś oślizgłego i szarego. Wyglądało jak pijawka, z tą tylko różnicą, że miało dwa długie wąsy, którymi było przymocowane do tkanek.

Położyła pasożyta na odsłoniętej skórze i zajrzała w głąb rany, sprawdzając, do czego przylgnęły końce wąsów, i tak trafiła na jedną z tętnic tuż nad sercem. Wycinając jej fragment, oddzieliła krwiopicę od zwłok.

Pijawkowaty pasożyt wił się wściekle w szczypcach. Wąsy puściły bezużyteczny kawałek tkanki i zaczęły smagać powietrze, wijąc się niczym para miniaturowych węży strażackich, które wymknęły się pod ciśnieniem spod kontroli. Zdawać się mogło, że czegoś szukają.

- Cóż to takiego? - zapytał McCarter.

- Moim zdaniem to potomstwo tych czarnych bestii - odparła.

Hawker wyglądał na jeszcze bardziej zdegustowanego niż przed chwilą.

- Larwa?

Skinęła głową.

- Pasożytująca w ciele.
- Jesteś pewna? - Pilot skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.
- Nie, ale wydaje mi się to prawdopodobne. Wiele gatunków rozmnaża się w ten sposób.

Na przykład osy. Żądł inne owady, paraliżując je, a potem składają w nich jaja. Nosiciel jest w takich przypadkach pożerany żywcem od środka.

- Czyli mamy kolejne zachowanie typowe dla owadów - zauważył profesor.

Danielle wskazała na cieniutkie wąsiki, które były dłuższe niż larwa.

- Idę o zakład, że służą do pobierania pokarmu prosto z układu krwionośnego ofiary. A wydzielane przy tym gazy są najbardziej prawdopodobną przyczyną powstawania bąbli na skórze.

Obróciła się, by pokazać je Hawkerowi. Ten cofnął się w popłochu.

- Zabieraj to ohydztwo sprzed moich oczu.

Rozbawiona przysunęła szcypce przed twarz McCartera, który wykazywał znacznie większe zainteresowanie jej odkryciem.

- A co sądzisz o pozostałych bąblach? - zapytał.

Umieściła larwę w szczelnym pojemniku i wróciła do oględzin ciała. Teraz miała już pewność, że każdy bąbel mieścił podobną zawartość.

- Zamierzam zbadać to stworzenie - oświadczyła. - Dzięki temu możemy się wiele o nich dowiedzieć.

- Wiedziałem, że to powiesz. - Hawker wyglądał na załamanego.

- Tylko jej nie zgub. Wolałbym się nie obudzić z tym paskudztwem w jednym bunkrze.

Gdy Danielle wydobyła wszystkie larwy z ciała, pilot włączył radio i skontaktował się z Verhovenem.

- Przynies trochę C4 Kaufmana, garść zapalników i zwój drutu - polecił.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - zapytała Laidlaw.

- Przerobię te zwłoki na pułapkę - wyjaśnił.

- Co takiego? - Danielle i McCarter wrzasnęli jednocześnie, z ich głosów przebijało niedowierzanie i przerażenie.

- Słuchajcie, one zabrały wszystkie ciała, które zakopaliśmy. Sądzę więc, że zechcą zabrać i tego biednego sukinsyna. A ja zamierzam wykorzystać to do uzyskania nad nimi przewagi.

Pomysł, aby użyć ludzkich zwłok jako przynęty, miał w sobie coś niewyobrażalnie niegodziwego, ale teraz liczyło się tylko to, by przetrwać, dlatego ani Danielle, ani profesor nie zaprotestowali nawet słowem.

Zanim Laidlaw skończyła pobierać próbki, w gęstwinie pojawił się Verhoven z plecakiem ładunków wybuchowych. Hawker zaminował zwłoki, a potem wspiął się na okoliczne drzewa, by zrobić z nimi to samo. Pozostali czekali na niego cierpliwie na ziemi, a gdy skończył, wspólnie wrócili do obozu.

- Dowiedziałeś się tego, co chciałeś? - zapytał McCarter po drodze.

- Nawet więcej - odparł pilot.

Profesor skinął głową, sądząc, że Hawker odnosi się do ciała i larw, ale byłemu agentowi CIA chodziło o coś więcej niż tylko martwego najemnika i pasożytujące na nim robale. W koronach drzew widział dziesiątki podobnych kokonów ułożonych na rozgałęzieniach konarów. Miejsce to przypominało sad pełen zgniłych owoców. Niektóre wyglądały na świeże, muł na nich nie zdążył jeszcze obeschnąć - inne poczerniały, a część wykruszyła się mocno - w tych od dawna nie było żadnych larw.

Teraz już wiedział, dlaczego w tej okolicy nie widział śladu dzikiej zwierzyny i ptactwa.

Czarne stworzenia ogołociły okoliczną puszcę ze wszystkiego, co żywe. Dowody na to rozkładały się właśnie w koronach drzew.

## ROZDZIAŁ 42

Zaraz po powrocie do obozowiska McCarter zaczął szukać rzeczy, które mu skonfiskowano, w szczególności notatnika i szkiców. Dobrał się w tym celu do skrzyń ze sprzętem dla Kaufmana, odrzucając bez namysłu każdy przedmiot, który nie należał przedtem do niego. Czuł ogromną radość, myszując w kolejnych pojemnikach. Powstrzymało go dopiero ciche kasznięcie dobiegające zza pleców.

- Profesorze?

Za nim stała Susan, miała umorusaną twarz i karabin przewieszony przez ramię.

- Nie powinnaś teraz odpoczywać?

- Nie mogę zasnąć - wyjaśniła. - Budzi mnie każdy najlżejszy nawet hałas, dlatego postanowiłam się przejść po obozie.

Wiedział, o czym mówiła, sam też miał spore problemy z zaśnięciem.

- Co pan robi? - zapytała.

- Nic takiego. Szukam moich rzeczy. Po prostu próbuję odzyskać, co nam skradziono.

Pokazała mu jego podniszczone, oprawione w skórę notesy.

- Nie chciałam, żeby pan o nich zapomniał, kiedy będziemy się stąd wynosić - wyznała.

McCarter poczuł, jak łzy napływają mu do oczu. Była jeszcze dzieckiem. Nie wyobrażał sobie, jak zniosła to, co właśnie ją spotkało. To, co oni wszyscy przeżyli w ostatnich dniach.

- Twoja rodzina nie ma pojęcia, co ci tutaj grozi - powiedział.

- Da pan wiarę, że zrezygnowałam z wyjazdu do Paryża, by się tu znaleźć? - W jej oczach także pojawiły się łzy.

McCarter odebrał od niej swoje notesy i usiadł.

- Zadbam o to, byś mogła tam polecieć - obiecał. - Na razie jednak mam prośbę.

Chciałbym, abyś mi pomogła w rozstrzygnięciu pewnej akademickiej kwestii.

Zdjęła karabin z ramienia.

- Nie ma sprawy. Może dzięki temu znów poczuję się normalnie.

- Przysiadła obok niego. - Co mamy zamiar rozgryźć tym razem?

- Hawker zadał mi pytanie dotyczące tego miejsca - zaczął profesor.

- Hawker?

- To bardzo mądry człowiek - pochwalił go McCarter - chociaż pozer. I bardzo uważny obserwator. On jeden z nas wszystkich zauważył, że nie znamy powodów, dla których Chollockwanie są niezwykle zainteresowani tą porzuconą świątynią, mimo iż nie są z nią w żaden sposób powiązani. Co ty o tym sądzisz?

Zamyśliła się na dłuższą chwilę, potem rozejrzała po okolicy.

- Moim zdaniem ma całkowitą rację.

Dyskutowali tę kwestię jeszcze przez jakiś czas, omawiając kolejne jej aspekty i wymieniając przemyślenia, ale nie udało im się poczynić żadnych postępów, dopóki nie zajęli się zupełnie innym problemem, który dręczył ich od samego początku: czy ta świątynia była pozostałością po Tulan Zuyua?

- Wszystko zaczęło się tutaj - zauważył McCarter.

- Nie możemy tego jednak dowieść - skontrowała Susan.
- Nie możemy - przyznał. - Ale jak dla mnie to wielce prawdopodobne. Siedem Jaskiń, Źródło Kwaśnej Wody, piktogramy odnoszące się do wydarzeń sprzed exodusu oryginalnych Majów z Tulan Zuyua. - Podrapał się po głowie. - Czy łatwiej byłoby nam w to uwierzyć, gdybyśmy uznali te fakty za prawdziwe? To znaczy, czy wiemy o tym mieście coś, co moglibyśmy zweryfikować?
- Ludzie kontaktowali się tutaj z bogami - powiedziała - a potem musieli stąd wyemigrować z bliżej nieznanego powodu.
- Zgadza się - potwierdził. - Ale z tego co, tu znaleźliśmy, a raczej czego tutaj nie znaleźliśmy, wynika niezbitcie, że to miejsce nie było zbyt długo zamieszkiwane. - Chodziło mu głównie o brak jakichkolwiek przedmiotów codziennego użytku, które wykopywano stosami na każdym stanowisku archeologicznym. Takich jak ceramika do gotowania i noszenia wody, narzędzia, kości zjedzonych zwierząt i reszta śmieci zalegających na starożytnych wysypiskach. - Widzieliśmy za to piktogramy wewnątrz i na zewnątrz świątyni oraz na jednej z mniejszych budowli, jakby zaczynano tutaj dopiero coś tworzyć, ale nie zdążono wykonać wszystkich prac. Nie ma tu nawet kamiennych ogrodów, tak charakterystycznych dla wszystkich miast Majów. W wielu miejscach inskrypcje urywają się, jakby przerwano nad nimi prace. Wszystko to sugeruje moim zdaniem błyskawiczną ewakuację.
- Sądzi pan, że musieli stąd uciekać? - podpowiedziała.
- Porzucili to miejsce - sprecyzował McCarter. - Tyle że w nieco inny sposób, niż to sugeruje Popol Vuh, ale nawet tam wizje brnących przez ciemność i strumienie deszczu ludzi kojarzą się niedwuznacznie z uchodźcami.

Zgodziła się z tą tezą.

- Co jeszcze wiemy?

McCarter podrapał się po zarośniętym szczecinią policzku, a potem sięgnął po swoje notatki. Zaczął je przeglądać, po raz kolejny przerzucając kartki, cofając się w czasie od najnowszych po te pierwsze, z początku ekspedycji. Była to sztuczka, której nauczył się dawno temu. Dzięki niej musiał przedzierać się przez zapiski, wczytując się w słowa, zamiast przelatywać tekst, wiedząc, co będzie w następnym zdaniu.

Kartki obracały się pod jego kciukiem, ukazując szkice i notatki spisane drżącą ręką, których za Boga nie potrafiłby teraz odszyfrować. Gapił się w te bazgroły, skupiając mocno, a potem cofał jeszcze dalej. W końcu dotarł do miejsca, którego szukał.

Potał powierzchnię kartki opuszką palca, wyczuwając znajomą strukturę włókien. Patrząc na charakterystyczną półkolistą plamę, pozostałość po postawionym na notesie kubku kawy, przypomniał sobie wydarzenia dnia, w którym zapisywał te słowa.

Zapatrzył się na własne pismo i piktogram, który tłumaczył, jeden ze znalezionych nie tutaj na polanie albo w świątyni, tylko przy Murze z Czaszek. Teraz przyglądał mu się uważnie, podczas gdy jego umysł dokonywał analizy, do jakiej nie byłby zdolny jeszcze kilka dni temu. Właśnie znalazł klucz do zagadki.

Zaznaczył tę kartkę i zaczął przeglądać resztę zeszytu w poszukiwaniu rysunku, który zrobił, kopiując piktogram znajdujący się na podstawie ołtarza w świątyni.

Powiedział Susan, czego szuka, a ona podała mu wydruk zdjęcia zrobionego jej aparatem cyfrowym, zanim sprzęt fotograficzny nie podzielił losu reszty elektroniki.

McCarter podziękował jej i ujął fotografię w dłoń. Mierzył ją wzrokiem przez chwilę, potem spojrzął znowu na zaznaczoną stronę. W końcu, z miną człowieka święcie przekonanego o swojej racji, pokazał zdjęcie swojej asystentce.

- Spójrz na ten zestaw piktogramów - powiedział, wskazując lewą stronę fotografii



zrobionej wewnątrz świątyni. - Pamiętasz, jakie znaczenie im przypisywaliśmy?

Susan obrzuciła je przelotnym spojrzeniem, mrużąc coś pod nosem, gdy tłumaczyła treść inskrypcji.

- Oto ofiara dla tego, któremu poświęcona jest ta świątynia, wielkiemu ahau, czyli królowi.  
- Zgadza się. A oto imię... - Przesunął palec na prawą stronę, wskazując znacznie bogaciej zrobioną, ale zupełnie nieczytelną inskrypcję. Nieczytelną głównie dlatego, że ktoś ją rozwalił, używając młotka albo zwykłego kamienia. Inskrypcja miała wiele śladów takich zniszczeń, lecz po prawej stronie tylko jeden piktogram został zmasakrowany. Z tego właśnie powodu McCarter uznał, że to celowa robota wandalów. A fakt, że zniszczono piktogram z imieniem ahau, utwierdzał go tylko w tym przekonaniu. Przypomniawszy sobie, jak faraonowie nakazali usunąć imię Mojżesza ze wszystkich obelisków w Egipcie.

Susan przyjrzała się zdjęciu raz jeszcze i westchnęła.

- Nieczytelne - powiedziała. - Ten piktogram na pewno przedstawiał imię, ale został uszkodzony w takim stopniu, że tutaj, z dala od centrów cywilizacji Majów, możemy nigdy nie znaleźć wystarczającej ilości materiału porównawczego, by go odcyfrować, co oznacza, że powinniśmy sami nadać mu jakieś brzmienie.

Podręcznikowa odpowiedź, pomyślał McCarter.

- Takie było nasze założenie w tamtym momencie. Ale tak naprawdę wiedzieliśmy, o kogo chodzi, aczkolwiek nie przeczę, że kiedy poznasz rozwiązanie tej zagadki, może ci się ono wydać nieco zaskakujące.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

Profesor otworzył notes na zaznaczonej stronie i podał jej. Całą kartkę zajmował rysunek wykonany przy Murze z Czaszek. Nieuszkodzona część inskrypcji ze zdjęcia była identyczna jak ciąg hieroglifów, który naszkicował w notatniku. Obok znajdowało się tłumaczenie imienia spisane jego ręką: Siedem Ar.

- To niemożliwe - stwierdziła. - Siedem Ar był jednym z drewnianych ludzi. Częścią ich prehistorii i mitologii.

McCarter uniósł znacząco brew.

- Zastanów się nad opisem drewnianego ludu - poprosił. - Nie mieli mięśni na rękach i nogach. Żadnego tłuszczu. Twarze jak maski, zdeformowane ciała.

- Szkielet z jaskini pod świątynią - wyszeptwała.

- Otóż to. Za czasów drewnianego ludu Siedem Ar okrzyknął się bogiem. A w każdym razie przywódcą. Jednakże autorzy Popol Vuh mieli go raczej za uzurpatora. Bogowie się nim brzydzili, był dla nich kimś obcym, złym, mówiąc krótko, wynaturzeniem.

- Podczłowiekiem - dodała.

Profesor skinął głową.

- Ale gdy zdobył władzę, stał się kimś więcej. Przestał być pożałowania godnym stworzeniem, zmieniając się w zniechęconą obrzydliwość, czyli Siedem Ar. - Gdy to mówił, Susan spoglądała na zdjęcie przedstawiające zniszczoną inskrypcję. - I jeszcze jedno - dodał. - Opisując Siedem Ar, wspomniano, że miał gniazdo zrobione z metalu i przedmiot dający światło. Ponoć twierdził, że jest wcieleniem słońca i księżyca, a jego moc może rozświetlić cały świat, lecz nawet autorzy Popol Vuh zdawali sobie sprawę, iż są to tylko przechwałki. Wiedzieli, że światło, które przywoływał, mogło oświetlić tylko bardzo ograniczoną przestrzeń. - Wskazał głową na świątynię. - Jeśli Danielle ma rację i szkielet odkryty w jaskini należy do istoty, która cofnęła się w czasie, moim zdaniem powinna tu przybyć w jakimś wehikule, w czymś, co prymitywni ludzie określiliby mianem gniazda z metalu. Tak przecież opisaliby kapsułę kosmiczną albo samolot, gdyby rozbiły się tutaj w naszych czasach. Reflektory, którymi

oświetlaliśmy polanę w nocy, dopóki nie zostały rozbite, mogły się wydawać Indianom magicznymi przedmiotami. A kto wie, jaką technologią dysponowali ludzie z odległej przyszłości.

- Na pewno nie taką, by za jej pomocą oświetlić cały świat - zauważyła Susan.
- To prawda - przyznał profesor. - Bez względu na to, jak potężnym źródłem zasilania dysponowali.

- To by pasowało - przyznała, wyraźnie ożywiona. - To znaczy, gdyby dysponował takimi urządzeniami, ówczesni ludzie mieliby problem z ich opisaniem.

McCarter przytaknął w milczeniu. Rozmyślał o czasie tej istoty i złotych liniach wybiegających z jej oczodołów. Wspomnił też swojego wuja, któremu wszczepiono tytanowy staw kolanowy, rozrusznik serca w jego piersi i sztuczną soczewkę w oku po usunięciu katarakty. Jego zdaniem drucziki te musiały być czymś w rodzaju protezy, której zadaniem mogło być wspomaganie wzroku.

- Pamiętasz moment, gdy herosi trafiają Siedem Ar strzałką z dmuchawki? - zapytał. - Legenda mówi, że wyjęli mu z oczu metalowe płytki. - Skinęła głową. - Wiem, że to trochę naciągane, ale mam przeczucie, że szkielet znaleziony tam na dole mógł należeć do istoty, którą opisano w mitologii jako Siedem Ar.

Susan przemówiła nagle głosem rozsądku.

- Albo imię to wymyślono później, aby opisać złą moc zniewalającą ludzi.

Jej wersja wydawała się prawdopodobniejsza. Wszelkie mity i legendy obrastały treścią wraz z upływem czasu, a wszelkie opowieści o krzywdach były przypisywane pojedynczym czarnym charakterom, nie grupom ludzi, nawet jeśli nie było to zgodne z prawdą.

- Tak czy inaczej - dodał - wierzę, że ta istota ma wiele wspólnego z mitem. Dzięki niej możemy się dowiedzieć więcej o stworzeniach, z którymi walczymy.

Obserwował jej twarz, gdy dochodziła do tych samych wniosków, co on przed momentem.

- Uważa pan, że te stwory to Zipacna - powiedziała w końcu, odgadując jego myśl. - Syn czy raczej synowie Siedmiu Ar.

- Tak właśnie to widzę - przyznał. - Jego synowie, aczkolwiek nie w sensie biologicznym. Było nie było, Benjamin Franklin jest dziś nazywany ojcem elektryczności, mimo że nie spłodził jej w znany nam sposób.

- Ojciec... patron... obrońca... albo... stwórca - wymieniała kolejno.

Spojrzał na świątynię.

- Zatem jeśli w jaskini spoczywa Siedem Ar, możliwe, że dał początek stworzeniom zwanym zipacna i jest ich swego rodzaju ojcem. Hodował je w tych zbiornikach, kto wie, może metodą klonowania.

- Kimkolwiek była istota leżąca w tych podziemiach, od dawna już nie żyje - zauważyła Susan. - Dlaczego te zwierzęta nadal jej pilnują?

Profesor rozważył i ten problem.

- Danielle szukała tam jakiejś maszyny. Być może nasza obecność w podziemiach spowodowała włączenie alarmu. Może Kaufman uruchomił go, układając kryształy na ołtarzu.

- Albo stało się to, gdy weszliśmy w kurtynę światła.

- Takie pułapki potrafią przetrwać całe wieki - przyznał. - Popatrz tylko na te wszystkie pola minowe. Wojen, po których pozostały, już nikt nie pamięta, a one wciąż zbierają krwawe żniwo. Jeśli dobrze kombinujemy, drewniany lud, czy jak kto woli: zdeformowani ludzie z przyszłości, mogli się także zabezpieczyć w podobny sposób. To tylko przypuszczenia, niemniej...

- Raczej nie - przerwała mu. - Zdaje się, że zapomniałam wam coś pokazać w tych

komnatach. Rozmawialiśmy o szkielecie i całej reszcie, a ja tak bardzo chciałam się stamtąd wydostać. Zanim mnie znaleźliście, spędziłam tam sporo czasu, próbując nawiązać łączność z Kaufmanem i modląc się, aby te stworzenia nie zdołały mnie dopaść. Dla zabicia czasu studiowałam wszystkie hieroglify i inne znaki znalezione na ścianach. Widziałam tam coś, co przypominało podwójny łańcuch. To mogło być cokolwiek, choćby znak nieskończoności obrócony na bok, ale jak na moje oko przypominało stylizowany łańcuch DNA. Taki, jaki czasami znajduje się na opakowaniach leków. - Pokiwał głową. - A w piśmie Majów rozpoznałam piktogramy oznaczające dzieci, niedouczenie albo niechęć do nauki, a na końcu przemoc. Ostatnie oznaczały odkupienie albo destrukcję.

McCarter wciągnął powietrze.

- Na pewno w tej kolejności?

Skinęła głową.

- Założyłam, że chodziło o to, iż dzieci nie chciały się uczyć, więc zostały ukarane.

Uznałam też, że pod pojęciem dzieci kryli się tubylcy, a karą miało być wypuszczenie synów Siedmiu Ar.

Profesor spojrział na obandażowane psy leżące obok jednego z bunkrów.

- My mamy naszych wiernych przyjaciół, może i oni mieli jakieś zwierzęta na swoich usługach.

- Ale dlaczego to wszystko? - zapytała. - Po co to robili? Po co zbudowali tę piramidę? Dlaczego ktoś chciał zamieszkać w tej jaskini?

- Hm - mruknął profesor. Czekał na ten moment. - To bardzo dobre pytanie. Moim zdaniem odpowiedź na nie jest najważniejsza ze wszystkich. Ta świątynia pieczętowała wejście do jaskini, dzięki niej powstrzymano wydobywanie się oparów siarki i kwasu, zwiększając ich zawartość w zamkniętej przestrzeni. Środowisko naturalne jaskini jest odmienne od tego, jakie znajdziesz na powierzchni. Przypomnij sobie, po wydostaniu się z pułapki musiałaś natychmiast obmyć skórę, ponieważ wszystko cię piekło.

- Owszem - przyznała, drapiąc się po ręce nad łokciem. - Wciąż czuję swędzenie.

- Woda jest tam straszliwie zakwaszona. Najemnik, który do niej wskoczył, zginął na twoich oczach, ale te zwierzęta mogą w niej żyć bez problemu. Danielle twierdzi, że to możliwe, ponieważ ich skóra wydziela oleistą substancję, która neutralizuje działanie kwasu. Z tego faktu wnioskuje, że one są przystosowane do życia w takim środowisku, a kto wie, czy nie stworzone do niego. Na szkielecie, który odkryłaś, widzieliśmy podobne pory w tkance kostnej. To z kolei prowadzi do wniosku, że te istoty żyły w kwaśnym środowisku.

- Zatem nasza przyszłość będzie obfitować w kwaśne deszcze - rzuciła ze smutkiem.

McCarter przytaknął.

- Zniszczone środowisko, w którym ludzie i zwierzęta muszą ewoluować albo poddać się genetycznym modyfikacjom, aby przeżyć. Gdy przybyli w przeszłość, musieli stworzyć sobie podobne warunki.

- Zatem zamknęli tę jaskinię z pełnym rozmysłem - dodała. - Robili co mogli, by odtworzyć środowisko zbliżone do ich naturalnego, takie, w jakim dałoby się przynajmniej przeżyć.

- Ich wersja bazy księżycowej - zgodził się profesor.

Susan trawiła te informacje, starając się poukładać je i zaakceptować, co jednak doprowadziło ją do wniosku, że wciąż nie mają odpowiedzi na pierwsze pytanie.

- Dobrze - powiedziała. - Bazując na tym, co wiemy, jestem w stanie przyjąć pańskie wnioski. Drewniany lud i Zipacna istnieli naprawdę. Mogę sobie nawet wyobrazić, że przymusili pierwotnych Majów do wybudowania tej świątyni, aby utworzyć w jaskini środowisko zbliżone

do ich naturalnego. Nadal jednak nie mam pojęcia, co do tego wszystkiego mogą mieć Chollokwanie.

McCarter odpowiedział jej pytaniem na pytanie, szykując się do połączenia obu teorii.

- Co stało się z drewnianym ludem, gdy zignorował wezwania bogów i tak zapatrzył się w siebie, że zapomniał o pilnowaniu kolejnych wschodów słońca, dzięki którym na ziemi panowało światło?

- Został wybity - odparła. - Huragan i bogowie zniszczyli go. Sprawili, że własne zwierzęta zwróciły się przeciw niemu.

- Zgadza się - potwierdził profesor. - Własne zwierzęta, czyli bestie, którymi się posługiwali, zwróciły się przeciw swoim panom i rozszarpały ich na strzępy, jak to miały w zwyczaju zipacna. „Próbowali uciekać na drzewa i kryć się po jaskiniach”, zacytował z pamięci ustęp z Popol Vuh, świętej księgi Majów, „niemniej gałęzie nie były w stanie ich utrzymać, a wejścia do grot zostały zamknięte”.

- Wygląda na to, że tubylcy przechytrzyli ich - dodała. - Zamknęli świątynię tuż przed rozpoczęciem się burzy.

Profesor pokiwał głową.

- Gdybym miał opisać tamte wydarzenia na podstawie znanych nam legend, zakładałbym, że Majowie zbuntowali się, zranili Siedem Ar i zmusili do ucieczki do świątyni. Potem zamknęli go w jaskini. Wszystkie zipacna, widząc, że nadchodzi burza, a nie ma się gdzie ukryć, wpadły w panikę i zaczęły atakować kogo popadnie, wliczając w to pozostałych drewnianych ludzi, o ile byli tu jeszcze jacyś. „Wtedy też rozpoczęła się ulewa, z nieba lunęły strumienie czarnego deszczu .

- „I padało cały dzień i całą noc”... - zacytowała.

- „...aż ziemia całkiem poczerniała” - dodał ostatni fragment starożytnego tekstu Majów.

Gdy skończył mówić, zobaczył, że twarz Susan jaśnieje. Był pewien, że ona także dostrzegła już związek i wie, jakie za moment padnie pytanie. Był pewien, że jego studentka zna na nie odpowiedź, ale musiał je zadać.

- Co robili Chollokwanie z tymi kryształami, dopóki nasz przyjaciel Blackjack Martin ich nie ukradł?

- Modlili się do nich - odparła. - O deszcz.

- Święta racja - stwierdził McCarter, zatrzasnąwszy notes. - Chollokwanie dbają o świątynię, ponieważ są potomkami pierwotnych Majów, plemienia, które ją wybudowało. A o deszcz nie modlą się jak inni, którym chodzi tylko o pomyślnie zbiory, tylko dlatego, że jego nadejście przyczyniło się do ocalenia ich przodków.

## ROZDZIAŁ 43

Po DRUGIEJ STRONIE OBOZOWISKA HAWKER STAŁ OBOK DANIELLE i przypatrywał się opróżnionej skrzynce po amunicji, którą przykryli zaimprovizowaną kratownicą. Na jej dnie miotła się jedna z larw wydobytych z ciała zabitego najemnika. Choć minęły tylko dwie godziny, stworzenie zupełnie nie przypominało tego, które znaleźli. Miało już miniaturowe kończyny, wyrzynał mu się też zabójczy ogon. Widziane z góry przypominało kształtem bestie, które spotkali w jaskini.

Hawker nie potrafił uwierzyć w tę przemianę.

- Ile to trwało?

Danielle spojrzała na zegarek.

- Dziesięć minut po powrocie z dżungli skóra zaczęła twardnieć, formując pancerz kostny podobny do tego, jaki mają dorosłe osobniki. Potem odpadły wąsy i zostały natychmiast zjedzone.

Były agent czuł obrzydzenie na widok tego stworzenia, a ostatnie rewelacje tylko to uczucie pogłębiły.

- Zżarł własne członki?

- Mhm - mruknęła, śmiejąc się z jego miny. - Szkoda, że tego nie widziałeś.

- Dzięki - burknął, rozglądając się wokół. W skrzynce znajdowała się tylko jedna larwa, co mocno go zaniepokoiło. - Gdzie reszta?

Danielle spoważniała w okamgnieniu.

- Taje pozabijała, zanim zdążyłam ją oddzielić. Jak tylko pancerzyk zaczął się formować, stała się bardzo agresywna.

- Zżarła wszystkie pozostałe? - nie dowierzał Hawker.

Przytaknęła.

- Zdołałam wyjąć jedną w połowie zjedzoną, ale i ją by wchłonęła, gdybym jej nie przeszkodziła.

- A to ci żarłoczna bestyjka - mruknął pilot.

- Owszem - przyznała. - I chyba wiem, dlaczego taka jest. Pobrałam próbkę tkanki z martwego okazu i obejrzałam ją pod mikroskopem. W jej komórkach jest trzy, może nawet cztery razy więcej mitochondriów. To sprawia, że ich metabolizm musi być piekielnie szybki. Aby zaspokoić głód, w ciągu paru dni muszą zjeść tyle, ile same ważą. Sądzę, że dorosłe osobniki mają o połowę mniejsze potrzeby, ale i tak jedzą sporo.

- To by wyjaśniało ich nadmierną agresywność - przyznał Hawker.

- Wydaje mi się, że wyjaśnia coś jeszcze, co może się okazać bardzo przydatne w walce z nimi - dodała.

Były agent pochylił się w jej kierunku. Interesował go każdy szczegół, dzięki któremu można by je szybciej zabić.

- Mów - ponaglił ją.

- Pozwól, że ujmę to w następujący sposób. W naturze występuje wiele gatunków, które mają spowolniony albo przyspieszony metabolizm. Weźmy takie kolibry. Są malutkie, ale poruszają skrzydłami tak szybko, że ludzkie oko nie jest w stanie tego zauważyć, dlatego widzimy je jako rozmazaną plamę. Aby sprostać takiemu wysiłkowi, ptaszki te muszą spać w ciągu doby więcej nektaru, niż same ważą. Z kolei niektóre żółwie albo rozgwiazdy dysponują niezwykle powolnymi systemami trawiennymi. Gdy patrzysz na rozgwiazdę, wydaje ci się, że jest nieruchoma. Ale to złudzenie, one się poruszają i nie mówię tutaj o przesuwaniu się wraz z prądami morskimi. Przemieszczają się na wielkie odległości po dnach oceanów. Ale można to zauważyć dopiero, gdy zastosuje się poklatkową metodę filmowania ich ruchu.

Hawker uśmiechnął się, widząc zaangażowanie, z jakim to wyjaśniała.

- Niech zgadnę, z oceanografii też robiłaś magisterkę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To tylko taki wakacyjny konik. Lubię słońce i surfowanie. W pianie wyglądam obłądnie.

- Nie wątpię - skomentował, wybuchając śmiechem.

- Chodzi mi o to - wyjaśniała dalej - że gdyby rozgwiazda nas widziała, byłibyśmy dla niej jak skrzydełka kolibra, czyli rozmazaną plamą. Ale w oczach kolibra poruszamy się jak muchy w smole. Zupełnie jakby ktoś puszczał film w zwolnionym tempie. - Wskazała na larwę drapiącą

narożnik skrzynki. - Te stworzenia są gdzieś pomiędzy kolibrem a nami. Poruszają się szybko i reagują z niesamowitym refleksem. - Podała mu szczypce. - Śmiało, spróbuj ją złapać.

- Opuść sobie - podziękował. - W przeciwnym razie nigdy więcej nie będę mógł wziąć chińszczyzny do ust.

- Bez względu na to, czy użyłbyś pałeczek, czy szczypiec - zapewniła go - miałbyś równie wielkie problemy ze schwyтaniem tego stworzonka. Zawsze zdąży uskoczyć. Jakkolwiek szybko byś działał, ono ci ucieknie. Wydaje mi się, że postrzegają nasze ruchy jako niesamowicie niezdarne i powolne.

Zatem są od nas szybsze, uzmysłowił sobie. To by wyjaśniało, jakim cudem zdołał zastrzelić bestię szarżującą na niego, gdy został porwany Kaufman. Strzelał wtedy instynktownie i na ślepo. Nie tracił czasu na myślenie i mierzenie. To była dobra wiadomość. Czegoś się jednak nauczył.

- Masz jeszcze coś wesołego w zanadrzu? - zapytał.

- W sumie dwie sprawy. Pierwsza jest taka, że zwłoki, w których znaleźliśmy larwy, miały we krwi pewien enzym, który powstrzymywał jej krzepnięcie, aby pasożyty zdążyły się rozwinąć i wykarmić. Został wstrzyknięty ofierze w momencie zadania śmierci. Podobnie postępują moskity, kiedy spijają krew. Wydaje mi się, że to właśnie dzięki temu ciało nie ulegało rozkładowi.

- A ta druga sprawa?

Przeniosła wzrok na linię zarośli.

- Jeśli te stworzenia potrzebują tak wiele żywności, jak myślę, stanęły przed ogromnym problemem. Im bardziej ogałają okolicę z żywych istot, tym mniej mają pożywienia i ofiar do składania jaj. Wygląda na to, że po wybicium wszystkiego wokół świątyni zaczęły się zapuszczać dalej, by zdobyć pożywienie. To dlatego nie spotkaliśmy ich tutaj od razu. Weszliśmy w pustkę, jak po pożarze w lesie. Jesteś wtedy bezpieczny pośród zwęglonych szczątków, ponieważ ogień już je strawił i przeniósł się dalej.

Hawker przypomniał sobie widok, który zobaczył w koronach drzew. On także sugerował, że Danielle może mieć rację.

- Zatem powinniśmy mieć chwilę przerwy - stwierdził. - Powiedz mi tylko, po co one tutaj wracają?

- Może wychwytyją nasz zapach - zasugerowała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, obok nich pojawili się McCarter i Susan Briggs.

- Popelniamy wielki błąd - oświadczył na cały głos profesor.

- O czym mówisz, u licha? - zapytała Laidlaw.

- Siedzenie tutaj to błąd - odparł, wskazując na linię zarośli. - Powinniśmy być tam, z Chollockwanami.

Hawker uniósł brwi ze zdziwienia.

- Chcesz się bratać z ludźmi, którzy rzucili na nas klątwę, życząc tysiącrotnej śmierci?

- Wiem, wiem. - McCarter uniósł dłoń, aby uciszyć kolejne pytania.

- Pamiętam, co wygadywali. Sądzę jednak, że to było raczej ostrzeżenie niż groźba. Moim zdaniem robili to, ponieważ wiedzieli, co się wydarzy, jeśli wejdziemy do świątyni.

- Skąd mogliby wiedzieć? - zdziwiła się Danielle.

- Ponieważ to już miało miejsce w przeszłości - wyjaśnił profesor.

- Gdyśmy szukali radia, Kaufman powiedział mi, że wysłaliście tu kogoś przed nami i ten ktoś zaginął. Sądzę, że chciał mnie tym sposobem przekabacić, ale przy okazji był to jeden z tych wyjątkowych momentów, kiedy nie kłamał.

- To prawda - przyznała Laidlaw ponurym tonem. - Nie wiedzieliśmy, że oni także dotarli

do świątyni, ale niedawno znaleźliśmy tutaj część ich wyposażenia.

McCarter pokiwał głową, jakby chciał pokazać, że docenia jej szczerość.

- Kaufman twierdził też, że człowiek nazwiskiem Dixon przeżył. Wydostał się stąd ze złamaną nogą, którą potem stracił przez gangrenę. Zachował jednak to, po co tu przybył, czyli kryształy zdobyte we wnętrzu świątyni, takie same jak te, które przywiózł Martin.

- Tak - stwierdziła. - To prawdopodobne. Ale nadal nie rozumiem związku.

- Związek jest taki, że poprzednia ekipa dokonała czegoś więcej niż tylko znalezienie tego miejsca - wyjaśnił McCarter. - Mówię o tym, że ci ludzie otworzyli wejście do wnętrza świątyni i weszli do niej. Ale kiedy my tu przybyliśmy, budowla była ponownie zapieczętowana. Kto ją zamknął? Ktoś to musiał zrobić, ale na pewno nie byli to wasi ludzie, którzy wiali stąd aż się kurzyło, szukając schronienia w dżungli. Zatem kto? Jedyne kandydatami w tej sytuacji wydają się Chollokwanie. Przyszli tutaj, żeby zamknąć świątynię i znajdujące się w niej bestie.

- A co z ogniem? - zapytała. - Tym z pierwszej nocy i z wczoraj?

- To samo - odparł naukowiec. - Złe wnioski wyciągnięte z fałszywych przesłanek. Ogień na ogień, śpiewali. Ogień na plagę. Przypuszczaliśmy, że to my jesteśmy dla nich tą zarazą. Ale oni wypalali drzewa, ponieważ na nich znajdowały się te larwy - wskazał na skrzynkę po amunicji. - Wydaje mi się, że chcieli spalić kokony, zanim wyklują się z nich kolejne bestie. Minionej nocy znów słyszeliśmy bębny i śpiewy. Założyliśmy, że szykują się do boju. Ale nie uderzyli na nas, a jeśli przypomnicie sobie kolejność zdarzeń, zauważycie, że chwilę po rozpoczęciu pieśni te czarne stworzenia się wycofały. Idę o zakład, że Chollokwanie właśnie na nie polują.

- Dzidami i maczugami? - powątpiewała Danielle.

- Raczej studniami wypełnionymi wodą - poprawił ją McCarter, przypominając dziwną pułapkę znaną w pobliżu Muru z Czaszek.

- Dlaczego z nimi walczą? - nie ustępowała Laidlaw. - Przecież to czyste samobójstwo.

- Może dlatego, że nie są zwykłymi dzikusami szwendającymi się po dżungli. To potomkowie w linii prostej plemienia Majów, które zamieszkiwało te tereny. Chollokwanie to ci, którzy pozostali.

- Mówisz o historii Tulan Zuyua? - dopytywała Danielle.

- Tak - przyznał profesor. - Uważam, że to nie tylko legenda. W każdym razie jeśli chodzi o opis tego miejsca. - Spojrzał na Hawkera. - To jest właśnie odpowiedź na pytanie, które mi zadałeś tam w dżungli. Chciałeś wiedzieć, dlaczego oni tak dbają o to miejsce. Wedle mojej wiedzy nie powinni tego robić i to ci powiedziałem. Powinni ominąć tę świątynię jak każde inne dziwactwo napotkane w głębi dżungli, ignorując ją kompletnie albo co najwyżej oglądając z typowym dla ludów pierwotnych zaciekawieniem. Ale oni pojawiali się tu co rok, wypalali roślinność i dbali, by nic tutaj nie urosło. Tak samo jak wokół Muru z Czaszek w zapiskach Blackjacka Martina. Dbali o to miejsce i odstraszaali intruzów rok po roku, stulecie po stuleciu, ponieważ należało do ich przodków. Błogosławieństwo czy klątwa, to nie miało najmniejszego znaczenia, świątynia jest ich dziedzictwem.

- Twierdziłeś, że to miasto zostało opuszczone - przypomniała mu Laidlaw.

- Bo tak było - zapewnił ją McCarter. - Mieszkańcy porzucili swoje domy. Zamknęli te stworzenia w świątyni, zupełnie jak w opowieści o Zipacnie, któremu zrzucano na głowę całą górę, aczkolwiek nie chodziło tutaj o masy kamienia, tylko o budowlę przypominającą kształtem szczyt górski, czyli piramidę z obrobionych bloków. - Obrócił się. Za jego plecami stała monumentalna świątynia.

Hawker także na nią spoglądał. Nagle z rozumiał, o czym mówi profesor.

- Zatem to wcale nie były bajki.

- To stylizowana opowieść o wydarzeniach, które miały miejsce w rzeczywistości - potwierdził McCarter. - Upiększona i rozbudowywana przez wieki, ale prawdziwa.

Danielle także przeniosła wzrok na piramidę.

- W legendach Majowie opuszczali Tulan Zuyua jako wygnańcy - zauważyła - podczas gdy inni ludzie, powiedzmy nieznanego pochodzenia, zostali w mieście. Uważasz, że Chollockanie są ich potomkami?

Profesor skinął głową.

- Zatrudniłaś mnie, abym ci powiedział, czy to miejsce jest w rzeczywistości Tulan Zuyua, więc mówię ci teraz, że tak uważam. W każdym razie jest to jedno ze źródeł tej legendy, a nasza świątynia odgrywa w niej rolę Góry z Kamieni. W podaniach oba te miejsca nie są ze sobą związane, ale musimy pamiętać o metamorfozach, jakie przechodzą opowieści. W ciągu kilku milleniów nawet odległości rzędu tysięcy mil mogą nabrać zupełnie innego znaczenia. Zawsze jednak znajdują się jakieś ziarna prawdy, a w tym wypadku odkryliśmy jedno z nich, które absolutnie mnie przekonało. Sądzę, że to miejsce było albo jest Tulan Zuyua. Uważam także, że jego budowniczy byli prześladowani przez istoty, które tylko z grubsza przypominały ludzi. Szkielet znaleziony w jaskini należy do jednej z nich. Nazywali ich drewnianym ludem. Jeśli Danielle ma rację, są to nasi odlegli potomkowie, ale dla prehistorycznych Indian byli despotami, których, jeśli wierzyć legendzie, uciskany lud w końcu obalił, uwalniając się z kajdan pod osłoną potężnej burzy. Wolni, ale przerażeni możliwością ponownego zniewolenia zabrali swój dobytek i opuścili to miejsce, pozostawiając jedynie grupę wojowników, którzy mieli pilnować, aby świątynia pozostała zamknięta po kres czasów. Nie wykluczam, że uchodźcy mieli jakieś sposoby na komunikowanie się ze strażnikami, ale kontakty te w miarę upływu czasu i rosnącej odległości stały się w końcu niemożliwe, co znajduje odzwierciedlenie w zapisach w Popol Vuh, dotyczących opuszczenia Tulan Zuyua, które mówią wyraźnie o podzieleniu bóstw i niemożności kontaktu między uchodźcami a plemionami, które pozostały. Z biegiem czasu ci, którzy odeszli, stali się Majami, a wojownicy stojący na straży świątyni Chollockwanami, natomiast ich zadanie stało się dla nich religią.

- Ale oni nie znają pisma i pojęcia czasu. Niczego też nie budują

- argumentował Hawker.

- Gdyby nasza cywilizacja upadła w dniu dzisiejszym, jutro nikt nie budowałby wieżowców ani nie konstruował samolotów odrzutowych. Postawienie domu z nieprzeciekającym dachem zakrawałoby na cud. Wszystkie znane nam kultury tworzyły tak zwaną świadomość społeczną, która była przydatna tylko wtedy, gdy istniała sama cywilizacja. Każda specjalizacja oznacza współzależność, a ta z kolei prowadzi do zwiększenia wrażliwości na ataki. Wystarczy rozwiązać daną społeczność, a wytworzona przez nią wiedza specjalistyczna pójdzie w zapomnienie, ponieważ ludzie zajmą się tym, co najważniejsze, czyli przeżyciem. W świecie Majów tylko kapłani znali pismo i potrafili odczytać wskazania kalendarzy. Tylko rzemieślnicy potrafili wykuwać hieroglify i stawiać budowle z kamienia. Tym sposobem elity kontrolowały masy. Cały legion wojowników nie zdołałby wykonać żadnego z wymienionych zadań. Za to wiedziałyby doskonale, jak walczyć.

- McCarter wodził spojrzeniem pomiędzy Danielle i Hawkerem. - Dam wam na to dowód. Osiemdziesiąt lat temu z okładem niejaki Blackjack Martin ukradł Chollockwanom kryształ, których używali do ceremonii przywoływania deszczu. Zadajcie sobie teraz pytanie, po jaką cholere był im potrzebny ten deszcz? Takie obrzędy są charakterystyczne dla kultur rolniczych, nie łowieckich. Chollockanie to nie rolnicy, tylko myśliwi i zbieracze, prowadzą wędrowny tryb życia. Deszcz tylko im przeszkadza. Podczas opadów twarda ziemia zamienia się w lepkie błoto. Zwierzęta nie wychodzą ze swoich gniazd i nor. Co więcej, gdy wszędzie jest pełno wody,



potencjalne ofiary mogą się rozejść po znacznie większym terytorium, oddalając się od koryt rzek, przy których trzyma je susza. Gdyby Cholokowanie byli zwykłymi nomadami, raczej błagaliby o brak opadów, ale jest zupełnie odwrotnie. Modlą się wciąż o deszcz, jak to mieli w zwyczaju pierwsi Majowie.

- Dlaczego to robią? - zapytała Laidlaw.

- Po części dlatego, że to ich dziedzictwo - wyjaśnił McCarter.

- W takim duchu zostali wychowani. Ale jest także inny powód, kto wie, czy nie ważniejszy.

Zamilkł, ponieważ uznał, że prezentacja uświadomi im to znacznie lepiej niż jakiegokolwiek słowa. Odpiął manierkę od pasa, odkręcił ją i wylał nieco wody na torpedowaty kształt wijący się na dnie skrzynki po amunicji.

Gdy krople wody zetknęły się ze skórą larwy, ta skoczyła w górę, wydając przenikliwy skrzek, jakby ją poraziło tysiąc woltów. Uderzyła w kratkę przykrywającą skrzynkę i opadła ponownie na dno, gdzie stanęła niemal od razu na rachitycznych nóżkach i zaczęła biegać po dnie, szukając schronienia.

Każda kropla wody wylanej na nią przez profesora skutkowała kolejnymi skokami i próbami wspięcia się po ściankach. Po ostatnim skoku larwa przywarła do kratki, ale odpadła z powrotem, gdy McCarter wylał na nią resztę wody.

Do tej chwili na dnie skrzynki zebrał się co najmniej cal wody, więc czarne stworzonko nie miało gdzie przed nią uciec. Popędziło więc do najbliższego narożnika i próbowało się po nim wspiąć. Skoczyło, upadło i znów poderwało się w górę. Odbijało się jak sprężynka, byle nie mieć styczności z cieczą. W końcu jednak wylądowało na grzbiecie i zaczęło wić się i miotać po dnie. Cała skrzynka aż się trzęsła od tych spazmów, ale po pół minuty agonii larwy dobiegła końca.

Z chwili na chwilę drgania stawały się wolniejsze, a wąski tułów stworzenia wyginał się pod coraz mniejszym kątem. Woda zamieniała je w rozmiękły, zdeformowany glut. Chemiczne wiązania miniaturowego ciała pękały jedno po drugim. Topiło się jak posypany solą ślimak. Woda wokół zrobiła się mętna i ciemna.

- Co się z tym stało, u licha? - jęknął Hawker.

- Straciło chemiczną osłonę - wyjaśniła mu Danielle. - Tę oleistą ciecz, która wypaliła dziurę w kamizelce Verhovena. Taka substancja może być równie żrąca jak kwas siarkowy, tylko działa w nieco inny sposób.

McCarter pokiwał głową.

- W świątyni wykorzystywały ją do neutralizowania kwaśnej wody. Ja miałem w manierce destylowaną. Bez domieszek kwasu. Dlatego system obronny organizmu tej istoty doprowadził do jej śmierci. I padało cały dzień i całą noc - dodał, cytując starożytną księgę - aż ziemia całkiem poczerniała. Tym sposobem zniszczono drewnianych ludzi, a to są ich synowie albo twory.

- Istoty z legend - mruknęła Danielle i zanim profesor zdążył ją poprawić, sama dodała: - żyjące naprawdę.

Hawker przyglądał się stworzeniu rozpuszczanemu przez własny system obronny. W pierwszej chwili wydało mu się dziwne, że tego typu reakcja może doprowadzić do śmierci żywego organizmu, ale przypomniał sobie zaraz, że i ludzie umierają na skutek podobnych zdarzeń. Najlepszym tego przykładem były choroby autoimmunologiczne i alergie. Wstrząs anafilaktyczny mógł spowodować nagły spadek ciśnienia wskutek kontaktu z minimalną ilością alergenów. Hawker mógłby mnożyć takie przykłady. Jego przyjaciel zmarł, gdy samolot wypadł z pasa startowego i zanurzył się w płytkim, ale bardzo zimnym stawie. Maszyna była cała, a jej pilot musiał jedynie otworzyć owiewkę i rozpiąć pasy. Woda była jednak tak zimna, że organizm zareagował, odcinając dopływ krwi do kończyn, co jest naturalnym mechanizmem obronnym,

mającym na celu utrzymanie za wszelką cenę wysokiej temperatury wokół najważniejszych organów. W tym wypadku dłonie pilota zacisnęły się w bezużyteczne w takiej sytuacji pięści, doprowadzając do jego utonięcia wewnątrz maszyny, mimo że nie odniósł żadnych obrażeń w czasie wypadku.

Patrząc na rozpuszczającą się powoli larwę, Hawker pomyślał, że spotkał ją taki sam los. W momencie gdy McCarter wylał na nią wodę, zaczęła wydzielać oleisty śluz w ilościach dostatecznych, by ochronił ją przed stycnością z cieczą, tylko że woda nie zawierała kwasu, więc nie było czego neutralizować i żrąca substancja dokonała nieodwracalnych zniszczeń w organizmie, który ją produkował.

Przeniósł wzrok na Danielle, wsłuchując się w podsumowanie wygłaszane przez profesora i przytakując każdemu jego wnioskowi.

- Mam powody sądzić, że szkielet znaleziony przez nas w jaskini pod świątynią należy do istoty, która zapisała się w mitologii Majów pod imieniem Siedem Ar. Te stworzenia natomiast znane były jako zipacna. Wedle legend tylko drewniani ludzie ucierpieli od potopu, ale jak możemy się domyślać, oba gatunki pochodziły z tego samego miejsca albo czasu - w tym momencie spojrzał znacząco na Laidlaw. - Dlatego zwykły deszcz mógł zrobić z nimi to samo, co z rzeczonym drewnianym ludem trzy tysiące lat temu.

Danielle musiała mu zadać jeszcze jedno pytanie.

- Sądzisz, że tubylcy też o tym wiedzą?

- Oczywiście - odparł McCarter. - Zawsze byli tego świadomi.

- Wskazał głową w stronę zarośli. - Przez trzy tysiące lat przybywali tutaj podczas dorocznych wędrówek. Zawsze w to samo miejsce. Zawsze podczas pory suchej, strzegąc go i oczekując ulewy, która dawała im odpust na resztę roku. Osiemdziesiąt lat temu, gdy Blackjack Martin zabrał im kryształ, nadal czekali na nadejście pory deszczowej, modląc się o nią z czystego przyzwyczajenia. Dzisiaj zapewne robią to raz jeszcze, gdzieś tam w głębi dżungli, tyle że mają ważniejsze powody. Jeśli chcemy przeżyć, musimy ich odnaleźć, powiedzieć im, co wiemy, i błagać, by nam pomogli.

## ROZDZIAŁ 44

Wyjaśnienie McCartera przypomniało Danielle o czymś istotnym. Dwadzieścia minut później znalazła się w głębi lasu deszczowego, poszukując u boku profesora, Hawkera i Deversa obozowiska Chollockwanów.

Verhoven zaproponował, że zajmie jej miejsce. Uczynił to z dwóch powodów: po pierwsze, Indianie byli bardzo patriarchalni, po drugie, miała zranioną nogę, ona jednak zdecydowanie odrzuciła tę zamianę. Jego ręka była o wiele mocniej poraniona niż jej łydka, a przeprawa przez tak gęste zarośla wymagała tyleż pracy rękami, co samego chodzenia. Co jednak ważniejsze, Laidlaw uważała, że to ich największa, a kto wie, czy nie jedyna szansa na wydostanie się z dżungli. Nie zamierzała więc siedzieć bezczynnie, gdy ktoś będzie decydował o jej życiu.

McCarter był temu przeciwny i nawet zdołał to wyartykułować. Widząc jednak, że nic nie wskóra, skończył na pouczeniu, by nie odzywała się, dopóki nie dostanie pozwolenia. Patriarchalni Chollockwianie i tak by jej nie odpowiedzieli. Zgodziła się, by to on prowadził rozmowy, ale to wciąż miało być jej przedstawienie i nie zamierzała poprzestać na roli biernego obserwatora.

W miarę zagłębiania się w ostępy roślinność wokół nich gęstniała. Teraz przemierzali prawdziwą puszcza, a nie rzadziej zarośnięty skraj polany, po którym kręcili się niedawno Hawker z profesorem. Gigantyczne drzewa o rozłożystych konarach tworzyły wrażenie wędrówki mrocznymi tunelami, a splątane krzewy kryły przed ich wzrokiem wszystko, co leżało na ziemi. Widoki wydawały jej się obce, mroczne i równie złowieszcze jak wnętrza jaskini pod świątynią. Wywoływały też uczucie lęku, które narastało w niej z każdym krokiem oddalającym ją od polany i jej względnego bezpieczeństwa. Czuła się jak stary żeglarz, który drży z obawy, że straci z oczu linię brzegową.

Z wielkim trudem zdołała odrzucić od siebie myśl o tym. Stworzenia, zwane przez McCartera zipacna, kryły się gdzieś w tej gęstwinie. Mimo że Hawker uznawał je za istoty o nocnym trybie życia, wiedzieli, że to nie do końca prawda - choćby dzięki porwaniu Kaufmana, które miało miejsce jeszcze przed zachodem słońca.

Na podstawie obserwacji zachowań larwyzymanej w skrzynce po amunicji Danielle mogła uściślić, że te stworzenia unikają nie tyle dnia, ile światła słonecznego. Ulubionym miejscem małego czarnego robala był bowiem kąt, gdzie ścianki chroniły go przed skwarem; kiedy nakrywała kratkę z jednej strony szmatą, larwa za każdym razem przemykała do cienia. Jeśli więc się nie myliła, stworzenia te mogły polować w głębi dżungli na okrągło przez całą dobę, ponieważ pod potrójną warstwę listowia, pod jaką się obecnie znajdowali, nie przenikało do poziomu gruntu więcej niż dziesięć procent promieni słonecznych.

Wiedząc o tym, Danielle nie spuszczała wzroku z otaczającej ją gęstwiny. Szła obok McCartera w pewnym oddaleniu od pozostałych, wodząc oczami od profesora, przez zarośla, do idącego kilka jardów przed nią zdrajcy, którego rozwiązano, ale pozostawiono bez broni. Podświadomie spodziewała się po nim prób ucieczki, niemniej Devers zdawał sobie sprawę, że samotne bieganie w tych okolicach oznacza pewną śmierć.

Kilka jardów przed Williamem kroczył zdecydowanie Hawker. W jego marszu był dziwny, trudny do uchwycenia rytm. Pędził przed siebie przez kilka minut, potem przystawał nagle i znów ruszał. Na każdym postoju badał uważnie ścianę zarośli przed i za sobą, czasami trwało to całe minuty. Sterczał wtedy nieruchomo, nie wydając żadnego dźwięku, jakby chciał przepuścić nawiedzone dusze. W innych przypadkach wskazywał tylko znaki, dzięki którym mógł namierzyć ślady tubylców, takie jak złamane gałązki albo rozdarte kępki mchu czy wgłębienia ziemi.

- Sto Białych Twarzy przemierzało ten szlak - powiedział.

Po dwóch godzinach kluczenia dotarli do miejsca, gdzie Danielle wyczuła ulotny zapach dymu. Nieco dalej na mijanym listowiu zauważyła płatki popiołu, który przyprószył zarośla niczym kurz meble w dawno nie sprzątanym domu.

Parę kroków dalej dostrzegła Chollokwanów.

Chwyciła McCartera za ramię i osadziła go w miejscu. Przed nią znajdowało się dwóch opalonych na ciemny brąz mężczyzn. Trzej kolejni stali opodal ścieżki. Domyślała się, że w otaczających ich zaroślach kryje się znacznie więcej Indian, ale nie umiała ich wyłuskać wzrokiem. Tubylcy dzierżyli we wzniesionych dłoniach kamienne toporki, twarze mieli zacięte i wykrzywione, a w ich oczach widać było wściekłość.

Jeden z nich wypowiedział krótkie zdanie, którego Devers nie przetłumaczył. Nie musiał tego robić, z tonu i miny Indianina można się było domyślić, że to groźba albo klątwa. Kolejni wojownicy wynurzyli się z zarośli i w okamgnieniu wędrowcy zostali otoczeni przez tuzin Chollokwanów.

Teraz albo nigdy, pomyślał.

- Przemów do nich, Devers - poleciała zdrajcy. - Powiedz, że przychodzimy w pokoju.

William zaczerpnął tchu, by po chwili wydobyć z siebie serię urywanych dźwięków. Indianie nie zareagowali na nie w żaden widoczny sposób. Stojący obok Danielle profesor opuścił broń na znak, że nie zamierza jej użyć.

Hawker pokręcił głową.

- Jeszcze nie - ostrzegła go. - Załatwią nas tutaj.

Devers odezwał się po raz drugi, usiłując przekonać wojowników, że ludzie z NIB-u chcą pomóc Chollokwanom i nie zamierzają z nimi walczyć. Mówił, że czekają na deszcze podobnie jak Indianie, i dlatego przywieźli z powrotem kryształ odebrane plemieniu przed laty. Chcą je oddać w zamian za pomoc.

Z początku wojownicy milczeli, spoglądając jedynie tępych wzrokiem w stronę intruzów, jakby nie rozumieli, co się do nich mówi. W końcu odezwał się ten, który wrzasnął na samym początku. W jego tonie dało się wyczuć tyle niechęci, że Danielle była przekonana, iż odrzuca ich ofertę. Devers w końcu zaczął tłumaczyć.

- Mówi, że nazywa się Putock. Twierdzi, że nie boi się nas ani innych białych ludzi. W przeszłości zabił już wielu przybyszów z północy.

- To pocieszające - mruknęła Laidlaw.

- Powiedział, że naszą prośbę musi rozpatrzyć ktoś inny i...

Putock wrzasnął, a potem zniknął w gąszczu z pozostałymi wojownikami.

- Inni zadecydują, tak powiedział.

- Jacy znowu inni? - dopytywała Danielle.

- Starszyzna - wyjaśnił. - Rada.

Spojrzała na Hawkera, potem na profesora. Tego właśnie chcieli. Ru szyli w ślad za wojownikami w głąb terytorium Chollokwanów.

## ROZDZIAŁ 45

Nagle zniknięcie Indian całkowicie zaskoczyło profesora McCartera. Gdy otrząsnął się z szoku, musiał przyspieszyć, aby dogonić pozostałych członków ekipy, zanim wejdą na teren prymitywnej wioski.

Zabudowania mieściły się w zakolu sporego strumienia. Jego koryto było na tyle szerokie, że rozdzielało zwartą ścianę roślinności, by promienie słońca mogły dotrzeć do płynącej wody. McCarter przypuszczał, że nie tylko z tego powodu Indianie wybrali to miejsce na swoje obozowisko. Strumień nie dość, że dostarczał im świeżej wody oraz ryb, to jeszcze chronił przed atakiem dwie trzecie wioski. Reszty granicy strzegły warty. Grupki wojowników trzymały straż na poziomie ziemi, ale zauważył też kilku Chollokwanów siedzących na drzewach. Na ten widok zaczął się zastanawiać, czy tacy wojownicy faktycznie byli w stanie pilnować szańców przy Murze z Czaszek.

Między ich pozycjami płonął szereg około pięćdziesięciu niewielkich ognisk, ciągnący się łagodnym łukiem wzdłuż brzegu strumienia. Zdawać się mogło, że pełni podobną rolę obronną jak szeroka struga rwącej wody.

Od płomieni buchał żar, ogień wypełniał powietrze gryzącym dymem i popiołem, który osiadał na liściach roślin nawet w znacznej odległości od wioski. Obok każdego paleniska leżały stosy przygotowanych drewn, które młodzi członkowie plemienia rzucali w płomień, gdy tylko zachodziła taka potrzeba.

Wartownicy powitali wracających wojowników, gdy ci wynurzyli się spośród listowia, a potem zerwali się na równe nogi, widząc białych przybyszów. Putock uspokoił ich, wypowiadając kilka słów, i grupa obcokrajowców mogła przejść pomiędzy ogniskami, kierując się ku środkowi wsi.

McCarter przyglądał się temu wszystkiemu z wielkim niepokojem. Ziemię wokół zabudowań ogołocono ze wszystkiego, co nadawało się na opał. Pozostały tylko drzewa o najgrubszych pniach. Jego zdaniem nie trafili do klasycznej wioski, tylko czegoś na kształt sporego obozowiska. Szałasy nie miały bowiem stałej konstrukcji, zbudowano je w najprostszy z możliwych sposobów, łącząc ze sobą kilka żerdzi i kładąc na nich wyprawione skóry. W końcu Chollokwanie byli wędrownym plemieniem i gdy nadejdzie czas wymarszu, odejść stąd, zabierając ze sobą cały dobytek, w tym i te proste schronienia. Profesor zastanawiał się, jak długo jeszcze zamierzają tu zostać. Domyślał się, że będą strzec świątyni do początku pory deszczowej, a może odrobinę dłużej, do przejścia pierwszej fali ulew.

Idąc za Putockiem, przybysze minęli wiele ognisk. Blisko nich leżeli ranni i umierający, wokół których zebrały się oplakujące ich rodziny.

Kilka zrozpaczonych kobiet pochylało się nad przyniesionymi niedawno zakrwawionymi krewniakami, zawodząc głośno. Resztą zajmowano się z większym spokojem - czyniły to głównie matki, żony i siostry tych, którzy już dawno zostali oplakani.

Wszystkie ofiary były poszarpane. Rany zdawały się bądź równe i bardzo głębokie, sięgające aż do kości, bądź wyglądały, jakby coś wyszarpało z ciała kawały mięśni. Mniejsze obrażenia zamykano, kładąc na nich wyjęte z ognia płaskie kamienie, a większe oblepiano mieszaniną mułu i liści. McCarter doliczył się dwudziestu rannych mężczyzn i dalszych dwunastu, którzy jego zdaniem już nie żyli. Zaczął się zastanawiać, ilu jeszcze Indian nie wróciło do domu. Ilu zawisło na odległych drzewach w kokonach zipacna.

Obok jednego z konających klęczała kobieta i chlipiący nastolatek. Nieco dalej bawiło się może trzyletnie dziecko. Chłopczyk był zbyt mały, by rozumieć powagę sytuacji. Kręcił się więc w kółko, wydając skrzekliwe dźwięki naśladujące głosy ptaków i rzucając kamyki do ogniska. Ten widok przypomniawszy McCarterowi pogrzeb jego żony i ubranego w czarny garniturek wnuka, który nie pragnął niczego innego, jak wyrwać się z objęć matki i biegać ze śmiechem po cmentarzu. Widząc ten uniwersalizm życia i śmierci, poczuł jeszcze większy żal z powodu strat i bólu, do których sam się przyczynił.

Putock poprowadził ich pomiędzy rannymi w kierunku największego ogniska, znajdującego się w centralnym punkcie wioski, tuż obok wielkiego stosu drewna.

Wysłannicy NIB-u stali, czując uderzające w nich fale żaru i słysząc gniewne pomruki otaczającego ich tłumu Chollokwanów. W miarę upływu czasu tłum gapiów rósł i zbliżał się do przybyszów. McCarter poczuł klaustrofobiczny lęk, gdy wokół niego zacieśnił się mur z ludzkich ciał.

Po kilku minutach w tłumie zapanowało poruszenie. Indianie rozstąpili się, przepuszczając członków plemiennej starszyny, którzy przybyli na spotkanie zgodnie z obietnicą złożoną przez Putocka.

Rada liczyła pięciu członków, ale człowiekiem mającym decydujący głos był wódz, drobnutki mężczyzna, który urodził się mikrusem, a potem skurczył dodatkowo pod ciężarem wielu przeżytych dziesięcioleci. Poruszał się bardzo wolno, z wrodzonej ostrożności, ale też z powodu licznych starczych deformacji. Jego wyschnięte, guzowate członki przypominały konary wiekowego drzewa. Łuszcząca się, obwisła skóra pokrywała twarz i ramiona, a głęboko osadzone oczy były ledwie widoczne spod obwisłych brwi. Nosił imię Ualon, czyli Najstarszy. Był wielkim ojcem i wodzem plemienia. Chollokwanie szanowali go bardziej niż pozostałych

starców. Jego decyzje były wiążące dla wszystkich.

Najstarszy przyjrzał się dobrze gościom, zanim przemówił. Podeszedł do nich, dotknął kilku miejsc na twarzach i rękach, oceniając przez pryzmat bezcennej wiedzy nabytej podczas niesłuchanie długiego życia.

Wódz popatrzył na bandaż na nodze Danielle, dotknął zranionego ramienia profesora i strupa na otartym policzku Hawkera.

- Wojownicy - powiedział w swoim narzeczu.

Członkowie rady zajęli miejsca naprzeciw przybyszów. Obie grupy usiadły, a tłumy widzów zbliżyły się do miejsca obrad. Wielki ojciec plemienia przemawiał scenicznym szeptem, wypowiadając wolno słowa w dziwnie skomplikowanym języku Chollokwanów.

- Mówi, że jasnowidze przepowiedzieli przybycie ludzi z zachodu

- tłumaczył Devers - i bitwę, jaka rozegra się pomiędzy tradycją a nowoczesnością. Twierdzi, że jego ojciec mówił mu to, gdy był dzieckiem, a teraz widzi, jak słowa stają się faktem.

Lingwista użył sformułowania „ludzie z zachodu”, ale profesor podejrzewał, że to była jego interpretacja słowa, którym Indianie określali wszystkich spoza plemienia. Uważał, że ludzie ci musieli mieć świadomość, iż przybysze mogli nadejść wyłącznie ze wschodu, bo tam właśnie, w dole rzeki, leżało Manaus.

Spojrzał na Danielle. Odpowiedziała mu skinieniem głowy.

- Powiedz, że nie przybyliśmy tu, by z nimi walczyć - zaczął McCarter.

- Powiedz, że przybывamy z prośbą o pomoc i... - zawahał się na moment - by zwrócić im to, co zostało skradzione, zapewne w czasach, gdy jego ojciec był wodzem.

- Lepiej pokażcie mu te kryształy - zaproponował Devers.-Wojownicy nie zrozumieli mnie, kiedy o nich wspomniałem. Być może nadali im jakąś własną nazwę i inne określenia niewiele im mówią.

Następnie odwrócił się, by przetłumaczyć słowa profesora, a Danielle wyciągnęła z kieszeni puszkę, którą odebrała Kaufmanowi przed jego porwaniem. Wyjęła z niej kryształy wywiezione przez Martina. Gdy podawała je profesorowi, w tłumie rozległy się szmery.

Najstarszy pochylił się, by obejrzeć kryształy.

- *Ta anik Zipacna* - powiedział.

- *Oczy Zipacny* - przetłumaczył Devers.

Słyszając to, McCarter odetchnął. Zyskał właśnie dowód na poparcie teorii głoszącej, że ci prości wędrowcy są potomkami Majów.

- *Zipacna to Złodzieje Życia* - wyjaśniał tymczasem wódz. - *Porywacze Ludzi, Zaraza.*

*Zipacna* znaczy *Wiele Śmierci Kroczących w Mroku Nocy*. Wszystko to miana, jakie noszą te stworzenia.

Nie potrzebowali dalszych wyjaśnień.

Najstarszy rozłożył ręce w geście oznaczającym całe plemię.

- Ludzie przyszli, by ich wypatrywać, by sprawdzić, czy nie wyszły z otchłani, z głębi kamiennej góry. Wielu wodzów zmarło od czasu, gdy widziano je po raz ostatni. Tak, spały ukryte aż do teraz. Do chwili, gdy ludzie z zachodu ich obudzili. Z tego powodu Wielkie Serce Nieba nie zapłaczę i nie spadną deszcze.

Serce Nieba. McCarter znał ten termin, tak właśnie Majowie nazywali swoich bogów, w tym najpotężniejszego z nich *Caculhâ Huracân*, zwanego Huraganem. Profesor postanowił przemówić bezpośrednio do Najstarszego.

- Deszcze zabiją *zipacna*. Jeśli spadnie Czarny Deszcz, ludzie będą uratowani.

Teraz to wódz przyglądał się z pewną ulgą mówiącemu te słowa przybyszowi, zupełnie jak McCarter jemu przed momentem. Otworzył przy tym szeroko oczy, nie kryjąc ich jasności pod

kurtynami powiek. Profesor użył słów Czarny Deszcz celowo, ponieważ takie określenie występowało w starożytnej legendzie, nie wiedział jedynie, że Chollokwanie używają go także do opisania pierwszej fali opadów w porze deszczowej.

Zatem czekali na Czarny Deszcz. Silne opady były znakiem, że mogą opuścić posterunek przy polanie i stojącej na niej świątyni. Bywały lata tak mokre, że padało często i w porze suchej. Wtedy musieli sami decydować, który deszcz zasługuje na to miano. Ale w dobie anomalii pogodowych sprowadzanych przez El Niño, takich jak w obecnym roku, nie mieli z tym najmniejszego problemu.

McCarter wyczytał to wszystko z twarzy Najstarszego i nagle zrozumiał, że tymi słowami zrobił wyłom. Zaszuszonego staruszek odwrócił się, by porozmawiać z pozostałymi członkami rady, i dopiero po tej dyskusji odpowiedział.

- Chce wiedzieć, jakiego rodzaju pomocy oczekujemy - przetłumaczył Devers. - I co naszym zdaniem mogą dla nas zrobić.

- Powiedz im, że chcemy opuścić dżunglę. Prosimy nas o to wcześniej, więc zamierzamy odejść zgodnie z ich wolą, ale sami nie zdołamy tego zrobić. W zamian za pomoc oferujemy mu kryształ, czyli Oczy Zipacny.

- McCarter pokazał raz jeszcze puszkę. - Powiedz im, że chcemy wrócić do domu pod naszym własnym niebem.

Starszyzna szemrała głośno po tej wypowiedzi, ale wódz nie zasięgnął tym razem niczyjej opinii. Patrzył prosto na profesora i odpowiadał mu przez Deversa.

- Wielu z tych, którzy wyruszyli w podróż, nie wróciło do domów

- wskazał strumień. - Prąd jest mocny i szybki. - Zaciśnął pięść. - Porywa ludzi. Aby wrócić do domu, człowiek musi go pokonać. Wielu się to nie udaje. Wam - wskazał ręką ekipę NIB-u - też chyba się nie uda.

- Ale my nie musimy walczyć z prądem, rzeka zaprowadzi nas do domu - zapewnił go profesor, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że to raczej metafora niż stwierdzenie faktu. - Podróż tutaj była dla nas znacznie trudniejsza.

- Zatem musicie odejść - podsumował Najstarszy. - Musicie stąd zniknąć z naszą pomocą lub bez naszej pomocy.

McCarter poczuł smutek, gdy usłyszał te słowa. Miał nadzieję, że kryształ zajmują wysoką pozycję w wierzeniach Chollokwanów, a ze spojrzeń starszyzny wywnioskował, że niewiele się mylił. Mimo to wódz odmawiał udzielenia pomocy. Zdaniem profesora mogło chodzić o to, że starszyzna nie chce narażać życia najlepszych wojowników przy okazji eskortowania obcych, co niestety było równoznaczne z wydaniem na nich wyroku śmierci.

Gdy zapadła cisza, Hawker pochylił się do Danielle i szepnął:

- Chyba coś poszło nie tak.

Laidlaw spojrzała na McCartera.

- Nie poddawaj się - powiedziała, zniżając głos. - To nasza jedyna szansa.

- Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć - odparł.

- Wymyśl coś.

- Na przykład?

- Zaoferuj im broń - zaproponowała. - Damy im karabiny i amunicję, jeśli nam pomogą.

Pokręcił głową.

- A na co im taka broń? Pomyślą, że chcemy ich przechytrzyć.

- Nauczymy ich, jak się z nią obchodzić.

- Nie - zaprotestował. - To tylko kolejne koraliki za Manhattan.

Zanim Danielle zdążyła odpowiedzieć, Najstarszy przemówił ponownie.

- Czas na rozmowy dobiegł końca - przetłumaczył Devers.
- Profesorze! - warknęła Laidlaw.

McCarter miał w głowie mętlik.

- Nie możemy wam pomóc - dodał wódz.

Danielle dała naukowcowi kuksańca łokciem.

- Powiedz coś - błagała.

Ale jemu wciąż nie przychodziło nic do głowy. Najstarszy podniósł się z ziemi i odwrócił, by odejść.

- Zaczekaj! - zawołała Danielle, zrywając się na równe nogi.

Tłum Chollokwanów zafalował z przerażenia.

- O, nie - jęknął McCarter.

Ostrzegał ją, by się nie odzywała, uprzedzał, że jeśli przemówi do Indian bezpośrednio, uznają jej czyn za obelgę. Już sama obecność kobiety w zespole była sporym zagrożeniem dla powodzenia tej misji, a co dopiero, kiedy okaże się, że to ona dowodzi przybyszami? Danielle nadeła się strasznie, gdy jej to wyluszczał za pierwszym razem, ale do tej pory trzymała się planu. Tego samego, który teraz spalił na panewce za jej sprawą.

Danielle zareagowała instynktownie. Nie speszżyły jej nawet ostre spojrzenia tubylców.

- Przyjdziemy tutaj - referowała radzie kolejną ofertę, której treści nie ustaliła z pozostałymi. - Przyjdziemy i pomożemy ludziom w ich walce.

- Spojrzała na Deversa. - Powiedz im, że my też walczyliśmy z zipacna i zabiliśmy kilka tych stworzeń. Połączymy siły z plemieniem, jeśli nam pozwolą. Tłumacz, i to już - ponagliła lingwistę.

Devers wyglądał na zaskoczonego, ale szybko doń dotarło, że wioska z setkami wojowników jest o wiele bezpieczniejszym miejscem niż samotna polana w głuszy. Wstał więc i przełożył jej wypowiedź.

- Nasz mały szczerp chce przyłączyć się do waszego plemienia. Mamy potężną broń - pokazał karabiny - i dzielnych wojowników, choć nielicznych. - Jego palec powędrował w kierunku stojących Danielle, Hawkera i McCartera. - Nasza pomoc będzie cenna dla ludzi. Pomożemy wam pokonać Zipacnę.

Stojący po drugiej stronie ogniska starzec poruszał bezgłośnie ustami, wodząc oczyma pomiędzy Deversem, McCarterem i Danielle. Milczał, rozważając nową propozycję, a zanim odpowiedział, skupił wzrok na białej kobiecie.

- Szczerp ludzi zachodu walczył z zipacna, ale też pomiędzy sobą
- oświadczył, wskazując palcem Hawkera. - Blade twarze niosły śmierć swoim braciom w środku nocy.

Wyglądało na to, że Indianie obserwowali wydarzenia na polanie z mieszanymi uczuciami. Nawet Danielle nie była w stanie wymyślić satysfakcjonującego wyjaśnienia starcia pomiędzy jej zespołem a najemnikami Kaufmana. Ta bitwa wyglądała w oczach Chollokwanów jak bratobójstwo.

- W ten sposób nie pomożecie ludziom - kontynuował tymczasem Najstarszy. - Kiedy jeden człowiek atakuje drugiego, Serce Nieba gniewa się jeszcze bardziej.

- My naprawdę możemy wam pomóc - upierała się przy swoim.

Wódz obrócił się w stronę ognia, złożył dłonie przed ustami, podobnie jak mają w zwyczaju jogini.

Przez dłuższą chwilę Danielle wpatrywała się w odbicie płomieni tańczące w jego oczach. Domyślała się, że starzec rozważa jej propozycję. To musiała być prawdziwa bitwa z myślami. Z jednej strony biali mogli przechylić szalę zwycięstwa, z drugiej ich udział w walce mógł



rozniewać bogów. Nie znała tych ludzi tak dobrze jak Devers czy McCarter, ale potrafiła wiele wyczytać z twarzy Najstarszego.

- Serce Nieba jest zagniewane - oświadczył w końcu wódz. - Powodem jego gniewu są ci, którzy weszli na zatrutą ziemię i otworzyli górę. Powodem jego gniewu jest to, że czeluść spogląda teraz na niego w dzień i w nocy. Dlatego wstrzymuje deszcze. Aby ułaskawić Serce Nieba, szczerp ludzi zachodu musi zapieczętować otchłań. Zamknijcie Górę z Kamienia, a nadejdą deszcze.

Gdy Devers przetłumaczył jego słowa na angielski, Danielle struchlała.

- Nie możemy - wymamrotała. - Kamień został zniszczony.

Lingwista natychmiast przetłumaczył jej słowa, chociaż wcale nie kazała mu tego robić, i kolejna fala szeptów rozeszła się w tłumie Chollokwanów.

To była najbardziej zatrważająca nowina.

Najstarszy odwrócił się do pozostałych członków rady. Dyskutował z nimi zacięcie. Z tonu, jakim wypowiadali kolejne zdania, bił lęk, a nawet panika. Starcy kręcili głowami, marszczyli brwi, a Devers nie potrafił przetłumaczyć ich krótkich i szybkich wypowiedzi.

W końcu Najstarszy odwrócił się ponownie do gości. Tym razem przemawiał szorstkim tonem.

- Jeśli otchłań nie może być zamknięta, zipacna będą mogły wracać. Przeczekają deszcze w kryjówce. Potem wyjdą i zaraza nie będzie miała końca.

Danielle próbowała zasugerować alternatywne rozwiązanie, ale ich gospodarz był zbyt wściekły, by jej słuchać. Uciszył ją zadziwiająco donośnym głosem jak na tak kruchego starca.

Gdy odwrócił się, by odejść, Laidlaw poczuła mdłości. Bez deszczy, które zapędzą zipacna pod ziemię, stworzenia te będą ogałaczały dżunglę ze zwierzyny. Wielu Chollokwanów zginie w walce z nimi, może nawet wszyscy. Przybyszów, którym odmówili właśnie pomocy, nie czekał lepszy los. Nie potrafiła zaakceptować takiego końca rozmów. Nie potrafiła uwierzyć, że odmówiono jej pomocy.

- Sami ich nie pokonacie! - wrzasnęła, chwytając Deversa za ramię i ciągnąc go za odchodzącymi starcami.

To było niebezpieczne posunięcie. Jeden z wojowników zagroził jej drogę i popchnął z powrotem na miejsce. Drugi natychmiast pospieszył mu z pomocą, unosząc groźnie kamienny toporek. Hawker wskoczył pomiędzy Indian i kobietę, rozdzielając obie strony uniesioną groźnie bronią. Jedna iskra wystarczyłaby do rozpętania krwawej łaźni.

Danielle z trudem powstrzymała się od dalszego działania. Spuściła głowę i wbiła wzrok w ziemię, czując, jak ręce drżą jej ze złości.

Napięcie opadało powoli, ale Najstarszy zniknął już z pola widzenia. Na tym skończyły się negocjacje pomiędzy ludźmi zachodu a plemieniem.

McCarter położył dłoń na ramieniu Danielle. Gdy spojrzała mu w oczy, wyczuła tę samą frustrację. On także cierpiał z powodu porażki i wciąż wydawał się rozbity tym, co właśnie usłyszeli. Próbował się uśmiechać, ale marnie mu to wychodziło, więc nie zareagowała na tę próbę pocieszenia.

Stojący obok nich Putock wydał krótkie polecenie i tłum Chollokwanów rozstał się, robiąc im przejście. Devers ruszył pierwszy, ale Danielle i McCarter wciąż się wahali, a Hawker nie zamierzał zostawiać ich samych.

- Chodźcie - mruknął w końcu. - Zrobiliście co w waszej mocy. Musimy znaleźć inne rozwiązanie.

Danielle zaczerpnęła mocno tchu i ruszyła przed siebie. Obróciła głowę, widząc, że profesor został w tyle. Wciąż trzymał w dłoniach puszkę z kryształami Martina. Przyklękła i położył ją

na ziemi obok ogniska. Oczy Zipacny znalazły w końcu drogę do domu.

## ROZDZIAŁ 46

Dwie godziny później wysłannicy wrócili na polanę. Verhoven wyszedł im na powitanie i z daleka zobaczył, że ponieśli porażkę.

- Co tam się wydarzyło, u licha?

- Znaleźliśmy ich - odparła przygnębiona Danielle. - Ale jest im obojętne, jaki los nas spotka. Mamy umierać w osamotnieniu i pozwolić im na to samo.

Susan i Brazos także pęsmutnieli, gdy streściła im przebieg rozmów.

Hawker stanął nieco na uboczu, nie chciał słuchać tego wszystkiego po raz kolejny.

Spoglądał na zachód i zniżające się szybko słońce. Do zmierzchu pozostała godzina, może mniej. Mieli jeszcze czas na oddalenie się, jeśli tylko wystarczy im odwagi.

- Daj spokój - przerwał streszczanie wydarzeń. - Powinniśmy wynosić się stąd w diabły.

Brazos wstał, opierając się ciężko na prowizorycznej kuli. Pozostali nawet nie drgnęli.

- Bierzcie swoje rzeczy - mówił pilot. - Mamy spory dystans do przebycia. Powinniśmy wyruszyć, póki jest jeszcze jasno. - Zrzucił plecak na ramiona i pochylił się, by podnieść dodatkową manierkę.

Danielle powstrzymała go, wyciągając dłoń.

- Dokąd się wybierasz?

- Znajdę strumień taki jak ten, który chroni wioskę Chollokwanów. Pójdę wzdłuż niego, zbuduję tratwę albo będę brodził po pas w wodzie, jeśli okaże się to konieczne. Jeśli zdołamy dotrzeć do wody, będziemy bezpieczni. A potem, jak to mówią, wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. - Widział na ich twarzach zakłopotanie. Rozważali wszystkie za i przeciw. - Woda jest dla nich zabójcza - dodał. - Słońce pali im skórę. Szeroki strumień, nad którym nie ma baldachimu liści, byłby idealnym schronieniem, ale i sama woda wystarczy. - Spojrzał na McCartera. - Ty mi podsunąłeś tę myśl, nawet o tym nie wiedząc, kiedy powiedziałeś, że rzeka sama zaprowadzi nas do domu. I tak będzie, pod warunkiem, że ruszymy od razu.

- A co z helikopterem?

Hawker pokręcił głową.

- Nie wiemy nawet, czy wyląduje, jeśli nie zobaczy sygnału nadanego przez Kaufmana. A jeśli nawet tak, nas może już tutaj nie być. Ostatniej nocy zużyliśmy ponad połowę amunicji, więc nie ma szans, byśmy bronili się przez kolejne trzy dni.

Członkowie grupy spojrzeli po sobie. Zaczynali rozumieć jego argumentację. Zaczynali w nią wierzyć.

- Idąc tutaj z miejsca katastrofy, minąłem po drodze kilka strumieni

- zapewniał ich. - Jeśli się pospieszymy, dotrzemy do najbliższego w ciągu niespełna godziny, zanim zapadną kompletne ciemności. Ale musimy wyruszyć natychmiast.

Jeden po drugim uczestnicy ekspedycji wstawali z miejsc, otrząsając się z otępienia, w jakie popadli, widząc beznadziejność sytuacji. Brazos podniósł plecak i wskazał palcem wodę, którą zgromadził. Susan zaczęła zbierać rzeczy leżące w centrum dowodzenia.

- Dobra, idziemy - zdecydowała Danielle.

- W samą porę - mruknął Verhoven.

Zaczęli się ruszać zwawiej, w miarę jak docierało do nich, że jest jednak nadzieja. Znow byli

ożywieni, podekscytowani rosnącymi szansami na przeżycie. Cieszyli się też, mogąc w końcu opuścić to przekłete miejsce.

Tylko profesor McCarter nie ruszył się z miejsca. Od wyjścia z wioski Chollokwanów rozmyślał nad ich sytuacją, rozważając kwestię życia i śmierci i bezskutecznie próbując wyrzucić z głowy widok bawiącego się beztrzesko trzylatka.

I chociaż zdawał sobie sprawę z niewielkich szans na przetrwanie kolejnej nocy - przynajmniej do chwili, gdy Hawker naświetlił im szczegóły swojego planu - zrozumiał, że tutaj chodzi o coś więcej niż tylko ich życie.

- Sądzę, że powinniśmy zostać - powiedział nagle.

Krzążający się wokół niego ludzie zamarli.

- Słucham? - zapytał ktoś.

- Sądzę, że powinniśmy zostać - powtórzył.

- Jaja pan sobie robi! - sarknął Devers, rzucając plecak na ziemię.

- Nie przetrwamy na tej polanie... - Hawker przemówił do profesora łagodniejszym tonem.

- To jedyny sposób, jeśli chcesz wrócić do domu.

- To nasz obowiązek - rzucił McCarter. - To my uwolniliśmy te bestie. Otworzyliśmy świątynię, jak ludzie Dixona przed nami. Zignorowaliśmy ostrzeżenia. Chcecie odejść teraz, gdy kamień zasłaniający wejście został rozbity i nie można zamknąć przejścia? Chcecie pozostawić Chollokwanów, żeby walczyli z tymi potworami... i poginęli? - Nikt mu nie odpowiedział. - Nie tylko my jesteśmy zagrożeni - kontynuował profesor. - Wszyscy wokół są w niebezpieczeństwie. Chollokwanie, pozostałe okoliczne plemiona, także żyjący w dole rzeki Nuree. Te stworzenia są jak zaraza, nie mają naturalnych wrogów jak szarańcza, tyle że nie niszczą zbiorów, tylko wszystko, co żyje na ich terytorium. - Popatrzył im kolejno w oczy. - Oprócz Chollokwanów i deszczy nic ich nie powstrzyma. A jak dobrze wiecie, ci Indianie długo już nie pociągną. Teraz, gdy świątynia pozostaje otwarta, nawet deszcze nie będą zagrożeniem dla tych bestii. Gdy zaczną się ulewy, zipacna ukryją się w jaskini przed wodą, a gdy pora deszczowa się skończy, znowu wyjdą na powierzchnię i będą oczyszczały z życia kolejne połacie dżungli. Ogołocą te lasy z wszelkiej zwierzyny szybciej niż zaraza, a potem wyruszą w poszukiwaniu nowych terenów łowieckich i znajdą inne miejsca, gdzie będą się mogły schronić przed deszczami. Miejsca posiadające dachy, okna i piwnice. Chollokwanie wzięli na siebie ich powstrzymanie, honorując dane trzy tysiące lat temu słowo

- dodał - i zapłacą za to swoim życiem.

- A kogo oni obchodzą? - zapytał Devers.

Verhoven powalił go na ziemię jednym ciosem.

- Nie masz prawa głosu, śmieciu - warknął, a potem spojrzał na profesora. - Jesteś szalony, jeśli zamierzasz tu zostać.

McCarter pozostał niewzruszony.

- Jeśli odejdziemy stąd teraz, być może przeżyjemy. Albo i nie. - Przeniósł wzrok na Hawkera. - Przyznaję, że twój plan może wypalić, o ile uda nam się prędko dotrzeć do wody. Ale to akurat jest najmniej pewne. Zwłaszcza teraz, gdy od zmierzchu dzieli nas niespełna godzina, a nie będziemy mogli iść zbyt szybko... - spojrzał na Brazosa.

Tragarz miał problemy z chodzeniem nawet po równym terenie. Tego, jak bardzo spowolni ich w gęstwinie, nikt nie mógł wiedzieć. Jasne było jednak, że o szybkim marszu mogą zapomnieć. A nie tylko on był potencjalnym źródłem kłopotów. Astma Susan uniemożliwiała jej dłuższy wysiłek, taki choćby jak bieganie czy chodzenie. Danielle utykała z powodu łydki zranionej w jaskini. Z trudem nadążała za pozostałymi podczas niedawnej wyprawy. W ciągu ostatniej godziny marszu kilkakrotnie musiała przystawać z powodu bolesnych kurczów.

Godzina marszu Hawkera mogła więc trwać tak naprawdę trzy razy dłużej, jeśli nie cztery albo i pięć. I to w kompletnych ciemnościach. Gdy profesor wypowiadał ostatnie słowa, wszyscy spojrzeli tam, gdzie on. Miał więc nadzieję, że zrozumieli, o czym mówił.

- Jeśli odejdziemy teraz z tej polany - dodał - będziemy musieli żyć ze świadomością, że jesteśmy winni zagłady całego plemienia Indian, ponieważ to my sprowadziliśmy na nich tę klątwę i uciekliśmy, zostawiając ich na pewną śmierć. Mężczyzn, kobiety i dzieci, całą wioskę. Jeśli tu zostaniemy, możemy obronić nasze pozycje zarówno w moralnym, jak i fizycznym wymiarze. Możemy walczyć z tymi stworami na naszych warunkach, a kto wie, może uda nam się przykuć ich uwagę na dość długo, by Cholokowanie podnieśli się po ostatniej klęsce i wrócili do walki. Nie zdołamy zamknąć świątyni - stwierdził - ale możemy uniemożliwić tym stworzeniom powrót do jaskini przynajmniej na jakiś czas. Kto wie, czy to nie wystarczy? - McCarter naprawdę nie wierzył, że zdołają się przedrzeć przez dżunglę, jeśli zaraz wyruszą. Co więcej, uważał, że nie mają prawa opuszczać tego miejsca. - Tu chyba nie chodzi już o życie i śmierć, tylko o to, po co żyjemy i za co umieramy.

Gdy zamilkł, nad polaną zapadła głęboka cisza. Część ludzi spoglądała w kierunku horyzontu, inni pospuszczali głowy. Robili wszystko, byle tylko nie spojrzeć mu w oczy.

Danielle wysłuchiwała go uważnie, sama miała niewesołe myśli po tym, co wydarzyło się w wiosce. Przypomniała sobie też prorocze słowa Hawkera o tym, że pożałuje, iż tutaj została. Że muszą zapłacić za to, co uczynili. Teraz poczuła całym sercem, że miał rację.

Wydawało się jej, że każdy z obecnych ma szansę na przeżycie, ale kiedy spojrzała na kulejącego Brazosa, ostatniego z tragarzy, których najęła, zrozumiała, że on z pewnością nie przetrwa tej podróży.

Pojęła w końcu, że z tej sytuacji nie ma wyjścia. Jeśli zostaną na polanie, czarne bestie dopadną ich wkrótce i odzyskają panowanie nad świątynią. Jeśli odejdą, zipaćną wrócą bez problemu do gniazd, a potem wyruszą w gęstwinę, by zapolować na ludzi. Szybko trafią na trop uciekinierów, zanim poranieni członkowie ekipy NIB-u znajdą najbliższy strumień, i wybiją ich do nogi gdzieś w dżungli.

To tacy dobrzy ludzie, pomyślała, moi ludzie. Ale za kilka godzin wszyscy będą martwi.

Chyba że znajdzie inne rozwiązanie.

Przybyła tutaj, a potem została, ponieważ miała w zwyczaju załatwiać swoje sprawy do samego końca. Mimo wielkich poświęceń nie znalazła jednak niczego cennego. Dlatego jedyną rzeczą, jaką mogła jeszcze zrobić, było bezpieczne sprowadzenie tych ludzi do domu. Wiedziała, że aby wykonać to zadanie, będzie musiała dać z siebie wszystko.

Odwróciła się do McCartera.

- Sprowadziłam was tutaj - powiedziała - podając fałszywy cel wyprawy i bagatelizując zagrożenia. Wiem, że macie gdzieś moje przeprosiny, ale chciałabym, abyście uwierzyli, że naprawdę jest mi przykro. - Spojrzała profesorowi w oczy. - Rozumiem, dlaczego chcesz tutaj zostać... ale nie możesz tego zrobić. Musisz stąd odejść - przebiegła wzrokiem po członkach zespołu - jak i wy wszyscy. Odpowiadam za was. Zostanę tutaj sama i powstrzymam te bestie tak długo, jak się da. Jeśli będziecie pomagali na zmianę Brazosowi, zostawiając obronę Hawkerowi i Verhovenowi, powinniście poruszać się wystarczająco szybko. Ja zostanę tutaj i będę uprzykrzać życie tym zwierzętom, dopóki się nie oddalicie. Kto wie, może zajmę je na tyle długo, że zdołacie dotrzeć do strumienia. Godzina albo dwie mogą zdecydować o powodzeniu waszej ucieczki.

McCarter skwitował uśmiechem jej tyradę.

- Odważna decyzja, niemniej nie przekonała mnie do zmiany zdania. Nigdzie nie idę. Nie tym razem.

- Ja też zostanę, jeśli tak zdecydujemy - oświadczyła Susan.

Brazos kiwał głową, jakby z góry wiedział, że nie przeżyje wyprawy w gąszcz.

- Może ten helikopter mimo wszystko przyleci?

Devers klął i złorzeczył, trzymając się przezornie z dala od Verhovena. W tym momencie wszystkie oczy były jednak zwrócone na Hawkera.

A on chciał tylko jednego - i to od momentu, w którym wszystko zaczęło się pieprzyć - zabrać ich stąd w diabły. Odwieźć Susan, Brazosa i McCartera do Manaus, w bezpieczne miejsce, by nie zadrećcać się tym, że ma ich krew na rękach. McCarter myślał podobnie, tylko rozszerzał krąg podopiecznych o pewną liczbę Indian. A Danielle... Hawker zmierzył ją wzrokiem, potem spojrzął na jej spoconą, brudną, ale mimo wszystko piękną twarz. Ona wzięła stronę profesora, czego się po niej nie spodziewał.

- Wiecie, że tej bitwy nie możemy wygrać? - zapytał. - Zdajecie sobie z tego sprawę?

McCarter wzruszył ramionami. Danielle uśmiechnęła się pod nosem.

- Wygląda więc na to, że to walka w twoim stylu.

Hawker raz jeszcze przyjrzał się zgromadzonym wokół ludziom, potem przeniósł spojrzenie na zachodzące słońce. Wybrałby ucieczkę, ponieważ tak mu podpowiadał instynkt samozachowawczy i zawodowe doświadczenie, ale rozumiał też lepiej niż ktokolwiek inny, co czuli teraz McCarter i Danielle. Wiedział, dlaczego dokonali takiego właśnie wyboru. Profesor chciał walczyć o to, w co wierzył, i zginąć za to, jeśli zajdzie taka potrzeba, ponieważ dzięki temu jego życie nabierało sensu. Dla Laidlaw była to kara, szansa na odpokutowanie złych decyzji i błędów. On mógł sobie przypisać oba motywy.

Spojrzał na tę dwójkę niemal z wdzięcznością.

- Będziemy potrzebowali ognia - powiedział, przypominając sobie wioskę Chollokwanów.

- Zróbmy największe ognisko, jakie tylko się da.

Stojący naprzeciwko niego Pik Verhoven z niesmakiem pokręcił głową. W dupie miał Indian, środowisko naturalne i wszystkie inne pozycje z długiej listy McCartera, ale wierzył w żołnierski kodeks, a ten głosił: nigdy nie zostawiaj towarzyszy broni. Pilot wrócił po nich, więc gdyby nawet ucieczka w pojedynkę była możliwa, Afrykaner za żadne skarby nie zostawiłby go tutaj na łasce losu.

- Zatem to twoja kolejna pieprzona krucjata - stwierdził, spoglądając pilotowi w oczy.

Stali tak przez dłuższą chwilę, wpatrzeni w siebie, a potem Pik odwrócił się do pozostałych.

- Słyszeliście, co powiedział Hawker. Rozpalmy dla niego ten pieprzony ogień.

W ciągu godziny udało im się stworzyć sieć palenisk zasilanych resztkami posiadanego paliwa, natłuszczonymi szmatami, chrustem i drewnem. Wkrótce wokół ich stanowisk obronnych zapłonęło trzydzieści ognisk. Przy ich migotliwym blasku czekali na nadejście zmierzchu i zapadnięcie nocy.

## ROZDZIAŁ 47

Tej nocy Danielle widziała się we śnie. Leżała nieruchomo, śpiąc głęboko, a z rozgwieżdżonego nieba pikowały trzy wielkie ptaszyska. Walczące ze sobą dwie sowy i sokół rozszarpały się dziobami i cięty pazurami, opadając prosto na dżunglę.

W ostatniej chwili rozdzieliły się jednak i odleciały w trzech różnych kierunkach, trąc brzuchami o trawę, zanim znów wystrzeliły w mrok nad świątynią, by rozpocząć kolejną rundę

walki.

Gdy opadły na ziemię po raz drugi, drzewa na skraju polany zafalowały i wypadły spośród nich czarne stwory. Danielle nie mogła się ruszyć ani przed nimi uciec. Co więcej, nie była w stanie ostrzec pozostałych, śpiących wokół niej.

Obudziła się raptownie, z szybko bijącym sercem i koszulką przemoczoną od potu. Na szczęście noc była wciąż cicha i spokojna, gdy powiodła wokół siebie spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Łagodny, chłodny wiaterek owionął jej twarz. Mimo toczonej w jej śnie nierozstrzygniętej bitwy Danielle obudziła się zadziwiająco wypoczęta. Może te kilka godzin uczyniło dla jej organizmu więcej dobrego, niż przypuszczała, a może ten błogi spokój ducha zawdzięczała podjęciu właściwej decyzji.

Westchnęła cicho i oparła się ponownie plecami o pochyłą ścianę bunkra. Dopiero teraz zauważyła, że Hawker stoi na straży dosłownie kilka stóp od jej stanowiska. Nie była pewna, ale w migotliwym świetle rzucanym przez płomień z ogniska wydawało jej się, że widzi na jego twarzy uśmiech.

- Na co się gapisz? - zapytała.
- Przyglądałem ci się, kiedy spałaś - odparł.
- Nie masz nic lepszego do roboty?
- Mam - przyznał - ale nie dostarcza mi tyle rozrywki co ty.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mówisz przez sen - wyjaśnił.

Zawsze miała niespokojne sny.

- Coś mi się przyśniło - usprawiedliwiła się. - McCarter opowiadał mi o ptakach. To ponoć posłańcy bogów. Sokół i jednonoga sowa. W moim śnie walczyły ze sobą, usiłując rozerwać się na strzępy.

- Jednonoga sowa?
- Wysłanniczka Xibalby. Widzieliśmy jej symbol na jednym z kamieni, które kupiłam.
- A co z sokołem?
- On jest wysłannikiem Huragana - odparła. - Boga niebios, tego, który zsyła deszcze. Ptaki walczyły nad tą polaną. - Rozejrzała się wokół siebie, wszędzie panował spokój, w oddali płonęły ognie.

- Kto wygrał? - zapytał pilot.

Podrapała się po karku.

- Nie mam pojęcia. Nagle z zarośli wypadły zipacna i... i... - zamilkła.

Zastanawiała się, czy ten sen mógł oznaczać, że to przez nią wszyscy zginą. Czy niemożność wydobywania z siebie głosu i ostrzeżenia ich była odzwierciedleniem tego, że zwabiła tych ludzi do dżungli kłamstwem i przemilczeniami. Rozejrzała się raz jeszcze po polanie, szukając śladów ruchu, czegokolwiek nienaturalnego. Spokój tego miejsca paradoksalnie działał jej na nerwy.

- To był tylko sen - stwierdziła w końcu, jakby sama chciała się przekonać do tej myśli.

Hawker uśmiechał się do niej. Spoglądał jej w oczy wystarczająco długo, by poczuła się niepewnie.

- Możliwe - odparł w końcu, odwracając głowę.

Teraz Danielle miała okazję przyjrzeć się jego twarzy. I rozpoznała ten uśmiech. Taki sam widziała podczas ich spotkania w Manaus.

- Ty coś przede mną ukrywasz.

Wskazał głową na niebo, więc natychmiast zwróciła wzrok w tym kierunku. Księżyc w pełni świecił jak latarnia, dając tyle blasku, że na ziemi widać było cienie. Czegось takiego nie da się zobaczyć w rozświetlonym mieście. Przyglądała się jego tarczy z takim samym zaciekawieniem

jak w dzieciństwie, gdy ojciec przyniósł do domu teleskop, rozbudzając w niej zainteresowanie nauką. Próbowala sobie przypomnieć nazwy kraterów i ogromnych połaci szarości, szukała wzrokiem Morza Spokoju, gdzie ludzie po raz pierwszy postawili stopę na innym ciele niebieskim.

Był to kojący widok, ale wcale nie tak interesujący, póki nie przestała skupiać się na szczegółach powierzchni. Nagle dostrzegła to, co Hawker chciał jej pokazać: jasne halo otaczające satelitę.

- W Marejo nazywają to zjawisko Lua de Aqua - powiedział. - Wodnym księżycem. Wilgoć w powietrzu rozprasza poświatę. To znaczy, że w końcu nadchodzą deszcze.

Poczuła w sercu nadzieję, ale zaraz dopadł ją strach, że to przedwczesny tryumf.

- Wiatr też zmienił kierunek - kontynuował pilot. - Teraz wieje z północy, od Morza Karaibskiego. Nie czujesz wilgoci na skórze?

Rzeczywiście, czuła ją. Powietrze wydawało się delikatniejsze, w końcu dotarło do niej, że atmosfera stała się duszna, taka jak zazwyczaj w tropikach. Tego brakowało jej od momentu wyruszenia z Manaus.

- Nadchodzą deszcze - powtórzył. - Dotrą tutaj jutro albo pojutrze, ale w końcu spadną.

Danielle skupiła całą uwagę na niebie, przyglądała się upiornemu księżycowi. Po raz pierwszy od dawna poczuła, że naprawdę mają szansę na przeżycie.

## ROZDZIAŁ 48

Pierwsza połowa nocy minęła bez incydentów, może za sprawą ognia i ilości ran odniesionych przez czarne bestie. Po północy jednak zipacna zaczęły ponownie krążyć wokół polany. Co najmniej dziesięciokrotnie znalazły się w zasięgu czujników, wymuszając na ludziach otwarcie ognia, ale tylko dwa razy spróbowały wejść na otwarty teren, bez powodzenia zresztą.

Hawker zabił oba stworzenia z karabinu snajperskiego. Pierwszy zipacna legł jak rażony gromem i znieruchomiał. Drugi został rozerwany na strzępy jak gliniana figurka na strzelnicy. Chwilę później daleko za linią zarośli rozległ się huk eksplozji. Najwidoczniej któraś z bestii próbowała odzyskać zaminowane ciało martwego najemnika.

Po tych wydarzeniach zipacna stały się ostrożniejsze. Kryły się cały czas w zaroślach, z dala od ognisk i parzącego promienia lasera. O świcie zniknęły, dając ludziom możliwość powrotu do pracy.

Po wschodzie słońca zaczęli przenosić broń i amunicję na szczyt świątyni, z którego zamierzali uczynić ostatnią linię obrony.

Plan był prosty: utrzymać zipacna z dala od wejścia do nastania deszczy. Ze szczytu świątyni mieli doskonały widok na całą okolicę, a czarne bestie musiałyby przypuścić szturm na niemal pionowe ściany, gdyby zechciały wrócić do środka.

Początkowo obawiali się, że atak może nastąpić z każdego kierunku, ale gdy McCarter obejrzał ściany budowli, poczuł ogromną wdzięczność wobec pradawnych Majów i ich kunsztu. Trzy ściany bez schodów były strome, kąt ich nachylenia przekraczał siedemdziesiąt stopni, a kamienie na nich zostały tak spasowane, że po setkach lat ekspozycji na wiatr i deszcz stanowiły niemal litą, śliską powierzchnię. Mimo że bestie miały niesamowitą siłę i sprawność, wspięcie się po czymś takim przekraczało ich zdolności. Z tego też powodu ludzie musieli się przygotować na frontalny atak od strony schodów.

Pierwszą linię obrony stanowił płytki rów znajdujący się w odległości dziesięciu stóp od najniższego stopnia, a potem w podobnym oddaleniu od schodów skręcający pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w kierunku budowli. Wypełnili go plastikowymi pojemnikami i torbami, w których mieli przechowywać znalezione artefakty i inne skarby, wlawszy do nich uprzednio naftę, przed okopem zaś ustawili jedną z dwóch beczek paliwa, jakie im jeszcze zostało. Rozmieścili wzdłuż rowu ładunki wybuchowe oraz przeniesione z przedpola kołki i płaskowniki, zapewniając nimi teren między rowem a schodami.

Pracowali nad tymi umocnieniami cały dzień, do momentu gdy niebo nad ich pochylonymi karkami zaczęło tracić intensywną barwę. Późnym popołudniem horyzont przybrał sinobiałą kolor, a nad doliną zaczęły się unosić pasemka mgły. Linia wzgórz, doskonale widocznych z tarasu na szczycie świątyni, zniknęła z pola widzenia, tarcza słońca nabrała za to idealnie pomarańczowej barwy. Okradzione z całego złota dryfowało te- • raz z wolna po upiornie bladym niebie.

Do tej pory wszyscy członkowie ekspedycji poznali prawdę, którą Hawker odkrył minionej nocy. Rozpoczynała się pora deszczowa. Ulewy mogą ich uratować, o ile zdołają utrzymać tę pozycję wystarczająco długo. Niestety, była też mniej wesoła strona tego medalu - nadchodzące burze zagnają wszystkie zipacna do świątyni. Bestie będą chciały za wszelką cenę dostać się do jedyne pewnego schronienia na terytorium liczącym tysiące mil kwadratowych. Musieli skończyć przygotowania, zanim ten moment nadejdzie.

W tym czasie Hawker i Danielle znajdowali się poza granicami polany, rozmieszczając sensory. Starali się je przestroić w taki sposób, aby ich zasięg obejmował zarówno korony drzew, jak i ziemię. Pilot stał na straży z parą najmniej poranionych psów, podczas gdy Laidlaw gmerała w panelach kontrolnych, zmieniając parametry urządzeń. Szli od sensora do sensora, porozumiewając się z Brazosem przez krótkofalówkę. Tragarz wyłączał poszczególne sektory sieci, by mogli dokonać rekalkibracji, a potem natychmiast aktywował je z powrotem.

Kilka pierwszych zmian udało się wykonać bez problemu, ale gdy Danielle przyklękła przy czwartym sensorze i wyciągnęła w jego kierunku dłoń, pomiędzy jej palcem a urządzeniem pojawiło się wyładowanie elektrostatyczne.

- Co wyście narobili?! - zagrział przez radio Brazos. - Ekranu zupełnie poszalały.
- A jak jest teraz? - zapytał Hawker, gdy Danielle cofnęła się o krok.

Na moment zapadła cisza, Brazos musiał sprawdzić wszystkie odczyty.

- Teraz jest okay - oświadczył z wyraźną ulgą.

- Wilgotność powietrza powoduje przepięcia - stwierdził Hawker.

- Musimy się spieszyć. - Danielle zmierzyła go tylko wzrokiem, więc znów włączył krótkofalówkę i powiedział: - Wyłącz sektor.

Stojący w centrum polany Brazos przesunął dźwigienkę przełącznika i ekran komputera błyskawicznie ściemniał. Przez najbliższą minutę będą pozbawieni elektronicznych oczu.

Nie musząc pilnować przez dłuższą chwilę ekranów, tragarz rozejrzył się. McCarter stał na szczycie świątyni, przy karabinie. Erie, ostatni z najemników Kaufmana, wnosił po schodach kolejne dwie ciężkie skrzynki amunicji. Susan myszkowała w szczątkach namiotów znajdujących się w dawnym centrum obozowiska w poszukiwaniu czegoś cennego, co mogli wcześniej przeoczyć. Opodal jej stanowiska Verhoven poganiał Deversa, zmuszając do ładowania ciężkich kamieni na prowizoryczne płozy, którymi lingwista przeciągał je następnie w poblize wykopu i tam rozładowywał. Po dziesięciu takich turach z okładem ociekał potem, a bandaż na jego ramieniu ponownie zrobił się czerwony od krwi.

Ostatni ocalały pies siedział spokojnie przy nodze Afrykanera, liżąc opatrunek na łapie i popiskując cicho.



Brazos sięgnął po krótkofalówkę.

- Czy mogę już włączyć system?

Hawker spojrzał na Danielle.

- Nie chciałbym cię poganiać, ale...

Zignorowała go, walcząc z miniaturowymi złączkami. W końcu odsunęła się od sensora.

- To powinno wystarczyć.

Pilot nacisnął klawisz na obudowie krótkofalówki.

- Dawaj.

Laidlaw zagryzała nerwowo wargę, gdy czekali na potwierdzenie od Brazosa.

- Jak nam poszło? - zapytał Hawker.

W głosie odpowiadającego rozbrzmiewała tym razem niepewność.

- Znowu mam zakłócenia. Tym razem w sektorze drugim.

Sektor drugi mieścił się po przeciwległej stronie polany.

- To dziwne. Nie dotarliśmy tam jeszcze. Może mu się pomyliły ekrany?

Hawker uniósł krótkofalówkę do ust, ale zanim zdążył się odezwać, owczarek siedzący przy jego nodze poderwał się i zjeżył. Sekundę później z polany dobiegło szczekanie drugiego psa i zwierzę ruszyło pędem w tamtym kierunku.

Syreny alarmowe rozbrzmiały w tej samej chwili, gdy pierwsze czarne stworzenie wypadło na polanę, mknąc prosto w kierunku świątyni.

Przerażona jego pojawieniem się Susan spanikowała, rzuciła wszystko i pognąła w kierunku McCartera, mimowolnie wchodząc w drogę szarżującej bestii.

Verhoven próbował ją ostrzec, ale go nie słuchała. Chwycił więc shotguna, wymierzył i pociągnął za spust. Strumień ołowiu trafił w zwierzę, ale odbił się od ustawionego pod dużym kątem kostnego pancerza i nie zdołał go powalić. Afrykaner nie mógł przeładować broni, mając tylko jedną sprawną rękę.

Bestia skoczyła.

Verhoven zamachnął się ciężką śrutówką, używając jej jak maczugi, ale zipacna nawet nie poczuł uderzenia, powalił człowieka na ziemię i stratował.

Brazos był następny. Strzelił, trafił i powstrzymał szarżę na moment. Ta krótka chwila wystarczyła, by zakrwawiony Afrykaner poderwał się na nogi i wyszarpnął zza paska pistolet Hawkera.

Zwierzę zawróciło i ruszyło ponownie na niego. Szczęki zamknęły się na podnoszonej wciąż dłoni z bronią. Padł strzał. Zipacna zachwiał się i runął na ziemię.

Hawker dotarł na miejsce kilka sekund później i zamarł, widząc, jak wielkich spustoszeń dokonało samotne zwierzę. Verhoven zdołał uchronić twarz i szyję, ale miał rozorany cały bok, a z rozciętej tętnicy na przedramieniu tryskała rytmicznie niewielka fontanna krwi.

Były agent rozerwał koszulę Afrykanera, by zrobić z niej opaskę uciskową, i przywołał do siebie Danielle.

Najemnik spojrzał na swoją rękę, a potem zapytał:

- Co z dziewczyną?

- Zdołała uciec do świątyni - uspokoił go Hawker, zaciskając opaskę nad raną.

- Przestań - poprosił Afrykaner, kręcąc głową, gdy Hawker zawiązał supeł i zajął się robieniem kolejnej opaski. - Za późno na takie zabawy.

- Głos Verhovena cichł z każdym wypowiedzianym słowem. - Lepiej odejść na polu walki... niż konać ze starości w jakiejś zapyziałej norze.

Hawker opuścił ręce. Najemnik podniósł głowę i zakrztusił się krwią.

- Wybaczasz mi? - zapytał.

Były agent spoglądał w oczy dawnego przyjaciela, a potem wroga. Widział, że koniec jest bliski.

- Nie mam ci czego wybaczać - odparł.

Verhoven skinął głową, ale trudno było dostrzec ten gest.

- Cholerna racja - wymamrotał. Gdy Danielle dobiegała do nich, zacisnął dłoń na koszuli Hawkera. - Dokończ robotę - wychrypiął. - Dokończ ją i zabierz tych ludzi do domu.

Potrząsnął nim raz, jakby dla wzmocnienia ostatnich słów, ale tracił już władzę nad palcami. Trzymał się jeszcze przez moment, nie spuszczać wzroku z przyjaciela, a potem jego ręka opadła na suchą ziemię. Pik Verhoven zmarł z wciąż otwartymi oczami.

Danielle przyklękła obok pilota, kładąc mu dłoń na ramieniu. On zaś nie potrafił oderwać wzroku od martwego Afrykanera.

Ciszę przerwał dopiero głos Brazosa.

- Mój Boże... - wyszeptał tragarz.

Oboje spojrzeli w jego kierunku. Brazylijczyk wpatrywał się z ponurą miną w konsolę systemu obronnego. Hawker zamknął oczy zmarłego najemnika. Czarny pistolet, подарowany mu kilka dni temu, leżał na ziemi. Pilot podniósł go, wstał i ruszył razem z Danielle w stronę konsoli.

Na ekranach pojawiły się cele, było ich ponad dziesięć. Gromadziły się jak zwykle na zachodnim krańcu polany. Ich liczba rosła nieustannie, jakby chciały przypuścić zmasowany atak.

Hawker oderwał wzrok od monitora. Mgła nad polaną zgęstniała do tego stopnia, że wokół poszarzało. Słońce nie docierało już do samej ziemi.

W obliczu nadciągającej nawałnicy zwierzęta i ludzie nie mieli więcej czasu na dalsze przygotowania.

## ROZDZIAŁ 49

Hawker spojrział ponownie na ekran komputera. Promieniowanie elektromagnetyczne zdążyło już rozstroić cały system, ale pomimo mocnych zakłóceń mógł widzieć rosnącą wciąż koncentrację czerwonych punktów na zachodnim odcinku przedpola.

- Idź do świątyni - polecił Danielle.

- Nigdzie nie pójde - odparła, rzuciwszy okiem na ekrany.

- On nie da rady uciec, jeśli mu nie pomożesz - dodał, wskazując Brazosa.

Skinęła głową, przyjmując to do wiadomości, aczkolwiek z wielką niechęcią.

- Wlej naftę do wykopu i podpal ją - polecił. - Tylko szybko, nie macie za wiele czasu.

Laidlaw pomogła tragarzowi wstać, ciągnąc go za rękę.

- Idziemy - powiedziała.

Oba psy podążyły za nimi. Hawker nie spuszczał wzroku z linii drzew. Ich korony zaczynały się już kołysać na wietrze. Konary chwiały się, liście trzepotały. Pomiędzy nimi dostrzegł jakiś ruch, a nawet zamazane kształty. Czarne bestie już tam były, gromadziły się, nawoływały. Zachowywały się nerwowo, ale wciąż się wahały. Coś je odstraszało, przygasające ognie, światło dnia albo śmierć biegnącego na czele stada przewodnika. Hawker nie potrafił ustalić przyczyny, ale widział, że coś je wstrzymuje.

Cokolwiek to jest, nie potrwa długo. Zmierzch zbliżał się milowymi krokami, wiatr stawał się coraz silniejszy, zwiastując nadejście burzy. Nad polaną unosiły się tumany kurzu,

uschniętych liści i źdźbeł trawy. Zbliżał się moment zawieszenia, kiedy nie będzie już słońca, ale nie zacznie jeszcze padać deszcz. Wtedy rozpocznie się atak.

- Zobaczmy, czy nie uda mi się odwrócić waszej uwagi - mruknął Hawker, oddając serię strzałów w kierunku gromadzącego się stada, a potem wpakował kilka pocisków w ostatnią beczkę nafty znajdującą się w połowie drogi pomiędzy nim a zachodnim skrajem polany.

Metalowy pojemnik pękł z głuchym hukiem, odstrasząc na moment zipacna. Stado rozpięchło się, ale po chwili znów zwarło szeregi i niespełna minutę później pierwsze zwierzę wychynęło ze ściany gęstych zarośli.

Hawker przyglądał mu się z nieskrywanym podziwem. To był prawdziwy olbrzym. Miał rozmiary słonia. Minimum dziewięć stóp w kłębie. Był też o wiele szerszy od pozostałych. Potwór dyszał, jego paszcza była lekko rozwarta, a w jej wnętrzu pilot widział długie szeregi sztyletowych kłów. Zwierzę przystanęło na moment na tylnych łapach, wężąc w powietrzu. Wyglądało przy tym jak odrażający gargulec wykuty z czarnej, wulkanicznej skały.

Z puszczy wynurzały się kopie tej bestii, mniejsze od niej i smuklejsze. Warczały cicho, a wypustki na ich karkach poruszały się, falując jak łany zboża na wietrze. Przyglądały się Hawkerowi, płonącej beczce i majaczącej w półmroku świątyni.

Były agent podniósł granat ogłuszający, zacisnął na nim dłoń i wyszarpnął zawleczkę. Nie spuszczać wzroku z największej bestii, cisnął go w stronę zarośli. Widział, że zwierzęta śledzą jego lot przez opary mgły. Pocisk eksplodował nad nimi w tym samym momencie, gdy Hawker otworzył ogień.

Strumienie czarnej krwi i kawałki kości trysnęły na wszystkie strony, gdy seria grzybkujących pocisków z broni pilota trafiła w największą bestię. Padła tam, gdzie stała, jakby nagle ktoś podciął jej nogi. Drugie zwierzę zawróciło w stronę zarośli, ale także zostało zabite, zanim w nich zniknęło.

Zaskoczone tym atakiem zipacna podzieliły się. Część uciekła, ale kilka bestii ruszyło w głąb polany. Te pierwsze miały więcej szczęścia. Hawker zdejmował szarżujące stworzenia jedno po drugim, mierząc do nich bezdusznie i celnie jak maszyna.

Gdy ostatnie z nich padło martwe, zmienił magazynek i rozpoczął ostrzeliwanie zarośli. Pociski przeszły drzewa bez trudu, wbijając się w ciała ukrytych za nimi zipacna, gdy nagle w oddali rozległ się ogłuszający dźwięk pierwszego gromu.

Niebo przeszła oślepiająca błyskawica, ale i to nie powstrzymało desperackiego ostrzału, posyłającego kule od lewej do prawej i z powrotem. Hawker strzelał, zmieniał magazynek i dalej prowadził ostrzał. Łuski sypały się wokół, rozgrzana lufa dymiła, na ziemię spadały pierwsze krople deszczu.

Poczuł je na ramionach i na karku; kilka ciężkich, zimnych uderzeń, a potem denerwująca długa przerwa.

W końcu lunęło i strugi deszczu pomknęły ku ziemi.

Deszcz zaczął padać w asyście kolejnego gromu, który wzruszył niebo i ziemię. W ciągu kilku sekund szum ulewy zagłuszył nawet ogień karabinu. Było to prawdziwe oberwanie chmury, woda lała się na polanę i otaczające ją zarośla, wywołując taki łoskot, jakby obok przejeżdżał pociąg ekspresowy. Zipacna kryły się pod drzewami, uciekając przed strugami ołowiu i niesionej wiatrem wody.

Hawker ruszył za nimi, wyzbywając się tym szaleńczym atakiem poczucia winy i wściekłości. Zmienił magazynek, opróżnił go, sięgnął po następny. Nie zważał na nic i o niczym innym nie myślał, dopóki zamek nie zaciął się w pozycji otwartej i odmówił dalszej współpracy. Wystrzelił z tego karabinu czternaście magazynków, czyli ponad czterysta naboji. Ale to nie miało teraz najmniejszego znaczenia. Deszcz lał się strumieniami z nieba, rosząc ziemię i tworząc na

niej spore kałuże.

Kolejna błyskawica rozdarła ciemności, pozwalając mu spojrzeć na ścianę zarośli. Wszystko w zasięgu wzroku poruszało się w szalonym tańcu, pnie drzew, konary i krzewy ustępowały przed naporem porywistego wiatru. Zerwane liście wirowały w powietrzu niczym zielone konfetti. Rozpętał się prawdziwy huragan. Hawker stał w samym jego środku, z trudem utrzymując równowagę. Usiłował dostrzec coś przez gęste strugi deszczu. Czarne kształty migały między drzewami. Martwe i ranne zipacna leżały na ziemi.

Jedna z bestii wyczołgała się z zarośli, ciągnąc za sobą bezwładne łapy. Padła jednak po chwili, wstrząsana dreszczami. Inna zwała się na ziemię tuż za nią, widać było tylko jej kanciasty łeb.

Hawker, nawet o tym nie wiedząc, opuścił broń. Obserwował obraz zniszczenia, dysząc ciężko, napakowany wciąż adrenaliną. Słyszał wysokie piski wydawane przez pozostałe zipacna. Wylęknione i nieszczęsne nawoływania osobników, które jeszcze żyły, niosły się wśród wycia wiatru i huku ulewy. Zwierzęta zostały zmasakrowane przez pociski i wodę. Teraz konały w objęciach burzy.

Ale nawet deszcz nie potrafił zneutralizować ich instynktów. Kolejny zipacna wysunął łeb pomiędzy listowia i wbił nienawistne spojrzenie w Hawkera. Warknął, spojrzął w niebo, potem cofnął się pod kopułę lasu, do wciąż w miarę bezpiecznego schronienia.

Kilka sekund później w polu widzenia pilota pojawiło się kolejne zwierzę. Także musiało się cofnąć, aczkolwiek zamarło w pół kroku i potrząsnęło łbem jak koń, który ogania się od much. Gdy strugi wody poleciały na wszystkie strony, zipacna warknął złowieszczo. Zamiast się wycofać, znów ruszył do przodu, wychodząc całkowicie spod ochrony liści. Uniósł spiczasty łeb w kierunku nieba i zawył przeciągle.

Obok niego pojawił się drugi czarny kształt, warczący i drapiący nerwowo ziemię. Nieco dalej z zarośli wynurzył się trzeci.

Hawker spoglądał na nie z niedowierzaniem. Zipacna stały w strugach deszczu. W deszczu! Mimo że nad polaną lało jak z cebra. Kontakt z wodą był dla nich bolesny, zapewne czuły pieczenie albo nawet oparzenia, ale deszcz ich nie zabijał.

Gdy ta myśl dotarła do niego, wysyczał stek przekleństw i cofnął się ostrożnie o krok. A kiedy największa bestia spojrzała prosto na niego, odwrócił się i zaczął uciekać.

Zipacna ruszył do ataku.

## ROZDZIAŁ 50

Hawker gnał w kierunku świątyni, odrzucił nawet karabin, by móc biec jeszcze szybciej.

Ścigały go dwa potwory. Pierwszy zbliżał się szybko, dotarł już na odległość, z której mógł zaatakować, i właśnie przymierzał się do skoku, gdy nagle posłał go na ziemię wielkokalibrowy pocisk z barretta wystrzelony ze szczytu świątyni. Druga bestia przeskoczyła nad zwłokami i kontynuowała pościg.

Hawker nie widział tej sceny, ponieważ nie marnował czasu na spoglądanie za siebie. Właśnie zbliżał się do krawędzi rowu, mając na karku prześladowcę. Skoczył w tym samym momencie, gdy któryś z obrońców odpalił ładunki wybuchowe. Seria eksplozji rozjaśniła skraj rowu. Podmuch cisnął lecącym pilotem w bok, w kierunku rzędów naostrzonych kołków i płaskowników. Zwinął się w locie, usiłując uniknąć nadziania na te zabójcze przeszkody, ale i tak zahaczył o jedną z nich. Ostrze rozcięło mu koszulę i skórę, ale na szczęście nie spowodowało poważniejszych obrażeń.

Niestety unieruchomiło go jak owada przyszpilonego do tablicy. Gdy próbował się uwolnić z tej pułapki, usłyszał obok siebie znajome warczenie czarnej bestii. Rzucił spojrzenie w kierunku ściany płomieni i zobaczył, że inny zipacna przetacza się przez nie, zmierzając prosto na niego. Rozpłaszczył się na ziemi jak tylko mógł i atakujące go zwierzę nadziało się na płaskowniki. Szarpiąc się, wyrwało kilka kołków z ziemi, a potem padło, wydając z siebie tak głośny skowyt, że Hawkerowi omal nie popękały bębni.

Mimo odniesionych ran stworzenie wciąż żyło. Pilot w mgnieniu oka zrozumiał, jak wielkie stanowi dla niego zagrożenie. Tutaj nikt nie osłoni go ogniem z broni automatycznej. Znajdował się zbyt blisko schodów. Trójnog nie pozwoli na tak głębokie obniżenie lufy barretta.

Zwierzę zawróciło i ruszyło do ataku. Z jego piersi wciąż wystawał długi na cztery stopy kawał stali. Hawker zdołał się w końcu uwolnić z pułapki, ale wiedział, że jest już za późno na ucieczkę. Zipacna właśnie rozczapierał pazury i rozdziawiał szczęki, szykując się do ataku. Skoczył, lecz jego łeb nagle przechylił się w bok i eksplodował, trafiany kolejnymi pociskami.

Pilot obrócił głowę i zobaczył Danielle stojącą u podnóża schodów. Właśnie wkładała kolejny magazynek do swojego automatu.

- Mam już dość patrzenia, jak giną moi ludzie! - zawołała. - Spieprzajmy stąd, do jasnej cholery!

Strzeliła w kierunku polany, po której szarżowały kolejne zdesperowane zipacna. Hawker wyszarpnął płaskownik z cielska martwego zwierzęcia i ruszył za nią na szczyt świątyni.

Zanim dotarli na miejsce, rozpoczęła się regularna bitwa. Nad polaną rozbrzmiewały na przemian strzały i huk gromów. Czarne bestie miały się po otwartej przestrzeni, nie mając żadnej osłony przed kulami, uwięzione pomiędzy ścianą zarośli, w które nie zamierzały wracać, i szybko gasnącym murem płomieni. Na polanie pojawiło się około trzydziściorga zwierząt, wiele z nich było rannych i poruszało się z trudem. Ich liczba zmniejszyła się jednak w szybkim tempie, gdyż stanowiły idealne cele dla strzelających z góry karabinów maszynowych. Mimo to pędziły wciąż naprzód całym stadem, a spośród drzew wciąż wybiegały kolejne.

Erie przejął obsługę barretta, siejąc śmierć w szeregach bestii z ogromną precyzją. Namierzał cel, naciskał spust i przesuwał lufę w kierunku kolejnego zwierzęcia. Stojący obok niego Danielle, McCarter i Brazos zasypywali przedpole gradem kul. Susan podawała im pełne magazynki, a spanikowany Devers wykrzykiwał komendy, które jego zdaniem wydawały się pomocne.

Kilka bestii pokonało płonący rów, przeskakując przez dogasające płomienie, i zaczęło

wspinać się na schody. Danielle przeniosła ogień na podnóże piramidy i wystrzelała je, zanim zdążyły dotrzeć do połowy wysokości. W tym czasie McCarter zajął się dwoma, które wdrapywały się mozolnie po ścianie, jakiej zdaniem profesora nie miały szans pokonać.

Susan wskazała kolejne zwierzę, tym razem na południowej ścianie. Brazos strzelał do niego tak długo, aż spadło na dół, wciąż żywe, ale niezdolne do stanięcia o własnych siłach.

Tymczasem na polanę wbiegało coraz więcej bestii. Brodząc w głębokim błocie, nie były jednak już tak szybkie. Z trudem parły do przodu, cały czas narażone na ostrzał z góry.

Hawker podniósł pierwszy z brzegu karabin, ale okazało się, że nie ma w nim amunicji. Chwycił kolejny, ale ten także był bezużyteczny. Spojrzał na Susan, ona jednak tylko pokręciła bezradnie głową. Skończyły się jej pełne magazynki. Obrócił się, by ostrzec pozostałych, ale było już za późno.

Pierwszy karabin umilkł, potem kolejny. W końcu słychać było tylko rytmiczny huk pięćdziesiątki. A gdy echo ostatniego strzału umilkło w oddali, nad polaną zapanowała złowroga cisza.

Krople deszczu rozpryskiwały się z sykiem na rozgrzanej do czerwoności lufie snajperki, gdy Erie wstał i podszedł do pozostałych obrońców.

Hawker zapytał raz jeszcze, dla pewności, ale odpowiedź była identyczna, amunicja się skończyła. Stanął na krawędzi tarasu i spojrzał w dół ściany oświetlonej kolejną błyskawicą. W jej siniej poświacie zobaczył niemal całą polanę. Truchła zastrzelonych bestii leżały wszędzie, ale dziesiątki innych wciąż się poruszały, ranne i konające w błocie. Ich wydzielina dobijała je powoli, a rozpuszczające się pancerze rozlewały się czarnymi plamami po ziemi.

Część zwierząt jednak ocalała z tej rzezi i zmierzała prosto ku świątyni. Te, które przybyły tu ostatnie albo cudem uniknęły gradu kul. Poruszały się po rozmokniętej polanie bardzo wolno i ociężale, jakby niosły na grzbietach niewidzialnych jeźdźców.

Deszcz ranił je. Nawet jeśli nie zabijał w dramatyczny sposób, jak to uczyniła woda z larwą, sprawiał im potworny ból. Gdyby pozostały wystarczająco długo na otwartej przestrzeni, mógł je nawet doprowadzić do śmierci. Hawker wątpił jednak, by którykolwiek z obrońców świątyni dożył tej chwili.

W świetle następnej błyskawicy doliczył się sześciu ocalałych bestii. Starał się wymyślić sposób, jak zabić choć jeszcze jedną. Sprawdził pistolet; zostały mu w nim tylko trzy naboje. Zdawał sobie jednak sprawę, że te pociski nie zdołają przebić grubych kostnych pancerzy. Prędzej rozprysną się na skórze jak kulki do paintballa.

Gdy pierwszy zwierz zbliżył się do podstawy świątyni, pilot zacisnął dłonie na oszlifowanym płaskowniku.

- Przygotujcie się! - zawołał, przekrzykując deszcz i wiatr.

Pozostali zaczęli szukać czegokolwiek, co nadawało się na broń, wszystkiego, czym można było uderzać jak maczugą albo ciąć. Niektórym musiały wystarczyć karabiny, których magazynki właśnie opróżnili.

Pierwszy zipacna dotarł już do schodów. Moment później pojawił się na nich drugi, ale po pokonaniu kilku stopni zamarły w bezruchu. Reszta tych, które wciąż szły przez polanę, także się zatrzymała. Wszystkie odwróciły łby w stronę dżungli.

Danielle stanęła obok Hawkera.

- Na co one czekają?

Zwierzęta wpatrywały się ścianę zarośli, kiwając rytmicznie ogonami i łbami. Jeden z psów zaczął wyć, po chwili ledwie słyszalny dźwięk dochodzący z głębi zarośli dotarł także do ludzkich uszu, mimo szumu deszczu i ryku gromów.

Kilka sekund później na polanę wypadli Chollokwanie, wyjąc i wrzeszcząc wniebogłosy.

Wysypali się z każdej strony. Pędzili z dzidami i toporami wzniesionymi nad głowy. Dopadli bestie leżące wciąż na polanie. Zniknęły pod nimi jak owoce pod rzeszami mrówek.

Zipacna stojące na schodach zawróciły, by uciec przed atakującymi. Jeden z nich był ranny, z trudem się poruszał, więc przed starciem zdołał pokonać zaledwie kilka stopni, za to drugi pędził jak oszalały w górę, ku schronieniu, jakie mogło mu zapewnić wnętrze świątyni.

Gdy zwierzę dostało się na szczyt, Hawker wypalił w kierunku jego głowy ostatnie naboje i zamachnął się trzymanym w drugiej dłoni płaskownikiem. Zipacna odskoczył w lewo, czując ukąszenia pocisków, a gdy metal wbił się w jego skórę, pokręcił głową jak byk na korridzie, wyrzucając pilota w powietrze, za krawędź i prosto na schody. Pozostali członkowie ekspedycji stali w głębi kamiennego tarasu, uwięzieni pomiędzy czarnym otworem wejściowym i szalejącą bestią. Danielle rzuciła w nią karabinem, ale broń odbiła się od płytki kostnej, nie robiąc wrażenia na zwierzęciu, aczkolwiek odwracając jego uwagę na tyle, by wymachujący toporkiem Chollockwan zdążył wskoczyć mu na grzbiet.

Zipacna strącił go jednak, pochwycił masywnymi szczękami i odrzucił zwłoki na bok. Trwało to zaledwie chwilę, ale w tym czasie pozostali Indianie mogli dopaść bestię. Jeden uderzył toporem w nogi i natychmiast został rozszarpany długimi pazurami. Drugi pchnął dzidą w kierunku oka, ale i ten atak okazał się bezskuteczny. Zwierzę zrobiło szybki unik, a jego ogon ściał wojownika. Trzeci w tym czasie wykonał potężny zamach, uderzając w jedną z płyt pancerza. Kość i kamień rozsypały się na kawałki.

Zipacna obrócił się, a potem błyskawicznym ruchem pochwycił Chollockwana za kark, by wyrzucić go poza krawędź tarasu.

Był znów wolny, ale nie dłużej niż przez sekundę. Kolejna fala wojowników rzuciła się w jego kierunku. Ci przelali pierwszą krew stworzenia, gdy któremuś udało się wrazić dzidę w szczelinę na boku, pomiędzy dwiema kostnymi płytami.

Nagły ból rozwścieczył potwora, zdawać się mogło, że zipacna niespodziewanie odzyskał wszystkie siły i szybkość reakcji spowolnioną przez kontakt z deszczem. Rozpłatał atakującemu twarz i gardło. Zaciśnął szczęki na głowie drugiego Indianina i wbił pazury w klatkę piersiową trzeciego. Ogon wił się w powietrzu niczym bicz. Trafiony nim wojownik poleciał na plecy, trzymając się za rozplątany brzuch, z którego wypływały wnętrzności.

Szybkość, z jaką poruszał się zipacna, była przerażająca, niemniej Chollockwanie kompensowali ją liczebnością i mimo że ginęli w tym starciu jak muchy, nie odstępowali.

Putock, wojownik, który zaprowadził Danielle i jej ludzi przed oblicze rady, także był wśród atakujących. Pokryty krwią od stóp do głów zdołał jakoś przetrwać ataki pazurów i kłów. Zanurkował pod bestią, gdy ta obróciła się, odsłaniając na moment staw łączący tułów z głową. Wbił w to miejsce włócznię, dociskając ją ciężarem całego ciała. Z rany trysnęły strumienie czarnej krwi. Zipacna odchylił łeb i zawył przeraźliwie. Jego nieludzki skowyt przetoczył się echem nad dżunglą.

Padając, bestia dosięgnęła jeszcze swojego oprawcę. Putock zatoczył się do tyłu, rozcięty od barku aż po pachwinę. Padając na kamienny taras, prosto w kałużę własnej krwi, zdążył jeszcze zobaczyć, że rana, którą zadał, jest równie poważna.

Zipacna wił się, chcąc wyrwać dzidę z rany. Zmiażdżył szczękami jej drzewce, rozłupując je w drzazgi, ale nie uwolnił się od prymitywnej broni. Widząc, że nie pokona tak licznych wrogów, bestia pognęła w kierunku mrocznego otworu w dachu świątyni.

Pędziła przed siebie, nie zamierzając walczyć dalej, ale główne siły Chollockwanów były już na gorze, otaczały ją i powaliły w końcu uderzeniami i ciężarem własnych ciał.

Zwierzę próbowało ich strząsnąć z siebie, stając dęba po raz kolejny i rycząc dziko, jakby ten tytaniczny dźwięk mógł je uwolnić od prześladowców, ale chwilę później ostatnia dzida trafiła w

cel i zipacna zwinął się, a potem padł. Jego łeb uderzył o kamienie z głośnym hukiem.

Chollokwanie dźgali go i uderzali jeszcze przez kilka minut. W końcu jednak, gdy rozładowali cały gniew i nienawiść, jaką do niego żywili, zaczęli odstępować. Jeden po drugim odwracali się od odrażającej bestii, ruszając w kierunku rannych, albo stawali, by deszcz obmył ich z krwi.

Członkowie ekspedycji nawet nie drgnęli w tym czasie. Spoglądali jedynie z niedowierzaniem na dzieło zniszczenia, jakiego byli właśnie świadkami, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Danielle rozejrzała się po zalanej deszczem polanie, ale nie dostrzegła ani jednego żywego zipacna. Jedynymi poruszającymi się wokół niej istotami byli brodzący w wodzie Indianie. Trudno było w to uwierzyć, ale szaleństwo właśnie dobiegło końca.

Gdy tylko zdołała ochłonąć, poprosiła McCartera i Deversa, by porozmawiali z Chollokwanami, a sama przeszła na drugą stronę tarasu, by odszukać Hawkera. Zanim dotarła do szczytu schodów, zobaczyła, jak pilot gramoli się po stopniach na górę.

Wszedł na szczyt świątyni, rozejrzał się, podziwiając ślady niedawno zakończonej walki, a potem spojrzął na nią i pozostałych członków ekspedycji. Widząc, że są już bezpieczni, obrócił się i usiadł na najwyższym stopniu, twarzą do zalanej deszczem polany.

Danielle podeszła do niego i przysiadła obok przy akompaniamencie kolejnego gromu.

- Nic ci się nie stało? - zapytała, podnosząc głos, by przekrzyczeć ryk nawałnicy.

Spojrzał na nią tylko i pokręcił głową, nie wypowiedziawszy słowa. Był zbyt wyczerpany, by mówić.

Przeniosła wzrok na tonącą w ulewie polanę, rozświetlaną raz po raz blaskiem błyskawic, i odgarnęła z twarzy kosmyk przemoczonych włosów. Deszcz wciąż padał, ale wiatr wiał im teraz w plecy.

- Trudno mi uwierzyć, że to już koniec - powiedziała. - Tak samo jak w to, że wciąż żyjemy. - Podniosła twarz ku niebu, mrużąc oczy na deszczu, a potem roześmiała się na głos w nagłym przyptywie radości. - Jakie to cudowne uczucie, być żywym.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się blade. Na jego twarzy pojawił się wyraz satysfakcji.

- W Afryce mają takie powiedzenie: deszcz to życie - powiedział, rozglądając się wokół, a potem powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, patrząc jej w oczy. Deszcz to życie, deszcz to życie...

Jego słowa utonęły w huku kolejnego grzmotu. Przymknął oczy i położył się na mokrych blokach kamienia.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń, by pogładzić go po policzku. Nie mówiąc słowa, położyła się obok. Oboje byli żywi, czym rozkoszowali się w strugach cudownego, ulewnego deszczu.

## ROZDZIAŁ 51

Pogoda nad Brazylią uległa całkowitej zmianie. Zniknął groźny El Niño oraz związany z nim front wyżowy, spychający masy suchego rozgrzanego powietrza nad Amazonię. Ich miejsce zajął niż pompujący ogromne ilości wilgotnych mas powietrza znad Karaibów w sam środek tropikalnej puszczy. Rozległa pokrywa chmur sięgała od płaskowyżów w centrum kontynentu aż po wybrzeża oceanu. W okolicach samotnej świątyni deszcz padał nieprzerwanie przez dziewięć dni.

W jego strugach Chollokwanie zajęli się tym, co zazwyczaj ludzie robią po zakończeniu



wojny. Gdy usunęli z polany swoich poległych, wrócili po ciało Verhovena i zabrali je ze sobą, nie mówiąc nawet słowa. Gdy tylko spoczął obok zabitych Indian, rozpoczęto ceremonię kremacji zwłok. Wokół ognisk panowała atmosfera smutku i przygnębienia, ale gdy dym uniósł dusze dzielnych wojowników ku niebu, zgromadzeni zaczęli śpiewać pieśni na ich cześć.

Uczestnicy ekspedycji nie brali udziału w tych uroczystościach. Pozostali na polanie razem z pokazną grupą Chollokwanów. Naprawiwszy kilka namiotów, czekali na koniec pierwszego deszczu. Drugiego dnia wojownicy przynieśli im jedzenie. To był naprawdę wiele mówiący gest, zwłaszcza że przybyszom kończyły się już własne zapasy.

Hawker przełknął ostatni kęs mięsa, najprawdopodobniej tutejszej ryby.

- Jak sądzicie, kiedy uda im się zrobić nowy kamień potrzebny do zapieczętowania świątyni? - zapytał, kierując te słowa do Danielle i McCartera.

- Powiedzieli jedynie, że to zrobią - odparł profesor. - Nie widziałem jednak u nich żadnych narzędzi do obróbki kamienia. Szczerze mówiąc, wątpię, aby umieli to zrobić.

- Też tak sądzę - przyznał pilot.

Odłożył talerz, odsunął płachtę zasłaniającą wejście do namiotu i ruszył ku świątyni, nie zważając na padający wciąż deszcz. McCarter i Laidlaw podążyli za nim. Pokonali polanę, wspięli się po stopniach na taras, a potem zeszli do wnętrza budowli.

Hawker rozbroił ostrożnie zastawioną pułapkę i usunął ładunki wybuchowe. Chwilę później uniósł ciężki młot i opuszczył go na zaokrągloną ścianę za studnią. Kamień pękł z trzaskiem, wokół posypały się odłamki. Kolejne uderzenie posłało spory kawałek skały w czarną czeluść studni, gdzie z pluskiem wpadł do wody.

W komnacie pojawiło się kilku Chollokwanów, zaalarmowanych dobiegającymi z wnętrza świątyni hałasami. Z początku wyglądali na zaskoczonych działaniem pilota, ale dość szybko zrozumieli, do czego zmierza. Zorganizowali się natychmiast i zaczęli mu pomagać, skupiając się na przenoszeniu leżących wokół fragmentów płyty, która kiedyś zasłaniała wejście od strony tarasu. Przesuwali te bloki w pobliże studni, a następnie wspólnymi siłami zrzucali je kolejno w otchłań.

W tym czasie Hawker systematycznie rozwalał ścianę nad studnią, a gdy skruszył ją w wystarczającym stopniu, skupił uwagę na ołtarzu. Indianie zdążyli ściągnąć już swoich pobratymców na pomoc i w krótkim czasie po schodach zaczęto znosić kosze kamieni, szczap, a nawet małe głazy. Wszystko to trafiało natychmiast do studni.

Zmęczony pilot przekazał młot McCarterowi, a ten oddał go kilka minut później Danielle. Destrukcja kamiennej budowli trwała nieprzerwanie. Pół godziny później dopięli swego. Potężny kawał skały pękł i lawina kruszywa posypała się w głąb mrocznej czeluści.

Chollokwanie nie ustawali w wysiłkach, dodając do niej co chwilę zawartość kolejnych koszy. Zamierzali zasypać tę studnię aż po jej wylot. Wążąca dziesięć ton masa powinna stanowić przeszkodę nie do przebycia i uniemożliwić zippinga powrót na powierzchnię.

Gdy wojownicy wyszli na zewnątrz, by przynieść kolejny ładunek, Danielle oparła się o ścianę, dysząc. Młot ciążył jej w dłoniach. Rozglądała się po komnacie, potem przeniosła spojrzenie na resztki ołtarza i w tym momencie zauważyła jakieś odbicie w jego szczątkach.

- A to co? - mruknęła do siebie, przyglądając się błyszczącemu przedmiotowi.

Oparła młot o ścianę i zbliżyła się do rumowiska. Hawker i McCarter obserwowali ją uważnie, nie ruszając się z miejsca. Przyklękła wśród pyłu i rozdrobnionej skały, odrzuciła kilka ułomków i przedmiot rozbłysnął mocniej. Przy odrobinie wysiłku udało jej się wydobyć trójkątny kamień wielkości solidnego słownika.

Oglądała go uważnie, oczyszczając powierzchnię z pyłu. Przesuwała palcami po zaoblonych

krawędziach i gładkich narożnikach. Wyglądał jak lity kawałek minerału, w dotyku przypominał jednak tworzywo sztuczne.

- Jest ciepły - zauważyła, przykładając dłoń do jego powierzchni.
- Co to może być? - zainteresował się Hawker.

Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia, ale... - Przypomniała sobie, że kryształy Martina i radioaktywne kostki pasowały do wyłobień na powierzchni ołtarza. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie znalazła tego, po co ją wysłano w to miejsce.

Po uratowaniu Susan i stwierdzeniu, że jaskinie zostały oczyszczone, uznała, że nie ma tutaj niczego cennego. Potem, gdy Kaufman poinformował ją o promieniowaniu elektromagnetycznym, zaczęła mieć wątpliwości. Energia musiała emanować z jakiegoś urządzenia.

- Pamiętacie opowieść o Tulan Zuyua? - zapytał McCarter. - Tam jest napisane, że bogowie dawali ludziom swoją esencję w specjalnych kamieniach.

Danielle skinęła głową, a gdy opuściła wzrok, by raz jeszcze przyrzeć się kamieniowi, w portalu zamajaczyła sylwetka człowieka. Obróciła się i ujrzała Najstarszego, podtrzymywanego przez dwóch wojowników. Wyglądał równie krucho jak podczas spotkania w wiosce, ale dzisiaj oczy lśniły mu mocno. Ruszył w kierunku Danielle i zauważył trzymany przez nią kamień. Nie wydawał się zaskoczony jego widokiem.

- *Garon Zipacna* - powiedział.

Nie mając Deversa pod ręką, nie zrozumieli tego wyrażenia.

- *Gar on Zipacna* - powtórzył, uderzając się lekko dłonią w klatkę piersiową.

- Zdaje się, że nazwał twoje znalezisko Sercem Zipacny - zasugerował McCarter.

Danielle spojrzała na kamień, potem wyciągnęła ręce w kierunku wodza, chcąc mu go oddać, ale ten odmówił, łagodnie odpychając dar. Podeszedł do studni i rzucił okiem na wypełniający ją, rosnący wciąż stos kamieni. Wyglądał na uradowanego tym widokiem. Odwrócił się i stanął przed McCarterem. Otworzył dłoń i pokazał mu niewielki przedmiot.

Profesor przyjrzał mu się uważnie. To był stary kompas, wyglądał, jakby miał ze sto lat. Zapewne należał do Blackjacka Martina. McCarter przyjął ten dar z nabożnym szacunkiem.

- Na drogę - powiedział wódz, powtarzając słowa, które padły podczas rozmowy we wsi.

Teraz stanął przed Hawkerem, by wręczyć mu obsydianowy grot dzidy. Dotknął ran na ciele pilota i rzucił jedno tylko słowo, to, którym Chollokwanie nazywają mężczyznę wojownikiem.

Hawker uklonił się, dziękując za to wyróżnienie, ale starzec już kroczył w kierunku Danielle. Stanął przed nią, czyniąc gest upodabniający go do jogina. Patrząc jej w oczy, skinął głową i powiedział:

- *Ualon*.

McCarter pamiętał i to słowo.

- Nazwał cię Najstarszą - wyjaśnił. - Ale tu nie chodzi o wiek, tylko zajmowaną pozycję. W tym wypadku oznacza ono: wódz.

Laidlaw pochyliła głowę, zaskoczona tym komplementem. Naśladując gest wodza, obdarzyła go uśmiechem. On odpowiedział tym samym, a potem odwrócił się i odszedł, wsparty na ramieniu pomocnika.

Następnego dnia ekspedycja opuściła polanę w strumieniach nieco rzadszego, ale wciąż padającego deszczu. Eskortował ją oddział wojowników. Trasa, którą przy dobrej pogodzie pokonali uprzednio w cztery dni, teraz zajęła im niemal dwa tygodnie nieustannego babrania się w mule. A gdy dotarli w końcu do Muru z Czaszek, niebo ponownie pociemniało, zalewając ich strumieniami wody.

Danielle szczykała zębami z wyziębienia, ale zaczęła dostrzegać rzeczy, na które wcześniej nie zwracała uwagi. Delikatne pasemka mgły wylewające się niczym ciekłe srebro z liści paproci, zwisające z drzew przepiękne orchidee o barwie fuksji i niesamowicie żółte kielichy kwiatów rozwijających się w niewiarygodnym tempie.

Spędziła w lasach deszczowych ponad miesiąc, ale do tej pory nie widziała tego wszystkiego. Marzyła o tym, by trafili na kolejną linię zapracowanych mrówek, by McCarter miał jej co pokazać.

Przy Murze z Czaszek skręcili na południe i ruszyli w stronę rzeki Negro. Pięć dni później natrafili na przepływającą łódź: napędzaną silnikiem Diesla barkę wypełnioną mahoniem, ciągnącą za sobą na holu drugie tyle spławianego drewna. Gdy zapakowali się na jej pokład, Danielle odwróciła się, by pożegnać eskortujących ich Chollokwanów, ale Indianie zniknęli już w gęstwinie.

Członkowie ekipy podziękowali wylewnie załodze, uchylając się od odpowiedzi na temat swojego stanu i powodów obecności w tym miejscu, i po pewnym czasie zostali pozostawieni w spokoju, aby móc zagłębić się we własnych przemyśleniach.

McCarter spędzał większość czasu na rozmyśleniach o świątyni, którą opuścili. Mimo tego wszystkiego, czego się dowiedzieli, budowla pozostawała dlań wielką tajemnicą. Nadal nie potrafił zrozumieć wielu rzeczy wiążących się z jej istnieniem i na nic mu się nie zdała znajomość archeologii. Niemniej w prywatnej rozmowie z pozostałymi członkami ekspedycji przedstawił teorię, jaką stworzył na jej temat.

- Przyznaję, że miałem problemy z uznaniem tego, co mówiłaś o szkielecie odkrytym w jaskini - stwierdził, spoglądając na Danielle.

- Niestety, nie znalazłem innego wytłumaczenia jego obecności w tym miejscu. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, co tam znaleźliśmy

- dodał, odnosząc się do kamienia spoczywającego w jej plecaku. - Jeśli się nie mylisz, zdeformowane szczątki należały do jednego z grupy osobników wchodzących w skład załogi wehikułu czasu. Czy byli to ochotnicy, czy obiekty eksperymentu, tego nie ustalimy. Po przybyciu na miejsce istoty te zastały wrogi im świat. Słońce i deszcz paliły ich ciała. Nie mając wyjścia, zniewolili tubylców, zmuszając ich do wybudowania świątyni przy wejściu do jaskini. W tym celu przekazali im wiedzę dotyczącą obróbki i transportu kamienia. Aby mieć posłuch wśród prymitywnego ludu, ogłosili się półbogami, zapewne wykorzystując elementy istniejącej w tych okolicach religii. W Popol Vuh znajduje to odzwierciedlenie, mamy tam teksty o wywyższaniu się i samochwalstwie Siedmiu Ar.

Susan przysiadła się do swojego wykładowcy.

- Dużo rozmyślałam o herosach, którzy pokonali Zipacnę - stwierdziła. - Napisano, że uwięzili go w pułapce, ale nie ma nawet słowa o tym, że go zabili. Po prostu spoczął przywalony górą kamieni. Zastanawiam się, czy ten przekaz nie jest w pewnym sensie ostrzeżeniem przed tym, że po otwarciu świątyni czarne stwory mogą się uwolnić.

- To bardzo czytelne ostrzeżenie - przyznała Danielle, spoglądając na wodę przepływającą za burtą. - Jak ciało Indianina, które znaleźliśmy.

McCarter skinął głową. On też przypuszczał, że Chollokwanie wrzucili tego człowieka do rzeki, aby wysłać ostrzeżenie plemieniu Nuree. Dodatkowo jednak, wiedząc, jak woda działa na larwy, mogli również chcieć zyskać pewność, że nic, co w nim rosło, nie przeżyje.

- Szczerze mówiąc - oświadczył - to miejsce miało wpływ na wiele legend Majów. Mamy tu złe istoty zamieszkujące zaświaty, czyli Xibalban, drewniany lud, Siedem Ar i Zipacnę. My, ludzie Zachodu, przyzwyczailiśmy się do linearnego myślenia. Jedno pytanie, jedna odpowiedź. W wielu starożytnych kulturach sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana, a świata nie

postrzegano w czarno-białych barwach. Przekazy ustne umożliwiały wprowadzanie wielu zmian do treści. Gdy kultury ulegały wymieszaniu, jedna zapożyczała od drugiej motywy i przerabiała je na swoją modłę. I tak z tego samego źródła powstawało wiele półprawd.

- To akurat rozumiem - wtrąciła Danielle. - Przybyłam tutaj w poszukiwaniu macierzy kryształów, uważając, że są częścią jakiegoś urządzenia, czegoś niebywale zaawansowanego technologicznie. I taką rolę pełniły moim zdaniem, będąc czymś w rodzaju świec zapłonowych albo wtrysku paliwa dla reaktora. Dlatego chcieliśmy zdobyć całe urządzenie. Dla Chollockwanów były jednak obiektem kultu, czymś, co pomagało im sprowadzać deszcz. Reliktami po prawdziwym Czarnym Deszczu. Zdaje się, że wcale nie byli aż tak dalecy od prawdy. Zauważcie, że gdy oddaliśmy im kryształy, nadeszła pora deszczowa. I tak mamy dwie wersje, odmienne, ale obie prawdziwe.

McCarter słuchał jej wywodu, kiwając głową, potem przeniósł wzrok na Hawkera, który był dziwnie zgaszony i milczący od momentu opuszczenia polany. Profesor nieraz zastanawiał się, co go gnębi. W czasie, gdy on sam skupiał myśli na stworzeniu sensownej teorii, pilot zdawał się błądzić myślami znacznie dalej.

- A co ty o tym sądzisz?

Hawker uśmiechnął się głupkowato, jakby przyłapano go na czymś.

- Tak tylko się zastanawiam - odparł. - Sporo podróżowałem po świecie. Przez siedem dni jechałem ciężarówką po pustyni, dwa miesiące spędziłem na frachtowcu, który zdawał się przyciągać sztormy. Nigdy nie pokonałbym tych przeciwności losu, gdyby nie wiara, że to, co robię, ma jakiś sens. Ale idea podróży w czasie nie mieści mi się w głowie. To coś niewyobrażalnego. Po co w ogóle próbować? I po jaką cholere cofali się do tak dawnych czasów, skoro mieli wiele innych epok do wyboru? Jak widać, marnie na tym wyszli.

- Może ten proces nie jest wcale taki precyzyjny - odpowiedziała Susan. - Może wcale nie zamierzali cofać się aż tak bardzo.

Danielle poparła jej teorię.

- To mógł być eksperyment - wtrąciła. - Wiecie, coś w stylu wyprawy Kolumba w poszukiwaniu nowej drogi do Indii. Czasami człowiek pogubi się do tego stopnia, że dociera nie tam, gdzie pierwotnie zamierzał.

- Możliwe - przyznał Hawker, odwracając wzrok - ale moim zdaniem tu chodzi o coś więcej.

McCarter przyznał mu milcząco rację, chociaż nie potrafiłby sprecyzować, czym miałyby być owo „coś więcej”. Czasami to, co odkryli pod świątynią, wydawało mu się wystarczająco niesamowite. Trafili przecież na jedno z miejsc, które stało się źródłem wierzeń Majów. Religii, która z czasem rozprzestrzeniła się także na sąsiednim kontynencie, będąc podstawą najpotężniejszej kultury w prekolumbijskiej historii Ameryk. Religii, którą wyznawano przez tysiące lat, aż do upadku cywilizacji, która, nawiasem mówiąc, przetrwała w sercach potomków pierwszych jej wyznawców, czyli amazońskiego plemienia Chollockwanów.

Łódź płynęła wolno w dół rzeki Negro, tnąc dziobem jej czarne wody i niosąc ich w kierunku Manaus. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym szersze stawało się koryto. Coraz częściej też widzieli na horyzoncie unoszące się w niebo pióropusze dymu. Jego źródłem były plantacje mieszczące się w pobliżu brzegów rzeki. Teraz, gdy nadeszła w końcu pora deszczowa, ich nadzorczy wypalali pola, by użyźnić ziemię pod przyszłe zbiory.

Tak właśnie zaczynał się tutaj kolejny sezon. Patrząc na te szare kłęby, McCarter zrozumiał jeszcze jedno.

- Oczekiwaliśmy, że deszcze zabiją zipacna, jak woda z manierki zrobiła to z larwą. Niestety, atmosfera Ziemi jest dzisiaj pełna zanieczyszczeń, nie wyłączając oparów siarki

powstałych przy spalaniu węgla. Może nie są to jeszcze kwaśne deszcze, ale z pewnością deszczówka ma o wiele kwaśniejszy odczyn niż przed tysiącami lat.

- Sądziś, że to dlatego zipacna nie ginęły od razu? - zapytał Hawker.

Profesor skinął głową i znów zapatrzył się na odległe dymy.

- Takie wypalanie nie powoduje zbyt wielkich zanieczyszczeń - stwierdził. - Niemniej elektrownie węglowe rozsiane po Ameryce, Europie i Azji pompują w atmosferę miliardy ton siarki. Nie wspominając o dwutlenku węgla i innych truciznach. - Spojrzał na Danielle. Zaczynał powoli rozumieć, dlaczego tak bardzo chciała odkryć tę tajemnicę. - Wygląda na to, że tworzymy podwaliny warunków, w których inny gatunek będzie się czuł lepiej niż my.

Kilka godzin później dopłynęli do przedmieść Manaus, którego większość z nich mogła już nigdy nie zobaczyć. Ostatni etap podróży Danielle spędziła na dziobie barki. Docierali do domu i zaczynała się właśnie zastanawiać, na jakie mogą liczyć przyjęcie. Na godzinę przed zawinięciem do portu pojawił się obok niej kapitan.

- Jesteście Amerykanami? - zapytał. Skinęła twierdząco głową. - Zdaje się, że ktoś was szuka. Wystraszyli się, że zaginęliście.

- Kto taki? - zapytała podejrzliwym tonem.

- Są w dokach - odparł kapitan. - Też Amerykanie. Skontaktowali się z nami przez radio.

Szukają grupy ludzi prowadzonej przez ładną, ciemnowłosą kobietę imieniem Danielle. To zdaje się pani?

- Tak - przyznała. - To zdaje się ja. Wie pan, kim są ci Amerykanie?

Kapitan pokręcił głową.

- Chyba waszymi przyjaciółmi - oświadczył, ciesząc się, że przynosi dobrą nowinę. -

Mówili, że kontaktują się z każdą łodzią płynącą z góry rzeki. To muszą być *amigos*, bez dwóch zdań.

Hawker podszedł do niej, gdy tylko kapitan ruszył na rufę.

- Co się dzieje?

- Nasi *amigos* czekają na nas w dokach.

Zmarszczył brwi.

- Wydawało mi się, że nie mamy już żadnych *amigos*.

- Całkiem słusznie - przyznała.

Godzinę później podchodzili do zatłoczonego drewnianego pomostu niedaleko miejsca, gdzie Laidlaw i Hawker zostali ostrzelani. Barka wykonała kilka ostatnich manewrów, by ominąć stojące na kotwicach jednostki, i znalazła się na tyle blisko brzegu, by Laidlaw mogła rozpoznać sylwetki trzech mężczyzn czekających na nich w tłumie miejscowych dokerów. Dwaj nosili okulary przeciwsłoneczne i broń pod marynarkami. Trzeci miał na sobie tylko rozpiętą koszulę i rękę na temblaku. Od razu go rozpoznała.

- Arnold!

Uśmiechnął się do niej z przystani.

- Jak się cieszę, że cię widzę! - zawołał.

Danielle opuściła pokład, zanim barka uderzyła w odbojniki. Przytuliła go ostrożnie.

- Powiedziano mi, że zostałeś zabity.

- No tak. Tyle razy ci powtarzałem: nie myl wersji oficjalnej z prawdą.

- Co się stało? - zapytała, spoglądając na jego rękę.

- Złamałem ją podczas upadku. Przed czymś takim nie ochronią cię nawet dwadzieścia cztery warstwy kevlaru.

Moore wyjaśnił, w jaki sposób został wystawiony przez Gibbsa, jak zdołał przeżyć postrzał i upadek z mostu, łamiąc sobie tylko rękę, gdy uderzył nią o keson, i jak potem nieomal zamarzł

na śmierć, kryjąc się w wodzie za jednym z filarów. Nie podejrzewał Gibbsa o zdradę, ale idąc na spotkanie z człowiekiem, który zabił Gibbsa, wołał być przygotowany na najgorsze.

Danielle także streściła mu przebieg wydarzeń w dżungli.

Susan Briggs wysiadła pierwsza, prowadząc na smyczy oba poranione owczarki niemieckie. Potem McCarter pomógł zejść na pomost kulejącemu Brazosowi, a tuż za nimi pojawił się Hawker, podtrzymujący zdezorientowanego Williama Deversa, którego Danielle nafaszerowała środkami uspokajającymi przed dotarciem do portu, aby nie narobił niepotrzebnego zamieszania. Ostatni szedł Erie.

Ochroniarze Moore'a ruszyli w jego kierunku, ale Hawker powstrzymał ich, unosząc dłoń.

- Pozwólcie mi odejść.
- Musi iść z nami - upierał się Arnold. - Ma bardzo cenne informacje.
- Wszystkiego dowiedzie się od niego - zapewnił go pilot, wskazując głową językoznawcę.
- On nie będzie wiedział tego, o co nam chodzi.
- W takim razie będziecie się musieli domyślić reszty. - Hawker nie zamierzał ustąpić.

Moore westchnął ciężko, a jego ludzie spojrzeli po sobie. Pilot wciąż nie ustępował im z drogi. Gdyby Niemiec nie strzelał tak celnie z barretta, wielu z nich dzisiaj nie stałoby na tym pomoście.

- Zostawcie go w spokoju - wtrąciła zdecydowanym tonem Danielle.
- To byłoby nieuczciwe z naszej strony, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszliśmy razem w dżungli.

Moore parsknął z rozdrażnienia.

- Niech ci będzie - odparł i naraz się uśmiechnął, jakby spodobała mu się przemiana, jaką przeszła w czasie tej misji. Spojrzał na najemnika.
- Możesz iść, młody człowieku. Właśnie darowano ci życie, nie zmarnuj go, dobrze ci radzę.

Blondyn popatrzył na niego, potem przeniósł wzrok na Danielle i Hawkera. Wydawał się nieco zagubiony.

- Wynoś się stąd - poradził mu pilot. - Wracaj do domu, jeśli możesz.

Były najemnik ruszył niepewnie w stronę nabrzeża, oglądając się kilkakrotnie, zanim zniknął w tłumie.

Moore stanął przed Hawkerem.

- A skoro mowa o powrotach do domu... Jak rozumiem, dobił pan z nami targu. I chociaż ekspedycja zakończyła się niepowodzeniem, dotrzymał pan ze swojej strony umowy. Potrafimy to docenić, aczkolwiek mam spore obawy, że nie będziemy w stanie się odwzajemnić. Nasz szef zniknął, ciężą też na nim liczne zarzuty natury kryminalnej, nie wyłączając malwersacji, fałszerstw i morderstwa. Panna Laidlaw także jest uważana za zaginioną i jako taka stała się automatycznie podejrzana. A ja... cóż, ja oficjalnie nie żyję. - Moore pokręcił głową. - Tak więc oboje wiemy, co jesteśmy panu winni, i jeśli nie skończymy w więzieniu, postaramy się dotrzymać danej obietnicy.

Hawker wiedział, co to oznacza. Spojrzał na Danielle.

- Możesz zostać tutaj - zaproponował. - Znam właściciela klubu nocnego, który z chęcią zaoferuje ci pracę.

Uśmiechnęła się. To była kusząca propozycja.

- Może następnym razem - odparła. - Mam jeszcze kilka spraw do wyprostowania.

## ROZDZIAŁ 52

Trzy miesiące po powrocie z Amazonii profesor Michael McCarter pojawił się w dobrze oświetlonym korytarzu budynku federalnego imienia Harry'ego Hopkinsa. Miejsce to emanowało urokliwym spokojem. Ściany korytarza wyłożono czereśniową boazerią, poręcze i gałki w drzwiach wykonano z polerowanego mosiądzu w stylu lat dwudziestych minionego stulecia. McCarter poddał się temu klimatowi, mimo że dosłownie chwilę wcześniej musiał składać zeznania przed zwołaną naprędce komisją śledczą Senatu.

Siedzący za długą ławą senatorowie zadawali mu uprzejme, aczkolwiek bardzo bezpośrednie pytania przez niemal cztery godziny. Niemniej

- za co był im z początku wdzięczny, ale przez co w miarę upływu czasu czuł się coraz dziwniej - unikali jak ognia wszystkich znaczących szczegółów dotyczących tej sprawy. Dopiero pod koniec przesłuchania dotarło do niego, że robili to z pełnym rozmysłem, ponieważ nie chcieli ujawniać całej tajemnicy.

Na koniec kazano mu przysiąc, że dochowa tajemnicy, powołując się przy tym na ustawę o zapobieganiu szpiegostwu z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, podziękowano za poświęcony czas i poproszono, by opuścił salę. Od tamtej pory siedział w holu, czytając gazetę w oczekiwaniu na zakończenie zeznań kolejnego świadka.

Około siedemnastej drzwi otworzyły się ponownie, wpuszczając nieco światła do mrocznego korytarza. Uczestnicy opuścili miejsce spotkania, wśród nich dostrzegł także Danielle.

Laidlaw zeznawała ostatnia, przedstawiając wcześniej omawiane wydarzenia z nieco innej perspektywy. Ku jej ogromnemu zdziwieniu członkowie senackiej komisji nie potępili NIB-u, mimo że jego ostatnia operacja w Brazylii doprowadziła do złamania kilkunastu przepisów prawa federalnego, a także międzynarodowego.

Jeden z nich wyraził nawet dumę z tego, że tak twardo broniła wartości reprezentowanych przez jej ojczyznę. Zdawać się mogło, że jedynym problemem tych ludzi był Stuart Gibbs i jego prywatna pogoń za nowoczesną technologią. To właśnie stało się bardzo szybko przedmiotem debaty, a ponieważ nie był obecny na sali, obciążono go za wszystko, całkiem słusznie zresztą. Oni natomiast, czyli Danielle i Arnold Moore, nie mieli pojęcia o jego nielegalnych działaniach, zostali więc rozgrzeszeni z wszelkich win, a nawet do pewnego stopnia pochwaleni.

Teraz, gdy zamknięte dla opinii publicznej przesłuchania dobiegały końca, zaczynały krążyć plotki. Wydawało się, że NIB mimo wszystko przetrwa tę zawieruchę, a następnym jego dyrektorem, zgodnie z oczekiwaniami wielu decydentów, zostanie Arnold Moore - aczkolwiek żaden dokument na to nie wskazywał.

Przynajmniej tutaj, w Waszyngtonie, pomyślała Danielle, kręcąc głową. Usłyszała, że ktoś ją woła, obróciła się i dostrzegła McCartera. Uśmiechnęła się do niego.

- Co tak przyzwoity człowiek robi w tym okropnym miejscu?
- A kto powiedział, że jestem przyzwoity? - roześmiał się, słysząc powitalny żart.
- Ja tak mówię - nie ustępowała.
- Powiedziano mi, że będziemy mogli zamienić kilka słów, gdy skończysz zeznawać, o ile nie będziemy poruszali tematu dochodzenia. - Spojrzał na zamknięte drzwi. - Skończyłaś na dzisiaj czy może musisz tam jeszcze wrócić?
- Skończyłam - zapewniła go. - To było ostatnie przesłuchanie. Z tego, co wiem, wszyscy

trzymaliśmy się ustalonej wersji zdarzeń.

McCarter rozejrział się nerwowo. Nie wiedział, czy może pozwolić sobie na szczerość w budynku rządowym.

- Nie masz ochoty na krótki spacer?

Zaoferował jej ramię, jak przystało na dżentelmena, a ona nie odmówiła. Razem pokonali wypolerowaną posadzkę wielkiego holu. Umundurowany odźwierny wypuścił ich na zewnątrz, prosto w siąpiący z szarego nieba deszczyk. Koniec kwietnia obfitował w burze nadchodzące z północnego wschodu. To był już trzeci front przechodzący nad miastem, odkąd wrócili do domu.

Gdy stanęli pod osłoniętym markizą frontonem, na kolistym podjeździe pojawiła się taksówka. Miała zapalone reflektory, a wycieraczki na przedniej szybie pracowały z zawrotną szybkością. Zatrzymała się przed wejściem, wypuszczając ze swego wnętrza pasażera, który natychmiast pobiegł w kierunku budynku.

- Znowu pada - podsumowała, przyglądając się mżawce i lekkiej mgiełce.

- Mnie tam deszcz ostatnio nie przeszkadza - odparł.

- Mnie też nie - przyznała, uśmiechając się pod nosem.

- Miałaś jakieś wiadomości od Hawkera? - zapytał, spoglądając na nią dobrotliwie.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy.

- Nie odzywał się. Inni zresztą też nie.

- Sądzisz, że pozwolą mu wrócić do domu?

- Jeszcze nie skończyłam z nimi walczyć - posmutniała. - Niemniej rząd próbuje uratować Instytut, tuszując wiele aspektów tej sprawy. Wątpię, aby komukolwiek zależało na wmieszeniu w nią człowieka o reputacji Hawkera.

Profesor wydawał się rozczarowany jej odpowiedzią. Oboje darzyli pilota wielkim szacunkiem.

- Nie martw się o niego - powiedziała. - Jeśli dobrze go znam, siedzi sobie teraz na słoneczku w jakiejś nadbrzeżnej kafejce u boku absolutnej piękności, a kto wie, czy nawet nie trzech, topiąc swoje żale w piwie.

McCarter skwitował tę wypowiedź uśmiechem nie do końca pewny, czy wychwycił w jej tonie nutę zazdrości. Na wszelki wypadek zmienił temat.

- Mają zamiar odpuścić?

- Chyba tak - odparła. - Przywieźliśmy im to, czego szukali. A szkielet. ... - zawiesiła na moment głos. - Nikt nie jest nim do tego stopnia zainteresowany, by wysłać tam kolejną ekspedycję. Trzeba by znowu pokonać cholernie długą drogę na terytorium zaprzyjaźnionego państwa, którego suwerenność już raz pogwałciliśmy. Powrót tam oznacza kolejną tajną operację albo otwarcie puszeki Pandory w przypadku powiadomienia lokalnych władz o naszej poprzedniej tam bytności.

- Ja tylko... - zaczął. - Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zbadać tych szczątków.

Moglibyśmy się z nich wiele dowiedzieć.

Też o tym myślała. W DNA tej istoty kryły się odpowiedzi dotyczące przyszłości rodzaju ludzkiego. Odpowiedzi, które mogły prowadzić do przerażających wniosków. Czy naprawdę tak ma wyglądać przyszłość człowieka? Czasem lepiej nie wiedzieć takich rzeczy.

- Znajdują się pod ziemią - mruknęła. - I dobrze, że tam zostały.

McCarter wyduł wargi i skinął głową.

- Może to i racja. - Uśmiechnął się do niej jak ojciec dumny ze swojej pociechy. - Jesteś dobrym człowiekiem - dodał. - Mogę się jedynie domyślać, jak wielkim naciskom zostałaś poddana. Przypuszczam, że niewiele więcej mogłaś osiągnąć, stojąc na straconej pozycji.

Chciałaby tak myśleć.



- Niestety nie - odparła. - Ale wciąż nad tym pracuję.

Kolejna taksówka pojawiła się na kolistym podjeździe. Zatrzymała się z cichym piskiem hamulców. Deszcz zamigotał w świetle przednich reflektorów.

- Podwieźć cię? - zapytał profesor. - Jadę do Omni.

Danielle pokręciła głową.

- Obawiam się, że jadę w przeciwnym kierunku.

- Szkoda - odparł. - W takim razie jedź pierwsza. - Otworzył jej drzwi.

Podeszła i pocałowała go w policzek.

- Przekaż pozdrowienia Susan - poprosiła. - I uważajcie na siebie.

- Ty także.

Danielle wsiadła, a gdy profesor zamknął za nią drzwi, taksówka ruszyła. Widziała w zalanej deszczem tylnej szybie, że McCarter wsiada do następnej taksówki, a potem usadowiła się wygodniej, zagłębiając w fotel.

Gdy wóz włączył się ostrożnie do ruchu, wyjęła z torebki kartkę papieru i rozłożyła ją powoli. Był to awans, który otrzymała od Gibbisa, zanim udała się do dżungli. Jeden z senatorów poprosił, by przyniosła dokument na przesłuchanie, ale komisja uznała potem, że lepiej nie włączać go do akt sprawy. Wyjaśnienie było proste: zdaniem komisji nie wnosił nic nowego do prowadzonego dochodzenia. Jeden z jej członków zasugerował nawet, że propozycja nowego stanowiska jest wciąż aktualna, rzecz jasna jeśli ona nie ma nic przeciwko temu.

Danielle przeczytała treść listu raz jeszcze, czując obrzydzenie na myśl o radości, jaką odczuwała kiedyś po tej lekturze. Po namyśle zmięła kartkę i wrzuciła ją do maleńkiego kosza znajdującego się między fotelem kierowcy a siedzeniem pasażera, gdzie spoczął obok pustej puszki po coca-coli i opakowania po hamburgerze.

Westchnęła, oglądając się jeszcze raz za siebie, wsłuchując w szmer pracujących bez wytchnienia wycieraczek, szum opon sunących po mokrej nawierzchni i ściszony głos lektora czytającego wiadomości w radio. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie miała nic do roboty, żadnego terminu spotkania w harmonogramie dnia, przełożonego, u którego powinna się zameldować, ani celu do osiągnięcia za wszelką cenę. Ku swojemu zaskoczeniu czuła się z tym naprawdę dobrze.

Dwadzieścia mil dalej, w podziemiach piątego budynku, Arnold Moore stał w mrocznym, wyłożonym ołowiem pomieszczeniu w towarzystwie szefa zespołu badawczego, który pracował nad zimną fuzją. Przyglądali się wspólnie trójkątnemu kamieniowi dostarczonemu przez Laidlaw.

- Jedno jest pewne - oświadczył naukowiec - to coś generuje energię.

I to gigantyczne jej ilości. Ale jakim cudem, tego nie wiem.

- Nie mamy do czynienia z zimną fuzją? - zapytał Moore.

Naukowiec pokręcił głową. Wszystko wskazywało na to, że znaleźli nie to, czego szukali.

- To znacznie bardziej zaawansowana technologia - zapewnił go szef zespołu.

- Jest gorący? - zapytał Arnold.

- Raczej ciepły, ale temperatura jest tylko efektem ubocznym.

Moore potrzebował konkretów.

- Gdzie zatem podziewa się cała energia?

- Większość zostaje przekształcona w impuls elektromagnetyczny

- wyjaśnił naukowiec, pokazując otaczające ich ściany. - Dlatego musieliśmy umieścić go pod ziemią i otoczyć to pomieszczenie warstwą ołowiu.

Lśniący kamień leżał przed nimi. Czyściutki i wypolerowany. Jeśli spojrzeć na niego pod właściwym kątem, wydawał się niewidzialny.

W odróżnieniu od kryształów Martina nie miał na powierzchni żadnych wgłębień ani rys.

Gołym okiem nie dało się też zauważyć żadnych struktur w jego wnętrzu. Mimo to emitował lekki blask oraz ciepło i energię.

Naukowcy dopiero zaczęli go badać, ale Moore przypuszczał, że odkryją podobne właściwości jak w kryształach Martina, wliczając w to mikroskopijne światłowody, nanorurki i całą masę jeszcze dziwniejszych technologii.

To była maszyna, Arnold zdawał sobie z tego sprawę, ale wyglądała raczej jak dzieło sztuki. W kształtach było coś czarującego, niemalże hipnotycznego. Im dłużej się wpatrywał w ten blask, tym bardziej był pewien, że dostrzega pulsowanie, o którym wspominali naukowcy. Było takie rytmiczne i harmonijne...

- Czy on zawsze tak pulsuje? - zapytał.

Szef zespołu skinął głową.

- Owszem. Wzór tych cykli jest jednak niezwykle złożony i szybko się zmienia. Niemniej się powtarza.

Moore patrzył. Widział ten rytm, wyczuwał go.

Naukowiec spojrzał na niego uważnie.

- Pan wie, co to jest? - zagadnął.

Moore nie otrzymał jeszcze wyników badań, ale domyślał się ich treści.

- Tak - odparł ponuro. - A w każdym razie tak mi się wydaje.

Wymienili spojrzenia.

- Cóż, mogę tylko powiedzieć, że podzielamy pańskie zdanie - oświadczył szef zespołu.

- To sygnał - powiedział Arnold. - Przesłanie.

Naukowiec skinął głową.

- Jak już wspomniałem, wzór się powtarza, ciągle i niezmiennie, z wyjątkiem...

- Jest jakiś wyjątek? - zdumiał się Moore.

- Jeden, maleńki - wyjaśnił niechętnie jego rozmówca. - Zauważyliśmy go dopiero, gdy podzieliliśmy cykl na kilka faz.

- Na czym polega ta zmiana?

Mężczyzna włączył komputer, na ekranie pojawił się wykres przedstawiający cyfrowe odzwierciedlenie złożonego sygnału, z tysiącami wychyleń w górę i w dół. Gdy kliknął myszką, całość zaczęła przesuwać się w lewo i dopiero po siedemnastu sekundach ponownie zamarła. Wszystkie segmenty miały identyczny wygląd. Prócz ostatniego, oznaczonego innym kolorem. Ten wydawał się pozornie taki sam, lecz wychylenia linii były nieco mniejsze. Moore obejrzał jeszcze jedną iterację sygnału, który w ostatniej fazie znów osłabł.

- To coś w rodzaju odliczania - powiedział, odgadując intuicyjnie znaczenie pokazanych mu zmian.

- Każdy nowy impuls jest o ułamek wartości krótszy od poprzedniego - potwierdził naukowiec.

- Obliczył pan, kiedy ulegnie wyzerowaniu?

Szef zespołu skinął głową.

- Jeśli się nie mylimy, impulsy zanikną dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku.

Moore znał tę datę. Tego dnia kończył się kalendarz Majów.

- Nie wiemy, co to może oznaczać - mówił tymczasem naukowiec.

- Znając jednak moc tego urządzenia, zaczynamy mieć poważne obawy.

Tyle tylko powiedział, potem zacisnął szczęki, przybierając ponurą minę. Arnold, widząc to, poczuł, że robi mu się nieswojo. Przeniósł wzrok na pulsujący kamień. Chociaż bardzo się starał, nie potrafił oderwać od niego oczu ani ukryć podziwu, jakim go darzył. Nie ulegało wątpliwości,

że los ludzkości mógł zależeć od tego, co odkryją w jego wnętrzu.

## OD AUTORA

Dotarcie do końca powieści jest dla pisarza celem samym w sobie. Dla czytelnika ten sam moment jest dopiero rozpoczęciem przygody z tekstem. I nie ma znaczenia, czy książka traktuje o templariuszach, mechanice kwantowej czy klonowaniu DNA dinozaurów. Gdy kończymy lekturę, zawsze chcemy wiedzieć więcej.

Wszystkim tym, którzy czują głód wiedzy, polecam poniższą notkę.

### CYWILIZACJA MAJÓW

Główne założenie tej powieści, czyli pochodzenie Majów z dorzecza Amazonki, jest oczywiście moim wymysłem. Nie ma żadnych dowodów na to, że Majowie zawędrowali aż tak daleko na południe. Jak mówi profesor McCarter w jednym z początkowych rozdziałów: „Majowie w Amazonii? Nie sądzę”. Uczyniłem to jednakowoż z dwóch powodów. Chciałem oddzielić Chollokwanów od miejsc, w których zamieszkiwali Majowie. Drugim natomiast powodem była chęć wysłania ekipy NIB-u jak najdalej od znanej nam współczesnej cywilizacji.

Z drugiej strony legendy opisywane w książce zostały zaczerpnięte z faktycznie istniejącej książki Popol Vuh. W tym niesamowitym dziele przedstawiono historię świata tak, jak ją widzieli Majowie. Są tam opisy tworzenia Ziemi i rodzaju ludzkiego oraz przygody dwojga bohaterów, którzy sprawili, że świat stał się bezpiecznym miejscem. Rękopis aż kipi od niesamowitej symboliki, fascynujących przygód i wizji świata totalnie odmiennego od naszego, ale zarazem niesamowicie go przypominającego.

W czasach prekolumbijskich istniało zapewne wiele egzemplarzy tej książki. Niestety, masowe palenie dzieł tej kultury pozbawiło nas okazji do obcowania nie tylko z hieroglificzną wersją Popol Vuh, ale i z tysiącami innych tekstów, map i utworów tamtejszej kultury.

Wielka szkoda, że nie wiemy dzisiaj niemal nic na temat tamtej wspaniałej i złożonej cywilizacji. Tym większa, że osobami odpowiedzialnymi za unicestwienie jej dorobku są katolicycy duchowni. Aczkolwiek to właśnie dzięki jednemu z kapłanów poznaliśmy współczesną wersję świętej książki Kiczów. Ojciec Francisco Ximenez przetłumaczył jej tekst w latach 1701--1703, korzystając z wcześniej spisanych wersji oraz przekazów ustnych. Uczynił to zarówno w języku kicze, jak i po hiszpańsku. Oryginał tej pracy istnieje i znajduje się w bibliotece Newberry w Chicago.

W późniejszych latach dokonano wielu przekładów Popol Vuh. Trzy najciekawsze z nich, moim zdaniem, to *Book of the People: Popul Vuh* z roku 1954 w tłumaczeniu Delii Goetz i Sylvanusa Griswolda Morleya, która przedstawia treść manuskryptu w przystępny, zwiezły sposób; *Popol Vuh: The Sacred Book of the Maya* z roku 2003 w przekładzie Allena J. Christensona, w której oprócz oryginalnego tekstu można znaleźć bogate tło historyczne, a nawet wyjaśnienia, skąd wywodzą się poszczególne terminy albo koncepcje; opracowanie Dennisa Tedlocka (dostępne w Polsce w przekładzie Izabeli Szybilskiej) *Popol Vuh. Księga Majów o początkach życia oraz chwale bogów i władców*, którą czyta się nie jak stare podania, ale historię opowiadaną przez naocznego ich świadka. Jeśli interesujecie się tym akurat okresem historycznym, polecam wam te właśnie prace.

### ZIMNA FUZJA

Na początku nowego tysiąclecia nasza cywilizacja uzależniła się w ogromnym stopniu od paliw używanych od niemal dwóch stuleci, co w pewnym sensie stawia nas w pozycji ludzi korzystających wciąż z liczydeł i gęsiich piór. Czym jednak moglibyśmy je zastąpić? Czy zimna fuzja naprawdę mogłaby dostarczyć nam dość energii? Odpowiedzi na te pytania pojawią się za jakiś czas. Opisałem w tej książce pewien gigantyczny projekt, noszący miano ITER. Jest to

wspólna inicjatywa państw, głównie mocarstw skupionych w grupie G20. Słowo ITER, tłumaczone jako „droga”, zaczerpnięto z łaciny, aczkolwiek jest to też akronim od: International Thermonuclear Experimental Reactor (Międzynarodowy Eksperymentalny Reaktor Termonuklearny). To naprawdę gigantyczna konstrukcja, ważąca dwadzieścia trzy tysiące ton i wysoka na sto stóp. Możecie o niej poczytać na oficjalnej stronie przedsięwzięcia: <http://www.iter.org>.

Zimna fuzja pozostaje na razie tajemnicą. Na swój sposób jest to taki naukowy wampir - koncepcja nieustannie powstająca z grobu. Po opisaniu jej jako jednego wielkiego oszustwa w roku 1989 pojawiła się ponownie na afiszu w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy kilku ryzykantów posiadających spory kapitał i naukowców postanowiło znowu spróbować szczęścia. Gdy nic z tego nie wyszło, projekt ponownie popadł w zapomnienie.

Co nie znaczy jednak, że znowu nie ożyje. Najbardziej szanowane ośrodki naukowe zaczynają się nim dzisiaj interesować, donosząc od czasu do czasu o uzyskaniu dodatkowej energii, neutronów, a nawet śladowych ilości trytu, który może powstać wyłącznie podczas takiej reakcji nuklearnej. Nawet ci, którzy uważają te badania za zwykłą stratę czasu, pochylają się coraz częściej nad ich wynikami, zanim ogłoszą kolejny osąd. Kto wie, czy nie znajdzie się w końcu śmiałek, który oświecili cały świat.

Ale to z pewnością nie nastąpi tak szybko. Zdaniem naukowców pracujących dla ONZ do roku 2050 na Ziemi będzie mieszkało co najmniej dziewięć miliardów ludzi. Jeśli nie znajdziemy nowych źródeł energii oraz metod redukcji, recyklingu i ponownego wykorzystania naszych śmieci, co stanie się z atmosferą planety i miejscami takimi jak Amazonia? Jak będą wyglądały morza, wypełnione plastikowymi odpadami, po tym jak odłowimy niemal wszystkie ryby? Droga, którą podążamy dzisiaj, jest ścieżką wiodącą w przepaść. Jeśli nie zawrócimy w porę, spadniemy w końcu ze skały. A jeśli przetrwamy mimo wszechobecnego zatrucia, kto wie, jak będą wyglądali ludzie zamieszkujący Ziemię w trzydziestym pierwszym stuleciu? Profesor McCarter ma rację, mówiąc w jednym z ostatnich rozdziałów tej książki, że już tworzymy podwaliny warunków, w których inny gatunek będzie się czuł lepiej niż my.

Dziękuję wam za spędzenie ze mną kilku godzin potrzebnych na przeczytanie tej książki.  
Szczerze oddany Graham Brown.